

KOLEJNA POWIEŚĆ
AUTORA BESTSELLEROWEGO *SEDINUM*

LESZEK
HERMAN

GALEON



LESZEK
HERMAN
GALEON



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska,*
Barbara Milanowska (Lingventa)

© by Leszek Herman

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.
Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest
niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-2810-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Wszystkie triumfy i katastrofy tego świata ludzie
powodują nie dlatego, że są z gruntu dobrzy albo
z gruntu źli, lecz dlatego, że są z gruntu ludźmi.*

NEIL GAIMAN, TERRY PRATCHETT

(przeł. Juliusz Wilczur-Garztecki, Jacek Gałązka)

Spis treści

OSOBY DRAMATU (w tym osoby prawne):

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Epilog

Posłowie

OSOBY DRAMATU (w tym osoby prawne):

Piotr J. Bahryński – dziennikarz „Dziennika Szczecińskiego”

Paulina Weber – dziennikarka „Dziennika Szczecińskiego”

Paweł – naczelny „Dziennika Szczecińskiego”

Maciej i Filip – kamerzyści „Dziennika Szczecińskiego”

Borys Ignatiuk – prawnik i aktywista miejski, prowadzący stronę Nowe Miasto

Urszula Matecka – dziennikarka portalu SzczecinNaPrawo

Nord/Barentz – szwedzko-polska firma pełniąca nadzór na pewnej budowie

Bartłomiej Moszenicki – inspektor nadzoru na pewnej budowie

Paweł Nowacki – właściciel firmy Dark-Bud, podwykonawca na pewnej budowie

Miłosz Poznański – inżynier, kierownik budowy firmy Dark-Bud

Alan (Alien) Cieśla – robotnik zatrudniony w firmie Dark-Bud

Docklands Park – firma deweloperska

Leszek Podgórski – przedstawiciel firmy Docklands Park

Szymon Wasiak – kierownik budowy firmy Docklands Park

Marcin Rychlewski – inspektor nadzoru budowlanego

Roman i Adam – strażnicy centrum obsługi

Piter i Bartosz – koledzy Piotra Bahryńskiego

Melchior Modzelewski – prokurator prowadzący
dochodzenie w sprawie morderstwa

kom. Iwona Halczyszyn – policjantka prowadząca
dochodzenie w sprawie morderstwa

asp. Przemysław Renard – policjant prowadzący dochodzenie
w sprawie morderstwa

Mikołaj Lameński – rzutki doradca prezydenta, animator
mediów

Katarzyna Korytko – radna

Maurycy Przekot – wiceprezydent

Prezydent – prezydent

Prolog

*Gdzieś na Pomorzu,
trzysta lat wcześniej*

Drzwi starej plebanii na wzgórzu otworzyły się, skrzypiąc potępieńczo. Księżyc, uwolniony akurat ze strzępów zabłąkanych chmur, wisiał nad wodą niczym wielka latarnia. W jego świetle migotały ciągnące się po horyzont rozlewiska, lśniły srebrem wierzchołki sosen i splątane gałązki zwisających nad brzegami wierzb.

Pastor przystanął na moment na ścieżce i głęboko odetchnął. Mimo jeszcze wczesnej jesieni powietrze było rześkie, chłodne już przed północą i przepojone mocnym aromatem jodu zmieszanego z zapachem ziół i kwiatów dochodzącym z ogródka przy plebanii. Pastor poprawił kapelusz i podpierając się laską, ruszył w kierunku krańca klifu.

Ścieżka łagodnym łukiem omijała majaczącą w ciemności sylwetkę starego kościoła i wiodła aż do wielkiego kamienia, na którym pastor lubił siadać i wpatrywać się w dal. Nieco dalej, na wzgórzu, stała samotnie ruina starej wieży, w której dawno, dawno temu, jeszcze za Gryfitów wojowie miejscowego kasztelana wypatrywali zagrożenia dla pomorskich grodów, które od morza nadejść by miało.

Pastor usiadł na swoim kamieniu, podparł się laską i powiódł wzrokiem po rozciągającej się u stóp klifu lagunie. Pierwsze, co zawsze mu przychodziło tutaj na myśl, to pokora. Ileż były

warte małe, powszednie problemy, większe czy mniejsze kłopoty, a nawet wszystkie życiowe tragedie wobec wieczności tego piękna. Ten sam srebrny księżyc wisiał nad wielką laguną, gdy na tym wzgórzu stał średniowieczny gród, a u jego stóp dziesiątki wysp pojawiały się i znikwały wraz z piaskiem, który rzeka nanosiła tutaj przez setki lat. Ten prastary kościół i ta wieża obronna miały przecież także swój czas świetności. A potem przeminęły. Ten sam czas starł na wiór i drewniane ściany, i dziesiątki ludzkich losów.

Pomorzanie, Szwedzi, Prusacy... Wszystko przemija.

I nie żeby marnością to nazwać. Po prostu wszystko miało swój czas. Każde kruche ludzkie istnienie, każde wydarzenie, wielkie wojny, małe bitwy, tragedie i wielkie szczęścia. Wszystko to układało się w bezmierny, barwny kobierzec życia. Wszystko miało swój czas. Swój początek i koniec.

Starzec westchnął ciężko i spojrzał ponownie na błyszczącą w świetle księżycy wodę. Może i banały tutaj w myślach mu się rodziły, ale było to jakieś takie krzepiące. Że wszystko miało swój cel, każda pojedyncza rzecz była maleńkim ogniwem w tym niekończącym się łańcuchu zdarzeń. I wszystko okazywało się tak samo ważne...

Żona pastora odeszła wiele lat temu, syn zginął w czasie wojny, którą prowadzili tutaj Szwedzi i Prusacy, a on sam powoli szykował się, żeby do nich dołączyć.

Niewiele już go tutaj trzymało...

Spokojny, oblany światłem księżycy landszaft, który pastor miał przed oczami, nagle ożył. Takie w każdym razie wrażenie zrobiło na starym księdzu pojawienie się na spokojnych wodach zatoki flotyli żaglowców. Wychyły nagle zza drzew porastających brzegi cypla. Z pewnością płynęły z zachodu.

Pastor poruszył się niespokojnie i wbił wzrok w grupę przepływających statków.

Przecież dopiero co Szwedzi opuścili Szczecin. Widział stąd dziesiątki okrętów, które z ładowniami wypełnionymi wszelakim dobrem przez wiele dni płynęły na Wolgast, gdzie stolica szwedzkiego Pomorza mieścić się teraz miała.

Ale gdzież mogli płynąć ci tutaj? Dokładnie w przeciwnym kierunku w dodatku. Pastor naliczył z sześć statków. Trzy duże żaglowce, w tym dwa wielkie stare galeony, takie, jakich prawie dzisiaj się już nie widywało. Pastor dałby sobie głowę uciąć, że słyszy, jak skrzypią potępieńczo ogromne, drewniane kasztele na ich rufach. A obok nich płynęły mniejsze barki. Wszystkie statki, oprócz fregaty na końcu, były także mocno zanurzone.

Tak jakby ich ładownie wypełnione były po brzegi.

Flotylla minęła cypel i ku zaskoczeniu pastora wpłynęła w przesmyk, kierując się na północ.

Pastor ze zdumieniem wpatrywał się w wody zatoki. Zupełnie to sensu przecie nie miało. Po cóż ten konwój przedziwnych okrętów miałby wpływać w te rozlewiska? Nic wszakże tam nie było, a i utknąć na płyciźnie łatwo.

Starzec wstał i podpierając się laską, podszedł bliżej do krańca klifu. Odprowadził wzrokiem dziwną armadę, zastanawiając się przy tym, czy przypadkiem o takim ambarasie powiadomić kogoś nie należało.

Spojrzał niezdecydowanym wzrokiem w kierunku wsi. Pomyślał, że zanim on, zniedołężniały, tam doczłapie, zrobi się pierwsza w nocy. Trzeba będzie budzić komendanta, a najpierw jeszcze jego gospodynię. A to nie takie łatwe. Walić laską w drzwi będzie chyba musiał. Sen ta kobieta miała jak głąz. Nieraz dobudzić jej nie było można na kazaniu nawet.

Starzec prychnął i postukał laską w ziemię.

A niech tam Prusacy czy Szwedzi, kimkolwiek byli łotrzy z tych żaglowców, sami sobie radzą i robią, co chcą, stwierdził i odprowadzając jeszcze wzrokiem sunącą na końcu flotyli fregatę, ruszył z powrotem ku domowi.

Dwa stare galeony i towarzyszące im barki wpłynęły w rozlewiska rzeki i po chwili wtopiły się w ciemność.

Rozdział 1

*Autostrada A20,
jakieś 50 kilometrów przed Rostockiem,
kilka lat wcześniej*

W przedniej szybie samochodu czarna wstęga drogi wyglądała jak ilustracja zasad perspektywy linearnej. Jaśniejące w świetle reflektorów fluorescencyjne znaki i małe, klikające śmiesznie pod kołami odblaskowe klamry zlewały się w świetlne pasy, które migocząc hipnotycznie, znikwały w ciemności za samochodem.

Piotr, z głową opartą o zagłówek tylnego siedzenia, wpatrywał się w pokrojoną poziomym oznakowaniem ciemność przed samochodem i walczył z uporczywie opadającymi powiekami. Pomyślał, że przednia szyba wygląda teraz jak monitor z migającym wygaszaczem ekranu. Ciekawe, swoją drogą, czy już ktoś taki zrobił. Wizualizacja ciemnej, opustoszałej szosy przed maską jadącego samochodu. Mogło to wyglądać ciekawie.

Poruszył się i złowił w lusterku wstecznym spojrzenie Matiego. Przyjaciel uśmiechnął się do niego i chciał coś powiedzieć, ale zagadnęła go siedząca na przednim fotelu dziewczyna. Przez chwilę cicho szeptali, uśmiechając się do siebie. Silnik samochodu skutecznie zagłuszał ich głosy.

Piotr ściągnął sarkastycznie usta i zamknął oczy. Warkot silnika i jednostajny szum sunących po asfalcie kół usypiały go,

ale nie były na tyle skuteczne, żeby całkiem odpłynął. Przeszkadzały mu grające radio, w którym leciały jakieś lokalne, niemieckojęzyczne przeboje, i ciche śmiechy z przednich siedzeń.

Z Mateuszem znali się od dziecka. Chodzili do tej samej szkoły podstawowej, później średniej, a potem wspólnie wyjechali na studia, tyle że Mati na wydział transportu w Akademii Morskiej, a Piotr na dziennikarstwo na Uniwersytecie Szczecińskim. Mimo to cały czas utrzymywali kontakt, spotykali się w tych samych klubach, chodzili na te same koncerty czy po prostu siedzieli jeden u drugiego – albo Piotr w akademiku na Wałach Chrobrego, albo Mati w malutkim, wynajmowanym mieszkanku na Pomorzanach, które Piotr, mając się różnych dorywczych prac, bohatersko utrzymywał z niewielką pomocą rodziców.

A potem pojawiła się Martyna.

Piotr usiłował oczywiście sam siebie przekonać, że nie jest zazdrosny o przyjaciela, który teraz większość czasu spędzał z dziewczyną, ale prawda była taka, że trochę jednak był. Wiedział, że to jest zwyczajna kolej rzeczy, ale to niczego nie ułatwiało.

Mateusz tymczasem, który wbrew sobie i zupełnie irracjonalnie czuł się ciut winny, żeby nie odsuwać się od Piotra, organizował różnego rodzaju wspólne wypadki i atrakcje, jak chociażby ta dzisiejsza – wyjazd do Rostocku.

I w zasadzie było całkiem fajnie. Cały dzień spędzili, łąząc po uliczkach uroczego miasta, weszli do paru muzeów i zjedli obiad w stylowej knajpie w odnowionym starym spichlerzu czy może nowym budynku udającym stary spichlerz – Piotr nie bardzo wiedział, architektura pozostawała poza kręgiem jego

zainteresowań. I rzeczywiście byłoby całkiem fajnie, gdyby nie napięcie, które utrzymywało się ciągle między nim a Martyną.

Martyna chyba intuicyjnie wyczuwała jego rezerwę i sama też była chłodna, w efekcie wyprawa przypominała ekspedycję polarną. I jedynie Mateusz, gdyby na ich trójkę spojrzeć przez termowizor, przypominał wielką czerwoną plamę – epicentrum ciepła, którym emanował, chcąc pchnąć ku sobie dwoje najbliższych mu teraz ludzi.

Piotr westchnął i zamknął oczy.

Cichy warkot silnika i lekkie kołysanie działało jak kiepski opioid. Z jednej strony usypiało i uspokajało, z drugiej zaś męczyło i wywoływało przemożną tęsknotę za wygodnym łóżkiem. Pokręcił głową, usiłując znaleźć najbardziej komfortową pozycję, i skierował myśli ku weselszym sprawom.

Od tygodnia miał pracę! Prawdziwą i zgodną z wykształceniem, chociaż była to tylko śmieciówka. Naczelnym „Dziennika Szczecińskiego”, który budził w Piotrze lekkie obawy, a raczej należałoby powiedzieć wprost – którego trochę się bał, obiecywał wprawdzie, że jeżeli Piotr spełni ich oczekiwania, to pomyślą o umowie, ale on doskonale wiedział, jak takie deklaracje wyglądały w praktyce. Nie zamierzał jednak narzekać. Przynajmniej na razie. Znalazł się przecież w prawdziwej redakcji, czyli miejscu, o którym zawsze marzył. Nie musiał zatrudniać się w biurze podróży na przykład albo w jakimś sklepie w galerii, jak niektórzy jego znajomi.

Można uznać, że zrobił pierwszy krok we właściwym kierunku...

Na moment odpłynął. Obudziło go dudnienie kół o asfalt i podskakiwanie samochodu. Uderzył głową o zagłówek i otworzył szeroko oczy.

– Kurwa! – dobiegło go głośne przekleństwo Mateusza.

– Co jest? – zapytała przestraszona Martyna, najwyraźniej także wyrwana z drzemki.

– Guma! – warknął Mati i wcisnął hamulec.

Samochód zwolnił i wciąż łomocząc kołami, powoli zjechał na boczny pas. Toczył się jeszcze przez chwilę, stukając o asfalt, i wreszcie stanął.

Piotr, rozbudzony już zupełnie, rozejrzał się. O drugiej w nocy na autostradzie, dawno po sezonie, było całkiem pusto. Nie powinno to nikogo dziwić. Otaczała ich gęsta czarna ciemność.

Mati szarpnął za drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

– Nie wychodź – rzucił do Martyny, która chciała wysiąść za nim. – Lepiej, żebyśmy się wszyscy troje tutaj nie kręcili. To w końcu autostrada.

Okrzyknął samochód i otworzył bagażnik. Piotr widział, jak wyjmując trójkąt, wkłada kamizelkę odblaskową i trzymając się blisko bariery energochłonnej, rusza, żeby go ustawić. Nagle Mati zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Coś w jego postawie kazało Piotrowi unieść się i spojrzeć uważniej przez tylną szybę. Mateusz stał nieruchomo i wpatrywał się w coś w ciemności.

– Co on robi? – zapytała Martyna, wychylając się zza zagłówka przedniego siedzenia. – Mam nadzieję, że nie przejechaliśmy jakiegoś zwierzaka.

Zaintrygowany Piotr obserwował Mateusza, który zamiast ustawić znak, zaczął się rozglądać. W końcu biegiem wrócił do samochodu.

Piotr nie wytrzymał i wysiadł.

– Co się dzieje? – spytał, widząc na twarzy przyjaciela niepokój.

– Nie mam pojęcia. – Mati pokręcił głową i obszedł samochód, przypatrując się wszystkim kołom po kolei.

Piotr patrzył na przyjaciela coraz bardziej zaniepokojony.

– Wcale nie złapaliśmy gumy – powiedział w końcu Mateusz.

Na horyzoncie pojawiły się nagle dwa malutkie świecące punkciki i powoli zaczęły rosnać.

– Przecież słyszałem, jak koło waliło o asfalt. – Piotr ruszył dookoła samochodu i sam sprawdził po kolei wszystkie cztery opony.

– To nie opony. – Mateusz zanurkował do wnętrza bagażnika i wyciągnął dużą latarkę. Po chwili promień światła omiół drogę.

Dwa malutkie punkty rosły, a wraz z nimi docierał wreszcie odgłos silnika zbliżającego się pojazdu.

– Co tu się stało? – Piotr wpatrywał się z przerażeniem w drogę.

W całym zasięgu światła latarki jezdnie na obu pasach były pokiereszowane. Tak jakby coś poszarpało asfalt gigantycznymi pazurami.

Odgłos silnika zamienił się w wytężony ryk monstrualnej ciężarówki, która zbliżała się do nich nieubłaganie.

Mateusz pierwszy się zaniepokoił i spojrzał w kierunku nadjeżdżającego pojazdu.

– Jakiś TIR zapierdala – powiedział i spojrzał ponownie na koleiny asfaltu. – Kurwa!

Podał latarkę Piotrowi, skoczył do samochodu i mignął długimi światłami. Ciężarówka jednak nie zwalniała, więc mignął po raz drugi i trzeci, a następnie wcisnął klakson.

Ton silnika nadjeżdżającego pojazdu się zmienił.

Piotr odszedł kilka metrów od auta i skierował latarkę na jezdnię przed samochodem. Zniszczenia nawierzchni ciągnęły

się aż do granic palących się świateł ich hondy. Ale jego uwagę przyciągnęła urwana na granicy widoczności bariera energochłonna. Zmarszczył brwi i nagle zbladł.

TIR zbliżał się tymczasem lewym pasem. Mimo zredukowanej prędkości wciąż pędził. Nagle kierowca włączył długie światła, które omiotły ich stroboskopową poświatą.

Piotr wyskoczył przed samochód i zaczął gwałtownie machać obiema rękami w kierunku zbliżającej się ciężarówki.

Rozległ się pisk hamulców i samochód przetoczył się obok nich, łomocząc kołami na nierównej nawierzchni. Naczepa, rżąc i telepiąc się, poleciała lekko w bok.

Piotr patrzył z przerażeniem, jak kierowca wielkiej ciężarówki traci panowanie nad ogromnym drogowym mastodontem, a naczepa wyjeżdża na sąsiedni pas i mija o mniej niż metr stojącą na poboczu hondę. Mati wyskoczył z samochodu i oniemiały patrzył za oddalającą się rufą naczepy, która przetoczyła się z kolei na lewą burtę i uderzyła w bariery pomiędzy pasami. Rozległ się łoskot metalu trącego o metal, a spod kół TIR-a posypały się czarne okruchy zniszczonego asfaltu.

Naczepa oderwała się od bariery energochłonnej i wróciła na pas. Samochód, wciąż wytracając prędkość, dotarł do granicy zasięgu palących się świateł hondy i zniknął w ciemności, a po chwili rozległ się potworny jazgot, tylne światła lory nagle zawirowały, ponownie rozszedł się łoskot metalu i wreszcie zapanowała cisza.

Przerażony Piotr spojrział na Matiego.

– Wyjechał się – szepnął oniemiały.

Mateusz, który zachował resztki zimnej krwi, sięgnął do kieszeni po telefon i zaczął wystukiwać numer sto dwanaście.

Piotr zaś ruszył biegiem w kierunku odgłosów dogorywającej ciężarówki. Gdy przebiegł kilkadziesiąt metrów, jego oczom ukazała się naczepa, której tylna część, przekrzywiona na prawą stronę, sterczała wysoko do góry. Reszty samochodu nie było widać.

Piotr podszedł bliżej, ruszył wzdłuż naczepy i stanął jak wryty. Skierował latarkę przed siebie i ze zgrozą zobaczył, że na szerokości obu pasów w jezdni ciągnie się zapadlisko, w którym tkwiła przednia część TIR-a.

W wielkim rowie, w który wpadła ciężarówka, widać było pokieraszowane kawałki asfaltu wymieszane z ziemią i wielkimi bryłami szarego betonu. Osłupiały wpatrywał się w przerażający krater. Nie słyszał nic o lokalnym trzęsieniu ziemi. Zresztą gdzie trzęsienie na tej szerokości geograficznej? Więc co to mogło być?

Za plecami słyszał, jak Mateusz rozgorączkowanym głosem tłumaczy coś operatorowi z centrum powiadamiania ratunkowego, a przerażona Martyna piskliwie go o coś wypytuje.

Powoli podniósł latarkę i oświetlił teren za dziwną rozpadliną.

Kompletnie zszokowany wpatrywał się w drogę. Na obu pasach ciągnęły się mniejsze i większe dziury i spękania, tak jakby na autostradę A20 runął rój meteorytów albo przegalopowały przez nią brontozaury z Parku Jurajskiego.

Rozdział 2

*Piątek 13 maja,
półtora roku wcześniej*

Miłosz spojrział na zegarek. Dochodziła właśnie siedemnasta. Westchnął i wsunął ręce w kieszenie odblaskowej kamizelki, którą miał narzuconą na ciepłą bluzę z kapturem. Na budowie było zimno. Zwłaszcza tutaj, przy ogromnej wyrwie w żelbetowej ścianie, za którą w utwardzone masy ziemi wgryzały się wielkie zęby małych, samobieżnych koparek.

Zewsząd dochodził huk potężnych silników i warkot rozmaitych wiertel, świdrów i zgarniarek gruzu wpadającego z łoskotem do kufrów wywrotek.

Dziura, która docelowo miała stać się zwyczajnymi schodami komunikującymi główny poziom z dolnym, technicznym, przypominała teraz wrota do innego świata, jakiś portal czasoprzestrzenny, po którego przekroczeniu można było się znaleźć na przykład w średniowieczu. Albo na innej planecie.

Miłosz lubił w ten sposób walczyć z nudą i rutyną zwyczajnych obowiązków kierownika robót. Wyobrażenia podsuwała mu sceny z ulubionych filmów fantastycznych, które kojarzyły mu się z małym, wykadrowanym fragmentem smętnej rzeczywistości.

Jakoś trzeba się było ratować przed znużeniem. Zwłaszcza że logistyka tego akurat zadania bardzo utrudniała komunikację z bazą i barakami, gdzie można byłoby się schować na moment.

Odległość, a także regulamin, który wprowadził generalny wykonawca, powodowały, że trzeba było siedzieć na miejscu kamieniem, a każde wyjście z budowy było skrupulatnie rozliczane i pilnowane.

Miłosz ziewnął i przystanął. Dziura w wykonanej już ścianie była spora. Dobre osiem metrów wysokości od poziomu dolnego korytarza. Miała też kilka metrów długości. Prawdziwy portal. Mała koparka swobodnie wjeżdżała do wnętrza wykopu i wyrywała kolejne kęsy zbitego gruntu.

Miłosz przestąpił z nogi na nogę i ruszył na kolejny spacer wzdłuż wykopu. Zrobił kilka kroków, gdy z głębi dziury rozległ się dziwny dźwięk. Łoskot wyrywanego gruntu, w którym tkwiły mniejsze i większe kamienie, był raczej jednolity, teraz natomiast dało się słyszeć głośnie tarcie. Jakby łyżka koparki przejechała po jakiejś powierzchni.

Miłosz się zatrzymał, po czym zeskoczył na dół wykopu, minął odwłok koparki i stanął pod ścianą zbitego gruntu. Łyżka koparki odjechała na bok.

– Jakieś gówno tam jest! – krzyknął z wnętrza operator. Miłosz musiał przyznać, że jak na Ukraińca mówił po polsku bardzo poprawnie.

Ściana wykopu była oświetlona przez dwa reflektory. Mniej więcej na wysokości trzech lub czterech metrów widać było częściowo odsłoniętą drewnianą powierzchnię. Stare, grube dechy ułożone poziomo, jedna przy drugiej.

Miłosz wyjął z kieszeni telefon, wspiął się na felgę koparki i wycelował aparat w kierunku dziwnej konstrukcji.

– Weź delikatnie jeszcze odgarnij – rzucił do Ukraińca, przypatrując się zrobionemu właśnie zdjęciu w powiększeniu.

Łyżka koparki odjechała od ściany i podniosła się energicznie do góry.

– Delikatnie, kurwa! – zdecydował się zaakcentować swoje polecenie Miłosz.

Ramię powoli podjechało z powrotem i po chwili łyżka powolutku zdrapała kolejny fragment gruntu. Kawały zbitej ziemi i kamieni poleciały na dno, a w wykopie odsłonił się kolejny kawałek dziwacznej boazerii.

– Co to jest, do diabła? – Miłosz podrapał się po głowie.

– Mam dalej zdzierać? – zapytał Sasza, patrząc powątpiewająco na drewniane szczątki. – To tylko stare dechy. Pewnie jakaś buda tu kiedyś stała.

– Weź po bokach spróbuj. – Miłosz skinął głową. – Tylko ostrożnie.

Ramię koparki sięgnęło ponownie do ściany wykopu i zdarło następne warstwy ziemi. Ukazał się większy fragment drewnianej płaszczyzny, a na odsłoniętych deskach pojawiły się rowki i spękania.

– Ja pierdołę! – jęknął Miłosz. – To, kurwa, jakieś zdobienia.

– No i co z tego? – spytał Sasza.

Czego jak czego, ale nadzoru konserwatorskiego nad budowami w Ukrainie Sasza raczej nie doświadczył. Nikt się tam specjalnie nie trząsał nad takimi duperelami jak stare deski czy kamienne gówna. A tutaj dopiero co wzywali nadzór do jakiegoś, kurwa, głazu. Głazu! Morena to była podobno. Narzutowa czy coś tam. Trzeba było wyciągnąć w całości i zwalić na polanę pod lasem.

– Ktoś to będzie musiał zobaczyć. – Miłosz już widział, jak jego szef błędnie na samą myśl o opóźnieniu. A inżynier kontraktu? Przecież chuj ich strzeli od razu.

– Haratać dalej? – Sasza patrzył na kierownika robót, który zeskoczył z gąsienicy koparki i sięgnął po telefon.

– Nie! – warknął Miłosz. – Masz czekać. Wezwę Nowackiego. Zgaś te reflektory! – rzucił do wyłazającego z koparki Ukraińca. – I nie gadaj o tym tutaj. – Skinął głową w kierunku drewnianych artefaktów. – Żeby się nie rozniosło zaraz.

– Się wie. – Sasza przytaknął, zeskoczył na ziemię i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów.

Miłosz wybrał numer swojego szefa i czekając na połączenie, podniósł wzrok na ciemną ścianę. Logistyka tej budowy była wyjątkowo skomplikowana. Generalnym wykonawcą było polsko-niemieckie, z duńskimi korzeniami w dodatku, konsorcjum VoorGemak, a budowę nadzorowała szwedzko-polska firma Nord/Barentz. Trzeba przyznać, że było co nadzorować, bo oprócz głównego wykonawcy na budowie były całe watahy rozmaitych podwykonawców, a między innymi właśnie jego szef, czyli Paweł Nowacki Dark-Bud. Wszystkich generalnie łączył wspólny interes, a więc dążenie do jak najszybszego zakończenia robót, ale w szczegółach to już takie proste nie było. Opóźnienia przekładały się na płatności, na terminy kolejnych zadań, na wzajemne oskarżenia i na szukanie winnego. Z reguły kozłem ofiarnym był projektant, ale nie zawsze udawało się osiągnąć taki szczęśliwy consensus.

Miłosz doskonale zdawał sobie sprawę, że tego typu znalezisko należało zgłosić wojewódzkiemu konserwatorowi zabytków. Zaraz przyjechałaby kontrola, inspektorzy, archeolog. Inwestycja miała ogromny prestiż, ale zbyt wiele trybików ją realizowało, żeby ktoś chciał kłaść głowę pod topór, gdyby wieść o odkryciu rozniosła się zbyt szeroko. Utrzymanie takich rewelacji jak ta tutaj w tajemnicy było zatem w interesie zarówno ich, jak i wszystkich pozostałych. Jeśli Nowacki

postanowi milczeć i olać cholerny artefakt, żeby nie robić kolejnych przestojów, to im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej.

Miłosz doczekał się w końcu, aż szef odebrał połączenie.

– Szefie, mamy problem – rzucił do słuchawki, ciesząc się jednocześnie, że decyzja o tym, co robić, nie należy do niego.

Paweł Nowacki, przypakowany, łysiejący blondyn z dwudniowym zarostem, w czapce z daszkiem przesuniętym zawadiacko na tył głowy, najpierw kazał postawić brezentową przesłonę, którą umieszczano tutaj na noc, żeby ktoś nie wlaźł i nie skręcił sobie karku, a dopiero wtedy wszedł do wnętrza wykopanej jamy.

Gdy ponownie rozbłyły reflektory, zgodnie z przewidywaniami Miłosza Paweł Nowacki zbladł.

– O kurwa! – jęknął i westchnął ciężko. – To będzie ze dwa tygodnie korowodów. Jak w mordę.

– No, tak myślałem. – Miłosz skinął głową.

– Piątek trzynastego – westchnął Nowacki. – Wiedziałem, że coś się stanie, kurwa. No wiedziałem. Oglądałeś to z bliska? –

Spojrzał na Miłosza, który pokręcił głową. – No to na co ty, kurwa, czekałeś? Ja muszę sam wszystko robić?

Miłosz się skrzywił. Jego szef regularnie się wściekał i musiał wtedy na kogoś powrzeszczeć. Taka robota.

Nowacki wyjrzał zza brezentu do głównej hali i rozejrzał się.

– Alan! – wrzasnął do jednego ze swoich pracowników, którzy zajmowali się akurat skręcaniem zbrojenia. – Weź podstaw tu podnośnik!

– Koparka tam stoi. – Młody mężczyzna dźwignął się z kolan.

– Zaraz Sasza ją zabierze. – Nowacki kiwnął na Ukraińca.

– Niech on tu lepiej nie zagląda – szepnął do Miłosza. – Jakoś nie mam do niego zaufania.

– Sasza przecież już to widział. To on to odkopał.

– Nie szkodzi. – Nowacki odsunął brezent. Po chwili mała koparka wycofała się z wykopu, a na jej miejsce wjechał malutki samobieżny podnośnik.

– To chyba strasznie stare – mruknął Nowacki, wpatrując się w ułożone poziomo, jedna obok drugiej szerniałe deski, gdy już znaleźli się cztery metry nad ziemią przy wykopanym artefakcie.

– Tym gorzej. – Miłosz pokiwał głową.

– Ale co to może być? – Nowacki przejechał dłonią po nierównej fakturze. – Popatrz. – Postukał palcem w jedną z desek. – Były malowane. Jakaś chata? Fragment łodzi?

– Ciekawe, ile się jeszcze tego zachowało. – Miłosz sięgnął do tylnej kieszeni po rękawice i po chwili zaczął szarpać zbitą ziemię, usiłując odsłonić pozostałe części dziwnej ściany.

– Tak to gównie zrobisz. – Nowacki odwrócił się i zaczął manipulować przy tablicy sterowniczej wózka. Kosz zjechał na dół, Nowacki złapał za stojącą przy ścianie łopatę i po chwili, gdy znaleźli się ponownie nad ziemią, zaczął odkuwać kawały zbitego gruntu.

Z wolna odsłaniały się kolejne fragmenty, aż nagle łopata o coś zawadziła. Od ściany oderwał się spory kawał ziemi i poleciał z hukiem na dół, a w jego miejscu pokazały się przybite do drewnianej ściany deski.

Nowacki wepchnął pomiędzy nie łopatę i chciał szarpnąć, ale Miłosz złapał za trzonek.

– Może lepiej ostrożnie, żeby to się nie zawaliło? Nie chcemy przecież mieć tutaj niekontrolowanego obsuwu. Jak za tą ścianą

zachowały się jakieś zdemolowane fragmenty konstrukcji tego czegoś, to wszystko się wjebie do wykopu.

Nowacki skinął głową. Odstawił łopatę i dotknął ręką desek.

– To wygląda jak okiennica albo drzwiczki. Myślałem, że da się podważyć.

– A tu jest jakiś otwór. – Miłosz nagle sięgnął po latarkę. Przysunął ją do malutkiej dziurki i pochylił się, usiłując coś dojrzeć.

Od strony głównej hali dochodziły dźwięki warczących maszyn i głosy przekrzykujących się robotników.

– Żeby tylko ktoś tutaj zaraz nie wlaźł. – Nowacki obejrzał się i popatrzył z niepokojem w stronę portalu.

Miłosz nagle drgnął.

– Przecież mamy tutaj kamerkę inspekcyjną! Dawaj na dół! – krzyknął.

Podnośnik znowu zjechał na dół, a chwilę później ponownie podniósł dwóch spiskowców na wysokość kilku metrów. Miłosz, zaaferowany, zaczął delikatnie wsuwać w otwór kabel z malutkim oczkiem na końcu. Nowacki uruchomił na swojej komórce aplikację i wpatrywał się w ekran, na którym zaczęły się przesuwać niewyraźne, gruboziarniste obrazy, co i rusz łapiące ostrość tylko na moment.

Po chwili nagle zniknęły i na ekranie zapanowała ciemność.

– To działa? – Nowacki podniósł wzrok i spojrzał na Miłosza, który kręcił kablem, wsuwając go głębiej pomiędzy deski. – Nie odłączyło się?

– Czemu? Powinno wszystko działać.

– Nic nie widać. Jest całkiem ciemno. Czeka!

Nowacki podniósł nagle smartfon bliżej oczu. Na ekranie ukazał się jakiś cień.

– Ja pierdołę – szepnął wstrząśnięty. – Tam jest przestrzeń.

– Co jest? – Miłosz spojrział na niego zdziwiony.

– Pusta przestrzeń! Za tymi dechami. – Nowacki podniósł wzrok na swojego kierownika robót. – Wiesz, co to, kurwa, oznacza?!

Miłosz oczywiście wiedział.

Kłopoty. Potworne kłopoty.

Pół godziny później siedzieli obaj w baraku na placu budowy i przeglądali dokumentację budowlaną i wyniki badań gruntu.

– Oczywiście, że odwierty niczego nie wykazały. – Miłosz wzruszył ramionami na pomstowanie Nowackiego na geologów.

– Punktowo je robili, a że akurat nie trafili w to gówno, to nie ich wina.

– Ale to przecież wypadło na ścianie klatki schodowej! – warknął Nowacki. – Powinniśmy teraz zażądać dodatkowych badań. Cholera wie, jakie to jest wielkie.

Miłosz sięgnął po przekrój przyszłych schodów i rozłożył go na stole.

– Ściana schodów wypada pół metra od tego drewnianego gówna. Na dobrą sprawę moglibyśmy udawać, że nic tam nie ma. Zostawiamy, jak jest, i wylewamy ścianę.

– A izolacja? Zastrane wykończenie? Poza tym jak dwa, trzy miesiące po zakończeniu robót pojawią się zarysowania albo nie daj Boże przecieki, to będzie na nas. Przecież wielka pustka w ziemi tuż obok naszych robót to zupełnie inna fizyka gruntu.

– No więc co? – Miłosz wzruszył ramionami. – Zgłaszamy to nadzorowi?

– Jak już, to najpierw generalnemu wykonawcy – prychnął Nowacki. – To oni nas zatrudniają. I to cicho, żeby ta gnida Moszennik się nie dowiedział.

– Prędzej czy później i tak się dowie.

– Ale to wtedy już generalny wykonawca będzie z nim gadał.

– Nowacki wzruszył ramionami. – To nie nasza wina, że projektant konstrukcji nie zlecił dodatkowych badań gruntu.

Miłosz pokiwał głową.

Moszennikiem[1] nazywano na budowie niejakiego Moszenickiego, inspektora nadzoru ze strony inwestora zastępczego, wyjątkowego służbistę, który miał dar wpychania się jako pierwszy przed każdą kamerę i każdy mikrofon. Bardzo tym wkurzał generalnego wykonawcę, którego ludzie nie zawsze mieli ochotę na rozmowy z mediami.

– Dobra. – Miłosz z trzaskiem zamknął gruby segregator z dokumentacją budowlaną. – To szkoda czasu, bo już dwie godziny nic nie robimy, a dzisiaj mieliśmy zacząć szalować ścianę szczytową klatki.

– Cały czas mnie nurtuje ta drewniana okiennica – mruknął Nowacki, wpatrując się w fotografię artefaktu. – Coś mi ona przypomina. Może powinniśmy jednak to dokładniej obejrzeć?

– Ryzykując, że się zawali i będzie kilka razy więcej urobku do wywleczenia? – Miłosz spojrzał na niego z powątpiewaniem. – A jak nie poradzimy sobie potem ze stabilizacją gruntu? Jeśli nikogo nie powiadomimy, to będzie wtedy ewidentnie nasza wina.

– Nie trzęś tak portkami. – Nowacki postukał palcem w blat biurka. – Odgarniemy tylko ciut bardziej ziemię z tego drewnianego gówna i zobaczymy, co to jest.

Miłosz westchnął.

– To się źle skończy.

Kilkanaście minut później kosz podnośnika ponownie podjechał do odsłoniętej drewnianej płaszczyzny, z której nieco z boku lekko wystawała nabita jakby na wierzch okiennica z desek.

– Saszy nie ufasz, a temu całemu Alanowi to niby tak? – Miłosz skinął głową w kierunku chłopaka, który, postawiony na czatach przy zasłonie, wpatrywał się z ciekawością w swoich przełożonych, tkwiących w koszu nad ziemią. – Skąd wiesz, czy on nie rozgada?

– Alan u mnie pracuje od początku. Zawsze był w porządku, to co mam nie ufać.

– Teraz już dwóch roboli wie o tym gównie.

– Nie wygadają, bo im zagroziłem, że nie zapłacę dniówki. Poza tym oni dobrze wiedzą, że jak coś takiego się rozniesie, to nam wstrzymają robotę i kasy nie dostaniemy do usranej śmierci.

Kosz zatrzymał się przy dziwacznej drewnianej okiennicy. Nowacki podniósł łom i ostrożnie wsunął go pomiędzy deski a nią.

– Czekaj. – Miłosz go powstrzymał. – Najpierw usuńmy tę ziemię do końca. Zobaczmy, jakie to jest duże. Jak ma dwa metry i nam się spierdoli na łeb?

Nowacki przez chwilę odtwarzał w wyobraźni zasygnalizowaną przez kierownika robót scenę, po czym skinął głową.

Miłosz uderzył kilka razy w zbity grunt obok okiennicy. Posypało się trochę piachu i ziemi i spadł pojedynczy kamień. Miłosz ponownie zamachnął się łomem, gdy nagle rozległ się rumor. Jakby gdzieś obok. I powoli narastał...

– Do tyłu! – krzyknął nagle Nowacki i machając rękami, jakby chciał się nimi zasłonić, rzucił się do tablicy sterowniczej podnośnika.

Kosz szarpnął i odsunął się od ściany.

Huk zatrzęsł koszem, a z samej góry, zza krawędzi wykonanego wcześniej żelbetowego stropu, posypała się nagle góra piachu, ziemi i pojedynczych kamieni. Ziemia przyklepiona do dziwacznej konstrukcji oderwała się na wielkim fragmencie i runęła w dół na dolny poziom budowanych schodów.

– Odjedź! Do tyłu! – wrzeszczał Miłosz do Nowackiego, który wpatrywał się przestraszony w rumowisko. – Kurwa! Odjedź!

– Czekaj! – krzyknął Nowacki, łapiąc Miłosza za rękaw. – Chyba stanęło.

Od strony ściany dochodził cichnący odgłos osypującego się gruzu, a podnośnik i całą ścianę spowijał biały kurz.

– Nic się nie stało. – Nowacki wychylił się z kosza. – Posypało się trochę luźnych kawałków.

Miłosz odetchnął z ulgą.

– Zaraz ktoś przylezie obczajać, co się tutaj dzieje.

– A kopara to co robiła wcześniej? Taki sam hałas. Powiedziałem chłopakom, żeby nikogo nie wpuszczali. Przestań panikować. Ja pierdolę...

Miłosz otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale umilkł, zaniepokojony wyrazem twarzy szefa, który z otwartymi ustami wpatrywał się w ścianę, powoli ukazującą się w miarę opadania kurzu.

Odwrócił się, spojrzął w tym samym kierunku i zamarł.

Drewniana płaszczyzna odsłoniła się prawie na całej powierzchni wykopu, ukazując poziome deskowanie, grube

poprzeczne, wystające z drewnianej ściany listwy oraz tkwiące w niej duże czworoboczne otwory, przesłonięte klapami. Od jednego otworu klapa się oderwała i leżała teraz na posadzce dolnego poziomu.

– Chryste! – Miłosz chwycił się kurczowo poręczy. Dosłownie poczuł, że musi się czegoś złapać, żeby nie upaść. – Wiesz, co to jest?

– Oczywiście – mruknął zachrypniętym głosem Nowacki. – To nie żadna okiennica, tylko pokrywa ambrazury.

– Czego? – Miłosz zamknął na chwilę usta.

– Ambrazura, otwór strzelniczy. Wystawiano przez nie armaty. Kurwa! Przecież to...

– Galeon – dokończył Miłosz z namaszczaniem.

Ze stanu osłupienia, a wręcz stuporu, po relatywnie długiej chwili wyrwał ich głos Alana, o którym obaj zdążyli zapomnieć.

– Kurde, to przecież jakaś świątynia, co nie? Jakiegoś Tryglawa?

Miłosz, oderwany od kontemplowania wstrząsającego widoku, z jednoczesnym myśleniem o nawale problemów, z jakimi on się wiązał, obrzucił robotnika nieprzytomnym wzrokiem.

– Alan! – Nowacki, bardziej opanowany, spojrzał surowo na chłopaka. – Jeśli komuś o tym piśniesz, to słowo daję...

– No komu? Szefie – zaperzył się chłopak. – Komu ja mam o tym rozpowiadać? Co ja głupi jestem?

– Jak nam wstrzymają robotę, to kasę zobaczymy wszyscy dopiero na Wigilię. – Nowacki rzucił porozumiewawcze spojrzenie Miłoszowi. – Więc póki co ani mru-mru.

– I co my mamy teraz z tym zrobić? – Miłosz miał pustkę w głowie. Na uczelni nikt o takich sytuacjach nie wspominał.

Nowacki skinął ręką, pokazując jedno ze stanowisk strzelniczych w burcie galeonu.

– Musimy tam zajrzeć – powiedział i przesunął wajchę.

Kosz powoli podjechał do burty i zatrzymał się przy pozbawionej klapy ambrazurze.

– Przecież to się może wszystko wyjechać – jęknął Miłosz. – To może być tylko rozwalony fragment.

– Od tego, że zajrzemy, nic się nie wyjebie.

Miłosz westchnął. Zaczynał się poważnie martwić. Było nie było, Nowacki to tylko właściciel firmy, a funkcję kierownika budowy formalnie pełnił tutaj on, więc za wszystko, co się stanie, to on będzie odpowiadał. Nie powinien był w ogóle się zgadzać. Przerazała go jednak wizja wstrzymania robót. Poznał już generalnego wykonawcę całkiem nieźle i dobrze wiedział, że dranie mogli im wtedy wstrzymać kasę, jęcząc, że nie mają z czego płacić.

Nowacki zapalił latarkę i z prawdziwym nabożeństwem pochylił się w kierunku otworu w burcie galeonu, dla Miłosza coraz bardziej upiornego.

Miłosz westchnął i ukucnął obok szefa, wpatrując się w ciemność za ościeżnicami ambrazury.

Snop światła wpadł do środka i wyłonił z mroku zszarzałą, zasypaną gruzem drewnianą podłogę wewnętrznego pokładu. Od okienka wiodły w głąb charakterystyczne wgłębienia, które wyglądały jak tory.

– Zobacz. – Podniecony Nowacki machnął latarką. – To szyny, po których przesuwało działło. Gdy okręt nie brał udziału w walce, odciągano je na środek pokładu, żeby odpowiednio

wyważyć kadłub. Jezu! Zobacz, a to jest szandek. – Dotknął poziomej grubej deski wystającej z burty, a we wnętrzu tworzącej półkę nad otworem. – Na nim były montowane wzmacniające słupki, do których mocowano hamaki dla załogi.

– A skąd ty tyle wiesz na ten temat? – zapytał nieufnie Miłosz.

– Przecież ja żegluję, nie pamiętasz? – Nowacki prychnął i pogładził delikatnie rzeźbione opaski wokół okienek strzelniczych. – Ta część burty, w której są ambrazury, nazywa się falszburtą. – Spojrzał lekko nieprzytomnym wzrokiem na Miłosza. – Specjalnie była wykonywana z grubszych desek, żeby wytrzymała napór i uderzenia tych dział. Nic dziwnego, że to przetrwało w tak dobrym stanie.

Nowacki, którego oczy błyszczały z podniecenia, zajrzał głębiej do wnętrza, oświetlając latarką pokład.

W głębi widać było zwały gruzu i ziemi, która dostała się przez zawalone legary górnego pokładu, a wszędzie walały się drewniane fragmenty konstrukcji.

– Ciekawe, że nie ma dział – mruknął do siebie Nowacki. – Chyba że je zasypało, ale...

Miłosz, który wbrew sobie i swoim obawom nie wytrzymał i także wpakował głowę przez otwór, nagle drgnął.

– Zobacz tam! – Szturchnął Nowackiego, który podziwiał drewniane elementy konstrukcji żaglowca.

– Najchętniej bym tam wlaź, żeby wszystko obejrzeć, ale podłoga jest chyba spróchniała... Co jest?

Nowacki spojrzął za wyciągniętym palcem Miłosza i wycelował tam światło latarki.

W głębi pokładu stały wielkie kosze z pokrywami, a obok nich widać było kilka drewnianych kufków. Część była otwarta

i przewrócona, ale trzy wydawały się nienaruszone. Stały tam zamknięte na wielkie, stalowe, zardzewiałe sztaby.

Nowacki chodził po wnętrzu baraku jak zaszczute zwierzę. W tę i we w tę. Od drzwi do stołu, na którym leżała góra papierów, i od stołu do drzwi.

– Co ty najlepszego wyprawiasz? – nie wytrzymał w końcu Miłosz, śledzący poczynania szefa z rosnącą irytacją. Pół godziny wcześniej ostatni robotnicy Dark-Budu załadowali się do busa, a na budowie zostali tylko on i Nowacki.

Nie licząc innych podwykonawców oczywiście, którzy jeszcze gdzieś w dalszym ciągu pętali się po całym, ogromnym terenie budowy, ale klatki schodowe, które realizował Nowacki, były ogrodzone i zabezpieczone, żeby nikt nie mógł tam wejść.

– Co ja mam wpisać do dziennika budowy? Zwolniliśmy ludzi do domu, bo co? – Miłosz czuł, że pomimo tego kosmosu na ich odcinku robót rzeczywistość i obowiązki coraz bardziej dopominają się, żeby podjąć jakieś decyzje.

– Jest osiemnasta – powiedział pod nosem Nowacki, jakby ustalał plan działań. – Na budowie nie ma już ani Moszenickiego, ani inspektorów. Jutro im zameldujemy, że pojawił się problem, i pokażemy galeon.

– W poniedziałek – poprawił Miłosz. – Jutro jest sobota. W ten weekend nie pracujemy.

– Racja. – Nowacki spojrzął na zegarek. – To tym lepiej. Wszyscy się śpieszą do domów. Musimy poczekać tak z godzinę, półtorej, żeby tu już nikogo nie było...

– Półtorej godziny?! – Miłosz nie wierzył własnym uszom. Myślał, że najpóźniej o osiemnastej będzie w domu. – Co to jest niby? Nadgodziny?

– Chłopie – jęknął Nowacki. – Nie chcesz zobaczyć, co jest w tej ładowni? Tak ci śpieszno do jakiegoś gównianego serialu na Netflixie?

– Ty naprawdę chcesz tam wleźć?

– Musimy zajrzeć do tych kufrów...

– Odjechało ci chyba! – zirytował się Miłosz. – Sam mówiłeś, że podłoga jest spróchniała. To wszystko może się po prostu rozpiardolić. Wiesz, czym to grozi?! Zdestabilizuje się grunt nad tym gównem. Przez miesiące z tego nie wybrniemy. Już w ogóle nie mówię o tym, że możemy tam nawet zginąć.

– Posłuchaj! – Nowacki usiadł naprzeciwko Miłosza i wbił w niego wzrok. – Wiesz, co tam może być? Jeśli to jest jakiś szwedzki okręt z czasów wojny trzydziestoletniej albo północnej, to tam mogą być prawdziwe skarby! Szwedzi ogołocili Szczecin tak jak Polskę podczas Potopu. Możemy się ustawić na całe życie.

Miłosz prychnął.

– Jeśli nawet są tam jakieś złote fanty albo monety, to przecież to jest niesprzedawalne. – Postukał się palcem w czoło, patrząc na swojego szefa jak na niebezpiecznego wariata. – Od razu nas nakryją, przy pierwszej próbie sprzedaży.

– Gówno tam wiesz. – Nowacki uśmiechnął się pobłaźliwie. – Wszystko można sprzedać. Trzeba tylko wiedzieć komu.

– A ty wiesz? – prychnął ponownie Miłosz i w tym momencie do niego dotarło, że Nowacki nie po raz pierwszy robił głębokie wykopy, a bywało, że i w miejscach starych fos grzebali. Może po prostu na niego nigdy nie padło. Nowacki miał przecież jeszcze jednego kierownika robót, cholera wie, co z nim razem zachachmęcili.

Po dziewiętnastej na placu budowy zrobiło się cicho. Większość ekip dawno już się zwinęła i pojechała do domów. Słońce zaszło za pobliskim lasem i nad ogromnym, przypominającym księżycowy krajobraz terenem budowy powoli zapadał zmrok.

Dłużej niż do dziewiętnastej piętnaście obaj już nie wytrzymali. Miłosz wykorzystał wprawdzie czas na uzupełnienie zaległych wpisów do dziennika budowy i sporządzenie kilku notatek służbowych, które w poniedziałek miał dołączyć do maili, ale i tak czas dłużył mu się straszliwie. Nowacki tymczasem siedział przed laptopem i zdawał się całkowicie pogrążony w serfowaniu po internecie.

Miłosz oczywiście doskonale wiedział, czego jego szef tam szukał. Był zły na siebie, że dał się jednak przekonać, ale ciekawość zwyciężyła. Ciekawość pokonała zdrowy rozsądek i coraz poważniejsze obawy o to, jakie będą konsekwencje. Wystarczyło bowiem, żeby ten okręt wraz z masą piachu zwałił się do świeżo zrobionego wykopu. Stabilizacja gruntu, wywożenie gruzu... Dodatkowe koszty i dodatkowy czas. A kto wie, czy nie konsekwencje prawne za niepowiadomienie o wszystkim nadzoru, jak tylko to odkryli. Przygotowali oczywiście linię obrony, że w piątek późnym popołudniem odsłonili tylko fragmenty desek, a całą resztę odkryją formalnie w poniedziałek rano. I wtedy zrobią raban. Na szczęście nikt poza ich dwoma chłopakami tego nie widział. Robotnicy nie brali udziału w zebraniach i radach budowy, więc nie było także obaw, że któremuś coś się przypadkiem wymsknie.

Żeby tylko teraz nic się nie stało, powtarzał sobie w myślach, idąc z zapaloną latarką za Nowackim.

Nowacki zdecydował, że pójdą korytarzem technicznym. Wejście do niego było nieoświetlone i poza polem kamer.

Rzadko kto przemieszczał się tędy nawet za dnia, a co dopiero o tej porze, gdy nikogo nie było już na budowie.

Latarki wydobywały z mroku kolejne partie wąskiego tunelu, w którym ze ścian sterczały kable elektryczne i przewody wentylacyjne. Miłosz pomyślał, że wszystko to zaczyna wyglądać jak jakiś tani dreszczowiec, taki klasy B, jakie można oglądać na zapomnianych kanałach o trzycyfrowej numeracji na pilocie.

W końcu na posadzce ukazała się rozproszona plama światła, które wpadało tutaj z głównego poziomu. Pozostawiono tam na noc włączone światła ewakuacyjne; takie były wymogi BHP.

Podnośnik stał tak, jak go zostawili, pod samym otworem w burcie.

Wdrapali się na górę i po chwili stali już we wnętrzu upiornego statku, wpatrując się niepewnie w nierówny, zniszczony drewniany pokład.

– Co my najlepszego robimy? – jęknął Miłosz.

– Zawodisz jak stara baba! – warknął Nowacki. – Nic się nie stanie. Zabezpieczyliśmy znalezisko, kazałem nakleić nawet taśmy ostrzegawcze, żeby ktoś się nie wypierdolił. Nikt nam niczego nie zarzuci.

– Chyba że nakryją nas na kradzieży.

– Kurwa! Daj już spokój! – Nowacki ostrożnie postawił nogę na deskach i zrobił krok w głąb pokładu. – Trzyma się – rzucił przez ramię do stojącego z tyłu Miłosza.

Miłosz prychnął. Jeden krok. A kosze i kufry znajdowały się pod ścianą tej ładowni, czy czym tam kiedyś była dziura, do której wleźli. Jakieś dziesięć metrów od nich.

Nowacki powoli przemieszczał się w tamtym kierunku. Co chwila przystawał i świecił latarką pod nogi.

Miłosz spojrział na podłogę. Na deskach co raz widać było główki grubych gwoździ. Pomyślał, że prawdopodobnie deski były tam mocowane do konstrukcji. Z namysłem postawił stopę w tym miejscu i cały spięty czekał na reakcję starego drewna desek. Gdy nic się nie stało, zrobił kolejny krok za Nowackim.

– Te deski są zamarzniete, legary także – szepnął Nowacki, gdy obaj byli w połowie drogi do pozostawionych pod ścianą kufców. – Dlatego nie skrzypią i lepiej się trzymają.

– Nie mów hop – mruknął Miłosz, przestępując na kolejny legar.

Z duszą na ramieniu, ale w dalszym ciągu cały, stanął w końcu nad drewnianym kufrem.

Nowacki nie wytrzymał i szarpnął za jeden z koszy. Wiklinowa pokrywa spadła ze stukiem na ziemię, ukazując puste wnętrze.

– I to tyle – mruknął Miłosz. Pochylił się i chwycił wieko kufra. Pokrywa zaskrzypiała, ale nawet nie drgnęła.

– Zamknięty? – spytał z przejęciem Nowacki i ukucnął obok skrzyni. – Dobrze, że zabrałem łom – sapnął z zadowoleniem.

Wsadził narzędzie pomiędzy kufer a wieko i szarpnął. Bez rezultatu. Pokrywa trzymała się jak przymurowana.

– I co teraz? – spytał Miłosz. – Będziemy tutaj palnik targać?

Nowacki pochylił się i złapał za metalowe koło zamocowane z boku skrzyni.

– Zabierzemy go stąd. Potem otworzymy – powiedział i szarpnął.

Kufer zgrzytnął i przesunął się po deskach.

Prawdę mówiąc, nie znosił tej roboty. Tej konkretnie, nie swojego zawodu. Fakt, że został protegowany na to miejsce

przez pewnych znajomych, nie zmniejszał w żaden sposób odpowiedzialności i przede wszystkim nie ułatwiał tutaj stosunków. Zresztą logistycznie ta inwestycja to była jedna wielka masakra. Główny wykonawca, jakiś milion podwykonawców, firma zajmująca się nadzorem nad całością oraz inna firma zajmująca się nadzorem nad całością i firmą zajmującą się nadzorem. Ten układ powodował, że dyskusje na radach budowy zamieniały się albo w dyplomatyczne bredzenie w nieskończoność, albo w karczemne awantury, gdy podwykonawcy, którzy mieli zakontraktowane przecież inne roboty, w wyniku czyjś opóźnienia musieli przesuwać swoje terminy.

A inspektorzy tacy jak on zajmowali się wyłącznie szukaniem winnych. Nie żeby tego nie lubił, zazwyczaj tak, ale tutaj musiał się tłumaczyć przed inwestorem, przełożonymi i co było najgorsze, przed swoimi protektorami. A dla nich najważniejszy był termin.

Nic nie było tak ważne jak termin zakończenia robót. Pewnie gdyby połowa robotników miała zginąć, to uznaliby to za akceptowalny kompromis.

Zagrzebał się dzisiaj tak bardzo w papierach przed weekendem, że nawet nie zauważył, jak zrobiło się późno. Z baraku szefostwa na parking miał spory kawał drogi, a przy okazji musiał przejść także przez cały teren budowy.

Poprawił szelki, wyminął wielką kałużę na posadzce, notując w pamięci, żeby w poniedziałek ochrzanić kogoś za brak nadzoru i za zalewanie stropów.

Przymocowane do ścian w równych odstępach lampki ewakuacyjne prowadziły w kierunku wyjść ewakuacyjnych. Właśnie!

Zauważył, że przy tej budowanej klatce schodowej coś się dzisiaj działo. Zasłonili wszystko i nawet taśmą zabezpieczyli. Jak się ten koleś nazywał? Dark-Bud... Nowacki! Swoją drogą, co za nazwa. Co temu Nowackiemu do łba strzeliło? Z zasłanianiem znaczy, nie nazwą swojej gównianej firmy. Uśmiechnął się do siebie. Przypomniwał sobie, że jego też czasem pytali, kto wymyślił mu takie głupie imię – Bartłomiej.

W poniedziałek zażąda szczegółowych wyjaśnień.

Ominął pozostawioną na środku małą koparkę i zatrzymał się. Pomyślał, że to niezły zbieg okoliczności. Dopiero co przypomniwał sobie o tej klatce i akurat właśnie się przy niej znalazł.

W dodatku nie sam, jak się okazało.

Kufer, zgrzytając stalowymi ćwiekami, przesunął się o kolejny metr, a Miłosz zamknął oczy. Do upragnionego otworu w burcie galeonu została jeszcze jedna trzecia drogi. Deski co prawda nie skrzypiały, ale za to groźnie uginały się pod ciężarem skrzyni.

Nowacki złapał za uchwyt i pociągnął.

– Jeszcze tylko kilka metrów – stęknął.

– I będziemy musieli go wywlec przez ten otwór – dokończył Miłosz z rezygnacją. Popchnął powoli przesuwającą się skrzynię i nagle poczuł, że pod jego nogami deska jakby zmiękła.

Oblał go lodowato zimny pot.

Nowacki przeciągnął kufer o kolejny metr i w tym samym momencie pod zmartwiałym ze strachu Miłoszem zarwała się podłoga.

Młody chłopak stał przy brezentowej zasłonie i zaglądał przez szparę do wnętrza wykopu, w którym docelowo miała się

znajdować klatka schodowa, a który tymczasowo przypominał portal prowadzący do innego świata.

Drgnął i odwrócił się przestraszony, gdy usłyszał za sobą kroki.

– A, to pan – odetchnął, widząc inspektora. – Myślałem, że o tej godzinie nikogo tu już poza nami nie ma.

– Poza nami? A ty co tu robisz o tej porze? – Bartłomiej obrzucił chłopaka podejrzliwym spojrzeniem.

– Mamy opóźnienie przy betonowaniu wjazdów. Właśnie skończyliśmy.

– Wjazdów? – Bartłomiej spojrzał surowo na chłopaka. – To po co się pętasz tak daleko? Wyjście z budowy jest w przeciwnym kierunku.

Przez chwilę przyglądał się cywilnym ciuchom robotnika, który miał na sobie dżinsy i lekką bluzę z kapturem, a przez ramię przewieszony plecak Adidasa.

– Słyszałem jakąś maszynę – odpowiedział chłopak niechętnie i wzruszył ramionami. – Poszedłem sprawdzić, czy czegoś ktoś nie zostawił. Co się pan czepia? – dodał ze złością, widząc podejrzliwe spojrzenia inspektora. – Gawron się nazywam. Wojtek. Może pan sprawdzić.

Bartłomiej pokiwał głową. Zapamięta.

Podszedł do zasłoniętego wlotu wykopu i przez malutką szparę zajrzał do wnętrza. Odruchowo sięgnął do szelek i szarpnął nerwowo za jeden z pasków. Przyzwyczajenie. Ale i tak nie było nic widać.

– Wiesz, co się tutaj dzieje? – zapytał.

Młody robotnik wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że to stąd coś słyszałem, jakiś hałas. Ale chyba to echo albo mi się wydawało, bo tam ciemno.

Bartłomiej przez chwilę usiłował dojrzeć coś w półmroku za brezentem, po czym dał sobie spokój i skinął głową w kierunku wyjścia z budowy.

– To idziemy! – huknął do chłopaka. – Lepiej nie pętaj się nocą po terenie. Tu są kamery przemysłowe, wiesz o tym? – Spojrzał na chłopaka, unosząc brwi.

– A co mnie one obchodzą? – Wojtek Gawron z obrażoną miną wzruszył ramionami. – Co ja kraść chcę?

Bartłomiej zanotował w pamięci, żeby sprawdzić, czy ostatecznie nie zginęło coś na budowie, i ruszył w ślad za oddalającym się chłopakiem.

Deska złamała się w połowie. Miłosz poczuł, jak jego noga wpada w dziurę, i stracił równowagę, zwalając się na pokład. Przerażony złapał się kurczowo za trzymadło kufra.

– Co ty robisz? – Przestraszony Nowacki odwrócił się gwałtownie, strzelając światłem prosto w klęczącego na podłodze Miłosza.

– Mówiłem, że te deski są spróchniałe. Nie świeć mi w oczy, durniu!

Miłosz powoli oparł dłoń na podłodze i wyciągnął nogę z dziury. Stał na legarze i odetchnął. Cholera wie, jak głęboko by poleciał, gdyby złamało się więcej desek.

– Już niewiele zostało. – Nowacki szarpnął za skrzynię, a upragniony otwór w burcie przybliżył się o kolejny metr.

Chwilę później dowlekli kufer pod samą ścianę, a Miłoszowi z ulgi zrobiło się wręcz słabo. Dopóki nie uprzytomnił sobie, że muszą teraz przewlec kufer przez otwór na podnośnik, a ta

cholerna skrzynia ważyła chyba z tonę. Swoją drogą, jakie pieprzone złote gówno może aż tyle ważyć?

Bartłomiej przystanął i syknął do idącego przodem robotnika.

– Słyszałeś? – spytał.

Chłopak zmarszczył brwi i spojrzał w tył.

– Jakiś hałas. – Bartłomiej nadstawił ucha, patrząc w głąb tunelu, skąd dopiero przyszli. – Głowę bym dał, że jednak jakaś maszyna tam rzeczywiście chodzi.

– A nie mówiłem? Może to kompresor albo coś w tym stylu. Włącza się samo co chwila.

– Jaki, kurwa, kompresor? – prychnął inspektor. – Kto by zostawił włączony kompresor?

– No właśnie o to się martwiłem, że ktoś zapomniał wyłączyć.

Bartłomiej przez chwilę spoglądał w głąb korytarza, po czym poprawił szelki i spojrzał na robotnika.

– Może masz rację – burknął. – To trzeba sprawdzić. Idziemy!

Chłopak wzniosł oczy do nieba i ruszył w ślad za inspektorem.

Podnośnik zjechał na sam dół.

– Musieliśmy uszkodzić tę brązurę nawi...

– Ambrazurę, durniu – warknął Nowacki, taszcząc skrzynię w kierunku wlotu do korytarza technicznego. – I co to kogo obchodzi? Ten galeon raczej nigdzie już nie popłynie.

– Alan i Sasza widzieli – wykrztusił Miłosz, stękając pod ciężarem kufra. – Żeby sobie czegoś nie skojarzyli. Kamera na pewno nas nie złapie przy wyjściu?

– Nie złapie, sprawdziłem, jak siedziałeś nad papierami. Przejrzałem sobie widoki z wszystkich kamer.

– Masz do tego dostęp?

– Jasne – prychnął Nowacki. – Ale tylko do podglądu. Nic bym tam nie mógł zrobić.

– Jeszcze tylko tego brakowało, żebyśmy grzebali w zapisach z kamer.

– Ciii – syknął nagle Nowacki.

– Co znowu, kurwa?!

– Zamknij się! – Nowacki wyłączył latarkę i stanął. – Czeka!

Miłosz postawił swoją stronę kufra na posadzce i także zgasił latarkę.

Korytarz utonął w ciemności. Przez chwilę panowała cisza, a po chwili od strony wlotu dotarły do nich przyciszone głosy.

– Ktoś tam jest? – szepnął Miłosz.

– Ciii! – psyknął Nowacki.

Głosy umilkły, przez chwilę panowała cisza, po czym dobiegł ich dźwięk jakiegoś uruchamianego urządzenia.

– To podnośnik! – Miłosz poczuł, że ogarnia go przerażenie. Widział już oczami wyobraźni, jak ich nakrywają tutaj z tym pierdolonym szwedzkim kufrem.

– Jakiś drań przelazł przez taśmę! – Nowacki zacisnął pięści.
– Zaraz wlezie do środka galeonu! Ukradnie drugi kufer!

– Mało ci tego jednego?! – odszczeknął Miłosz.

– Jak go nakryją, to zrobi się taki burdel, że z tego nie wybrniemy! – Nowacki włączył latarkę. Snop światła wykroił wąski fragment betonowego kanału.

– Albo jak mu się coś stanie! – Miłosz przypomniał sobie fragment zarwanej podłogi.

– Idziemy! – Nowacki machnął wściekle latarką, a światło zatańczyło na ścianach korytarza.

Miłosz, ciężko dysząc, ruszył w ślad za swoim szefem.

Może pół godziny później kamera przemysłowa nad głównym wejściem na teren budowy uchwyciła mężczyznę, który wyszedł na zewnątrz i pochylony, szybkim krokiem podążył w kierunku jednego z biurowych kontenerów.

Rozdział 3

Obecnie

Na biurku i na klawiaturze, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, położyła się nagle radosna, słoneczna plama światła.

Piotr oderwał wzrok od monitora i spojrzał w okno.

Wbrew pozorom pogoda tego dnia była raczej kiepska. Co chwila zacinał deszcz, a ciemne chmury wisiały nad miastem jak ten kat nad dobrą duszą, jak mawiała często jego babcia. Do tego wszystkiego wiał jednak silny wiatr i to on właśnie co jakiś czas rozpędzał zbite stada brudnych stratusów, a przez malutkie szczeliny na moment wpadało słońce.

Ciemna woda toczącej się niemrawo Odry zajaśniała złotymi błyskami, a dachy budynków na przeciwległym brzegu i elewacje kamienic tak zwanego Starego Miasta odzyskały kolory.

Piotr przymknął oczy i wyobraził sobie, że jest czerwiec i za chwilę będzie mógł pójść na bulwar i kupić sobie kawę, którą wypije, siedząc nad samym brzegiem rzeki.

Gwałtowny podmuch wiatru cisnął w okno kroplami deszczu, odrywając Piotra od wizji lata i przypominając o czekającym na dokończenie artykule, którego rozgrzebane fragmenty z wklejonymi roboczo cytatami z różnych mądrych źródeł jeżyły się napominająco z monitora.

Piotr westchnął i zawiesił palce nad klawiaturą.

Kilka dni temu Paweł, redaktor naczelny „Dziennika Szczecińskiego”, kazał mu napisać spory tekst na temat pogody. Prychnął pod nosem, przypominając sobie słowa naczelnego. „Coś o trąbach powietrznych, huraganach i takich tam. Weź coś wymyśl, żeby było ciekawie. Żeby trochę postraszyć, jak to wy potraficie, coś o tym waszym ociepleniu klimatu czy innym gównie...”

Temat w umyśle jego szefa pojawił się oczywiście nie bez powodu. Wiatr wiał od dobrych kilku dni, a tydzień temu na smartfonach w Szczecinie i okolicach wyświetliły się ostrzeżenia przed burzami. A to z kolei oczywiście spowodowało, że w rozmowach w kuchni wszystkim nagle przypomniały się ulewy, które raz czy dwa zatopiły podziemne parkingi szczecińskiej patodeweloperki, oraz huragan sprzed kilku lat, który położył pokotem hektary sosnowych lasów w Borach Tucholskich.

Pisanie o burzach i tajfunach o tej porze roku sensu nie miało oczywiście żadnego, ale dla Pawła nie miało to także żadnego znaczenia. Wiał wiatr, pojawiły się alerty RCB, więc trzeba było coś napisać. Piotr, który zdradził się podczas rozmów w redakcji, że o zmianach klimatu sporo czytał, natychmiast został oczywiście przydzielony do takich tematów, a Paweł, za jego plecami, zaczął złośliwie nazywać go Gretą[2].

Piotr spojrzał z niechęcią w kierunku, oddzielonego szklaną ścianą, aneksu naczelnego. Pawła trudno było zaklasyfikować. Wymykał się łatwym ocenom. Z pozoru był tak zwanym tradycjonalistą, generalnie miał prawicowe poglądy, a jego żarty czy komentarze często ocierały się o antyfeminizm czy niekiedy wręcz o mizoginizm. Określenie czegoś „lewackim” było chyba jego ulubionym zwrotem, zabawnym według niego, podobnie jak nieszkodliwe żarty na temat terroru LGBT czy

schylania się po mydło w męskich szatniach. Z drugiej strony jednak w tych żartach pobrzmiewał także ton naigrawania się z prawicowych radykałów, którzy tego typu określeń używali całkiem serio.

Piotr westchnął i podrapał się w głowę. Na ekranie wciąż czekał na niego rozgrzebany artykuł. Pomijając kpiny Pawła na temat zmian klimatu, podstawowy problem polegał na tym, że sugerowany przez niego katastroficzny wydzźwięk był nie w porę. Burze, tajfuny, ulewy i podtopienia miały miejsce w lecie, w czerwcu czy lipcu. Nie zdarzały się pod koniec października. Teraz oczywiście były inne atrakcje, na przykład sztormy na Bałtyku, ale trudno je było wpisać w oczekiwane przez Pawła kasandryczne przesłanie i związane z nim zasięgi i komentarze na szczecińskich forach.

Piotr spojrział ponownie w okno. Silny wiatr, który wiał od kilku dni, związany był ze zmianami ciśnienia i skokami temperatury i nigdy nie osiągnie rozmiarów tajfunu. Sztormy owszem, najczęściej na Bałtyku powstawały właśnie w okresie zimowym, od listopada do lutego, ale ich wpływ na Szczecin był żaden, więc nie dało się z tego ukreślić żadnego sensacyjnego artykułu. Chyba że...

Piotr zmarszczył brwi. Te wszystkie informacje, które częściowo miał od dawna, a częściowo właśnie sobie przyswoił z rozmaitych meteorologicznych stron, trzeba było jeszcze jakoś uprościć i podać w formie akceptowalnej dla znudzonego czytelnika, ale co by było, gdyby nagle pojawił się mróz? Nad Pomorze musiałyby nadciągnąć jakieś ruskie, zimne masy powietrza. Zdaje się, że nawet o tym już uprzedzali...

Piotr na moment zamarł, wpatrując się w ekran. No oczywiście! Zgrabne wtrącenie wschodniego kierunku napływu mas powietrza wywoła automatycznie skojarzenia z Rosją,

Ukrainą i tym samym zainteresowanie różnych żartownisiów i trollów. Już widział te debilne komentarze ciągnące się i przeistaczające w gównoburzę dla odmiany. Nikogo temat merytorycznie nie zainteresuje, ale jak tylko to się dobrze podkreśli, to zasięgi będą spore. Nawet sam może wrzucić parę wkurwiających komentarzy z któregoś ze swoich fejkowych kont. No i ten mróz...

Z budzącej się właśnie do życia weny twórczej wybił go nagle dźwięk przychodzącej wiadomości.

Piotr spojrział niechętnie na telefon i z rezygnacją po niego sięgnął. Na wyświetlaczu widniało czyjeś malutkie zdjęcie. Przez chwilę przyglądał się podejrzliwie ikonke Messengera, po czym w końcu zaciekawiony w nią kliknął.

Borysa Ignatiuka znał, jak wszyscy w mieście, z różnych ekologiczno-społecznych awantur i happeningów. Kilka razy jednak spotkali się w innych okolicznościach i zaczęli kolegować. Ignatiuk, niekiedy dla znajomych po prostu Ignac, był tak zwanym miejskim aktywistą, pełno go było w rozmaitych mediach, ale także na protestach przeciwko wycinaniu drzew, wyburzaniu budynków czy w sprawie kwestionowania innych, błędnych jego zdaniem decyzji władz miasta. Swoją skuteczność zawdzięczał temu, że był prawnikiem i potrafił za pomocą skomplikowanych prawno-urzędowych zabiegów osiągnąć więcej niż inni samym krzykiem i uliczną kontestatorką.

„Potrzebuję dziennikarza” – przeczytał. Zaraz po tej deklaracji był uśmieszek z wywalonym językiem. Cały Borys.

„Chyba znalazłeś” – odpisał Piotr i po chwili namysłu dodał emotkę fioletowego diabełka.

Prawie od razu jego telefon zadzwonił.

– Siema. – Borys wychodził chyba właśnie z jakiegoś pomieszczenia albo do niego wchodził, bo Piotr wyraźnie usłyszał, jak w tle trzasnęły drzwi. – Mam pewną sprawę. Czekał, nie mogę o tym gadać przy ludziach... – W tle trzasnęły następne drzwi. – Potrzebuję twojej pomocy. W sensie, żeby ktoś zajmujący się takimi sprawami o tym napisał.

– A na tej twojej stronie to nie wystarczy?

Borys miał na Facebooku autorską stronę Nowe Miasto, na której komentował na bieżąco rozmaite miejskie sprawy.

– No właśnie nie. Ta sprawa to trochę chyba za duży kaliber dla mnie. Poza tym ja się nie zajmuję dziennikarstwem śledczym, tylko aktywizmem miejskim.

– To mów, o co chodzi.

– Bo wiesz, ty współpracujesz z tą całą Weber...

Piotr prychnął w duchu. A więc tu jest pies pogrzebany. Borys chciał przez niego dostać się do Pauliny.

– Dlaczego od razu sam się do niej nie zwrócisz? – zapytał urażony.

– Ej, a co to za foch? Nie obrażaj się, młotku. Do ciebie dzwonię, ale jeżeli sprawa będzie rozwojowa, to przecież lepiej, żeby ona to potem pociągnęła. Poza tym ja jej nie znam.

Piotr przez chwilę analizował to, co usłyszał. Pomyślał, że jeśli, znając target ataków Borysa, miałyby to być awantura z udziałem urzędu miasta albo w ogóle urzędników, to powinien to chyba omówić najpierw z Pawłem.

– Powiedz w końcu, o co chodzi.

– Pewien typ, rzekomo urzędas z wydziału zamówień publicznych – Borys na samym wstępie potwierdził jego wątpliwości – przysłał mi pewne dokumenty i zaproponował

spotkanie. Powiedział, że to dotyczy wielkiego przeważu i że chce po cichu to ujawnić.

Piotrowi przemknęło przez myśl, że to już na pewno wymaga konsultacji z naczelnym. Albo rzeczywiście może lepiej będzie obgadać to najpierw z Pauliną.

Paulina Weber była jego szefową, prowadzącą, zanim nie dostał stałego angażu, a Paweł nie nabrał do niego zaufania. Nadal wiele rzeczy robili razem, tyle tylko, że Paulina po aferze z psychopatą podkładającym ładunki wybuchowe w Szczecinie, a zwłaszcza po długim wywiadzie z duńskim księciem, który ukazał się w „Vouge’u”, a zaraz potem przedrukowały go wszystkie większe magazyny w Europie, stała się gwiazdą. Książę nie udzielał wywiadów prasie i do tej pory było tajemnicą, dlaczego akurat dla niej zrobił wyjątek. Ta sama afery i Piotrowi przyniosła wprawdzie profity, między innymi stała pracę w dzienniku, a także okazjonalnie, za zgodą Pawła, występy w popularnym portalu miejskim Szczecin & LeftSide, ale to Paulina pokazała się na zdjęciu z tym pięknym jak królówicz Disneya duńskim księciem.

Piotr westchnął.

– Pójdiesz ze mną, nie? – Dotarło do niego, że Borys po raz drugi go o coś zapytał.

– Na spotkanie z tym gościem?

– A gdzie? – zirytował się Borys. – A o czym my rozmawiamy? Ty w ogóle mnie słuchasz?

– Nie lepiej, żeby on zdradził najpierw coś więcej? A jak to jakaś podpucha?

– Nie chciał. Też go dopytywałem, ale powiedział, że to nie jest rozmowa na telefon. Wysłał mi tylko mocno niewyraźne

zdjęcie i strony z jakiejś dokumentacji czy czegoś tam, nie wiem, co to jest.

– Kiedy?

– Co? Aa... Dzisiaj wieczorem.

– Dzisiaj? – Piotr oderwał telefon od ucha i zaczął nerwowo przesuwać palcem po ekranie, sprawdzając kalendarz. Czy dentystę miał umówionego na dzisiaj czy jutro?

– Halo! Jesteś tam? – zapytał Borys.

– Jestem. Gdzie mam być? Gdzie chce się spotkać? – Piotrowi nagle intuicja zaczęła podpowiadać, że pakuje się w kłopoty.

– Na Gumieńcach. On mieszka gdzieś niedaleko Stera. Na Spiskiej czy Lubelskiej.

– To nie wiesz? – Piotr otworzył Google Earth i zaczął wodzić kursorem po mapie Gumieniec. – To jak tam chcesz trafić?

– Ma mi wysłać adres, jak potwierdzę, że chcę się z nim spotkać.

– To wszystko zaczyna wyglądać coraz bardziej podejrzanie.

– To jedziesz ze mną czy nie? – westchnął ze zniecierpliwieniem Borys. – Bo muszę mu odpisać.

– Dobra. – Piotr podjął decyzję i podniósł wzrok do nieba. – Napisz potem, kiedy i gdzie się spotkamy.

Odkładając telefon na biurko, przypomniał sobie, że w swojej krótkiej karierze dziennikarza śledczego przedsięwziął już raz wyprawę do podejrzanego ustronnego miejsca za miastem, która skończyła się tym, że wrzucono go do bagażnika i wywieziono w nieznanym kierunku. Rachunek prawdopodobieństwa teoretycznie wykluczał, żeby stało się to po raz drugi.

Wąska szutrowa droga biegła wzdłuż pojedynczych budynków, krzyżowała się z niewielkim, półdzikim rozstajem prowadzącym w głąb osiedla mieszkalnego i wpadała w końcu pomiędzy szpaler wysokich topól, za którymi po jednej stronie ciągnęły się w oddali rzadkie zabudowania domów, a po drugiej rósł niewielki, gęsty, zapuszczony lasek.

Na poboczu drogi stało kilka samochodów osobowych oraz jedna bagażówka, z której ubrani w odblaskowe kamizelki robotnicy ściągali właśnie stalowe panele ogrodzeniowe.

– A co panowie tutaj robią? – zapytała robotników przechodząca dróżką kobieta. Obok jej nogi dreptał mały biały kundelek.

– A to nie widać? – roześmiał się jeden z mężczyzn. – Płot będziemy stawiać. Budowa przecież będzie.

Kobieta obrzuciła pełnym niepokoju spojrzeniem szpaler wbitych już w ziemię słupków i nie zaszczyciwszy robotników żadną odpowiedzią, ruszyła energicznie w kierunku osiedla.

– A to się jeszcze okaże – mruknęła pod nosem, ciągnąc za smycz pieska, który zaczął nagle energicznie ujadać na robotników.

Mikołaj Lameński, szczupły brunet z przydługą, frymuśnie przyciętą brodą, wpatrywał się z niepokojem zabarwionym irytacją w siedzącego w fotelu naprzeciwko prezydenta.

– To ty nas wepchnąłeś na tę minę. – Prezydent spojrzał oskarżycielsko na swojego gościa. – Miało nie być żadnych awantur. Podobno wszyscy na Pogodnie czekali na żłobek i mieli być nam dozgonnie wdzięczni, a teraz co?! Ciągłe awantury i protesty.

– Protestuje grupa dyżurnych, zawodowych kontestatorów.
– Mikołaj pokręcił głową ze zniechęceniem. – Ciągłe ci sami.

Wszędzie w Szczecinie to są ciągle ci sami atencjusze, którzy zdobywają w ten sposób fejm na forach.

– Ale nam spada poparcie! – warknął prezydent. – Nie mówiąc już o budowlańcach, którzy zaczynają nas straszyć sądem.

– Nie pójda do żadnego sądu – prychnął pogardliwie Lameński. – Wykonawca doskonale wie, że mamy wspólny interes. Prędzej czy później rozejdzie się po kościach. Musimy tylko po prostu bronić się przed kampanią oszczerstw. Najlepiej takimi samymi metodami.

– Już teraz ludzie są przeciwko nam, a ty chcesz ich jeszcze podburzać?

– Nie chodzi o podburzanie, tylko wykorzystanie pewnych narzędzi psychologii mediów.

– I to niby miałyby nam pomóc? – Prezydent patrzył na swojego doradcę z powątpiewaniem.

– Tak sędę. – Brunet pokiwał głową. – Na zasadzie tezy i antytezy. Z ich strony dziesiątki często niepotwierdzonych zarzutów, przeważnie wyrwanych z kontekstu, bez sprawdzania faktów, a z naszej na przykład konkretne zdjęcia i krótkie wzmianki. Większość ludzi to wzrokowcy, ładne zdjęcia momentalnie ich nam zjedną. Możemy wykorzystać do tego któryś z naszych profili. Mają już sporo polubień i setki wejść dziennie.

– No ba – prychnął prezydent. – Trochę nas to kosztuje.

– Ale wizerunkowo się opłaca. A w tym przypadku zyskamy od razu grono popleczników...

– „Popleczników” to trochę źle brzmi. – Prezydent się skrzywił. – Może „zwolenników” będzie lepiej.

– Oczywiście. Masz rację – skwapliwie przytaknął brunet. – Poza tym zyskamy w necie wielką grupę popierających nas osób, które później na innych forach czy portalach będą powtarzać nasze argumenty.

– Bezmyślnie – mruknął prezydent.

– Oczywiście. Ciemny lud to kupi.

Prezydent ciężko westchnął i oparł się o wysoki zagłówek krzesła.

– Bo to dobrze gadać, że trzeba pielęgnować – burknął. – I ci zieloni, ta banda różnych społeczników z donicami! Skąd ja mam brać na to kasę? Wiesz, jaka jest różnica w kosztach inwestycji, w której się wycina wszystko w pień, a taką, w której się ochrania jakieś wyleniałe kasztanowce albo zarobaczone lipy? To, kurwa, miliony są. Zawsze budowlańcy mi pierdola, że to więcej infrastruktury, dłuższe rury, zabezpieczanie wykopów, pni. Zielonym łatwo tak, kurwa, gadać.

– No więc właśnie – zgodził się brunet.

– Czyli puszczaemy w eter info, że niby coś tam wycinamy, ale w rzeczywistości zieleni jest i tak więcej, niż było, a jeszcze sporo sadzimy? – upewnił się prezydent, patrząc na swojego doradcę jak na szarlatana. – Czyli mówimy, że im więcej wycinamy, tym więcej jest zieleni?

– To jedna z proponowanych przez nas narracji. – Brunet sięgnął po tablet i położył go przed prezydentem. – Popatrz. Jest jakaś inwestycja, gdzie trzeba wyciąć drzewa, a my wtedy od razu wklejamy to dla porównania. – To mówiąc, przesunął palcem po ekranie, pokazując dwie sąsiadujące ze sobą fotografie. – Jakieś wybrane miejsce w Szczecinie przed wojną i teraz.

– Sądzisz, że mieszkańcy Szczecina są aż tak naiwni, żeby to łyknąć?

Brunet prychnął pogardliwie.

– Oczywiście. Poza tym mam już grupę nieformalnych współpracowników, którzy będą to udostępniać u siebie. Wepchną się czasem na jakiś portal, do jakiejś rozmowy on-line i będą powtarzać nasze przekazy. A co do ludzi, na szczęście większość to durnie.

– Hmm. – Prezydent z namysłem pokiwał głową. Przeszło mu przez myśl, że na takim założeniu generalnie opierał się sukces polityczny Kacz...

Ktoś energicznie zastukał do drzwi i po chwili w progu pojawiła się inspektorka z sekretariatu przylegającego do gabinetu prezydenta.

– Szefie – uśmiechnęła się – przypominam tylko, że jest pan umówiony w kurii.

– Dobrze, dobrze. – Prezydent machnął niecierpliwie dłonią.
– Pamiętam. Już kończymy. To nie jest jednak oszukiwanie? – Spojrzał na Lameńskiego.

– To jest internet. Informacja szyta na miarę odbiorcy.

– Zaczyna mi się to podobać. – Prezydent podniósł tablet i wbił wzrok w dwa zdjęcia. Na jednym ukazane były dzisiejsze Jasne Błonia, gdzie zieleniły się potężne platan, ocieniające ścieżki i aleje za urzędem, a na drugim to samo miejsce z mizernymi palikami, przy których tkwiły młode jeszcze drzewka, a dookoła widać było smętną, pustą, czarno-białą przestrzeń.

– Popatrz na to porównanie. – Brunet wskazał brodą zdjęcia.
– Od razu przykuwa wzrok. I w dodatku to zestawienie kolorowego z tym starym. Po prostu wali po oczach.

Prezydent pokiwał głową. Przez chwilę wpatrywał się w fotografię na tablecie.

– Hmm...

– Albo inny przykład – kontynuował z entuzjazmem Lameński. – Zieloni albo jakiś Ignatiuk dopominają się o roboty pielęgnacyjne przy usuwaniu jemioły, bo naczytali się, że we Wrocku to robią. W tym momencie trzeba odpowiadać, że jemioła to pokarm dla ptaków, że chroni przed przesuszeniem, a jak będzie trzeba wyciąć jakieś drzewa, to będziemy mówić, że jemioła to pasożyt i że drzewo zamiera.

– A to jest dobre. – Prezydent pokiwał głową. – Podoba mi się. I już widzę tych wszystkich lewaków, jak się wściekają. Czyli robimy swoje, rżniemy wszystko jak leci, dzięki czemu sporo zostaje w kasie, a piszemy, że jest kupa zieleni i sadzimy nową.

– Dokładnie. – Brunet skwapliwie przytaknął.

– A wracając do Pokrętnej. – Prezydent podniósł wzrok znad tabletu.

Lameński westchnął.

– W przypadku Pokrętnej niestety sprawy zaszły już trochę za daleko – mruknął. – Trzeba by podjąć nieco inne działania. Wrzucić jakiś fejk, zrobić jakąś małą prowokację.

– Jak się prasa dowie o takich rzeczach...

– Po naszej stronie są nasze portale, które mają po kilkadziesiąt tysięcy wejść. Będziemy dezawuować wszelkie wpisy zielonych. Niech ludzie widzą, że to jest gra o wpływy i fejm w mieście, a nie troska o zieleni.

– Dobra. Pogadamy o tym później. – Prezydent wstał i poprawił krawat. – Jutro mam spotkanie z budowlańcami z Pokrętnej. A jeszcze inne nasze inwestycje i to poszerzanie

ulic. I wszędzie wpycha się ta banda ze swoimi protestami. Ja pierdolę, czy to się kiedyś skończy?

Miłosz wpatrywał się w ekran jednego z dwóch monitorów, które stały na jego biurku, i czuł, jak zimne macki strachu oblepiają jego plecy. Na drugim otwarta strona z przepowiedniami meteorologicznymi wywoływała podobne doznania, a właściwie należałoby powiedzieć, że je tylko wzmacniała.

Nie było rady. Program cały czas wywalał przekroczenie stanów krytycznych. Normy przyjmowane dla konstrukcji wprawdzie z samego założenia są przeskalowane, ale tutaj przyjął znacznie bardziej wyżyłowane warunki, a wykresy, które wyświetlał mu program Autodesku, były ciągle jednoznaczne.

A pogoda miała się pogorszyć.

Miłosz od jakichś dwóch miesięcy żył w nieustannym strachu. Miał wrażenie, że każdy dzień przybliża go w nieunikniony sposób do wrzodów żołądka. Od momentu, kiedy dowiedział się o pierwszych przeciekach.

Na razie wszystkim zajmował się generalny wykonawca i ci od nadzoru z Nord/Barentz, ale Miłosz doskonale wiedział, jak to wyglądało. Inspektorzy z nadzoru byli jak psy gończe. Od dwóch miesięcy siedzą pewnie i sprawdzają skrupulatnie każdy rysunek i każde słowo w dokumentacji projektowej, żeby tradycyjnie rzucić się do gardła projektantom. Ale projektanci nie byli w ciemną bici i jak na razie wszelkie ataki odpierali. Teoretycznie korespondencja, którą prowadzili generalny wykonawca, inwestor i inwestor zastępczy, do Dark-Budu nie docierała, ale wiadomo, jak to jest. Nowacki miał swoich informatorów, a poza tym urzędnicy plotkowali.

No i był ten skurwysyn Moszenicki, który w każdej chwili mógł zacząć kłapać ozorem.

Jak na razie nikt nie wiedział, skąd się wzięła woda, i prawdę mówiąc, on sam też nie wiedział. Od tych pieprzonych dwóch miesięcy robił ciągle te same obliczenia, przyjmując tylko coraz gorsze warunki pogodowe, i stale było kiepsko. Kurwa, co rusz było gorzej!

Problem polegał na tym, że woda zamiast przy klatce schodowej, którą robili z Nowackim, pojawiła się w zupełnie innym miejscu.

Katarzyna zamknęła drzwi i zbiegła po trzech schodkach na chodnik przed domem. Naciągnęła na głowę czapkę, a następnie zrobiła kilka wymachów ramionami i parę skrętoskłonów. Wiezorami nie było już za ciepło, a poza tym, prawdę powiedziawszy, całkiem nieźle piździło. Przez moment zastanawiała się, jak to jest, że jeszcze na początku listopada ma się w pamięci gorące letnie miesiące i trudno jest się pogodzić ze stojącą za progiem zimą.

Przecież zaledwie tydzień, może dwa tygodnie temu widywała na ulicach młodziaków w krótkich portkach, a dzisiaj co? Pięć stopni, a w nocy mają być dwa.

Zrobiła szybki sprint w miejscu, w końcu otworzyła furtkę i wybiegła na ulicę.

Ominęła zatoczkę autobusową i wbiegła na ścieżkę dla rowerów. Jak jakiś rowerzysta będzie akurat tędy jechał, to go przepuści. To nie jej wina, że chodnik obok był zjebany i nie pomagały żadne apele. Urzędnicy szczecińskiego magistratu mieli głęboko w dupie, jak wyglądała infrastruktura w tym mieście. Przyśpieszyła, przebiegła przez jezdnię i wpadła w boczną uliczkę. Z każdym krokiem bieгло jej się coraz lepiej

i czuła, jak w jej ciele rozlewają się ciepło i energia. Przynajmniej pod tym względem była z siebie bardzo zadowolona. A przynajmniej teraz. Uwielbiała biegać, a kondycji mogły jej pozazdrościć kobiety młodsze i o dwadzieścia lat.

Inna sprawa, że młodsze o dwadzieścia lat kobiety zbliżały się już do czterdziestki.

No i właśnie przed takim dołowaniem się i wkurwem ratowało ją bieganie. Gdy biegła, czuła się wolna i młoda. Wiek to tylko cyfry. Wiedziała, że po jakichś dwudziestu minutach endorfiny skoczą na tyle, że wszystko z niej spłynie i przestanie się denerwować.

A miała sporo powodów do zmartwień. Pieniądze to oczywiste. Teoretycznie na razie jeszcze były, ale pewne poczynione na przyszłość inwestycje, jak na przykład kurewsko drogie podyplomowe studia syna czy kilka nieruchomości, nie wspominając o ratach za samochody czy inne gówna, które niby nieważne, ale łącznie składały się na całkiem sporą sumę, były ściśle uzależnione od jej i męża zarobków. A te bez stołków w rządowych spółkach nie wystarczyłyby na wszystko nawet w połowie. No i dobiegająca końca kadencja martwiła ją coraz bardziej. Jeśli ją wygryzą, to wszystko się posypie.

Dlatego nie mogła już sobie pozwolić na ani jeden błąd.

Innym też nie mogła pozwolić na popełnienie błędów. Za wiele od tego zależało.

Nigdy więcej pieprzonych trupów w szafie! Żadnych!

Szary golf skręcił z Powstańców Wielkopolskich w Milczańską, potoczył się powoli w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania i wjechał w końcu na radośnie czerwony chodnik, na którym stało kilka samochodów i gdzie przypadkowo nie było zakazu.

Piotr nie znosił Pomorza. Mieszkał tutaj od czasów studiów i nie zdołał się przyzwyczaić do tego burdelu urbanistycznego. Żadne inne, bardziej parlamentarne określenie nie oddawało charakteru tego miejsca. Dominowały wielopiętrowe bloki powciskane na siłę, bez żadnego planu ani porządku w każdą dziurę i pomalowane teraz w dodatku na upiorne pomarańczowo-różowe kolory. U ich stóp, gdzie w lecie dochodziło czasem nawet słońce, dogorywały strupieszale kamieniczki, upstrzone powtykanymi pomiędzy nie, w dziury po bombach aliantów, parterowymi budami o płaskich dachach. A wszystko to było oblepione billboardami, banerami i reklamami.

Piotr miał pewność, że tak wygląda piekło, do którego trafiają architekci i urbaniści.

Spojrzał na zegar. Do dwudziestej pierwszej zostało piętnaście minut, Borys powinien już tu być. Piotr nie zdążył się rozejrzeć, bo nagle ktoś gwałtownie otworzył drzwi i wskoczył na siedzenie dla pasażera.

– Siemka! – Borys uśmiechnął się szeroko. – Zobaczyłem twój pyszczek, tak to bym nie poznał. Myślałem, że nadal jeździsz tramwajem, ale widzę, że przeszedłeś na stronę samochodziarzy.

– Dupiarzy! Tramwajem też jeżdżę, jak nie mam na benzynę.
– Piotr uruchomił silnik i spojrzał pytająco na Borysa. – To dokąd jedziemy?

– Na Gumieńce. – Borys spojrzał na ekran komórki. – Napisał, że jak będziemy na Spiskiej, mam dać znać, to wyśle adres.

Golf zjechał z chodnika i potoczył się Milczańską w kierunku wiaduktu nad torowiskiem.

Przez chwilę obaj milczeli, wpatrując się w drogę. W zasadzie znali się dobrze głównie z mediów społecznościowych, bywało, że gadali wręcz codziennie, ale spotykali się raczej rzadko. Piotr ostatni raz widział Borysa prawie pół roku temu. W jakimś klubie.

Obrzucił go dyskretnie spojrzeniem, korzystając z okazji, że kolega sprawdzał coś w swoim telefonie. Chyba trochę przypakował, ale czemu się dziwić.

Piotr prychnął w myślach. Borys spędzał ostatnio całe tygodnie na siłowni. Oczywiście tej najbardziej szpanerskiej w mieście. W dodatku natrząsał się z niego, że on chodzi na zumbę. Że to niemęskie rzekomo. Bo jak wiadomo, męskie jest spędzanie trzech godzin na siłce, z czego półtorej to gapienie się na siebie i, porównawczo, na innych facetów w lustrach.

– Ten facet jest jakimś urzędnikiem z wydziału zamówień publicznych. – Borys podniósł wzrok i spojrzał z zaaferowaniem na Piotra. – Może to chodzi o Pokrętą? O tę deweloperkę?

– Mówiłeś, że to mają być przekręty dużego kalibru.

– A to nie jest duży kaliber? Jeżeli okazałoby się, że miasto dogadało się z jakimś deweloperem, to przecież byłaby bomba atomowa.

– A co to za papiery, które on ci wysłał?

– Co? – Borys podniósł nieprzytomny wzrok znad telefonu. – No mówiłem ci. Jakieś fragmenty dokumentacji, budowlanej chyba. Nie mam pojęcia, co to jest. Mam nadzieję właśnie, że nam to wyjaśni.

– Nie znasz jakiegoś budowlańca?

– Oczywiście, że znam. – Borys wzruszył ramionami. – Ale nie zdążyłem nic zrobić. Jak tylko gość zaproponował spotkanie,

to najpierw namiętnie pomyślałem o tobie.

– Jasne – prychnął Piotr i roześmiał się wbrew sobie. Borys potrafił go rozśmieszyć.

– A te dokumenty to skany? Nie mogłeś mi ich od razu wysłać? – zapytał po chwili.

– Nie zdążyłem. Najpierw posłuchamy, co gość nam powie, a potem będziemy to weryfikować z pomocą znajomych architektów.

Piotr wjechał na Mieszka I i zakręcił w kierunku ronda Uniwersyteckiego. W czyimś telefonie rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości.

– To mój – mruknął Borys, otwierając aplikację. – Kurwa!

– Co jest? – Piotr spojrzał zaniepokojony. – Co się stało?

– Weź zjedź gdzieś. – Borys skinął głową, wskazując prawą stronę drogi. – Ja pierdolę. Gość coś kręci.

Golf zwolnił, a następnie zjechał na parking przy Lidlu.

– Napisał, że musi awaryjnie jechać do swojego wujka, bo coś się stało. Prosi, żeby podjechać za jakąś godzinę na plac Leona Koczego. Będzie czekał w samochodzie na brzegu nad Odrą.

– Leona Koczego? – Piotr zmarszczył brwi, usiłując wygrzebać z pamięci miejsce o takiej nazwie. – Nie mówisz chyba poważnie? – Spojrzał w końcu na Borysa. – To na Gołecinie. Pod Wzgórzem Kupały.

– No właśnie widzę. – Borys gapił się na mapę w swojej komórce.

– Tam strach jechać w południe, a co dopiero wieczorem. Po ciemku. – Piotr wyjrzał na zewnątrz. Panował mrok, chociaż latarnie paliły się już od trzech godzin. – Może jednak zostawimy samochód i pojedziemy tam komunikacją miejską?

– dodał złośliwie, rzucając zaczepne spojrzenie Borysowi. – Będzie bardziej promiejsko i aktywistycznie?

– To jest sytuacja awaryjna. Jak przejazd karetki albo straży pożarnej – odpowiedział Borys i parsknął śmiechem. – Zatem z bólem serca wprowadzie, ale muszę się zgodzić na taki kompromis.

Piotr prychnął, a Borys zaczął stukać w klawisze swojego smartfona.

– Pytam go, czy na pewno tam będzie i czym przyjedzie – wyjaśnił, widząc przypatrującego mu się podejrzliwie kolegę.

– To mi się nie podoba. – Piotr pokręcił głową. – Jaki urzędnik umawiałby się z prawnikiem na zadupiu, gdzie można dostać nożem między żebra?

– W tym momencie to informator, a nie urzędnik – mruknął Borys znad smartfona. – A ja nie jestem prawnikiem...

– Tylko awanturnikiem miejskim – wpadł mu w słowo Piotr, krzywiąc się powątpiewająco.

– Napisał, że jego wuj mieszka przy Strzałowskiej. Będzie czerwonym nissanem qashqai. – Borys podniósł wzrok. – To jedziemy czy nie?

Piotr westchnął i wrzucił bieg.

– Jedziemy – warknął. – Skoro się ubrałem i wyszedłem z domu, to nie będziemy teraz wracać.

– Żeby wynagrodzić środowisku tę stratę, przez dwa dni będziesz jeździł do roboty autobusem. – Borys uśmiechnął się do Piotra, wkładając telefon do kieszeni.

– Starym dieslem, wywalającym codziennie do atmosfery pół tony metali ciężkich. – Piotr skrzywił się ironicznie. – Poza tym ja nie jestem komunikacyjnym trockistą jak ty.

Samochód zawrócił i wjechał z powrotem na Mieszka I.

Miłosz wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się przed wejściem na klatkę schodową budynku. Budynek, prychnął. Bloczydła, kurnika, w dodatku na jakiejś pieprzonej ruskiej licencji. Do dzisiaj mówiło się o nich przecież leningrady. Osiedle Kaliny to było jedno wielkie blokowisko, które przywodziło mu zawsze na myśl Czarnobyl, tuż przed awarią elektrowni atomowej. Tylko czekać, aż któregoś dnia nad ranem podjadą tutaj autobusy, a jakieś jełopy w mundurach powiedzą, żeby nie zadawać pytań, tylko zabrać najpotrzebniejsze rzeczy.

Wąska dojazdowa uliczka zapchana była samochodami. Auta stały na wydzielonych miejscach parkingowych, ale także wzdłuż szerokiej raptem na cztery metry asfaltowej alejki. Wyjazd stąd zawsze graniczył z cudem, a często kończył się awanturą z sąsiadami, względnie przylepianiem na przednią szybę wlepek z kutasem.

Sam zawsze miał w schowku zapas takich naklejek. Ostatnio zaczął je dodatkowo smarować Super Glue. Specjalna kara dla wyjątkowych debili, którzy potrafili zastawić inne samochody i pójść sobie do chałupy, żeby oglądać em jak gównu albo jakiegoś ojca pierdołusza.

Miłosz, zaciskając zęby, ruszył w kierunku swojej kilkuletniej toyoty. Był sfrustrowany, oczywiście. Ale kto by nie był na jego miejscu? Ale skoro góra nie chciała odebrać telefonu od Mahometa, to Mahomet pojedzie do pierdolonej góry, pomyślał z mściwą satysfakcją.

Był wściekły na Nowackiego. Od tygodni usiłował z nim porozmawiać, a szef Dark-Budu unikał go jak swoich namolnych klientów, którzy doczekać się nie mogli końca remontów.

Zastanawiał się, czy Nowacki sam nie sprawdzał obliczeń. Czy tak jak on nie wpatrywał się wieczorami w ekran, usiłując siłą woli zmusić program ROBOT do zmiany wyników.

A może to jednak on stracił dystans? Może jego obawy są przesadzone? Co z tego, że pojawiła się wilgoć? Jest późna jesień, zima zaraz, wysoki poziom wody. Wilgoć się pojawiła i co z tego?

Szarpnął ze złością kierownicą i zatrąbił na jełopa stojącego na pasie, z którego skręcało się w prawo, a jak widać, szmaciarz chciał jechać prosto. Kierowca rzucił mu pogardliwe spojrzenie w lusterku wstecznym, ale że zapaliło się akurat zielone, ich dalsza wymiana uprzejmości na tym się zakończyła.

Miłosz do Nowackiego miał całkiem niedaleko. Z Kaliny, gdzie mieszkał, na Gumieńce był rzut beretem, no, powiedzmy oszczepem.

Nie da się spławić tym razem, myślał, zjeżdżając Derdowskiego w kierunku jeziora na Gumieńcach. Muszą porozmawiać i przyjąć jakieś wspólne stanowisko.

Niestety, to jego podpis znalazł się w dzienniku budowy. Dlaczego dał się w to wciągnąć?!

Ścisnął mocno kierownicę, czując jednocześnie, że tak samo mocno zaciska usta. Typowe objawy neurologiczne. Mieć udar po trzydziestce, kurwa! A w zamian co?

Samochód zjechał na rondo Gierosa i po chwili toczył się Dworską. Kolejne rondo. Kurewska stolica rond! Rondo na rondzie!

Zaciskając zęby i nie panując już prawie nad złością, imaginując sobie, co nagada Nowackiemu, skręcił w Ostrobramską.

Gdy był na wysokości sporego parkingu przy w miarę nowym osiedlu, na którym kilka lat wcześniej jego szef kupił sobie mieszkanie, zobaczył, jak otwierają się wrota podziemnego garażu, a z podziemi wyjeżdża nowiutkie czarne, terenowe bmw. Samochód głośno zamruczał, a następnie rycząc na zakręcie, wyjechał na główną ulicę i po chwili skręcił w Europejską.

Miłosz zatrzymał się przy krawężniku i zaczął powoli liczyć do dziesięciu. Musiał się uspokoić. Nowacki z całą pewnością nie odbierał telefonów celowo, to prawda, ale przecież nie mógł wiedzieć, że on do niego akurat jedzie.

Wzgórze Kupały wznosi się nad morzem ogródków działkowych, nad ocalałymi, pokiereszowanymi kamieniczkami, z odrapanymi ścianami i witrynami, które pozabijano deskami, i nad zrujnowanymi budynkami dawnych fabryk i zakładów, rozpadającymi się niezauważenie jeden po drugim. Na szczycie wzgórza, gdzie stała kiedyś luksusowa restauracja, a widok z jej tarasów na rozlewiska Odry zapierał dech w piersiach, wznosił się teraz ponury, betonowy bunkier – świadek wojennych losów północnych kresów Szczecina, które z modnego i uroczego turystycznego zakątka zmieniły się w miejsce jak z dreszczowców.

Piotr minął zajezdnię tramwajową Gołecin, przejechał wzdłuż kolorowych kamienic przy Wiszesława i zwolnił na zakręcie w Świętojańską. Wąskim chodnikiem od strony Strzałowskiej szła właśnie kobieta w długim jasnym płaszczu i ciemnych okularach, a do bramy jednej z kamienic wchodziło trzech młodych zakapiorów.

– To gdzieś tutaj. – Piotr rozejrzał się dookoła. – Ten plac to tylko nazwa, o ile pamiętam, a w rzeczywistości to zarośnięty zagon.

Po prawej ukazała się nagle połać ubitej ziemi i kierunkowskaz, informujący, że zaczyna się tutaj ulica Grobla.

– Tu masz zakręcić. – Borys machnął ręką. – Tam na końcu jest plażyczka.

Golf wjechał na żwirową drogę i wolno potoczył się pomiędzy rozrośniętymi drzewami na placu a zdiczałą zielenią obrzeży ogródków działkowych.

– Jest! – Borys wskazał ręką czerwony samochód stojący pod drzewami, prawie nad brzegiem Odry.

Piotr zatrzymał się przy drodze i zgasił silnik.

W głębi widać było połyskującą odbitymi światłami rzekę, a na drugim brzegu porośnięte dzikimi szuwarami i wierzbami wyspy na rozlewiskach Odry i jeziora dąbskiego.

Borys otworzył drzwi, przez które wpadł do wnętrza głośny szum drzew znad rzeki.

– Pójdę najpierw sam i wybadam – rzucił do Piotra. – Zawołam cię, jak wszystko będzie okej.

– Nie powiedziałaś mu, że będziesz z kimś? – Piotr spojrzał na prawnika z niedowierzaniem.

– Powiedziałem. Nie chcę, żeby się spłoszył, jak staniemy mu obaj nad głową. Poczekaj tu.

Borys wysiadł i zatrasnął drzwi.

Czerwony qashqai stał z wyłączonymi światłami pod ostatnim drzewem przy placu. Dalej była już tylko ubita ziemia i kępy trawy, kończące się na brzegu rzeki. Z wody wystawały czarne kołki po zniszczonym pomoście.

Borys podszedł do auta i zapukał w szybę od strony kierowcy. W środku siedział mężczyzna z głową opartą o zagłówek fotela.

Borys, myśląc, że kierowca przysnął, postukał po raz drugi, tym razem mocniej. Zbliżył twarz do szyby. Pomyślał, że facet, jak na kogoś, kto chce właśnie po kryjomu zdradzić tajemnice dotyczące miejskich przekrętów, ma wyjątkowo mocny sen.

Zajrzał do wnętrza. Trochę to dziwne, że gość umawia się w takim miejscu, w takiej sprawie i jak gdyby nigdy nic sobie śpi. Musi mieć wyjątkowo mocne nerwy.

Zastukał jeszcze raz i sięgnął po telefon. Wyszukał aplikację latarki i zaświecił do środka samochodu.

W tym momencie jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy. Borys usłyszał, jak w gęstych krzakach porastających obrzeża działek coś się poruszyło, a jednocześnie w świetle latarki zobaczył, że mężczyzna we wnętrzu samochodu ma otwarte oczy i usta, a cały tył głowy i zagłówek fotela ubabrane są krwią.

Umysł instynktownie połączył te dwie rzeczy w całość i kazał mu natychmiast rzucić się do ucieczki. Borys dopadł samochodu Piotra i wskoczył do środka, krzycząc, żeby Piotr ruszał. Piotr, widząc minę kolegi, przekręcił kluczyk i ruszył tyłem. Tylko dlatego, że o tak zwanym paleniu gum nie miał bladego pojęcia ani żadnych w tym zakresie umiejętności, nie ruszył z piskiem opon. Golf zatem, podskakując na nierównościach, z godnością wyjechał tyłem na główną drogę i ruszył w stronę Strzałowskiej.

Gdy wjechali pomiędzy gęstą zabudowę dawnego Gołęcina, usłyszeli gdzieś daleko syrenę uprzywilejowanego samochodu. Policji albo karetki pogotowia.

Rozdział 4

Paulina zasunęła szklane drzwi, oddzielające aneks naczelnego od reszty redakcji, i spojrzała na Pawła, który rozparty wygodnie w fotelu przypatrywał jej się z pogodnym uśmiechem. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Mam fenomenalny pomysł na artykuł – powiedział, uśmiechając się szeroko i wskazując Paulinie fotel. – Mogą być dwa, trzy, a może nawet jakiś cykl z tego wyjdzie.

– Już się boję – westchnęła ciężko Paulina, siadając naprzeciwko Pawła i patrząc z niepokojem na leżące przed nim wydruki.

– Jak zwykle foch. – Paweł pokręcił głową z udawanym zgorszeniem. – Odkąd zrobili ci to zdjęcie z księciem Danii, to już nic ci nie można powiedzieć. Człowiek boi się odezwać. Notabene, obiecałaś, że napiszesz kiedyś, jak doszło do tego, że w ogóle udzielił ci wywiadu.

– Niczego takiego nie obiecywałam. – Paulina pokręciła głową. – Wspomniałam tylko, że może na emeryturze napiszę o tym w pamiętnikach[3]. Co to za pomysł na artykuł?

– Cieszę się, że nie jesteś jeszcze całkiem zblazowana i że wykazujesz w ogóle jakieś oznaki zainteresowania...

– Paweł. – Paulina spojrzała na naczelnego z cierpkim uśmiechem.

Historia z duńskim księciem, niezależnie od tego, czy zmieniła jakoś jej życie, sprawiła chociaż tyle dobrego, że

przestano wreszcie plotkować o domniemanym jej i Pawła romansie.

– Napiszemy o nowych miejskich realizacjach. – Paweł podsunął Paulinie kolorowy folder, na którego okładce widać było oblane słońcem apartamentowce nad samym brzegiem Odry.

– I to ma być coś odkrywczego? – parsknęła Paulina. – W dodatku deweloperka. – Skinęła pogardliwie brodą w kierunku folderu. – Żartujesz, żeby mnie wkurzyć?

– Jeszcze nie skończyłem. – Paweł pokręcił głową z irytacją. – Pomysł polega na tym, żeby udać się tropem plotek i miejskich legend, według których we wszystkich tych budynkach zrobiono jakieś straszne błędy, grożące katastrofą. Pamiętasz, co pisali o nowym gmachu urzędu marszałkowskiego? Że zawali się na bank, bo coś tam było z dachem. Takie same plotki krążyły o Hanza Tower i wielu innych spektakularnych inwestycjach. Teraz z kolei czytałem jakieś pierdy o zakopanej świątyni czy czymś tam – powiedział Paweł i prychnął pogardliwie, cały czas patrząc jednak na Paulinę z przejęciem. – Odkurzymy te *urban legends*, zrobimy fajne zajawki na nasz portal, a potem zweryfikujemy to w rozmowach z projektantami i użytkownikami. Doskonały temat na kilka lekkich tekstów przed Gwiazdką.

Paweł skończył i spojrzał z entuzjazmem na Paulinę.

Paulina wpatrywała się w leżący przed nią folder. Właściwie to pomysł nie był taki zły. Chyba rzeczywiście nikt tego w taki sposób jeszcze nie zrobił, a plotek o wznoszonych w Szczecinie budynkach rzeczywiście było sporo. Sama słyszała, jak o Hanza Tower mówiono, że w czasie silnych wiatrów budynek rzekomo wychyla się znacznie bardziej od pionu, niż przewidywali to w obliczeniach konstruktorzy.

Sięgnęła po folder dewelopera, który kończył właśnie budowę apartamentowców na Kępie Parnickiej – wielkiej wyspie leżącej naprzeciw Starego Miasta.

– Zaczniemy od urzędu marszałkowskiego – podjął wątek Paweł. – Już do nich dzwoniłem. Chętnie nas przyjmą. Zrobisz filmik, taki w twoim stylu, w którym opowiesz o tych bredniach o zawaleniu. Możesz skończyć pytaniem: A jak jest naprawdę?

Paulina, słuchając Pawła, kartkowała od niechcienia folder.

– To może być w ogóle takie hasło do każdego z tekstów: A jak jest naprawdę? – Paweł się zapalił i zaczął gestykulować. – A potem rozmowa z budowlańcami i weryfikacja tych pierdół. Najpierw, tytułem wstępu, zrobimy marszałka, a potem tę deweloperkę. – Wskazał głową folder, który przeglądała Paulina.

Paulinę nagle coś tknęło. Spojrzała jeszcze raz na okładkę folderu, a następnie podniosła wzrok na Pawła.

– Nie chce mi się w to wierzyć, ale czy to nie o to chodzi tak naprawdę? – Uniosła dłoń z folderem i pomachała nim Pawłowi przed nosem. – Przyznaj się!

– Co ty znowu wymyślasz? – Paweł przewrócił oczami, a Paulina już wiedziała, że trafiła.

– To jest zwyczajny tekst sponsorowany! – Rzuciła folder na biurko Pawła i spojrzała na niego oskarżycielsko. – Zapłacą nam za to, prawda?

– O Jezu! – Paweł wzniósł oczy do nieba. – A jeśli nawet, to co w tym złego?!

– Coś niesamowitego. – Paulina pokręciła głową z niedowierzaniem. – Ale z ciebie krętacz. Marszałek też nam zapłaci czy reszta to tylko taki kamuflaż?

Paweł westchnął z rezygnacją.

– To ci tutaj zaproponowali. – Wskazał głową folder. – Chcieli taką ukrytą formę reklamy, żeby wzbudzić zainteresowanie, ale nie łopatologicznie. Z kolei ja pomyślałem, że pomysł jest świetny i możemy to rozszerzyć. A jak inny deweloper też zechce się wkręcić, to będzie musiał również zapłacić.

– Czyli robimy z naszych czytelników balony na hel?

– Oj tam zaraz – fuknął Paweł. – Musisz przyznać, że temat jest fajny i dobrze się sprzeda, a że przy okazji nam zapłacą, to tym lepiej. Możesz w to wciągnąć Piotra – dodał łaskawie.

Paulina spojrzała na Pawła, który szeroko się uśmiechnął, a następnie rzucił na jej kolana folder kreatywnego dewelopera.

– W urzędzie marszałkowskim umówiłem was na poniedziałek.

– Dzisiaj jest czwartek! Czyli na przygotowanie mam tylko weekend praktycznie? – Paulina patrzyła na naczelnego z irytacją wymieszaną z niedowierzaniem.

– Nikt lepiej od ciebie tego nie zrobi, a po co z tym zwlekać? – Paweł beztrąsko wzruszył ramionami. – Poradzisz sobie.

Mężczyzna we wściekle seledynowej kamizelce i workowatych spodniach człapał przez kałużę zajmującą już bez mała cały wjazd do podziemia. Dobrnął tak w końcu do ściany, szarpnął za stalowe drzwi i wszedł na schody ewakuacyjne. Po chwili znalazł się przy drzwiach zewnętrznych. Sznur przepychających się jednym pasem samochodów wydłużył się już o kilkadziesiąt metrów.

Na dworze wiatr szarpał bezlistnymi gałęziami okolicznych drzew, a deszcz zacinał prawie poziomo. Mężczyzna zaklął i przytrzymując dłonią czapkę z daszkiem, pobiegł w kierunku stojącego przy drodze wjazdowej niewielkiego budynku.

– Może niepotrzebnie ogrodziliśmy ten fragment na pasie? – rzucił do kolegi siedzącego we wnętrzu stróżówki. – W końcu to tylko płytka kałuża, co szkodzi, żeby tamtędy przejeżdżali?

– Byli ci z Nord/Barentz i kazali zamknąć? – spytał retorycznie łysy, tęgi mężczyzna wpatrujący się w wielki monitor stojący przed nim na biurku. – To czym ty się właściwie zajmujesz? – dodał, rzucając koledze lekceważący uśmiezek.

– Jest dziesiąta – mruknął strażnik, wieszając kurtkę na wieszaku przy drzwiach. – Koło czternastej zrobi się tutaj korek aż do cepeenu.

– To się zrobi. – Łysy strażnik wzruszył ramionami. – Siedzę tu do osiemnastej. Nigdzie mi się nie śpieszy.

– Ciekawe, skąd ta woda się bierze. – Mężczyzna przeczesał palcami kruczoczarne włosy i usiadł obok kolegi.

– Byli na kontroli, sprawdzali. – Łysy ponownie wzruszył ramionami. – Mają wymóżdżyć. Poza tym pada od miesiąca, to jak ma nie być wody.

– Liniówka jest w porządku. Sam sprawdzałem. – Brunet włączył monitor i po chwili znalazł podgląd odpowiedniej kamery. – Pompy też działają. Jakby coś się przytknęło, to wody by przybywało, a ciągle stoi tylko kałuża. W tym samym miejscu.

– Słyszałeś. – Łysy spojrzał w końcu na kolegę. – Najprawdopodobniej gdzieś izolacja jest uszkodzona. Pewnie za dwa, trzy tygodnie przyjadą tutaj i zaczną ryc w betonie, żeby naprawić.

– A to co to jest? – Brunet nagle pochylił się nad ekranem.

– Gdzie? – Jego kolega spojrzał podejrzliwie na monitor, na którym powiększony obraz w zbliżeniu ukazywał ścianę przy

drzwiach na drogę ewakuacyjną.

– Popatrz. – Brunet postukał palcem w monitor. – Ta ściana nie jest tutaj mokra? Przecież byłem tam dokładnie przed chwilą i nic nie widziałem.

Przez moment obaj wpatrywali się w monitor.

– Ee. – Łysy strażnik pokręcił w końcu lekceważąco głową. – Pewnie jakiś cień się robi przy tej kamerze. Skoro niczego na żywca nie widziałeś, to pewnie nic nie ma.

– Potem sprawdzę jeszcze raz – mruknął brunet, sięgając po tablet i zaznaczając miejsce domniemanego uszkodzenia izolacji. – Ale nie podoba mi się to jakoś.

– Tobie nigdy nic się nie podoba – parsknął jego kolega i odchylił się razem ze swoim fotelem do tyłu. – A słyszałeś te plotki?

– Jakie plotki?

– Że w czasie budowy natknęli się tutaj na starą świątynię. Światowida czy jakiegoś Trygława. Drewnianą podobno. Ale żeby nie opóźnić robót, to ją po cichu rozwalili.

– Aa... – parsknął brunet. – Słyszałem te brednie. Że niby te wszystkie uszkodzenia to klątwa?

– No sporo ich było, nie?

– Na budowie nigdy nie robiłeś, to co ty tam możesz wiedzieć. Zawsze są jakieś usterki.

– Ale jeden czy dwóch robotników to jednak zaginęło. – Łysy strażnik pochylił się nad biurkiem, a obrotowy fotel niebezpiecznie zaskrzypiał pod jego ciężarem.

– Pewnie wzięli kasę i poszli w cholerę. – Brunet wpisał do notesu czas kontroli i zamknął swój kajet. – A tutaj to nie klątwa, tylko zwykła fuszerka.

– Może i tak. – Łysy podniósł się i ruszył w kierunku odgrodzonego od reszty pomieszczenia aneksu. – Chcesz kawę?
– Odwrócił się do kolegi.

Brunet, nie odrywając wzroku od monitora, pokiwał głową.

Piotr wszedł do głównej sali redakcji i odpowiadając uśmiechem na pozdrowienia kolegów, przemknął do swojego biurka. Rzucił plecak na ziemię i wsunął się na krzesło. Włączył komputer i nerwowo zaplótł ręce.

Gdy sprawdzał rano wiadomości, nic jeszcze nie było o wypadku na Gołęczynie. Wypadku albo czymkolwiek to było. Swoją drogą – pomyślał – jaka to złośliwość losu, że ma oto niezły news, całkowicie z pierwszej ręki, dosłownie wręcz, kurwa, i nic nie może z tym zrobić.

Sięgnął do klawiatury i zaczął przewijać pasek aktualności. Debilne żarty, koty, kot i papuga, debilne memy, kot i szop pracz, jakieś otwarcie czegoś, zamknięcie jakiejś kolejnej knajpy, kolejny kot...

Nic. Nic jeszcze nie napisali. Spojrzał z napięciem przez okno. Na zewnątrz wył wiatr. Oczywiście Piotr tego nie słyszał, ale to, co widział, w zupełności wystarczyło, żeby to sobie wyobrazić.

Gdy uciekli wczoraj z tego całego placu Leona Koczego, po przejechaniu kilkuset metrów nie wytrzymał i zjechał na pobocze. Zatrzymał się i spojrzał na Borysa.

– Robisz sobie ze mnie jaja? – spytał, gdy usłyszał jego relację.

Borys pokręcił nerwowo głową.

– Naprawdę. Koleś był martwy. Boże...

– Jesteś na sto procent pewien? – Piotr wpatrywał się w kolegę z niedowierzaniem. – Może to był tylko jakiś kolorowy

koc, a on po prostu zasnął.

– No kurwa, co ty pierdolisz?! – Borys podniósł głos. – Kolorowy koc! Wiem, jak wygląda krew. Poza tym miał cały łeb rozwalony.

– Widziałeś tego kogoś w krzakach? – dopytywał się Piotr, wciąż nie mogąc uwierzyć, że bierze udział w czymś takim.

– Wszystko się stało naraz. – Borys westchnął, kręcąc nerwowo głową. – Zadziałałem instynktownie.

– Ktoś go napadł?

– Ktoś go sprzątnął! – Borys ukrył twarz w dłoniach. – Wiesz, co to znaczy? Jeśli ktoś nas tam widział, to za chwilę będą nas szukać. O ja pierdołę...

Piotr poczuł, że robi się blady.

– Przecież on ma na swojej komórce wiadomości ode mnie! – jęknął Borys. – Napisał mi, gdzie będzie i gdzie mamy się spotkać.

– Może lepiej tam wrócić i pogadać z policją? – słabym głosem zaproponował Piotr.

– Nie wiem, co mam robić. – Borys zaczął nerwowo uderzać dłonią o udo. – Jestem skończony jako prawnik.

– Nie dramatyzuj! Może powiemy, że nie zauważyłeś, że on jest martwy? Dlatego odjechaliśmy.

– I kto w to uwierzy?! Powinniśmy wezwać pogotowie! – Borys wygrzebał gwałtownie z kieszeni telefon i zaczął stukać w ekran.

Piotr, który miał kołowrót w głowie, słyszał, jak kolega rozmawia z dyżurną pogotowia.

– Pięć minut temu? – Borys kiwał głową. – Tak! Plac Koczego. Nad samą Odrą...

Piotr oderwał wzrok od mokrych od deszczu i smaganych wciąż wiatrem szyb i spojrzął z roztargnieniem w kierunku aneksu naczelnego. Paulina gadała tam z Pawłem. Jak zwykle się kłócili.

W niewielkiej salce konferencyjnej przy Wydziale Zamówień Publicznych Urzędu Miasta napięcie wręcz wisiało w powietrzu. Zdawało się, że wystarczyłaby jedna iskra, a buzujące nad stołem endorfiny i testosteron, doprawione silnym zapachem wody kolońskiej, wylecą w powietrze wraz ze wszystkimi uczestnikami konferencji.

Wydawać by się mogło także, że inwestycja miejska polegająca na budowie żłobka przy jednej z bocznych uliczek w dzielnicy Pogodno nie jest niczym, co mogłoby wzburzyć jakiegokolwiek gremium, wszak miejsc w przedszkolach i żłobkach brakowało, a upchnięcie tam dziecka graniczyło z cudem i zmuszało rodziców do desperackiego poszukiwania znajomości. Tymczasem jednak inwestycja, zaledwie rozpoczęta, utknęła w miejscu i od roku buksowała w bagnie protestów, zażaleń i wzajemnych oskarżeń.

Stronami tego przedsięwzięcia było miasto jako inwestor, firma wykonawcza, która wygrała przetarg, i oczywiście projektant, który rok wcześniej otrzymał pozwolenie na budowę. Nieformalnie stroną byli także okoliczni mieszkańcy obawiający się hałasu dziesiątek samochodów, przede wszystkim jednak protestujący przeciwko wycinaniu setek drzew, którymi zarośnięta była działka inwestycyjna. Wisienką na torcie tego sporu było to, że kilkadziesiąt metrów dalej znajdowała się inna działka należąca do miasta, oddalona od budynków mieszkalnych, pozbawiona drzew i lepiej skomunikowana, którą miasto z sobie tylko wiadomych powodów oszczędzało.

Drzwi do salki konferencyjnej otworzyły się i wszedł wiceprezydent Maurycy Przekot, przepuszczając przed sobą główną inspektorę wydziału inwestycji. Wśród oczekujących na moment zapanowało lekkie poruszenie.

– Pana prezydenta niestety dzisiaj nie będzie. Jest w kurii. – Zastępca usiadł u szczytu stołu i postukał o blat plikiem przyniesionych kartek. – Postaramy się opanować sytuację bez niego – powiedział i uśmiechnął się do wszystkich. – Na początek proszę pokrótce streścić mi powód tego spotkania.

– Najkrócej będzie, jeśli powiem, że to impas – odezwał się przysadzisty mężczyzna z brodą, szef firmy wykonawczej, która od roku nie była w stanie rozpocząć żadnych robót. – Wszystko utknęło w martwym punkcie, a my jesteśmy związani z miastem umową. Nasz czas jest cenny, a jak bardzo, to mówią o tym paragrafy dotyczące kar umownych...

– Nikt nie mówi jeszcze o żadnych karach umownych – przerwał wiceprezydent, podnosząc uspokajająco rękę.

– Sam pan powiedział „jeszcze”. – Brodacz uśmiechnął się cynicznie. – Od ponad pół roku nie mamy zezwolenia na wycinę. Czas wreszcie wykonać jakieś zdecydowane ruchy. Po to jest nasze spotkanie. Miasto certoli się z awanturnikami, miejskimi szantażystami, którym chodzi o autopromocję, a czas leci...

– To nie miasto wydaje zgody na wycinę – stwierdził cierpko wiceprezydent. – Tę zgodę wydaje marszałek i RDOŚ[4]. Nie mamy wpływu na decyzję tych urzędów.

– Oficjalnie – prychnął brodacz. – Nieoficjalnie wszyscy wiemy, jak jest.

– Według umowy terminy wynikające z postępowania administracyjnego nie wliczają się przecież do czasu zakończenia robót, więc...

– Ale chodzi także o nasz czas. – Brodacz podniósł dłoń w geście irytacji. – Jesteśmy spóźnieni z tym kontraktem już pół roku, a przecież mamy także inne zlecenia. Tracimy pieniądze. Miasto ponad trzy miesiące temu obiecywało, że zezwolenie będzie już zaraz, a minął kolejny miesiąc i decyzji jak nie było, tak nie ma.

– Panowie – westchnął wiceprezydent. – Prawdą jest jednak i to, że zapisy w dokumentacji, no... – Zawahał się. – Są jednak kontrowersyjne. Projektant co prawda popełnił określone założenie...

– Wykonaliśmy projekt zgodnie z dokumentacją, którą dostarczyło miasto! – przerwał zdecydowanym głosem młody mężczyzna w białej koszuli.

– Tak, wiemy, ale...

– Według umowy nasz projekt nie mógł odbiegać nawet o centymetr od założeń przekazanej nam koncepcji.

– Tak, zgadza się. – Głos wiceprezydenta stwardniał. – Ale to w pana projekcie jest zapis, pod którym pan się podpisał, że na terenie nie ma, powtarzam, nie ma cennych drzew, które podlegają ochronie. A jak wygląda sytuacja, doskonale wiemy.

– A to, co teraz pan robi, jest bardzo nieładne! – powiedział podniesionym głosem brodaty szef firmy wykonawczej. – Koncepcja dostarczona przez miasto także nie uwzględniała tych drzew.

– Ale to była jednak tylko koncepcja, a wraz z nią dostarczyliśmy także inwentaryzację drzewostanu – odezwała się inspektorka wydziału inwestycji.

– To czysta bezczelność! – uniósł się projektant w białej koszuli. – Miasto wprowadziło nas na minę, z premedytacją, doskonale zdając sobie sprawę z błędów w koncepcji!

Urzędniczka pogardliwie prychnęła.

– To są całkowicie bezpodstawne oskarżenia! W ten sposób niczego pan nie wskóra.

W salce zapanował rwetes. Kilka osób jednocześnie zaczęło mówić i przekrzykiwać się, a temperatura sporu niebezpiecznie rosła.

– Panowie, panowie. – Wiceprezydent podniósł obie ręce do góry, usiłując uspokoić coraz bardziej wściekłe towarzystwo. – Pani Adela ma rację, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Zastanówmy się, co możemy wspólnie zrobić, żeby wyjść z tej sytuacji obronną ręką.

– Nic nie możemy zrobić, jeśli marszałek nie wyda decyzji zezwalającej na wycinkę tego cholernego lasu! – warknął brodac.

– Zażalenie na przewlekłość postępowania. – Wiceprezydent podniósł palec. – Tego raczej się boją, będą musieli coś odpowiedzieć.

– Ale to chyba miasto powinno zrobić.

– Mają panowie wszelkie upoważnienia. Możecie sami z tym wystąpić. Jeśli to my zrobimy, to znowu narazimy się na oskarżenia zielonych, że naciskamy.

– Właśnie. – Inspektorka wydziału inwestycji pokiwała głową. – Znowu „Wyborcza” napisze, że jak zawsze rączka rączkę myje.

– Zażalenie powinno sprowokować jakąś odpowiedź – kontynuował zastępca prezydenta. – Z doświadczenia wiem, że jeśli złożymy ją jeszcze w tym tygodniu, to w przyszłym odpowiedzą. A z odpowiedzi wyczujemy, jaka tam jest atmosfera. Nieformalnie wiem niestety, że zieloni ich także szantażują.

– Cudownie – parsknął nerwowym śmiechem brodaty szef firmy wykonawczej. – Czyli jest spora szansa, że w ogóle nie dostaniemy zgody na wycinkę tego lasu?

– Ależ nie dramatyzujmy. – Wiceprezydent postukał w blat stołu. – Dajemy sobie tydzień, proszę państwa. Jak przyjdzie odpowiedź od marszałka, to wrócimy do tematu – powiedział i podniósł się, dając do zrozumienia, że audyencja skończona.

W salce rozległy się niezadowolone pomruki i odgłosy szurania krzesłami.

Paulina zasunęła drzwi aneksu Pawła i rzuciła mu na odchodnym cierpkie spojrzenie. Przesuwne drzwi niestety wykluczały możliwość głośnego trzaskania nimi, w przeciwnym razie, była tego pewna, nic innego w redakcji nie byłoby słychać.

Uśmiechnęła się do Piotra i siadła przy swoim biurku, dokładnie naprzeciwko niego. Szybko zauważyła, że jest rozkojarzony. W przeciwnym razie zarzuciłby ją pytaniami o rozmowę z Pawłem.

– Czym się tak stresujesz? – zapytała, rzucając mu zachęcający uśmiech.

Piotr oderwał wzrok od monitora i spojrzał na nią z roztargnieniem.

– Muszę skończyć ten artykuł, który Paweł wymyślił – mruknął. – Ten o pogodzie.

– No, pogodę masz wymarzoną do tego tematu. – Paulina spojrzała w stronę okna i wzdrygnęła się. Nad Podzamczem, na przeciwległym brzegu Odry, gromadziły się właśnie ciemne, prawie czarne chmury.

– Dopiero wymyśliłem, jak to ugryźć, ale... – Piotr urwał i coś mruknął, chowając się za monitorem.

Paulina pomyślała, że Piotr jest chyba zajęty i nie ma czasu na rozmowę. Otworzyła przeglądarkę i zaczęła szukać informacji na temat nowego budynku urzędu marszałkowskiego. Oczywiście widziała go już na wielu portalach, te rzeczy o dachu też gdzieś tam czytała, ale musiała to sobie wszystko przypomnieć, żeby w ogóle wiedzieć, jakie zadawać pytania.

Nowy urząd marszałkowski to były właściwie dwa budynki – przedwojenny gmach przychodni, w którym kiedyś mieściło się legendarne już dzisiaj kino Delfin, oraz całkiem nowy budynek na jego tyłach, spięty łącznikami i podziemnymi przejściami. Gruntowe pompy ciepła, odzyskiwanie wody deszczowej, fotowoltaika, ekologia i niskoemisyjne urządzenia, a do tego stacje ładowania samochodów elektrycznych i parkingi dla rowerów. Czyli generalnie nuda. To nie to, co interesowało czytelników.

Paulina przejrzała kilkanaście linków i w końcu trafiła na artykuł o zarzutach dotyczących konstrukcji gmachu. Źle zaprojektowane stropy trzeba było podobno wzmocnić dodatkowymi słupami żelbetowymi, które raz, że podnosiły koszty budowy, a dwa, że zabierały miejsce w pomieszczeniach biurowych, pomyślanych jako *open space*. Gdzieś tam nawet cytowano groźby, że z uwagi na te błędy całość może się zawalić...

– O czym tak rozmawialiście z Pawłem? – Nagle dotarło do niej pytanie Piotra.

– A właśnie... – Uśmiechnęła się. – Wymyślił dla nas nowy cykl, ale w rzeczywistości to reklama. – Paulina streściła Piotrowi ogólną koncepcję.

– Ale to nawet ciekawe. – Piotr podrapał się po brodzie. – Sam słyszałem rozmaite plotki...

Na biurku zaterkotał telefon. Piotr przerwał i spojrzał na wyświetlacz.

Paulina dałaby sobie głowę uciąć, że przez chwilę widziała w jego oczach panikę.

Piotr mruknął „przepraszam”, wstał i przyciskając telefon do ucha, ruszył w kierunku wyjścia na korytarz.

Paulina odprowadziła go wzrokiem. Miała wrażenie, że Piotr był mocno przybity. Albo miał kłopoty, albo to jakiś nowy, toksyczny facet. Chociaż nie. O nowym facecie gadałby bez przerwy.

Piotr obejrzał się za siebie, czy nikt przypadkiem nie wychodzi akurat na korytarz, i dopiero wtedy odezwał się do Borysa.

– Nigdzie nic jeszcze nie ma.

– Już jest – powiedział cicho Borys. – „Wyborcza” właśnie podała, że na Golęcynie w samochodzie znaleziono zwłoki. Trwa postępowanie i takie tam. Nie napisali, kim była ofiara.

– Ofiara – parsknął Piotr nerwowo. – Ty nie wiesz, kim był ten facet? Konkretnie?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Mówiłeś przecież, że to był urzędnik z wydziału zamówień publicznych. Nie kojarzysz, który to może być? Widziałeś go przecież.

– Widziałem trupa – westchnął Borys. – Poza tym przez chwilę tylko. Nie rozpoznałbym go. Urzędasów tam jest od groma.

– Co robimy? – spytał Piotr.

– No właśnie. – W słuchawce słychać było, jak Borys przełknął ślinę. – Rozmawiałem z zaprzyjaźnionym sędzią.

Radził, żeby jak najszybciej iść na policję. Jego zdaniem to przypadkowa ofiara jakiegoś menela i nie ma to nic wspólnego z tymi przekrętami.

Piotr przygryzł wargi. Jemu też się wydawało nieprawdopodobne, żeby z powodu przekrętów w urzędzie miejskim ktoś chciał zamordować człowieka. To musiałyby być sprawa zupełnie innego formatu niż wycinanie drzew czy pokątny handel działkami dla zaprzyjaźnionych deweloperów.

– Dobrze, że wezwałem pogotowie – dodał Borys – bo mogli postawić nam zarzut pozostawienia ранego człowieka bez pomocy. Nie mogłem mieć pewności, że to trup.

Piotr nerwowo przełknął ślinę.

– Jeszcze dzisiaj powinniśmy iść na policję. Spróbuję się dowiedzieć, kto to prowadzi. Spotkajmy się gdzieś na mieście po robocie.

Gdy skończyli rozmawiać, Piotr przez chwilę wpatrywał się w podłogę.

Pomyślał, że musi się uspokoić, żeby w ogóle pracować. Czuł się tak, jakby czekał na wyniki ważnego egzaminu. Adrenalina chyba dobrała się do neuronów jego mózgu, bo cały czas także miał wrażenie, że coś ważnego mu umknęło.

Wiceprezydent Przekot wpatrywał się w ekran laptopa, na którym pyszniły się kolorowe rysunki koncepcji architektonicznej żłobka przy ulicy Pokrętnej. Miasto zleciło projekt we wrześniu dwa tysiące dwudziestego, a gotowy był w listopadzie. Z kolei inwentaryzacja zieleni została wykonana w kwietniu. Kurwa!

Wiceprezydent usiłował przywołać w pamięci kolejność zdarzeń. Nie było siły. Wszyscy od początku doskonale zdawali sobie sprawę, że w tym pieprzonym lasku są drzewa

podlegające ścisłej ochronie. Niestety, przypomniał sobie też, że zlecenie koncepcji poszło z wolnej ręki, bez przetargu. Firma nazywała się Rozeta i to była oczywiście jakaś znajoma kogoś tam. Dotarło do niego także, że w jakiejś rozmowie sam chlapnął, żeby drzewami się nie przejmować, że miasto sobie poradzi. No kurwa! Tylko czekać, aż podchwycą to dziennikarze albo ktoś z tej bandy zielonych.

Podniósł wzrok na wiszący na ścianie zegar. Była dziesiąta. O trzynastej prezydent miał być gościem na portalu „Dziennika Szczecińskiego”. Na pewno go tam zapytają o tę jebaną Pokrętną. Nie ma rady, trzeba iść i go uprzedzić, żeby czegoś nie palnął.

– Pani Andżeliko – rzucił do słuchawki. – Proszę powiedzieć szefowi, że muszę z nim jak najszybciej pogadać. Tak, koniecznie zanim wyjdzie.

Borys położył komórkę na biurku i dyskretnie podniósł wzrok. Dzielił pokój z jeszcze dwoma asystentami i obaj na szczęście byli pogrążeni w swojej robocie. Z nosami wetkniętymi w stare akta co chwila coś notowali, a następnie pisali kolejny fragment projektu jakiejś decyzji czy odpowiedzi na czyjeś zarzuty.

Borys spojrzął z niechęcią na stos papierów, które na niego czekały, a następnie na ekran monitora. Google Earth pokazywał otoczenie placu Leona Koczego i wszystkich przyległych miejsc. Wzdłuż Odry ciągnęły się ogródki działkowe, odseparowane od ulic kępami półdzikiej zieleni. Teoretycznie było możliwe, że w tych krzakach ukrył się sprawca napadu i to jego właśnie Borys usłyszał. O tej porze roku nie było wprawdzie liści, ale za to było ciemno, a najbliższe latarnie stały przy Strzałowskiej, skąd na plac dopiero się zjeżdżało. Cała ta nazwa „plac” była nieporozumieniem. Teren

miał kształt trójkąta, z wierzchołkiem stykającym się z Odrą. Dwa boki tego trójkąta to były wydeptane ścieżki, a trzecim był chodnik przy Strzałowskiej. W centrum tego niby-placu, na letnich zdjęciach w Google kłębiła się nieogarnięta zieleń.

Borys przesunął kamerę bliżej Odry. Drzewa przemknęły na monitorze, przez moment widok był rozmazany i po chwili ukazało się nabrzeże, pozostałości pomostu, a w tle dziki busz wysp na rozlewiskach Odry i jeziora Dąbie. Wystarczyło odbić trochę na północ lub na południe lewobrzeżnych dzielnic miasta, by Odra, w części środkowej uprzemysłowiona i ucywilizowana, zamieniała się w dzikie moczary i rozlewiska, gdzie strach było znaleźć się w nocy.

Borys wrócił do widoku ogólnego, a następnie powiększył obraz okolicy. Praktycznie nad samym placem wznosiło się Wzgórze Kupały. Kolejna debilna nazwa, prychnął pod nosem, oglądając wąskie ścieżki prowadzące na szczyt wzniesienia. Pamiętał, że kiedyś sporo czytał o tym wzgórzu. Głównie dlatego, że pojawiła się jakaś inicjatywa wykorzystania tego miejsca, którą, jako aktywista, wspierał.

Podobno niegdyś było własnością zakonu. Cysterek chyba. Potem było modnym punktem widokowym, którym zachwyciła się nawet żona Fryderyka Wilhelma IV Elżbieta, dlatego też do wojny Niemcy wzgórze nazywali Wzgórzem Elizy. A w czasie wojny stanął na jego szczycie ogromny bunkier, który, opleciony zdziczałą zielenią, wyglądał dzisiaj jak lokacja z jakiejś postapokaliptycznej gry.

Borys westchnął. Czasami się zastanawiał, co skłaniało go do zajmowania się sprawami miasta. Protestami w sprawie wycinanej zieleni, walkami o wyburzane budynki czy sensowne zagospodarowanie takich chociażby miejsc jak to tutaj. Mógł skupić się na swojej karierze i za rok, dwa zdać egzaminy na

sędzię. Matka byłaby przeszczęśliwa, a on wreszcie zacząłby porządnie zarabiać. To znaczy, porządnie w porównaniu ze swoją obecną robotą w tym gównianym korpo. Zarobki sędziów niektórym też wydawały się śmieszne. Tymczasem tracił czas na walkę z urzędnikami, spory z deweloperami, pisanie artykułów do portali i gazet i stopniowo gromadził coraz rozleglejszy elektorat negatywny ludzi, którym nadepnał na odcisk. Jego przyjaciele podpowiadali mu, że ma gen polityka i wylądować pewnie w końcu w jakiejś partii lub skończy jako radny.

Myśl o tym, że ma gdziekolwiek kończyć, od razu sprowadziła go na ziemię. Jeżeli nie wyplącze się z tego gówna, w które wdepnęli z Piotrusiem, to rzeczywiście będzie skończony.

Otworzył zabezpieczony hasłem folder, w którym trzymał rozmaite dokumenty, odpowiedzi na interpelacje, decyzje i postanowienia prezydenta oraz inne poufne pisma.

Otworzył dziwaczne skany, które przesłał mu martwy teraz urzędas znad Odry, i zaczął je uważnie studiować.

Jeden wyglądał jak fragment dokumentacji budowlanej. Dziennik budowy chyba. Borys pojęcia nie miał, czego to dotyczyło. Jakieś zapisy o kontynuowaniu robót murowych, wywózce urobku, pracach izolacyjnych. Pod datą trzynastego maja była lakoniczna wzmianka o kontynuowaniu robót przy ścianach klatki schodowej, a szesnastego zapis o rozpoczęciu robót przy szalowaniu ściany szczytowej i jakiś skrót chyba, box coś tam. Pewnie budowlany slang. Do tego jeszcze niewyraźne zdjęcie. Wykop chyba, z szalowaniem.

I co w tym mogło być wstrząsającego?

Pewnie ten urzędas chciał rozwinąć temat dopiero podczas rozmowy, względnie przekazać inne dokumenty, które

rzuciłyby więcej światła na te rzekome przekręty.

Czy facet rzeczywiście zginął przypadkiem?

Borys ściągnął ponownie na ekran mapę i wbił wzrok w ciemnozielone masy drzew wokół Wzgórza Kupały. To było obecnie miejsce o zdecydowanie złej sławie. W ogóle cała północ Szczecina, wzdłuż Odry, to był jeden wielki mordor, gdzie strach było przebywać po zmroku. Teoretycznie mógł przyciągnąć jakiegoś pijanego menela lub jakichś łobuzów. Dali mu w łeb, żeby go uciszyć, nawet niekoniecznie chcieli go zabić. Po prostu tak wyszło. Czytał przecież dziesiątki takich akt. Bójka, nerwy, szarpanina, ktoś komuś przywalił w głowę czymś ciężkim. Obrona upierała się później przy afekcie, a prokurator przy zabójstwie w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie.

Prokurator! Sięgnął po telefon. Musiał się dowiedzieć, czy już to komuś przydzielili. Jeśli tak, to powinien najpierw porozmawiać z prokuratorem. Zaprzyjaźniony sędzia radził, żeby jednak nie czekać i od razu iść na policję. Ustalił już swoją linię obrony. Chryste, jak to brzmiało! Stresująca sytuacja, w końcu jechał na spotkanie z wysoko postawionym urzędnikiem w sprawie jakichś przewałów, noc, ciemność. Po prostu przestraszył się i uciekł. Nie jest żadnym agentem specjalnym, tylko zwykłym aktywistą. Nielegalne przesuwanie donic po chodnikach czy symboliczne wykuwanie kostek brukowych w ramach zielonego happeningu były największymi zbrodniami, na jakie był w stanie się zdobyć. Dobrze, że przynajmniej wezwał pogotowie.

Borys na moment zamarł.

Chyba go totalnie ogłupiło to wszystko. Jezus Maria! Co powiedziała dyżurna, jak wezwał pogotowie? Że co?! Spytała, czy to plac Koczego, a potem powiedziała, że już ktoś dzwonił

i że są w drodze. Pamiętał, że wtedy mu ulżyło. Pomyślał, że w końcu im szybciej lekarz obejrzy tego gościa, tym lepiej, ale teraz...

Kto wezwał pogotowie?! Przecież od momentu, gdy odjechali z placu, minęło może pięć minut! Kto mógł, do diabła, wezwać pogotowie?!

Rozdział 5

Paulina wpatrywała się z niedowierzaniem w Piotra.

– To dlatego jesteś dzisiaj taki struty od rana? – zapytała w końcu.

Piotr spojrział na nią z dezaprobatą.

– A to jest według ciebie niewystarczający powód, księżniczko?

– To ten Borys od Nowego Miasta?

– Ten sam.

Paulina chciała kontynuować przesłuchanie, ale obok jej i Piotra biurka przeszły akurat dwie koleżanki, każda z kubkiem w dłoni. Śmiejąc się, wymieniały uwagi na nieśmiertelny o tej porze roku temat – sylwester.

– „Wyborcza” o tym wspomniała. – Paulina, gdy koleżanki znalazły się w bezpiecznej odległości, pochyliła się w kierunku Piotra. – Teraz to sobie przypomniałam. Ale nie napisali, że to urzędnik magistratu.

– Borys chce iść na policję. Mam się z nim spotkać dzisiaj po południu.

Paulina postukała długopisem w blat.

– Może najpierw zadzwonię do Iwony i spróbuję coś z niej wyciągnąć? – Spojrzała na Piotra i nie czekając na jego reakcję, sięgnęła po komórkę.

Komisarz Iwona Halczyszyn prowadziła sprawę zamachowca o pseudonimie Heiland der Welt, przez którego Paulina najpierw straciła pracę, a później, dzięki medialnej wrzawie, odzyskała ją na nieco lepszych nawet warunkach. Pierwszy jej kontakt z policjantką nie był zbyt zachęcający, tym bardziej że Paulina uparcie wchodziła w drogę śledczym prowadzącym sprawę zamachów, ale po jakimś czasie zdołały się nawet zaprzyjaźnić. Chociaż „przyjaźń” to może słowo nieco na wyrost, bardziej było to coś w rodzaju paktu o nieagresji i wzajemnej pomocy.

– Cześć, Paulina. – Policjantka odebrała w typowy dla siebie sposób. Za każdym razem jedynie ubierała to w inne słowa. – Mam tylko chwilę dosłownie. Jak chodzi o coś poważnego, to oddzwonię potem.

– Szybciutko. – Paulina odwróciła się do okna, zasłaniając telefon. – Napisała o tym jedynie „Wyborcza”. Zwłoki w samochodzie na Golecinie.

– A co chcesz wiedzieć? Zajmuje się tym Renard. Poznałaś go, chciał się z tobą umówić. Pamiętasz chyba?

Paulina przypomniała sobie policjanta, do którego Halczyszyn ją skierowała, gdy Paulina pisała artykuł na temat zawyżania policyjnych statystyk.

– Coś już wiadomo? – zapytała ostrożnie.

– Facet nazywał się Moszenicki. Tyle mogę ci powiedzieć, bo zaraz i tak wszyscy o tym będą gadać. Jakiś urzędnik średniego szczebla z urzędu miejskiego. Śledztwo na razie skupia się na wątku obyczajowym. Czy ta sprawa interesuje cię z jakiegoś konkretnego powodu?

– Niestety. – Paulina nabrała powietrza w płuca. – Moi dwaj znajomi byli w nocy przy tym samochodzie...

– Kurwa, Paulina – warknęła Halczyszyn, ścisząc głos. – I ty ze mną ot tak o tym gadasz? Jak byli? Co to znaczy byli?!

– Przyjechali na spotkanie z nim. Facet miał im przekazać jakieś dokumenty, ale kiedy dotarli na miejsce, to gość już nie żył.

– I nie wezwali policji?! – Halczyszyn ściszyła głos jeszcze bardziej. – Tak sobie odjechali?

– Przestraszyli się. Możliwe, że sprawca tam jeszcze był. Po prostu uciekli.

– Ja pierdołę! To niech natychmiast przyleżą na posterunek złożyć zeznania! Jeśli ktoś ich widział, to przecież zaraz ich zaczniemy szukać w charakterze podejrzanych. Przekaż im, że jeszcze dzisiaj mają być u nas. Ja pogadam dyskretnie z Renardem. Kurwa, ja stąd wylecę przez ciebie.

Chwilę później Paulina relacjonowała przebieg rozmowy pobladłemu Piotrowi.

– W charakterze podejrzanych? – wydukał, rozglądając się ostrożnie po redakcji, czy nikt ich akurat nie podsłuchuje. – Przecież myśmy nic nie zrobili!

– Zwialiście z miejsca przestępstwa! Zbrodni! – syknęła Paulina z irytacją. – Naprawdę trzeba ci to tłumaczyć? Już nie wspominam nawet o tym całym Borysie, który jest prawnikiem i który powinien mieć więcej rozumu.

– Dzisiaj kazała przyjść? – upewnił się Piotr, który nagle poczuł się jak mały chłopiec wzywany do gabinetu dyrektorki.

– Dzisiaj! – Paulina pokiwała głową. – Na Małopolską. Gość się nazywa Renard. Przemek Renard. On się tym zajmuje. Aspirant Przemysław Renard.

– Paulina! – Głośne wołanie od strony aneksu Pawła spowodowało, że oboje aż podskoczyli.

– Przecież ty masz za chwilę rozmowę z prezydentem! Jest za dziesięć pierwsza! – Paweł wskazał zegar na ścianie. – To ja mam ci przypominać o twoich obowiązkach?!

Paulina spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na zegar.

– Szlag żeby to trafił! – zaklęła pod nosem, po czym gwałtownie wstała od biurka i zaczęła szperać w papierach, szukając notatek przygotowanych na rozmowę z prezydentem.

Katarzyna zamknęła drzwi swojego gabinetu, usiadła przy biurku i otworzyła Facebook. Nie było co się oszukiwać, wszystkie newsy najpierw tam się znajdowało. Zanim człowiek przejrziałby te wszystkie portale, gazety, dzienniki, to byłby wieczór, a tu znajomi znajomych, których nigdy na oczy nie widziała, ale z którymi dyskutowała czasem, jakby znali się od drugiej wojny światowej co najmniej, w trymiga robili przegląd wszystkich najnowszych doniesień, twittów, debilizmów, dosłownie wszystkiego, co każdego dnia pojawiała się w mediach. Jak to Raczkowski skomentował kiedyś: „Opinią publiczną w Polsce znów wstrząsnęła seria wydarzeń pozbawionych znaczenia”.

Zaglądała dzisiaj do netu średnio co godzinę, co się jej nie zdarzało prawie nigdy. Zazwyczaj robiła przegląd prasy koło dziewiątej, przy kawie, a potem nie wracała do social mediów. Chyba że ktoś bardzo czekał na jej komentarz na Twitterze, to wtedy chętnie dawała mu to, czego chciał. Kwestia indywidualna, jedni nazywali to chamstwem, inni pisali, że ma cięty język.

Przeleciała wiadomości na lokalnych portalach. Przesuwając palcem po touchpadzie, zauważyła, że drży jej ręka. Zacisnęła

dłoń w pięść i głęboko odetchnęła.

Przejrzała kilka prywatnych tablic i zatrzymała się na stronie „Gazety Wyborczej”.

„Na placu Leona Koczego w późnych godzinach wieczornych w zaparkowanym samochodzie znaleziono zwłoki mężczyzny... Z niepotwierdzonych informacji wynika, że zmarły mógł być urzędnikiem lokalnej administracji...”

Katarzyna zatrzymała wzrok na przypadkowym zdjęciu samochodów policyjnych, które „Wyborcza” wrzuciła chyba tylko po to, żeby zwiększyć zasięgi.

„Nie ma jeszcze pewności, czy mężczyzna umarł z przyczyn naturalnych, czy został zamordowany...” – przeczytała.

Przez moment zastanawiała się, czy rzeczywiście nie wiedzą jeszcze, kim był ten facet, czy nie podali tego do wiadomości, bo „Wyborcza” dała ratuszowi trochę czasu na ogarnięcie się.

Zjechała w dół i rzuciła okiem na forum. Chlew jak zwykle. Ludzie prześcigali się w coraz to bardziej fantastycznych albo zwyczajnie plugawych teoriach. Podejrzewanie kogoś o porachunki mafijne przy tych fantazjach to było dzisiaj boomerstwo.

Odetchnęła i sięgnęła po filiżankę z kawą. Gdy ją podnosiła z talerzyka, naczynko podstępnie zabrzęczało, zdradzając stan jej nerwów.

Zastanawiała się, czy sama może czuć się bezpieczna.

To było zadziwiające, ale nic nie czuła.

Lameński wszedł na drugie piętro, przystanął i markując grzebanie w smartfonie, spojrzął w kierunku pomieszczeń wydziału zamówień publicznych. W przedostatnim pokoju przed zakrętem były uchylone drzwi i dochodziły stamtąd

odgłosy prowadzonej rozmowy. Lameński schował telefon do kieszeni marynarki i ruszył w tamtym kierunku. Czyżby miał szczęście?

Gdy znalazł się na wysokości drzwi, ostrożnie zajrzał do środka. Przy biurku, odwrócona tyłem, stała kobieta i bębniąc palcami po blacie, rozmawiała z kimś mocno poirytowanym głosem. Na następnych drzwiach na korytarzu była tabliczka z nazwiskiem szefa wydziału. Lameński sięgnął do klamki i kilka razy nacisnął. Tak jak przewidział, drzwi były zamknięte. Zazwyczaj niekoniecznie mogło to świadczyć o tym, że wewnątrz nikogo nie było. Kierownicy wydziałów, rzadziej inspektorzy lubili się czasem zamykać, żeby odizolować się od petentów i móc przez chwilę się skupić. Mimo że od czasów pandemii na wyższych piętrach urzędu pojawiało się o wiele mniej ludzi, wszystkich obsługiwano w pomieszczeniach biura obsługi interesantów na parterze, urzędnikom trudno było bowiem pozbyć się wygodnego zwyczaju.

Lameński wychylił się i dyskretnie zajrzał do pokoju inspektorki. Kobieta odłożyła ze złością telefon na biurko i zaczęła zbierać z niego jakieś papiery.

Szybko cofnął się za róg korytarza. Także dzięki pandemii wśród pracowników wzrosła średnia tych, którzy opuszczając na chwilę pokój, nie zamykali drzwi na klucz.

Inspektorka wyszła, trzasnęła drzwiami i ruszyła korytarzem w kierunku schodów.

Lameński odczekał chwilę, po czym wślizgnął się do środka. Były tutaj drzwi wewnętrzne, które prowadziły do gabinetu szefa wydziału. Z reguły nie były zamknięte.

Otworzył je i przystanął niezdecydowany.

Biurko było irytująco czyste. Wszystko poukładane w rzędkie i żadnych niepotrzebnych papierów na wierzchu. Bartłomiej

Moszenicki musiał rzeczywiście być socjopata.

Lameński nie wiedział dokładnie, czego szukał.

Wiedział tylko, że szef wydziału może mieć jakieś kompromitujące papiery. Wątpił wprawdzie, że trzyma je w biurku w urzędzie, ale skoro była okazja, żeby to sprawdzić, nie mógł sobie tego oczywiście darować. Kilka miesięcy temu Moszenicki dostał tutaj posadę. Z pominięciem wszelkich procedur, tak jakby ktoś go tutaj zainstalował.

Lameński nawet nie pytał, wiedział, że nikt mu nic nie powie. Jego pozycja faworyzowanego doradcy prezydenta skutecznie narobiła mu wrogów.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Jedną, potem dwie następne. Wszędzie jakieś biurowe duperele i teczki z kosztorysami.

Tablet i notebook Moszenicki miał pewnie przy sobie, tego akurat można było być pewnym.

Przejrzał jeszcze szafkę pod biurkiem, w której znalazł wyłącznie pudełko yerby i drugie zielonej herbaty. Rozejrzał się jeszcze dookoła i zniechęcony chciał wyjść, gdy jego wzrok padł na planer leżący równiutko na rogu biurka.

Idealnie czysta kartka ze śladami odcisniętego długopisu.

Przez chwilę przyglądał się poszarpanym krawędziom kalendarza. Dopiero co ktoś musiał wyrwać z niego kartkę. Obszedł biurko i zajrzał do kosza. Niewielki stosik odpadków ukoronowany był dwoma ogryzkami jabłek. Jeśli Moszenicki wyrwał kartkę z planera, to albo zabrał ją ze sobą, albo zmielił ją w niszczarce. Względnie podarł i wyrzucił gdzieś na zewnątrz. Tak czy siak zatem, było tam coś podejrzanego.

Lameński wrócił do biurka i sięgnął po planer, po czym wyrwał z niego dwie strony, ostrożnie je złożył i wsadził do

kieszeni marynarki.

Pomyślał, że pracownica biura Moszenickiego zaraz może wrócić, wymknął się do jej pokoju, a stamtąd prosto na korytarz. Zamknął za sobą drzwi i przemknął za róg.

W tej chwili od strony schodów dobiegł energiczny stukot obcasów.

Paulina wpadła do pomieszczeń studia „Dziennika Szczecińskiego” w ostatnim momencie. Siedząca za kontuarem recepcjonistka na jej widok wyraźnie odetchnęła z ulgą.

Szklane drzwi, prowadzące w głąb redakcji, otworzyły się z impetem i wpadła przez nie dziennikarka o blond włosach zajmująca się wyłącznie materiałami filmowymi.

– Chryste! – szepnęła do Pauliny, przystawiając jednocześnie palec do ust. – Filip już się zaczął denerwować. Będzie z tobą prowadził. Kończy gadać właśnie z miejskim konserwatorem. Jesteś gotowa? – Spojrzała krytycznie na Paulinę.

Paulina zerknęła w lustro, ale dziewczyna złapała ją pod ramię i pociągnęła za sobą do zaimprovizowanej przy redakcyjnym studiu charakteryzatorni.

Pięć minut później w sali pojawił się prezydent, przywitał się jowialnie ze wszystkimi, rzucił kilka żartów, po czym ponownie włączono kamery.

Filip po krótkim wprowadzeniu i oficjalnym przywitaniu zwrócił się do prezydenta z zachęcającym uśmiechem.

– Panie prezydencie, pierwsze pytanie dotyczy inwestycji komunikacyjnych miasta. Co z zachodnią obwodnicą?

Paulina, wykorzystując moment, gdy kamery skupiły się na prezydencie, przejrzała swoje notatki. Usłyszała właśnie, że prezydent zgodził się na poruszenie tylko kilku tematów,

głównie z braku czasu, ale wiadomo było, że pewnych spraw wolał nie omawiać publicznie. Paulina uważała, że ustalenie tego, o czym można, a o czym nie można mówić, jest nieco dziwne, ale taką politykę narzuciło biuro prezydenta, z którym portal uzgadniał warunki. Jednym z tematów, które warunkowo jedynie dopuszczono, był nieszczęsny żłobek na Pogodnie.

Paulina podniosła wzrok i spojrzała na prezydenta, który roztaczał właśnie przed słuchaczami ponure wizje związane z finansowaniem inwestycji drogowych.

Dlaczego miasto boi się tematu Pokrętnej? Protesty mieszkańców i zielonych tak ich przestraszyły? Przecież jeżeli wszystko jest jasne i zgodne z przepisami, to sami powinni dążyć do tego, żeby jak najszybciej to wyjaśnić.

Brodaty redaktor uśmiechnął się do kamery i gładko zmienił temat.

– Kwestia żłobka na Pokrętnej rozpala opinię publiczną do czerwoności. – Przeniósł wzrok na prezydenta. – Co miasto planuje począć z protestami mieszkańców oraz prawną batalią, którą rozpoczęli aktywiści?

Prezydent pokiwał głową z zafrasowaniem.

– Czas na protesty oraz wszelkie merytoryczne uwagi dotyczące tej inwestycji był w roku dwa tysiące osiemnastym, kiedy to przygotowywany był miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dla tego terenu. Budowa żłobka jest całkowicie zgodna z zapisami planu, a przypominam państwu także – prezydent spojrzał w stronę kamery – że na żłobek w tej części dzielnicy czeka mnóstwo mieszkańców. Miasto po prostu wychodzi im naprzeciw.

– Wczoraj rozpoczęto stawianie ogrodzenia wokół lasu na Pokrętnej – odezwała się Paulina. – Czy nie sądzi pan, że

miasto powinno jednak poczekać na rozstrzygnięcie sporów dotyczących zieleni, zamiast zaogniać sytuację?

– Firma wykonawcza przystąpiła po prostu do prac, które nie są związane z zezwoleniem marszałka. Tymczasowe ogrodzenie terenu na czas budowy zostało ustalone z nadzorem budowlanym i jest całkowicie zgodne z przepisami.

– Dlaczego właściwie miasto nie zdecydowało się na budowę żłobka na niezadrzewionej działce kilkaset metrów dalej?

Paulina podniosła wzrok znad notatek i złowiła ostrzegawcze spojrzenie redaktora prowadzącego.

– Pani redaktor – prezydent uśmiechnął się do Pauliny, a zaraz potem do kamery – nie ja konstruuje plany zagospodarowania przestrzennego i nie ja ustalam kolejność inwestycji miejskich ani też nie podejmuję takich decyzji osobiście. Od tego są wydziały urbanistyki i zamówień publicznych, a one realizują po prostu zadania miasta...

– Krążą plotki, że działka na etapie tworzenia planu została obiecana deweloperom.

– Nie podejmuję się dyskusji na temat plotek. – Prezydent pokręcił głową z dezaprobatą. – Wracając do sprawy żłobka, miasto nie odstąpi od tej budowy, dlatego że żłobek jest tam absolutnie niezbędny. Grupa niezadowolonych z tej inwestycji nie może terroryzować większości.

– Więc pogłoski o deweloperce są nieprawdziwe? – nie ustępowała Paulina, patrząc na prezydenta, przez którego twarz przemknął cień niezadowolenia.

– Jak wspomniałem – wycedził prezydent – nie podejmuję się rozmowy na temat plotek.

Paweł, widząc Paulinę w drzwiach redakcji, pokręcił ze zniechęceniem głową.

– I coś ty znowu musiała odwalić? – westchnął. – Wiesz, jak trudno jest namówić prezydenta na taką rozmowę? Jego ludzie zaraz mnie objadą.

– Dowiedziałam się, że biuro prezydenta ustalało, jakie pytania można, a jakich nie można zadawać – warknęła Paulina, siadając przy swoim biurku. – To jak na Białorusi prawie.

W sali zapanowała cisza. Paulina i Paweł tym razem dyskutowali nad głowami pozostałych pracowników, którzy umilkli, przysłuchując się z ciekawością. Kłótnie Pauliny z naczelnym bywały zazwyczaj dość efektowne.

– Nie ustalało. Zaraz tam ustalało – zachnął się Paweł. – Po prostu sugerowali tylko pewne tematy. Mają prawo.

– Widziałeś forum? Co drugie pytanie było o Pokrętną. Jakbym nie zapytała, to wylaliby nam na głowę wiadro pomyj.

Z aneksu Pawła dotarł dźwięk telefonu. Paweł, który otwierał właśnie usta, żeby skomentować wyjaśnienia Pauliny, wzniósł oczy do nieba i westchnął.

– Mówiłem? – Rzucił Paulinie spojrzenie pełne wyrzutu i cofnął się do swojego pokoju, zasuwając za sobą drzwi.

Piotr patrzył na Paulinę niewidzącym spojrzeniem, właściwie nawet nie słyszał, o czym rozmawiała z Pawłem. Paulina pomachała mu przed nosem ręką.

– Halo, tu Ziemia – zażartowała.

Piotr spojrzał nerwowo na zegarek.

– Gadałem z Borysem – burknął. – Ma mi dać znać, jak będzie mógł się wyrwać z korpo.

– À propos Borysa. – Paulina przesunęła palcami leżące przed nią wydruki. – Z tą Pokrętną musi być coś nie tak,

bardziej, niż mi się wydawało. Prezydent zrobił się zielony, jak zaczęłam go o to pytać.

Piotr uśmiechnął się pod nosem z ironią.

– Borys chętnie z tobą na ten temat porozmawia.

– Ja w sumie niewiele o tym wiem. – Paulina spojrzała na wydruk artykułu z jakiegoś portalu. – Czytałam tylko ogólnie o tych drzewach.

– Borys podejrzewał, że Moszenicki mógł właśnie coś o tej deweloperce wiedzieć. Przesłał mu nawet jakieś rysunki.

– Coś mu wysłał? – Paulina spojrzała zaintrygowana. – I teraz dopiero mówisz?

– Nie wiem, co to jest. – Piotr wzruszył ramionami. – Nie widziałem tego.

– Zabierzcie to koniecznie na policję. – Paulina przez chwilę wpatrywała się zamyślona w przestrzeń. – Nie mógł ci tego pokazać?

– Obiecał, że mi wyśle, ale to przed tym wszystkim. Teraz pewnie nie pamięta. – Piotr westchnął i spojrzał na zegar.

Drgnął gwałtownie, gdy zabrzęczała leżąca przed nim komórka.

– Borys! – stwierdził, kiedy przeczytał wiadomość, po czym zerwał się od biurka.

– Powiedz Pawłowi, że musiałem wyjść albo coś – rzucił Paulinie, biegnąc prawie w kierunku wyjścia z redakcji.

Nowacki spojrzał na ekran na tablicy rozdzielczej, na której migotała malutka słuchawka. Do dynamicznego kawałka dance wdarł się chropowaty dźwięk telefonu.

Znowu dzwonił ten dureń Poznański.

Odrzucił połączenie i ciężko westchnął. Będzie musiał w końcu z nim pogadać, bo inaczej jełop ze strachu narobi im obu problemów.

Przecieki przy zachodnim wjeździe. I co z tego?! Pada, kurwa, od miesiąca. Cały czas wieje, a wody gruntowe pewnie rozleją się za chwilę na łąkach. Co w tym dziwnego, że kurewstwo przecieka? Poza tym przecieka przy wjeździe, a nie przy klatkach ewakuacyjnych. No i dowiedział się już, że Nord/Barentz wpadło na trop niewielkich nieprawidłowości przy izolacjach. I na tym pewnie się skończy. Podwykonawca wjazdów będzie musiał w ramach gwarancji skuć nawierzchnię i naprawić izolacje. I to wszystko.

Z Dark-Budem to nie ma nic wspólnego, a ten panikuje, jakby mieli ich zaraz o coś oskarżyć. Uciszenie dwóch chłopaków, którzy kręcili się podczas całej tej jebanej operacji z galeonem, na szczęście było proste. Obaj się zaklinali, że to nie oni rozpuścili plotkę o jakiejś debilnej świątyni, którą teraz powtarzają na forach. Ciekawe zatem, kto to zrobił. Moszenicki? On raczej miał jeszcze mniej powodów, żeby kłapać dziobem. Jego protektorzy by go uciszyli w trymiga, i to nawet bez niczyjej pomocy.

Może Poznański? Dlatego teraz trzęsie tyłkiem. To w zasadzie było możliwe. Majster był za młody, Nowacki od początku obawiał się, że niedoświadczony kierownik budowy w takim gównie, w jakim się często babrali, sobie nie poradzi. Co innego typowe domki od podstaw, a co innego duże przebudowy czy takie skomplikowane inżynieryjne roboty, jak ta tutaj. No i był jakiś psychicznie niestabilny. Chyba nawet brał psychotropy.

No nic, będzie trzeba z nim jednak pogadać.

Zredukował do trójki i skręcił na lewy pas. Bmw ryknęło i rzuciło się do wyprzedzania czerwonej skody.

Aspirant Przemysław Renard był ogolonym na łyso, dobrze zbudowanym facetem po trzydziestce. Doskonałą do niedawna zapewne sylwetkę psuł jedynie lekko odcinający się nad paskiem brzuch, co Piotr oczywiście od razu zarejestrował.

Nie zamieniłby jednak zumbi na siłownię. Przynajmniej nie musi obżerać się tym białkiem i proteinami, a nadmuchane mięśnie nie są mu do niczego potrzebne.

Seksowne też nie są, pomyślał, przyglądając się dyskretnie policjantowi. Facet wyglądałby o niebo lepiej, gdyby zrzucił kilka kilogramów. I z brzucha, i z masy mięśniowej.

– I niczego pan nie zauważył w tych krzakach? – Policjant podniósł wzrok znad notatek.

– Nie wysiadałem z samochodu. – Piotr pokręcił głową.

– Właściwie dlaczego? – Aspirant uniósł brwi. – Umówiliście się z tym człowiekiem obaj. Czemu tylko pan Ignatiuk podszedł do jego auta? To miał być jakiś zwiad?

– Borys bał się, że facet się spłoszy, jak nagle obaj staniemy mu nad głową.

– Dlaczego miałyby się spłoszyć? Przecież powiedział pan, że Moszenicki podobno wiedział, że obaj przyjedziecie?

Piotr wzruszył ramionami.

– Dziesiąta w nocy. Umawia się pan z dwoma nieznanymi osobiście kolesiami. Ten plac to wie pan, jak wygląda?

– To on zaproponował to miejsce czy wy?

– Przysłał wiadomość, że ma kłopoty ze swoim wujkiem, który mieszka niedaleko, i dlatego zaproponował, żeby tam się spotkać.

– I nie wydało się to wam podejrzane? – Policjant spojrzał na Piotra powątpiewająco.

Piotr westchnął z rezygnacją.

– Mnie to wszystko się wydawało podejrzanе – powiedział. – Ale jestem dziennikarzem, a poza tym gdzie urzędnik miejski miałby przekazywać dowody szemranych interesów? W urzędzie miasta?

W sąsiednim pokoju komisarz Iwona Halczyszyn wpatrywała się w ekran smartfona, który chwilę wcześniej podał jej Borys.

– Bart Womay? – Podniosła wzrok i spojrzała na prawnika ironicznie. – I od razu pan uwierzył, że ten osobnik ma niepodważalne dowody na jakieś przekręty?

– Przecież on tam napisał, że jest urzędnikiem wydziału zamówień publicznych. – Borys wskazał brodą komórkę. – Notabene to akurat przecież okazało się prawdą.

– Ale ja pytam, jak to się stało, że pan w to uwierzył. Wierzy pan każdemu hejterowi o durnym nicku?

– Nie wierzę, ale co szkodziło sprawdzić? Jedyne, czego mogliśmy się obawiać, to tego, że facet nas wystawi. Normalni ludzie nie zakładają ad hoc, że ktoś zostanie zamordowany.

– A jak wielu normalnych ludzi udaje się o dziesiątej w nocy na Golecin, żeby spotkać się z podejrzanym typem, który twierdzi, że chce zdradzić jakieś tajemnice?

– Wie pani, czym się zajmuję? – Borys spojrzał z niechęcią na policjantkę. – Piszą do mnie różni ludzie, często z kont na Facebooku. Że gdzieś wycinają drzewa albo chcą coś wyburzać. Z reguły staram się to weryfikować, ale tutaj raczej nie miałem jak.

– A link, z którego wysłał panu te rzekome materiały, już jest nieaktywny. – Policjantka oddała komórkę Borysowi i spojrzała na niego uważnie.

Borys wzruszył ramionami.

– A dziwi to panią? Sam bym od razu go usunął.

– Tyle że nie mamy teraz absolutnie nic na potwierdzenie pana słów.

– Po cholere byśmy wymyślali takie brednie z dokumentami?

– Borys patrzył na policjantkę ze złością i niepokojem. Miał wrażenie, że oba te uczucia ma wypisane na twarzy.

Piotr zmarszczył brwi i spojrzał zaskoczony na aspiranta Renarda.

– A jakie to ma znaczenie? Dlaczego pan o to pyta?

– Nie musi pan oczywiście odpowiadać. – Policjant uśmiechnął się niezręcznie. – Ale to jeden z wątków śledztwa.

– Moja orientacja seksualna?

– Także – przytaknął Renard. – Staramy się wyeliminować wersję, że Moszenicki umówił się z kimś po prostu na randkę.

– I że niby nam się nie spodobał, więc go zabiliśmy? – zakpił Piotr, patrząc na policjanta z nieukrywaną irytacją.

– Proszę się postawić na naszym miejscu. – Policjant uśmiechnął się samym kącikiem ust. – Pana kolega pisze z kimś o pseudonimie Bart Womay, a następnie umawia się w nocy w ustronnym miejscu.

– Po co zatem pisałby o dokumentach w sprawie przekrętu?

– O dokumentach to tylko wiemy od was. Link, z którego pana kolega je rzekomo ściągnął, jest już nieaktywny. Może było w nim coś zupełnie innego, co teraz chcecie przed nami ukryć.

– Na przykład co? – Piotr zmrużył oczy ze złością. Podejrzewał, że wyprowadzenie go z równowagi było częścią tej rozmowy, a on daje się właśnie podpuszczać.

– Na przykład swoje zdjęcia.

– Pan serio to mówi? – Piotr gapił się na Renarda wstrząśnięty.

– No wysłał wam na przykład zdjęcia swojego fiuta. – Policjant odwrócił się, żeby ukryć uśmiech.

– Według pana to śmieszne? – Piotr posłał mu pogardliwe spojrzenie. – Kobiety też pan lubi bić teleskopową pałką?

Policjant spoważniał i spojrzał na Piotra bykiem.

– Ta uwaga była nie na miejscu. I całkowicie zbyteczna.

– Homofobiczne żarty natomiast pewnie jak najbardziej? – zakpił Piotr.

– Panie Piotrze... – Policjant chrząknął. – Byliście na miejscu morderstwa. Nie mamy jeszcze wyników sekcji, ale skoro godzinę wcześniej Moszenicki do was pisał, zakładając, że pisał on, mamy bardzo wąski przedział czasowy, w jakim mógł zginąć. Skoro nie wy go zabiliście, jak to możliwe, że nikogo pan nie zauważył?

I w tym momencie Piotr przypomniał sobie, że coś mu umknęło. Jedna sprawa, kto wezwał pogotowie. Zdążył wymienić z Borysem kilka uwag, gdy czekali na korytarzu na policjantów, i też go oświeciło, że przecież odjechali raptem kilkaset metrów, a już słychać było karetkę. Czy wcześniej ktoś, tak jak oni, zdążył podejść do samochodu i przerażony uciekł? No i było coś jeszcze, teraz zaczął wygrzebywać to z pamięci...

– Gdy jechaliśmy na miejsce, w bramie widziałem kilku chłopaków – powiedział z namysłem. – Wchodzili właśnie do jednej z klatek.

– Jaka to była ulica? – Renard zapisał coś w swoich papierach i spojrzał na Piotra uważnie. – Pamięta pan, jak wyglądali?

– Wiszesława, takie kolorowe, odnowione niedawno kamieniczki. Trzech facetów. Nie chcę ich oceniać tylko na

podstawie wyglądu...

- Niech pan ocenia.
- No raczej jak patologia wyglądali.
- Młodzi, starzy?

Piotr spojrzał w okno. Pamiętał, że wchodzili w bramę.

– Dwóch miało czarne sneakersy i białe skarpetki, na to zwróciłem uwagę akurat – powiedział z namysłem. – Trzeci miał chyba jakąś jasną kurtkę albo bluzę z kapturem. Ten w jasnej bluzie miał, zdaje się, brodę. – Po chwili dodał: – Raczej młodzi.

Halczyszyn skończyła notować i spojrzała na Borysa.

– I nie zauważył pan tam niczego dziwnego? Może coś rzuciło się panu w oczy?

Borys pokręcił głową.

– Usłyszałem jedynie szmer w krzakach. Naprawdę się przestraszyłem. Facet miał przecież rozwaloną czaszkę.

– Jeśli pisał do pana przed dziewiątą – Halczyszyn spojrzała na zegar na ścianie – dojazd na miejsce z Gumieniec zajmuje jakieś pół godziny, to w zasadzie przyjechał tam przecież razem z wami?

– Nie wiemy, czy pisał z Gumieniec. – Borys pokręcił głową. Rzeczywiście. Teraz mu to przyszło na myśl. – Mógł już wcześniej być u tego swojego wujka, a od niego tam jest podobno blisko.

– To prawda – zgodziła się Halczyszyn. – Będziemy rozmawiać z tym panem. Niestety dzisiaj rano został zabrany do szpitala.

Miłosz ziewnął. Nawet nie trudził się, żeby zasłonić usta. Od godziny szwendał się po budowie i czekał, aż przywiozą beton do zalewania fundamentów. Podobno korki. Wzdłuż ogrodzenia z siatki ciągnął się rząd kontenerów budowy, a trochę dalej w ziemi ziała wielka dziura, w której szerokimi pasami tkwiły, przygotowane do zalania, płyty fundamentowe.

Westchnął i ruszył na kolejny przemarsz dookoła placu. Chłopacy siedzieli pod płotem i co chwila dobiegały stamtąd głośne wybuchy śmiechu. Przestało go to irytować jakieś dwadzieścia minut temu. Teraz tylko marzył o tym, żeby się położyć i wyspać.

Nie dość, że nie spał prawie całą noc, to jeszcze wziął rano całą łyżkę stołową kropli na dobry humor. Niezła nazwa, swoją drogą. Faktycznie, za każdym razem go zamulały na tyle, że podejrzewał niejasno – a nigdy nie spojrzał albo nie pamiętał, czy spojrzał w lustro – że ma przylepiony do twarzy głupawy uśmiezek. Producent konopi pisał co prawda, że wystarczą dwie krople, ale dwie krople to nawet by nie podziały na wróbla, a co dopiero na osiemdziesięciopięciokilogramowego faceta.

Miłosz spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. Jak gruszka przyjedzie nawet za chwilę, to i tak nie skończą do osiemnastej. Znowu nadgodziny i znowu nie wyszarpie za to żadnej kasy. Kopnął ze złością kamień, który potoczył się i wpadł do kałuży.

Sięgnął po smartfon i zaczął z nudów przewijać wydarzenia. Starał się omijać komentarze znajomych i komentarze pod wiadomościami. Nie po to płacił tyle kasy za te konopne krople na uspokojenie, żeby teraz wkurwiać się przez jakichś debili.

Zatrzymał się na nowych wiadomościach podanych przez portal Szczecin & LeftSide i nagle poczuł, jak po plecach

maszerują mu mrówki faraona. Albo skarabeusze nawet.

Lameński uśmiechnął się do kelnera, który postawił przed nim koszyk ze sztucami. Gdy chłopak odszedł w kierunku sąsiedniego stolika, sięgnął po filiżankę z kawą i wyjął z kieszeni marynarki poskładane kartki z planera Moszenickiego.

Rozprostował je i wbił wzrok w malujące się na białych kartkach ślady. Widział to w tylu filmach, że coś w tym musiało być. Podniósł kartkę pod światło.

Na górze strony widać było wyraźnie jakieś numery. Nawet udało mu się rozszyfrować dwie albo trzy cyfry, a było ich dziewięć. Czyli to czyjś numer komórkowy, pomyślał.

Przez moment zaniepokoiło go, że przecież w ten sposób zabrał, być może, ważny dowód w śledztwie, ale jakoś jednak nie wierzył, że policja znajdzie czas, żeby prowadzić aż tak dokładne dochodzenie. Mieli tyle ważniejszych zadań. Do Warszawy na Żoliborz czy na plac Piłsudskiego to musieli ich przecież dowozić nawet ze Szczecina chyba.

Położył kartkę na stole i jeszcze raz przejechał po niej dłonią. Nie miał ołówka. Rozejrzał się po sali i widząc przechodzącego niedaleko kelnera, skinął do niego z uśmiechem.

Pięć minut później zabrał się do czynności, którą stale kopiowali scenarzyści kryminałów. Powoli, jednostajnymi ruchami zamazywał ołówkiem kartkę w miejscu odbijających się śladów pisma Moszenickiego. Gdy skończył, na szarym tle ukazało się dziewięć cyferek, a pod nimi jeszcze dwie. Dwie z owych dziewięciu były nieoczywiste. Jedna mogła być trójką albo ósemką, a druga szóstką albo zerem. Dwie napisane oddzielnie to były na pewno dwa i jeden. Dziewięć cyferek to był

na pewno numer telefonu. Liczba kombinacji przy dwóch niepewnych cyferkach nie była porażająco wielka.

Uśmiechnął się pod nosem i wciąż nie wierząc, że zajmuje się czymś takim, wyjął telefon i wbił pierwszą wersję numeru. Zatrzymał się, gdy już miał wybrać połączenie.

Kurwa, co za debil z niego. Przecież ten ktoś zobaczy jego numer.

Widząc nadchodzącego z tacą kelnera, stwierdził, że zadzwoni rano z urzędu. Najlepiej grzecznościowo z jakiegoś przypadkowego wydziału.

Maurycy Przekot nie przepadał za Lameńskim. A właściwie to było nawet mało powiedziane, że nie przepadał. Nie znosił go. Nikt wśród radnych koalicji, z której pochodził prezydent, nie wiedział, czemu Lameński zawdzięcza tak wysokie notowania u prezydenta. Był formalnie pełnomocnikiem prezydenta, jednym z kilku, ale jego pozycja była nieporównywalnie wyższa niż pozostałej czwórki. Oficjalnie zajmował się polityką społeczną, urbanistyką, zmianami klimatu, współpracą międzypokoleniową i takimi tam rzeczami. Nieformalnie był specjalistą od mediów społecznościowych i stał za koordynacją licznych promiejskich inicjatyw, które z założenia miały być promocją miasta. W praktyce często stanowiły zasłonę dymną dla różnych niemających szerokiego poparcia działań czy też balansujących na granicy prawa inwestycji, jak choćby to jebane wycinanie drzew.

O Lameńskim chodziło mnóstwo rozmaitych plotek. Facet był młody, miał kilka przygód w życiorysie, mówiło się o jego nieformalnych układach z opozycją, sondowaniu poparcia w różnych środowiskach i takich tam. Najbardziej tajemniczą plotką była jednak ta o rzekomych materiałach, które Lameński

miał na prezydenta, a zwłaszcza o jakimś filmie z czasów poprzednich kadencji.

Rzekomo temu właśnie Lameński zawdzięczał swoją pozycję.

Tak czy siak, Paweł Przekot uważał Lameńskiego za niebezpiecznego awanturnika i obawiał się, że może im narobić kłopotów. A te z Pokrętną to był zaledwie wierzchołek góry lodowej. Na razie, bo sprawa niebezpiecznie dryfowała ku mediom i lada chwila mogły się nią zainteresować gazety.

Rozdział 6

Weekend przeleciał Paulinie przez palce. W piątek wieczorem wybrała się z przyjaciółkami teoretycznie na kawę, co skończyło się wypiciem trzech butelek wina i imprezką, która wymknęła się nieco spod kontroli i miała finał koło drugiej. Sobota, w związku z tym, zaczęła się dla niej dopiero o godzinie jedenastej, a potem upłynęła na pisaniu obiecanego już dość dawno temu artykułu dla jednego z magazynów ilustrowanych, z którym Paulina od czasu do czasu współpracowała.

Jej status dziennikarki, od momentu wywiadu z księciem Danii, przez przyjaciół złośliwie nazywanego epizodem duńskim, zdecydowanie się poprawił. Na zarobki także nie musiała narzekać. Po pamiętnych wakacjach na Bałtyku, kiedy to wraz z angielskimi przyjaciółmi znaleźli wrak skandynawskiego okrętu, jej status materialny z kolei zmienił się niebotycznie. Dla Anglików ugoda z Danią i wypłata ogromnego znaleźnego nie oznaczała znaczącej zmiany w życiu, wszyscy byli doskonale sytuowani. Dla niej i dla Igora była to jednak zmiana ogromna. Z dnia na dzień pozbyli się wszelkich kłopotów materialnych.

Paulina, za każdym razem, gdy zdarzyło jej się w ten sposób o tym pomyśleć, od razu odpukiwała. Po co kusić los? Fortuna wszak kołem się toczy i lepiej było pod to koło nie wpaść.

Poniedziałek zaczął się zaś od wizyty w nowej siedzibie urzędu marszałkowskiego. Najpierw wraz z małą ekipą filmową zwiedzili budynek. Zaproszony na miejsce przedstawiciel firmy

budowlanej, która kierowała inwestycją, uparcie wyrzucał z siebie straszliwe banały na temat trudów budowy i nadzwyczaj zadawalającego ostatecznego efektu, oddelegowana przez urząd marszałkowski do rozmowy z Pauliną kobieta, odpowiedzialna za kontakt z mediami, wtórowała mu radośnie, a zaproszony marszałek niestety nie zaszczycił ich swoją obecnością.

Fundamentalne, z tytułu sensu wymyślonego przez Pawła cyklu artykułów, pytania o błędy konstrukcyjne, które mogłyby doprowadzić do zawalenia się budynku, zbywane były lekceważącymi uśmiechami. I bardzo to pewnie irytowałyby Paulinę, gdyby nie jej wykształcenie techniczne oraz świadomość tego, w jakim klimacie i na czyje zamówienie pojawiły się w swoim czasie owe zarzuty. Tania sensacja wymyślona i grzana przez określone media na zamówienie polityczne. Obawy o zawalenie się gmachu były tak dęte, że nawet ona, po inżynierii materiałowej, sama potrafiła ocenić je jako nonsens.

W połowie rozmowy zatem Paulina stwierdziła, że z piasku bicza nie ukręci, a jak z nakręconego materiału uda jej się sklecić jakiś w miarę sensowny artykuł, to będzie prawdziwy cud.

Godzinę później w niezbyt dobrym nastroju wróciła więc do redakcji.

Piotr cały weekend zmarnował na zamartwianie się, przerwane jedynie w sobotę po południu dwiema godzinami zumbi. Rozmowa z policjantem tak go wyprowadziła z równowagi, że nie mógł się zabrać do pisania artykułu o zmianach pogody. A doskonale wiedział, że lada chwila o ten artykuł zacznie dopytywać Paweł.

Borys sobotę spędził na siłowni, a resztę weekendu zmarnował na czynne zamartwianie się, co w jego przypadku oznaczało wertowanie prawa karnego w celu oszacowania realnych szans, w przypadku gdyby policja nadal podejrzewała ich o zabójstwo. O ile widoki na wybronienie się z tego zarzutu były raczej dobre, o tyle szanse na karierę w sądownictwie rysowały się w tej sytuacji znacznie gorzej.

Strażnik, okutany w sztormiak, z wełnianą czapką naciśniętą głęboko na uszy, pokonywał właśnie ostatnie metry, które dzieliły go od najniższego poziomu korytarza ewakuacyjnego. Z góry cały czas dochodził monotony warkot silników, którego nie zagłuszały nawet szumiące wentylatory. Wzdłuż korytarza paliły się, zawieszane pod sufitem w regularnych odstępach, reflektorki ewakuacyjne.

Mężczyzna w jednej ręce niósł długą latarkę. Mimo kpin kolegi zabrał ją ze sobą, tak na wszelki wypadek, chociaż awarię oświetlenia ewakuacyjnego od razu pokazałyby im kamery i system monitorowania. Miał to gdzieś. Zawsze jest ten jeden procent prawdopodobieństwa, że coś pójdzie nie tak. Nie zamierzał wtedy wracać taki kawał po omacku.

Generalnie wszystko było w porządku. Wentylacja, a także czujniki działały. Systemy oddymiania, oświetlenia, pompy pracowały tak, jak powinny. Ale przy wjeździe cały czas stała woda.

Owszem, ciągle lało. Deszcz zacinał prawie poziomo, wiatr wiał taki, że trudno było ustać na otwartym terenie, więc podobno woda dostawała się z zewnątrz. Ale dotarło do nich już także podejrzenie tych z Nord/Barentz, że może być to również problem z izolacją.

Trwały spory pomiędzy projektantami i wykonawcą. Oczywiście nikt się nie przyzna. Roman pracował całkiem długo w budowlance, więc doskonale znał te układy.

Wiedział, że tak czy siak za jakiś czas będą musieli poprawić tę izolację. Na razie nie było większych problemów. Tyle że po weekendzie i po korkach, które się robiły przy wjeździe, kazali im ściągnąć przegrody. Nawierzchnia nie była uszkodzona, a kałuże płytkie stwierdzili zatem, że samochody na razie mogą sobie jeździć.

Roman zaczął się zbliżać do poziomu zerowego. Światła ewakuacyjne zapalały się przed nim na odcinku długości kilku metrów, a z tyłu gasły. Efekt był taki, że idąc, miał wrażenie, że jest bohaterem jakiegoś gównianego horroru.

Odwrócił się i zobaczył wąski tunel korytarza niknący w ciemności. Zagapił się na moment i uderzył głową o zbyt nisko zawieszony kabel. Zaklął, pocierając czoło dłonią. Jeszcze sporo było tutaj takich właśnie niedoróbek. Mimo odbiorów, ciągłego monitorowania zawsze coś zostawało do poprawki. Wyjął z kieszeni tablet, znalazł na schemacie miejsce, w którym się akurat znajdował, i naniósł informację o zwisającym kablu.

Nagle usłyszał, że jego ciężkie buty zamiast stukać miarowo po betonie, zaczęły jakoś miękko kłapać. Spojrzał w dół i zatrzymał się zaskoczony. Posadzka korytarza była mokra.

Strażnik powiódł spojrzeniem do końca oświetlonej części tunelu. Beton był ciemny i nasączony wodą. Roman zrobił kilka kroków i włączył się kolejny odcinek oświetlenia.

Nieco dalej, na posadzce, stała woda. Nie była to żadna wielka kałuża, po prostu mokry cement przechodził płynnie w płyciutką plamę wody, która rozlewała się na długości czterech, może więcej metrów.

Lameński zamknął drzwi salki narad i podszedł do stołu. Sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę, na której wynotował sobie wszystkie wariacje numeru telefonu komórkowego z planera Moszenickiego. Było ich raptem cztery, więc nie potrzebował wiele czasu.

Wystukał pierwszy numer. Po trzech sygnałach odezwała się starsza kobieta. Lameński zapytał z głupia frant, czy rozmawia z panią Moszenicką, a gdy kobieta zaprzeczyła, powiedział, że to pomyłka, przeprosił i się rozłączył.

Skreślił pierwszy z numerów i wystukał na klawiaturze następny. Prawie od razu zgłosił się młody głos, prawdopodobnie jakiegoś licealisty. Lameński zaryzykował i zapytał o Moszenickiego. Gdy chłopak zapytał, kim jest Moszenicki, rozłączył się bez wyjaśnień.

Drugi numer do wykreślenia, pomyślał i zaczął wstukiwac następny.

Zatrzymał się w połowie i anulował połączenie. A co jeśli ten ktoś spod tego numeru nie zna tego nazwiska? Jak to jakiś nieznajomy, z którym Moszenickiego łączyły ciemne sprawy? Może kogoś szantażował?

Zagryzł wargi, zastanawiając się nad tym, o co zapytać kolejnego rozmówcę.

Lameński sam nie wiedział, co chce osiągnąć, ale intrygowało go, z kim Moszenicki rozmawiał przed śmiercią.

Chociaż może i nie rozmawiał. Może tylko sobie zapisał ten numer.

Po chwili namysłu wystukał kolejny numer z listy i zamarł w oczekiwaniu. Po trzech sygnałach odebrał mężczyzna. Po głosie Lameński dałby mu z trzydzieści lat.

– Słucham?

Lameński w przebiegu inwencji przypomniał sobie, że dzwoni przecież z numeru urzędu, a więc początkowe cyfry 914245 niejako go kryją.

– Dzień dobry, dzwonię z wydziału egzekucji administracyjnej – zaryzykował. – Wysłaliśmy do pana dwukrotnie monit o braku płatności za dzierżawę gruntu.

– Do mnie? – W głosie mężczyzny zabrzmiało wyraźne zdumienie. – Nie dzierżawię żadnego gruntu.

– Mam tutaj pana numer podany...

– A do kogo pan dzwoni właściwie?

Lameński skrzywił się i rozłączył. Cwaniaczek, kurwa.

Wybrał ostatni numer. Tym razem zgłosiła się kobieta, która na wstępie rzuciła:

– Salon fryzjerski, słucham?

Lameński rozłączył się, nie zadając sobie trudu wyjaśniania pomyłki.

Po chwili jednak zaczął mieć wątpliwości. A może Moszenicki po prostu umawiał się do fryzjera? Lameński patrzył przez chwilę na telefon, po czym wybrał ten sam numer ponownie.

– Salon fryzjerski, słucham? – zapytała ponownie ta sama kobieta.

– Byłem u państwa umówiony – powiedział Lameński. – Nie pamiętam, na który dzień.

– Żona? Dziewczyna? Mógłby pan podać imię?

– Nie, ja. Bartłomiej.

– A, to chyba pomyłka – westchnęła kobieta. – Nie strzyżemy panów. To damski salon.

– A, to przepraszam. – Lameński rozłączył się i spojrzał na kartkę.

A więc został tylko cwaniaczek.

Paulina oderwała wzrok od ekranu, na którym po raz trzeci oglądała nagrania z urzędu marszałkowskiego, i westchnęła ciężko, odsuwając się od biurka na swoim obrotowym fotelu.

– Fatalny początek – powiedziała posepnie. – Jak na pierwszy artykuł cyklu to straszne nudy wychodzą. Zaraz nam zarzucą, że łasimy się tutaj do marszałka i że to kryptoreklama urzędu marszałkowskiego.

– A tymczasem to kryptoreklama patodeweloperki znad Odry – mruknął Piotr, nie odrywając wzroku od monitora. – Dzięki temu nikt tego nie zauważy, a Paweł będzie wniebowzięty.

– Nie kpij sobie. – Paulina sięgnęła po kubek z herbatą i spojrzała w okno. – Strach wyjść na dwór – rzuciła. – Wiatr i ciągle pada.

– Listopad w końcu. – Piotr także spojrzał w okno. – Mróz ma być za tydzień. Piszą, że temperatura spadnie do minus dziesięciu nawet.

– Przynajmniej nie będzie tej wilgoci.

– No...

– Odwaliliśmy tę angielską pogawędkę, to teraz powiedz wreszcie, o co was pytali na policji? – Paulina spojrzała na Piotra, a gdy na chwilę oderwał wzrok od swojego ekranu, uśmiechnęła się zachęcająco.

– Nie uwierzysz – burknął.

– W co nie uwierzę?

– Prowadzą na razie śledztwo pod kątem randki gejowskiej, która skończyła się pobiciem i zejściem śmiertelnym.

Paulina przez chwilę przypatrywała się Piotrowi. Takie żarty były dokładnie w jego stylu.

– No poważnie mówię! – westchnął, odrywając w końcu wzrok od monitora. – Podejrzewają, że ten urzędas z kimś się tam umówił. Z Tindera albo Grindra, wiesz...

Paulina nie bardzo wiedziała, jak to skomentować.

– To już nawet morderstwo nie może się obejść bez mediów społecznościowych? – spytała w końcu retorycznie.

– Nas podejrzewają – uściślił Piotr, rzucając Paulinie znaczące spojrzenie. – Borysa pisanina z tym gościem to rzeczywiście kanał. Sam bym nas podejrzewał.

– No przecież pokazaliście chyba im te materiały, które Borys od niego dostał?

– Ściągnął przez transfer, do którego link już nie działa. A gość pisał w ogóle z konta Bart Womay.

Paulina przez chwilę patrzyła na Piotra.

– A te dokumenty nie wyglądają podejrzanie? – zapytała w końcu. – Borys ci je przysłał? Miałeś mi je pokazać.

– Jakieś gówniane zdjęcie z jakiejś gównianej piwnicy, na którym niewiele widać, i kartka wyrwana z dziennika budowy. Równie dobrze mogliśmy to sami ogarnąć.

– Widzę, że ciebie za to ogarnął dzisiaj wyjątkowy optymizm.

– To raczej średni powód do radości – powiedział z irytacją Piotr. – Być podejrzewanym o zamordowanie kochanka w trakcie wyuzdanego trójkąta. W dodatku w samochodzie – dodał z przekąsem.

– To jest akurat względne. – Paulina wstała i okrążyła swoje biurko. – Wielu pewnie mogłoby ci tylko pozazdrościć tak bogatego życia seksualnego.

– Zwłaszcza że to nieprawda.

– Pokaż te materiały. – Paulina oparła się o fotel Piotra i pochyliła nad jego plecami.

Piotr ściągnął swój pogodowy artykuł do belki i otworzył katalog z materiałami od Borysa.

Na ekranie ukazało się przyciemnione, mroczne wnętrze, widoczne zza jakichś zasłon. W głębi widać było ślepią ścianę pomieszczenia wyłożoną brudnym, brązowym materiałem.

– I to wszystko? – Paulina nie ukrywała rozczarowania. Spodziewała się czegoś bardziej spektakularnego. – Możesz przybliżyć?

Piotr powiększył obraz na monitorze.

– A to nie są deski po prostu? – Paulina przekrzywiła głowę, przypatrując się fotografii. – Może to po prostu szalunek, o którym piszą w tym dzienniku? Popatrz. – Wskazała palcem rubrykę na zdjęciu. – Rozpoczęcie robót przy szalowaniu ściany szczytowej.

– Co to jest szalunek? – spytał Piotr. – Ja nie mam chłopaka architekta.

– Taka ściana z desek w wykopach, żeby się grunt nie osunął.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w zdjęcia. I nagle Paulinie przyszła do głowy pewna myśl. Nie bardzo wiedziała wprawdzie, jak to się może wiązać z tymi domniemanymi przekrętami, które chciał zdradzić zamordowany urzędnik, ale niewątpliwie mogło ubarwić wymyślony przez Pawła nieszczęsny cykl artykułów.

Czarne terenowe bmw, rozchlapując wodę w kałuży przy wjeździe, wtoczyło się na ogrodzony teren budowy i zatrzymało przy jednym z baraków. Nowacki wysiadł i spojrzał pod nogi. Od baraków aż do budynku, opakowanego w rusztowania i osłaniające je kurtyny z folii, ciągnęły się gliniano-błotne

wertepy, których nie sposób było przejść suchą nogą. Trochę dalej ziała wielka dziura, wypełniona świeżo wylanymi płytami fundamentowymi.

Nowacki spojrzął na swoje żółte timberlandy i zaklął pod nosem.

Na rusztowaniu ktoś się nagle energicznie poruszył, przedarł do jednej z drabin i skacząc po dwa stopnie, znalazł się po chwili na ziemi. Nowacki od razu rozpoznał Miłosza. Pokazał mu barak i nie czekając na niego, przeskakując co większe kałuże, ruszył do wejścia.

– Szefie! Mamy sprawę! – wydarł się nagle mężczyzna w czarnej kurtce i nałożonej na wierzch odblaskowej kamizelce, machając energicznie w kierunku Nowackiego.

– Nie teraz! – krzyknął Nowacki, przepuścił przodem Miłosza i zatrzasnął drzwi kontenera.

– Co ty odpierdalasz?! – warknął. – Po co te telefony? Już mnie baba zaczęła pytać, czy nie mam kogoś na boku.

– To trzeba było choć raz odebrać! – Miłosz zacisnął zęby i waląc butami o podłogę, przechadzał się nerwowo po wnętrzu baraku. – Na budowach się pojawiaasz od wielkiego dzwonu. Kiedy mam z tobą gadać?!

– Nie ma o czym gadać!

– Jak nie ma?! A o Moszenickim czytałeś? – Miłosz zatrzymał się i rzucił spłoszone spojrzenie szefowi. – Piszą, że ktoś go zamordował.

– Czytałem, czytałem. – Nowacki odsunął jedno z krzeseł i usiadł na nim ciężko. – Szkoda chłopca.

– I to wszystko? Szkoda chłopca? Odbiło ci?

– A co mam, kurwa, powiedzieć? Przecież ja go nawet za dobrze nie znałem.

– Ale ktoś go...

– Tylko, proszę cię, nie wyjeżdżaj tutaj z tym jebanym galeonem! – warknął Nowacki, ściszej głoś.

– Miesiąc temu pojawiły się pierwsze przecieki. – Miłosz, waląc butami, zaczął ponownie nerwowo chodzić po baraku. – A teraz ktoś sprzątnął Moszenickiego? To nie ma według ciebie związku?!

– Co ty pierdolisz? – Nowacki westchnął ciężko i uśmiechnął się drwiąco. – Już napisali, że to jakieś łobuzy. Ktoś dał mu w łeb, chciał okraść, cholera wie. Poza tym pamiętasz go? To był wyjątkowy sukinsyn, pewnie miał jakichś wrogów.

– I akurat teraz zginął? Jak się pojawiły przecieki?

– I kto miałby to niby zrobić? – Nowacki z politowaniem popatrzył na swojego kierownika.

Miłosz zatrzymał się, siąknął głośno i przetarł nos rękawem.

– Wiesz, co o nim mówili? Że go politycznie tam wpierdolili, żeby gwiazdorzył przed samym otwarciem. Może ktoś wie, w co on się wpakował? W co się razem wpakowaliśmy! I teraz go usunęli przed wyborami. Wiesz, co by było, gdyby przed wyborami coś tam pierdolnęło? Może zaczął kogoś szantażować?

– Ja pierdolę. – Nowacki spuścił głowę i westchnął. – Kurwa...

– No co, kurwa?! – Miłosz podniósł głos i spojrzał na szefa ze złością.

– Jakieś debilne political fiction wymyślasz.

– A przecieki są? Są! Od miesiąca mamy problemy.

– Od miesiąca leje deszcz – wycedził Nowacki. – Nord/Barentz wszystko przegrzebał i stwierdzili tylko, że

izolacja przy wjazdach może być uszkodzona. Pamiętasz? Wszyscy o tym mówili, że to najbardziej wrażliwy punkt. Dwie inne konstrukcje, miejsce połączenia dwóch inaczej pracujących struktur. Musi przeciekać.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! – Nowacki pokręcił zdecydowanie głową. – To wszystko pracuje. Jak się ustabilizuje, to skończą się przecieki! Pewnie gdzieś puściła tylko jakaś membrana. Ci z Nord/Barentz mają akurat rację. Poza tym nasze klatki są dużo dalej i tam nic nie cieknie.

– Ale... – zaczął Miłosz.

– My robiliśmy wjazdy? – przerwał mu Nowacki i spojrzał na Miłosza, który pokręcił głową i wzniósł oczy do nieba.

– No właśnie! Wjazdy przygotowywał inny podwykonawca i niech się sam o to martwi.

– Robiłem obliczenia. Nie wychodzą za dobrze. Grunt po rozmrożeniu miał inną...

– A tam. – Machnął ręką Nowacki, przerywając Miłoszowi. – Przestań się tym zadreć. W każdym gruncie są różne partie. Badania nam dali punktowe, w dwóch miejscach robione. Dziesięć metrów dalej mogła tam być glina i też wszystko inaczej by pracowało.

– Dla ciebie nie ma żadnych problemów, kurwa, ale to ja się podpisałem w dzienniku budowy! A co będzie, jak to odkryją? Albo zaczną przeciekać nasza ściana? Zrobią skanowanie radarem i odkryją, że znaleźliśmy galeon i nikogo nie powiadomiliśmy...

Z zewnątrz dobiegł nagle głośny krzyk jakiegoś robotnika, dziwny furkot i odgłos spadającej na ziemię blachy.

– A to co znowu? – Nowacki wstał gwałtownie, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Na remontowanym budynku folia osłaniająca rusztowanie, oderwana na sporym fragmencie, trzepotała teraz na wietrze jak ogromny spinaker. Dwóch młodych robotników usiłowało ją złapać.

– Za mocno wieje. – Nowacki zeskoczył na ziemię. – Trzeba ściągnąć tę folię, bo rozwali górę rusztowania!

– BHP... – zaczął Miłosz.

– Pierdolić BHP – zaklął Nowacki. – To tylko cztery kondygnacje. Dawniej nie było folii i wszyscy łazili po rusztowaniach. Każ im ją ściągnąć! A mówiłem, żeby dać siatki?

Miłosz ruszył biegiem w kierunku budynku.

Nowacki odprowadził go wzrokiem.

Moszenicki przestał być kłopotem. Tak jak i ten baran wcześniej, który sam się prosił o kłopoty. I tyle. Takie życie. Byle ten tutaj nie narobił im problemów.

Prezydent przypatrywał się Lameńskiemu powątpiewającym wzrokiem. Miał wrażenie, że sprawa Pokrętnej zaczyna zataczać coraz szersze kręgi i najwyraźniej wymyka się z rąk tym, którzy powinni się nią zajmować. Czekać tylko, jak media zaczną obwiniać za wszystko miasto. Czyli jego konkretnie.

I jeszcze te pomysły Lamiego...

– Sądzę, że po prostu nie mamy już czasu – perorował Lameński. – Niestety, Przekot zaniedbał sprawę miejscowego planu...

– Ale to był twój pomysł – wtrącił prezydent.

– Ale pomysł to tylko pomysł – zaperzył się Lameński. – Ja im nie kazałem lekceważyć istotnych zapisów planu

miejscowego. Nawet coś mi się wydaje, że wspominałem o tym...

Prezydentowi wydawało się, że nie wspominał.

– Co proponujesz? Jak to ma niby wyglądać? – zapytał.

– Mówiłem ci o tym. Należy zastosować pewne mechanizmy manipulacji medialnej...

– Manipulacji – prychnął prezydent. – To przecież zwykła nieprawda!

– To internet! – Lameński pokręcił głową. – Nie ma czegoś takiego jak prawda. Prawdą jest to, w co uwierzy najwięcej użytkowników.

– O ile uwierzy.

– Takie są niestety mechanizmy. Myślisz, że oni nie stosują tego przeciw tobie? A przeciw nam jest i opozycja, i zieloni. I razem napierdalają w nas fake newsami. Po prostu musimy się bronić tym samym.

– Niby jak to ma wyglądać? – zapytał prezydent i westchnął ciężko.

– Za tydzień ma być wizja lokalna. Marszałek wymyślił sobie, że jego ludzie mają przyjść, kurwa, i zweryfikować te cenne drzewa. Oczywiście przyleżą tam też zieloni, Ignatiuk, radny Skowron i cała ta menażeria. Już nie mówię o babach z domów po sąsiedzku.

– To potencjalny elektorat – wtrącił słabym głosem prezydent.

– Jasne – prychnął Lameński. – Zrobimy tak – przerwał dla efektu i spojrzał znacząco na prezydenta. – Musimy ich jakoś rozbroić. Wrzucimy małą wzmiankę, że zieloni protestują przeciwko żłobkowi, bo chcieliby w tym miejscu cerkiew dla Ukraińców.

Prezydent na moment zaniemówił. Dopiero po dłuższej chwili pokręcił głową z niedowierzaniem.

– To jest taka bzdura, że aż...

– A skąd wiesz, że oni nie popierają takiego pomysłu?

– Przecież to nonsens!

– Rok temu były takie wpisy na forach – przypomniał Lameński i parsknął śmiechem, bardzo ubawiony swoim pomysłem. – Skąd wiesz, że za którymś z nicków nie krył się radny Skowron?

– Ale na te nasze strony chcesz to wrzucać?

– Nie, tam mają być tylko fotki i real-time marketing. Napierdalanie o tym, że Szczecin jest piękny, jest zieleń i sadzimy dużo nowej. To trzeba wrzucić na którejś grupie. KochamPogodno lub NaszePogodno na przykład. Ludzie to podchwycą i zamiast ujadać na Pokrętą, rzucą się do gardeł zielonym atencjuszom.

– Nie mam z tym nic wspólnego, pamiętaj.

– Oczywiście, że nie. – Lameński ponownie parsknął śmiechem.

– Drugi pomysł jest trochę ryzykowny – powiedział, poważniejąc. – Ale może się opłacić...

Prezydent podniósł wzrok i obrzucił Lameńskiego spojrzeniem pełnym obaw.

Te jego pomysły. Jeśli ten drugi miał być jeszcze bardziej ryzykowny, to już zaczynał się bać tego, co za chwilę usłyszy.

Piotr powiększył jeszcze trochę fotkę i wbił w nią wzrok.

– Możemy poprosić grafików, żeby ją trochę wyczyścili – powiedział po chwili, spoglądając na Paulinę powątpiewająco. – I jak to niby chcesz zrobić?

– Normalnie. – Paulina wzruszyła ramionami. – Wplotę to już do tego pierwszego artykułu, z budynkiem marszałka. Od razu zrobi się nieco ciekawiej.

– Niby że szukamy starej świątyni, którą gdzieś rzekomo odkryto?

– A tam... – Paulina skrzywiła się lekceważąco. – Szukamy źródła plotek. Motyw przewodni tego cyklu to przecież kretyńskie legendy miejskie o zawalaniu się budynków. Pokażemy tę fotkę i wrzucimy taki temat jako kolejną miejską legendę, po prostu. – Paulina uśmiechnęła się do siebie. – Z sugestywnym pytaniem: Gdzie jest świątynia?

– Może ktoś się odezwie? – Piotr wciąż bez przekonania wpatrywał się w ekran. – A jeśli to rzeczywiście jest jakaś afera? Po co ten urzędas by to w ogóle przesyłał?

– Tym lepiej. – Paulina spojrzała na Piotra z entuzjazmem. – Zresztą całkiem prawdopodobne, że budowlańcy naprawdę coś odkryli i nie zawiadomili konserwatora.

– I urzędas by o tym wiedział?

– Może ktoś w mieście wziął w łapę?

– A to już brzmi poważniej – przytaknął Piotr. – I wyjaśnialoby, dlaczego ten gość zginął. Chociaż nie chce mi się w to wierzyć. To miałby być powód zabójstwa?

– Pieniądze? – Paulina uśmiechnęła się drwiąco. – To najlepszy motyw od początku ludzkości.

– Hmm...

– Jeśli komuś groziło wstrzymanie robót na rok na przykład, a miał zakontraktowanych ludzi, podwykonawców? – Paulina spojrzała ponownie na zdjęcie. – To są zazwyczaj ogromne pieniądze. Jeszcze teraz, gdy jest recesja i nie ma ludzi do

roboty. Jeżeli to była spora inwestycja, to straty mogłyby być pewnie liczone w milionach.

– W takim przypadku możemy komuś nadebrać na odcisk. – Piotr spojrział na Paulinę z namysłem. – Tej fotki nikt jeszcze nigdzie nie publikował. Ktoś może wpaść w złość.

– Albo w panikę – stwierdziła Paulina z uśmiechem i wróciła na swoje miejsce. – Wystraszą się i może przez przypadek coś więcej wyjdzie na jaw.

– Ciekawe, co by Paweł na to powiedział. – Piotr spojrział w kierunku przeszklonego aneksu.

Paweł, najwyraźniej podniesionym głosem, gadał z kimś przez telefon.

– Najpierw zrobię ten pierwszy tekst. – Paulina przyciągnęła do siebie klawiaturę i obudziła uśpiony ekran. – Wolę go postawić przed faktem dokonanym. Będzie mniej gadania.

Prezydent patrzył z osłupieniem na Lameńskiego.

– Wykluczone! – wydukał w końcu. – Nawet nie chcę o tym słyszeć!

– Ale posłuchaj do końca – przekonywał doradca. – Nie zaperzaj się tak.

– Sam siebie przeszedłeś! To już nie jest żadna medialna manipulacja, tylko nie wiem... – Prezydent spojrział na Lameńskiego z odrazą, szukając właściwego określenia. – Kryminał!

– Zaraz kryminał! Przecież to wszystko będzie zgodne z procedurami. Drzewa, na które nie trzeba mieć zgody na wycinkę marszałka, możemy wycinać już teraz. Nikt nam nie zabroni. Poza tym mocno wiało, jest tam sporo wiatrołomów. Trzeba posprzątać.

– Ja tego w ogóle nie słyszałem! – warknął prezydent. – Wykonawca niech robi, co musi, ale ta rozmowa nie może wyjść poza ten gabinet!

– No przecież, że nie będzie żadnych uzgodnień na piśmie...

– Drogą mailową także nie!

– To oczywiste. – Lameński spojrzał na prezydenta pobłażliwie. – Za tydzień będzie spotkanie, do tego czasu po cichu pogada się z wykonawcą. Niech to zorganizuje.

Prezydent westchnął ciężko.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – przekonywał Lameński.
– Może uda się przy okazji usunąć któreś z tych, kurwa, cennych drzew. Powiemy, że było złamane. A druga sprawa to wiadomo...

– Nie chcę o tym słyszeć! – zaperzył się prezydent.

– W nocy to się robi. Rozwałą fragment ogrodzenia, narobią trochę bałaganu...

– Powiedziałem, że nie chcę o tym słyszeć! Z Przekotem pogadaj!

– W porządku – zgodził się Lameński z uśmiechem, podnosząc ugodowo rękę.

Odesłanie do Przekota oznaczało oczywiście zgodę na realizację planu.

Prezydent sięgnął po telefon.

– Zapomniałem przez ciebie, że miałem dzwonić do kurii. Gdzie ja mam ten numer?

Drogą właściwych tylko sobie skojarzeń Lameński pomyślał nagle o własnym spisie kontaktów. To nie mogło być przecież aż tak proste. Tyle że wtedy to raczej żadna rewelacja. Pewnie jakiś urzędnik, którego obaj znają...

Pożegnał się z prezydentem, który witał się właśnie uniznienie z kancelarią kurii szczecińsko-kamieńskiej i skinął mu tylko ze zniecierpliwieniem głową, pokazując oczami drzwi.

Lameński wyszedł na korytarz i od razu sięgnął do kieszeni po telefon. Wyjął złożoną kartkę z numerami telefonów, które zgadywał z planera Moszenickiego.

Przystanął i zaczął wystukiwać jedyny, którego nie skreślił.

Już po wpisaniu szóstej cyfry telefon odpowiedział numery, które miał zachowane w pamięci.

– O kurwa!

Lameński, zaskoczony, patrzył przez chwilę na wyświetlacz, a zaraz potem szeroko się uśmiechnął. No lepiej być nie mogło!

Borys zamknął starą brązową teczkę i odłożył ją na bok. Udało mu się skończyć projekt najbardziej zaległego pozwu, chociaż skoncentrowanie się na pracy nie było łatwe.

Spojrzał na zegar. Dwie godziny musi tu jeszcze wysiedzieć. Westchnął i obrzucił niechętnym spojrzeniem stos akt na biurku. Roboty miał sporo, kilka przeterminowanych spraw między innymi, o które już za chwilę ludzie zaczną się upominać.

Zrezygnowany, sięgnął po kolejną teczkę, gdy zadzwonił jego telefon.

– Borys... – rozległ się w słuchawce szept koleżanki z wydziału karnego. – Pamiętaj, że ja ci tego nie mówiłam. Niczego ci nie mówiłam.

Borys odwrócił się w kierunku drzwi, żeby ukryć swój wyraz twarzy przed kolegami. Obaj oczywiście od razu spojrzeli z ciekawością w jego kierunku. Życie Borysa było dla nich zdecydowanie fascynujące. Te jego spektakularne sprawy

w mieście, jego gęba w mediach. I to jego powodzenie u kobiet, które z pewnością drań wykorzystywał...

– Niczego ci nie mówiłam...

– Powiedz w końcu. – Borys, poirytowany, także ściszył głos.

– Przecież wiadomo, że nikomu nic nie powiem.

– Tę twoją sprawę dali Modzelowi – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem dziewczyna.

Borys przymknął oczy. Gorzej być nie mogło. Prokurator Melchior Modzelewski, nie dość, że nawet przez kolegów uważany był za psychopatę, to jeszcze Borys miał z nim na pieńku.

Rok temu uwalił medialnie jego sprawę. O ile można było tak powiedzieć.

Grupa bandziorów napadła na wracających z marszu równości chłopaków. Sprawę, mimo torpedowania jej przez prokuraturę, sąd w końcu podjął. Ustanowiony prokurator, zamiast odgrywać rolę oskarżyciela, robił wszystko, żeby uniewinnić bandytów.

Nic zaskakującego. Borys prychnął. W całym kraju tym się głównie zajmowała prokuratura. Gdyby nie rozgłos i awantura, którą rozpętał w mediach, pewnie ukrećiliby tej sprawie łeb.

A teraz Modzel dostanie za chwilę w łapy protokół z jego przesłuchania.

Katarzyna wpatrywała się w jeden z dzisiejszych wpisów na Twitterze, czując, jak wszystko się w niej gotuje. Radny Skowron znowu wyciągnął jej stary komentarz i lansował się na nim, pieprzony atencjusz. Wiadomo, zbliżały się wybory do samorządów.

Katarzyna nie miała sobie nic do zarzucenia. Zawsze miała niewyparzoną gębę, chociaż ona raczej twierdziła, że po prostu nazywa rzeczy po imieniu. I kiedyś bardzo wielu z jej dzisiejszych śmiertelnych wrogów to właśnie w niej ceniło. Podobało się, że nie owija w bawełnę, że nie robi z rady miasta jakiegoś Wersalu, tylko wali na odlew. A potem nagle cała ta banda nieudaczników zaczęła jej właśnie to zarzucać. Tacy się zrobili nagle delikatni. Ale wiadomo, co się za tym kryło. Zwykła zazdrość, że znalazła się na najlepszej drodze do senatu, a tego wielu nie mogło jej przebaczyć.

No i przede wszystkim posady w spółkach skarbu państwa. Nie widziała w tym nic złego. Nie były sprzeczne z jej wykształceniem, wspierała po prostu swoim doświadczeniem zarządy. To była realna praca. Ale najbardziej wszystkich bolała posada jej męża. Oczywiście!

Wicedyrektor w krajowej spółce! To musiało boleć te wszystkie miernoty lewackie, które aż się trzęsły, żeby na to miejsce wpakować swoją ciocię.

Że to nieetyczne? No kurwa! I co z tego? Inni tego nie robili?

I te żarty z Artura. Że gość, który prowadził stragan z warzywami na ryneczku Pogodno, jest obecnie wicedyrektorem.

A jest! Nie to co wy, puste, stare babska od lajkowania lewactwa, Owsiaka i innego tałatajstwa! Bezmyślne i bezrefleksyjne ścierwa! Myślą, że jak były kierowniczkami sklepów mięsnych, to mogą teraz rzucać mięsem w uczciwych ludzi. A taki Skowron na przykład! Spasł się na tym stolcu radnego jak świnia, a jej zarzuca nepotyzm. I te wszystkie radne od sztuki! Sztuki mięsa chyba.

Katarzyna zacisnęła zęby i trzęsącą się ze złości ręką wzięła filiżankę z kawą.

Czasami zastanawiała się, po co jej to wszystko. Miała przecież niewielki, ale całkiem dobrze prosperujący biznes – kwiaty! Kilka kwaciarni przynosiło jej całkiem dobry zarobek. Urodziny, pogrzeby i wesela były, są i będą. I pomimo tych ekologicznych wymysłów na niekupowanie kwiatów, na jakieś zabawki dla dzieci w torbach na weselach i inne ekobrednie, kwiaty były, są i będą! Więc po co jej to było?

Ale oczywiście znała odpowiedź.

Wygodne życie i brak finansowych problemów nijak się miały do tego, co dawały polityczne posadki. To było kompletnie inne życie. W porównaniu jak pagórek i Rysy! Pagórek – prychnęła – zwykła jakaś nierówność na chodniku. I Rysy! Tak jakby z piętnastoletniego fiata przesiadła się do nowiutkiego, terenowego volvo. Co akurat się stało, ale przecież nie o to chodziło. To tak jakby nagle cały świat stanął przed nią otworem. I nie tylko przed nią. Przed synami przede wszystkim.

Nie mogła z tego zrezygnować.

Lameński oczywiście nie miał żadnych oporów, żeby to zrobić. Jeśli czegoś się obawiał, to wyłącznie tego, że Matecka, do której pewnie zaraz dotrze policja, powie, że to od niego otrzymała te rewelacje. Zdecydował się zatem na napisanie do niej z anonimowego adresu – jednego z wielu, które założył na takie właśnie potrzeby.

Matecka i ta jej strona SzczecinNaPrawo. Idealne miejsce na taki news. Gdzie indziej by się pewnie wahali, żeby to napisać, ale dobrze wiedział, że Matecka zamieści na bank.

Uśmiechnął się do siebie z rozbawieniem, pisząc ostatnie zdanie.

Dlaczego zamordowany w zeszłym tygodniu urzędnik tuż przed śmiercią zanotował numer telefonu znanego miejskiego

awanturnika Borysa I.?

Rozdział 7

Czerwony mini zatrzymał się przed bramą wjazdową na teren budowy. Wycieraczki raz po raz przecierały zalewaną przez deszcz przednią szybę, za którą widać było masyw, opakowanego jeszcze gdzieniegdzie rusztowaniami, wielkiego budynku. Droga od bramy prowadziła prosto do zjazdu do podziemnych garaży. Kilkadziesiąt metrów dalej ciemniała wielka dziura, w której docelowo miały się znaleźć automatyczne wrota.

– A nie boisz się, że zabraknie ci gdzieś prądu? – Piotr kontynuował jeszcze temat, który zajął ich w krótkiej podróży z redakcji na miejsce.

– No on mi tu wszystko przecież podaje. – Paulina wcisnęła ikonkę na ekranie nawigacji i pokazało się kilka wskaźników. – Zapas energii, ładowanie, czas. Nawet odległość, którą mogę jeszcze przejechać.

– W mieście jest okej, ale poza miastem to bym się bał nim jeździć. – Piotr patrzył sceptycznie na tablicę rozdzielczą nowego samochodu Pauliny. – Wystarczy korek albo boczna droga, na którą wmanewruje cię nawigacja.

– I kto to mówi? – Paulina spojrzała z ironicznym uśmiechem na kolegę. – Redakcyjny ekolog od ocieplenia klimatu i ochrony środowiska.

– A co elektryczne samochody mają wspólnego z ochroną środowiska? – oburzył się Piotr. – Energia do nich wytwarzana jest z węgla.

– W Polsce – przytaknęła Paulina. – Ale przecież od czegoś trzeba zacząć. Moda na elektryki panuje dopiero od paru lat.

– Alternatywą dla samochodów jest transport publiczny i rowery, a nie elektryki na węgiel. Za pół bańki w dodatku.

– Jak internet się upowszechniał, co niestety pamiętam – Paulina skrzywiła się – to też niektórzy jęczeli, że to wszystko się źle skończy.

– No i skończyło się źle. Dzieciaki uzależnione od smartfonów, wybory wygrywane przez ruskich hejterów, choroby psychiczne, które już stały się problemem cywilizacyjnym...

Paulina parsknęła śmiechem.

– Przez elektryki będzie jeszcze gorzej. Pewnie problemem cywilizacyjnym staną się porażenia prądem podczas uprawiania seksu w samochodzie – zakpiła. – W nocy nad Odrą – dodała złośliwie.

– Chyba sama już dawno nie uprawiałaś seksu.

– Przecież ty jesteś pokolenie Z. – Paulina patrzyła na Piotra, krztusząc się ze śmiechu. – A gadasz jak boomer.

– Pokolenie Z liczy się od dziewięćdziesiątego szóstego. Ja jestem millenialsem. Tak jak ty.

– Ja myślę, że ty po prostu jesteś pod wpływem ideologii tego całego Borysa.

– Co? – Piotr spojrział na Paulinę zaskoczony. – Zwariowałaś chyba.

– Tak, tak. – Paulina pokiwała głową z rozbawieniem. – Przecież widzę, że ci się podoba.

– Wariatka!

Rozbawiona Paulina parsknęła głośnym śmiechem.

Dalszą konwersację przerwał jednak zgrzyt otwieranej bramy. Ze stojącego przy ogrodzeniu kontenera wyszedł strażnik i chowając się pod kapturem czarnej kurtki, podbiegł do samochodu.

– Jesteśmy umówieni z kierownikiem budowy – powiedziała Paulina. – Z „Dziennika Szczecińskiego”.

Strażnik kiwnął głową i wskazał ręką wrota garażu.

Maurycy Przekot patrzył na Lameńskiego z mieszaniną niedowierzania i odrazy.

– I prezydent się na to zgodził? – zapytał w końcu.

Lameński przytaknął.

– Czas najwyższy, żeby coś działać. Nie widzisz, że niektórzy radni robią sobie naszym kosztem kampanię wyborczą?

– I to ma ich niby powstrzymać? – sarknął szyderczo wiceprezydent.

– To ma zdyskredytować zielonych.

– Ile ludzi się na to nabierze? Tak jak na tę cerkiew? Stu? Dwustu?

– Wystarczająco dużo. – Lameński uśmiechnął się protekcjonalnie. – Trzydzieści procent wystarczy. Widziałeś, jak wzrosła liczba foliarzy? A płaskoziemcy? To nie są już jakieś marginalne środowiska, to jest realny elektorat. Ludzie kretynieją i to się będzie na pewno pogłębiać. Dzisiaj wygrywają tylko ci, którzy są w stanie to dostrzec.

– Czyli teraz mamy opierać kampanię wyborczą na kretynach? A za jakiś czas na kim? Na szczurach? Ich pogłowie też stale wzrasta.

– Na szczurach to od dawna wygrywa się wybory. – Lameński uśmiechnął się cynicznie. – I na świniach. Tylko świniom trzeba ciągle obniżać standardy. Ryż to już luksus. Teraz trzeba im wmówić, że jak nie będą żarły gówna, to będą musiały zreć robale.

– I kto ma o tym niby gadać z wykonawcą? – Przekot miał już dość wykładu Lameńskiego. Doskonale niestety wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– No a jak myślisz? – Lameński uśmiechnął się samymi oczami. Uwielbiał grać na nerwach Przekotowi. Nie znosili się nawzajem. – To ty prowadzisz tę inwestycję, więc kto ma niby to zrobić?

– Nie ma mowy. – Przekot pokręcił głową. – Chyba zdurniałeś, żeby coś takiego proponować. Przecież oni już po cichu negocjują ze swoimi prawnikami, a ty im chcesz dać na tacy taki prezent.

– Oni chcą bardziej zamknięcia tej sprawy niż my. Mają do zarobienia sporo kasy. Kontrakt im się właśnie sypie, a ludzi muszą trzymać w pogotowiu, na wypadek gdyby marszałek jednak pękł.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Wezwiesz na jutro tego gościa i pogadasz z nim. Mogę przy tym być. – Lameński uśmiechnął się z rozbawieniem.

Przekot spojrzał na doradcę prezydenta obojętnie, ale obojętność była tylko pozorna. Najchętniej skopałby mu dupę tak, żeby przez miesiąc nie mógł usiąść na tym swoim gównianym motorze.

Paulina zaparkowała obok starego nissana x-trail. Garaż był prawie pusty i tylko przy samym wjeździe stało kilka samochodów, prawdopodobnie należących do budowlańców.

Nie zdążyła się rozejrzeć, gdy od strony drzwi prowadzących na klatkę schodową nadszedł mężczyzna w zielonym odblaskowym bezrękawniku.

– Pani Weber? – Wyciągnął rękę do Pauliny. – Ja tu jestem kierownikiem robót. Szymon Wasiak. Czekaemy już na panią. Na samej górze, żeby mogła pani docenić widok, jaki się będzie rozpościerał z tarasu na dachu. Wasz kamerzysta, pan Maciej, już tam jest.

– To mój kolega. – Paulina wskazała głową Piotra. – Razem pracujemy.

– Bardzo mi miło. – Kierownik przywitał się z Piotrem. – To zapraszam. Winda jeszcze nie działa. To znaczy działa, tylko elektryka jest do przerobienia. No i nie było odbioru technicznego – dodał jakby na usprawiedliwienie tego, że będą musieli wspinać się sześć kondygnacji po schodach.

Paulina, omijając sporą kałużę na środku garażu, ruszyła w kierunku drzwi na klatkę.

– Nic nie cieknie. Kanaliza jest w porządku. – Kierownik powiódł spojrzeniem za jej wzrokiem i uśmiechnął się jowialnie. – To deszcz. Cały czas spływa od strony wjazdu. Pewnie odwodnienie liniowe jest gdzieś zapchane.

Widok z tarasu rzeczywiście był efektowny. Balustrady z pancernego szkła z jednej strony skutecznie zabezpieczały przed wypadnięciem, z drugiej zaś nie ograniczały widoku na półprzemysłowy krajobraz wysp Śródozrza.

– Stamtąd widok będzie nieco ładniejszy, jak miasto robi tutaj porządek. – Kierownik machnął ręką w kierunku zabudowy od strony miasta, upstrzonej resztkami przedwojennych budowli i współczesnych baraków.

Paulina spojrzała w kierunku wskazanym przez kierownika Wasiaka. Przy samej balustradzie, z kamerą na ramieniu, stał tam Maciej i kręcił okoliczne widoki. Towarzyszący mu mężczyzna w eleganckim, czarnym płaszczu, na widok Pauliny ruszył do niej.

– Dzień dobry – przywitał się. – Leszek Podgórski. Jestem przedstawicielem Docklands Park. Mam nadzieję, że wyjdzie piękny materiał. Pogoda jest wprawdzie fatalna, ale pan Maciej obiecał, że zrobi, co będzie mógł.

Paulina, która na moment zdołała zapomnieć, że kręca właśnie kryptoreklamę, teraz sobie o tym przypomniwała. Na szczęście Maciej kręcił po prostu wszystko, co się dało, tak żeby potem można było poskładać z tego szybki, dynamiczny kolaż, więc przynajmniej stroną wizualną nie musiała się martwić. Widziała, jak sobie poradził z urzędem marszałkowskim, i było całkiem niezłe. Pomysł na klip, z fajną muzyką i dziesiątkami ujęć, w który niespodziewanie wplecione zostają pytania o błędy konstrukcyjne czy wykonawcze, podkreślone jakimś mrocznym dżinglem, był całkiem dobrą zajawką artykułu, który miał być już w poważniejszym tonie.

– Panie Leszku – Paulina podeszła do dewelopera i spojrzała w stronę kamery – chodzą słuchy, że w budynku zostały źle zaprojektowane tarasy od strony nabrzeża. Podobno ugięcia podczas robót przekraczały dopuszczalne wartości.

– Tak, czytaliśmy te rzeczy. – Podgórski uśmiechnął się protekcjonalnie. – To oczywiście nieprawda...

Paulina, uśmiechając się ujmująco, słuchała technicznych wyjaśnień, zastanawiając się przy okazji, ile z tego będzie musiała wyciąć.

– To znaczy była taka sprawa... – odezwał się niespodziewanie kierownik robót.

Paulina odwróciła się do mężczyzny i podsunęła mu mikrofon. Przez moment widziała, jak przez twarz dewelopera przemknął grymas niezadowolenia.

– Stal kształtowa dostarczona na budowę była, jak się okazało... – kontynuował kierownik.

– To była zwyczajna pomyłka – wszedł mu w słowo deweloper. – Nawet nie ma o czym mówić. Od razu to poprawiliśmy.

– Ale faktycznie ten taras na drugim piętrze się ugiął, co nie?
– Kierownik budowy uśmiechnął się, chyba zupełnie nieświadomy irytacji, jaką w jego szefie wywołały opowiadane przez niego rewelacje.

– To było akurat apogeum wojny na Ukrainie. – Deweloper przesunął się, usiłując zasłonić kierownika. – Na rynkach zrobiła się panika, były straszne braki. Zupełnie przez pomyłkę dostarczono na budowę stal gorszej jakości. Takie rzeczy...

– Ale te belki zostały wmontowane? – zapytała Paulina.

– Tak, ale potem... – próbował wyjaśnić kierownik.

– Wszystko jest w porządku – przerwał mu deweloper. – Jak tylko nadzór wykrył tę pomyłkę, to od razu zdemontowaliśmy całą partię.

– Chłopaki gadają, że mogli o którymś tarasie zapomnieć – zarechotał kierownik budowy.

– Panie Szymonie, co pan opowiada? – zirytował się deweloper i spojrzał w popłochu na kręcącego całą scenę Macieja. – To trzeba będzie chyba wszystko wyciąć.

– Spokojnie, panie Leszku. – Maciej uśmiechnął się uspokajająco. – Zmontujemy tak, żeby było dobrze.

– A świątynia? – Paulina, która niespodziewanie zaczęła się całkiem dobrze bawić, postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Jaka świątynia? – Deweloper wyglądał, jakby miał się zaraz przewrócić.

– Jakiś czas temu pojawiła się plotka, że na którejś z budów znaleziono pozostałości pogańskiej świątyni. – Paulina zwróciła się w stronę kamery. – Rzekomo ukryto to przed konserwatorem, aby nie opóźnić inwestycji. Od kilku miesięcy rozmowy na ten temat rozpalają fora internetowe i pojawiają się coraz to nowe hipotezy, gdzie ta świątynia mogła się znajdować. Czy wiedzą coś panowie na ten temat?

Paulina odwróciła się do dewelopera, który miał wyraz popłochu na twarzy.

– Pani redaktor – ściszył głos do szeptu, pochylając się w stronę Pauliny i zasłaniając mikrofon – nie ustalaliśmy takich pytań. To w ogóle...

– Panie Leszku, proszę się nie obawiać. To tylko nagranie. Wszystko się zmontuje.

– A znaleźli tam jakieś stare deski przy wykopach fundamentów, faktycznie – odezwał się nagle kierownik Wasiak. – Było gadanie, że to może jakaś łódź...

– Panie Wasiak! – Deweloper podniósł głos. – Żadna łódź! Co pan pierd... wygaduje! Zwykłe deski to były. Nadpalone zresztą. Pewnie jakiś barak tu stał przed wojną.

– Ale powiadomiliście panowie konserwatora? – Paulina bawiła się świetnie, ale obawiała się, że Paweł nie pozwoli im tego wszystkiego puścić. Kasa za tę pseudoreklamę była zbyt dobra, żeby olać deweloperkę. Wszystkie rachunki redakcyjne rosły lawinowo, pieniądze były potrzebne na pensje, więc niestety nie ulegało wątpliwości, że nic z tego nie będzie można wykorzystać.

– Oczywiście, że tak. – Deweloper energicznie pokiwał głową.
– Był nadzór archeologiczny. Wszystko zgodnie z wydanym pozwoleniem na budowę.

Paulina odwróciła się do kamery.

– Czyli to jednak nie tutaj. – Uśmiechnęła się. – Tajemnicza świątynia, może Trygława, może jakiegoś innego dawnego bóstwa, o której krążą w Szczecinie opowieści, nadal czeka na odkrycie. Jeśli macie jakieś pomysły, może wiecie coś na ten temat, to dajcie znać.

– A ta woda na parkingu – odezwał się nagle Wasiak. – To gadają o niej, że to płyta fundamentowa mogła pęknąć – zarechotał. – Ale to takie tam pytlowanie.

– Panie Wasiak! Niech pan już skończy z tym gównem! – Przedstawiciel dewelopera podniósł głos. – Gada pan od rzeczy!

– No program o plotkach jest, tak czy nie?

– À propos... – Paulina, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem, zwłaszcza że filmujący ją Maciej krztusił się, odwracając głowę, spojrzała ponownie w kamerę. – Jeśli wiecie o jakichś innych usterkach, większych lub mniejszych, znacie jakieś plotki na temat innych uszkodzonych budynków...

– Pani redaktor! Jak to innych? Jakich innych uszkodzonych budynków?!

Maciej zarżał ze śmiechu.

Piotr obszedł cały budynek i znalazł się w końcu znowu w garażu. Gmach był wielki. Wyrastał z prawobrzeżnej, do niedawna portowo-przemysłowej rzeczywistości jak wielka biała narośl. Miał przywodzić na myśl ogromny, śnieżnobiały transatlantyk, który przybił do brzegów miasta. Na razie jednak, spowity jeszcze rusztowaniami, najeżony sterczącymi

kablami elektrycznymi i innymi instalacjami, z którymi robiono dopiero porządek, wyglądał jak ogromna dekoracja do filmu sensacyjnego. Wystarczyło poczekać, aż zza któregoś narożnika wyskoczy Bond albo inny taki bohater, a zaraz za nim wszystko zacznie się widowiskowo zawalać.

Piotrowi przemknęło przez myśl, że jego wyobraźnia, jak pewnie wielu innych ludzi z jego pokolenia, jest totalnie ubezwłasnowolniona przez obrazy i sceny z filmów. Sam nie wiedział, czy jest jeszcze w stanie wyobrazić sobie coś całkiem świeżego, czy też wszystko, co rodzi mu się w głowie, to pozostałości po dziesiątkach filmów i seriali.

Przeszedł się po wielkiej, pustej przestrzeni i zatrzymał przy sporej kałuży. Ten majster coś tam mówił, że to spływa od strony wjazdu. Spojrzał w kierunku pnącej się w górę jezdni, zaraz za bramą wjazdową. Cały czas padało, a woda zbierała się przy kracie, długiej na całą szerokość bramy. Mało ważne. Artykułu na tym raczej się nie uda oprzeć.

Umówili się z Pauliną, że w czasie, gdy ona będzie rozmawiała z budowlańcami, on przejdzie się wszędzie, porobi zdjęcia i spróbuje pogadać ze zwyczajnymi robotnikami. Tyle że większość pracowników to byli Ukraińcy i mało który potrafił dobrze mówić po polsku. Próby wciągnięcia ich w rozmowę kończyły się raczej niczym. Jedyna polska ekipa, zajmująca się wykańczaniem elewacji, to był podwykonawca, który na budowie pracował raptem od miesiąca i nic nie wiedział o wcześniejszych etapach robót.

Kiedy zatem dwadzieścia minut później Piotr spotkał się z dziwnie rozbawioną i zadowoloną Pauliną, nie miał właściwie nic poza kilkoma zdjęciami.

Wiceprezydent Przekot dla porządku tylko zastukał do drzwi i wszedł do najważniejszego pomieszczenia w Szpinakowym Pałacu, jak mieszkańcy złośliwie nazywali urząd miejski po przemalowaniu go na soczystą zieleń. Prezydent, jak się zdało Przekotowi, w popłochu oderwał wzrok od ekranu laptopa, zawadził o leżące na biurku przed nim szpargały i w końcu spojrzał z irytacją na swojego zastępcę.

– Co jest? – spytał, widząc wściekłą minę Przekota. – Wdzierasz się tutaj jak Hunowie.

– Serio się na to zgodziłeś? – Przekot zamknął drzwi, pokonał oddzielającą go od biurka prezydenta przestrzeń i zatrzymał się przed samym blatem.

– Na co znowu?

– Na ten zaszranym pomysłem Lamiego!

– Ja nic nie chcę o tym słyszeć – warknął prezydent. – To ty prowadzisz sprawę Pokrętnej.

– Bardzo wygodnie – powiedział wściekły Przekot. – To kryminał!

– Ciszej! – syknął prezydent, spoglądając w kierunku drzwi.

– Co ciszej? To nie cukiernia u Sowy. Nie masz się czego obawiać.

– Tamta sowa to nie była ta cukiernia.

– Pierdolić Sowę! – Przekot zrobił kilka kroków po gabinecie i ponownie zatrzymał się przed biurkiem prezydenta. – Wiesz, do czego prowadzi ta lameńska polityka fejkowych stron i tępej propagandy?

– No oświeć mnie. Niby do czego?

– Odwracają się od nas ludzie kultury, intelektualiści, naukowcy...

– Weźże przestań! Tyle, ile ja im inwestycji pod kulturę zrobiłem...

– Jak media dorwą się do któregoś z tych przekrętów, to nikt o tym nie będzie pamiętał.

– Jakich przekrętów?! To wszystko jest całkowicie zgodne z prawem.

– Ale jest nieetyczne. Niesmaczne! A to, co teraz Lameński wymyślił z tą, kurwa, cerkwią i tym...

– Nie chcę o tym mówić! – Prezydent podniósł głos. – Pokrętną ty prowadzisz. Gdyby nie wasze optymistyczne założenia na początku, nie tkwilibyśmy dzisiaj w tym gównie. Jeśli ty nie chcesz tego załatwić, to robi to ktoś inny!

Przekot zacisnął zęby.

– To niech robi! – fuknął i ruszył do drzwi.

Paweł przywitał Paulinę i Piotra w drzwiach redakcji.

– No i coś ty znowu odwaliła? Przed chwilą miałem telefon z Docklands Park.

– Pan Leszek poskarżył się chyba już w samochodzie – zakpiła Paulina, mijając Pawła. Rzuciła torbę na krzesło i poprawiła włosy, widząc swoje odbicie w szybie.

Na zewnątrz znowu zrobiło się ciemno, a nad miastem zawisły ciężkie, niemal czarne chmury.

– Jutro ma iść ta pierwsza część u marszałka. – Paweł stanął nad biurkiem Pauliny. – Po co tam wrzuciłaś tę fotkę? Co to w ogóle jest?

– Ubarwiam trochę ten temat, bo artykuł wyszedł nudny jak flaki z olejem.

– Ale co to za fotka? – dopytywał Paweł, patrząc to na Piotra, to na Paulinę. – To serio może być ta świątynia z plotek?

Paulina wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale liczymy na to, że ktoś się odezwie.

– Albo zaczną gadać na forum – dodał Piotr.

– Hmm. – Paweł się skrzywił. – Nie chciałbym jednak, żeby to przysłoniło główny temat cyklu...

– Nie główny temat cyklu, tylko reklamę deweloperki. – Paulina zaczęła się śmiać na wspomnienie rozmowy z menadżerem Docklands Park.

– Dobrze ci się śmiać, a za prąd to kto zapłaci? Nie mówiąc już o waszych pensjach.

Piotr nagle głośno nabrał powietrza w płuca.

– Cholera! – zaklął, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Co się stało? – Paulina, widząc minę kolegi, wstała, obeszła oba biurka i pochyliła się nad jego plecami.

– *Z niepotwierdzonych informacji, które jednak zazwyczaj okazują się prawdziwe – Piotr zaczął głośno czytać – wynika, że zamordowany w ubiegłym tygodniu urzędnik magistratu tuż przed śmiercią zapisał na kartce numer telefonu znanego szczecińskiego aktywisty Borysa I. Zanotował także dwie cyfry – 21. Czy możliwe, że była to godzina umówionego spotkania? Będziemy drążyć ten temat.*

– Co to jest? U kogo? – Paulina pochyliła się nad monitorem, usiłując dojrzeć nazwę portalu.

– Matecka – jęknął Piotr. – Skąd ona o tym wie?

– Nie mówiłeś, że Borys dał temu człowiekowi numer.

– Bo nic o tym nie wiedziałem. – Piotr oderwał w końcu wzrok od ekranu. – Skąd ona to wzięła?

Paweł, który przysłuchiwał się w milczeniu rozmowie, spojrzał podejrzliwie na Piotra.

– Czy wy macie z tym coś wspólnego? – zapytał w końcu. – Bawicie się w detektywów czy robicie za moimi plecami research tego tematu?

– Gorzej – westchnęła Paulina.

– Znacznie gorzej – dodał słabym głosem Piotr.

– Do mnie – rzucił Paweł i nie oglądając się, ruszył w stronę swojego aneksu.

Kilkanaście minut później, gdy Piotr wtajemniczył już naczelnego w swoje niefortunne przygody, na moment zapanowała cisza, po czym Paweł głośno westchnął.

– Dlaczego od razu tego nie powiedziałeś? – Spojrzał na Piotra z wyrzutem.

– Kiedy od razu? Nawet tydzień nie minął – bronił się Piotr.

– Nawet tydzień? – Paweł wytrzeszczył oczy, przedrzeźniając Piotra. – A co ty pracujesz w miesięczniku? Dzisiaj tydzień to dawne pół roku.

– Skąd mogłem wiedzieć, że coś takiego wyjdzie? – Piotr skinął brodą w kierunku laptopa Pawła. – Że Matecka coś takiego wymyśli.

– Jakbyśmy od razu – powiedział Paweł z naciskiem – napisali o tym następnego dnia, to wytrąciłbyś broń wszystkim, którzy za chwilę o tym będą pisać. Matecka wie oczywiście, że jesteś gejem?

Piotr pokiwał smętnie głową.

– No to za chwilę pewnie dowie się o twoim udziale w tej imprezie i o kierunku śledztwa i zacznie się używanie. I oczywiście wyciągnie, że to zataiłeś.

– Będzie aż taka małostkowa? – Paulina usiadła ciężko na fotelu.

– Pewnie o niczym innym nie marzy jak tylko o tym, żeby się na mnie zemścić – burknął Piotr.

– I na mnie – dodał znaczącym tonem Paweł. – To w końcu ja ją zwolniłem, po tej waszej wojnie o Heilanda.

Urszula Matecka, niegdyś koleżanka Pauliny i Piotra z „Dziennika Szczecińskiego”, po niegdysiejszych wydarzeniach z zamachami bombowymi w Szczecinie stała się ich największym wrogiem. Ten okres przypadł na czas, gdy Paweł wyłądownął w szpitalu, a jego obowiązki przejęła sprzyjająca Mateckiej dawna koleżanka. To był okres, który wszyscy w redakcji żartobliwie nazywali Wielką Smutą[5]. W tym czasie w wyniku knowań Mateckiej paru osobom nie przedłużono kontraktów, a sama Paulina i Piotr zostali zwolnieni dyscyplinarnie.

– Gdybyśmy zaraz po tym morderstwie napisali, że nasz dziennikarz był na miejscu, to nadawalibyśmy teraz ton całej sprawie. – Paweł westchnął. – Już nie mówię o zasięgach w necie. A teraz?

– Może powinniśmy o tym teraz napisać? – odezwała się Paulina bez specjalnego przekonania. – Uprzedzić ją.

– Teraz to będzie wyglądało, jakbyśmy się bronili.

– Nie przesadzaj. O udziale Piotra ani o policyjnej gejdramie nikt jeszcze nie napisał. Może zrobimy to tak, jakbyśmy niechętnie zdradzali kulisy jakiegoś naszego dziennikarskiego śledztwa?

– Hmm... – mruknął Paweł, marszcząc brwi.

– To przynajmniej rozbroi na chwilę Matecką.

– Ale skąd ona by o tym wiedziała? – Piotr przypomniał sobie o swoich wątpliwościach. – Skąd wie, co było w papierach Moszenickiego? Kto jej to powiedział?

– Chyba że Borys naprawdę podał mu swój numer, a potem komuś o tym wypaplał. – Paulina zaczęła nerwowo stukać palcami w blat biurka. Powoli klarowała się w jej głowie treść sensacyjnego artykułu na temat udziału Piotra w aferze z miejskimi przekrętami.

– Albo w policji ktoś sprzedaje informacje prasie.

Paulina podniosła brwi.

– Mogę o tym z kimś pogadać. – Zerknęła na Pawła. – I zaraz napiszę...

– Ty niczego nie będziesz pisać! – przerwał jej Paweł. – Bo to będzie źle wyglądało. Tak jakbyśmy się zabezpieczali. Poza tym na forum zaraz wszyscy wygrzebią, że jesteście z Piotrem przyjaciółmi. Wyjdzie na to, że go bronisz.

– Kurde... – jęknął Piotr. – Wszyscy zaraz się rzucą na Borysa.

– Twój Borys niech sam się broni – burknął Paweł.

– A co ty masz przeciwko niemu? – Piotr poczuł się nagle lojalny wobec szkalowanego przez Matecką kolegi.

– Nic do niego nie mam. – Paweł wzruszył ramionami. – Ale skąd wiesz, czy on ci wszystko powiedział? Nagle się okazuje, że Moszenicki miał jego telefon. To jest w końcu prawnik. Pewnie przekazał ci tylko to, co chciał. Przecież on stale siedzi w jakichś sporach z miastem. To o zieleni, to o plany miejscowe.

Piotr otworzył usta, żeby dalej bronić Borysa, ale się zawahał. Rzeczywiście. Skąd Moszenicki miał jego telefon?

– Ale pomyśl z tą sensacyjną wrzutką jest niezły. Tylko że musi to zrobić ktoś inny – powiedział Paweł z namysłem, spoglądając na Paulinę. – Baśka na przykład. To ona napisała wzmiankę o morderstwie. Hmm...

Paweł potarł brodę, zagryzając wargi.

– W zasadzie to może nam dać nawet bardzo dobre zasięgi.

Sześciu mężczyzn stało w wąskim korytarzu i przypatrywało się wielkiej kałuży brudnej wody. Marcin Rychlewski, inspektor nadzoru budowlanego, był zły. Nie dość, że w ogóle nie powinien tutaj być, to jeszcze zmarzł straszliwie.

Teoretycznie znajdowali się we wnętrzu obiektu, ale było tutaj zimniej niż na zewnątrz. A na zewnątrz już teraz temperatura oscylowała w okolicach dwóch stopni, a lada dzień miały nadejść straszne mrozy.

Nadzór zastępczy oczywiście umył ręce. Wiadomo dlaczego. Budowa zakończona, ogłosili wszędzie wielki sukces, pojechali na tym, więc teraz nie mogą sobie tego spaprać. Pewnie zaraz któraś z kanalii powie, że to wina złego użytkowania. Skurwysyny!

Coś wprawdzie obito mu się o uszy, że inspektor od nich, ten cały Moszenicki, chyba nie żyje. Ale co z tego? Pełnili nadzór zastępczy, mogli przysłać kogoś innego.

– Panie inspektorze – doleciał go głos jednego z mężczyzn.

– Tak, tak. – Marcin podszedł bliżej i powiódł spojrzeniem za wzrokiem faceta z Nord/Barentz. Firma, która zajmowała się niby całościowym nadzorem nad kontraktem, i proszę, jak to wyszło.

– Nie ma śladów wilgoci. – Mężczyzna pochylił się i zaczął obmacywać ściany przy samej ziemi. – Nie ma podciągania. To musi być woda napływowa.

– Pewnie spłynęła od strony wjazdu... – zaczął przedstawiciel generalnego wykonawcy.

– I taki kawał by spływała? – przerwał mu Marcin. – Co pan opowiada?

– Pierwsze przecieki przy wjazdach pojawiły się miesiąc temu – kontynuował niezrażony wykonawca. – A od miesiąca cały czas leje.

– Mnie też się nie wydaje, żeby to było stamtąd. – Inspektor z Nord/Barentz pokręcił powątpiewająco głową. – Ale może przedostaje się przez strop?

Cała pozostała piątka – Marcin, dwóch ludzi od generalnego wykonawcy, drugi człowiek z Nord/Barentz i czarnowłosy strażnik – jak na komendę podniosła głowy do góry.

– Hmm – mruknął jeden z przedstawicieli wykonawcy.

– Na górze jest ruch – kontynuował inspektor z Nord/Barentz. – Cały czas pada, woda zbiera się na podłożu i przesiąka.

– Ale to by znaczyło, że izolacja tutaj też jest gdzieś przerwana. – Marcin się skrzywił.

– No właśnie. – Inspektor pokiwał głową. – Wszystko się układa w logiczną całość. Przy wjeździe...

– Wjazdach – wpadł mu w słowo stojący z tyłu strażnik. – Przy drugim też już stoi woda.

– Tam też? – zdziwił się Marcin. – Nikt nam nie powiedział.

– Dzisiaj rano zobaczyłem. – Strażnik podrapał się po brodzie. – Wczoraj ta tutaj kałuża, a dzisiaj rano przy drugim wjeździe.

– No właśnie! Właśnie! – Inspektor pokiwał energicznie głową. – A wszystkie izolacje robił jeden i ten sam podwykonawca.

Dwaj naburmuszeni mężczyźni od generalnego wykonawcy pokiwali ostrożnie głowami.

Marcin pomyślał, że poszukiwanie źródła problemów skończyło się najwyraźniej znalezieniem kozła ofiarnego.

Aspirant Renard robił sobie właśnie krótki przegląd prasy, a właściwie nie prasy, tylko Fejsa. No bo kto dzisiaj czyta prasę? Sięgnął po drożdżówkę i wbił zęby w miękki miąższ z truskawkowym wnętrzem.

To przez takie właśnie przyjemności rósł mu ten brzusek nad paskiem. Ale w końcu zabierze się za siebie i zacznie znowu regularnie chodzić na siłkę.

Przejrzał fora pod kilkoma stronami, wyłapując co bardziej chamskie komentarze. Nie pojmował, jak ludzie mogli wypisywać takie rzeczy pod własnymi nazwiskami. Z własnymi mordami wywalonymi publicznie na swoich tablicach. Coś tam kojarzył, że część tych użytkowników to fejkowe konta, a nawet całe farmy trolli udających nobliwe, starsze panie z kotami, ale przecież nie wszyscy. Spora grupa to były naprawdę starsze panie, które wypisywały takie rzeczy. Cała machina napędzania nienawiści, która powodowała, że ludzie tracili naturalne hamulce.

Przewinął jeszcze parę stron i zatrzymał się na portalu SzczecinNaPrawo. Nowy portal miał coraz więcej polubień. Wyskoczył jakoś rok czy dwa lata temu. Ktoś ich chyba finansował, bo mieli kasę na fotki z drona i kamery.

Przeczytał parę prawomyślnych artykułków na temat klimatu i feminatywów, że takie głupie w większości, i zatrzymał się na krótkiej wzmiance, do której dołączono jakieś zakrwawione zdjęcie stockowe.

– *Z niepotwierdzonych informacji, które jednak zazwyczaj okazują się prawdziwe...* – Renard prawie się zakrztusił.

Odłożył drożdżówkę na talerzyk, wytarł ręce o spodnie i wyszedł na korytarz.

Komisarz Halczyszyn wpatrywała się w ekran laptopa. Za jej plecami stał Renard i czekał, aż koleżanka skończy czytać.

– Skąd oni to wzięli? – zapytał, gdy policjantka podniosła wzrok.

– Może to fejk. – Halczyszyn ściągnęła usta. – Sam byłeś u niego w biurze w poniedziałek. Niczego nie zauważyłeś?

– Wszystko przejrzelіśmy. Miasto nie robiło problemów. Nic tam nie było. To znaczy...

Renard na chwilę zamarł, usiłując sobie coś przypomnieć.

– To znaczy? – Halczyszyn zmarszczyła brwi.

– Był tam planer z wyrwanymi kartkami. Oglądałem go dokładnie. Ale z planera z reguły wyrywa się kartki, więc nie wzbudziło to moich podejrzeń.

Halczyszyn westchnęła.

– No to musimy ponownie pogadać z tym Ignatiukiem, zanim Modzel się do tego dorwie. – Sięgnęła po telefon. – Dzwonię do miasta. Trzeba tam ponownie wpaść. Może ktoś coś pamięta. Sekretarka albo ktoś. A ty się spróbuj dowiedzieć czegoś od ludzi z tego portalu.

Renard skinął głową i ruszył ku drzwiom.

Rozdział 8

Miłosz zeskoczył z ostatniego stopnia drabiny i wrzasnął do dwóch robotników, którzy szykowali się do fajrantu, żeby zabezpieczyli siatki i wszystkie wiadra stojące na pomostach. Cholerny wiatr szarpał siatką zakrywającą rusztowanie i wciąż trzeba było pilnować, żeby nie pościągał wszystkiego.

Miłosz przebiegł przez rozjeżdżony ciężkim sprzętem plac, ominął kilka kałuż i wskoczył na schodki baraku dla kierownictwa.

Z ulgą zamknął za sobą drzwi, ściągnął rękawiczki i trzęsąc się z zimna, podszedł do olejowego kaloryfera. Czytał, że idzie jakiś mróz od Rusków. Może i byłoby lepiej. Mróz zawsze jest łatwiejszy do zniesienia niż wilgoć i wiatr.

Rozgrzał się odrobinę, włączył czajnik i usiadł na plastikowym krzeselku przy biurku. Sięgnął do torby i wyjął papierową śniadaniówkę z kanapkami.

Czekając na herbatę, sięgnął po tablet i od niechcienia zaczął przeglądać wiadomości u Zuckerberga. Jego znajomi wklejali jakieś głupoty, koty, memy i własne zdjęcia. Od pewnego czasu kilka portali nawalało zdjęciami Szczecina. Już mu się chciało rzygać od tych ciągłych zapewnień, że Szczecin się zmienia, i oglądania kolejnych obrazków z dronów ukazujących następne rozgrzebane ulice. Admini tych stron chyba nie mieli życia prywatnego. Właściwie skąd oni brali te fotki? Owszem, były czasem odsyłacze do innych stron, ale często zdjęcia leciały bez

żadnych informacji. Kto za to płacił? I do tego te ciągłe wstawki, że sadzą, kurwa, nowe drzewa.

Przesunął palcem po ekranie i zobaczył stronę „Dziennika Szczecińskiego”.

Przez chwilę nie wiedział, na co patrzy. Coś mu się kojarzyło wprawdzie, ale nie wiedział ani skąd, ani co to było. Dopiero po dłuższej chwili go olśniło i prawie jednocześnie poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy.

Paulina przeglądała powoli forum pod swoim artykułem na temat urzędu marszałkowskiego. Tak jak przewidywała, sporo osób zarzuciło jej odgrzewanie starych kotletów. Faktycznie, na temat rzekomych usterek konstrukcyjnych gmachu marszałka pisali już chyba wszyscy. Dyskusje na ten temat przewaliły się przez fora i portale internetowe jakiś czas temu, a potem, gdy budynek niestety się nie zawalił, przestało to kogokolwiek obchodzić. Liczyła jednak, że wzmianka na temat tajemniczej świątyni kogoś zainteresuje. Zwłaszcza że jako pierwsi zamieścili zdjęcie.

Do tej pory plotki na temat tej rzekomo odkopanej gdzieś świątyni pojawiały się wyłącznie na forach i prywatnych tablicach. Żadna gazeta ani portal nie podjęły tego tematu, więc przynajmniej w tym byli pierwsi. No i zamieścili fotkę.

Paulina przesunęła myszką posty na forum, czytając kolejne komentarze.

Miałki, wtórny tekst, który pani Weber chciała ożywić, zamieszczając jakieś marne, stockowe zdjęcie.

Czy „Dziennik Szczeciński” naprawdę nie ma o czym pisać?

Schodzicie na dno! Nieświeże głupoty o urzędzie marszałkowskim, a do tego brednie o jakiejś kącinie Trygława.

– Jeszcze tylko o własnej grubej d...pie tutaj nie pisałaś, lewaczko. To dopiero katastrofa.

Paulina przesunęła rolką forum o kolejne komentarze. Opinie mniej więcej były wyrównane. Najgorzej, że ta kolejna część o deweloperce Pawła lepsza nie będzie. Można by zrobić wprawdzie świetny tekst z tych rzeczy, które opowiadał kierownik budowy, ale Paweł, który obejrzał już nagranie Macieja, kategorycznie zakazał jej o tym pisać.

Spuściła wzrok i spojrzała krytycznie na swoje biodra. Przecież nie przytyła. Co za gnojek!

Westchnęła ciężko i scrollowała komentarze, szukając jakichś merytorycznych uwag na temat świątyni, gdy w drzwiach do swojego aneksu stanął Paweł i krzyknął na cały głos, żeby ona i Piotr do niego zajrzeli, jak skończą już oglądać Pudelka i gejowskie porno.

Iwona Halczyszyn odłożyła słuchawkę i zaklęła. Myślała, że prokurator Modzelewski będzie potrzebował więcej czasu na zapoznanie się z dotychczasowym materiałem śledztwa i sama zdąży jeszcze raz przesłuchać Ignatiuka. Ale Modzel rwał się do tej roboty z wyjątkowym wręcz entuzjazmem. Miała tylko nadzieję, że nie zamieni tej sprawy w medialną hucpę, tak jak zrobił to już parę razy przy innych okazjach.

Tak czy siak, Ignatiuk nic nie powiedział o telefonie. Może sam nie wiedział? Może Moszenicki miał jego numer, tylko postanowił skorzystać z fejkowego konta, zamiast ujawniać swój własny? To było nawet prawdopodobne. Poza tym telefon Ignatiuka miało kilka osób w urzędzie miasta, więc jakby Moszenicki chciał, to mógłby bez problemu go zdobyć.

Przemas nic w urzędzie nie znalazł. Nikt też nic nowego mu tam nie powiedział. Na pytanie, do kogo Moszenicki mógł

dzwonić owego pechowego dla siebie dnia, żadna z pracujących w biurze kobiet nie potrafiła nic powiedzieć. Jedyne połączenia, które kojarzyły, to oczywiście te, które same do niego przełączały, lub rozmowy, które prowadził przy otwartych drzwiach. Przy czym prawie nigdy swojej prywatnej komórki nie używał w biurze. A przynajmniej nie otwarcie. Halczyszyn nurtowała jedna związana z tym sprawa.

Moszenicki nie miał przy sobie telefonu. Tablet także. I Ignatiuk, i ten cały Piotruś Pauliny, jak mu tam było? Bahryński! Obaj twierdzą, że Moszenicki pisał do nich około dziewiętej. A telefonu w samochodzie nie było.

Ukradli mu telefon? Tablet? Po co?

Halczyszyn zagryzła wargi i spojrzała w okno. Zajebista pogoda, nie ma co, pomyślała z przekąsem.

Jeśli to oni go zabili, to czy zabieraliby telefon? Chyba że rzeczywiście były w nim kompromitujące ich materiały. Na przykład, tak jak podejrzewał Renard, jakieś fotki. Ale nie chciało jej się w to wierzyć. Przyjeżdżają na miejsce i po prostu walą go w łeb? W samochodzie nie było żadnych śladów, a przynajmniej takich, które byłyby widoczne gołym okiem. Jakiejś szarpaniny, walki. Ta krew przecież by się rozbryznęła po siedzeniach. Facet by się próbował bronić.

Więc dlaczego nie było telefonu?

Zakładając, że mówią prawdę i facet faktycznie chciał im coś przekazać. W wersji sensacyjnej ktoś ich uprzedził i go sprzątnął, a następnie zabrał rzeczy, na których mogłyby być ślady tej afery.

W wersji bardziej prawdopodobnej – napadli na niego ci obwiesie, których rzekomo widział Bahryński, i po prostu zwinęli telefon, tablet czy co on tam jeszcze mógł mieć przy sobie. Laptop?

Jeden z wątków zakładał przecież zwykłą czynną napaść. Ci młodzi bandyci mogli go faktycznie okraść. W zasadzie fakt, że przy Moszenickim nie było ani telefonu, ani portfela, bardzo tę wersję uprawdopodobniał.

Przemek zdążył już nawet namierzyć jednego z tych typków. Mieszkał po prostu w tej kamienicy na Gołęczynie. Nie było to trudne, bo młodziak był notowany. Drobne kradzieże, rozbój. Dwaj pozostali to pewnie jacyś jego kolesie. Najprawdopodobniej jeszcze dzisiaj się okaże, co chłopak ma do powiedzenia na ten temat. A nuż cała sprawa skończy się szybciej, niż można było zakładać.

Tyle że był jeszcze jeden trop.

Halczyszyn sięgnęła po wydruk z komputera i położyła go na stole przed sobą. Kartka z dziennika budowy z czyimś podpisem. Niestety, podpis był, delikatnie mówiąc, średnio czytelny i domyślenie się, kto mógł się ukrywać za fantazyjnym zawijaszem, było trudne do odgadnięcia.

Na razie.

Baśka, starsza nieco stażem koleżanka Pauliny i Piotra, która z reguły pisała o polityce i gospodarce, spoglądała na nich i czekała, aż skończą czytać notatkę, którą dopiero co przygotowała.

– Nie będziemy tego puszczać w papierze – odezwał się Paweł. – Damy tylko na naszym portalu. To całkowicie wystarczy.

– *Nie milkną komentarze na temat morderstwa, które miało miejsce tydzień temu, w noc z wtorku na środę* – przeczytała Paulina głośno i podniosła wzrok na Baśkę. – Ze środy na czwartek to było.

Baśka pokiwała głową.

– Dzięki, poprawię zaraz.

– *Z uwagi na pojawiające się w mediach teorie na temat śmierci urzędnika ze szczecińskiego magistratu musimy ujawnić kulisy dziennikarskiego śledztwa, które prowadzili nasi dziennikarze. Sprawa może dotyczyć rzekomych nieprawidłowości przy inwestycjach publicznych...* – czytała dalej Paulina. – Czy urząd nas nie zaskarzy za to?

– Ujawniamy naszego informatora – stwierdził Paweł. – Prawo prasowe pozwala nam milczeć w takich sytuacjach, ale wykazujemy dobrą wolę. Poza tym jesteśmy wstrząśnięci tą śmiercią i zdradzamy to, co wiemy.

Paulina bez przekonania pokiwała głową i wróciła do czytania.

– *Informator, do którego dotarliśmy, nie zdołał przekazać nam istotnych wiadomości poza dwoma dokumentami. Został zamordowany tego samego dnia, kiedy miało to nastąpić.*

Paulina rzuciła niepewne spojrzenie w kierunku Pawła.

– A to nie sugeruje, że ktoś z urzędu go zabił?

– Paweł – zirytowana Baśka spojrzała na naczelnego – może jednak niech Paulina sama skleci tę notkę...

– Oj tam. – Paweł pomachał rękami, jakby opędzał się przed namolną muchą, ale spojrzał na Paulinę. – Może to rzeczywiście jest z lekka jednak sugerujące... – zauważył z wahaniem.

– Pomijając kontekst i cel tej notki – odezwał się Piotr – to przecież sama prawda.

– Jaka prawda? – Paulina podniosła wzrok znad tabletu. – To, że ktoś z urzędu go sprzątnął?

– To, że zginął tuż przed naszym spotkaniem.

- Ale to od razu wywoła niepotrzebne komentarze.
- A co ty nagle zrobiłaś się taka ostrożna? – zakpiła Baśka, rzucając Paulinie ironiczne spojrzenie. – Przecież o to właśnie chodzi, żeby odwrócić podejrzenia od Piotra i jego nocnych seksrandek.
- Nie byłem na żadnej seksrandce! – zaprotestował Piotr.
- W tym rzecz, że jak Matecka wywęszy, co knuje policja, to tak właśnie wszyscy będą mówić – odezwał się znowu Paweł. – A jak wywołamy teraz gównoburzę, to odwrócimy uwagę od tych gejowskich teorii.
- Mało tego... – dodała Baśka i pokiwała głową. – Wszyscy wtedy uznają, że prokuratura kręci i usiłuje kryć jakichś swoich koleśków, zrzucając winę na Piotra.
- Żeby tylko ten makiaweliczny plan nie obrócił się przeciwko nam. – Paulina skończyła czytać i położyła tablet na biurku.
- Dajemy do tego te wasze fotki? – spytała Baśka, patrząc pytająco na Paulinę.
- Nie wiem, czy to konieczne. Dopiero co jedno zdjęcie poszło z moim artykułem na temat urzędu marszałkowskiego.
- Dajemy. – Paweł kiwnął głową. – To od razu podkreśli ten twój cykl.
- Twoją reklamę, a nie mój cykl – powiedziała ze złością Paulina.
- À propos, dzwonił do mnie właśnie Leszek Podgórski z Docklands Park. Chciałby się spotkać. Zaprasza na budowę.
- Po co? – zapytał Piotr. – Przecież już wszystko tam widzieliśmy.

– Powiedział, że ma niesmak po wczorajszej rozmowie i żeby wszystko wyjaśnić, chce pokazać wam jakieś drewno i jakąś starą łódź.

– Łódź? – Paulina i Piotr prawie jednocześnie spojrzeli na Pawła. – Przecież twierdził, że żadnej łodzi nie wykopali.

– Pojedziecie tam, to wszystkiego się dowiecie. – Paweł zamknął laptop, kończąc najwyraźniej audiencję. – Tylko żadnych awantur tym razem.

Kilkanaście minut później Paulina, która przez dłuższy czas nie odrywała wzroku od czegoś na ekranie, spojrzała na Piotra.

– A jeśli udałoby się odcyfrować ten podpis? – zapytała, marszcząc z namysłem czoło.

– Jaki podpis? – Piotr, po raz kolejny odciągany od artykułu na temat wichrów i burz, spojrzał na nią rozkojarzony.

– No ten z kartki, którą Moszenicki przysłał Borysowi.

– Równie dobrze mogłabyś przeczytać jakąś przypadkową receptę.

– Skoro aptekarkom to się udaje, to może nam też się uda. Może po prostu ktoś go zna? Skojarzy. Możemy zacząć od tego zabawnego kierownika budowy z Docklands Park.

Piotr pokiwał ostrożnie głową. Właściwie czemu nie?

– A poza tym musimy się spotkać z tym twoim Borysem.

– To nie jest żaden mój Borys. Po co?

Paulina z namysłem postukała palcami w biurko.

– Chcę się w końcu dowiedzieć, o co konkretnie chodzi z tą całą Pokrętną.

Wiceprezydent Przekot zobaczył, jak z gabinetu prezydenta wychodzi Lameński, i odruchowo cofnął się za róg. Sam nie

wiedział, dlaczego to zrobił. Spięcie z tym typem nie było przecież niczym nowym. Już się nie raz zdarzało, że się kłócili. Bardzo często mieli odmienne stanowiska. Z góry oczywiście wiadomo było, po czyjej stronie stanie prezydent. Jasne, że go to wkurzało. Nie tylko jego. Jak na razie polityka medialna Lameńskiego przynosiła same profity, jego strony miały ogromną liczbę odbiorców i prezydentowi to się podobało. Przekot oczywiście wiedział doskonale, że zasięgi tych stron były sztucznie podkrećane, przecież na tym właśnie Lameński znał się doskonale. Nie był jednak pewien, czy prezydent zdaje sobie z tego sprawę.

Tak czy siak, musiał niechętnie przyznać, że polityka docierania do odbiorców grafiką, zdjęciami lub filmem była po prostu skuteczna. Algorytmy stron społecznościowych preferowały materiały graficzne. Notki, wpisy czy wypowiedzi były zawsze mniej widoczne. Ostatnio mówiło się nawet, że Facebook celowo tnie zasięgi, żeby zmusić użytkowników do wykupywania reklam. Mówiło się także, że media społecznościowe dryfują w kierunku telewizji internetowej, dlatego największe zasięgi mają przekazy wideo.

To wszystko oczywiście była prawda. I wykorzystywanie tych mechanizmów Przekot jak najbardziej popierał. Ale co innego skuteczna kampania medialna, a co innego hakerskie wrzutki typu cerkiew na Pokrętnej.

To były działania w stylu wiadomo kogo. I wiadomo, od kogo rządząca miastem frakcja to przejęła. Na plakatach „Nie wybieraj partii, wybierz ludzi”, „Liczą się mieszkańcy”, „Liczy się wasze zdanie”, a potem przekazy dnia i cerkiew na Pogodnie.

Przekot zacisnął szczęki i ruszył korytarzem w kierunku swojego gabinetu.

Piotr wpatrywał się w prognozę pogody. Na weekend zapowiadali mróz. Miał się nasunąć ze wschodu, ale przewidywano, że kierunek wiatru może zmienić się na południowy, południowo-wschodni.

Już wiedział, czym postraszyć czytelników „Dziennika Szczecińskiego”. Silny wiatr i mróz to niezłe połączenie, wprawdzie jeszcze lepszy byłby wiatr północny, ale przecież nie pisze scenariusza, tylko artykuł bazujący na autentycznie zapowiadanej pogodzie.

Pewnie na początku przyszłego tygodnia pojawią się ostrzeżenia RCB, a więc artykuł przed weekendem będzie idealny. Jak dopisze im szczęście, to wszystko się zbiegnie z rzeczywistością.

Jak zwykle telefon oderwał go od pisania artykułu. Spojrzał na wyświetlacz, westchnął i odebrał.

– Nie wspomnieliście o mnie ani słowa – zaczął Borys bez wstępów. – Widziałem właśnie ten twój post...

– Nie mój, nie mój – zaprzeczył Piotr. – Napisała to moja koleżanka.

– Wszystko jedno, ale podaliście, że prowadzicie śledztwo. Jakie, kurwa, śledztwo prowadzi „Dziennik Szczeciński”? Przecież gdybym cię nie wyciągnął na to spotkanie nocą, to nic byś do tej pory nie wiedział.

Piotr westchnął, w duchu tym razem. Rzeczywiście, pomysł na ratowanie jego tyłka mógł trochę niezręcznie wyglądać z punktu widzenia Borysa.

– Mój naczelny wymyślił, żeby uprzedzić kroki Mateckiej. Widziałeś, co napisał SzczecinNaPrawo?

– Nie czytam tego gówna.

Piotr usłyszał, jak Borys klika głośno palcami po klawiaturze, a po chwili na moment zapanowała cisza.

– Kurwa!

– Nie przyznałeś się, że dałeś mu swój telefon – powiedział Piotr, licząc, że tym sposobem przejmie rolę ofiary w tej rozmowie.

– Nie dałem mu żadnego... Czekać.

Borys umilkł, a Piotr wręcz słyszał, jak intensywnie pracują szare komórki kolegi.

– Jezu – westchnął Borys. – Rzeczywiście mu dałem. Zapomniałem o tym. Jak zaczął o tych aferach, to powiedziałem, żeby zadzwonił oficjalnie na mój telefon, wtedy będę wiedział, że to nie podpucha.

Piotr przez krótką chwilę zastanawiał się, czy Borys mówi prawdę. Po chwili namysłu postanowił zapytać:

– Serio, dałeś mu telefon?

– No tak. Zapomniałem w tym wszystkim. Ale on od razu powiedział, że nie będzie dzwonić. Nawet nie podejrzewałem, że zapamięta mój numer.

– No to nieźle – westchnął Piotr. – A facet zanotował sobie twój numer i godzinę spotkania na kartce.

– Nie powiedziałem o tym policji. – Borys wciągnął głośno powietrze. – To będzie fatalnie wyglądało. Czekać...

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Na co czekaj? – nie wytrzymał w końcu Piotr.

– Przecież jakby policja o tym wiedziała, to od razu by o to zapytali. Dlaczego nie zapytali?

– I skąd Matecka o tym wiedziała? – dodał Piotr. – Myśleliśmy tutaj nawet, że to właśnie policja jej zdradziła. Że

mają u siebie wtykę, która sprzedaje newsy, ale...

– Gdyby o tym wiedzieli, toby zapytali – przerwał zdecydowanym głosem Borys. – Mateckiej ktoś inny musiał to zdradzić.

– Ktoś z miasta?

– Najwyraźniej – przytaknął Borys. – Ktoś, kto w dodatku widział tę kartkę albo notes, czymkolwiek to było. Ktoś, kto nas wrabia – dodał.

Piotr, który dał się pochłonąć swojemu artykułowi, przestał myśleć dzięki temu o ich kłopotach. Teraz poczuł, jak znowu spadają mu na głowę.

– Muszę kończyć. – Borys ściszył głos. – Potem pogadamy.

Prawie jednocześnie z deklaracją Borysa zaćwierkał telefon Piotra.

Piotr spojrzał na wyświetlacz. SMS od kolegi.

Za tydzień, w sobotę, zapraszał go na imprezkę.

Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

Nowacki chodził w tę i we w tę po niewielkim mieszkaniu Miłosza. Musiał do niego przyjechać, bo inaczej pewnie ten baran sam zwałiby mu się na głowę. Jeszcze tego brakowało, żeby stara zaczęła go podejrzewać o romans z facetem. O zwykłe romanse, takie z babami, podejrzewała go nagminnie, więc to byłoby przynajmniej coś nowego. Ale wolał sobie darować taką rozrywkę.

– Ty nie masz jakichś pigułek? – Zatrzymał się w końcu i popatrzył na bladego kierownika budowy, siedzącego nieruchomo na kanapie. – Może weźmiesz coś?

– Co wezmę? – Miłosz przez chwilę sprawiał wrażenie rozkojarzonego, zanim dotarło do niego, o czym mówi Nowacki.

– Wziąłem już. Już ty się o to nie martw. Bez tego to bym chyba wyskoczył przez okno.

Nowacki rzucił okiem w kierunku drzwi i okna balkonowego. Które to było piętro? Dziewiąte? Pomyślał, że byłoby w końcu po problemie. Nie musiałby niańczyć tego psychola.

– Dobra – powiedział w końcu spokojnie i usiadł naprzeciwko Miłosza. – I co z tego?

– Co? – Miłosz patrzył na niego niespokojnym wzrokiem. – Co z czego?

– Pytam, co z tego? – powtórzył Nowacki. – Co z tego, że brukowiec zamieścił tę fotkę? Po pierwsze nic na niej nie widać, a po drugie szukają jakiejś posranej świątyni. Niech sobie szukają! Po co ty się tym przejmujesz?

– Ty nie widzisz, że to się zacieśnia? – zapytał Miłosz w sposób, który spowodował, że Nowacki jeszcze bardziej zaczął się martwić o jego zdrowie psychiczne.

– Co się zacieśnia?

– No to wszystko. – Miłosz wytarł nos. – Jest ciągle tylko gorzej. Najpierw przecieki, a teraz pojawiła się fotografia. To jest jakaś zła karma. To zemsta za to, co zrobiliśmy. A fotka? Kto ją w ogóle pstryknął?

Nowacki patrzył na Poznańskiego i naprawdę zaczynał się obawiać. Mógł tym swoim nieogarnięciem narobić im kłopotów.

– Miłosz – powiedział powoli, uspokajającym głosem. – Jaka karma? Co ty, chłopie, opowiadasz? Fotkę zrobił pewnie Moszenicki i dostała się teraz do mediów po tym, jak ktoś go zabił...

– I to ma mnie, kurwa, uspokoić? – Miłosz podniósł głos. – Ktoś go zabił, a ty tak o tym mówisz, jakby go zaprosił na piwo. Faceta ktoś z a b i ł! – powtórzył z naciskiem.

– Weź się w garść! – warknął Nowacki. – Już gdzieś o tym napisali. Najprawdopodobniej dostał w łeb od jakichś łachmytów z Gołęcina. On tam miał wuja, którym się opiekował, dowiedziałem się właśnie. Pojechał tam, stanął nad Odrą, w tym syfie. Pewnie wuj go wkurzał, więc zatrzymał się, żeby się uspokoić. Podeszły do niego jakieś ochlapusy, zaczęła się pyskówka, dostał w ryj i niestety przypadkowo zginął. Wiesz przecież, co to za dzielnica.

– A fotki?

– Fotka! Jedna główniana fotka! – Nowacki zaczął tracić cierpliwość. – Nic na niej nie widać, jeszcze raz powtarzam. Pewnie Moszennik zrobił fotkę wtedy, jak tam wlaźł. Pamiętasz?

– Pamiętam – burknął Miłosz. – Niestety pamiętam!

– Nie dramatyzuj! Nic nam nie grozi. Ta fotka nikogo do nas nie doprowadzi.

– A jak zaczną tam kuć?

– Zaczną, kurwa! Oczywiście, że zaczną! – Nowacki podniósł głos. – Przecież ci mówiłem, że zaczną. Ale, kurwa, przy wjazdach! To tam przecieka. Nic z tym nie mamy wspólnego. Wbij to sobie w końcu do łba!

Jakieś pół godziny później, gdy zdołał trochę uspokoić Poznańskiego, Nowacki zjeżdżał na parter i wpatrywał się ze złością w swoje odbicie w brudnym, pokiereszowanym lustrze starej windy. Nie powiedział o czymś. Bał się, jak ten głąb zareaguje. Pewnie wpadłby w regularną panikę albo wyskoczył z miejsca przez balkon. Chłop się rozsypywał. Nigdy by, nawiasem mówiąc, nie przypuszczał, że inżynier ma taki słaby charakter.

Nowacki dowiedział się, że woda pojawiła się także w innym miejscu. Nadal nie przy ich schodach, ale to trochę pogarszało ich sytuację. Na razie Nord/Barentz wprawdzie zakładał, że przecieka z góry, ale nie wiadomo było, jak długo będą przy tym obstawać. Zwłaszcza że podwykonawca wjazdów już zaczął protestować przeciwko niesprawiedliwym, jego zdaniem, oskarżeniom.

Nowacki do tej pory się nie martwił. Jedynie Poznański był jego kłopotem.

Teraz sytuacja nieco się zmieniła.

Urszula Matecka serdecznie nie znosiła Pauliny. Piotra zresztą także. Tyle że Piotra było jej trochę szkoda zawsze, a Paulinę uważała za bezwzględną manipulatorkę. Już na samym początku pracy w redakcji „Dziennika Szczecińskiego” owinęła sobie Pawła wokół palca i dzięki temu mogła pisać te dobrze płatne teksty sponsorowane, które zawsze jakoś jej, o dziwo, zlecał. Ona nigdy nie dostała takiej propozycji. Widziała tylko, jak ciągle ta małpa przesiaduje w pokoju naczelnego. Przecież to wszyscy widzieli. I wszyscy doskonale wiedzieli, o co w tym chodziło. Historia stara jak świat. Żonaty facet i młoda, aspirująca, łatwa dziwka.

Pokręciła głową ze złością. Nie powinna tak jej nazywać. Nawet w myślach... Przecież miała zasady. Właśnie tym się różniły.

Także o to chodziło. Nie mogli tego znieść, że w pracy dziennikarskiej kieruje się zasadami. Że wiara w Boga jest dla niej kierunkiem. Że tak ją wychowano. Żeby zawsze na pierwszym miejscu stawiać prawdę.

A Piotr? Cóż, jeden z tych młodych ludzi, którzy się pogubili. Nie miała nic przeciwko homoseksualistom. Absolutnie. To

absurdalne, że to jej zarzucali. Ale co innego homoseksualizm, w końcu każdy dźwiga jakiś krzyż, a co innego rozwiązłość, nieuporządkowane życie i pozostawanie w grzechu. A Piotr niestety taką wybrał drogę. Kilka razy, po dobroci, usiłowała go przekonać, że jest alternatywa, że są specjalne terapie. Że wystarczy tylko otworzyć oczy na światło, przyjąć do wiadomości prawdę. Niestety, za każdym razem ją wyśmiewał. Potem słyszała za plecami jakieś żarciki i widziała, jak ta lewacka wywłoka się z niej wyśmiewa. Bo kiedy zaczął pracę w „Dzienniku”, jego też oczywiście urobiła.

Urszula pokręciła głową, jakby odpędzając od siebie złe myśli, i sięgnęła po kubek z kawą. Na szczęście miała to już za sobą. Tę upadlającą pracę w tej lewackiej gazecie, gdzie jej stanowisko było zawsze sekowane. O właśnie! Ona była sekowana. Ona jako katoliczka. Absolutnie zgadzała się z tym, że katolicy są w tym kraju prześladowani. To było przecież oczywiste. Było to widać gołym okiem. Na każdym kroku. A to lewactwo miało jeszcze czelność twierdzić, że jest inaczej. Że to niby oni są prześladowani. Nie ma dnia, żeby na Facebooku nie powiewała jakaś zasrana tęczowa flaga albo kolejny żaloszny typ nie wylewał swoich żalów, że ktoś go niby nie toleruje.

I jeszcze ten cały Netflix do tego. Z tymi Murzynkami. Do czego to wszystko zmierza?

Portal SzczecinNaPrawo to była zupełnie inna kultura dziennikarska. Od początku ją doceniali. Jej pomysł na portal, który oprócz przekazywania rzetelnych wiadomości z regionu trzyma się jednak zasad. Żadnej pseudotolerancji, żadnego relatywizmu. Udowadniała, że można robić takie dziennikarstwo. Że nie musi to być zaraz parafializm, że można trzymać się zasad. Po prostu.

Urszula sięgnęła po laptop.

Jej wzmianka na temat Borysa i jego udziale w tym podejrzanym zabójstwie wywołała spore zamieszanie. Kolejny pogubiony człowiek, któremu się wydawało, że robi coś dobrego. Te jego protesty w sprawie zieleni, te happeningi w obronie jakichś ulic czy schronisk dla zwierząt. I teraz żłobek na Pogodnie. Jednak prawda zawsze wyziera zza pseudodobra. Niby taki obrońca zieleni, przyrody, a na człowieka ślepy. Na życie. I tacy oni są właśnie. Chronią jakieś stare lipy, place, a jak chodzi o żłobek, o życie, to protestują.

Urszula, niechętnie oczywiście, ale cały czas czytała „Dziennik Szczeciński”. Nie mogła się nigdy oprzeć pokusie, żeby tam zajrzeć. I teraz też się nie oparła.

Otworzyła stronę dziennika i zaczęła scrollować wiadomości.

Zatrzymała się na krótkiej notce, pod którą była szalona liczba komentarzy. Szybko przeczytała i zmarszczyła brwi. Coś takiego...

Samochód zatrzymał się kilkadziesiąt metrów wcześniej. Zaraz za zjazdem z głównej ulicy. Reflektory zgasły, umilkł silnik i przez dłuższą chwilę panowała cisza. Tak jakby kierowca lub pasażerowie siedzieli w środku i nasłuchiwali, czy ich przybycie nie ściągnęło czyjejs uwagi. Dochodziła pierwsza, ze stojących nieopodal domów docierały światła palących się nad wejściami latarni, gdzieś jeszcze widać było samotne rozświetlone okno, ale cała okolica pogrążona była już w ciemności. Od strony głównych ulic dzielnicy dobiegł tylko czasem warkot silnika lub szczekanie psa.

Po chwili drzwi samochodu się otworzyły i wysiadło czterech mężczyzn. Po cichu wyjęli z bagażnika wana jakieś narzędzia i tak objuczeni, wąską, strzeżoną przez przydrożne drzewa,

pogrążoną w ciemności drogą ruszyli w kierunku leżącego za zakrętem lasu.

Rozdział 9

Paulina po raz drugi w tygodniu zaparkowała w podziemiach nowego apartamentowca na Kępie Parnickiej i zgasiła silnik.

– A mróz nie przeszkadza elektrykom? – zapytał Piotr, wysiadając z samochodu.

– A skąd mam wiedzieć? – Paulina zatrzasnęła drzwi i rozejrzała się po pustym parkingu. – Ja jestem tylko użytkownikiem, nie producentem.

– A nie powinnaś mówić „użytkowniczkom” i „producentkom”? Ciebie feminatywy nie obowiązują?

– Nie uda ci się mnie zdenerwować. – Paulina uśmiechnęła się słodko do Piotra. – To nie moja wina, że boisz się zaprosić na piwo tego swojego Borysa.

– Wcale się nie boję... – Piotr wzniósł oczy do nieba. – To znaczy wcale nie mam ochoty!

– Boisz się! Jesteś klasycznym zoomersem, nie wiesz, czego chcesz, i boisz się wyjść z internetu nawet do pubu.

– Jestem millenialsem.

– Urodziłeś się w dziewięćdziesiątym piątym. To tylko rok od granicy millenialsów i zoomersów, więc masz zdecydowanie więcej cech zetek.

– Ale durnoty – prychnął Piotr. – Jakbym chciał gdzieś kogoś zaprosić, tobym zaprosił.

– Zoomerskie gadanie.

– Okej, boomer...

– Dzień dobry, pani Paulino! – Głos znajomego przedstawiciela firmy Docklands Park przerwał konwersację dwojga dziennikarzy. – Panie Piotrze!

Leszek Podgórski przywitał się i machnął ręką w kierunku wyjazdu z garażu.

– Niestety, musimy wyjść na zewnątrz. Pan Wasiak tam już na nas czeka przy magazynie. Ależ się zrobiło zimno.

– No właśnie o tym rozmawialiśmy. – Paulina rzuciła Piotrowi ironiczne spojrzenie.

– Rano było minus piętnaście – dodał przedstawiciel dewelopera. – Dawno u nas nie było takich temperatur, a czytałem, że to może potrwać nawet do Gwiazdki.

– Lepszy mróz niż deszcz. – Paulina uśmiechnęła się i weszła na pnącą się ku górze rampę.

W narożniku terenu budowy, przy ogrodzeniu stał sklecony z trzech połączonych plastikowych modułów magazyn. Obok drzwi, zacierając ręce w roboczych rękawiczkach, chodził kierownik budowy.

– Dzień dobry, pani redaktor. – Ukłonił się dwornie na widok Pauliny i otworzył drzwi magazynu.

We wnętrzu piętrzył się stos rozmaitych narzędzi, stało kilka wielkich pojemników z farbami i środkami chemicznymi, a pod ścianami równo poukładano worki z dodatkami do cementu i zaprawą.

Za tym wszystkim, na końcu magazynu leżała zaś sterta starych, szerniałych, pokrytych brudnymi naleciałościami desek. Kilka z nich było wygiętych w łuk i przypominało zebra kadłuba starej łodzi.

– A to są właśnie te śmieci, które znaleźliśmy w wykopie. – Podgórski skinął lekceważąco głową w ich kierunku.

– Trochę się zachowało. – Wasiak pochylił się nad deskami i szarpnął za jedną, która się przesunęła, odsłaniając leżącą pod spodem ciężką, grubą belkę. – Stępka się zachowała nawet. A tam dalej rozpornica leży.

– Widział to konserwator? – Paulina powiodła wzrokiem po resztkach starej krypy. – To stara łódź?

– Oczywiście, że widział. Gdzie tam stara. – Podgórski zaprzeczył pogardliwie. – Lata dwudzieste najwyżej. Zwykła przedwojenna łódź, która pewnie się spaliła podczas bombardowania Szczecina.

Piotr wyjął smartfon, podszedł bliżej hałdy desek i zaczął robić zdjęcia.

– A co zamierzacie z tym zrobić?

Podgórski wzruszył ramionami.

– Muzeum tego nie chce.

– Według projektu na parterze mają być tutaj knajpy. – Paulina przypomniała sobie dokumentację, którą niedawno oglądała. – Może dałoby się to wykorzystać jako wystrój?

– To nie nasza decyzja, lokale będą przecież na sprzedaż.

– To doskonale będzie wyglądało w artykule. – Paulina uśmiechnęła się pod nosem, widząc, jak Podgórski od razu zastrzygł uszami.

– Bo to generalnie jest doskonały pomysł, pani redaktor – powiedział i pokiwał entuzjastycznie głową. – Na pewno go rozważymy.

Paulina przeskoczyła przez worki z zaprawą cementową i stanęła nad pozostałościami łodzi. Pomyślała, że na fotkach

w gazecie wyjdą świetnie i pewnie to się dobrze sprzeda, ale nie wyobrażała sobie, że ktoś mógł pomylić te resztki z jakąś starożytną budowlą. Było raczej mało prawdopodobne, że plotka o świątyni Trygława narodziła się tutaj.

– Widziałem dzisiaj rano ten wasz artykuł. – Podgórski nagle zmienił temat. – O waszym śledztwie. To dlatego pytała pani o świątynię? A to drugie jest po prostu zwykłym wpisem z dziennika budowy.

Paulina, lekko zaskoczona, chciała przecież jakoś dyplomatycznie poruszyć ten temat, a tu, proszę, sami się zainteresowali.

– Za wiele nie mogę zdradzać... – powiedziała ostrożnie, rzucając przelotne spojrzenie Piotrowi. – Bardziej chodzi o nieprawidłowości...

– Przy zamówieniach publicznych – uzupełnił Piotr.

– Ten wpis z trzynastego maja jest przecież – odezwał się Wasiak. – Musicie sprawdzić, jakie budowy miasto wtedy robiło, i będzie wiadomo. Ale z tą świątynią to ja bym był ostrożny. Robotnicy takie rzeczy potrafią gadać, że nie uwierzyłaby pani. Raz...

– Panie Szymonie... – Podgórski spojrzał z niepokojem na kierownika budowy. – Państwo nie mają czasu...

– Ale ja tu nic o budowie, szefie, spokojnie. – Wasiak uśmiechnął się do Pauliny. – No więc raz, a to był środek korony, jeden z robotników poprosił o wolne, bo musiał zrobić badania. My w koronie to robiliśmy bez żadnych postojów. Myśli pani, że ktoś by nam dał wolne albo maseczki...

– Panie Wasiak!

– No a nie było tak? Szefie? Na rusztowaniach kilkunastu chłopów, jeden obok drugiego. No i ten chłop na badania chciał

iść. Zwolniłem go, a jakże. I zaraz potem do baraku przysłała do mnie delegacja. – Wasiak zaczął rechotać. – I mówią mi, że oni nie chcą już z Benesiukiem robić, bo to jednak strach.

Paulina i Piotr wpatrywali się z rozbawieniem w kierownika budowy. Przedstawiciel inwestora przypominał zaś stojącego w napięciu psa gończego, gotowego w każdej chwili powstrzymać kierownika przed chlapnięciem czegoś kompromitującego.

– No ja się ich pytam – kontynuował Wasiak – o co wam chodzi? A oni do mnie, że podsłuchali, że Benesiuk idzie na koronoskopię.

Wasiak sam głośno zarechotał, a Podgórski, wyraźnie odprężony, odetchnął, uśmiechając się porozumiewawczo do Pauliny i chichoczącego Piotra.

Roboty wykonywane przez Dark-Bud weszły w fazę wymagającą większego nadzoru nad robotnikami. Miłosz zatem cały czas kręcił się po rusztowaniach, to wchodząc na najwyższy poziom, to schodząc w dół. Cały czas był czymś zajęty i nawet jak na chwilę wpadał do baraku, żeby się napić gorącej herbaty, to miał głowę zajęłą mocowaniem systemowym, zawieszami, wspornikami i różnymi innymi konsolami i listwami ściennymi. Na początku tych robót na budowę wpadł wprawdzie przedstawiciel techniczny i przeprowadził szybkie szkolenie, ale Miłosz i tak wolał cały czas wszystkiego pilnować osobiście, żeby nie było potem awantur.

Dzięki temu nie musiał myśleć. Bał się jedynie powrotu do domu i siedzenia w samotności wieczorem. Miał wrażenie, że dopadł go jakiś fatalizm. Był przekonany, że wszystko zmierza w złym kierunku i że jest to już nieodwracalne.

Przez moment prawie dał się przekonać Nowackiemu, że śmierć Moszennika to przypadek. Że zatłukli go jacyś obwiesie i że to nie ma z nimi nic wspólnego.

A potem pojawiły się zdjęcia.

I wreszcie wczoraj wieczorem wzmianka na stronie „Dziennika Szczecińskiego”, że ich dziennikarze prowadzą śledztwo. Cztery tabletki hydroksyzyny łyknięte na raz swoje zrobiły. Bez tego pewnie dostałby udaru ze zdenerwowania.

Kartka z dziennika budowy z jego podpisem.

Nie wiedział, co robić. Gdy nie zajmował się robotą, głowa zaczynała mu źle pracować. Tak jakby coś straciło synchronizację. Zamiast normalnie iść do sklepu, normalnie oglądać serial, normalnie grać w playę, tylko chodził i się martwił. Coś się w nim popsuło. Depresja? Może to i depresja? Tylko jak miał sobie pomóc? Żeby wyleczyć psychikę, musiałby się uporać z przyczyną tego stanu, a to było zupełnie od niego niezależne.

Gdyby można było cofnąć czas i podjąć inną decyzję. Nie dać się wplątać w to bagno. Zazdrościł Nowackiemu jego żelaznych nerwów.

Sam był wrakiem.

Piotr wpadł do budynku prokuratury tuż przed dziesiątą. Zaparkować w okolicach Potulickiej czy choćby w promieniu pół kilometra to było jednak spore osiągnięcie. Właściwie mógł je nawet wpisać do CV. Gdyby szukał pracy jako logistyk albo organizator imprez, wyglądałoby bardzo dobrze.

Wbiegł po schodach na pierwsze piętro i ruszył korytarzem, spoglądając na numery kolejnych pokoi. Prokurator Modzelewski...

Zatrzymał się jak wryty, widząc Borysa siedzącego grzecznie na krześle pod jednym z pokojów. Spojrzał na tabliczkę na drzwiach, a następnie na uśmiechającego się kolegę.

– Razem nas tutaj ściągnął? – zapytał, siadając obok i szarpiąc nerwowo krawat.

– A coś ty się tak wystroił? – zapytał z ironią Borys. – Modzel nie jest gejem, tak niczego nie załatwisz.

– Miło, że uważasz, że t a k jestem w ogóle w stanie coś załatwić. – Piotr uśmiechnął się kpiąco, spoglądając jednocześnie nerwowo na drzwi do pokoju prokuratora. – A poza tym gadaj tak dalej, ktoś usłyszy i będą mieli jak znalazł do tych swoich oskarżeń.

– Na korytarzu na szczęście nie ma podsłuchów. – Borys zadarł głowę, rozglądając się dookoła. – Chyba że coś się tutaj zmieniło od mojego ostatniego pobytu.

– Byłeś tu już w charakterze podejrzanego?

– W charakterze świadka, młotku. Jeszcze nie jesteśmy podejrzanymi.

Z jednego z pokojów wyszła kobieta ubrana w szarą, smętną garsonkę i stukając obcasami, przeszła obok nich korytarzem.

Pół godziny później Piotr, oprócz tego, że był zdenerwowany, poczuł się także zmęczony. Mimo wezwania na konkretną godzinę prokurator nie śpieszył się specjalnie, aby ich przyjąć. Spojrzał na Borysa, który wyciągnięty na krześle, z nogami tarasującymi połowę korytarza, oglądał coś w swoim smartfonie.

– Jak na razie komentarze są dla mnie przychylne – mruknął Borys, widząc spojrzenie Piotra. – Po tym czymś w SzczecinNaPrawo – dodał wyjaśniająco.

Piotr pokiwał ostrożnie głową.

– Niepokoi mnie ostatnie zdanie Mateckiej. Że będą drażnić temat.

– Ja się obawiam, żeby ci tutaj czegoś nie wypuścili. – Borys ściszył głos, wskazując oczami pokój prokuratora. – Nie lubią mnie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle coś się przedostało do mediów.

– A ten prokurator jest już w ogóle? Czemu tyle czekamy?

Borys spojrział na zegarek.

– Przetrzyma nas pewnie jeszcze z pół godziny. Robi to celowo, żebyś był wkurwiony – wyjaśnił, widząc minę Piotra. – Jak będziesz podminowany, to możesz coś chlapnąć, dlatego uważaj na to, co mówisz.

Piotr głęboko westchnął. Słowa Borysa wcale go nie uspokoiły.

– W dalszym ciągu zastanawiam się nad tym, kto dał Mateckiej cynk. Jak to się stało, że policja tego nie odkryła? Moszenicki zapisuje sobie twój numer, a potem nagle co? – Podniósł brwi. – Ktoś kradnie tę kartkę? Zostawiłby taką notatkę w ogóle na wierzchu?

– A właściwie dlaczego nie? – Borys wzruszył ramionami. – Czyjś telefon? Kogo to mogło obchodzić?

– Jeśli wychodził na spotkanie, na którym chciał ujawnić jakieś miejskie przekręty, to zostawiłby twój numer na wierzchu? – spytał Piotr, ściszejając głos.

– Nawet gdyby ktoś zobaczył, to co by się stało? Wychodząc, raczej nie przewidywał, że zostanie zamordowany.

– A nie dziwi cię... – Piotr nagle się zamyślił.

– Co takiego?

– Moszenicki zostawił twój numer, ale skąd ktoś wiedział, że to twój numer?

– Może zanotował moje nazwisko? Poza tym kilka osób w urzędzie ma mój numer.

– No to nie ma siły. – Piotr pokręcił głową. – Mateckiej sprzedał to ktoś z urzędu.

Borys nagle drgnął. Podciągnął nogi, usiadł prosto i pochylił się nad smartfonem.

– W poniedziałek ktoś do mnie dzwonił z urzędu... – powiedział, przesuwając palcem po ekranie telefonu. – Z jakąś kretyńską sprawą. Że niby nie zapłaciłem za dzierżawę czy coś.

– Coś dzierżawisz?

– No właśnie nie. – Borys posłał Piotrowi zdziwione spojrzenie. – Co ja miałbym dzierżawić? Popatrz – podsunął Piotrowi pod nos telefon – numer urzędu.

– Dziewięćdziesiąt jeden czterdzieści dwa czterdzieści pięć sześćset – odczytał Piotr. – Podali twoje nazwisko?

– No nie. – Borys zmarszczył brwi. – Jak spytałem, do kogo dzwoni, to się rozłączył. Jakiś facet to był. To mi się wtedy nie wydawało podejrzane...

– Zadzwoń. – Piotr wskazał brodą komórkę. – Zapytaj, o co chodziło.

– Teraz?

– A masz coś lepszego do roboty?

Borys wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

– Dzień dobry – przywitał się po chwili, patrząc porozumiewawczo na Piotra. – Ktoś do mnie dzwonił w poniedziałek z tego numeru. W sprawie nieopłaconej

dzierżawy... Tak, z tego numeru. Wydział egzekucji administracyjnej...

Piotr zobaczył, jak Borys unosi wysoko brwi.

– To widocznie pomyłka, przepraszam.

– No i co? – nie wytrzymał Piotr, patrząc na Borysa z ciekawością.

– Babka powiedziała, że to nie ten wydział. Referat komunikacji społecznej.

– Ktoś się pomylił? Może jakieś złe połączenie?

– Albo ktoś celowo dzwonił do mnie z tego referatu. – Borys zaczął nagle przesuwac palcem po ekranie smartfona.

– Wiesz, co to za wydział? – Zdziwiony popatrzył na Piotra, który pokręcił głową przecząco.

– Biuro prezydenta miasta.

Lameński spojrzał na wyświetlacz, po czym wstał, przeprosił kilka osób, przepchnął się pomiędzy rzędami krzeseł i wyszedł na zewnątrz salki narad, w której odbywało się właśnie małe szkolenie z najnowszych interpretacji najnowszych rozporządzeń.

– Dzień dobry, panie Michale. – W słuchawce rozległ się przyciszony męski głos. – Załatwione.

Lameński odprowadził wzrokiem młodą inspektorę z działu inwestycji.

– Nie wpuszczajcie tam nikogo, żeby za wcześnie nie wybuchła niekontrolowana awantura – powiedział przyciszonym głosem. – Z nikim o tym nie gadajcie. Przekażemy to dopiero na tej marszałkowskiej wizytacji, dzięki temu będzie większy zamęt.

– I bardzo dobrze – stwierdził mężczyzna.

Lameński rozłączył się, schował telefon do kieszeni i wrócił do salki, gdzie oddelegowany z ministerstwa inspektor omawiał właśnie najważniejszą interpretację zapisów rozporządzenia zmieniającego trzecią zmianę rozporządzenia, dotyczącego nowelizacji rozporządzenia z zeszłego roku.

Prokurator Modzelewski, szczupły, ciemnowłosego mężczyzna w czarnym garniturze, siedział przy swoim biurku i wydawał się całkowicie pochłonięty leżącymi przed nim aktami. Gdy Borys wszedł do środka, nie podniósł nawet głowy.

Borys zatrzymał się przy drzwiach i obrzucił dyskretnym spojrzeniem prokuratora. Pomyślał, że facet mógłby być nawet atrakcyjny, gdyby nie ten smętny, czarny garnitur, blada cera i zaciśnięte usta.

– Na co pan czeka, panie Ignatiuk? – Prokurator podniósł wzrok i wskazał ruchem głowy krzesło. – Zapraszam. Nie gryzę.

Gdy Borys usiadł, Modzelewski spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Panie Ignatiuk, pana chyba nie muszę informować o odpowiedzialności karnej za zeznanie nieprawdy lub zatajenie prawdy w postępowaniu przygotowawczym?

– Musi pan, jeśli chodzi o ścisłość. – Borys skinął grzecznie głową. – Nie otrzymałem odpowiedzi na mój wniosek...

– Tak, tak. – Modzelewski przerwał Borysowi i machnął lekceważąco dłonią. – Pana wniosek o nagranie przesłuchania. Niestety, nie mam takich możliwości technicznych tutaj. Sam pan widzi. – Ostentacyjnie machnął ręką dokoła. – Poza tym nie jest pan stroną, a jedynie świadkiem, a tym samym nie zachodzi potrzeba wyjątkowej ochrony pana interesów. Nikt na pana nie dybie – zakończył ze złośliwym uśmiechem.

Borys zacisnął szczęki.

Oczywiście spodziewał się tego. Prokurator mógł odmówić, ale już sam fakt, że Borys w ogóle został tutaj wezwany, był nietypowy. Przesłuchanie zazwyczaj prowadziła policja, jedynie na wniosek prokuratury. Tylko w wyjątkowych okolicznościach prokurator zajmował się tym osobiście.

– Panie Borysie, dlaczego na spotkanie, które rzekomo zaproponował Bartłomiej Moszenicki, zabrał pan ze sobą kolegę? – Modzelewski spojrzał w akta. – Pana Piotra Bahryńskiego.

– Piotr jest dziennikarzem. – Borys wzruszył ramionami. – Moszenicki powiedział, że chce przekazać mediom pewne ważne informacje.

– A uprzedził go pan, że nie przyjedzie na miejsce spotkania sam?

– Oczywiście. – Borys skinął głową.

– Czy często umawia się pan przez aplikacje randkowe?

– A co to ma do rzeczy?

– Nie chce pan odpowiedzieć na to pytanie?

Borys, w którym już powoli wszystko zaczynało się gotować, policzył w duchu do pięciu i spojrzał spokojnie na prokuratora.

– Rzadko.

– Ale korzysta pan z nich?

– Czasami.

– Słyszałem, że dość często prowadzi pan na te tematy rozmowy w pracy.

– Pewnie nie częściej niż każdy inny wolny i zdrowy facet.

Borys, mówiąc „zdrowy”, spojrzał na Modzelewskiego. Prokurator jednak nie zauważył złośliwości albo puścił ją mimo uszu.

– Jak pan sądzi, dlaczego Bartłomiej Moszenicki nie miał przy sobie tych rzekomo kompromitujących materiałów, które rzekomo chciał panu przekazać?

– Dzisiaj wystarczy dostęp do własnego konta na Google albo do jakiejś chmury przez komórkę.

– Ciekawe w takim razie, że Moszenicki nie miał przy sobie ani telefonu, ani tabletu, ani notebooka. Niczego.

– To raczej potwierdza, że ktoś go napadł.

– Albo że zabraliście jego komórkę, żeby nie ujawnić prawdziwej treści waszej rozmowy.

– Rozmowa przez komunikatory ma to do siebie, że u mnie także można sprawdzić, o czym rozmawialiśmy. Pokazywałem cały zapis z Messengera policji.

– Pokazywał pan jedynie rozmowę z kimś o nicku Bart Womay. Rozmowę z Moszenickim mógł pan skasować. Tak jak w dziwny sposób zniknął link do serwera z rzekomymi materiałami, które pan od niego otrzymał.

– Brednie!

Borys od razu pożałował, że dał się wyprowadzić z równowagi, a zwłaszcza tego, że musiał teraz oglądać uśmiezek przyklejony do twarzy Modzelewskiego.

Prokurator wstał, podszedł do okna, a następnie odwrócił się i stanął nad biurkiem.

– Panie Borysie, jeśli przy Bartłomieju Moszenickim były jakieś inne materiały, a pan je zabrał, to wie pan, że i tak nie będzie pan mógł ich użyć? Jak tylko gdzieś ktoś je opublikuje, od razu wyjdzie na jaw, skąd pochodzą.

– O czym pan mówi?! – Borys spojrział na Modzelewskiego z pogardą. – O tym, że Moszenicki nie miał przy sobie komórki ani niczego, to się dopiero od pana dowiedziałem!

– Niech pan nie podnosi głosu!

– To niech pan nie gada bzdur!

Przez twarz Modzelewskiego przez krótką chwilę przebiegł grymas złości. Borys pomyślał, że chyba większość osób, która tutaj trafiała, raczej nie wchodziła z prokuratorem w dyskusję, tylko trzęsa się ze strachu.

– A może Moszenicki pana też szantażował?

Borys, który akurat spuścił wzrok i żeby się uspokoić, wpatrywał się w brudną, zielonkawą wykładzinę, zmartwiał.

– Moszenicki umówił się z panem raz czy dwa, a potem zaczął być natrętny. Zaczął pana szantażować, że ujawni w środowisku, że pan jest gejem...

Borys praktycznie nie słuchał.

Cały jego umysł skupił się na jednej trzyliterowej partykule.

Modzelewski ponownie usiadł przy biurku i kontynuował podniesionym głosem.

– Więc umówił się pan z nim i zabrał ze sobą kolegę, żeby go postraszyć. Ale coś wam nie wyszło i skończyło się troszkę gorzej.

Borys podniósł wzrok i spojrzał na Modzelewskiego ze złością. Miał tylko nadzieję, że prokurator nie zauważył, że faktycznie tę złość musiał udawać.

– To wszystko brednie! – warknął.

Piotr wrócił do redakcji, trzęsąc się ze złości. Podrzucił Borysa do jego firmy, a potem po drodze zajechał jeszcze do cukierni, żeby kupić sobie kawał bezowego tortu. W nagrodę, że musiał przez to przejść.

Borys uprzedził go wprawdzie, że ani policja, ani prokuratura teoretycznie nie mogą go pytać wprost o orientację seksualną,

ale praktyka była, jak widać, inna.

Większość pytań i tak kręciła się wokół randek i jego upodobań. Pytanie, czy bywa w seksie agresywny, przeważało szalę i Piotr podniósł głos, pytając prokuratora, czy mu odbiło.

Większość pytań do końca przesłuchania nadal wprawdzie krążyła wokół teorii o morderstwie w afekcie z powodów obyczajowych – jak nazwał to Modzelewski, ale Piotr postanowił odpowiadać krótko, najlepiej „tak” albo „nie”, i trzymać nerwy na wodzy.

Na koniec podetknięto mu protokół, który podpisał, i z ulgą wyszedł na korytarz.

Odwołując Borysa, miał wrażenie, że prawnik jest jakiś nieobecny, ale Piotr zwałił to na karb pracy. Borys wspomniał, że czeka go teraz nadrabianie zaległości po południu.

Piotr w ostatniej chwili przypomniał sobie, że Paulina prosiła go, żeby ich umówił.

– To może dzisiaj? – zaproponował od razu Borys ku jego zdumieniu. – Pewnie skończę tak koło siedemnastej, to możemy pójść coś zjeść.

W redakcji Paulina, której od razu opowiedział o przebiegu przesłuchania, momentalnie wpadła we wściekłość. Mruczając coś o faszystach, powiedziała, że musi się napić herbaty, i ruszyła do redakcyjnej kuchni.

Paulina weszła do małego pomieszczenia przy głównej sali redakcji, spojrzała w kierunku siedzącego przy oknie Piotra i trzęsącymi się ze złości palcami wybrała numer Iwony Halczyszyn. Zaciskając usta, czekała, aż policjantka odbierze.

– Cześć, Paulina. – Halczyszyn odebrała dopiero po trzecim sygnale. – Mam tylko chwilkę, więc jak to jakaś większa sprawa, to oddzwonię...

– Piotr był przesłuchiwany w prokuraturze – powiedziała Paulina bez wstępów. – Zadawano mu skandaliczne pytania. O jego orientację, upodobania, fetysze. Co się u was dzieje, do diabła?

– Paulina – policjantka ściszyła głos – jak sama powiedziałaś, to prokuraturę pytał, nie my. Poza tym...

– O upodobania seksualne?! Wcześniej o to samo pytał ten twój kolega, który prowadzi sprawę, więc nie ściemniaj.

– Jesteś nieobiektywna. – Policjantka mówiła przyciszonym głosem, była wyraźnie poirytowana. – To faktycznie jeden z wątków śledztwa. Jak pomyślisz na chłodno...

– Upodobania seksualne Piotra to wątek śledztwa?!

– Kurwa! Przestań mi przerywać! Dokładnie tak. Jedyne, co mamy, to wiadomości Ignatiuka, który się upewniał, czy Moszenicki na pewno będzie na miejscu spotkania.

– Przecież Borys rozmawiał z nim, a ponadto dostał od niego skany tych dokumentów!

– Z jakiegoś randomowego adresu – westchnęła niecierpliwie policjantka. – Nie mamy jeszcze dostępu do połączeń ani namiarów użytkownika Messengera. Ty myślisz, że to się w tydzień załatwia? Jeszcze nawet wyników sekcji nie ma!

– Ale wytłumacz mi, jak można w takiej sytuacji coś takiego wymyślić? Co ma orientacja seksualna do tego?

– Geje umawiają się często w podobnych miejscach. Zwłaszcza ci starsi, którzy żyją nadal w konspirze. Badamy wątek, czy nie było to umówione spotkanie, na którym mogło coś pójść nie tak.

– Moszenicki był gejem?

– Nie wiemy, ale mógł być...

– Mógł być?! Ja pierdołę! I na takim czymś opiera się wasze błyskotliwe śledztwo?

– Paulina! Musimy sprawdzić wszystkie tropy. Spotkali się na pikiecie...

– Na czym?!

– No nie mów, że nie kojarzysz takich miejsc w mieście! – Policjantka prychnęła. – Na Głębokie w swoim czasie jeździli wszyscy po nocach. Nie tylko geje zresztą. Była tam taka polana...

– Na Głębokim? – zainteresowała się mimowolnie wciąż poirytowana Paulina. Halczyszyn była od niej o dekadę starsza. Pewnie to jakaś już nieistniejąca miejscówka.

– Trochę dalej, w kierunku Tanowa. Stale były tam kontrole, bo dilerzy także lubili to miejsce.

Paulina wydobyła z pamięci topografię okolicy, o której mówiły. No tak. Miejscówka zniknęła, bo wycięli tam drzewa, poszerzyli drogę i zrobili ścieżkę rowerową na dokładkę. Klimat szlag trafił.

– Plac Koczego także idealnie nadaje się na takie spotkania – kontynuowała tymczasem Halczyszyn. – A twój Piotr jest gejem. O Ignatiuku też niektórzy tak mówią.

– I co? Spotkali się tam na jakiś wyuzdany, sadomasochistyczny seks w trójkącie i go zamordowali? – zakpiła Paulina.

– Takie rzeczy się zdarzają. Młodzi fajni faceci, a i ten twój Piotr, i Ignatiuk to całkiem niezłe ciacha, częściej się umawiają za kasę, niż ci się wydaje. Niektórych to nawet kręci.

– Iwona! Do kurwy nędzy! Przecież w takim wypadku w aucie Moszenickiego byłoby mnóstwo odcisków palców! Już nie wspominam o hektolitrach DNA...

– Czego nie rozumiałaś z tego, co mówiłam? Przecież nie mamy wyników badań. Poza tym to prokuratura się upiera...

Przez krótką chwilę panowała cisza.

– Przy czym się upiera? – zapytała zaciekawiona nagle Paulina.

Halczyszyn westchnęła ciężko.

– Wymknęło mi się – powiedziała, ścisząc głos. – Coś ci powiem, ale nie wykorzystuj tego, okej?

– Słucham? – Paulina nadstawiła uszu.

– Gadają, że prokurator jest cięty na Borysa i chce mu utrzyć nosa. Nie chciał w ogóle słyszeć na razie o żadnych dokumentach. Twierdzi, że to brednie i spiskowe teorie, a liczą się fakty.

Paulina przez chwilę porządkowała w głowie to, co właśnie usłyszała.

– Jak będziemy mieć w końcu wyniki badań, to może uda się go od tego odwieść – mruknęła Halczyszyn. – O ile to prawda, że nie zaglądali do wnętrza samochodu.

– Po co mieliby kłamać?

– Ludzie mają ku temu przedziwne powody – zakończyła filozoficznie Halczyszyn. – Muszę kończyć. Potem pogadamy.

Paulina schowała telefon do kieszeni dzinsów i wyrzała z kuchenki. Spojrzała w kierunku pochylonego nad klawiaturą Piotra. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy Piotr nie chroni czasem Borysa, ale uznała to za nonsens.

Urszula siedziała w swoim malutkim, przytulnym kąciku, w którym znalazło się miejsce na niewielki kwiatek w doniczce, na kilka fotografii i przepiękną, drewnianą miniaturę przedstawiającą Matkę Boską z Guadalupe, która zawsze

przynosiła Urszuli szczęście. Nie miała jej przy sobie, tylko gdy pracowała w „Dzienniku Szczecińskim”. To coś znaczyło, że akurat wtedy miała takie złe lata. Naczelnny krzywo patrzył na podobne rzeczy, chociaż po prawdzie nigdy wprost jej tego nie powiedział.

Urszula spojrzała na zegar. Dochodziła już szesnasta. Lubiła zostawać tutaj dłużej, w tym małym, wyremontowanym mieszkaniu na parterze przy ulicy Pocztowej – siedzibie SzczecinNaPrawo. Całkiem niedaleko sanktuarium Świętego Andrzeja Boboli. Cudowne miejsce, takie ożywcze, wręcz uzdrawiające po tym nowym, martwym biurowcu na Łasztowni, tuż obok znienawidzonego wybiegu dla młodocianych pijaków, narkomanów i degeneratów, którą ta menażeria nazywała strefą wolnościową. Paradne!

Urszula wypijała ostatni łyk kawy i zamknęła folder z materiałami do swojego nowego artykułu, gdy odezwał się telefon.

– SzczecinNaPrawo, redaktor naczelna Urszula Matecka, słucham.

Urszula za każdym razem, gdy odbierała telefon, napawała się brzmieniem tych dwóch słów – „redaktor naczelna”. Proszę, jak daleko zaszła.

– Ja w sprawie tych fotek – rozległ się w słuchawce przyciszony, męski głos.

– Jakich fotek, proszę pana?

– Tych, co je „Dziennik Szczeciński” zamieścił wczoraj wieczorem...

– Proszę pana – Urszula przerwała mężczyźnie – my tutaj nie interesujemy się tym, co zamieszcza ta...

Urszula nie skończyła. Uświadomiła sobie, że to przecież najwyraźniej dotyczy deklaracji, że niby prowadzili jakieś śledztwo. Nawet napisali, że stał za tym ten biedny homoseksualista Bahryński.

– A o co panu właściwie chodzi? – zapytała ostrożnie.

– Ja też nie czytam tego brukowca. Nie popieram zdrajców, a to lewackie pismo. Za to bardzo cenię SzczecinNaPrawo. Bardzo dobrze, że wreszcie jest portal, który kieruje się wartościami. Ta wasza akcja, ten happening „Kogo uwiera krzyż”, była doskonała. Dziękuję Bogu, że jeszcze ktoś w mediach mówi prawdę.

– Dziękuję panu bardzo. – Urszula pomyślała, jak to łatwo można kogoś nie docenić. Mężczyzna, jak widać, coś sobą jednak reprezentował. – To bardzo miłe, co pan mówi. Co ma mi pan do powiedzenia na temat tych fotek?

– Na jednej z nich jest podpis. Ja wiem, kto to jest.

Na moment zapadła cisza. Urszula instynktownie poczuła, że złapała pana Boga za nogi, chociaż bardzo nie lubiła tego powiedzenia. Milczała, czekając, aż facet zdecyduje się powiedzieć.

– Powiem pani, ale... – zawahał się – no wie pani, coś chciałbym jednak z tego mieć. Od nikogo innego takich informacji pani nie dostanie.

Urszula westchnęła.

– Ile? – spytała w końcu, zastanawiając się, ile ma akurat pieniędzy na firmowym rachunku.

– Pięć stów.

– Skąd mam wiedzieć, że to, co pan mi powie, to prawda?

– Dam pani kserokopię innego dokumentu, na którym jest ten sam podpis wraz z pełnym imieniem i nazwiskiem. Mogę

być u pani nawet zaraz...

Paulina rozejrzała się dookoła. Większość stolików była pusta, tylko pod samymi oknami siedziało parę osób wyglądających na pracowników okolicznych firm. W głębi, gdzie się usadowili, było na szczęście luźno. Cicha muzyka sączyła się gdzieś zza ściany, a z otwartej na salę kuchni dobiegały przyciszone głosy personelu.

– Mam nadzieję, że nie natkniemy się akurat tutaj na kogoś od Mateckiej – zażartował Piotr, lustrując rozmawiających przyciszonymi głosami ludzi.

– Może trzeba było jednak spotkać się u nas w redakcji. – Paulina odłożyła kartę na bok i spojrzała na siedzącego naprzeciw niej Borysa.

– Na szczęście muza jest na tyle głośna, że nikt nas nie słyszy. – Borys uśmiechnął się nerwowo. Wciąż czuł na plecach ciężar rozmowy z prokuratorem. Tak jakby co chwila przypominał sobie, że nie zdjął plecaka.

– I na tyle cicha, że sami siebie słyszymy – dodał równie nerwowo Piotr.

Spoglądał dyskretnie to na Borysa, to na Paulinę. Liczył, że nie znienawidzą się od pierwszej chwili. Oboje mieli trudny charakter i pewnie wystarczyłaby mała iskra, żeby się poróżnili.

A może tylko on tak ich oceniał...

Paulina splotła dłonie i oparła łokcie na stole.

– Ale na tę deweloperkę nie ma oczywiście żadnych dowodów? – zapytała, zerkając na przeglądającego kartę Borysa.

Borys pokręcił głową.

– Kilka lat temu miasto uchwaliło plan miejscowy, w którym jednocześnie wpisano zabudowę wielorodzinną na pustej działce przy głównej ulicy i funkcję żłobka, kilkadziesiąt metrów dalej, na miejscu tego lasu przy Pokrętnej. Trudno uwierzyć, że żaden deweloper za tym nie lobbował.

– Nie możemy o tym napisać wprost – westchnęła Paulina. – Bez jakichkolwiek dowodów od razu nas zjedzą. A jak wygląda sprawa z drzewami? Czytałam o tym oczywiście, ale nie znam szczegółów.

– W miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego jest zapis, że określone drzewa objęte są ochroną i nie mogą zostać usunięte. To są bardzo konkretne zapisy, dotyczące określonych gatunków i ich wielkości. – Borys podniósł kciuk. – Tymczasem miasto po pierwsze już na etapie koncepcji założyło po prostu, że je sobie wytnie i nic nikomu do tego...

– A na tym etapie była już inwentaryzacja dendrologiczna? – wpadła mu w słowo Paulina. – Na tyle dokładna, żeby, na przykład, nie mogli się bronić, że nie wiedzieli, że tam są takie drzewa?

– W tym właśnie rzecz, że była. – Borys pokiwał głową. – Po prostu z góry założyli, że złamią przepisy, i kropka. Wszystkie późniejsze działania są już konsekwencją tego pierwszego złamania prawa.

– Czyli, w zasadzie, to nie jest sprawa dotycząca wycinki jakichś tam drzew, tylko ordynarnego złamania prawa przez urzędników.

– Mnie przede wszystkim chodzi o drzewa...

– To oczywiste – przytaknęła Paulina. – Ale podstawowym problemem nie są drzewa w tym przypadku, tylko łamanie prawa. Zawsze przecież znajdzie się grupa osób, które będą twierdzić, że żłobek jest ważniejszy niż jakieś tam drzewa.

– Generalnie tak. – Borys wzruszył ramionami. – Tylko że nikomu nic już nie udowodnimy, a nawet jeśli, to sędzia uzna, że to sprawa nieistotna z punktu widzenia interesu społecznego.

– A sędzia pewnie okaże się znajomym jakiegoś radnego – wtrącił Piotr.

– To patologia. – Paulina pokręciła głową ze zniechęceniem.

– Dokładnie – zgodził się Borys. – To patologia. Każda władza się zużywa. Zarasta interesikami, posadkami, kumoterstwem i w pewnym momencie te sprawy, te interesiki wszystkich kumotrów, znajomych, szwagrów stają się ważniejsze niż interes społeczny.

– A słyszałem – włączył się Piotr – że nawet koncepcja na samym początku tej awantury też została zlecona znajomym.

– Oczywiście! – potwierdził Borys. – A tak naprawdę pod cudzym szyldem zrobiła to podobno pewna radna. Ale czy to nowość? Pamiętacie, jak „Wyborcza” pisała o tym, jak miasto wykupiło działkę tylko po to, żeby jakaś radna miała ładny widok z okien i żeby nikt jej tam nie postawił żadnej hali? O tym właśnie rozmawiamy.

– Tylko że to wszystko czyjeś opinie, zasłyszane informacje, a dowodów nie ma. Ale ten żłobek to nawet bez deweloperki to draństwo. – Paulina dopiła resztkę kawy. – A jeśli za tym rzeczywiście stoi jakiś deweloper, to już są układy mafijne wręcz.

– I tu jesteśmy przy Moszenickim – wtrącił Piotr. – Jeśli chodziło o tę deweloperkę i ktoś go uciszył... – Zawahał się. – Aż nie chce mi się wierzyć.

– Jesteś pewien, że telefon był z urzędu miasta? – Paulina spojrzała na Borysa. – Może to jednak jakieś nieporozumienie?

Borys pokręcił głową.

– Bardzo mało prawdopodobne. Zaraz potem był przecież ten artykuł u Mateckiej. Tak jakby ktoś sprawdzał mój numer – prychnął. – To znaczy teraz tak myślę. Gdyby nie Piotr, nadal bym nie przywiązywał do tego wagi.

– Tylko co mogą mieć wspólnego z tą sprawą te dwa skany? – Piotr sięgnął po telefon i wbił wzrok w niewyraźne zdjęcie dziwnych drewnianych szalunków. – Jak foto desek na ścianie ma się wiązać z patodeweloperką na Pokrętnej?

– Może to są jednak dwie różne sprawy? – Paulina spojrzała na Borysa. – Moszenicki wybrał ciebie, bo śledzisz na swojej stronie takie właśnie miejskie układy, ale to, co akurat chciał ci zdradzić, z Pokrętną nie miało nic wspólnego?

– To dlaczego ktoś z miasta wtykałby nos w tę sprawę? – Piotr podniósł wzrok znad telefonu. – Ktoś znalazł numer telefonu u Moszenickiego i zamiast przekazać policji, namierza Borysa.

– O czymś wam powiem – odezwał się nagle Borys. – Ale nie możecie o tym pisać, bo będę miał cholerne kłopoty. To coś bardzo dziwnego...

Paulina i Piotr wbili wzrok w prawnika. Nad ich stolikiem na moment zapadła cisza.

– Modzel chyba się niechcący wygadał. Nic innego mi nie przychodzi do głowy. Zdaje się, że go wkurzyłem i na moment stracił czujność...

Borys ściszył głos.

– W pewnej chwili zapytał mnie, czy Moszenicki mnie też szantażował.

– Też? Szantażował? – Piotr spojrzał na kolegę z niedowierzaniem. – Szantażował cię?

– Wymyślił, że Moszenicki mnie szantażował, bo niby chciał ujawnić, że jestem gejem. Spotkałem się z nim parę razy, zakochał się, ja nie miałem ochoty na więcej i takie tam, kurwa. Modzel takie gównem wymóździł...

– Jak to też? – zapytała czujnie Paulina.

– No właśnie! – Borys skinął głową. – Powiedział dokładnie tak: „A może Moszenicki pana t e ż szantażował?”. Skąd się wzięło „też”?

Na moment zapanowała cisza.

Od strony innych stolików dochodziły odgłosy rozmów i śmiechy, a w tle sączyła się nastrojowa muzyka.

– Zaraz potem zaczął znowu te brednie. Że niby Moszenicki był natrętny, więc zabrałem Piotra, żeby go postraszyć... – Borys ściągnął brwi. – Ale to wyglądało trochę tak, jakby starał się mnie wkurzyć i zagadać tę wpadkę.

– Moszenicki kogoś szantażował – powiedziała cicho Paulina. – I w dodatku wiedział o tym prokurator...

– I jeszcze na coś zwróciłem uwagę. – Borys ponownie pochylił się nad stolikiem i ściszył głos. – Modzel zapytał mnie, czy niczego nie zabrałem z samochodu. Tak się jakoś dziwnie wyraził, że i tak nie mógłbym tego użyć, bo w ten sposób bym się ujawnił. Tak jakby mi groził. Chociaż może z tym to akurat przesadzam. – Wzruszył ramionami.

– Rozmawiałam z policją – odezwała się po chwili Paulina, spoglądając z namysłem na Borysa. – Prokurator nie chce niczego słyszeć o dokumentach i jest na ciebie cięty.

– Ten Modzelewski miałby mieć z tym coś wspólnego? – zapytał z niedowierzaniem Piotr.

Borys pokręcił głową.

– To kanalia, ale nie podejrzewałbym go o udział w miejskich przekrętach. Przecież on jest z innej partyjnej klikki.

– A tam z innej. – Piotr wyduł usta. – A bo trudno zmienić szyld?

– Nie wierzę. – Borys pokręcił uparcie głową. – To regularny psychopata. Gdyby urodził się w szesnastym wieku, na bank byłby inkwizytorem. Tacy ludzie nie zniżają się do finansowych przekrętów. Morderstwo, ludobójstwo tak, jak najbardziej. Albo antyaborcyjne tortury, zwłaszcza dla idei, ale pieniądze?

– Więc może kogoś kryje? – zastanawiała się głośno Paulina.

– To już prędzej – przytaknął Borys.

W tle rozległ się przyciszony sygnał przychodzącej wiadomości.

– To mój. – Paulina sięgnęła po torebkę i wyjęła telefon. – Mail.

– No i w jaki sposób miałyby się to łączyć z tymi zdjęciami? – Piotr przypomniał sobie o swoich wątpliwościach. – Jeśli Modzel kryje kogoś, a ten ktoś w jakiś sposób ma coś wspólnego z tym zapisem w dzienniku budowy i zdjęciem szalunków, to musi być to jednak jakaś inwestycja. Przecież po cholerę Moszenicki wysyłałby ci te skany?

Paulina nagle głośno westchnęła.

– Posłuchajcie – powiedziała, kładąc telefon na stole i przesuwając palcami po ekranie. – *Mam informacje na temat prowadzonego przez was śledztwa. Może być w to zamieszana pewna firma, która znalazła i ukradła coś bardzo cennego. Powiem więcej o tych złodziejach, ale nie za darmo.*

– Coś bardzo cennego? – powtórzył Piotr, patrząc z osłupieniem na Paulinę.

Paulina skinęła głową.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, usiłując przetrwać absurdalną wiadomość.

– I to byłby wreszcie jakiś motyw – odezwał się w końcu Borys.

Mężczyzna miał na sobie grubą, zamszową kurtkę. Ogrzewanie w samochodzie znowu szwankowało, a doprosić się o pieniądze na naprawę, to równie dobrze można było samemu, kurwa, kupić nową nagrzewnicę i wmontować. Robota może i była całkiem dobrze płatna, zwłaszcza dzisiaj, gdy sporo przewoźników straciło kontrakty przez wojnę u Rusków, ale właściciel, jak to właściciel, oszczędzał, na czym się dało.

Wielki TIR jazgotliwie warknął i zwolnił. Mężczyzna wrzucił jedynkę i samochód zaczął się wolno toczyć tuż za kuprem jakiejś wykwintnej, miejskiej terenówki.

Z tyłu, za siedzeniami, rozległy się odgłosy ciężkiego przewracania się z boku na bok i po chwili zza zasłonki wyjrzał drugi z kierowców.

– Za wcześnie – mruknął mężczyzna za kierownicą. – Zmienimy się na postoju u Niemców.

– Już się wyspałem. – Drugi kierowca cofnął się w głąb koi, ale po chwili wyjrzał ponownie i zaczął się przeciskać na miejsce pasażera. – Strasznie zimno. Może trzeba spojrzeć na to na postoju. Mamy wracać pojutrze, a zapowiadają ciągle kurewskie mrozy.

– Trochę grzeje. – Pierwszy z mężczyzn przyłożył dłoń do kratki nawiewu. – Może tylko jakiś filtr się zjebał.

Samochód przed ciężarówką ruszył i podjechał kilka kolejnych metrów. Ciężarówka stęknęła i potoczyła się w ślad za SUV-em.

Mężczyzna na siedzeniu pasażera złapał nagle za uchwyt w drzwiach.

– Czułeś? – zapytał kolegę, ze zdziwieniem rozglądając się po wnętrzu auta.

Kierowca pokręcił głową, gdy nagle przez samochód przebiegło wyczuwalne tym razem drzenie. Trwało krótko, może ze dwie, trzy sekundy.

– Teraz to poczułem – powiedział kierowca i spojrzał na deskę rozdzielczą.

– Ładunek?

Pierwszy z mężczyzn wzruszył ramionami.

Na moment zamarli, wyczekując na kolejne poruszenie, ale ono nie nastąpiło.

– Trzeba będzie zobaczyć jednak ładunek – westchnął drugi kierowca i sięgnął po zamknięty kubek z kawą. – Może jak zapierdalałeś na S3, przed Goleniowem, tam gdzie trzeba było hamować przed tymi robotami, to coś się przesunęło?

– Nie hamowałem aż tak przecież.

– Jak nie? O mało nie zjechałem się z wyra. – Drugi kierowca pociągnął łyk kawy. – Trudno. Sprawdźmy to gównem na pace. Biednemu zawsze wiatr w oczy, a chuj w dupę.

Obaj zaczęli głośno rechotać.

Paulina zjechała z Ku Słońcu, ominęła gazon z ogromnym cisem i zatrzymała się niezdecydowanie przed główną bramą Cmentarza Centralnego.

Na reprezentacyjnym podjeździe paliły się latarnie, latarnie stały także na pobliskiej ulicy, ale za bramą cmentarza panował mrok, lekko tylko rozproszony przez światło wdzierające się na teren największej nekropolii w Polsce.

– Dlaczego akurat tutaj? – jęknął Piotr. – Jakby co, ja nie podchodzę do żadnego samochodu.

– Powiedział, żebyśmy czekali przed główną bramą. – Paulina rozejrzała się dookoła. Główny wjazd na teren nekropolii prowadził przez założony na planie litery E zespół budynków administracyjnych i gospodarczych, które niczym kłamra łączyła długa na osiemdziesiąt metrów brama w stylu neoromańskim. Za nią rozciągało się sto siedemdziesiąt hektarów dekoracyjnego ogrodu, w którym tonęły historyczne i współczesne kwatery grobowe.

– Dlaczego nie chciałaś, żeby Borys z nami jechał? – spytał Piotr.

Paulina powiedziała mu o umówionym spotkaniu z informatorem, dopiero gdy wyszli z restauracji, a Borys bąknął, że musi coś jeszcze załatwić, i ku wyraźnemu żalowi Piotra pożegnał się i pobiegł w kierunku nadjeżdżającego tramwaju.

– Nie sądzisz, że on ma już wystarczająco dużo kłopotów? Iwona mi powiedziała, że ten prokurator jest na niego cięty. My praktycznie jesteśmy teraz w pracy. – Paulina ponownie rozejrzała się dookoła.

– W pracy! – burknął Piotr. – Czyli mogę liczyć na nadgodziny, rozumiem?

– No na pewno na seks grupowy nie możesz liczyć tej nocy. I raczej nie z Borysem.

– Boomerskie żarty. – Piotr spojrzał na Paulinę z politowaniem. – Wasze pokolenie seks uważa za grzech ciężki, wstyd i porutę. No chyba że po ślubie.

– Kościelnym, ale wtedy to obowiązek. – Paulina, chichocząc, pokiwała głową.

– Weź lepiej zaparkuj. – Piotr skinął głową w kierunku szerokiego chodnika przed budynkiem bramy. – Stoisz na środku podjazdu, może on się boi podejść?

Paulina powoli ruszyła i samochód wtoczył się na jedno z pustych miejsc parkingowych.

Ledwie Paulina wyłączyła silnik, gdy ktoś nagle szarpnął za klamkę tylnych drzwi i do środka zajrzał, ubrany w ciemną kurtkę z kapturem, młody mężczyzna. Na twarz miał nasuniętą czarną ni to maseczkę, ni to kominiarkę z białym nadrukiem zębów w trupiej czaszce.

Piotr spojrział w lusterko i przełknął ślinę.

– Myślałem, że będziesz sama – wycedził mężczyzna. – Chłopak to kto? Nie odwracajcie się, widzę was w lusterku.

– Pracujemy razem. – Paulina podniosła wzrok i zlustrowała mężczyznę. Na tylnym siedzeniu panował półmrok, więc nawet nie widziała jego oczu.

– Masz to, o co prosiłem? – zapytał.

– Powoli – warknęła Paulina, którą spektakularna inscenizacja, z bramą cmentarza w tle w dodatku, zaczynała powoli irytować. – Dam ci kasę, a ty czmychniesz?

– Powiedziałem ci przez telefon, że powiem o kradzieży, to powiem. Tego gościa, co go sprzątnęli tydzień temu, kojarzysz?

Paulina spojrzała w lusterko i pokiwała głową.

– No to ten właśnie koleś jest zamieszany w pewną kradzież. Znaleźli coś na budowie. Coś starego...

– Na jakiej budowie? – spytał przytomnie Piotr.

– Powoli – prychnął mężczyzna. – Powiem wam, a wy wezwiecie gliny.

– Żadnych glin nie wzywamy. – Paulina traciła stopniowo cierpliwość. Zaczynała się zastanawiać, czy to nie jakiś czubek, który całą tę historię wyssał z palca po to, żeby przygarnąć tysiąka. – Przecież ten gość to był urzędnik. W jaki sposób miałyby coś znaleźć na budowie? – Spojrzała w lusterko, patrząc powątpiewająco na mężczyznę.

W świetle latarń błysnęły na moment oczy mężczyzny.

– Nadzorował tę budowę. To mam mówić czy nie?

– Mów.

– To połowa kasy. Ja też muszę się zabezpieczyć.

Paulina westchnęła i sięgnęła do kieszeni. Pogratiowała sobie, że odliczone pieniądze wyjęła wcześniej z portfela. Kto wie, co facet mógłby zrobić. Wprawdzie w portfelu miała jeszcze tylko stówę, ale blokowanie kart i te wszystkie korowody z dokumentami...

Wysunęła rękę do tyłu i podała mężczyźnie pięćset złotych.

– Mów. Nie mamy całej nocy.

– Na tej fotce, którą puściliście, to jest właśnie ta świątynia...

– To świątynia jest? – nie wytrzymał Piotr. – Te deski?

– No archeologiem to, kurwa, ja nie jestem. Stare, drewniane gówno. Jestem przekonany, że znaleźli tam coś i buchnęli...

– To nie wiesz na pewno?

– Wiem, że coś wyciągnęli. W poniedziałek widziałem ślady, jakby coś przesuwali wielkiego. Nikt na to nie zwrócił uwagi, ale ja wiedziałem o tej świątyni, więc to mi się od razu podejrzało wydało...

– Nie powiedziałaś kto – przerwała Paulina. – Kto buchnął?

– Firma nazywa się Dark-Bud. I to pewnie oni stuknęli Moszenickiego. Musiał coś wiedzieć i najprawdopodobniej ich

szantażował.

Paulina i Piotr wymienili się spojrzeniami.

– Dark-Bud? – upewniła się Paulina.

– Dark-Bud. – Facet wyciągnął rękę i złapał za oparcie przedniego fotela. – Reszta kasy!

Paulina ponownie sięgnęła do kieszeni, wyjęła pięć banknotów i spojrzała w lusterko.

– Znasz prokuratora Modzelewskiego? – zapytała.

Mężczyzna nagle pochylił się i wyszarpnął z jej ręki pieniądze. Zanim zdążyła zareagować, wyskoczył na zewnątrz i zostawiwszy otwarte drzwi, ruszył biegiem w kierunku bramy cmentarnej i po chwili wtopił się w ciemność pomiędzy starymi drzewami.

Piotr gwałtownie się odwrócił, ale zdążył zobaczyć jedynie sylwetkę znikającą za cmentarną bramą.

– Ukradł ci kasę – stwierdził zdumiony Piotr i spojrzał na Paulinę.

Paulina głęboko odetchnęła.

– I tak przecież bym mu zapłaciła. Chyba się przestraszył, jak zapytałam o prokuratora.

– A o co ci chodziło właściwie? – Piotr odchylił się nad oparciem przedniego fotela, złapał za klamkę i zatrzasnął tylne drzwi.

– No słyszałeś, co mówił Borys. Ten prokurator pytał go, czy Moszennik też go szantażował. Czyli wiedział, że kogoś szantażował. Może oni prowadzą jakieś inne dochodzenie? Może go przesłuchiwali?

– Adrenalina mi tak skoczyła, że nawet zapomniałem, jak jest zimno. – Piotr podniósł kołnierz kurtki, wpatrując się

w padający za oknem śnieg.

– Minus dwanaście. – Paulina spojrzała na termometr i ruszyła.

Samochód potoczył się w kierunku wyjazdu z parkingu i po chwili skręcił na Ku Słońcu.

Rozdział 10

Grudzień roku 1913 przywitał mieszkańców Pomorza wyjątkowo ciepłą aurą. Temperatury sięgały dziesięciu stopni, od czasu do czasu zza chmur wychodziło nawet słońce i nic nie zapowiadało, że ma się to zmienić do Gwiazdki. Najbardziej nieszczęśliwe były dzieciaki, które, jak co roku, wypatrywały śniegu, marząc o bałwanach przed domami, o sankach i jeżdżeniu na łyżwach na zamarzniętych miejskich stawach czy na jeziorze. To były wszak czasy, kiedy dzieci, zamknięte w domach, wolny czas spędzały z nosami przylepionymi do szyb okiennych, a nie do ekranów smartfonów.

Boże Narodzenie minęło zatem bez upragnionego zimowego sztafażu, ale zaraz po nim pogoda się zmieniła. Znad Bałtyku na Pomorze nadpłynęły zimne, północno-zachodnie wiatry, a na morzu rozszalał się sztorm. Zajętym przygotowaniem do sylwestra mieszkańcom Szczecina specjalnie on nie przeszkadzał, najgroźniejszy był wszak dla wiosek i miasteczek położonych na wybrzeżu, dla oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów od morza miasta miał niewielkie znaczenie. Tuż przed sylwestrem w dodatku zaczął padać śnieg i ku uciechu mieszkańców cały Szczecin wkrótce pokrył się białym puchem.

Tymczasem sztorm nie ustawał, a wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni.

Pierwsze niepokojące oznaki zauważono w okolicach ulicy Kolumba i przy dworcu, na nabrzeżu, od dobijających tutaj statków ze Schwedt nazywanego Schwedter Ufer. Trochę dalej od tego

miejsca, nad Odrą, wisiał nieistniejący dzisiaj most Dworcowy i to mieszkańcy spacerujący nim na wyspę nazywaną Wenecją i dalej na Kępę Parnicką zauważyli, że woda dochodzi prawie do skrzydeł mostu i grozi przelaniem na nabrzeże.

Każda katastrofa to połączenie wielu niefortunnych zdarzeń. Zdaje się czasem, że potrzeba wielu zbiegów okoliczności, by wydarzyło się coś naprawdę złego, ale rzecz w tym, że niekiedy tak się dzieje.

I tak było właśnie wtedy. Wiatr zamiast ustać, wiał wciąż z ogromną siłą, wpychając do ujść rzek i Zalewu Szczecińskiego, od najgroźniejszej dla miasta północno-wschodniej strony, ogromne ilości morskiej wody. Poziom wody podniósł się tak bardzo, że wiele osad dookoła zalewu i jeziora Dąbie zostało zalanych. Międzyodrze i położone na nim domy, Wyspa Pucka i niewielkie wsie na niej zamieniły się w podtopione mokradła, z których trzeba było ewakuować ludzi i zwierzęta. Ale nadal nie była to sytuacja, z którą miasto już się kiedyś nie mierzyło. Wszak otaczające Szczecin wyspy i rozlewiska co jakiś czas były zalewane i traktowano to jako utrapienie wprawdzie, ale i zwykłą kolej losu.

Sytuacja uległa zmianie dokładnie trzydziestego grudnia, tak jakby było to wręcz miastu pisane. Około godziny dwudziestej pierwszej, gdy mieszkańcy Szczecina szykowali się już do zabawy sylwestrowej, w komendach straży pożarnej rozdzwoniły się telefony. Zalewało całe dzielnice w północnych częściach miasta, a położone nad Odrą warsztaty, magazyny i fabryki znalazły się pod wodą. Przed godziną dwudziestą drugą zatopiło domy na Łasztowni, a o dwudziestej drugiej zalało ulicę wokół stoczni. W domach przy ulicy Druckiego-Lubeckiego woda sięgała już do stołów w pokojach na parterach.

Pod wodą zniknęła praktycznie cała ulica Gdańska i bramy stojących przy niej kamienic, a tuż przed północą zaczęło się

przelewać na chodniki bulwaru staromiejskiego.

W samym centrum miasta.

Według relacji mieszkańców stojące przy nabrzeżu barki i żaglowce kołysały się tak, że sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały wpłynąć na ulicę.

Po północy woda wdarła się do piwnic kamienic na Starym Mieście, a na bulwarze konieczne było ułożenie drewnianych pomostów, żeby w ogóle można było tamtędy przejść.

We wschodnich dzielnicach dzisiejszego miasta, na tak zwanym Prawobrzeżu, które w tamtych czasach nie należały do Szczecina i miały status odrębnych wsi i miasteczek, zalane były całe ulice, a domy znalazły się pod wodą do pierwszego piętra. Zachowały się relacje o tym, że woda stała w centrum Dąbia, a do zalanego ogromnego gotyckiego kościoła można było wpłynąć łodzią.

Zgodnie z niepisaną zasadą niefortunnych zdarzeń, które chodzą parami, jakby mało było powodzi, trzydziestego grudnia od rana intensywnie padał śnieg. I nie przestał przez dwa następne dni. Do zalanych nadbrzeżnych dzielnic i Starego Miasta dołączyły zasypane śniegiem ulice Śródmieścia, gdzie zaczęły się problemy z przejazdem i funkcjonowaniem wozów strażackich, wciąż wzywanych na miejsce kolejnych katastrof. Sytuacja z godziny na godzinę pogarszała się tak bardzo, że w końcu zdecydowano się utworzyć wieloosobowe patrole bezrobotnych, które na bieżąco odśnieżały miasto, a dziesiątki wozów wywoziły masy śniegu poza centrum.

Siłą rzeczy miasto, ale i całe Pomorze momentalnie zostały dotknięte prawdziwym paraliżem komunikacyjnym. Pociągi, które zdołały jeszcze wyjechać z miasta, utknęły na wiele godzin w zalanych albo zasypanych śniegiem polach. Połączenie z Poznaniem, niektóre kierunki zachodnie i kompletnie zalane północne linie zostały przywrócone dopiero kilka dni później.

O ile dla Szczecina powódź była ogromną katastrofą, wielu ludzi straciło dobytek, mnóstwo położonych nad Odrą fabryk i warsztatów zostało kompletnie zniszczonych, o tyle dla miasteczek i osad położonych nad morzem sylwester 1913 roku był prawdziwym biblijnym kataklizmem.

Pierwsze dni roku 1914 upłynęły zatem pod znakiem kwest i pomocy dla powodzian, które organizowały przeróżne instytucje, stowarzyszenia i kościoły. W akcję włączyła się także rodzina królewska, przekazując ogromne dotacje dla powodzian i uruchamiając nowe kwesty i akcje charytatywne w całych Niemczech.

Sztorm w ową sylwestrową noc był jednym z największych w historii Pomorza. Większe katastrofy odnotowano jedynie w średniowieczu i w siedemnastym wieku. Poziom wody w Szczecinie natomiast, tradycyjnie mierzony na palach przy moście Kłódnym, nigdy nie był wyższy.

Paulina skończyła czytać i podniosła wzrok na wpatrującego się w nią Piotra.

– Nawet nie wiedziałam, że był taki sylwester w Szczecinie – powiedziała.

– I co? – zapytał. – Jak myślisz, Paweł pozwoli mi to puścić w takiej danobraunowskiej wersji?

– Sądzę, że tak. – Paulina pokiwała głową. – Teraz przecież jest doskonały czas na taki tekst. Gwiazdka za progiem, sylwester.

– Właśnie! – Piotr skinął głową z entuzjazmem. – A poza tym od dwóch tygodni wieje wiatr.

– A teraz jest w dodatku chyba mróz stulecia. – Paulina spojrzała na oszronione szyby redakcyjnych okien. – Dzisiaj rano było minus piętnaście.

– Dodam tutaj jeszcze aktualną prognozę pogody, napiszę o alertach RCB i o tym, że wiatr wieje teraz z południa, ale zawsze może się zmienić na północno-wschodni. – Piotr spojrział na Paulinę i kilka razy zabawnie zmarszczył czoło.

– I mamy w dodatku ten mój denny cykl o fejkowych katastrofach. Może czytelnikom to się jakoś skojarzy i temat chwyci?

Szklane drzwi zagrody naczelnego gwałtownie się odsunęły i stanął w nich Paweł. Swoim zwyczajem na cały głos wrzasnął do Piotra i Pauliny:

– Jak skończycie plotkować o dupie Maryny, a raczej Mariana w waszym przypadku, to zapraszam!

Na poboczu szutrowej wąskiej drogi stało kilka osobowych samochodów i jeden spory van, z którego wyładowywała swój sprzęt ekipa z lokalnego radia. Wzdłuż ogrodzenia lasu, oddzielającego osiedle domków jednorodzinnych w ustronnej części Pogodna od drogi, zbierało się coraz więcej ludzi. Wąską uliczką prowadzącą na osiedle nadchodziły coraz to nowe grupki zainteresowanych.

Borys, trzymając pod pachą gruby plik dokumentów, obserwował stojącą na boku grupę mężczyzn i kobiet, którzy cicho coś do siebie szeptali. Rozpoznał wśród nich przedstawicieli wykonawcy, z którymi już wcześniej rozmawiał, i dwie panie z Wydziału Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Szczecina, z którymi zetknął się już przy innych sprawach. Z parkującego niedaleko samochodu wysiadała właśnie grupa osób reprezentujących miasto.

– Panie Borysie... – Starsza pani w kapelusiku zatrzymała się przy prawniku i pochyliła, jakby chciała powiedzieć coś ważnego. – Ale dzisiaj trzeba, żeby każde słowo

zaprotokołowali. I zapisali każde z tych drzew, bo potem znowu będą kręcić.

– Oczywiście, pani Mario. – Borys ukłonił się kobiecie z uśmiechem. – Tak zrobimy.

Od strony głównej ulicy nadjechał kolejny samochód i po chwili wysiadły z niego trzy osoby, wśród których Borys rozpoznał inspektora z urzędu marszałkowskiego.

– Dzień dobry państwu – odezwał się przysadzisty, brodaty szef firmy wykonawczej, gdy już wszyscy w końcu zbili się w zwarty tłumek. – Bardzo proszę na wstępie, żeby osoby postronne nie wchodziły na teren budowy...

– Jakiej budowy?! – krzyknęła jedna z kobiet. – Tu żadnej budowy jeszcze nie ma!

– I nie będzie! – zawtórowała jej inna.

– Ogrodziliście teren i teraz sami po cichu chcecie przeprowadzić tę kontrolę?! Bez żadnego nadzoru?!

– Proszę państwa! – Mężczyzna podniósł głos. – Bądźmy poważni. Nikt nie zamierza tutaj nikogo oszukiwać, ale dla nas to jest teren budowy, który przejęliśmy formalnie od miasta, i teraz odpowiadamy także za państwa bezpieczeństwo.

– A jest tutaj sporo suchych, chorych wiatrołomów, które stanowią realne zagrożenie – odezwała się jedna z kobiet z urzędu miasta.

– Jakoś do tej pory nie stanowiły żadnego zagrożenia – zakpiła pani w kapelusiku. – Lata całe nikt od tego pozał się Boże właściciela, czyli urzędu, się nie zainteresował. Psa z kulawą nogą tutaj nie było, a teraz nagle jakieś wiatrołomy, które stanowią zagrożenie!

– Racja! – krzyknął ktoś z tyłu. – Jeszcze nie zaczęli oglądać, a już kręcą!

W tłumie rozległy się głośne okrzyki, brodaty wykonawca zaczął wszystkich uciszać, co przyniosło efekt odwrotny do zamierzonego i w rezultacie wybuchł prawdziwy rwetes.

– Proszę państwa! Proszę państwa! – odezwał się, podnosząc do góry obie ręce, inspektor z urzędu marszałkowskiego. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy! Proszę nam pozwolić wykonywać nasze obowiązki.

– Ktoś wam musi patrzeć na ręce! – krzyknęła znowu kobieta w kapelusiku. – Już ja widzę, jak wy rzetelnie mierzycie obwody pni.

– Pan Ignatiuk reprezentuje stronę społeczną i on będzie...

– My mamy jednak pewne wątpliwości co do prawnego umocowania tego upoważnienia pana Ignatiuka – przerwała inspektorowi nosowym głosem jedna z kobiet z wydziału środowiska.

– My mamy też wątpliwości co do pani umocowania, paniusiu! – krzyknęła pani w kapelusiku.

– Ale na szczęście to ja jestem prawnikiem. – Borys uśmiechnął się do kobiety z wydziału środowiska. – Jeżeli mają państwo jakieś wątpliwości, to proszę je zaprotokołować. Odpowiem na nie pisemnie.

– Proszę pana, ale to chodzi jednak o przestrzeganie przepisów, prawda?! – zaperzyła się urzędniczka.

– Ile będzie trwało jeszcze to gadanie?! – zdenerwował się jeden z mężczyzn. – Jak pani ma jakieś wątpliwości, to proszę sobie wracać na kawusie do urzędu! Poradzimy sobie bez szanownej pani.

– Bezczelność!

– Proszę państwa! – Borys podniósł głos. – Proponuję zacząć kontrolę. Bardzo państwa proszę, żeby nie wchodzili państwo

na teren tak zwanej budowy. Ja będę nadzorował te pomiary.

– Jeszcze jedno! – odezwał się nagle brodaty wykonawca. – Musimy o czymś poinformować przed kontrolą. Dwa dni temu w nocy ktoś się włamał na teren budowy. I bardzo proszę, żeby to zostało zaprotokołowane. Zostało zniszczone ogrodzenie, siatka i niestety ktoś dokonał wycinki kilku drzew.

Wśród stojących w zbitej grupie ludzi najpierw zapanowała cisza, a zaraz potem wybuchła wrzawa.

– Krętacze! Sami pewnie wycięli!

– Panie Borysie! Niech pan sprawdzi, które to drzewa, bo to bandziory!

Borys patrzył podejrzliwie na brodatego szefa firmy wykonawczej, który czekał tak długo z ogłoszeniem tej wieści, a teraz stał spokojnie z boku. Nagle odezwała się kobieta z urzędu miasta.

– A może to ci zieloni wycięli? – krzyknęła afektowanym głosem. – Po to, żeby wprowadzić ferment! Żeby uniemożliwić nam pracę! Żeby skłócić jeszcze bardziej ludzi! Dla własnych interesów!

Po jej słowach wybuchła regularna awantura. Borys odsunął się na bok. Postanowił poczekać, aż obu stronom skończy się amunicja.

Zastanawiała go afektowana intonacja kobiety. Tak jakby wygłosiła wyuczone formułki. Kilka osób powiedziało mu już kiedyś, że bardziej niż na sędziego nadaje się na prokuratora. Może i coś w tym było.

Paweł usiadł za swoim biurkiem i pochylił się nad klawiaturą.

– Rano puściliście ten news o skarbie z jakiejś świątyni – westchnął. – Sprawdzałaś, jaki jest odbiór? – Podniósł wzrok

i spojrzął na Paulinę.

– Oczywiście. – Paulina usiadła w fotelu przed biurkiem Pawła. – Całkiem dobry. Było sporo pozytywnych komentarzy i udostępnień.

– Pojawiło się nawet mnóstwo domyślnych lokalizacji – wtrącił Piotr.

– Tak, tak – przytaknął Paweł. – Żarło do południa. Dokładnie. A potem nagle pojawiło się mnóstwo hejtu.

– Godzinę temu? – Paulina wymieniła się spojrzeniami z Piotrem. Od godziny gadali na temat jego artykułu o powodzi. I na temat Borysa.

– Posłuchajcie tego. – Paweł wbił wzrok w ekran. – *Dama kameliowa „Dziennika Szczecińskiego” Weber traci już kontakt z rzeczywistością. Pisać takie bzdety w obliczu śmierci urzędnika.* –

Paweł spojrzął na Paulinę. – I dalej: *„Dziennik Szczeciński” wypisuje głupoty o skarbach, kiedy konkurencyjny portal ujawnił prawdę, SzczecinNaPrawo dotarł do naprawdę interesujących rzeczy, a Weber pisze o skarbach, „Dziennik Szczeciński” prowadził tajne śledztwo, w wyniku czego znalazł antyczne skarby. Ochu... liście już w tej lewackiej gazecie...*

Paweł podniósł wzrok.

– I tak wygląda osiemdziesiąt procent nowych komentarzy.

Paulina sięgnęła po telefon i pochyliła się nad wyświetlaczem.

– Dam sobie głowę uciąć, że to hejterzy Mateckiej – warknął Piotr. – Albo ona sama przynajmniej połowę tego gówna napisała. Jak myślisz, skąd są te osobiste przytyki do Pauliny?

– Komentarze są od różnych dziwnych ludzi z całej Polski. – Paweł skinął głową. – Może i masz rację, wiadomo, kto za nią stoi...

– Stoi? – Piotr prychnął. – Nie mając żadnego wkładu, żadnych aktywów, biznesplan napisany na kolanie, dostała kasę z ministerstwa na założenie portalu o nowoczesnym profilu opartym jednak na tradycyjnych wartościach – zacytował kpiąco motto strony Mateckiej.

– Negatywne komentarze pewnie jej generują, wierzę. – Paweł pokiwał głową. – Ale w tym akurat przypadku jest w tym dużo racji.

– Dlaczego?! – Piotr spojrzał na Pawła urażony.

– Dlatego. – Paweł odwrócił laptop, pokazując ekran, na którym widać było uskrzydłone biało-orliste logo portalu SzczecinNaPrawo i krótką wzmiankę pod jakimś dokumentem.

– *Jak wynika z materiałów, do których dotarliśmy – przeczytał głośno Paweł – na skanie dokumentu, który rzekomo dostarczony został redakcji „Dziennika Szczecińskiego”, widnieje podpis inżyniera Miłosza Poznańskiego. Na dowód załączamy skan innego dokumentu wraz z pieczętką inżyniera. Jaki związek miał ten mężczyzna ze śmiercią urzędnika szczecińskiego magistratu? Czy „Dziennik Szczeciński” nie ujawnił jego danych, czy po prostu do nich nie dotarł? Będziemy nadal drążyć ten temat. My robimy to rzetelnie.*

– Kurde! – warknął Piotr i usiadł na drugim fotelu, obok zamysłonej Pauliny. – Co za małpa.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwóch różnych informatorów przekazuje dane na temat tej samej sprawy do dwóch redakcji? – Paulina spojrzała na Piotra.

– Sądysz, że nas wrobił?

– Albo zrobiła to Matecka.

– Teraz to już nieważne. – Paweł obrócił z powrotem laptop i zaczął stukać palcami po klawiaturze. – Miłosz Poznański...

Pięciu jest na Facebooku, na Instagramie także. Jakiś Miłosz Poznański prowadzi kanał na YouTube. Pewnie Matecka usiłuje właśnie do niego dotrzeć.

– Może nie powinniśmy się z nią ścigać? – odezwała się nagle Paulina. – Co nam z tego przyjdzie? Jeśli jest do niego jakiś kontakt, to ona zaraz do niego dotrze. I tak będziemy wtórni.

– Chcesz nadal pisać o skarbie? – zakpił Paweł. – To raczej na pewno wkręt. Ktoś z nas zakpił. Co z tym artykułem o pogodzie?! – zmienił nagle temat i spojrzał na Piotra. – Teraz jest idealny moment na coś na ten temat. – Skinął brodą w kierunku okien.

– No właśnie – westchnął Piotr. – Mam taką propozycję...

Nowacki siedział w baraku budowy i wpatrywał się w symulacje i obliczenia, które już jakiś czas temu przysłał mu Miłosz. Od kiedy on się już tym przejmował? Od jakichś dwóch miesięcy chyba, jak tylko jesienią zrobiło się zimniej i zaczęły się opady i silniejsze wiatry.

Nowacki przesunął myszką kolejne skany, które przysłał mu Poznański.

To sączenie w najniższym punkcie trasy najprawdopodobniej brało się od ich ściany. Nie ma siły. Pewnie dolne zbrojenie wykonali za szybko, a teraz od kilku miesięcy ono cały czas pracuje i bez dwóch zdań porobiły się mikroszczeliny w betonie.

Tylko że nawet jak Nord/Barentz dojdzie w końcu, skąd jest woda, to skończy się zastrzykami uszczelniającymi. I tyle. Niczego nie mogą im udowodnić. Nawet jak zrobią badania rentgenem i odkryją galeon, to przecież Dark-Bud wcale nie musiał go odkryć. Zrobili wykop, postawili ścianę i tyle. Kto im udowodni, że burta tego kurewskiego galeonu była tuż za linią wykopu i że w ogóle ją widzieli? Na tej głównianej fotce przecież

nic nie widać. Wszystko zrobili zgodnie z projektem i tego zamierzał się trzymać.

Nowacki pokręcił głową, odpędzając od siebie złe myśli, zamknął katalog z obliczeniami od Miłosza i spojrzął na zegarek.

Dochodziła czternasta.

Poznański już dawno powinien tutaj być.

Jak długo można załatwiać zajęcie pasa drogowego? Przecież miał tylko rano podjechać do urzędu i złożyć papiery. Tymczasem od rana go nie było.

Nowacki wyjął telefon i wybrał numer swojego majstra.

Cztery sygnały, a następnie poczta. I tak od rana.

Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału...

Paulina przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń, po czym spojrzała na Piotra i wzruszyła ramionami.

– A skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy?

– No jak skąd? – prychnął Piotr. – To ja mam chłopaka architekta czy ty?

– Bo jak wiadomo, my rozmawiamy ze sobą wyłącznie o architekturze.

Piotr uśmiechnął się pod nosem.

– No domyślam się, że robicie jeszcze sporo innych rzeczy, ale myślałem, że coś tam wiesz.

– Coś tam jednak wiem. – Paulina spojrzała w swój monitor.

– Lata temu prowadziliśmy takie małe dochodzenie, kiedyś ci o nim opowiem może...

– Jakie dochodzenie? – Piotr od razu podniósł czujnie wzrok.

– Kiedyś ci opowiem – powtórzyła Paulina. – Może. Świątynia Trygława stała na Wzgórzu Zamkowym na pewno, bo o tym wspominają nawet przewodniki i różne opracowania. Stała też podobno tam, gdzie dzisiaj znajduje się liceum dziewiątka.

– Na Mariackiej?

– Rzekomo w miejscu dawnego kościoła Mariackiego. – Paulina skinęła głową.

– To te miejsca możemy sobie odpuścić. Dark-Bud raczej nic tam nie robił.

– Teoretycznie cały czas dłubią przecież w podziemiach zamku. Możemy sprawdzić, czy jakimś podwykonawcą nie była tam ta firma. Znalezienie pozostałości świątyni pod Wzgórzem Zamkowym byłoby nawet prawdopodobne. No i udział miasta w tym momencie staje się uzasadniony.

– Zaraz będziemy dzwonić. – Piotr skinął głową. – I nigdzie więcej? Tylko o dwóch miejscach wiadomo?

– Podobno świątynia stała także w miejscu, gdzie wznosił się Oderburg.

– Jaki Oderburg? – Piotr zmarszczył brwi. – W Szczecinie?

– Stocznia, ulica Firlika mniej więcej. Stał tam ogromny zamek, przebudowany z dawnego klasztoru kartuzów. Wyguglaj sobie.

Piotr pochylił się nad klawiaturą, a po chwili wbił wzrok w swój monitor.

– Ale tam się nic nie dzieje. Niczego nie budują – powiedział po dłuższej chwili. – Pojęcia nie miałem, że tam stał zamek. Zrujnowany w czasie wojny trzydziestoletniej, a potem powoli rozebrany przez okoliczną ludność – przeczytał.

– I jeszcze są domniemania, jak widzę... – Paulina śledziła wzrokiem wpisy na jednej ze szczecińskich grup historycznych. – Mogła stać na Łasztowni. Mogła gdzieś w okolicach rektoratu Akademii Medycznej. Ale to tylko hipotezy.

– W Puszczy Bukowej jest świątynia Trygława. – Piotr otworzył jeden z linków i zaczął czytać wzmiankę jakiejś blogerki. – Ale tam nikt niczego nie buduje – mruknął po chwili.

– Tam teraz się wyłącznie rżnie – rzuciła wściekle Paulina. – Żadnej puszczy już nie ma, jest tartak.

– To zabrzmiało nieco dwuznacznie. – Piotr uśmiechnął się, wyglądając zza swojego monitora. – Czy to à propos tych pikiet, o których rozmawiałaś z Halczyszynową?

– To ty powinieneś znać to miejsce doskonale.

– Moje pokolenie nie spotyka się po parkach i lasach. My mamy Grindr i Tinder.

Przez dłuższą chwilę oglądali kolejne linki pojawiające się w wyszukiwarce.

– Może jest jakiś rejestr prowadzonych budów? – odezwał się w końcu Piotr. – Albo coś w tym stylu?

Paulina pokręciła głową.

– Jest rejestr wydanych pozwoleń na budowę na stronie izby architektów. Na Geoportalu jest rejestr prowadzonych właśnie postępowań administracyjnych w sprawie o pozwolenie na budowę. Czegoś takiego jak rejestr budów nie ma.

– Myślałem, że gdzieś można sprawdzić, przy jakich inwestycjach pracował ten cały Dark-Bud.

– Na ich stronie jedynie, jeśli jakąś mają.

– Czekaj, czekaj... – Piotr nagle podniósł głowę. – Coś sobie uświadomiłem. Czekaj – powstrzymał ręką Paulinę, która chciała to skomentować – mam na końcu języka... Wiem! – powiedział wreszcie. – Ten koleś, ten w trupiej czaszce, powiedział, że rano w poniedziałek zauważył, że oni, kimkolwiek byli, z Moszenickim coś przesuwali. Coś ciężkiego...

– No ten gówniany skarb – powiedziała Paulina. – Nadal się natrzęsają z tego na forum. Hejterzy Mateckiej zrobili dobrą robotę.

– Nie chodzi o skarb, tylko o to, że ten koleś to zauważył. To by znaczyło, że to był robot, który tam z nimi pracował.

– Hmm. – Paulina pokiwała głową. – No oczywiście. Tylko że i tak go nie poznamy przecież.

– Zbierzmy fakty. – Piotr sięgnął po kartkę i mazak. – Mamy dwa skany – zapisał. – Jeden to domniemane zdjęcie tej świątyni, drugi to kartka z dziennika budowy z datami trzynastego i szesnastego maja. Trzynasty to piątek. Mamy nazwę firmy: Dark-Bud. – Zapisał ponownie.

– I mamy nazwisko właściciela – dodała Paulina. – Właśnie wygrzebałam z różnych dyskusji i komentarzy, bo na ich stronie nie było podane. Paweł Nowacki się nazywa.

– No i jest Moszenicki – powiedział Piotr. – Bartłomiej. Rzekomo tę budowę nadzorował.

– Tyle że Moszenicki nie miał uprawnień budowlanych. – Paulina pokazała oczami monitor. – Jest o nim wzmianka na stronie urzędu. Studiował prawo administracyjne.

– To jest konkretna informacja. – Piotr pokiwał mazakiem. – Nie mógł zatem być kierownikiem budowy ani inspektorem nadzoru projektowego.

– Mógł być za to inspektorem nadzoru inwestorskiego.

– No i mamy tego w masce z trupią czaszką. Robol z firmy Dark-Bud.

– Niekoniecznie. – Paulina pokręciła głową. – Jeżeli Dark-Bud był tylko podwykonawcą, to mógł być pracownik innej firmy.

– No racja. – Piotr skinął głową i zanotował. – I jest na koniec ten Poznański.

– I jest pytanie – skwitowała Paulina. – Czy skan z dziennika z jego nazwiskiem i fotografia to jedna i ta sama sprawa?

Piotr pokiwał głową i postawił znak zapytania przy nazwisku kierownika budowy.

– À propos Trygława. Nazywano go podobno bogiem burz i sztormów... – Paulina spojrzała na Piotra. – Nic nie dzieje się bez przyczyny, jak widzisz. Pewnie ten artykuł o sztormach, który masz dzisiaj oddać, był ci po prostu pisany.

– Na pewno. – Piotr wyduł usta. – Wszyscy płaskoziemcy o tym wiedzą. W dodatku ten trzynasty maja. Piątek.

– Właśnie! – Paulina odwzajemniła uśmiech Piotra i wróciła wzrokiem na swój ekran. – Nie ma przypadków – dodała cicho.

Na jej monitorze widniał rejestr osób zaginionych.

W gabinecie wiceprezydenta od dobrej godziny toczyła się burzliwa narada. Przy długim stole siedziała grupa mężczyzn, a przy jego krótszym boku, niczym pani domu, ulokowała się wiceprezydentka i z rosnącą irytacją słuchała, jak inspektor z konsorcjum Nord/Barentz coraz zajadlej kłóci się z szefem jednej z firm podwykonawczych.

– Powtarzam panu jeszcze raz – grzmiał młody, zwalisty mężczyzna z rudą brodą. – W miejscu, które nam wskazaliście, zrobiliśmy pomiary. Nie ma tam żadnych nieszczęśliwości!

Usiłujecie zrzucić na nas winę, bo tak jest najprościej! A powodów, dla których na najniższym poziomie pojawiła się woda, może być od cholery!

– Jakie pomiary wykonaliście? Wczoraj? Przez godzinę oglądaliście strop i to wszystko?

– Nie oglądaliśmy! Mapowaliśmy go generatorem. Nie wykrył żadnych nieszczelności.

– Na jakiej powierzchni? Kilku metrów?

– Toż przecież dokładnie to miejsce nam wskazaliście!

– Ale tam są spadki. Woda mogła się sączyć przez kilka metrów. Koniecznie powinniście sprawdzić co najmniej pięćdziesiąt metrów.

– Woda stoi na odcinku czterech metrów, a my mamy pięćdziesiąt sprawdzać?!

– Sześciu – wtrącił Marcin Rychlewski, który przysłuchiwał się rozmowie.

– Niech będzie sześciu! – Brodaty szef firmy podwykonawczej kiwnął zgodnie głową. – Ale pięćdziesiąt metrów by się woda przesączała? Pan po prostu nie wie, co mówi!

– Skanowanie generatorem nie jest zbyt precyzyjne – odezwał się inspektor generalnego wykonawcy. – Tym bardziej że jest mróz.

– Jest wystarczająco precyzyjne! Gdyby gdzieś był przeciek, toby wykryło.

– Diagnozowanie metodą pomiaru pól elektrycznych byłoby jednak skuteczniejsze. – Inspektor spojrział na przedstawiciela Nord/Barentz, szukając u niego wsparcia.

– Przecież tam jest membrana! – huknął drugi z mężczyzn od podwykonawcy. – Metoda Leopoma nie nadaje się do membran!

– Właśnie! – Brodaty mężczyzna pokiwał głową. – I to tyle są warte wasze diagnozy!

W sali momentalnie zapanował jazgot, a mężczyźni zaczęli się nawzajem przekrzykiwać.

Wiceprezydentka spojrzała na zegarek i zdecydowała się włączyć do rozmowy.

– Panowie! – powiedziała, podnosząc głos. – To nie jest narada na budowie, przypominam! Oczekuję od panów konkretnych decyzji! Co zamierzacie zrobić w tej sytuacji? – Spojrzała na inspektora z Nord/Barentz.

– No powiedziałem... – Inspektor nerwowo wzruszył ramionami. – Bez dokładniejszego sprawdzenia większej powierzchni stropu się nie obejdzie.

– Możemy sprawdzać i pół kilometra i nie znajdziecie żadnych przecieków! – warknął brodac.

– To najpierw sprawdźcie!

– Panowie – zagrzmiała wiceprezydentka. – A co z wjazdami?

W salce na moment zapadła cisza.

– Woda nadal stoi – odezwał się Marcin. – Stan się nie pogorszył, ale trzeba brać poprawkę na to, że od paru dni jest silny wiatr południowy.

– Jest straszny mróz. – Wiceprezydentka rzuciła okiem w kierunku oszronionego okna. – I według prognoz ma potrwać podobno ze dwa tygodnie. Przecież nie zamkniemy teraz pasów przy obu wjazdach?

– Na razie sypią tam piach i podobno wystarcza. – Marcin wzruszył ramionami i spojrzął na wiceprezydentkę. – Miał tu być w ogóle ktoś z zarządu dróg. Spodziewałem się, że to oni podejmą jakieś decyzje.

– Niestety – powiedziała wiceprezydentka ze złością. – Zarząd dróg zrobił swoje, nadzorując inwestycję, co nawiasem mówiąc, wcale nie było niezbędne, politycy ogłosili wielki sukces, a teraz wszystkie problemy będą zrzucać na nas. Poza tym niestety ten odcinek drogi jest po naszej stronie – dodała z westchnieniem.

W salce na wspomnienie wspólnego wroga na moment zapanowało konsyliacyjne milczenie.

– Kiedy możecie przystąpić do mapowania stropu? – odezwał się w końcu przedstawiciel Nord/Barentz i spojrzął bykiem na brodatego szefa podwykonawcy.

– Nawet jutro – warknął brodacze. – Ale nic to nie da i lepiej się przygotujcie, że to będzie tylko strata czasu!

Nowacki zatrzymał się na jedynym wolnym miejscu przy Santockiej. Nad koronami drzew, porastających wielkie przestrzenie pomiędzy budynkami, wznosiły się stare wieżowce, docieplone styropianem i pomalowane na kremowo-różowe kolory.

Nowacki wysiadł i zadarł głowę. Na dziewiątym piętrze, w oknach mieszkania Miłosza, paliło się światło. Czyli jest w domu, pomyślał. Nie pojawił się w robocie, telefonu cały czas nie odbierał, a teraz siedzi sobie przed telewizorem albo gra na playu.

Nowacki westchnął z irytacją i ruszył w kierunku klatki schodowej. Nerwy nerwami, nawet depresja depresją, o ile to

depresja, ale o robocie powinien pamiętać. On nie jest jego niańką, żeby łązić wieczorami i go pilnować.

Gdzieś z tyłu głowy kołatał mu się jednak niepokój. Poznański zazwyczaj nie robił takich numerów. Może coś się jednak stało?

Wcisnął guzik domofonu i czekając, aż Miłosz otworzy drzwi, spojrzał na ekran smartfona. Dwudziesta pierwsza. Do diabła! A żona kazała mu jeszcze zajechać do sklepu – bo to przecież, kurwa, po drodze – i kupić twaróg. Po cholere jej twaróg o dwudziestej pierwszej?

Co ona będzie robiła z twarogiem po nocy?

Podniósł wzrok i wcisnął przycisk ponownie. Jeśli Miłosz siedział w słuchawkach przy konsoli, to może nie słyszał dzwonka?

Wcisnął przycisk jeszcze dwa razy, a następnie, po namyśle, zastosował starą metodę – wcisnął kilka przycisków naraz. Po chwili ktoś się odezwał, ale prawie jednocześnie rozległ się brzęczyk odblokowywanego zamka w drzwiach. Zawsze był ktoś, kto otwierał drzwi bez pytania.

Nowacki wszedł do środka i wszedł do windy.

Na dziewiątym piętrze słyhać było grający za którymiś drzwiami telewizor, skądś dochodził płacz dziecka i jakaś muzyka. Nowacki podszedł do drzwi Poznańskiego i zadzwonił. W głębi mieszkania rozległ się dzwonek, minęło kilka chwil i nic.

Nowacki zadzwonił jeszcze raz, a potem postukał mocno w drzwi. Z mieszkania dochodził cichy szmer telewizora, więc ktoś tam musiał być.

Po dłuższej chwili rozejrzał się dyskretnie po korytarzu. Głowę dałby sobie uciąć, że za którymiś drzwiami stoi w ciszy

jakiś facet albo baba i uważnie go obserwuje przez judasza.

Zadzwonił znowu, a potem złapał za okrągłą klamkę i szarpnął.

O dziwo, okazało się, że jest otwarte.

Nowacki wszedł do środka i zamknął cicho drzwi. Z jedyne go w mieszkaniu pokoju dochodził szmer rozmowy w jakimś publicystycznym programie.

– Miłosz! – powiedział głośno, zaglądając do pokoju, ale pokój był pusty. Na biurku w narożniku stał włączony laptop. Na ekranie widać było stronę jakiegoś portalu informacyjnego.

– Miłosz! – zawołał ponownie, a następnie zajrzał do kuchni. Paliło się światło, a na stole stał kubek z wypitą do połowy herbatą.

Dopiero teraz usłyszał dochodzący z łazienki szmer. Woda.

Podszedł do drzwi i zastukał.

– Miłosz! Zasnąłeś? – Zastukał jeszcze raz, po czym nacisnął klamkę.

Zmartwił, widząc siedzącego w wannie Poznańskiego. Mężczyzna był tylko w bokserkach, woda cały czas leciała z kranu, tworząc przy odpływie brudną czerwoną plamę. Miłosz był oparty bezwładnie o brzeg wanny, a z lewej ręki – Nowacki teraz to dopiero spostrzegł ze zgrozą – płynęła krew. Spływała po nodze mężczyzny, potem po dnie wanny i kręciła się upiornym czerwonym wirem przy odpływie.

Rozdział 11

Nowacki zamknął się w baraku budowy i zakazał komukolwiek sobie przeszkadzać. Chyba że wpadłby nadzór albo ktoś z ministerstwa, co na szczęście było mało prawdopodobne.

Gdy przyjechał rano do pracy, przez dobre dwadzieścia minut chodził po rusztowaniach, a zaraz potem rozpuścił wici, że potrzebuje na gwałt kierownika robót. Miał dwie budowy, na których to nie mogło poczekać. Do tej pory Miłosz zajmował się obiema, teraz banda robotników, w tym siedemdziesiąt procent Ukraińców, została bez żadnego nadzoru.

Jeszcze teraz, po całym długim weekendzie nie mógł się pozbierać.

Gdy zobaczył leżącego w wannie Miłosza, po prostu ścięło go z nóg. Po raz pierwszy widział kogoś, kto podciął sobie żyły. Nie miał pojęcia nawet, co się w takiej sytuacji robi.

Trzęsącymi się rękami wybrał numer pogotowia, a potem kierując się wskazaniem dyżurnej, wyszarpnął pasek od spodni i z całej siły zacisnął go na ramieniu Miłosza.

Miłosz nie odzyskał przytomności mimo tych prób. Był strasznie blady i Nowacki miał obawy, że chłopak już nie żyje.

Nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić do czasu przybycia pogotowia, zaczął chodzić po mieszkaniu jak zwierzę w klatce. Za którymś z kolei nawrotem zatrzymał się przed biurkiem koło okna i rzucił okiem na ekran laptopa.

Przeczytał pierwsze zdanie, a potem usiadł na krześle. Odetchnął ciężko, słysząc, jak wali mu serce. Do artykułu załączone było zdjęcie z jakiegoś dokumentu z czytelnym podpisem Poznańskiego. *...Jaki związek miał ten mężczyzna ze śmiercią urzędnika szczecińskiego magistratu...*

Nowacki zamknął oczy i policzył powoli do dziesięciu. Miłosz nie wytrzymał psychicznie. Jak ten portal zdobył jego dane? Jeżeli policja zacznie wypytywać? Przejrzą jego komputer i znajdą te wszystkie paranoiczne obliczenia. Cała jego psychoza wyjdzie na jaw i oczywiście pierwsze, o co pytają, to czy on coś na ten temat wiedział. Co robić?

Gdzieś od strony głównej ulicy dobiegł nagle niewyraźny jeszcze sygnał karetki.

Nowacki otworzył oczy i spojrzął na laptop. Pogotowie będzie za chwilę!

Nie zdąży zabrać laptopa i wynieść go do samochodu. Jeszcze go na tym zastaną albo jakaś blokowa wiedźma wypatrzy coś przez judasza i zrobi się ferment. Rozejrzał się dookoła. Nigdzie go nie schowa, nie zdąży. Dopadł krzesła przy biurku i stuknął palcami w klawiaturę. Pierwsze, co zrobił, to usunął historię wyszukiwania. Potem zaczął grzebać w plikach. Dobrze, że Miłosz zostawił włączony komputer, dzięki czemu nie musiał się teraz martwić hasłem.

Obliczenia znalazł dość szybko. Miłosz trzymał je beztrąsko w katalogu robót. Nazwał to obliczeniami kontrolnymi. Nowacki zaklął. Dla laika nie byłoby to może nic zastanawiającego, ale fachowiec mógłby się szybko połapać.

Usunął cały katalog. Opróżnił kosz i wymazał wszystkie ślady z pamięci urządzenia. Nie sądził, że policja będzie badała go dokładniej. Na szczęście nigdy na te tematy nie rozmawiali na żadnym Messengerze, WhatsAppie czy innym gównie, więc nie

musiał tam szperać. Nie sądził też, żeby Miłosz miał kogoś, komu by się zwierzał, a nawet jeśli, to z pewnością nie w tych sprawach. Na sto procent niemożliwe.

Gdy usłyszał za oknem sygnał pogotowia, wyłączył komputer, a potem, po namyśle, sięgnął po leżącą na kanapie bluzę Miłosza i wytarł nią dokładnie klawiaturę.

Katarzyna, niesystematycznie, ale śledziła wpisy SzczecinNaPrawo. Wprawdzie jego założycielkę uważała za kompletną kretynkę, ale wiedziała, że generalnie obie są po tej samej stronie barykady. No i Matecka, dzięki swoim protektorom, mogła napsuć sporo krwi.

Katarzyna jedynie się domyślała, w jaki sposób dziennikarka tak szybko dowiedziała się o Poznańskim, ale to jej akurat nie interesowało.

Inżynier wzbudził zainteresowanie mediów tylko przez te dziwne materiały, które jako pierwszy wrzucił „Dziennik Szczeciński”, a które już kolportował cały lokalny internet. Jego śmierć pewnie nikogo by nie zainteresowała, gdyby nie to, że jego nazwisko pojawiało się od czwartku na wszystkich szczecińskich forach wraz z całą lawinowo rosnącą spiskową teorią dziejów na temat domniemanych przekrętów urzędu miasta.

Katarzyna uśmiechnęła się pod nosem. To akurat było jej na rękę.

Dzisiaj też pojawił się wpis na portalu Nowe Miasto. Ignatiuk zadawał tam dwa niezwykle jątrzące pytania. To było jej jeszcze bardziej na rękę. I powoli rodził się w jej głowie scenariusz małej ofensywy, która spowoduje, że wyborcy sobie o niej przypomną.

Czas najwyższy dokopać tym szmondakom. To się z pewnością przełoży na jej notowania przed wyborami. A i senat w dalszym ciągu jest jeszcze w jej zasięgu.

Czy bała się, że media się czegoś dowiedzą?

Śmierć Poznańskiego oznaczała tylko tyle, że zniknął kolejny świadek. Został jeszcze jeden, ale on nie piśnie nawet słowem. W swoim dobrze pojętym interesie.

Paulina cały ranek w redakcji spędziła na śledzeniu wpisów na forach. A zrobił się naprawdę niezły zamęt. Przede wszystkim za sprawą krótkiej wzmianki u Mateckiej.

W piątek wieczorem w swoim mieszkaniu na Osiedlu Kaliny popełnił samobójstwo inżynier Miłosz Poznański, według naszych informatorów zamieszany w śmierć Bartłomieja Moszenickiego, urzędnika wyższego szczebla Urzędu Miasta Szczecina.

Składamy tą drogą kondolencje rodzinie i najbliższym. Czas najwyższy jednak zapytać o ustalenia tak zwanego śledztwa, które rzekomo prowadził w tej sprawie „Dziennik Szczeciński”. Wyższe dobro każe oczekiwać po dziennikarzach tego medium ujawnienia tego, co wiedzą. A my będziemy nadal drążyć ten temat. Aż do skutku.

Paulina starała się podchodzić obojętnie do wpisów Mateckiej, ale Paweł aż się zagotował. Nawet przez chwilę zastanawiał się nad drogą sądową. Konferował przez całe pół godziny z prawnikiem z kancelarii obsługującej „Dziennik Szczeciński”, by w końcu stwierdzić, że to jednak tylko doleje oliwy do ognia. Hejterzy od razu napisaliby przecież – uderz w stół, a nożyce się odezwą.

Paulina starała się być obojętna, co nie znaczy, że odniosła w tym jakiś spektakularny sukces. Słowa na temat zmarłego inżyniera, że niby był zamieszany w śmierć Moszenickiego, były

według niej skandaliczne. Zwłaszcza że jest prawdopodobne, że to właśnie publikacja Mateckiej popchnęła go do samobójstwa. Przynajmniej w jakimś stopniu. Miała wielką nadzieję, że rodzina zmarłego wytoczy Mateckiej proces, chociaż wiedziała doskonale, że śmierć kogoś z rodziny to ostatni moment, aby chcieć włączyć się po sądach.

Nie mniejszą wrzawę, a najprawdopodobniej była to bomba z opóźnionym zapłonem, jak spodziewała się Paulina, wywołał artykuł Borysa.

Czy miasto wiedziało, że łamie ustalenia planu zagospodarowania przestrzennego, przygotowując koncepcję żłobka na Pokrętnej? Jak to się stało, że mimo posiadania dokładnej inwentaryzacji drzewostanu, z jasną i precyzyjną definicją drzew, których nie można usuwać, powstał projekt, kosztorys, a w ich następstwie projekt budowlany?

Dlaczego w momencie przygotowywania planu miejscowego sąsiednią, cenną działkę pozbawioną drzew i wad prawnych zdecydowano się przeznaczyć pod deweloperkę?

A najciekawsze pytanie zrodziło się po kontroli terenu przez inspektorów urzędu marszałkowskiego. Mianowicie: kto tak naprawdę włamał się na teren Pokrętnej? Kto zniszczył ogrodzenie i wyciął kilka mniejszych i bezwartościowych drzew? Komu mogło tak bardzo zależeć na podgrzewaniu emocji w mediach?

A z pytaniem tym łączy się drugie. Za czyją sprawą na forach, o których wszyscy wiemy, że są co najmniej często odwiedzane przez miasto, pojawiła się plotka o budowie cerkwi?

Niezależnie od odpowiedzi na te pytania wzywam pana prezydenta do rezygnacji z planów budowy żłobka. Uprzedzam, że wykorzystamy wszelkie środki prawne, żeby temu zapobiec i pociągnąć do odpowiedzialności osoby winne łamaniu przepisów.

Paulina uśmiechnęła się pod nosem, wyobrażając sobie miny niektórych urzędników przy porannej kawce i jakimś Pudelku czy innym portalu, które od dobrej dekady zastępowały poranne gazetki.

– Pojechał, nie? – odezwał się Piotr, rzucając Paulinie porozumiewawcze spojrzenie.

Paulina pokiwała głową.

– A widziałaś, co piszą na stronach miejskich? Zresztą na części portali także. Ekofaszysta, zielony naziol, szkodnik miejski. Niektórzy – dodał Piotr – a ja oczywiście doskonale wiem kto, nazywają go wesołkiem albo ciepłozielonym.

– Ciepłozielonym? – Paulina zaczęła chichotać. – Kreatywne przynajmniej.

– I uważasz, że to jest śmieszne? – Piotr spojrzał na nią z urazą. – Czyli jak powiem o jakiejś twojej koleżance Julka w dresach na przykład, to będzie okej. Albo kaloriopozytywna?

Paulina, która nie chcąc urazić Piotra, powstrzymywała się przed nadmierną wesołością, w tym momencie parsknęła głośnym śmiechem.

– À propos. Uważasz, że przytyłam? – spytała, zmieniając temat.

Piotr wyjrzał zza monitora i obrzucił Paulinę powątpiewającym spojrzeniem.

– Raczej nie, a co?

– No właśnie. Pod moimi tekstami piszą, żebym zajęła się lepiej swoją grubą dupą.

– Nie bierzesz chyba tego poważnie? – Piotr skrzywił się z politowaniem. – Zresztą połowa tych wpisów to pewnie robota Mateckiej albo jej sponsorów.

– A poważnie, jestem ciekawa, skąd ona dostała cynk o śmierci tego biedaka. – Paulina, poważniejąc, pokręciła głową z niechęcią. – Przecież od piątku wieczorem mogli o tym wiedzieć tylko jego najbliżsi. I policja.

– A ja jestem ciekaw, dlaczego właściwie popełnił samobójstwo. – Piotr spojrział w zamyśleniu w okno. – Może rzeczywiście miał coś wspólnego z Moszenickim?

Paulina przez chwilę wpatrywała się w monitor, czytając kolejne komentarze, po czym sięgnęła po telefon.

– Czas pogadać z Iwoną – rzuciła do Piotra i wstała, kierując się do kuchni.

– Cześć, Paulina. – Halczyszyn odebrała po pierwszym sygnale. – Mam strasznie dużo roboty, nie mam czasu na pogaduchy. Poza tym jak masz zamiar mi znowu podnosić ciśnienie, to...

– Ciśnienie to ty mi teraz podnosisz – przerwała policjantce poirytowana Paulina. – Nie zajmę ci dużo czasu. Mam coś, co może cię zainteresować.

To powiedziawszy, w kilku zdaniach streściła to, co usłyszała od Borysa.

– Moszenicki kogoś szantażował? – powtórzyła powoli Halczyszyn. – Może Modzel się przejęczył?

– Nie byłam przy tym, więc nie będę się upierała, ale Borys był pewien, że prokurator się wygadał po prostu.

– Ja nic o tym nie wiem. – Policjantka na moment umilkła.

– Jesteś? – zapytała Paulina po chwili milczenia.

– Jestem, myślę. Między nami mówiąc, dobrze wiesz, że z prokuraturą nie zawsze jest po drodze. Nam też, ale to by

oznaczało, że Modzelewski zataja jakieś informacje, które mogą mieć wpływ na śledztwo.

– Dlatego ci o tym donoszę. Poza tym Borys odniósł wrażenie, jakby Modzelewski go ostrzegał, żeby nie robił użytku z czegoś, czego się dowiedział. Wiesz, à propos telefonu. Podejrzewa Borysa, że to on go rąbnął.

– To bardzo daleko posunięte oskarżenia...

– Powtarzam tylko to, co sama usłyszałam. A protokół z tego przesłuchania?

Halczyszyn się zachnęła.

– Weź przestań. Protokolant napisał to, co chciał Modzelewski. A nawet jeśli Ignatiuk tego nie podpisał, dla sądu będzie to mało ważne.

– Żartujesz? – Paulina stwierdziła, że chyba nie chciała tego wiedzieć.

– Przykro mi, że dewastuję twoje wyobrażenie o marmurowej Temidzie.

Paulina chciała się odezwać, ale policjantka ją uprzedziła.

– Dobra, informacja za informację – westchnęła Halczyszyn.

– Pierwsza jest taka, że nie znaleźliśmy żadnych śladów w samochodzie. W sensie jakiejś szarpaniny czy walki, odcisków palców jest oczywiście sporo, ale żadne nie należą ani do Borysa, ani do Bahryńskiego. To jeszcze w tym tygodniu prokuratura przekaże mediom, więc mówię ci to tylko po to, żebyś się nie martwiła o swoich chłopaków.

– Raczej wierzyłam w to, co mówił Piotr. – Paulina odetchnęła jednak z ulgą.

– Druga to wyniki sekcji. – Halczyszyn ściszyła głos. – Moszenicki został zabity mocnym uderzeniem w tył głowy. I generalnie mógł to zrobić Ignatiuk przez okno, ale po pierwsze

w samochodzie nie było żadnych śladów, a poza tym teraz uważaj – Halczyszyn zawiesiła głos. – Moszenicki zginął około dwudziestej.

Paulinę, która właśnie nalewała sobie kawę z redakcyjnego ekspresu, zamurowało.

– Dwudziestej? Jesteś pewna?

– Jak Borys go oglądał, to już wystąpiła sztywność mięśni szkieletowych.

Paulina stała nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Zastanawiała się nad konsekwencjami tego, co właśnie usłyszała.

Dwóch mężczyzn w żółtych odblaskowych kamizelkach powoli szło wzdłuż ustawionych barier, które oddzielały płynącą z jednostajnym, monotonnym hukiem silników rzekę samochodów od zamkniętego pasa. Odgradzony odcinek miał dokładnie trzydzieści metrów długości, co było wynegocjowanym kompromisem pomiędzy sugerowanymi przez Nord/Barentz pięćdziesięcioma metrami a dziesięcioma, na których chciał poprzestać wykonawca robót.

Przez kilka godzin na pasie pracowały nagrzewnice, żeby osuszyć nawierzchnię, a od jakiejś godziny trzech pracowników wyposażonych w przenośne generatory metr po metrze sprawdzało szczelność stropu. Trzeci rozmawiał właśnie z jednym ze strażników, który podczas rutynowej kontroli podziemnego korytarza wszedł na górę, żeby zobaczyć postępy prac.

– Piekło jest straszne! – huknął ciemnowłosy strażnik, przekrzykując silniki samochodów i szum wciąż pracujących nagrzewnic. – Nie dość, że co jakiś czas musimy tarasować wjazdy, żeby zebrać wodę, to jeszcze teraz wy zamknęliście

tutaj. Ludzie są tacy wkurwieni, że wrzeszczą na nas z samochodów.

– Trudno. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Chcieli, żeby sprawdzić, a to się inaczej nie da. Jutro zamkniemy drugi pas dla odmiany.

– Też na trzydzieści metrów?

– Tyle samo.

– A wiadomo już coś? – Strażnik skinął w kierunku dwóch mężczyzn, zajętych kilkanaście metrów dalej sprawdzaniem stropu.

Mężczyzna westchnął ciężko.

– Wszystko szczelne. My od początku mówiliśmy, że ta woda to nie stąd. No ale Nord/Barentz musi się wykazać, chociaż oni gównie wiedzą.

– No dobra, to nie przeszkadzam. – Strażnik kiwnął przyjaźnie ręką i ruszył w kierunku wyjścia awaryjnego.

Dwaj mężczyźni z przenośnymi generatorami dotarli do końca pasa i wyłączyli urządzenia.

– Ani jednej dziurki – mruknął niższy, jasnowłosy. – Napięcie dobrane jak trzeba, ani razu nie było przebicia. Szef miał rację, to strata czasu.

– Na szczęście był tu ten inspektor z miasta i widział, jak po raz pierwszy robiliśmy.

– Dobra. – Jasnowłosy mężczyzna pomachał do trzeciego kolegi. – Zwijamy się.

Obaj ruszyli w drogę powrotną w kierunku pozostawionych pod drzwiami ewakuacyjnymi maneli. Byli może w połowie drogi, gdy pod nogami poczuli bardzo delikatne drżenie.

– Poczujesz? – Blondyn stanął i spojrzał pod nogi.

– No – mruknął drugi z robotników. – To normalne, gadałem z ludźmi z VoorGemak. To pracują te żelbetowe moduły.

– Tak mocno by to było odczuwalne?

– To jest mocno? – Mężczyzna zachnął się. – Jest sztorm teraz, w dodatku minus dwanaście. Musi pracować. Idziemy! – Nie czekając na kolegę, ruszył w kierunku wyjścia.

Blondyn patrzył jeszcze przez chwilę pod nogi, następnie zadarł głowę i spojrział na żelbetowe sklepienie. Przez chwilę czekał, aż konstrukcja znowu się poruszy, ale słychać było tylko jazgot silników.

Chwycił torbę z generatorem i ruszył w ślad za kolegą.

Piotr, który w trakcie rozmowy Pauliny przez telefon wyskoczył do piekarni, wszedł z rozmachem do redakcji i wyraźnie czymś zaaferowany, rzucił na swoje biurko torbę z bułkami i wyciągnął w stronę Pauliny smartfon.

– Widziałaś już to? – zapytał.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na Piotra z niepokojem, a następnie wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, o czym on mówi.

– Na jednym z forów ktoś napisał, że Miłosz Poznański pracował w Dark-Budzie.

– Żartujesz? – Paulina sięgnęła po telefon Piotra i zaczęła czytać wskazany fragment.

– *Poznański był majstrem u Nowackiego* – przeczytała komentarz osoby ukrywającej się pod pseudonimem BiałaMamba. – *Pracował u niego od dobrych pięciu lat.*

– Wychodzi na to, że Matecka mogła mieć rację. – Piotr usiadł za swoim biurkiem. – I ten Poznański naprawdę miał coś wspólnego ze śmiercią Moszenickiego. Dzwoniłaś do Dark-Budu?

Paulina skinęła głową.

– Nikt tam nie chce rozmawiać – westchnęła. – A na ich stronie nie ma żadnych informacji. Ani na temat ich prac, ani zatrudnionych ludzi.

– Pewnie pousuwali wszystko na wszelki wypadek.

– Już samo to byłoby podejrzane. – Paulina rzuciła Piotrowi zdziwione spojrzenie. – Ale dodałam jeszcze jeden punkt do naszych danych. – Wskazała leżącą na biurku kartkę, na której Piotr spisał aktualny stan ich wiedzy na temat zabójstwa. – Niewiele on wnosi wprawdzie, ale określa ramy czasowe.

– Jaki punkt?

– Moszenicki został zatrudniony w urzędzie miasta na początku maja właśnie – odpowiedziała Paulina. – Więc teoretycznie mógł wpaść na ślad jakiejś afery zaraz po rozpoczęciu pracy.

Piotr zmarszczył czoło.

– Mógł komuś nastąpić na odcisk, może właśnie zaczął go szantażować.

– Teoretycznie zatem może to dotyczyć Pokrętnej. Wtedy zaczęły się mniej więcej te awantury, bo wyszło na jaw, że miasto wystąpiło o wycinkę lasu. Tylko do tego nie pasuje Dark-Bud.

– Hmm. – Piotr pokiwał głową. – A zamek? – przypomniał sobie nagle o ich wcześniejszych podejrzaniach.

– Dzwoniłam tam – powiedziała Paulina. – Śmieli się z naszych pomysłów. Powiedzieli, że jak „Dziennik Szczeciński” chce, to mogą nas oprowadzić po całych tych odgrzebywanych podziemiach i tunelach. No i babka powiedziała, że ten Dark-Bud nie wykonywał u nich żadnych prac. Nie robiła z tego tajemnicy.

– Na pocieszenie posłuchaj, co piszą o Mateckiej. – Piotr spojrział na swój monitor. – Pominę wyzwiska i łacinę.

– Dla mnie możesz nie pomijać.

– *To przez ciebie ten chłopak się zabił, ty... Tu pada nieparlamentarne określenie damy lekkich obyczajów – wyjaśnił. – Jesteście najgorszym szmatławcem w necie. W maglu ci pracować, a nie gazetę robić...*

– O, proszę. Jaka piękna parafraza. – Paulina pokiwała głową z uznaniem. – A mówią, że nienawistne komentarze piszą wyłącznie kretyni.

– A może powinniśmy przejść się na budowy tego Dark-Budu osobiście? – zapytał nagle Piotr i spojrział na Paulinę.

– Po co? Mało masz kłopotów?

– Pogadać z robotnikami. Może ktoś rozpozna naszego informatora?

– Po czym? Po kominiarce z trupią czaszką? – zapytała Paulina kpiąco.

– Chociażby. – Piotr pokiwał głową z udawanym przekonaniem. – Może czegoś się dowiemy. W końcu na tej tajemniczej budowie, na której znaleźli świątynię Trygława, inni też musieli pracować.

– A skąd weźmiemy te budowy? Mówiłam ci, że na ich stronie nic na ten temat nie ma.

– Jedną mamy. – Piotr uśmiechnął się tajemniczo, sięgając ponownie po swój smartfon. – Nieocenieni hejterzy na forach napisali właśnie, że Dark-Bud robił coś dla Podgórskiego.

– I ja tego nie znalazłam? – Paulina popatrzyła na Piotra ze zgrozą. – Naprawdę?

– Robili dla nich jakąś wannę, cokolwiek to znaczy.

– Wanna żelbetowa – podsunęła Paulina. – To taka szczelna, żelbetowa obudowa wykonywana w miejscu, w którym jest wysoko woda gruntowa.

– Chłopak architekt? – Piotr uśmiechnął się pod nosem.

– To akurat sama wiedziałam, ale muszę ci coś powiedzieć...

– Paulina postanowiła dłużej nie ukrywać przed Piotrem rewelacji, które przekazała jej Iwona Halczyszyn.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?! – Piotr, gdy Paulina skończyła relacjonować rozmowę z policjantką, spojrzał na nią z oburzeniem. – A ja umieram tutaj z nerwów!

– Iwona twierdzi, że Modzel tak łatwo nie da za wygraną.

– Biorąc pod uwagę to, o czym mówił Borys, to tym bardziej podejrzane. – Piotr zagryzł wargi, po czym spojrzał na Paulinę z entuzjazmem. – W takim razie teraz, jak mam już prawie czyste konto kryminalne, to na serio możemy połączyć i popytać.

Prezydent chwycił leżącą na biurku gazetę i z całej siły trzasnął nią w stół. Tuż przed nosem siedzącego przy nim Lameńskiego.

– A to widziałeś?! – ryknął. – Nawet na papierze już o tym napisali! Nie tylko w Nowym, kurwa, Mieście! I co teraz?!

– Nic. – Lameński wzruszył ramionami. – A czym ty się przejmujesz?

– No jak czym?!

– Widziałeś, jakie mamy zasięgi i pozytywne komenty?

– Ochujaleś, Lami? I co ja za te komenty sobie kupię? Miasto kasy nie ma! A zaraz będzie trzeba płacić odszkodowania!

– Nic nie będzie trzeba płacić. – Lameński skrzywił się lekceważąco. – Wykonawca siedzi w tym razem z nami i jak coś, to razem z nami pójdzie...

– Co takiego?!

– Chciałem powiedzieć, że bez nas niczego nie zrobi! Ludzie nas popierają. – Lameński sięgnął po laptop i przesunął go w stronę prezydenta. – Mnóstwo ludzi pisze, że żłobek jest potrzebny, a ekoterrorystów trzeba zamknąć. Mamy wielkie poparcie. Poza tym cały czas działają nasze strony. Setki zdjęć z różnych inwestycji, sadzimy tysiące drzew, budujemy. Ludziom to się podoba.

– Ten cały Ignac to prawnik – powiedział prezydent spokojniejszym głosem i usiadł przy stole, spoglądając na komentarze pod portalem SzczecinPięknieYe.

– I co z tego? – Lameński wzruszył ramionami. – Przekot to też prawnik i co?

– Lepiej z nim nie zadzieraj. – Prezydent ściszył głos. – Nie chcę tutaj wewnętrznych wojenek. Poza tym sprawa tego Moszenickiego staje się coraz bardziej nieprzyjemna.

Lameński spojrzał ukradkiem na prezydenta czytającego ciągle komentarze.

– Skąd on się w ogóle wziął? – zapytał ostrożnie.

Miał podejrzenie, że wchodzi właśnie na bardzo grząski grunt.

Prezydent wzruszył ramionami.

– Potrzebowaliśmy szefa w tym wydziale. Z doświadczeniem. A on miał dobre opinie. Miejmy nadzieję, że to rzeczywiście zwyczajna łobuzerka go zabiła.

– A te rzeczy o aferach, które chciał niby ujawnić?

Prezydent odwrócił się i spojrzał na Lameńskiego.

– Jakich aferach?

– No właśnie – mruknął Lameński, wzruszając ramionami. – O jakich aferach on mógłby niby wiedzieć?

Dziwne. Odniósł wrażenie, że nie tylko on starał się wybadać prezydenta, ale i prezydent jego.

– A te skany, które „Dziennik Szczeciński” opublikował? – Prezydent odsunął laptop. – I to całe dziennikarskie śledztwo. Znasz tę Weber, przecież ona nie zajmuje się głupotami.

– A widziałeś jej artykuł o zawałającym się nowym biurowcu marszałka? – parsknął pogardliwie Lameński. – Cała ta afera ze świątynią to jakiś napompowany medialny balon. Tylko nie wiem, kto to rozpuścił. Świątynia Trygława... No weź.

– Ale jednak dwóch ludzi nie żyje.

– To w dalszym ciągu o niczym nie świadczy. – Lameński wzruszył ramionami. – Słyszałem już, że Poznański miał problemy psychiczne. Sam widzisz po wykonawcach z Pokrętnej. Trzeba im to przyznać, muszą się nieźle wkurwiać. Ta robota potrafi ludziom dokopać. Trzeba mieć twardą dupę.

Prezydent pokiwał ostrożnie głową.

– Dobra – powiedział ściszym głosem. – Musisz o czymś wiedzieć. Po to, żeby przy jakiejś okazji czegoś nie chlapnąć. Z Moszenickim to była mała przysługa dla pewnej radnej.

– Radnej? – Lameński nadstawił uszu. – Której?

– Nie musisz wiedzieć. Nie ma po co o tym gadać. To była wzajemna przysługa, która bardzo korzystnie... – Prezydent się zawahał. – Która korzystnie wpłynęła na miejskie interesy. I tyle.

– To skąd te plotki o tym, że on chciał ujawnić jakąś aferę?

– Koniec tematu! – Prezydent pokręcił zdecydowanie głową.

– Ale...

Lameński otworzył usta, żeby o coś jeszcze zapytać, ale spojrzenie prezydenta kazało mu zrezygnować z tego pomysłu.

Piotr oderwał się od pisania artykułu reklamowego, który wcisnął mu Paweł, i ze zniechęceniem spojrzął na zegar. Dochodziła siedemnasta. W redakcji zostało jeszcze kilka osób, które siedziały nad pilnymi tekstami. Paulina wyszła pół godziny wcześniej.

Za oknem przez oszronioną lodowatą czerń przebijały się migotliwe światła latarni na nabrzeżu, a w tle błyszczały refleksy na wodzie i łuna nad Podzamczem po drugiej stronie Odry.

Klimat robił się już wybitnie gwiazdkowy, a w radiu średnio co pięć minut puszczały nieśmiertelne, te same od stulecia christmasowe kawałki. Znowu nie było ucieczki od *White Christmas*, *Last Christmas* czy *Jest taki dzień*. Świat powoli zapętleł się w takie same jak co roku dni świstaka, wypełnione tymi samymi utworami, tym samym sztucznym śniegiem z waty na wystawach i tą samą pozorowaną życzliwością.

Piotr oderwał wzrok od okna i westchnął, spoglądając na rozbabrany artykuł. Chciał go dzisiaj skończyć i mieć z głowy, ale właśnie stwierdził, że zadanie było jednak zbyt ambitne.

Jego rozmyślenia przerwał brzęczyk przychodzącej wiadomości.

Spojrzął na ikonkę komunikatora, w której pojawiło się malutkie zdjęcie uśmiechniętego łobuzersko Borysa.

Piotr otworzył okno i najpierw zobaczył cały rządęk rozmaitych radosnych emotek, a na końcu dopiero właściwą wiadomość.

„Właśnie dopiero przeczytałem. To pewne?”

Piotr przysunął klawiaturę i wystukał odpowiedź.

„Nieoficjalnie, bo prokuratura ma to dopiero podać do wiadomości pod koniec tygodnia”.

Okienko komunikatora przez chwilę niezdecydowanie migotało, a po chwili zadzwonił telefon.

– Nie chce mi się pisać – wyjaśnił Borys. – Tak powiedziała ci Paulina? – upewnił się, jakby nie dowierzał jeszcze temu, że sprawa, która przez ostatni tydzień spędzała mu sen z powiek, przybrała pomyślny obrót.

– Dokładnie tak – przytaknął Piotr.

– Ale powtórz dokładnie – upierał się Borys. – Każde słowo.

– Jezu! – jęknął Piotr. – Podejrzewasz, że w rzeczywistości powiedziała, że mają nasze odciski palców i jutro nad ranem nas aresztują, a ja w swojej naiwności zrozumiałem wszystko na odwrót?

– No i po co się irytujesz? – Borys zaczął chichotać.

– Powiedziała, że Moszenicki zginął około dwudziestej. Gdy stałeś przy jego samochodzie, to był już sztywny.

– Tak na pewno nie powiedziała. Pierwsze oznaki...

– Wystąpiła już sztywność mięśni szkieletowych! Teraz lepiej?

W słuchawce zapadła cisza.

– Jeśli to się potwierdzi... – odezwał się w końcu dziwnym głosem Borys. – To wiesz, co to znaczy?

– Że mamy spokój z prokuraturą?

– Ty w ogóle się nad tym nie zastanowiłeś? Jezu! Piotr...

– Nad czym? – Piotr poczuł, że zaczyna się złościć.

Kilka razy wcześniej odniósł wrażenie, że Borys traktuje go protekcjonalnie. Składał to na karb jego trudnego charakteru, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy to nie chodzi o niego. Bo

jest trochę młodszy? Bo jest dziennikarzem? Borys kilka razy dał mu odczuć, że generalnie lekceważy dziennikarzy, szczególnie tych z portali internetowych. Czy jego także?

– No weź pomyśl – zaaferowanym głosem kontynuował tymczasem Borys, nieświadomy przemyśleń Piotra. – Wsiadłem do twojego samochodu na Pomorzanach przed dziewiątą.

– No i? – spytał Piotr rozeźlonym głosem.

– No i gość napisał, że nie zdąży i żeby być na placu Koczego za godzinę. Przed dziewiątą! I za godzinę! – podkreślił.

– Nie rozumiesz, co to znaczy?

– Borys, zaczynasz mnie wkur...

I w tym momencie Piotr załapał.

Jeśli Moszenicki zginął około ósmej, to z kim pisali o godzinie dziewiątej?

– Gadaliśmy z mordercą – grobowym głosem potwierdził jego obawy Borys.

Rozdział 12

Paulina powoli sączyła drugą dzisiaj kawę i wpatrywała się w forum pod swoim artykułem na temat Docklands Park. Tekst poszedł we wtorek rano, ale po dwóch dniach wciąż wzbudzał emocje i wciąż pojawiały się pod nim nowe komentarze. Niestety, głównie negatywne. Spodziewała się tego oczywiście, zwłaszcza po odbiorze artykułu o gmachu marszałka, ale przede wszystkim dlatego, że nie poszło nic o tej spalonej łodzi.

Pomimo wstępnej pozytywnej reakcji Podgórskiego koniec końców jego szefowie zabronili o tym pisać, co oczywiście od razu przekazał jej Paweł.

Zaczynała żałować, że zgodziła się na pisanie tego cyklu. Straszna wtopa się z tego zrobiła, a pod każdym z tekstów jak wół stało jej nazwisko. I jakby tego było mało, jeszcze z jej fotką.

Paulina zacisnęła zęby ze złością i wypila kolejny łyk kawy. Dawno już przestała reagować emocjonalnie na komentarze w internecie. Kiedyś, gdy pisali je w większości zwyczajni ludzie, można było się przejmować. Teraz tak naprawdę nikt nie wiedział, ile z tego to byli czytelnicy, a ile trolleria grupy fanatycznych przeciwników gazety, stronnicy opcji politycznej czy jakiś lobbysta. W dodatku oprócz negatywnych komentarzy pojawiło się sporo topornych wyrazów zachwyty i była na siedemdziesiąt procent pewna, że to akurat robota Docklands Park. Można się było zacząć zastanawiać, czy w ogóle po drugiej stronie jest jakiś prawdziwy, autentyczny czytelnik. A co będzie, jak do produkcji hejtu będzie można wykorzystać sztuczną

inteligencję? Setki tysięcy komentarzy wrzucane na bieżąco do netu ze stworzonych naprędce fejkowych kont? Czy ktoś w ogóle nad tym jeszcze panuje?

Ponure rozmyślenia przerwał Paulinie dźwięk przychodzącej wiadomości.

Sięgnęła po telefon. E-mail, jak się okazało, został wysłany na jej konto redakcyjne.

Śledzę pani artykuły o fuszerekach budowlanych i mam dla pani kilka ciekawych informacji dotyczących miejskich inwestycji. Jeśli jest pani zainteresowana, to proszę o kontakt. Wolałbym się spotkać osobiście. W załączeniu mój telefon.

Paulina bardzo rzadko umawiała się osobiście z czytelnikami, a zwłaszcza w takich sytuacjach. Większość tego typu wiadomości to były najczęściej dęte problemy, wysrane z palca sensacje lub próby zdyskredytowania osobistych wrogów.

Ale nic nie szkodziło zadzwonić. Z numeru służbowego oczywiście.

Iwona Halczyszyn zamknęła drzwi, podeszła do swojego biurka i usiadła na blacie.

Renard, którego chwilę wcześniej wezwała do siebie, wpatrywał się w nią z ciekawością. Według plotek krążących po komendzie była lesbijką. Ciekawe. Większość facetów, którzy rozpuszczali takie plotki, nazywała tak zazwyczaj kobiety o charakterystycznym wizerunku. Takie grubo ciosane, męskie i generalnie mało atrakcyjne. Natomiast Halczyszyn, mimo że niewątpliwie dominująca i rzeczowa, była całkiem, całkiem...

– Ty słuchasz, co mówię? – Policjantka sprowadziła Renarda z powrotem na ziemię.

– No jasne, że słucham – zachnął się Renard. Na szczęście dawno temu wyrobił sobie doskonale podzielną uwagę. – Mówiłaś o tym, że teraz musimy pogadać z ludźmi na Gumieńcach...

– Tak... – Halczyszyn pokiwała głową. – Zakładając, że Moszenicki był u siebie w domu o dwudziestej...

– Na podstawie czego tak zakładamy?

– Na podstawie tego, co powiedział jego wuj – przypomniała Halczyszyn. – Dzwonił do niego o dziewiętnastej na telefon analogowy.

– Ale on też zeznał, że Moszenicki do niego nie dojechał. Nawet nie pamiętał, czy był z nim umówiony, czy nie.

– Właśnie, jakby mało było zagadek – przytaknęła Halczyszyn – to jeszcze dziadek z demencją. W każdym razie trzeba popytać sąsiadów, czy ktoś czegoś nie widział. Modzel wydał już zgodę na przeszukanie domu?

Renard przytaknął ruchem głowy.

– Ci trzej kolesie, których widział Bahryński, nie mają żadnego alibi – wspomniał po chwili.

– Też trzeba sprawdzić, co robili o dwudziestej.

– Jakoś sobie tego wszystkiego nie wyobrażam. – Renard zamyślony spojrział w okno. – Martwy Moszenicki siedziałby w tym samochodzie przez dwie godziny?

– Właściwie czemu nie? – Halczyszyn wzruszyła ramionami. – Znieczulica. Pewnie nikt się nie kwapił do tego, żeby podejść i sprawdzić, czy coś się nie stało. Z daleka zresztą nie widać, że ktoś siedział w środku.

– Czyli dalej ci trzej mogli go walnąć, okraść i zostawić w wozie.

Halczyszyn pokiwała głową.

– A Ignatiuk i Bahryński?

– Jeżeli rzeczywiście przyjechali na miejsce przed dwudziestą drugą, to nic wspólnego z tym nie mają. Trzeba sprawdzić ich alibi. Co robili o godzinie dwudziestej. Chociaż szczerze mówiąc

– Halczyszyn pokręciła głową z powątpiewaniem – według mnie to strata czasu.

– Bardziej podejrzany wydaje się ten Poznański – zauważył Renard. – Z jakiego powodu popełnił samobójstwo? Zaraz po artykule na tym prawicowym portalu.

– I to jego nazwisko na tych dokumentach – dodała Halczyszyn. – Ktoś doszedł już, skąd mogły pochodzić kartki z dziennika budowy?

– Oprócz nazwiska Poznańskiego, jakichś budowlanych opisów i daty trzynastego maja nie ma tam żadnych danych.

– Będzie trzeba się wybrać do nadzoru budowlanego. Tam z całą pewnością mają rejestry.

– Okej, pošlę do nich kogoś jutro rano.

– Obawiam się, że Modzel cały czas będzie chciał udupić Ignatiuka. Żeby nie tracić czasu, trzeba sprawdzić alibi chłopaka.

Renard pokiwał głową i zanotował sugestie policjantki w swoim analogowym notatniku.

Halczyszyn zeskoczyła z biurka i podeszła do okna. Zasypana śniegiem ulica, widziana z poziomu drugiego piętra, wyglądała jak bajkowa sceneria z amerykańskiego filmu na Gwiazdkę.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała cicho, spoglądając na Renarda. – Tylko znajdź jakiegoś rozsądnego funkcjonariusza do tego...

– Do czego? – zapytał Renard, spoglądając na policjantkę podejrzliwie.

Chwilę potem bardzo się zdziwił.

– Mogą nas za to zawiesić.

– Za co? – obruszyła się Halczyszyn. – Prowadzimy śledztwo i musimy zweryfikować wszystkie nowe okoliczności.

– Niby tak – mruknął Renard i podniósł się ciężko z krzesła.

– Dobra, pogadam o tym z jednym z naszych chłopaków. On będzie trzymał dziób na kłódkę.

Matecka odebrała telefon, wetknęła go pomiędzy głowę a ramię i stukając palcami po klawiaturze, rzuciła „słucham”.

– Dzień dobry pani – odezwał się w słuchawce znajomy głos.

– Kojarzy mnie pani? To ja dostarczyłem pani te papiery na Poznańskiego.

Matecka zmartwiała. Rozejrzała się dookoła, ale jej troje pracowników było skupionych na swojej pracy. Część internetu oskarżała ją o śmierć tego biedaka. Skąd mogła wiedzieć, że ma kłopoty psychiczne? Poza tym jej rolą jako dziennikarki jest pisanie prawdy, a nie pochylanie się nad każdym przestępcą czy jego współnikiem. Zresztą nie wiadomo, czy to nie on właśnie zabił tego urzędnika. Przecież śledztwo dopiero się toczy. Jeszcze się może okazać, że jednak to ona miała rację.

Podniosła się, chwyciła kubek i wyszła do kuchni.

– Oczywiście, że pana kojarzę.

– Mam dla pani coś ciekawego na temat pewnej budowy...

– Nie piszemy nic o budowach. To nie jest temat, który by mnie interesował...

– A plotki o świątyni pani też nie interesują? – przerwał jej mężczyzna.

Matecka przez chwilę milczała.

Denny temat Weberowej. Może na tle jej durnot napisze właśnie coś opartego na faktach, prawdziwych doniesieniach, w przeciwieństwie do tych bredni, które zamieścił „Dziennik Szczeciński”?

– A co konkretnie pan wie na ten temat? – zapytała ostrożnie.

Już po kilku zdaniach mężczyzny Matecka uśmiechnęła się do siebie.

Paulina zostawiła samochód na parkingu galerii. Nie znosiła tego robić i starała się unikać takiego rozwiązania. Wjazd był stromy i zawsze się obawiała, że zawadzi podwoziem o posadzkę albo dachem o strop. Było to oczywiście kompletnie nieracjonalne, ale i tak, jak tylko była w stanie zaparkować gdzieś na zewnątrz, wybierała tę opcję. Dzisiaj jednak zrobiła trzy kółka wokół najbliższych kwartałów i jedyne wolne miejsca znajdowały się kilka ulic dalej. Gdy po raz czwarty wykonywała rundę po mieście, a w radiu leciały kolejne, inkrustowane dzwoneczkami świąteczne przeboje, które dodatkowo jeszcze wyprowadzały ją z równowagi, zdecydowała się wjechać pod ziemię. Na dworze panował syberyjski mróz i nie wyobrażała sobie, że w sypiącym śniegu pokona kilka ulic, czyli kilometra prawie, w swoich lekkich butach.

Od razu okazało się, że znalezienie miejsca na parkingu też łatwe nie będzie. Ludzie już powoli wpadali w amok poszukiwania prezentów i mimo wczesnych godzin parking okazał się zastawiony samochodami. Gdy w końcu udało jej się wjechać windą na drugie piętro galerii, była już jak zwykle wykończona. Przypomniała sobie, dlaczego unika takich miejsc jak ognia.

W strefie nazwanej po staropolsku Foodcourt siedziały tabuny wpatrujących się w smartfony młodych ludzi i cała gwardia poszukiwaczy prezentów, obstawiona kolorowymi torbami i reklamówkami.

Paulina rozejrzała się i ruszyła wolnym krokiem wzdłuż stolików i siedzisk. Przy wysokim stoliku pod samym oknem zobaczyła mężczyznę w dżinsowej bluzie. Miał długie do ramion włosy i krótką bródkę. Na widok Pauliny uśmiechnął się i pomachał do niej ręką.

Idąc w jego kierunku, Paulina ze zdziwieniem skonstatowała, że jest bardzo przystojny. Nie wiadomo, dlaczego spodziewała się jakiegoś dziwnego typka o urodzie nerda, z rozbieganym wzrokiem, doszukującego się wszędzie spisków.

– Od razu się przyznam, żeby nie było wątpliwości – powiedział mężczyzna, gdy już siedzieli przy kawie i mieli za sobą kilka grzecznościowych formułek. – Zajmuję się kosztorysowaniem i dosyć często wykonuję opracowania dla rozmaitych miejskich inwestycji. Nie wyobraża sobie pani, ile tam jest nieprawidłowości...

Paulina w duchu westchnęła.

Wierzyła, że rewelacje, które zamierzał przekazać jej ten młody kosztorysant, to z całą pewnością niezłe przekręty finansowe. Tyle że kreatywna księgowość to nie był akurat temat tego jej cholernego cyklu. Myślała, że dowie się czegoś, co będzie mogła ubrać w sensacyjny sztafaż grożącej miastu katastrofy, a tymczasem siedzi i słucha o kwalifikowaniu kosztów nie do tej rubryki co trzeba...

– Wszystkie rachunki za te rzeczy – kontynuował facet – wie pani, za konferencje, kwiaty, całą reprezentację kazali mi ująć jako inwestycje i dołożyć do tego kosztorysu...

Paulina znowu się wyłączyła.

Trudno. Przynajmniej kawa nie jest najgorsza, no i na faceta można sobie z przyjemnością popatrzeć. Pewnie Piotruś będzie żałował, że nie poszedł...

– No a kolejna rzecz to wstępna wycena dla pewnej inwestycji, którą zlecił mi zarząd dróg. Tuż po wakacjach. Nie wyobraża sobie pani, ile tam było niezgodności. Ile rzeczy trzeba było wyceniać od czapy...

Paulina spojrzała dyskretnie na zegarek. Powoli dochodziła do wniosku, że nawet siedzenie i bezkarne wpatrywanie się w tak przystojnego chłopca musi się niestety kiedyś skończyć. Tym bardziej że to nie randka, ale...

Co on powiedział?

– Może pan powtórzyć? Jaka firma?

– Dark-Bud. – Mężczyzna uśmiechnął się do Pauliny. – To był podwykonawca. Taka niewielka firma, ale specjalizuje się w pewnych określonych robotach, nie chciałbym pani tym zanudzać, bo rzecz dotyczy kosztorysowych nieścisłości, a nie rodzaju poszczególnych prac...

– Dark-Bud? – przerwała mężczyźnie Paulina. – A o jakie specjalistyczne roboty chodzi?

– Żelbetowe głównie, szczelne. Roboty z mrożeniem gruntu także. Ale robią, z tego, co wiem, i zwykłą budowlankę. Rynek jest taki, że nikt nie grymasi...

– A co to była za inwestycja? – Paulina pochyliła się nad przyniesionymi przez mężczyznę dokumentami. – Mógłby pan powtórzyć?

– To akurat był węzeł drogowy Szczecin–Kijewo, jeden z wiaduktów konkretnie. Ale oni kilka razy robili coś dla dróg. No i mieli zlecenia od miasta, głównie przy instalacyjnych lub

drogowych inwestycjach. Widać mają chody. – Facet uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Zaglądałam na ich stronę, ale nie mają żadnego portfolio.

– A można wiedzieć, czemu akurat tą firmą pani się tak interesuje? – Mężczyzna przyglądał się Paulinie z zaintrygowaniem.

– Z zupełnie niezwiązanego z naszą rozmową powodu. – Paulina machnęła ręką. – Mój chłopak jest architektem i wydawało mi się, że miał chyba z nimi jakieś problemy. Czy coś tam... – powiedziała i uśmiechnęła się lekceważąco.

– Rozumiem. – Facet pokiwał głową. – A ich roboty można chyba znaleźć na stronach generalnej dyrekcji dróg, a te miejskie na stronach urzędu miasta. W Wydziale Inwestycji Miejskich. Tylko trzeba pewnie złożyć wniosek o udostępnienie informacji publicznej.

Paulina pokiwała głową. Pomyślała, że przecież Moszenicki był szefem Wydziału Inwestycji Miejskich, a Poznański pracował dla Dark-Budu.

To się wszystko musiało jakoś wiązać.

Borys spojrział z niechęcią na dzwoniący telefon. Ledwie zdołał się skupić na piśmie procesowym, które właśnie przygotowywał, a tu znowu ktoś się do niego dobija. Najpierw matka. Jako że nieuchronnie zbliżały się święta, oczekiwała jakichś deklaracji terminowo-prezentowych. I czy kogoś przyprowadzi. Bo wiesz, synek, Julia ma być z nowym chłopakiem. A ty?

Siostra przyzwyczaiła matkę do tego, że prezentuje jej każdego nowego chłopaka. I teraz obie, nie wiedzieć czemu, spodziewały się tego samego po nim.

Borys sięgnął po smartfon i spojrzał na numer. Nie kojarzył go.

– Słucham?

– Dzień dobry, panie Borysie. – W telefonie rozległ się głos, który Borys od razu poznał i który sprawił, że chłód przebiegł mu po plecach. – Modzelewski. Mam do pana prośbę. Niech pan do mnie wpadnie, musimy jeszcze porozmawiać. Proszę mi wybaczyć, że tak nieformalnie, ale będzie i szybciej, i prościej. Może jutro?

Borys, który zdążył się już przyzwyczać do myśli, że z morderstwem dokonany dwie godziny przed ich przybyciem na miejsce raczej nie mogą mieć nic wspólnego, ponownie się zdenerwował. Przypomniawszy sobie także, że oficjalnie o tych ustaleniach nic nie wie i lepiej, żeby się z tym nie zdradzał.

– Dobrze – powiedział ostrożnie. – O której?

– A tak o czternastej. To czekam na pana.

Borys odłożył telefon na biurko i spojrzał na pismo procesowe na ekranie.

Zastanawiał się, czy do Piotra Modzel też dzwonił. Może powinni się spotkać i pogadać?

Po namyśle sięgnął po telefon i wybrał numer kolegi, rozważając jednocześnie, czy nie traktuje tego przypadkiem jako pretekstu.

Paweł, oderwany od finansowych zestawień, które dopiero co przyniosła mu księgowa, podniósł wzrok i spojrzał ponuro na Paulinę.

– A jeśli to znowu podpucha? – zapytał i westchnął ciężko. – Pisanie o skarbie było anonimowe, w nikogo nie uderzało. Teraz, pisząc konkretnie o jakiejś firmie, możemy się komuś

narazić. – Paweł kiwnął z niechęcią głową w nieokreślonym kierunku. – Na przykład miastu. Jeśli to inwestycje miejskie, to od razu nadepnemy im na odcisk.

– A my tutaj jesteśmy biurem rzecznika prasowego urzędu miasta? – spytała sarkastycznie Paulina. – Czy niezależną gazetą?

– Żadna gazeta nie jest niezależna – mruknął Paweł. – Dobrze o tym wiesz.

– À propos. Widziałeś, jak zjechali ten artykuł reklamarski? Trzeba było jednak dać parę słów o łodzi. Nikomu by nie zaszkodziło, a byłoby przynajmniej coś interesującego.

– Docklands Park nie chciał – westchnął ciężko Paweł. – Zapłacili już, notabene. Przed terminem i są zadowoleni. Na swojej stronie od wtorku mają dziesięć razy więcej wejść niż poprzednio.

– Nie wierzę, że my się takimi rzeczami zajmujemy. – Paulina wydeła usta z dezaprobatą. – To co z tym robimy? – spytała, patrząc na Pawła. – Możemy się dogrzebać do ciekawych rzeczy.

– Dobrze by było, gdybyś jednak nie wyręczała policji.

– W razie czego mam dobry kontakt do nich. – Paulina posłała Pawłowi uspokajający uśmiech. – Będę się z nimi konsultować.

– Dobra. – Paweł trzepnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. – Ale najpierw pogadaj z wszystkimi, zrób, co należy. To wszystko trzeba zweryfikować.

– No przecież. – Paulina wzruszyła ramionami i wstała.

Zasuważąc szklane drzwi, rzuciła jeszcze Pawłowi ironiczny uśmiezek.

– Albo napiszę po prostu byle co i w poniedziałek ci podetknę.

Paweł nie odrywając wzroku od swoich budżetowych zestawień, machnął tylko ręką ze zniecierpliwieniem i pokręcił głową z irytacją.

Kilka minut później – gdy już Paulina przyznała się Piotrowi, że była na spotkaniu z bardzo przystojnym informatorem, wysłuchała wszystkich pretensji, wyraziła szczerzy żal za grzechy i obiecała ze skruchą, że wydarzyło się to po raz pierwszy i ostatni – mogli w końcu porozmawiać bardziej merytorycznie.

– Wyciągnięcie z miasta informacji publicznej będzie trwało tygodniami. – Piotr wszedł na stronę urzędu miasta i ze zniechęceniem wpatrywał się w spis wymaganych dokumentów, opłat i formalności związanych z procedurą, o której mówili. – Teoretycznie na odpowiedź mają czternaście dni, ale jest dopisek, że w określonych sytuacjach może to trwać nawet dwa miesiące.

– Oczywiście – mruknęła Paulina. – Prawdopodobnie ta sytuacja od razu okaże się tą określoną. Jeszcze jak wystąpimy jako gazeta, a przypomną sobie, że poinformowaliśmy publicznie, że prowadzimy jakieś śledztwo...

– To możemy o tym zapomnieć – dokończył Piotr.

– To już w ogóle możemy zapomnieć o informacji publicznej z generalnej dyrekcji dróg – westchnęła Paulina. – Po prostu trzeba do tego dotrzeć jakoś inaczej.

– A właściwie po co? – Piotr wpatrywał się w kserokopie dostarczone Paulinie przez kosztorysanta przystojniaka. – Co może wynikać z tego, że ten cały Nowacki miał akurat zlecenia od dróg czy jakieś tam z miasta. Może miał po prostu i już.

– Moszenicki chce ujawnić Borysowi jakieś kompromitujące materiały. – Paulina podniosła kciuk. – Ktoś go zabija. –

Wysunęła kolejny palec. – Okazuje się, że materiały, które przekazał Borysowi, dotyczą inwestycji, z którą związany był Dark-Bud i Miłosz Poznański, którego podpis tam widnieje. Poznański popełnia samobójstwo. – Paulina wysunęła kolejny palec i spojrzała na Piotra. – To jest wszystko powiązane. No nie ma cudów.

– Moszenicki pracował w Wydziale Inwestycji Miejskich od maja... – Piotr nagle przerwał, zatrzymał wzrok na przyniesionych przez Paulinę dokumentach, a następnie zaczął klikać w klawiaturę.

– Nie mamy żadnego punktu zaczepienia, że może chodzić o jakąś miejską inwestycję. Żadna z prowadzonych przez miasto budów nie pasuje, a lokalizacje domniemanych świątyń Trygława w ogóle się z tym nie pokrywają. – Paulina postukała palcem w kartkę.

– Nie mamy właściwie pewności, że to jest świątynia – odezwał się Piotr, który wpatrywał się z uwagą w swój monitor. – Zdjęcie jest niewyraźne, a to tylko plotki...

– Ale w zasadzie wygląda to tak, jakby miasto prowadziło jakąś budowę, znalazło tę świątynię czy tam cokolwiek, a następnie ukryło ten fakt, żeby nie robić problemów...

– I to mi właśnie nie pasuje! – Piotr oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na Paulinę. – Przecież byłoby chyba odwrotnie. Zajebista okazja do tego, żeby ogłosić wielkie znalezisko, odtrąbić sukces i podkreślić, jak to miasto się angażuje w sprawy kultury. A poza tym fantastyczny pretekst, żeby usprawiedliwić wszelkie opóźnienia, a być może i wyciągnąć jakąś ekstra kasę na ratowanie wyjątkowego dziedzictwa. Po co by to ukrywali?

– Hmm. – Paulina zamyśliła się, patrząc w okno.

– W dodatku kto miałby zabić z tego powodu Moszenickiego?

– Kogoś szantażował – przypomniała Paulina. – W dodatku wie o tym prokurator...

– No proszę... – powiedział nagle Piotr, wpatrując się w ekran. – Jednak coś znalazłem.

– Co takiego? – Paulina spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Wiesz, gdzie pracował Moszenicki, zanim trafił do urzędu miasta?

– No mów!

Piotr spojrzał na Paulinę z wyrazem triumfu na twarzy.

– W szczecińskim oddziale generalnej dyrekcji dróg właśnie.

Paulina zapadła w fotel i spojrzała z namysłem na Piotra.

– To dalej nie musi nic znaczyć. – Piotr wzruszył ramionami.

– Moszenicki mógł się po prostu kolegować z Nowackim i jak pracował w drogach, to mu załatwiał zlecenia, tak samo później w mieście.

– Jeśli się z nim kolegował, to dlaczego podłożył mu świnię i przekazał skany z dziennika budowy?

– W zasadzie, poza słowami tego bandziora, nie mamy dowodów, że ten skan ma coś wspólnego z Dark-Budem. Jest tam tylko podpis Poznańskiego.

– Ten koleś właśnie – przypomniała Paulina – pracował na tej budowie z Dark-Budem. Mało tego, powiedział, że jego zdaniem to oni zabili Moszenickiego. Przez ten cały skarb. Jak powiedziałam to na głos, to brzmi jeszcze gorzej, niż myślałam.

Paulina zagryzła wargi, usiłując się skupić, w czym wybitnie przeszkadzał jej jakiś świąteczny utwór, który Baśka chciała lepiej słyszeć i kazała przed chwilą pogłościć radio.

– Pewne jest, że Moszenicki został zabity koło dwudziestej. – Uniosła kciuk. – Ktoś ukradł jego telefon i laptop...

– O ile w ogóle miał laptop przy sobie – uzupełnił Piotr.

– To prawda. – Paulina pokiwała głową. – Ale jeśli to nie był zwyczajny rabunek, to komórka, laptop mogły zawierać jakieś obciążające materiały. Albo zabójca tak myślał...

Nagle Paulinie przyszło coś do głowy. Przez chwilę nad tym myślała, po czym chwyciła telefon i wybrała numer Iwony Halczyszyn.

Marcin Rychlewski ślęczał nad protokołem z kontroli, którą przeprowadził już tydzień temu, i czas był najwyższy, żeby te sprawy pozamykać. Otworzył katalog z fotografiami i wbił wzrok w ekran. Roboty budowlane przy jednym z budynków na obrzeżach miasta przeprowadzone bez jakiegokolwiek pozwolenia na budowę. Oczywiście nikogo tutaj by to nie interesowało, gdyby nie donos. Sąsiad, któremu pewnie właściciel posesji nadepnął kiedyś na odcisk, poinformował uprzejmie nadzór budowlany, skutkiem czego musiała ruszyć cała machina administracyjna.

Marcin pochylił się nad klawiaturą, gdy rozległ się telefon. Koleżanka przy sąsiednim biurku odebrała i przez chwilę słuchała, po czym spojrzała znacząco na Marcina.

– Już daję pana Rychlewskiego – powiedziała ku niezadowoleniu Marcina.

Marcin ze zniechęceniem podniósł słuchawkę.

– Słucham, Rychlewski.

– Dzień dobry, panie inspektorze – usłyszał głos jednego ze strażników, z którym widział się nie dalej niż kilka dni temu. – Nikt z Nord/Barentz nie odbiera, a tu się niestety zrobiła rysa.

– Rysa?

– Tak, pęknięcie w poprzek jezdni – potwierdził strażnik. – W tym miejscu, gdzie woda się wydostaje.

– Na dole?

– Nie, przy wjazdach. I to w dodatku z obu stron. To ktoś musi zobaczyć, bo ja nie wiem, co z samochodami robić.

Marcin przymknął oczy, po czym spojrzął na zegar na ścianie.

– Panie Romanie, jak będę wracał do chaty za godzinę, to się tam zatrzymam.

– W porządku, to czekam.

Marcin odłożył telefon i spojrzął w okno.

Pewnie po prostu pękł asfalt. W tym miejscu były największe siły tnące, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Nic ważnego. Pewnie niejedna taka usterka jeszcze wyskoczy. Wykonawca zresztą uprzedzał o tym. Będą na wiosnę poprawiać.

Komisarz Halczyszyn odebrała po pierwszym sygnale.

– Paula, ja teraz serio nie mogę, no kurwa...

– Mogłabyś wymyślić już coś innego – warknęła Paulina. – Chwila tylko. Słuchaj, komputer Miłosza Poznańskiego!

– Co komputer Miłosza Poznańskiego?

– Sprawdzaliście?

– No jak? Przecież to było zwyczajne samobójstwo, kobieto. Owszem, przyjechała policja, ale nie stwierdzono niczego podejrzanego. Facet podciął sobie żyły. Według zeznań kolegi Poznański od paru miesięcy miał depresję.

– Nie wydaje ci się podejrzanym, że koleś, którego dopiero co w mediach łączono ze śmiercią Moszenickiego, popełnił samobójstwo?

– Paulina... – ciężko westchnęła Halczyszyn. – Sprawdzamy to oczywiście, to zwyczajne procedury, ale o co ci chodzi?

– Jeżeli ktoś ukradł komórkę, laptop Moszenickiego, a Poznański miał z tym coś wspólnego, nie sądzisz, że w jego komputerze można coś znaleźć? Kto w ogóle go znalazł? Poznańskiego znaczy.

– Na miejscu był jego szef, którego zaniepokoiła nieobecność Poznańskiego w robocie. To on wezwał pogotowie.

– Nowacki? Szef tak się przejął losem pracownika? – zakpiła Paulina.

– Tak, Nowacki. – Halczyszyn ściszyła głos. – Ja nie powinnam z tobą o tym rozmawiać. Słuchaj, muszę kończyć...

– Ale Iwona!

– Muszę kończyć. Potem pogadamy.

Halczyszyn odłożyła telefon i przez chwilę wpatrywała się w blat biurka. Potem sięgnęła ponownie po telefon i wybrała numer Renarda.

– Co jest? – Policjant sprawiał wrażenie oderwanego od czegoś, co wymagało skupienia. W jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Kto się zajmuje samobójstwem Miłosza Poznańskiego?

– Prokurator Wąsowska, ale tam nie ma nic podejrzanego. Lekarz miał tylko wątpliwości związane z prochami, które u niego znalazł, dlatego zawiadomił policję.

– Ktoś oglądał jego komputer?

– Po co? Samobójstwo, żadnych wątpliwości. Nie zlecono nawet sekcji.

– Czy mamy klucze do tego mieszkania?

– No jak mamy mieć? Nie ma żadnego śledztwa przecież.

– A rodzina? Kto się zajął wszystkim?

– Poznański tu nikogo nie miał. Starszy brat mieszka w Stanach, a rodzice, starsi ludzie, gdzieś koło Wałcza. Wszystkimi formalnościami zajął się ten jego szef, chyba przyjaciel także. Jutro dopiero przyjeżdża do Szczecina jego matka.

Halczyszyn wstała od biurka i zrobiła parę kroków po swoim pokoju. Korowody z uzyskaniem nakazu od obu prokuratorów będą trwały z tydzień. Nie ma wyjścia, trzeba to jakoś inaczej załatwić.

Zatrzymała się na środku pokoju i zasłaniając ręką telefon, zapytała cicho Renarda:

– Możesz jakoś skołować numer do matki Poznańskiego?

Renard westchnął i mruknął w odpowiedzi, że się postara.

Marcin zjechał z głównej drogi na drogę dojazdową do Biura Centrum Obsługi i zaparkował po chwili przed niewielkim białym budynkiem. Wyłączył silnik, nałożył czapkę i podniósł kołnierz. Nie chciało mu się opuszczać ciepłego wnętrza samochodu. Na zewnątrz było minus dziesięć i wiał silny wiatr. Od strony głównego wjazdu dochodził równomierny ryk przesuwających się wolno samochodów.

Złapał za klamkę, wyskoczył na mróz i przebiegł kawałek do drzwi. Szarpnął za nie i z ulgą znalazł się w ciepłym wnętrzu stróżówki.

– Bardzo dobrze, że pan jest. – Ciemnowłosy strażnik uśmiechnął się na widok Marcina, podniósł i podał Marcinowi rękę. – Na ekranie gówna widać. Musimy tam niestety podejść – powiedział, widząc, że inspektor pochylił się nad jednym z monitorów.

Marcin jęknął.

– Roman to straszny służbista – prychnął drugi ze strażników, rzucając rozbawione spojrzenie inspektorowi. – Wszystko musi sprawdzić namacalnie.

– Dobra, dobra. – Ciemnowłosy strażnik pokiwał głową koledze i wskazał Marcinowi drzwi. – Wiem, jest ziąb i w dodatku wiatr, ale tam jest osłonięte, więc nie zmarzniemy. – Sięgnął po kurtkę, nałożył ją i nasunął na głowę kaptur.

Przepuścił zrezygnowanego inspektora przed sobą i po chwili obaj ruszyli zasypanym śniegiem chodnikiem w kierunku żelbetowej konstrukcji.

Ryk wiatru mieszał się z hukiem silników samochodów. Dobrnęli po chwili do końca skarpy i osłonięci przed wiatrem żelbetową ścianą oporową ruszyli w głąb budowli.

– O dziwo, wody jest mniej! – huknął strażnik, przekrzykując warkot silnika wielkiej lory, obok której właśnie przechodzili. –

W końcu zaczęły działać sprawnie listwy grzewcze, więc na szczęście nie ma lodu.

– Ta rysa to też pewnie jakiś drobiazg – zawołał Marcin, chowając się za kapturem. – Konstrukcja musi się ułożyć. Trudno, wykonawca będzie naprawiał ten asfalt, jak się zrobi ciepło. Na szczęście każda śrubka tutaj ma gwarancję.

– Ale wolałem, żeby jednak ktoś to obejrzał. – Strażnik wyprzedził Marcina i zatrzymał się na wąskim chodniku.

– Ale wie pan, że to jednak powinien być ktoś z Nord/Barentz. – Marcin zmarszczył brwi. – I tak będą musieli tu przyjechać i spisać protokół. To ich sprawy.

Strażnik skinął głową i zszedł na jezdnię, wyciągając rękę w kierunku zbliżającego się samochodu, który zatrzymał się, a siedzący za kierownicą mężczyzna skrzywił się z niezadowoleniem.

– Proszę. – Strażnik skinął szerokim gestem w stronę powierzchni drogi.

W poprzek całego zjazdu biegła szrama, która wyglądała jak głęboka, bolesna rana.

– Dokładnie na granicy. – Strażnik wskazał ręką drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne. – Tak niby mówili, że to najbardziej krytyczny punkt, ale nie uprzedzali nas, że może się zrobić aż taka rysa.

– A po drugiej stronie? – Marcin wyjął telefon i zrobił zdjęcie nawierzchni.

Od strony stojących samochodów rozległy się pierwsze klaksony, które po chwili zaczęły się powtarzać w całym długim rzędzie.

– Też jest – przyznał strażnik. – Tylko trochę mniejsza tam się wydaje. Co robimy?

– Nic. – Marcin wzruszył ramionami. – Wzywamy Nord/Barentz i niech się wypowiedzą. Nie możemy zamknąć wjazdów. Poza tym woda zniknęła, więc może się wszystko unormuje.

Strażnik pokiwał głową, wszedł na chodnik i machnął ręką w kierunku samochodów.

Marcin zrobił zdjęcie chodnika, na którym widać było delikatną rysę, jakby przedłużenie tej na jezdni, po czym nakrył się kapturem i ruszył w drogę powrotną.

– Ma być tak zimno do sylwestra podobno! – krzyknął do strażnika, który wyszczerzył zęby spod grubego kaptura swojej parki.

– Ocieplenie klimatu, co zrobić?

Piotr wpadł do galerii spóźniony. Gdy szybkim krokiem przemierzał wielki hol i mijał stojącą na jego środku ogrodzoną strefę dla dzieci, było już dziesięć po dwudziestej. Pomyślał, że nie powinni się więcej umawiać z Borysem o ósmej, bo zawsze coś wtedy szło nie tak. Teraz dla odmiany utknął w korku i zaczął żałować, że zabrał samochód. Było jednak tak zimno, że nie chciało mu się marznąć na przystankach.

Borys siedział w małej kawiarence na piętrze.

Jak wszędzie, także i tutaj słychać było ociekającą lukrem, słodką, świąteczną muzykę.

– Nie wiem, czemu prokurator mnie nie wezwał ponownie, tylko ciebie. – Zaniepokojony Piotr sięgnął po smartfon i zaczął sprawdzać historię połączeń. – Chyba że dopiero będzie dzwonić.

– Masz jakieś alibi na godzinę dwudziestą? – Borys postukał palcami w szklankę z sokiem. – Ja się wtedy szykowałem do wyjścia, ale to tylko kot może potwierdzić.

– Ja nawet kota nie mam – westchnął Piotr. – Ale czekaj, czekaj...

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń pomiędzy tłumem przechodzących galerią ludzi.

– Jeśli na stacji Shella na Pomorzanach jest kamera, to mogli mnie tam wyhaczyć.

– Na pewno jest – potwierdził Borys. – Jak Modzel będzie pytał, to koniecznie o tym powiedz, tak żeby do protokołu trafiło. Wtedy będą musieli to potwierdzić.

– Sądzisz, że nadal jesteśmy podejrzani?

– Byliśmy umówieni u niego w domu teoretycznie. Mogliśmy tam przyjechać, zabić go, wysłać wiadomość z jego telefonu i zawlec go jego samochodem na plac Koczego.

– To tak kretyńsko brzmi, że przez sam ten fakt wydaje się mało prawdopodobne.

– A to, że Moszenicki się we mnie zakochał, to było bardziej prawdopodobne? – burknął sarkastycznie Borys.

Piotr uśmiechnął się niepewnie. W zasadzie zakochanie się w Borysie nie wydawało mu się aż tak niemożliwe.

– Policja dopiero teraz zaczęła przepytować sąsiadów. – Borys pokręcił głową ze zniechęceniem. – Ciekawe, czy ktoś coś widział.

– Morderca pisał do nas przed dwudziestą pierwszą. Musiał zatem przyjść do Moszenickiego i tam go załatwić. Może zakradł się wcześniej? To jest ustronne miejsce, a jeszcze o tej porze było tam kompletnie ciemno. Kto by tam cokolwiek zobaczył?

– Na takich osiedlach zawsze ktoś siedzi przy oknie i obserwuje. Jak idziesz nocą i wydaje ci się, że nikt nic nie widzi, to możesz być pewien, że obserwuje cię co najmniej kilka par oczu.

– Miejmy nadzieję – westchnął Piotr, chociaż to, co powiedział Borys, zabrzmiało raczej przerażająco. Ponadto stawiało w zupełnie innym świetle jego, nie takie znowu rzadkie, piątkowo-sobotnie powroty do domu po kilku piwach.

Rozejrzał się dookoła. W galerii było jeszcze całkiem sporo ludzi. Znakomita większość targała wielkie papierowe i plastikowe torby, gdzieniegdzie przemykały licealne grupki wzajemnej adoracji, a pomiędzy nimi przechodzili jacyś przypadkowi spacerowicze, pewnie oczekujący, aż żony czy dziewczyny, względnie matki skończą zakupy...

Piotr nagle kogoś zobaczył. Z jednego ze sklepów odzieżowych wyszedł młody mężczyzna. W ciężkich butach,

dżinsach i czarnej kurtce, w czarnym szaliku... Ale to chyba nie był szalik...

– To chyba ten nasz informator? – szturchnął Borysa, wskazując brodą chłopaka i jednocześnie sięgając po telefon.

– Ten, na spotkanie z którym mnie nie zabraliście? – Borys spojrział w stronę Zary.

Mężczyzna zatrzymał się, wyjął telefon i w tym samym momencie zauważył Piotra. Gdyby nie to, Piotr nie miałby stuprocentowej pewności, że to z nim właśnie spotkali się nocą przy bramie na Cmentarzu Centralnym. Mężczyzna tymczasem gwałtownie się odwrócił i szybkim krokiem ruszył w kierunku schodów, przepychając się pomiędzy ludźmi.

Borys gwałtownie się zerwał.

– Gonimy go! – rzucił do zaskoczonego Piotra i ruszył biegiem w ślad za oddalającym się facetem.

Piotr chwycił plecak i pognął za Borysem.

Sytuacja zatem wyglądała tak, że w pełnej ludzi galerii, udrapowanej już świątecznymi dekoracjami, z wystającym z każdego winkła przystojnym mikołajem, względnie rozneglizowaną śnieżynką, trzech facetów przepychało się w kierunku schodów ruchomych, energicznie torując sobie drogę w tłumie. Piotr, biegnąc za Borysem, którego ciemnowłosa głowa górowała na szczęście nad większością klientów, pomyślał, że scena jako żywo przypomina film, jakies *Listy do M* albo inną świąteczną komedię.

Borys ominął starszą panią, która niezadowolona krzyknęła za nim „łobuz!”, i wpadł na schody ruchome, na których, polskim zwyczajem, wszyscy stali oparci po dwóch stronach, jadąc ze słowiańską godnością bez ruchu i tarasując możliwość przejścia tym, którzy się śpieszyli. Kilka metrów dalej

uciekający koleś w czarnej kurtce bezceremonialnie przepychał się, przeskakując po dwa stopnie w dół.

Piotr wpadł na schody jako ostatni, przecisnął się pomiędzy grupą dziewczyn i utknął za szerokimi plecami jakiegoś brodatego jegomościa.

– Przepraszam! – Wepchnął się pomiędzy balustradę a wielkie ramię mężczyzny i zaczął się przepychać dalej, słysząc, jak facet krzyczy za nim coś o pętakach.

Na dole schodów uciekinier popchnął nagle jakiegoś chłopaka, który zatoczył się i upadł na schody, a kilka osób wpadło na barierki i tracąc równowagę, przeskoczyło nad chłopakiem w ostatniej chwili. Momentalnie zrobiło się zamieszanie, a ktoś zaczął wzywać ochronę.

Borys, omijając zator, przesadził poręcz i pognął w stronę holu. Piotr usiłował zrobić to samo, ale poślizgnął się i zjechał tyłkiem po poręczy, wpadając wprost na podnoszącego się właśnie chłopaka. Obaj wylądowali na posadzce, chłopak z głośnym, tradycyjnym polskim przekleństwem i wyrazem mordy w oczach. Piotr, gratulując sobie zgrabności, poderwał się błyskawicznie i pognął za majaczącym na końcu pasażu Borysem. Słyszając za sobą głośne przekleństwa i ostatnie takty *Z kopyta kulig rwie Skaldów*, miał tylko nadzieję, że nikt tego wszystkiego nie sfilmował, bo w przeciwnym razie staną się jutro gwiazdami YouTube.

Przebiegł pasażem pomiędzy choinkami, stertą prezentów, ominął stoisko z telefonami i znalazł się w holu przed głównymi wejściami. Na prawo wychodziło się na ulicę Bałuki, na lewo na pasaż na Kaszubskiej.

Piotr spojrzał niezdecydowanie najpierw w jedną stronę, potem w drugą i nagle dojrzał Borysa, który kręcił się po pasażu przed galerią.

Ruszył w kierunku szklanej ściany, za którą malowniczo cały czas sypał śnieg. Wskoczył pomiędzy obrotowe drzwi i poczuł nagle, że ramię od plecaka utknęło między szklanymi skrzydłami. W locie nieomal szarpnął się, wydzierając w ostatniej chwili plecak spomiędzy zębów ruchomych wierzei i runął na zaśnieżony chodnik na pasażu przed galerią.

– Kurwa! – jęknął, łomocząc kością ogonową w oblodzony starobruk. Z okupowanych przez młodzież ławek przy galerii dobiegł go głośny wybuch śmiechu.

– Zwiął gdzieś! – krzyknął Borys, podbiegając do Piotra. Chwycił go za rękę i pomógł mu wstać. – To sukinsyn!

– Po co myśmy w ogóle za nim tak zapierdalali? – warknął Piotr, otrzepując spodnie ze śniegu. – I co by było dalej? Szarpalibyśmy się z nim tutaj? Na glebie?

– Przecież to ten skurwysyn pewnie dał Mateckiej mój telefon. – Borys poprawił szalik i odetchnął głęboko.

– To raczej nie on. – Piotr pokręcił głową, zakładając plecak na ramiona. – On tylko sprzedał informacje o skarbie i Poznańskim. Twój numer musiał ktoś inny wysłać. Sądziś, że ten koleś pracuje w urzędzie? – zakpił.

– Policja by go chętnie przesłuchała. A czekając na nich, coś byśmy z niego wyciągnęli.

Borys poklepał Piotra po plecach.

– Nie potłukłeś się? – zapytał. – Widziałeś w ogóle jego gębę?

Piotr sięgnął do kieszeni, wyjął telefon i zaczął stukać palcem w ekran.

– Chyba nawet lepiej. – Uśmiechnął się.

Podniósł wzrok na Borysa i wyciągnął w jego kierunku smartfon, na którym widać było zdjęcie mężczyzny stojącego przed Zarą i patrzącego prosto w obiektyw.

Rozdział 13

Paulina spojrzała w okno, za którym wręcz widać było, jak wyje lodowaty wiatr, i po namyśle dołała sobie do herbaty soku malinowego. Tak uzbrojona wróciła do biurka i zasiadła do czytania Piotrowego artykułu. Trzeba przyznać, że moment był idealny. Mróz w okolicach dziesięciu stopni, wichur i alerty pogodowe, które znowu pojawiły się dzień wcześniej na ekranach smartfonów mieszkańców Szczecina i okolic. Lepszego momentu, żeby puścić artykuł o katastrofalnej powodzi sprzed stu lat, z dodatkiem kilku pogodowych straszaków, nie można było sobie wymarzyć. I jeszcze te, zdawać by się mogło, absurdalne w kontekście panującej za oknem aury, ale dlatego właśnie obliczone na wkurzenie płaskoziemców, argumenty przemawiające za ociepleniem klimatu...

Paulina uśmiechnęła się pod nosem, czytając kolejne komentarze. Połowa czytelników kpiła ze zmian klimatu oczywiście, jakaś część obawiała się o stan dróg, a inna dopytywała, co w tym kontekście robi miasto. Całkiem spora grupa uczepliła się, zaakcentowanego przez Piotra, wschodniego kierunku, skąd nadpłynęły mrozy i sztormy, i wklejała prymitywne w większości żarty o Ukraińcach. Rozmowy na ten temat zapętlały się wokół Rosji, tego, kto jej sprzyja, i niestety zahaczały obrzeżami o Banderę.

W dodatku był piątek. Zasięgi poszybowały pod niebo, a ilość udostępnień zbliżała się już do liczby trzycyfrowej. A była

dopiero godzina dziesiąta. Po prostu cud, miód i orzeszki.

Paulina skończyła czytać co ciekawsze komentarze, po czym zamknęła okno i z westchnieniem wróciła do researchu na temat miejskich legend, który to cykl, na skutek napływających do niej informacji od czytelników, odszedłszy od pierwotnego zamysłu, zmieniał się w historię fuszerek i niedoróbek budowlanych.

Wypiła łyk gorącej herbaty i spojrzała w okno. Pogoda rzekomo miała się zmienić przed Gwiazdką. Wróżbici z meteorologii przepowiadali oczywiście gwałtowne ocieplenie i deszcz. Czyli tradycyjne święta na Pomorzu.

W drzwiach wejściowych pojawił się nagle Piotr, robiąc, jak to on, sporo hałasu po drodze, dopadł swojego biurka, wyszczerzył zęby do Pauliny, postukał palcami w klawiaturę, po czym przekręcił laptop, tak żeby Paulina widziała ekran.

– Popatrz – powiedział triumfalnie.

– Kto to jest? – Paulina pochyliła się, chcąc dokładniej przyjrzeć się młodemu mężczyźnie na zdjęciu.

– Trupia czacha! – powiedział Piotr z przejęciem. – Wczoraj wieczorem go namierzyliśmy.

– Skąd wiesz, że to on? – Paulina przekrzywiła głowę, przyglądając się zdjęciu z powątpiewaniem.

Piotr w kilku zdaniach streścił Paulinie przebieg pościgu w Kaskadzie.

– Muszę w ogóle poszperać w necie. Może ktoś gdzieś to nagrał.

– W Kaskadzie są kamery. – Paulina uśmiechnęła się do Piotra sarkastycznie. – Jeśli ten gościu, którego poturbowaliście, złożył skargę, to was znajdą.

– To nie my go poturbowaliśmy, tylko ten drab. – Piotr z urazą wskazał mężczyznę nad zdjęciem. – Dzwonić lepiej do Halczyszyn.

– Po co?

– Nie sądzisz, że policja powinna go przesłuchać w sprawie śmierci Moszenickiego?

Paulina przez chwilę wpatrywała się w ekran.

– Hmm.

Wstała i sięgnęła po swoją torbę, rzucając Piotrowi ponagląjące spojrzenie.

– No co: hmm? Dokąd ty się wybierasz?

– Myślę, że najpierw sami powinniśmy spróbować z nim pogadać. Chciałeś połączyć po budowach? To idziemy!

Borys spojrzął na zegar na monitorze. Dochodziła jedenasta. Nie mógł się skupić na pracy, bo cały czas miał w głowie dzisiejsze przesłuchanie u Modzelewskiego. Wprawdzie prokurator nie użył tego określenia, ale było oczywiste, że to nie będzie raczej kurtuazyjna rozmowa.

Oderwał wzrok od monitora, rozejrzał się dyskretnie, czy któryś z jego kolegów nie ma akurat zamiaru gwałtownie wstać i podejść do niego, żeby coś oznajmić albo walnąć go po prostu w plecy w drodze do kuchni lub kibla. W obu przypadkach mieli wgląd w to, co ma na ekranie, a nie zawsze było to coś, czym chciał się dzielić.

Stwierdziwszy, że cała trójka pogrążona jest w pracy, zamknął męczące od tygodnia pismo procesowe i otworzył katalog, nazwany roboczo „Uchwały wspólnot mieszkaniowych”. Taka nazwa gwarantowała jako takie

bezpieczeństwo przed przypadkowym zaglądaczem. Kogo interesowały uchwały wspólnot mieszkaniowych?

Po chwili na ekranie ukazało się zdjęcie mężczyzny, którego wczoraj wieczorem ścigali z Piotrem. Borys przez chwilę wpatrywał się w monitor, a potem otworzył skany, które otrzymał od Moszenickiego.

Wbił wzrok w zdjęcie jakiegoś drewna ledwie widocznego w głębi i zaczął się zastanawiać. Fotka była nieostra, zdjęcie zrobiono w kiepskim oświetleniu i było rozmazane. Na pierwszym planie, po jednej stronie widać było jakąś hałdę czegoś, po drugiej fragment podłogi, posadzki, płaszczyzny w każdym razie. W głębi stała jakaś maszyna, a za nią znajdowała się już ta cała świątynia albo zwykłe szalowanie, jak mówiła Paulina. Zastanawiało go, czy ekspert od grafiki mógłby to zdjęcie wyostrzyć. Pomyślał, że to prędzej w redakcji u Piotra zrobią, niż jakby on zaczął szukać specjalisty wśród swoich znajomych.

Otworzył skan dziennika budowy i zaczął się z kolei przyglądać każdemu fragmentowi dokumentu. Dziennik był dokumentem urzędowym, opieczętowanym, z dokładnie policzoną liczbą stron. Pamiętał to z jakiejś sprawy, którą prowadził. W nadrukowanych na stronach rubrykach kierownik budowy i członkowie nadzoru nanosili swoje decyzje i uwagi. Tak było i tutaj. Zwykle, ale całkiem czytelne kulfony kogoś, kto szesnastego maja wpisał informację o rozpoczęciu szalowania ściany szczytowej. Nie kogoś. Tego Miłosza Poznańskiego, to przecież on się pod tym podpisał.

Borys spojrział ponownie na zdjęcie mężczyzny stojącego pod Zarą. Czy to był robotnik, który pracował z Poznańskim? Skoro tyle wiedział o przekrętach na tej budowie, to czemu teraz to

ujawniał? Pieniądze? Może się z nimi pożarł? Może ten Nowacki wywalił go z roboty?

Borys pochylił się ponownie nad fotką z placu budowy. W dzienniku było o szalowaniu. No właśnie. Zatem dechy ze zdjęcia to najprawdopodobniej jednak zwyczajny szalunek. Trzynasty i szesnasty maja...

Borys spojrzął na wiszący na ścianie kalendarz, znalazł na nim dwie daty, a następnie znowu popatrzył na notatki w dzienniku. Przez chwilę się zastanawiał, a następnie sięgnął gwałtownie po klawiaturę i znalazł w necie zeszłoroczny kalendarz.

No oczywiście... Że też im to umknęło...

Halczyszyn zaparkowała samochód pod blokiem, w którym mieszkał Miłosz Poznański, i wyjrzała przez okno. Na dziewiątym piętrze paliło się światło.

Spodziewała się przybitej starszej pani, zmuszonej do podróży do Szczecina w przykrym obowiązku. I taka też była pani Poznańska. Od progu widać było po niej cierpienie. Zajmowanie się porządkowaniem rzeczy zmarłego tragicznie młodszego syna musiało być dla niej potworną traumą. Kobieta nie wyglądała jednak na biedną staruszkę. Halczyszyn pomyślała, że uległa stereotypom, które kobietę z małej miejscowości pod Wałczem kazały wyobrażać sobie jako prowincjonalną babcie. Helena Poznańska była skromnie, ale gustownie ubraną kobietą, z takich, o jakich zwykło się mówić, że są przystojne. Przypominała surową nauczycielkę, a wyraz bólu na twarzy jeszcze to wrażenie pogłębiał.

Halczyszyn weszła do mieszkania, grzecznie zgodziła się napić z panią Poznańską herbaty i siedząc teraz na kanapie przy niskiej, białej ławie z Ikei, rozglądała się uważnie po

mieszkanu. Laptop od razu zauważyła. Stał pod oknem, na niewielkim biurku, tuż koło ogromnego monitora, do którego Poznański podłączał laptop w czasie pracy stacjonarnej.

– Pani Heleno, proszę jeszcze raz przyjąć moje najszczerze kondolencje. – Halczyszyn uśmiechnęła się smutno do kobiety, gdy ta przyniosła tacę z herbatą. – Dziękuję także, że zechciała się pani ze mną spotkać.

– Nawet nie wiem, czy mogłabym odmówić. – Kobieta mieszała powoli herbatę. – Czytałam te okropne oszczerstwa, że Miłosz mógł być zamieszany w morderstwo. – Pokręciła głową. – Nie uwierzę w to, choćby nie wiem co...

– Prowadzimy śledztwo właśnie po to, żeby to wszystko wyjaśnić i przywrócić pani synowi dobre imię. – Mówiąc to, Halczyszyn naprawdę miała nadzieję, że Poznański okaże się niewinny. – Pani syna... – zawahała się – znalazł Paweł Nowacki, właściciel firmy, w której pracował pan Miłosz. Czy wie pani, czy oni się przyjaźnili?

Kobieta pokręciła głową.

– Nigdy na oczy nie widziałam tego człowieka – zaprzeczyła. – Miłosz też o nim nie wspominał, ale nie jest to oczywiście wykluczone – dodała. – Miłosz miał tutaj swoje życie.

– Paweł Nowacki przekazał nam, że pani syn od wielu miesięcy cierpiał na depresję... – Halczyszyn urwała, nie kończąc zdania żadnym pytaniem i spodziewając się, że kobieta jakoś ten wątek pociągnie.

– Widywałam Miłosza od kilku dobrych lat tylko właściwie na święta i jak wpadał do nas jak po ogień. Wcześniej był raczej wesoły, a przynajmniej otwarty. Pierwszy raz zauważyłam, że musi mieć kłopoty, tak pół roku temu. Wydawał się nieobecny – westchnęła cicho. – Ale on generalnie nie miał tutaj łatwego życia. Zarabiał niewiele, wszystko prawie szło na spłatę tego

mieszkania. – Kobieta z niechęcią rozejrzała się po pokoju. – Może po prostu nie zauważyliśmy tego?

– Czy zna pani Bartłomieja Moszenickiego?

– Tego, co go zamordowali? – Kobieta spojrzała ze zgrozą na policjantkę. – Skądże. Ja bywam w Szczecinie raz na rok może, nie częściej.

– Więc to nie był bliski znajomy syna?

– Nie mam pojęcia. – Helena Poznańska wzruszyła ze smutkiem ramionami. – Znałam i znam zresztą nadal dawnych znajomych Miłosza. Z Wałcza. Jego niektórzy koledzy ze szkoły nadal tam zresztą mieszkają. Ale ze Szczecina? Nikogo. – Pokręciła głową.

– Pani Heleno. – Halczyszyn postanowiła w końcu poruszyć najbardziej drażliwy temat, który był właściwie głównym powodem jej spotkania z matką Miłosza Poznańskiego. – Powiem szczerze, nie mam żadnego prawa, żeby od pani tego żądać, ale liczę po prostu na pani pomoc. Chodzi o komputer pani syna...

Poznańska podniosła wzrok i spojrzała pytająco na policjantkę.

– Ja się w ogóle nie znam na komputerach – przyznała. – Nie pomogę pani.

– Chodzi tylko o to, żeby zgodziła się pani wypożyczyć laptop syna. Możliwe, że dzięki zapisom jego rozmów na portalach społecznościowych czy w komunikatorach dowiemy się więcej na temat powodów, dla których postanowił – Halczyszyn zawahała się przez krótką chwilę – odejść – dokończyła.

– Proszę bardzo. – Kobieta pokiwała głową ze zmęczeniem. – Nikomu on się już nie przyda.

Halczyszyn sięgnęła do torby i wyciągnęła notes.

– Wystawię pani oczywiście pokwitowanie i obiecuję osobiście go pani oddać.

Dźwig, który przypominał ogromnego prehistorycznego gada, powoli przesuwiał długie, wyglądające niczym szyja brontozaura, stalowe ramię nad budynek. Na najwyższym piętrze rusztowań kilku, okutanych w grube kombinezony, robotników uwijało się, żeby przechwycić podawane przez dźwigozaura palety z płytami okładziny elewacyjnej.

– Możecie w ogóle w taki ziąb pracować? – spytał Piotr, spoglądając niepewnie na brodatych, smagłych mężczyzn na rusztowaniach.

– To, co można, to robimy. – Wasiak wzruszył ramionami. – Terminy nas gonią, a szefostwu się wydaje, że i przy minus trzydzieści da się robić.

– Dziękujemy, że zechciał pan z nami porozmawiać. – Paulina sięgnęła do torby i wyjęła tablet.

– A co miałem się nie zgodzić. – Wasiak uśmiechnął się szeroko. – Podgórski bardzo z pani zadowolony. Artykuł wszystkim się podobał.

– Bardzo się cieszę. – Paulina przesunęła palcem po ekranie i po chwili ukazało się na nim powiększone i wyostrzone zdjęcie mężczyzny z Kaskady. – Kojarzy pan tego faceta? To podobno robotnik z Dark-Budu.

Wasiak wziął od Pauliny tablet i zmarszczył brwi, przyglądając się fotografii.

– A, oczywiście. – Twarz mu się rozjaśniła. – Pracował nawet u nas, jakieś pół roku temu. Nowacki robił obudowę żelbetową ścian parkingu podziemnego. Jak on się nazywał...

Paulina i Piotr wymienili się spojrzeniami, po czym oboje wbili wzrok w kierownika budowy.

– Takie głupie imię. – Wasiak odwrócił głowę, usiłując wygrzebać z pamięci dane mężczyzny z trupa czaszką, jak cały czas roboczo nazywali go Paulina z Piotrem.

– Alien! – krzyknął nagle z triumfem Wasiak. – Tak!

– Alien? – Piotr otworzył szeroko oczy. – Na pewno?

– Tak, to znaczy, nie... zaraz... – Kierownik budowy się zacukał. – Al...

– Może Alan? – zaryzykowała Paulina.

– O właśnie! – przytaknął energicznie Wasiak. – Dokładnie, Alan. Alan... Jak mu było, kurde, na nazwisko? Barciak! – wrzasnął nagle na cały głos, sprawiając, że Piotr aż podskoczył.

Na pierwszym piętrze rusztowania poruszyła się siatka i wyjrzał zza niej mężczyzna okutany szalikiem i z kaskiem nałożonym na grubą wełnianą czapkę.

– Co jest, szefie? – ryknął.

– Jak się Alien nazywał? Ten wiesz, z Dark-Budu?

– Cieśla?

– No nie cieśla, kurwa! To murarz-zbrojarz był!

– Ale się Cieśla nazywał! Alan Cieśla!

Paulina zaczęła żałować, że nie ma z nimi kamery.

– No właśnie! – Wasiak odwrócił się i spojrzał na nią z triumfem. – Teraz pamiętam. Wszyscy się z niego nabijali nawet, że niby cieśla, a zbrojarz – zaczął rechotać Wasiak.

Piotr poczuł, że w jego kieszeni wibruje wyciszony telefon, ale nie chcąc stracić niczego z ekscytującej rozmowy, zlekceważył sygnał.

– Wie pan może, jak się z nim skontaktować? – zapytała Paulina, patrząc na kierownika z niewinnym uśmiechem.

– A po co on właściwie pani, pani Paulinko? – zapytał Wasiak, drapiąc się w brodę. – Bo ja nie wiem, czy ja mogę dawać jego numer, wie pani...

– Byłabym wdzięczna niezmiernie. – Paulina uśmiechnęła się jeszcze słodziej. – O ten mój cykl o budynkach mi chodzi oczywiście. A on podobno pracował przy Hanzie.

– Przy Hanzie? – Kierownik się zdziwił. – A to nie wiem nawet. Może i Dark-Bud coś dla nich robił. Może ja pani dam numer jego szefa? Tak chyba będzie lepiej. – Spojrzał na Paulinę niepewnie.

– Może być. – Paulina pokiwała szybko głową.

Nawet się nie spodziewała, że rozmowa z kierownikiem Docklands Park będzie aż taka owocna.

Dwadzieścia minut później Paulina wjechała w zaśnieżoną i pokrytą lodem ulicę Zbożową, rozglądając się za wolnym miejscem postojowym. Po kolejnych dziesięciu minutach udało im się dobrnąć do redakcji, gdzie przywitała ich napięta atmosfera i Paweł z pochmurną miną stojący w drzwiach swojego aneksu.

– Co się dzieje? – zapytał Piotr, spoglądając z niepokojem na naczelnego.

Paulina rzuciła torbę na biurko i odwróciła się w stronę Pawła.

– No co jest? – zapytała.

– Matecka – mruknęła Baśka, wskazując ruchem głowy monitor.

Piotr i Paulina, jak na komendę, opadli na swoje krzesła i wbili wzrok w ekrany komputerów.

Na stronie portalu SzczecinNaPrawo pierwsze, co się rzucało w oczy, to wielkie zdjęcie jakichś starych drewnianych szczątków. Na pierwszym planie, na jednej z belek widać było wyryty, nieczytelny napis i jakiś niewyraźny rzeźbiarski motyw.

Jakiś czas temu na lokalnych forach internetowych pojawiły się pogłoski o rzekomo odkrytej na którejś z budowli starożytnej świątyni. Plotki te podchwyciły szybko także lokalne media, a ukoronowaniem tej medialnej aferki stał się niedawny artykuł w „Dzienniku Szczecińskim” na temat rzekomo odkrytego tam także skarbu. Wzmianka, podana przez „Dziennik Szczeciński”, została zamieszczona w jednym z artykułów na temat fuszerek na szczecińskich budowach.

W ramach tego cyklu ukazał się ostatnio artykuł o nowym apartamentowcu na prawym brzegu Odry. Autorka żartobliwie rozprawia się w nim z nieprawdziwymi pogłoskami dotyczącymi źle zaprojektowanych płyt balkonowych i osiadających fundamentów.

Tymczasem co się okazuje? Otóż apartamentowiec buduje firma Docklands Park i to właśnie w jej magazynach odkryliśmy te antyczne artefakty ze zdjęcia!

Jak to się stało, że „Dziennik Szczeciński” przemilczał to bezcenne odkrycie? Doskonale o nim wiedząc, na co mamy zeznania świadków. Po co zatem dziennik podsycił plotki o świątyni i skarbach?

A może po to, żeby odwrócić uwagę od tego znaleziska, a jednocześnie zrobić reklamę firmie Docklands Park?

Może informacja miała zostać opublikowana w momencie najbardziej korzystnym dla dewelopera?

Najciekawsze bowiem zostawiliśmy na koniec. Na napisanie artykułu, będącego tak naprawdę ukrytą reklamą, „Dziennik Szczeciński” dostał zlecenie od firmy Docklands Park!

Pojawia się zatem pytanie, czy całej tej afery o rzekomo odkrytej świątyni nie wymyślili przypadkiem dziennikarze „Dziennika Szczecińskiego”?

Stawia to także w innym świetle niedawne oświadczenie dziennika w sprawie prowadzonego śledztwa dotyczącego nieprawidłowości przy zamówieniach publicznych i śmierci szczecińskiego urzędnika. Przy czym rezultatów tego śledztwa gazeta nadal nie ujawniła.

Ujawniła natomiast zdjęcie z nazwiskiem inżyniera Miłosza Poznańskiego, który prawdopodobnie na skutek sprowokowanej w ten sposób medialnej wrzawy popełnił samobójstwo.

Paulina podniosła wzrok i spojrzała na Pawła.

– A mówiłam, żeby napisać o tej pieprzonej łodzi? – Nie mogła się powstrzymać przed przypomnieniem Pawłowi swojego zdania.

– Popełnił samobójstwo na skutek medialnej wrzawy – wycedził Piotr ze skondensowaną złością. – Co za kurew!

– Nic nam z takiego gadania już nie przyjdzie – wtrąciła się Baśka. – Mleko się wylało. Tyle w tym dobrego, że z łodzią to nie była nasza decyzja, tylko dewelopera.

– Nie można ich postraszyć procesem? – spytał Piotr, wciąż wpatrując się z niedowierzaniem w zdjęcie szczątków z magazynu na Łasztowni.

– Przemilczeliśmy tę sprawę – westchnęła Paulina. – Dołożymy tylko do ognia w ten sposób.

– A jeśli w porozumieniu z Docklands Park napiszemy, że nie wiedzieliśmy o niej?

– Napisali, że mają jakichś świadków – przypomniał ponurym głosem Paweł i usiadł ciężko na krześle przy

najbliższym biurku.

– Właśnie. – Baśka pokiwała głową. – Jeśli ktoś was widział, jak wchodzicie do tego magazynu z łodzią, to będzie jeszcze gorzej.

– Gorzej to będzie, jak Matecka się dowie, że Piotruś jest jednym z podejrzanych w tym śledztwie. – Paweł zwinął palce w pięść i zaczął miarowo uderzać nią w blat biurka.

– Nawet tak nie kracz – obruszyła się Baśka.

– To co robimy? – zapytał bezradnie Piotr.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Nic.

– Jak nic?

– No nic nie możemy zrobić. Wiesz, jak to jest? Jak zaczniemy się tłumaczyć, to wyjdzie jeszcze gorzej. Nawet nie chcę zaglądać na forum, pewnie ci sponsorzy Mateckiej uruchomili już swoje zaprzyjaźnione farmy ruskich trolli.

– Jeśli napiszesz kolejny artykuł z tego cyklu, nawet jak będzie dobrze udokumentowany, to i tak dwie trzecie komentarzy będzie wypominało tę zasraną łódź. – Baśka posłała Paulinie współczujące spojrzenie.

– A jeśli nie napiszę, to powiedzą, że się wycofaliśmy z tego powodu. – Paulina skinęła z niechęcią głową w kierunku monitora.

– A konserwator? – Piotr spojrzał nagle z nadzieją na Pawła.

– Podgórski mówił przecież, że ich o tym powiadomili.

– No. – Baśka zwróciła się do Pawła. – Jeśli nakłonisz miejskiego konserwatora do komentarza na ten temat, to może wyjść dobrze. Wiesz – skinęła ręką – coś w stylu, że oni wszystko wiedzieli, że za ich akceptacją i takie tam...

– Że to, co ta kretynka nazywa antycznymi artefaktami, to w rzeczywistości przedwojenna krypa – dodał Piotr.

– Tylko nie u nas – podjęła wątek Paulina. – Najlepiej, gdyby zrobili to na własnej stronie.

– Dobra – westchnął Paweł i podniósł się. – Spróbuję.

Jakby wyczuwając sytuację, w tym akurat momencie zadzwonił jego telefon.

Paweł wszedł do swojego aneksu, odebrał i przez chwilę tylko z kimś rozmawiał, po czym, trzymając cały czas telefon przy uchu, wyszedł ze swojej zagrody, chwycił pilota i włączył wiszący na ścianie redakcji wielki monitor.

Na ekranie ukazało się studio Szczecin & LeftSide. Prowadzący program brodaty redaktor właśnie zadawał komuś pytanie. Mimo że mówił już chyba od dłuższej chwili, końcówka doskonale zobrazowała wszystkim temat dyskusji.

– ...urzędnik jednak został zamordowany, prawda? A tydzień temu „Dziennik Szczeciński” przekazał informacje o prowadzonym śledztwie w sprawie, zacytuję, żeby nie było przekłamań... – redaktor pochylił się nad notatkami. – *Sprawa może dotyczyć rzekomych nieprawidłowości przy inwestycjach publicznych.* – Podniósł głowę i spojrzał na rozmówców. – Panie Mikołaju?

Kamera odjechała, ukazał się cały stół redakcyjny i siedzące przy nim trzy osoby.

– Nie mam pojęcia, co „Dziennik Szczeciński” miał na myśli, pisząc o nieprawidłowościach – odezwał się siedzący po prawej stronie prowadzącego doradca prezydenta. – To są dość poważne oskarżenia i jeżeli w najbliższym czasie dziennik nie przekaże opinii publicznej więcej na ten temat, a my się niczego nie boimy – Lameński spojrzał w kamerę z pewnym siebie

uśmiechem – to będziemy mieli do czynienia z klasycznym pomówieniem i rozważymy drogę sądową.

– Ja bym się jednak zastanawiała nad tym, w jaki sposób może się to łączyć ze sprawami, o których napisał ostatnio Borys Ignatiuk – odezwała się siedząca po prawej stronie kobieta. – W tym samym czasie co oświadczenie „Dziennika Szczecińskiego” pojawiają się poważne zarzuty pod adresem inwestycji na Pokrętnej. Czy to przypadek? Zgadzam się z panem doradcą. Pytania, które zadał Ignatiuk, są poważne. I może to miasto powinno się do nich jednak odnieść, zamiast straszyć media pozwami?

– Piekło zamarzło – mruknęła wpatrzona w ekran Baśka. – Radna Katarzyna Korytko staje po naszej stronie.

– Miasto na żadnym etapie tej inwestycji nie złamało przepisów... – podjął temat Lameński.

– Poza zapisami planu miejscowego zagospodarowania przestrzennego – wpadła mu w słowo radna, uśmiechając się ironicznie.

– To jest tylko opinia pana Ignatiuka!

– Tu nie ma miejsca na żadne opinie czy domniemanie. – Radna lekko podniosła głos. – To jest prawo, konkretne zapisy, których nie dotrzyмалиście!

– Uzyskaliśmy wszelkie niezbędne zgody i decyzje – upierał się Lameński, wciąż uśmiechnięty, ale z lekkim cieniem irytacji na twarzy. – Wystąpiliśmy także całkowicie legalnie o zezwolenie na wycinkę drzew, tyle że tę decyzję zaskarżyło stowarzyszenie...

– Właśnie! – Radna pokiwała głową. – Sami sobie daliście wszystkie zezwolenia i dali byście także zezwolenie na wycinkę, gdyby nie społecznicy. A żeby...

– Proszę pani!

– Proszę mi nie przerywać – ucięła radna. – A żeby nikt z zainteresowanych nie miał wglądu w tę sprawę, projektant stwierdził, że obszar oddziaływania inwestycji zamyka się w obrębie działki i nie ma stron. Bardzo wygodne. – Uśmiechnęła się kpiąco.

– Jeszcze raz powtarzam, że inwestycja jest całkowicie legalna. – Lameński tym razem także podniósł głos. – Poza tym zapomina pani o jednym! To nie jest jakaś tam inwestycja! Drzewa są ważne, ale najważniejsi są mieszkańcy i ich dzieci. Rozumiem, drzewa, ekologia, ale mieszkańcy są najważniejsi!

– Niech pan sobie nie wyciera ust mieszkańcami, po tym, jak nie uznaliście ich za strony postępowania! Gdyby byli najważniejsi, to zezwolilibyście im na wgląd w dokumenty, a tymczasem wszystko odbyło się po kryjomu! Po cichu, po nocy!

– Pani oskarżenia są paradne!

– Proszę państwa, proszę państwa – przerwał efektowną kłótnię prowadzący. – Wracając do początku. – Podniósł wzrok do kamery. – Czy to w tej sprawie „Dziennik Szczeciński” prowadzi śledztwo? Czy śmierć urzędnika mogła mieć z tym związek?

– Ale panie redaktorze! To są naprawdę skandaliczne słowa! – wydarł się Lameński, patrząc z afektowaną grozą na redaktora. – Jak można wiązać tę sprawę z przypadkową śmiercią człowieka?!

– Nie ma żadnych dowodów, że tak nie było! – wtrąciła radna.

– „Dziennik Szczeciński” miałby oskarżać miasto o nieuczciwe praktyki z deweloperami? – fuknął Lameński. –

Jednocześnie robiąc płatną reklamę dla Docklands Park? Paradne! Poza tym...

– Panie Mikołaju – wtrącił prowadzący. – Każda gazeta robi reklamy. Portale internetowe także. Musimy z czegoś żyć. – Redaktor uśmiechnął się rozbrajająco do kamery.

– Także gazeta, w której jeden z dziennikarzy jest podejrzanym w tej sprawie?

W studiu na moment zapanowała cisza.

Taka sama cisza jak makiem zasiał zapadła w redakcji „Dziennika Szczecińskiego”.

– Cytuje pan niesprawdzone doniesienia z internetu – powiedział nerwowo prowadzący. – Nie możemy rzucać takich oskarżeń. Śledztwo cały czas trwa.

– Ukazuję tylko, jak wiele niejasności jest wciąż w tej sprawie...

– Odwraca pan uwagę widzów od niejasności w sprawie Pokrętej! – przerwała mu ostro radna Korytko. – Pańskie oskarżenia to po prostu skandal!

– Skandalem to można nazwać pani wypowiedzi pod adresem...

– Przekręty w sprawie Pokrętej! – przerwała radna i pokiwała znacząco głową w kierunku kamery. – To powinno być wasze nowe hasło wyborcze!

– Czuję od pani drogie perfumy, ale to, co pani mówi, to szambo!

– Pokrętne przekręty!

– To chyba najlepszy moment, żeby zmienić temat! – prawie krzyknął prowadzący, dając wyraźnie sygnał kamerzyście, żeby zrobił zbliżenie na jego twarz.

– Ja pierdolę – podsumował Paweł, siadając na najbliższym biurku.

Borys tkwił na twardym krześle przy biurku Modzelewskiego i myślał, że statystycznie rzecz biorąc, tak często nie bywał w prokuraturze chyba nigdy. Założył nogę na nogę i spojrzał na prokuratora, który w milczeniu wpatrywał się w jakieś papiery.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nic tu nie jest przypadkiem. Ani to niewygodne krzesło, ani milczenie i przeglądanie akt, w momencie gdy on siedzi naprzeciw i czeka, aż rozpocznie się przesłuchanie. Pewnie na innych to działało, on doskonale te metody znał. Co nie oznacza, że nie odczuwał dyskomfortu.

– Panie Borysie – odezwał się w końcu Modzelewski. – Czy pamięta pan, co pan robił o godzinie dwudziestej? Oczywiście w dniu śmierci Bartłomieja Moszenickiego. – Uśmiechnął się w swoim założeniu konsyliacyjnie, co w praktyce przypominało uśmiech rekina z filmu *Gdzie jest Nemo?*

– Dałem jeść kotu i zacząłem się ubierać na spotkanie z Piotrem Bahryńskim.

– Dokładnie to z Bartłomiejem Moszenickim. Czy ktoś może potwierdzić, że był pan w domu o tej porze?

Borys uniósł brwi.

– Możliwe, że ktoś z mojego bloku potwierdzi, że wychodziłem z domu za piętnaście dziewiąta.

– Jeśli będzie trzeba, sprawdzimy to. – Modzelewski pokiwał głową.

Przez chwilę milczał i wpatrywał się w swoje papiery.

– Przeszukaliśmy dom Moszenickiego – powiedział w końcu, patrząc na Borysa. – Nie znaleźliśmy żadnego laptopa,

komputera ani tabletu. Żadnego urządzenia, na którym Moszenicki mógłby trzymać te rzekome dowody urzędowych przekrętów.

– To potwierdza tylko teorię o napadzie rabunkowym.

– Czy nie wydaje się panu nieprawdopodobne, że Moszenicki zabrał na spotkanie wszystkie swoje urządzenia? Komputera stacjonarnego też nie znaleźliśmy. Jedyne, co było u niego w domu, to dwa monitory, w tym jeden z całym okablowaniem do jednostki stacjonarnej. Po co Moszenicki miałby zabierać ze sobą komputer stacjonarny?

Borys milczał. Oficjalnie nie wiedział o ustaleniach policji w sprawie godziny śmierci, więc nie mógł podejmować tego tematu, ale najwyraźniej ktoś, z kim rozmawiał przez Messenger o dwudziestej pierwszej, ukradł wszystkie urządzenia. To mogło świadczyć tylko o tym, że chciał zabezpieczyć jakieś dane. Zamordował Moszenickiego, nie miał czasu na dokładne przeglądanie twardych dysków, musiał jakoś zawlec trupa do samochodu...

Właśnie! Musiał go przewieźć na siedzeniu pasażera przecież, a potem jakoś przenieść na miejsce kierowcy na placu Koczego. Nissan Moszenickiego miał przyciemnione szyby, ale może jakieś kamery go po drodze wychwyciły?

I co zrobił z tymi wszystkimi urządzeniami?! Wywalił gdzieś po drodze?

– Założmy, że pan nie ma nic wspólnego ze śmiercią Moszenickiego. – Modzelewski pokiwał głową i wbił wzrok w Borysa. – Jednak jeśli zabrał pan jakiegokolwiek urządzenie z samochodu, to proponuję dobrowolnie je oddać. Postaramy się tak to załatwić, żeby nie poniósł pan żadnych konsekwencji.

– Niczego nie zabrałem. – Borys pokręcił głową. – Jeśli badaliście samochód, to tam na pewno nie ma żadnych moich

odcisków palców.

– Od tego są rękawiczki, a pan jako prawnik na pewno wiedziałby, jak się w takiej sytuacji zachować.

– Tak jak mówiłem, nawet nie złapałem za klamkę.

– Wie pan, że możemy przeszukać pana mieszkanie? – Na twarzy prokuratora pojawił się cień irytacji. – Pańskie biuro także. Przeszukanie biura w pańskiej firmie na pewno odbije się na pana karierze.

– Wiem, że możecie, i nic na to nie poradzę. Ale to będzie strata czasu. Poza tym gdybym faktycznie zabrał te rzeczy, to raczej w mieszkaniu ani tym bardziej w biurze bym ich nie trzymał – powiedział i uśmiechnął się ironicznie, rzucając prokuratorowi kpiące spojrzenie.

Modzelewski zacisnął zęby, a Borys spuścił wzrok, zatrzymując go na blacie biurka.

Dlaczego Modzelewskiemu tak zależało na tych materiałach? Bardziej niż jemu?

Paweł przesuwał palcem po ekranie tabletu, a na monitorze na ścianie ukazywały się kolejne komentarze pod trwającym wciąż panelem Szczecin & LeftSide.

– *Obstawiam tego redaktora, co u nich rozmowy prowadzi, Filipa N.* – przeczytał ze smętnym uśmiechem.

– *A ja ich naczelnego* – przeczytała Baśka inny komentarz. – *On na bank jest umoczony w wielu sprawach.*

– *Możemy sobie obstawiać, ale to mafijne układy. Piszą o przekrętach w deweloperce i jednocześnie ukrywają takie rzeczy jak ta łódź.*

– *Ja już anulowałam ich subskrypcję. Niech im płaci patodeweloperka. Ja nie będę się dokładać.*

– Subskrypcja jest darmowa – mruknął cicho Piotr, nie odrywając wzroku od monitora.

– Powinniśmy jednak wydać jakieś oświadczenie. – Baśka w końcu skończyła czytać komentarze i spojrzała na Pawła. – I o tym śledztwie, i o Piotrze.

Paweł pokręcił głową.

– Nie możemy temu zaprzeczyć, bo za chwilę pewnie Matecka napisze o Piotrze.

– Milcząc, dajemy sygnał, że to wszystko prawda.

– Bo to, kurwa, jest prawda! I ta pierdolona łódź, i wyczyny Piotra!

– Policja stwierdziła, że Moszenicki został zabity przed ósmą, a Piotr i Borys byli tam o dziesiątej – wtrąciła Paulina. – Pewnie przekażą to za chwilę mediom.

– Ale jak na razie nie przekazali. – Paweł scrollował wciąż komentarze, miotając pod nosem rozmaite przekleństwa.

– Jedyna dobra rzecz to taka, że nam zasięgi wzrosły niebotycznie – odezwała się Baśka, wpatrując się w statystyki na stronie gazety.

– Bo wszyscy rzucili się, żeby nas hejtować. – Paweł trzasnął palcami w tablet, wyłączając relację ze studia Szczecin & LeftSide, i podniósł się. – Musimy mieć jakiś dobry materiał! – Spojrzał na salę. – Żadne oświadczenia, żadne pierdolenie nic nam nie da. Tylko jakaś nowa, wielka gównoburza. Myślcie, kurwa! Bo inaczej nie będziemy mieli na pensje, jak się reklamodawcy wycofają.

To powiedziawszy, wszedł do swojego aneksu i zasunął drzwi.

W sali odezwały się pierwsze głosy, a po chwili redakcję wypełnił harmider komentarzy i rozmów. Piotr, wpatrujący się

z rezygnacją w ekran, przypomniał sobie w tym momencie, że od godziny nie odebrał żadnego SMS-a ani telefonu, i sięgnął po smartfon.

Wiceprezydent Przekot skończył oglądać rozmowę w Szczecin & LeftSide i zacisnął zęby. Lameński, ten skurwysyn, właśnie jeszcze bardziej namieszał. Po jaką cholerę wdawał się w ogóle w spór z tą radną?

Notabene, miała rację niestety, ale przecież wiadomo, że nie był to żaden zryw uczuć demokratycznych i nagła miłość do społeczników. Katarzyna Korytko nie rzuciła się przecież na barykady w obronie gwałconych prawa i sprawiedliwości, tylko w obronie koryta. Ale to niczego nie zmieniało. Rozmowa na pewno odbije się negatywnie na wizerunku i prezydenta, i miasta.

No i te rzeczy w sprawie „Dziennika Szczecińskiego”. Przekot wolał nie wiedzieć, skąd Lameński miał takie informacje. Pewnie i rzeczywiście coś się za tym kryło, ale co innego gadać o tym ze znajomymi, a co innego pierdolnąć przed kamerą jednego z najpopularniejszych obecnie portali.

Przekot był ciekaw, czy o tym posunięciu wiedział prezydent. Czy on także dopuszczał takie chwytły? To już cel uświęcał aż takie środki? Bo przecież Lameński nie zrobił tego przypadkowo. Pewnie było to obliczone na odciążenie mediów od Pokrętnej. Zwłaszcza po artykule Ignaca.

Zasrana cerkiew, rozwalanie po nocy płotu, a teraz coś takiego.

Przez chwilę wpatrywał się w ekran laptopa, a potem sięgnął do klawiatury i otworzył jeden z folderów. Przez tę cholerną rozmowę zapomniał, że właśnie miał zamiar odebrać pocztę.

Przemknął oczami po rozmaitych pismach i ofertach i zatrzymał się na dwóch e-mailach. W pierwszej wiadomości było postanowienie marszałka o wstrzymaniu postępowania w sprawie wycinki drzew na Pokrętnej. Postępowanie zostało zaskarżone przez Stowarzyszenie Green.

Przekot przeczytał pismo. Nieźle. W takiej sytuacji sprawę rozpatruje wyższa instancja, w rzeczywistości trwa to zazwyczaj kilka miesięcy. Ale nawet gdyby się tam kogoś nacisnęło i wydałby decyzję jutro, to wiadomo było, że Ignac od razu zaskarży to do sądu. Wszystko będzie trwało miesiącami, a w tym czasie firma, z którą miasto miało już umowę, nie będzie mogła wbić nawet łopaty w ziemię.

Przekot uśmiechnął się sarkastycznie i spojrział na kolejne pismo. Z nagłówkiem jakiejś kancelarii prawnej.

Otworzył załącznik i przemknął wzrokiem po oficjalnych formułkach.

Dojechał do końca i westchnął. Pomyślał, że jak zwykle kłopoty chodzą parami. W tym akurat przypadku doskonale się uzupełniały.

Pierwszy nieodebrany telefon był od Bartka, kolegi, do którego wybierał się na imprezkę. Piotr podniósł głowę i spojrział na kalendarz. Dochodziła piętnasta, a co ważniejsze – był piątek. Zupełnie o tym zapomniał. Ostatnio dni przeciekały mu dosłownie przez palce. Był poniedziałek i nagle ni z tego, ni z owego robiła się środa.

Bartek przypominał, że zaprasza na dwudziestą i żeby nie przesadzać ze spóźnieniami. Piotrowi od razu poprawił się humor. Przynajmniej się odstresuje. Położył telefon na biurku i odpisał, że będzie w miarę punktualnie.

Drugi nieodebrany telefon był od Borysa. Piotr spojrzął ponownie na zegar na ścianie i się zasepił. Przesłuchanie u Modzela Borys miał na czternastą, a dzwonił o trzynastej. Pewnie chciał pogadać i żeby podnieść go na duchu, a wtedy Piotr akurat był na budowie. Zapisując sobie w pamięci, żeby oddzwonić, otworzył jednocześnie okno Messengera i wpisał, że był zajęty i przeprasza.

Wysyłając ten krótki tekst, zauważył z kolei, że ma jakąś nieodebraną wiadomość na WhatsAppie. Otworzył aplikację i zobaczył, że to grafik, którego kilka dni temu poprosił o poprawienie jakości zdjęcia domniemanej świątyni.

Jak będziesz miał wolną chwilkę, to zajdź do mnie. Wiele się zrobić nie dało, dalej jest rozmazane, ale poprawiłem na tyle, że wyszła ciekawa sprawa. Nic ci nie powiem, musisz sam obejrzeć 😊.

Piotr stwierdził, że nie wytrzyma oczywiście, i od razu zerwał się od swojego biurka i wybiegł z sali. Wpadł do pokoju, w którym siedzieli informatycy, i podszedł do uśmiechającego się tajemniczo kolegi.

– Popatrz. – Informatyk stuknął palcem w ekran, na którym widniało powiększone zdjęcie „świątyni”. – To rękaw!

– Rękaw? – Piotr zmarszczył czoło. – No ale co z tego...

Otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się z niedowierzaniem, a następnie wybiegł z nory informatyków i wpadł do redakcji. Spojrzał trochę nieprzytomnie na Paulinę, która z zafrasowaną miną zbierała powoli rzeczy do torby.

– Wychodzisz już? – zapytał, cały czas mając mętlik w głowie.

– Muszę przemyśleć następny artykuł do tego cholernego cyklu, a mam niewiele materiałów – westchnęła Paulina. –

Słyszałeś, co mówił Paweł? Najlepiej, jakby jeszcze przed Gwiazdką poszło coś mocnego. I to tak z dobry tydzień wcześniej, bo potem wszyscy będą lepić uszka i pierogi.

Piotr pokiwał głową.

Jego telefon znowu cicho zapiszczał, ale Piotr postanowił najpierw podzielić się z Pauliną tym, co właśnie odkrył grafik.

Paulina na moment zamarła i przez chwilę siedzieli wpatrzeni w siebie.

– Cały czas gadaliśmy o komórce Moszenickiego – powiedział w końcu Piotr, odżywając ze stuporu i pochylając się w kierunku Pauliny. – Albo o tablecie czy laptopie, a to chodziło o kamerkę! Facet, który filmował, musiał mieć ją na szelkach na klacie, skoro rękaw wszedł w kadr.

– Klatka z jakiegoś filmu. – Paulina zagryzła wargi. – Czyli jest gdzieś film pokazujący te rzekome przekręty na budowie, które chciał zdradzić Moszenicki.

– Tylko gdzie?

– Policja przeszukiwała już dom Moszenickiego. – Paulina zaczęła nerwowo stukać palcami o blat biurka. – Oni prowadzą sprawę morderstwa. Szukają śladów, motywów i takich tam. Borys im powiedział o wiadomościach na messie i o tym, co dostał przez WeTransfer. Może kamerkę po prostu olali?

Telefon, który dwukrotnie pisnął w czasie ich rozmowy, teraz zniecierpliwiony dał o sobie znać głośnym dzwonkiem.

– Borys – jęknął Piotr i odebrał.

Słuchał przez chwilę, a potem mruknął do słuchawki, że czekają, i odłożył telefon.

– Borys dotrze tu za piętnaście minut – powiedział do Pauliny, która spojrzała na zegarek i pokiwała głową.

Pół godziny później do redakcji wpadł Borys. Miał wypisane na twarzy emocje. Rzucił plecak pod biurko Piotra, przysunął sobie krzesło i z rozmachem na nim usiadł.

– Nie uwierzycie – powiedział, ciężko dysząc. – Przepraszam, spóźniłem się. – Uśmiechnął się do Pauliny. – Wbiegłem po schodach.

– Prokurator coś znowu wymyślił? – Piotr patrzył na zmachanego Borysa z niepokojem.

– Oczywiście – powiedział Borys i uśmiechnął się, wzruszając ramionami. – Ale to nie o to chodzi.

To powiedziawszy, pochylił się, sięgnął do plecaka i wyjął laptop. Przez chwilę stukał palcami po klawiaturze i w końcu odsunął się, wskazując oczami ekran.

– Co to jest? – zapytał Piotr, wychylając się na krzesło, żeby dostrzec ekran laptopa Borysa.

Borys podniósł brwi i uśmiechnął się tajemniczo.

– No zobacz. – Dotknął jednej z ikonek w folderze i na monitorze ukazał się skan z dziennika budowy. – Od początku zakładaliśmy, jak zresztą wszyscy, że to jest trzynasty i szesnasty maja tego roku. Nie wiem zresztą, skąd się to wzięło. A popatrzcie...

To powiedziawszy, otworzył kalendarz.

– Zapis jest trzynastego, a potem szesnastego, a to wygląda, jakby w środku był weekend. – Spojrzał triumfalnie na Paulinę. – W tym roku trzynasty maja wypadał w sobotę. Sprawdziłem to i trzynasty maja wypadał w piątek rok temu, a wcześniej dopiero w dwa tysiące szesnastym.

– Kurczę, rzeczywiście. – Piotr oderwał plecy od krzesła i pochylił się nad swoim laptopem.

– To wszystko jeszcze bardziej komplikuje. – Paulina westchnęła z rezygnacją. – Przecież Moszenicki pracował w urzędzie miasta dopiero od tego roku.

Borys pokiwał głową.

– Czyli to nie może być żadna inwestycja miejska – stwierdził Piotr, wpatrując się w kalendarz.

– Nie wiadomo. – Borys wzruszył ramionami. – Może inwestycja jest starsza, ale dopiero Moszenicki ją wygrzebał. Jest przecież ten tajemniczy telefon z biura prezydenta miasta – przypomniał. – Ktoś, zaraz po tym, jak Moszenicki się ze mną umówił, dzwoni z tego numeru i podaje się za inspektora wydziału egzekucji administracyjnej. Po co?

– A musiał wiedzieć, że Moszenicki nie żyje, bo wcześniej już o tym pisali – dodał Piotr, nie odrywając wzroku od monitora, na którym czytał coś w skupieniu.

– Właśnie. – Borys kiwnął głową.

– Piotr też na coś wpadł w międzyczasie. – Paulina streściła Borysowi ich ustalenia w sprawie kamerki.

– Grafik, nie ja – poprawił Piotr, odrywając wzrok od ekranu. – Rok temu Moszenicki pracował jako inspektor w generalnej dyrekcji dróg. Dark-Bud też pracował dla dróg. To wtedy mogli się poznać z Poznańskim.

– Dzwoniliście do tego Nowackiego? – zapytał Borys.

– Zerwał połączenie, jak tylko powiedziałam, kim jestem – odparła z niesmakiem Paulina. – Próbowałam potem z innej komórki, ale też nie chciał gadać...

Rozmowę przerwał dźwięk telefonu. Paulina spojrzała na wyświetlacz i odebrała.

– Przepraszam – powiedziała cicho do Borysa i Piotra i ruszyła w kierunku redakcyjnej kuchni.

W głosie Iwony Halczyszyn słychać było wyraźnie złość i irytację. Paulina przyzwyczajona już, że policjantka bywa dość często wkurzona, w pierwszej chwili nie odebrała tego jako coś dziwnego, dopiero po chwili wyczuła, że tym razem jest chyba gorzej niż zazwyczaj.

– Jak ktoś się dowie, że do ciebie z tym dzwonię, to nie tylko, że będę miała przejebane, ale postawią mi po prostu zarzuty – wycedziła Halczyszyn po kilku słowach wstępu.

– A kiedy ja coś napisałam albo powiedziałam, gdy zaznaczałaś, że to nie jest do rozpowszechniania?

– Dobra, czekaj. – Głos Halczyszyn na chwilę się zmienił, jakby zasłoniła telefon. Paulina słyszała, jak mówi do kogoś innego, a po chwili znowu odezwała się do niej. – Jest taka rzecz, za cholere nie wiemy, z jakiego powodu i co się za tym kryje, ale prokuratura chce za wszelką cenę udupić tę sprawę.

– Jak to? – Paulina stanęła jak wryta. – Przecież... Nie zależy im na ujawnieniu mordercy?

– Nie mam pojęcia, o co im chodzi – mruknęła Halczyszyn. – Takie odnoszę wrażenie. Zabezpieczyli wszelkie dowody, samochód zabrali na parking i nie mamy do niego dostępu. Po przeszukaniu domu Moszenickiego protokół sprawdzali, kurwa, przez lupę, a potem Modzel sam się tam wybrał. Osobiście.

Paulina słuchała z niedowierzaniem.

– I teraz mam dylemat – kontynuowała Halczyszyn. – Po twojej radzie zabezpieczyłam laptop Poznańskiego. Po prostu pożyczyłam go od jego matki, bez nakazu prokuratorskiego. Boję się, że jak oddam go do policyjnego specja, to też położą na nim łapę. Ale muszę i tak wystąpić o ten kwit...

Paulina przez chwilę milczała, czekając na ciąg dalszy, gdy dotarło do niej, co Halczyszyn chce jej powiedzieć.

– Czy ty proponujesz, żeby zrobił to ktoś od nas? – zapytała po cichu.

– Tylko jeżeli jesteś w stanie załatwić to szybko i dyskretnie. Ledwo mi to przechodzi przez gardło, ale tobie mogę chyba zaufać.

Paulina zaczęła sobie od razu układać w myślach to, co powie informatykowi. Będzie musiała nakłamać. A potem walnęła się w czoło. Od czego ma młodszego brata informatyka?

– Jasne...

– Podrzucę ci dzisiaj do domu, bądź wieczorem. Muszę kończyć...

– Czekaj! – Paulina przypomniała sobie o odkryciu Piotra. – Nasz grafik stwierdził, że to zdjęcie, które Moszenicki przesłał Borysowi, to jest kadr z kamerki. Pewnie jakieś GoPro.

Halczyszyn przez chwilę milczała.

– Kurwa... – zaklęła po chwili.

– Serio? – Paulina po raz drugi w czasie tej rozmowy zaniemówiła. Miała, jak widać, rację. – Znaleźliście tam kamerkę? I co? Nie wierzę...

– Tak, ale nie zabrali jej – westchnęła Halczyszyn. – Renard był skupiony na komputerach, tabletach. Nie wydawała się istotna. Leżała, kurwa, w szufladzie w jego biurku. No to teraz możesz sobie żartować z policji. Pewnie prokuratura ją zabrała.

– Nie zabrała.

Przez moment obie milczały.

– Skąd wiesz? – zapytała w końcu Halczyszyn.

– Borys był godzinę temu przesłuchiwany. Ten cały Modzelewski pytał go ponownie, czy przypadkiem czegoś nie

zabrał z samochodu. Laptopa, telefonu. Nawet zaproponował mu układ, że nie wniosą żadnych oskarżeń, jak to odda.

– Ja pierdolę. – Halczyszyn odetchnęła głęboko. – Dobra, pogadamy wieczorem. Coś wymyślę.

Paulina, skołowana, czując się jak bohaterka taniego serialu political fiction, chwyciła kubek i ruszyła z powrotem w kierunku Borysa i Piotra.

Rozdział 14

Paulina rozejrzała się po niewielkim mieszkaniu. Jej brat żył jak nomada. Wynajmował co chwila inne mieszkanie, w zależności od tego, na co go było aktualnie stać, ale to była oficjalna wersja. Paulina nie wiedziała, ile tak naprawdę brat zarabia, ale każde kolejne mieszkanie było akurat droższe od poprzedniego. Woląca nie wnikać, czym zajmuje się Marcel, chociaż nie mogło to być aż tak sprzeczne z prawem, jak jej przedstawiał. Droczył się zapewne, jak zawsze, odkąd zaczął samodzielnie chodzić.

Mieszkanie, mimo że niewielkie, mieściło się w nowej kamienicy przy placu Dziecka, w całkiem dobrym miejscu dla każdego studenta, singla czy po prostu mieszczaucha z wolnym zawodem. W pokoju dziennym znajdował się także aneks kuchenny i pozostawało niewiele miejsca na sofę i ogromny telewizor. Z mikroskopijnego przedpokoju wchodziło się do łazienki i sypialni, którą Marcel pomalował na czarno i przerobił na swoją pracownię. Królowało tutaj ogromne biurko, wyglądające jak warsztat pracy hakera.

Paulina obawiała się, że tym w istocie było.

Marcel siedział przed ustawionymi jeden przy drugim trzema wielkimi monitorami i stukał w klawiaturę. Przed nim leżał zaś, przywieziony przez Paulinę z ostrożnością godną co najmniej wątroby do przeszczepu, mroczny przedmiot podejrzeń – laptop Miłosa Poznańskiego.

– Ale serio? – Marcel podniósł wzrok i uśmiechnął się do siostry. – To jest laptop tego zamordowanego urzędnika? Bez jaj?

– I tak właśnie słuchasz. – Paulina skrzywiła się i westchnęła z rezygnacją. – Nie urzędnika, tylko jednego takiego, który popełnił samobójstwo.

– To dlaczego policja go zabrała?

– Nie zabrała. – Paulina zastanawiała się, na ile może wtajemniczyć brata w swoje niezbyt zgodne z prawem konszachty z komisarz Halczyszyn. Po krótkim namyśle stwierdziła, że im mniej brat wie, tym lepiej. Te poczynania w najgorszym razie mogły się przecież skończyć postępowaniem prokuratorskim i przesłuchaniami. Na razie wolała o tym nie myśleć.

– Mam nadzieję, że to, co mówiłam o niekłapaniu ozorem kolegom i twoim dziewczynom, zwłaszcza dziewczynom – Paulina rzuciła bratu znaczące spojrzenie – to akurat usłyszałeś?

Marcel się zachnął.

– To, co trzeba, to ja słyszę.

Na jednym z monitorów otworzyło się okienko, a w nim rząd znaków.

– A czy ktoś potem będzie mógł poznać, że ty już w tym grzebałeś? – Paulina spojrzała na brata z nagłym niepokojem.

– Na razie nigdzie jeszcze nie grzebałem. – Marcel zaczął chichotać. – Ja widzę, siostra, po twojej minie, że to jednak jakaś grubsza sprawa. To kradzione jest?

– Marcel...

– No pytam tylko. – Marcel podniósł na moment obie ręce do góry. – Dobra, już dobra. Nie chcę wiedzieć. Nikt się nie

zorientuje, spoko. Co tutaj chcesz znaleźć?

– Nie mam pojęcia – westchnęła Paulina, zatrzymując się obok biurka brata. – Może tu coś być, może nic nie być.

– Ale w sensie, czego szukamy? – poprawił Marcel. – Zawartość nie jest ukryta. Żeby obejść hasło, wystarczy chwila i będziesz miała pełny dostęp. Ale chcesz coś więcej? Wykasowane rzeczy, jakieś pliki, które usuwał?

– No jakbyś mógł... – odpowiedziała niepewnie Paulina.

– No to weź to zostaw. Jak zrobię, to zadzwonię.

– Ale...

– Nikomu przecież tego nie pokażę! – Marcel wskazał laptop i przewrócił oczami z irytacją. – A nie chcę, żebyś mi tu stała nad głową.

Paulina, rada nierada, zamieniła z bratem jeszcze kilka słów na neutralne tematy, ostrzegła go co najmniej cztery razy, że nikt nie może o niczym wiedzieć, po czym w końcu zabrała się i pojechała do redakcji. Była sobota, ale Paulinie zdecydowanie lepiej się pracowało w biurze.

Halczyszyn wpadła do niej wczoraj przed dwudziestą drugą. Laptop przyniosła starannie schowany w torbie z siłowni, owinięty jeszcze dodatkowo ręcznikiem. Oficjalnie wracała właśnie z siłowni i dlatego też nie mogła zostać za długo. Paulina zdążyła jej tylko przekazać, że laptopem zajmie się jej brat i że będzie trzymał buzię na kłódkę. W ostatniej chwili przypomniała sobie o Alienie Cieśli.

– Jesteś pewna, że pracował z Poznańskim? – zapytała Halczyszyn, przyglądając się zdjęciu mężczyzny, które Paulina od razu wysłała na jej komórkę.

– Sam tak powiedział. – Paulina pokręciła głową z wahaniem. – Jego zdaniem to oni z Nowackim zabili

Moszenickiego, bo mógł ich szantażować.

– Ty naprawdę wierzysz, że oni odkryli jakiś skarb? – zapytała zdumiona Halczyszyn. – Takie rzeczy się zdarzają? Nowacki wprawdzie dopiero co kupił czarne terenowe bmw, ale w pandemii jego firma miała niezłe obroty.

Paulina uśmiechnęła się z przekąsem.

– Zdarzają, ale w to tutaj jakoś nie wierzę. Mam wrażenie, że facet wyleciał z roboty i teraz usiłuje to sobie odbić.

– Dobra. – Halczyszyn pokiwała głową. – Spróbujemy z nim pogadać.

– A co z tą kamerką? – Paulina zatrzymała ją ponownie w drzwiach. – Macie jeszcze klucze do jego domu? Jeśli Modzelewski jej nie znalazł, to nie możesz tam po prostu wpaść pod byle pretekstem?

– Nie mamy kluczy. – Halczyszyn pokręciła głową. – Wszystko przejęła prokuratura. Mogłabym spróbować je wydobyć, ale marnie to widzę. Modzel w najlepszym razie pośle tam kogoś ze mną i położą na tym łapę.

Paulina zrobiła sobie gorącej herbaty i usiadła przed swoim monitorem. Laptop, w którym grzebał właśnie jej młodszy brat, skutecznie odciągał jej uwagę od pracy. Raz, że co chwila zerkala na telefon w oczekiwaniu, że Marcel zadzwoni i przekaze jej jakieś rewelacje, a dwa, podświadomie, jak kwoka, zaczęła się o niego bać.

A jeśli ktoś ją śledził? Jeśli na tym laptopie rzeczywiście jest coś, co jest tak ważne, że z tego powodu można było zabić?

Może naraża brata na niebezpieczeństwo?

Rozejrzała się po redakcji. Mimo wczesnych godzin na niektórych biurkach paliły się światła. Za oknem panowała

ciemna szarość. Grawitowe wręcz niebo wyraźnie groziło, że za chwilę będzie padał śnieg albo znowu zerwie się wiatr. Na tym tle z głośników sączyła się pełna dzwonków i anielskich głosów muzyka. Paulina po raz pierwszy w tym roku pomyślała o świętach. Przecież to już za trzy tygodnie. Najwyższy czas zadbać o prezenty, za chwilę znowu przekroczy ten moment, po którym żaden dostawca nie zdąży niczego dowieźć przed Wigilią. Westchnęła, myśląc o domu na Pogodnie. W salonie za chwilę znowu stanie przy oknie wielka, widoczna z ulicy choinka. Dawno nie było śniegu na Gwiazdkę, a w tym roku zanosilo się, że być może będzie. Mimo że generalnie nie lubiła świąt, to jak co roku, podstępnie, ten nastrój, te dzwonki i ci wciśnięci w obcisłe czerwone kubraki Świętego Mikołaja absolwenci „Top Model”, którzy uśmiechali się głupawo z reklam, sprawiali, że zaczynała ulegać nastrojowi albo łapała się na tym, że nuci pod nosem *Jingle Bells*.

W radiu urwał się gwałtownie gwiazdkowy przebój, rozległo się czyjeś gadanie i Paulina ocknęła się ze świątecznego stuporu.

Spojrzała na ekran. Wypunktowane tematy, o których można było coś napisać. Zbyt wiele tego nie było. Łatwo powiedzieć, że potrzebny jest dobry materiał. W teorii to oczywiste, w praktyce już tak dobrze nie wyglądało. No bo skąd się biorą na portalach odgrzewane teksty sprzed dwóch, trzech lat albo tłumaczenia tłumaczeń artykułów z Wysp Owczych? O kotku, który wpadł do studni. Do tego stockowe zdjęcia choćby kota z Radomia i jakoś to idzie. Bywa, że taki artykuł ma tak dużo komentarzy, głównie negatywnych wprawdzie, ale zasięgi są wielkie, a udostępnień tyle, że to się i tak opłaca.

Ale teraz weź i wymyśl coś na temat fejkowych katastrof. W dodatku po dwóch artykułach, które miały bardzo średni

odbiór.

Paulina, czując, że zamiast skupić się na pisaniu, znowu pogrąża się w kolejnej fali rozmyślań, wstała i ruszyła do kuchni zrobić sobie kawy. Pomyślała, że dzisiaj na nic już chyba nie wpadnie i najwyższa pora zbierać się do domu. Czekać na wiadomość od Marcela równie dobrze może i tam.

Piotr od dwóch godzin bez mała bił się z myślami. Po raz nie wiadomo który spojrzął na zegar na ekranie laptopa. Dochodziło południe.

Pomyślał, że jeśli nie zdecyduje się w ciągu najbliższej godziny, to będzie za późno. Borys coś sobie zaplanuje, z kimś się umówi i będzie po ptakach. W ogóle to idiotyzm, że dopiero teraz o tym pomyślał, ale to wszystko przez Bartka. Gdyby nie napisał wczoraj i nie przypomniał o imprezie, to pewnie nie byłoby teraz tego problemu. A Bartek oczywiście zapytał, czy Piotr przychodzi sam, czy kogoś przyprowadzi.

Powinny być jakieś prawa chroniące singli. Tyle gadania o stereotypach, normach kulturowo-społecznych, akceptacji, patologicznych wzorcach, feminitywach, a tu proszę. Każdy może sobie bezkarnie walnąć: to jak, przyprowadzisz kogoś wreszcie czy będziesz sam?

Piotr oczywiście zdawał sobie sprawę, że problem jest w nim, a nie w pytaniu kolegi. Gdyby nie żarty Pauliny na temat Borysa, gdyby nie to, że sam zaczął o tym myśleć, to całe głędzenie o zapraszaniu na piwo... A czemu właściwie to on ma jego zaprosić? Może to Borys powinien, a skoro nie chce, to widać nie ma ochoty. Więc po co to wszystko?

Zirytowany, sięgnął po telefon i z desperackim zapamiętaniem wybrał numer.

Zły duch siedzący mu na ramieniu zaczął od razu powtarzać, żeby po trzecim sygnale natychmiast dać sobie spokój. A potem nie odbierać...

– No siema. – Borys odebrał po pierwszym sygnale, czym Piotra, który obliczył sobie, że w czasie tych trzech sygnałów jeszcze wszystko przemyśli, oczywiście zupełnie zaskoczył.

– Eeee... siema.

– Co tam? Coś się stało?

– Nie, nic, tylko... – Piotr zacisnął szczęki. – Słuchaj...

– Coś kręcisz – zaczął się śmiać Borys.

– Idę dziś na imprezkę! Do znajomych – wypalił Piotr. – Idziesz ze mną?

W słuchawce na moment zapanowała cisza. Piotr zaczął od razu planować wycofanie się z tego, co powiedział, na zasadzie „A wiesz co? A właściwie to mi się nie chce iść za bardzo, tak że...”.

To wszystko, co w tym momencie powstało Piotrowi w głowie, trwało oczywiście sekundę, tymczasem Borys odezwał się prawie natychmiast.

– Spoko...

Telefon Nowackiego zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie oczywiście. W czasie kłótni z żoną. Kolejnej kłótni w tym tygodniu.

Melodia z jakiegoś sensacyjnego filmu, nie pamiętał nawet jakiego, wdarła się siłą pomiędzy głośnie wyrzuty Marzeny, że nigdy go ostatnio nie ma w domu, że ciągle jest wkurzony, że święta...

Nabierał właśnie powietrza w płuca, żeby wytknąć jej ciągle utyskiwanie, grymaszenie, bóle głowy, których dostawała

regularnie wieczorem, z wyjątkiem, kurwa, soboty, ale telefon oboje wybił z rytmu.

Nowacki wyjął komórkę z kieszeni, spojrzął na wyświetlacz, a zaraz potem na Marzenę, mruknął „przepraszam” i ruszył w kierunku drzwi.

– Znowu tajemniczy telefon! – krzyknęła za nim żona. – Z jakiego niby powodu nie mogę słyszeć, co masz tam komuś do powiedzenia?

Nowacki trzasnął drzwiami i znalazł się na klatce schodowej. Zszedł na półpiętro, stanął przy oknie i dopiero wtedy odebrał.

– Cześć, Paweł – odezwał się w słuchawce głos znajomego inspektora nadzoru. – Przepraszam, że tak późno i w sobotę, ale mamy mały problem.

Nowacki od razu poczuł niepokój.

Jeżeli problem zgłaszał mu inspektor z Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego, to nie mogło to być nic dobrego.

– O co chodzi? – spytał ostrożnie.

– Nie wiem dokładnie – westchnął Marcin Rychlewski. – Jeden z podwykonawców poprosił w ostatniej chwili, wczoraj po południu, żeby wezwać cię na poniedziałkową naradę. Nord/Barentz powiedziało, że to za późno i nie zamierzają cię wkurwiać...

– No i mieli rację – warknął Nowacki.

– Ale jako że się znamy, to pomyślałem, że może jednak lepiej, żebyś był, skoro mają ci obrabiać dupę?

Nowacki zastanawiał się, który z podwykonawców mógł chcieć jego obecności. Pewnie jakiś cieć, o coś go tam teraz ciągną, więc postanowił zrzucić winę na innych. Typowe...

– Dobra – westchnął ciężko. – Trudno, będę.

Piętro wyżej rozległ się nagle hałas, a po chwili głośny stukot kroków.

– Dobra, muszę kończyć! – rzucił.

– W urzędzie – zdążył jeszcze powiedzieć Rychlewski. – O dwunastej.

Nowacki zanotował godzinę w pamięci, pożegnał się i wbiegł na schody.

Renard spojrział na zegarek i sięgnął po smartfon. Oglądanie filmów na małym ekraniku było całkiem zjebane, ale co innego można było robić, tkwiąc w samochodzie przez dwie godziny? Obiecał Iwonie, że ktoś zajmie się tym jej śliskim pomysłem, ale po namyśle stwierdził, że najlepiej będzie jednak, jak podejmie się tego sam. Było wprawdzie ze dwóch chłopaków, którym mógł zaufać, ale nie miał jednak pewności, jak by się zachowali, gdyby coś poszło nie tak. Poza tym zaszkoziłyby także im.

Całe wczorajsze popołudnie spędził zatem, jeżdżąc w te i we wte za prokuratorem Modzelewskim. Na wszelki wypadek tylko zamienił się samochodami z ojcem, który grymasił wprawdzie, że w bmw syna będzie wyglądał jak jakiś emerytowany dresiarz i że to wstyd, ale oczywiście się zgodził. Zatem Renard jeździł wczoraj i dzisiaj cały dzień po mieście starą, ale zadbaną skodą fabią, czerwoną w dodatku, i śledził prokuratora. Niestety, nie dało się tego inaczej określić. Śledzili prokuratora, który prowadził tę sprawę. Kurwa!

Westchnął i przesunął akcję filmu o kilka minut do przodu. Nic się nie działo.

Tak jak i u Modzela zresztą. Wczoraj wrócił grzecznie do domu, małego szeregowca na Bezzreczu, po drodze zrobił jeszcze zakupy w Lidlu, zajechał na pocztę i od dwudziestej nie

wychodził praktycznie z domu. Jeśli nie liczyć wyniesienia śmieci. Z kundlem, nie odrywając praktycznie ani na sekundę wzroku od ekranu komórki, wyszedł jego nastoletni syn.

Renard, obserwując chłopaka, pomyślał, że jeśli komórki nadal się utrzymają i nie zostaną zastąpione przez jakieś wszywane pod skórę diody czy inne gówno, to natura będzie musiała wykształcić w dupach tych gówniarzy jakąś echolokację. Jak u nietoperzy. Inaczej całe pokolenie wyginie.

Na podjeździe przed domem Modzelewskiego rozlała się nagle niewielka plama światła i stopniowo zaczęła się powiększać.

Renard wyłączył film i zjechał tyłkiem na siedzeniu nieco niżej. W szeregowcu otworzyły się automatyczne drzwi garażowe i po chwili wyjechała przez nie toyota prokuratora. Samochód zatrzymał się na chodniku, poczekał, aż drzwi i brama się zamkną, i powoli ruszył. Po chwili zakręcił na główną drogę w kierunku miasta.

Renard odczekał kilka sekund i ruszył za nim.

Toyota przejechała Modrą do ronda, skręciła w Szeroką, przebiła się przez stare Krzekowo i Taczaka i dojechała do skrzyżowania z Derdowskiego.

Renard spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej. Dochodziła dwudziesta druga. Był piątek. Modzelewski mógł jechać na bibkę, ale sam? Może grał w pokera z kolegami? Tylko że on nie miał kolegów.

Zapaliło się zielone światło i grafitowa toyota ruszyła. Przetoczyła się przez szerokie skrzyżowanie, wjechała w 26 Kwietnia i niespodziewanie zwolniła.

Renard przepuścił kilka samochodów i wlokąc się prawym pasem, minął skrzyżowanie. Toyota tymczasem zjechała na

parking przed leżącym na skrzyżowaniu wielkim barakiem, w którym obecnie mieściła się Stokrotka. Przejechała przez prawie pusty parking i zatrzymała się przy stojącym tam terenowym volvo.

Renard zaklął. Bardziej zwolnić już nie mógł, a na cholernym parkingu nie było innych aut. Od razu by zwrócił ich uwagę. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wyciągnął telefon i prawie wjeżdżając na chodnik, zrobił zdjęcie. Klnąc, pojechał dalej, przyśpieszył, skręcił w Zielonogórską, objechał kwartał, przedarł się pomiędzy gęsto zaparkowanymi samochodami przy bocznej uliczce i wyjechał Wąską na tyłach Stokrotki. Zatrzymał się na chodniku i spojrzał w bok. Toyota Modzelewskiego i volvo nadal stały. Na wszelki wypadek zrobił jeszcze jedno zdjęcie, gdy z volvo wysiadł nagle prokurator Modzelewski we własnej osobie i wsiadł do toyoty.

Renard przez moment się wahał, co robić. Sprawdził, czy na fotce widać tablice volvo, po czym ruszył wolno za Modzelewskim. Po kilkuset metrach zorientował się niestety, że Modzel wraca po prostu do domu. Odprowadził go aż do zjazdu na Bezzecze, po czym zawrócił.

Na światłach połączył się z operatorem i poprosił o sprawdzenie rejestracji volvo.

Gdy dojeżdżał do centrum – volvo w międzyczasie oczywiście odjechało – dostał wiadomość, do kogo należała terenówka.

Gdy Piotr dotarł na Gumieńce, Borys już był na miejscu. Z rękami w kieszeniach chodził po chodniku wzdłuż budynku.

– Spóźniłeś się – stwierdził i uśmiechnął się na widok czapki z ogromnym pomponem, którą Piotr miał na głowie.

– Nieprawda, to ty jesteś za wcześnie. – Piotr uchylił się przed Borysem, który wyciągnął rękę, żeby złapać za pompon. –

No i co robisz? Idziemy na imprezę, a nie do przedszkola.

– Zacząłem mieć wątpliwości, jak zobaczyłem cię w tej czapce.

Gdy dotarli w końcu na wielkie dwupoziomowe poddasze, gdzie mieszkali dwaj koledzy Piotra, na miejscu było już kilkanaście osób. Z głośników dobiegała muzyka, ale impreza nie wydostała się jeszcze poza kuchnię i wielką wyspę, wokół której i ustawionych na niej smakołyków skupił się tłumek gości.

– To jest ten słynny Borys? – spytał cicho Piotra Bartek, jeden z dwóch gospodarzy, odbierając od niego butelkę z winem i lustrując dyskretnie wyplątującego się z szalika Borysa. – Po co żeś to przyniósł? – Potrząsnął butelką. – Mówiłem, że nie trzeba – syknął.

– Tylko żadnych durnych żartów – szepnął Piotr. – To kolega.

– Nie biorę odpowiedzialności za Pitera...

Jakby dla zilustrowania problemu od strony aneksu dobiegło wołanie drugiego z gospodarzy:

– Przyprowadziłeś w końcu tego Borysa! Dawaj go tutaj, musimy go obejrzeć!

– No właśnie. – Bartek przewrócił oczami i uśmiechnął się pojednawczo do Borysa. – Nie przejmuj się. Czego się napijesz?

Pół godziny później, po kilku drinkach lub w przypadku Borysa po drugiej butelce piwa, atmosfera nieco się rozluźniła. Kilka osób utonęło w kącie na sofie i pograżyło się w rozmowie na temat przygotowywanej właśnie nowej sztuki w Teatrze Współczesnym, a druga grupa nadal okupowała wyspę.

– Chryste – odezwała się półgłosem Aga, koleżanka z pracy Piotrka, dla odróżnienia nazywanego teraz Piterem. – Więc to,

co napisał SzczecinNaPrawo, to była prawda? Byliście na miejscu zbrodni? – dodała ze zgrozą.

– A to, że Borys miał romans z tym gościem, to też prawda? – spytał scenicznym szeptem Piter.

– Jaki romans? – parsknął śmiechem Borys. – Żadnego romansu... A skąd ty to w ogóle wzięłaś? – Spojrzał ze zdumieniem na gospodarza.

– No takie plotki słyszałem.

– Naprawdę takie plotki gdzieś się rozniosły?

– No, to małe miasto jest. – Piter wzruszył lekceważąco ramionami. – Ludzie gadają.

– Prokuratura to wymyśliła, uwierzycie?

– Jeśli o mnie chodzi, to wierzę – bąknął Bartek.

– Prokurator zarzucił nam, że pojechaliśmy tam na randkę. – Piotr wypił ostatni łyk swojego drinka i chciał odstawić szklanekę, ale Bartek od razu mu ją zabrał i zanurkował do lodówki.

– A on chyba w ogóle gdzieś tutaj mieszka. – Aga podniosła brwi. – *Creepy* trochę.

– Wiesz, gdzie on mieszka? – Bartek podał szklanekę Piotrowi i spojrzał na Borysa.

– Nie rób mi takich mocnych tych drinków – jęknął Piotr. – Bo przed północą będę całkiem nawalony.

– A co to sylwester? Nikt ci nie zabrania nawalić się przed północą.

– Nie wiem. – Borys pokręcił głową. – W końcu nam nie napisał.

– Ja wiem, gdzie on mieszka – odezwał się nagle Piter, który wyjmował właśnie z piekarnika gorące i pachnące świeże

drożdżowe bułeczki.

Na moment zapanowało milczenie, słycać było tylko dobiegającą z głośników muzykę.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – spytał Bartek, patrząc na partnera podejrzliwie. – On był gejem?

– A co to za pytanie? – Piter postukał się palcem wolnej ręki w czoło. – Wiem, gdzie mieszka, bo był gejem, tak?

– To on jednak był gejem czy nie był? – Aga spojrzała na Borysa.

Grupa z kąta z sofą, słysząc temat rozmowy, powoli nadpłynęła nad wyspę i ustawiła się dookoła.

– Nie był żadnym gejem. – Piter postawił tacę na stole i uśmiechnął się sarkastycznie. – Był żonaty, rozwiedziony konkretnie. Żona z dzieciakiem mieszka w Poznaniu. Dom został przy nim, bo mieli intercyzę.

– Skąd ty, do diabła, to wszystko wiesz? – Bartek patrzył ze zgrozą na swojego chłopaka.

– No jak skąd? – Piter pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. – Z Żabki.

Bartek na chwilę umilkł, usiłując przyswoić sobie to, co właśnie usłyszał.

– Z Żabki? – zapytała za niego Aga.

– No z Żabki, z Żabki. – Piter pokiwał głową, wykładając na talerz bułeczki. – W Żabce ludzie o wszystkim gadają. Wystarczy słycać.

Przy drzwiach rozległ się dzwonek i Bartek ruszył w kierunku holu.

– Czyli gdzie on w końcu mieszka? – zapytał Borys, spoglądając na wycierającego ręce Pitera.

– Na Spiskiej, niedaleko skrzyżowania z Sandomierską.

– Jak to w ogóle możliwe, że w dzielnicy domków, wcale nie na obrzeżach, tylko przy jednej z głównych ulic, ktoś kogoś zabija, ładuje do samochodu i wywozi do lasu? – odezwała się brunetka w długiej kolorowej sukni.

– Gosia się martwi, bo sama mieszka na obrzeżu Mierzyna – zażartował jeden z chłopaków. – Więc jak tutaj ktoś sobie poradził, to ją wyniosą razem z psem i budą.

Kilka osób się roześmiało.

– Mój pies nie ma budy – odpowiedziała brunetka.

– Ale przecież musiał jakoś wyciągnąć trupa z domu i wsadzić go do samochodu – przyszła w sukurs koleżance Aga. – O której on zginął? – Spojrzała na Borysa. – O dziewiątej byliście umówieni, tak napisał SzczecinNaPrawo, to przecież jeszcze wczesna godzina. Nikt nic nie widział?

Piotr, któremu już zaczynało się trochę kręcić w głowie, pomyślał, że dziewczyna ma rację. W tym kontekście o tym nigdy nie myślał.

– Wywłókł go przez hol, tam jest taki spory hol z kamienną posadzką, więc łatwo było później sprzątnąć. A potem prosto do garażu, bo hol się łączy z garażem przez pomieszczenie gospodarcze, gdzie stoją szczotki i odkurzacz. Wsadził do samochodu i wyjechał. Kto mógł podejrzewać, że to nie sam Moszenicki gdzieś wyjeżdża?

Piter sięgnął po oliwkę, a w pokoju zapadła cisza.

Bartek, który akurat przyprowadził troje kolejnych gości, zatrzymał się na środku pokoju i wbił wzrok w Pitera.

– Żartujesz, nie? – spytał, patrząc z niedowierzaniem na partnera.

– A niby dlaczego? – Piter wypił łyk piwa z butelki i niewinnie wzruszył ramionami. – Wywlekanie trupa z gabinetu to według ciebie temat do żartów?

Piotr, który wpatrywał się z fascynacją w obu kolegów, mając wrażenie, że znalazł się właśnie na planie lokalnej wersji *Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie*, wypił z rozpędu resztę swojego drinka.

– Z gabinetu?! – Bartek bez słowa podszedł do Piotra, wyrwał mu szklanę i ruszył do kuchni. – Z jakiego, kurwa, gabinetu? – rozległo się jego pytanie zza srebrnych drzwi lodówki.

– Piter, skąd ty znasz rozkład domu Moszenickiego? – zapytał ostrożnie Borys.

– A co to za przesłuchanie? – zirytował się Piter. – Mnie przynieś piwo – krzyknął do Bartka.

– Ty już chyba za dużo wypiełeś – mruknęła Aga.

Piter uniósł jedną brew i spojrzał na dziewczynę, tak jakby mówił „serio?”.

– A kto do nas przychodzi sprzątać? – zapytał, patrząc na Bartka.

Bartek zatrzaskał drzwi od lodówki i podał mu piwo.

– A co Nadieżda ma z tym wspólnego?

– Jakbyś z nią kiedyś pogadał, tobyś wiedział. Sprzątała u Moszenickiego! – Piter rozejrzał się z triumfem po wpatrujących się w niego ze zgrozą przyjaciół. – Dwa razy na tydzień. I akurat dzień po jego śmierci tam była. Nawet nie wiedziała jeszcze, że coś się stało.

Piotr bezwiednie sięgnął po wytrawną bułeczkę z papryką i parmezanem i nie odrywając wzroku od kolegi, wbił w nią zęby.

– I nic nie zauważyła? – zapytał Borys z niedowierzaniem. – Żadnych śladów tam nie było?

– Nie mówiła, więc pewnie niczego dziwnego nie zauważyła. Plama krwi to pewnie by się rzuciła w oczy.

– Ale plama krwi to plama krwi, ale jakieś ślady, odciski? – Bartek pokręcił głową. – Wszystko posprzątała?

– Ja pierdolę – zaczął się śmiać jeden z chłopaków. – Posprzątała i umyła podłogi?

– Dlatego bała się potem policji, że ją o coś oskarżą. – Piter sięgnął po nadziewaną pieczarkę i wsadził ją do ust. – O jakieś zacieranie śladów.

– I ty dopiero teraz o tym wszystkim mówisz? – Bartek pokręcił głową z dezaprobatą wymieszaną z niedowierzaniem. – Może trzeba było iść na policję?

– Po co? – Piter postukał się palcem w czoło. – Żeby powiedzieć jakiemuś znudzonemu dyżurnemu, że nasza Nadia zmyła ślady morderstwa domostosem?

– Profilaktycznie by go zamknęli – odezwał się Borys. – Na trzy miesiące.

– Żeby nie zrobił sobie albo komuś krzywdy – zawtórował mu ten sam chłopak, który wspomniał o myciu podłóg. Obaj z Borysem parsknęli śmiechem.

– A w ogóle w ten dzień, jak ten facet zginął, to ty nie łąziłeś gdzie przypadkiem? – Bartek nagle uniósł brwi i spojrzał na swojego chłopaka podejrzliwie.

– Z psem byłem, młotku. Tak jak każdego wieczoru.

– Ale pamiętam, coś mówiłeś, że ktoś cię zaczepił czy coś...

– No tak właśnie pamiętasz – westchnął Piter. – O mało nie potracił mnie samochód, na Spiskiej właśnie. A jakiś arogancki

dupek zaczął na mnie wrzeszczeć! Gdzie ja się wpierdalam!? – Piter wydał wargi, przedrzeźniając swojego prześladowcę. – W czarnym terenowym bmw, król świata.

– Te wasze Gumieńce to prawdziwa dzielnica zbrodni – parsknął śmiechem siedzący obok Borysa żartowniś.

– I kto to mówi? – Piotr uśmiechnął się złośliwie. – Ty chyba mieszkasz na Pogodnie? Zaraz niedaleko Korytkowej.

– A ja widziałem też Korytko – odezwał się nagle Piter, otwierając szeroko oczy, niby ze zgrozy. – Przeszedłem się Sandomierską, zrobiłem kółko i poszedłem na drugą stronę Ku Słońcu.

– Kiedy? – zapytał Bartek.

– No w tę środę, gdy zabili Moszenickiego. Ona tam biega, po tych krzakach i wokół jeziora. Ale kondycję to ma kiepską. –

Pokręcił głową. – Była czerwona i zziajana. A w ogóle to też czasem biega tam z tym swoim mężem. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Tym, wiecie, co to za sprawą pisowskiej wróżki ze straganiarza przeistoczył się w dyrektora Generalnego Zarządu Dróg.

– Ta sama wróżka zamieniła ich dynię, starego fiata, w nowe volvo – roześmiał się jakiś żartowniś.

Piotr obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Słuchając wstrząsających zeznań Pitera, dyskretnie obserwował także świetnie bawiących się w swoim towarzystwie Borysa i tego palanta Adriana. Co za dupek. Kto to widział, żeby uczciwy, przyzwoity gej grał w nogę? W dodatku w Pogoni.

A jeśli chodzi o Pitera – pomyślał, kończąc kolejną szklanekę dżinu z lodem i żurawiną i przenosząc wzrok na kolegę – Halczyszyn to chyba od niego powinna zacząć swoje śledztwo.

– À propos Korytko – odezwała się Gosia. – Wiecie, że Skowron będzie chyba kandydował na prezydenta?

– Dlaczego à propos Korytko? – Bartek wyrwał pustą szklankę Piotrowi i ruszył z nią w kierunku lodówki.

– No bo to też radny. Ale ja chyba wolę tego naszego posła Pietruchę...

Rozmowa chybotliwie, z racji wypitego alkoholu, przetoczyła się w koleiny wyborcze, a Piotr kątem oka zauważył, że Adrian i Borys nadal gadali o czymś z przejęciem.

– Radny Skowron zamknie każdego, kto nie segreguje śmieci – perorowała Gosia.

– I słusznie! – krzyknął Piter, przebijając się przez głośne śmiechy.

– Możecie pogłościć? Może w końcu potańczymy? – Piotr zdecydował się przejąć inicjatywę i dźwignął się z fotela.

Po chwili rozległy się głośne tony jakiegoś modnego kawałka, a Piotr złapał za rękę opierającą się Agę i wyciągnął ją na środek pokoju...

Borys dobrnął do domu jakoś koło godziny trzeciej. Potknął się na korytarzu i o mały włos, a wpadłby do pokoju jak długi. Narobił przy okazji tyle hałasu, że aż obudził kota, co – biorąc pod uwagę stoicki spokój zwierzęcia – wydawało się raczej niemożliwe.

Potyając się o buty, rozebrał się z całego zimowego, mrozoodpornego rynsztunku i w końcu, w samych bokserkach i koszulce, usiadł przed swoim laptopem. Niby była trzecia, ale nigdy nie potrafił sobie tego odmówić. W końcu od dziewiętnastej, jak zaczął się szykować na imprezę, nie zaglądał do netu. To naprawdę sporo, a przecież tyle się mogło tam w międzyczasie wydarzyć.

Chichocząc, bo z tajemniczych powodów wydało mu się to bardzo śmieszne, przejrzał Facebooka, ale nawet tam już wszyscy spali, więc otworzył jakiś film. Po czym zaraz zamknął, stwierdziwszy, że trwa dwie i pół godziny. Na chwilę zajrzał na YouTube, po czym ziewnął i pomyślał, że jednak najwyższa pora spać. I pewnie by się tak stało, gdyby nie zahaczył wzrokiem o katalog „Uchwały wspólnot mieszkaniowych”.

Ziewając, kliknął w podkatalog ze skanami Moszenickiego i otworzył fotkę tej porytej świątyni. Co mogło być na tym filmie? Miał nadzieję, że ci znajomi Piotra nie narobią im jakichś kłopotów. Po co on im o tym powiedział? No skuł się, dobra, ale mógł się powstrzymać...

Borys uśmiechnął się na wspomnienie wygłupiającego się Piotra. I to jego zaproszenie na piwo zaraz potem. Cała ta sytuacja wydawała mu się nadal śmieszna...

Zamknął fotkę i spojrzał jeszcze raz na obie ikonki. Skoro fotka okazała się kadrem z kamerki, to może ten skan dziennika jest także czymś innym?

Otworzył fotografię i pochylił się nad ekranem, uderzając głową o obudowę laptopa. Zaklął i spojrzał ponownie na zdjęcie. Lakoniczna wzmianka o rozpoczęciu robót przy szalowaniu ściany szczytowej, a trochę niżej, pod podpisami, dopisek.

Borys sięgnął po długopis i przeniósł cały zapis w dzienniku na kartkę. Informacje o robotach były raczej tym, czym były, a dopisek?

Nagle Borys zamarł, przez chwilę wpatrywał się w ekran. Gwałtowny skok adrenaliny spowodował, że prawie wytrzeźwiał.

Box.h.vasa.

Dopisek nie był zrobiony na budowie. Teraz dopiero pomyślał, że Moszenicki mógł go nanieść później, już na wydruku, i tak zeskanował. Trzęsącymi się rękami otworzył przeglądarkę i wpisał nazwę chmury...

Bart Womay, oczywiście! Zaczął ponownie klikać głośno w klawiaturę. I vasa. Czemu akurat vasa? Co ma dietetyczny chleb wspólnego z tą budową czy świątynią?

Po chwili otworzył katalog i wbił wzrok w ekran. Był tutaj tylko jeden plik, z rozszerzeniem aac. Sięgnął po słuchawki i zaczął słuchać.

Rozdział 15

Paulina skończyła kolejną rozmowę i ze zniechęceniem rzuciła telefon na biurko. Znalezienie kogoś, kto chciałby udzielić informacji w sprawie Hanza Tower, przekraczało, jak widać, jej możliwości. Strona dewelopera podawała kontakt w sprawie sprzedaży i najmu powierzchni komercyjnych i mieszkań, ale nikt tam nie miał zielonego pojęcia, czego Paulina od nich oczekuje. Po długich indagacjach dostała w końcu jakiś numer, pod którym przemiła kobieta powiedziała jej, że nawet gdyby posiadała informacje na temat problemów technicznych w trakcie budowy, to nie jest upoważniona do ujawniania ich komukolwiek. Odesłała Paulinę do firmy projektowej, w której Paulina usłyszała mniej więcej to samo.

Po dwóch godzinach poszukiwań jakiegokolwiek kontaktu Paulina dysponowała zatem jedynie plotkami na temat wychyleń budynku podczas silnych wiatrów i kilkoma szczegółami, które zdradził jej jakiś podwykonawca, a które nie miały zbyt wiele wspólnego z tematem.

Zniechęcona spojrzała na ekran laptopa, na którym widać było efektowne zdjęcie przykładowego apartamentu na jednym z najwyższych pięter budynku. Po namyśle sięgnęła ponownie po telefon i zadzwoniła do koleżanki architektki wewnątrz, która kiedyś chwaliła się, że robi projekt wystroju mieszkania w Hanzie. Paulina liczyła, że może od użytkowników dowie się czegoś ciekawego. Niestety, okazało się, że mieszkanie owszem istnieje, nawet projekt został już zrealizowany, tyle że mieściło

się na szóstym piętrze, a więc o odczuwaniu czegokolwiek związanego z drganiami budynku pod wpływem wiatru nie mogło być mowy.

Wyglądało na to, że artykuł dementujący katastroficzne pogłoski w sprawie wieżowca trafił na niemożliwe do pokonania rafy.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta, a Marcel jeszcze się nie odezwał. Indagowała go przez całą sobotę i niedzielę, aż wkurzony wyłączył telefon. Albo ją zablokował.

To drań! Miała nadzieję, że odezwie się w ciągu najbliższych godzin, obiecała przecież dzisiaj oddać laptop Iwonie Halczyszyn. W najgorszym razie będzie musiała jechać na plac Dziecka i wyrwać bratu upiorny laptop siłą.

Rozmyślenia Pauliny przerwał Piotr, który wrócił właśnie do redakcji ze sklepiku na parterze. Opadł na swoje krzesło i popatrzył na Paulinę krytycznie.

– Nie udało się?

Paulina pokręciła głową. Nie zanosiłoby się na to, żeby plotki na temat Hanzy stały się tą wymarzoną przez Pawła gównoburzą, która odciągnęłaby hejterów od „Dziennika Szczecińskiego”.

– Jak w ogóle impreza? – Paulina postanowiła w końcu zapytać. Korciło ją to od rana, ale Piotr sam nie przejawiał chęci rozmowy, a że zazwyczaj gadał o takich sprawach jak najęty, więc podejrzewała, że nie wszystko poszło po jego myśli.

– Jak to impreza. – Piotr wzruszył ramionami. – Skułem się i wróciłem do domu koło trzeciej.

– A Borys?

– A Borys pewnie wrócił do domu z kimś innym.

Paulina uniosła brwi. Zamierzała coś powiedzieć, ale akurat zadzwonił jej telefon.

– Marcel – rzuciła do Piotra, spojrzawszy na wyświetlacz.

Dwadzieścia minut później oboje, bo Piotr stwierdził, że nie ma za dużo roboty w redakcji, znaleźli się w mieszkaniu brata Pauliny przy placu Dziecka.

Szary laptop stał, jak gdyby nigdy nic, na ławie.

– I co? – Paulina spojrzała zaaferowana na Marcela, który uśmiechał się jak zwykle, czyli według niej głupkowato.

– I nic. Wszystko działa.

– Ty miałeś dane z niego wydobyć, a nie go naprawiać!

Marcel usiadł na kanapie i otworzył pokrywę urządzenia.

– Nic tu nie było ukryte. – Pokręcił głową. – Jak obszedłem hasło, to okazało się, że wszystko jest dostępne. Żaden folder nie był zahasłowany dodatkowo.

Paulina usiadła obok niego i zajrzała mu przez ramię.

– Przejrzałeś go? – zapytała.

– Oczywiście, ale nie wiem, czego się spodziewałaś. Facet miał tam same zwyczajne rzeczy. Katalog z robotą, jakieś umowy, opisy techniczne, projekty. Był chyba budowlańcem, nie?

Paulina skinęła głową.

– No właśnie. Mnóstwo rysunków i obliczeń. Gdzie indziej trochę fotek z prywatnych wypadów. Jeździł na nartach. I to wszystko.

Paulina słuchała, jak jej brat mówi o fragmentach życia człowieka, który właśnie popełnił samobójstwo, i wzdrygnęła się. I to wszystko. Dawniej po ludziach zostawały albumy ze zdjęciami, listy, ulubione książki, a dzisiaj kilka katalogów w laptopie.

– I trochę porno oczywiście. – Marcel skutecznie wybił ją z melancholijnych rozmyślań.

– A z rzeczy usuniętych? – zapytał Piotr. – Nie usunął nic ważnego?

Marcel pokiwał potakująco głową.

– Kilka świeżo wywalonych rzeczy. – Sięgnął ponownie po laptop i otworzył jeden z folderów. – Ale to też rzeczy związane z pracą. Jakieś obliczenia budowlane. Tego samego dnia wyczyścił też historię wyszukiwania i opróżnił kosz.

Marcel spojrzał na siostrę i wzruszył ramionami.

– I to wszystko.

Na moment zapadła cisza. Paulina wpatrywała się w laptop z rozczarowaniem. I to wszystko? I nagle coś ją zastanowiło.

– Kiedy? – zapytała i spojrzała na brata.

– Co kiedy?

– Kiedy to usunął i opróżnił kosz?

Marcel pochylił się nad ekranem laptopa.

– Dwudziestego czwartego listopada – powiedział.

– Piątek. – Piotr podniósł wzrok znad komórki i spojrzał na Paulinę. – Tego dnia Poznański popełnił samobójstwo.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Można ustalić, o której godzinie? – Paulina spojrzała w końcu na brata.

Marcel jęknął.

– Dokładnie o dwudziestej pierwszej czternaście. Sekundy też ci podać?

Halczyszyn wpatrywała się w ogrodzenie placu budowy. Stalowa siatka na słupkach, do której przymocowano plandeki

z nazwami firm budowlanych. Kilkanaście metrów od miejsca, w którym stał ich samochód, była brama wjazdowa na teren robót. Nieco dalej wznosiła się ceglana, nakryta spiczastym hełmem wieża dawnego kościoła Świętej Gertrudy[6].

– Jesteś pewien, że on tutaj pracuje? – spytała Renarda.

Policjant skinął głową.

– Kończą zazwyczaj przed szesnastą.

Halczyszyn spojrzała na zegarek. Pomyślała, że przy założeniu, że przed szesnastą oznaczało na przykład za pięć szesnasta, to mieli jeszcze jakieś dziesięć minut.

– Może po prostu się przyjaźnią? – odezwała się po chwili. Gdy Renard zadzwonił do niej w niedzielę i zdał relację ze swoich pozaregulaminowych poczynań, była zaskoczona. Po co prokurator miałby spotykać się po kryjomu z dyrektorem Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad?

– Faceci, którzy się przyjaźnią, chodzą na piwo, a nie spotykają się nocą na parkingu Biedry – odpowiedział Renard z powątpiewaniem, jakby czytając jej w myślach.

Halczyszyn potakująco pokiwała głową.

– No to bardziej wyglądało na potajemną randkę.

– Weź przestań! Modzelewski i potajemna randka. Nawet pomijając płęć.

– Pasuje do stereotypu. Wiesz, coś takiego jak prawicowy radykał uciekający po rynnę z gejowskiej imprezy sadomaso. W skórzanych gaciach.

Renard parsknął śmiechem.

– Wolę sobie tego nie wyobrażać. Prędzej łączy ich polityka – mruknął, poważniejąc. – Za pół roku wybory samorządowe. Pewnie jakaś ustawka.

– To on? – Halczyszyn pochyliła się nagle w kierunku przedniej szyby.

W bramie prowadzącej na teren budowy pokazała się nagle grupka mężczyzn. Jeden z trzaskiem zamykał skrzydło bramy, wołając coś do kolegów. Po chwili rozległy się śmiechy. Mężczyźni żartowali jeszcze przez chwilę, po czym kilku ruszyło w kierunku parkingu, a pozostali skierowali się na przystanek autobusowy. W tej drugiej grupie był mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem i narzuconej na nią czarnej parce.

Renard włączył silnik i samochód potoczył się wąską jezdnią, po czym zatrzymał przy idących mężczyznach.

– Pan Alan Cieśla? – spytała Halczyszyn, otwierając okienko.

Mężczyzna spojrział bykiem na samochód, potem na policjantkę i spoglądającego z wnętrza Renarda i nagle rzucił się do ucieczki.

– No kurwa, serio? – Halczyszyn wyskoczyła z samochodu, trzasnęła drzwiami i rzuciła się w pościg za uciekającym.

Mężczyzna przebiegł wzdłuż ogrodzenia budowy, skręcił na opustoszały bulwar Gdański i pomknął w kierunku filarów wznoszącej się nad nim Trasy Zamkowej. Halczyszyn potknęła się o wystającą z pokierszowanego chodnika płytę i o mały włos, a poleciałaby jak długa na zwały leżącego wzdłuż chodnika brudnego śniegu. Zeskoczyła na jezdnię i o wiele równiejszym asfaltem, środkiem opustoszałej drogi, pognęła za mężczyzną.

Alan Cieśla wpadł pod filary trasy, skręcił gwałtownie w lewo i pobiegł wzdłuż ogrodzenia, za którym wznosiła się ogromna, prostopadłościenna bryła dawnego bunkra przeciwlotniczego. Halczyszyn skręciła za nim i zobaczyła, jak mężczyzna mija ogrodzenie, biegnie wzdłuż upstrzonej graffiti betonowej ściany

i wypadła na zastawiony samochodami plac przy ulicy Energetyków.

Z ulicy nagle zjechał na parking ford Renarda i z piskiem opon zatrzymał się na środku drogi. Uciekający mężczyzna skręcił, wpadł pomiędzy stojące samochody i chciał przedrzeć się w kierunku ulicy, ale Renard wyskoczył na drogę i dopadł go między dwoma zaparkowanymi autami.

Zdyszana Halczyszyn zatrzymała się nad pochylonym nad maską czerwonej skody mężczyzną i zakładającym mu kajdanki Renardem.

– I po co żeś, kurwa, uciekał? – warknęła. – Naoglądałeś się *Ojca Mateusza*?

Renard wpakował Cieślę do samochodu i po chwili ford ruszył i zjechał na główną ulicę.

Jakieś piętnaście minut później cała trójka siedziała na komendzie przy Kaszubskiej.

Alien Cieśla wpatrywał się w blat biurka, a Renard i Halczyszyn z rosnącą irytacją wpatrywali się z kolei w niego.

– Bez adwokata nic wam nie powiem – wypalił w końcu koleś, a Halczyszyn nie udało się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

– Jakiego adwokata? – westchnął Renard. – Co ty pierdolisz, chłopie. Przecież ty nie jesteś nawet podejrzanym. W żadnej sprawie.

– To po co mnie goniliście?

– Bo uciekałeś.

Halczyszyn obrzuciła mężczyznę taksującym spojrzeniem. Szczupły, ostrzyżony tuż przy skórze, a spod podciągniętych

rękawów swetra wyłaniały się tatuaże, którymi miał pokryte całe przedramiona.

– Alien? – Postanowiła ocieplić nieco atmosferę. – Skąd to przezwisko?

Mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał przychylniej na policjantkę.

– Od Alana – mruknął. – Jeszcze w szkole mnie tak nazywali. Z tego filmu, nie?

– No tak. – Halczyszyn skinęła głową i spojrzała na mężczyznę przyjaźnie.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa – rzuciła wyjaśniająco.

– Tego urzędasza? – Alien podniósł wzrok.

– No widzisz, jaki jesteś domyślny – zakpił Renard. – Powiesz nam, co wiesz na ten temat?

– A co ja mam mówić? – Cieśla wzruszył ramionami. – Nic nie wiem na ten temat.

– Przekazałeś pewne informacje „Dziennikowi Szczecińskiemu”. – Halczyszyn sięgnęła po notatnik. – Powiedziałeś, że ci z Dark-Budu sprzątnęli Moszenickiego, bo pewnie coś wiedział i ich szantażował. – Spojrzała na mężczyznę. – Skąd to wzięłeś?

– Znikąd nie wzięłem. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To czemu tak powiedziałeś?

– Czytaliście ten artykuł? Ta laska tam napisała, co mówiłem.

– Dawaj. – Halczyszyn skinęła głową. – Powiedz jeszcze raz. Nie czytuję gazet.

Alien westchnął i po chwili zaczął mówić.

– W tamten piątek musieliśmy zostać dłużej, bo wszystkim tam się śpieszyło. No i tak pod wieczór już Sasza, taki Ukrainiec, koparą odsłonił jakieś dziwne rzeczy. Z drewna.

– Czemu dziwne?

– Nowacki kazał mi kopać dalej i tam była taka drewniana ściana, z jakimiś otworami.

– Nowacki to szef Dark-Budu? – upewniła się Halczyszyn.

– Tak. – Alien skinął głową. – No i potem nie przyjrzałem się, bo mnie wywalili stamtąd. A w poniedziałek w tunelu na dole zauważyłem takie ślady, jakby ciągnęli jakiś wielki ciężar. A co dziwniejsze, jak przyszliśmy do roboty, to cała ta ściana była już zasłonięta izolacją i zbrojeniem. Ja to szczególnie zauważyłem, bo ja jestem zbrojarz i to ja to powinienem robić, a tu ktoś im to, kurwa, zrobił w niedzielę. Ale zjebane było w paru miejscach, tak na szybko, widziałem, to robili. Nawet im mówiłem, ale powiedzieli, że jest okej i żeby się nie martwić.

– I to wszystko? – Halczyszyn patrzyła z powątpiewaniem na mężczyznę.

– No a co więcej? – Alien wzruszył ramionami.

– I to jest ta dziwna, odkopana rzecz? – Halczyszyn wyjęła wydruk zdjęcia rzekomej świątyni, którą od kilku tygodni żyły portale internetowe, i przesunęła po stole do Aliena.

– Taa. – Pokiwał głową. – A powinniście sprawdzić jeszcze, jak to jest, że ten dupek dla nas to się spóźnia z płatnościami, a dopiero co kupił sobie nowe bmw i starym dom postawił.

Halczyszyn uniosła lekko brwi.

– A dlaczego powiedziałaś – znowu zajrzała do notatek, które zrobiła po rozmowie z Pauliną – że Bartłomiej Moszenicki

był zamieszany w sprawę tej... – Halczyszyn się zawahała – kradzieży?

– Moszenicki miał z nimi jakieś konszachty. Ja jestem pewien, że oni mu odpalili jakąś część z tego znaleźnego i ukryli to przed nadzorem. A on w poniedziałek już strasznie naciskał, żeby zakończyć to szalowanie i jak najszybciej skończyć klatkę. Ci z Nord/Barentz chcieli tam coś sprawdzać, ale on kazał kończyć i już. Był inspektorem nadzoru zarządu dróg...

– Czego? – Renard drgnął i spojrzał porozumiewawczo na Halczyszyn.

– Zarząd dróg pełnił nadzór nad tą budową i on tam był od nich właśnie.

– A co to była w ogóle za budowa? – Halczyszyn spojrzała na Aliena.

– No tunel.

– Jaki tunel?

– Tunel pod Świną.

Paulina otworzyła kolejny folder w laptopie Miłosa Poznańskiego i zaczęła scrolować jego zawartość. Znakomitą większość stanowiły obliczenia, wykazy materiałów budowlanych oraz rysunki budowlane. Był to już kolejny folder w katalogu o nazwie „budowy”, który przeglądali. Cztery pierwsze dotyczyły robót sprzed około kilku lat, uznali zatem, że nie mogły być związane ze śmiercią Moszenickiego.

Problem z datami polegał na tym, że trzeba było sprawdzać rysunki, żeby dojść do tego, z jakiego okresu pochodzi dana sprawa. Daty widniejące przy plikach mogły być mylące. Poznański mógł przecież do nich sięgać, a system zapisywał datę każdej modyfikacji pliku.

– Zobacz tutaj. – Piotr wskazał palcem jeden z podkatalogów o malowniczej nazwie „Wykopy”.

Paulina otworzyła katalog, a na ekranie ukazał się rząd fotografii. Każda dotyczyła jednak prac ziemnych prowadzonych najwyraźniej przy jakimś kościele.

– Nie mogli odkryć świątyni przy starym kościele? – spytał Piotr, wpatrując się w kolejne zdjęcie.

– Nie zgadza się. – Paulina pokręciła głową. – Wcześniej był rysunek o nazwie „palowanie fundamentów” i była na nim data dwa tysiące dziewiętnaście. Pamiętasz, że według odkrycia Borysa zdjęcie świątyni pochodzi z maja ubiegłego roku.

Paulina zamknęła katalog i otworzyła następny. Kilka znowu dotyczyło spraw starszych, a dwa kolejne były ledwie sprzed trzech miesięcy.

Następny katalog nazywał się „Tunel”.

– Tunel? – Piotr podniósł brwi. – Może to jednak chodzi o zamek? Pamiętasz te legendy o tajemniczych przejściach? A w miejscu zamku stała przecież kiedyś świątynia.

Paulina otworzyła katalog. Wewnątrz było kilka podkatalogów, z których największy był bogatym zbiorem zdjęć z ogromnej budowy.

– To nie Szczecin – powiedziała, przypatrując się fotografiom gigantycznej konstrukcji w formie koła.

– A co to jest?

– Tunel w Świnoujściu. – Paulina wskazała palcem zdjęcie. – Nie kojarzysz? To jest przecież to ogromne chińskie wiertło.

Piotr wbił wzrok w zdjęcie, na którym kolosalne stalowe koło, wyglądające jak monstrualna machina oblężnicza z *Władcy Pierścieni*, wisiało na setkach lin, otoczone przez równie wielkie dźwigi.

– Czyli Dark-Bud coś tam robił dla nich? – Piotr pochylił się nad ekranem, wpatrując się w szczegół kolejnego zdjęcia. – Boże, jakie to jest ogromne.

– Data się zgadza. – Paulina otworzyła kolejny folder i zaczęła się przypatrywać rysunkom technicznym konstrukcji nazwanej klatką E1. W pierwszej chwili nazwy „klatka” nie łączyła nawet ze schodami. Rysunki przedstawiały bowiem dziwne przekroje, które w pierwszej chwili uznała za elementy jakiegoś urządzenia. Dopiero na następnych rysunkach ukazały się zbrojenia schodów, a nawet rysunki wykonawcze poręczy.

– Czekał. – Piotr nagle złapał Paulinę za rękę, gdy chciała zamknąć katalog. – Tam był folder z obliczeniami. To nie jest to, co zostało usunięte w dzień śmierci Poznańskiego?

Dłoń Pauliny znieruchomiała na touchpadzie.

– „Obliczenia kontrolne” – przeczytała nazwę katalogu. – Ostatnio był otwierany dwudziestego czwartego listopada.

– Tego samego dnia, kiedy Poznański popełnił samobójstwo – dodał Piotr.

– Po co to usunął? – Paulina otworzyła jeden z plików. – Usunął i popełnił samobójstwo?

– Chyba że to nie on – mruknął Piotr i spojrzał zaaferowanym wzrokiem na Paulinę. – Przecież znalazł go Nowacki. Może on to usunął?

– Po co usuwałby te pliki? – Paulina skierowała to pytanie bardziej do siebie niż do Piotra.

– I opróżniał kosz – dodał Piotr. – Rozumiesz coś z tego? – zapytał, wpatrując się w rzędy dziwnych obliczeń i kolorowe schematy.

Paulina wzruszyła ramionami.

– Pojęcia nie mam, co to jest. – Pokręciła głową. – Tyle tylko rozumiem, że sprawdzał chyba jakąś szczelność. Coś tu jest o przeciekach.

Oboje, skupieni nad zawartością laptopa, aż podskoczyli, gdy nagle zadzwonił smartfon.

– Borys – jęknął Piotr, patrząc na wyświetlacz. – Ja nie wiem, czy chcę z nim gadać. – Podniósł wzrok na Paulinę.

– Każdy się kiedyś wygłupił na imprezie po alkoholu – powiedziała zdecydowanie Paulina. – Niektórzy niejedną raz. Odbierz!

– Ale on będzie pewnie gadał, żebyśmy o tym zapomnieli, no nie...

– Zawsze możesz powiedzieć, że nic nie pamiętasz. – Paulina odwróciła się, żeby ukryć uśmiech.

Piotr westchnął ciężko i odebrał. Rozbawiona Paulina dyskretnie go obserwowała.

Piotr rzucił „cześć” i od razu chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zamknął usta i przez dłuższą chwilę słuchał z coraz dziwniejszym wyrazem twarzy.

– Borys zaraz wpadnie – wydukał, gdy Paulina pytająco uniosła brwi.

Nowacki siedział przy stole w gabinecie wiceprezydenta i słuchał przeciągających się technicznych wyjaśnień przedstawicieli Nord/Barentz oraz inspektorów głównego wykonawcy, którzy za pomocą wielu, wyświetlanych na wielkim ekranie, fotografii i rysunków technicznych usiłowali wytłumaczyć zjawisko przesączania się wody u wylotów tunelu.

Rysy, które akurat pojawiły się na powierzchni asfaltu na obu przyczółkach, były dla Nowackiego istnym darem od losu. Cała

uwaga wiceprezydentki i jej wszystkich inspektorów z nadzoru budowlanego, wydziału gospodarczego i biura zamówień publicznych, którzy pofatygowali się na zebranie, była obecnie skupiona na owych sznytach, które kilka dni temu pojawiły się na jezdniach.

– Panie inżynierze – wiceprezydentka zdecydowała się w końcu przerwać niekończące się techniczne wyjaśnienia – ja już to słyszałam wiele razy, także od naszych inspektorów. –

Skinęła głową w kierunku dwóch mężczyzn z nadzoru budowlanego. – Najważniejszym pytaniem teraz jest: co mamy robić? Nie możemy dłużej zwlekać i będziemy musieli powiedzieć coś mediom. Widział pan, co się dzieje w internecie? Dziesiątki, co ja mówię, setki komentarzy pod informacjami na temat tych uszkodzeń. Muszę po prostu wiedzieć, czym nam to grozi, zanim coś powiem, do diabła!

– Pani prezydent – westchnął przedstawiciel głównej firmy pełniącej nadzór nad inwestycją – nie jesteśmy w stanie przewidzieć drobiazgowo wszystkich następstw związanych z uszkodzeniami nawierzchni czy infrastruktury. Wszystko to było wliczone w ryzyko inwestycji i dlatego też mamy długie okresy gwarancji...

– Kiedy będzie można przystąpić do naprawy uszkodzeń?

– Najpierw będą potrzebne kontrolne wykopy, i to co najmniej kilkumetrowe, żeby zlokalizować miejsce awarii. Dopiero wtedy będzie można przystąpić do wykonania napraw.

– Konkretnie jakich?

– Prawdopodobnie iniekcji żywicami do uszczelniania betonu. Możliwe, że będzie trzeba przeprowadzić mrożenie gruntu. Ale metodę musi wybrać wykonawca zjazdów i projektant.

Wiceprezydentka westchnęła i spojrzała na inspektorów z nadzoru budowlanego.

– Co wykazały badania nawierzchni w części centralnej?

– Że jest szczelna – odpowiedział szybko brodaty szef firmy, odpowiedzialnej za nawierzchnie drogowe, uprzedzając, otwierającego już usta, inspektora Marcina Rychlewskiego. –

Wykonaliśmy badanie obu pasów, na długości trzydziestu metrów i nigdzie nie ma nieszczelności membran. Woda na pewno nie przedostaje się na dolny poziom z pasów ruchu. Zresztą ja od początku twierdziłem, że to nonsens. Samochody nie wnoszą aż tyle wody. Poza tym od wjazdów do miejsca, w którym stoi woda, jest prawie kilometr. To od początku była błędna diagnoza.

– Panowie także wykonywali uszczelnienia wjazdów, prawda? – Wiceprezydentka spojrzała na ekran swojego laptopa. – Jeżeli tam pojawiły się uszkodzenia izolacji, co nadzór obecnie uważa za prawie całkowicie pewne, to może jednak w części centralnej także są? Jaka jest dokładność tych badań?

– Wystarczająca, żeby stwierdzić z całą pewnością, że w części środkowej nie ma nieszczelności! – odpowiedział uparcie mężczyzna. – A co do wjazdów...

– A nie można wykonać tych badań także tam?

– Niestety – wtrącił inspektor Nord/Barentz. – Tam stoi woda. Te badania nie będą miarodajne.

– Poza tym sam fakt, że stoi woda, oznacza, że skądś się przesącza – dodał Marcin Rychlewski. – Zatem nieszczelność przy wjazdach jest oczywista i badania nie są potrzebne, żeby to stwierdzić.

– Czyli jednak wjazdy zostały źle wykonane. – Inspektorka z wydziału gospodarczego pokiwała głową.

Na moment w sali zapadła cisza, a zaraz potem wybuchł gwar, w którym skutecznie wybijał się głos brodatego podwykonawcy.

– Przypominam państwu o pewnym fakcie! – ryknął. – Gdy dwa lata temu prowadziliśmy pierwsze rozmowy, to pan! – Skierował palec w kierunku inspektora głównego wykonawcy robót, duńsko-niemiecko-polskiej firmy VoorGemak. – Tak, pan! Pan powiedział i zostało to na szczęście zaprotokołowane, że wybór metody wierconej jest według pana błędny!

Mężczyzna, na którego wskazano palcem, poczerwieniał.

– Powiedziałem, ale pan to wyjmuje z kontekstu! – warknął.

Momentalnie w sali wybuchł harmider.

– Metoda wiercona oznaczała zrealizowanie sztywnej rury! – grzmiał podwykonawca pomimo krzyków ze wszystkich stron. – A wstępne analizy, wykonane na potrzeby inwestycji, pomijały geologię i bardzo słabo opisywały nośne grunty pod dnem Świny! Wszyscy od początku wiedzieli, że rura będzie pracować i zrywać oparcie na przyczółkach przy wjazdach! I właśnie teraz to się dzieje!

– Proszę pana! – krzyknęła wiceprezydentka. – Proszę...

– Nie! Szanowni państwo! Nasza izolacja przy wjazdach jest wykonana prawidłowo, tylko została uszkodzona przez poruszającą się sztywną rurę tunelu! Dokładnie to samo działo się w Gdańsku, pod Martwą Wisłą! Tam też było gadanie, że to nieszczelna izolacja, a żadne uszczelnienia nic nie dały, bo to było naprawianie skutków, a nie przyczyny!

– Bardzo proszę o spokój! – huknął inspektor Nord/Barentz.

– Te krzyki nic nam nie dadzą, a trzeba opracować plan

działania.

– Kiedy możecie wykonać badania kontrolne przy wjazdach?!

– Zirytowana wiceprezydentka spojrzała twardo na głównego wykonawcę.

– Te badania powinien zrobić podwykonawca!

– O ile udowodnicie nam, że to izolacja została uszkodzona!

– krzyknął brodac.

– Jest woda? Jest!

– A, właśnie! Byłbym zapomniał! – Podwykonawca skierował wzrok na Nowackiego.

Nowacki, który zaczął się właśnie zastanawiać, po co w ogóle został tutaj zaproszony, od razu poczuł niepokój.

– Jak już mówimy o wodzie, to niestety w trakcie badań nawierzchni stwierdziliśmy, że występują przesączenia w ścianie szczytowej zachodniej klatki ewakuacyjnej. Nie twierdzę, że woda akurat stamtąd się bierze, ale na pewno w ścianie są nieszczelności.

Gwałtowna zmiana kierunku ataków na froncie negocjacji zaskoczyła praktycznie wszystkich. Nowacki, na którym spoczął wzrok każdej obecnej w sali osoby, poczuł, jak od razu podskoczyło mu ciśnienie.

– W jaki sposób to stwierdziliście? – zapytał w końcu ostrożnie.

– Georadarem. – Podwykonawca wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem, nie daje to stuprocentowej gwarancji w tym akurat przypadku, ale, niestety, ściana w kilku punktach jest wilgotna.

– Czy może mieć to związek z rysami na drodze przy wjazdach? – zapytała jedna z inspektorek z wydziału

gospodarczego, spoglądając jednocześnie na prezydentkę wzrokiem pilnej uczennicy.

Inspektor Nord/Barentz uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Absolutnie nie – powiedział stanowczo. – Niemniej, jeżeli sączenia się potwierdzą, to będą niezbędne roboty gwarancyjne.
– Przesunął wzrok na Nowackiego, który ostrożnie pokiwał głową.

– Jeżeli się potwierdzą, to będziemy o tym rozmawiać. Ale czy aby przypadkiem nie jest odwrotnie? To znaczy, praca tej sztywnej rury, jak pan nazwał tunel – spojrzął na podwykonawcę – nie spowodowała nieszczęśliwości także i przy naszych kłatkach?

W sali ponownie wybuchł gwar.

Nowacki, któremu udało się w ten sposób odwrócić od siebie uwagę, zacisnął pięści pod stołem. Teraz wszystko spadnie jemu na głowę! A przecież to cholerny Poznański był inżynierem i kierownikiem budowy...

Borys wpadł do redakcji „Dziennika Szczecińskiego” jak burza. Przemknął przez salę i zatrzymał się przy biurkach Pauliny i Piotra. Kilka osób w redakcji oderwało głowy od ekranów i odprowadziło go zaciekawionym spojrzeniem.

– Dzwoniłem do ciebie całą niedzielę. – Borys zwrócił się z wyrzutem do Piotra.

– Spałem do czternastej przecież – odpowiedział zaskoczony atakiem Piotr.

– Dzwoniłem do wieczora!

– To nie wiem, może położyłem gdzieś telefon i nie słyszałem? – Piotr rzucił Paulinie porozumiewawcze spojrzenie.

– Nieważne. – Borys machnął ręką, obszedł biurko Pauliny i stanął obok. – Mogłabyś otworzyć ten skan, który dostałem od Moszenickiego? Ten fragment dziennika budowy?

Paulina, zaskoczona jak Piotr, ale i zaintrygowana, sięgnęła do klawiatury i po chwili na ekranie ukazał się skan dokumentu.

Borys podszedł do sąsiedniego biurka, zabrał stamtąd krzesło, przytaszczył je i usiadł obok Pauliny.

– Popatrz. – Wskazał palcem na ekran. – Chodź tutaj! – rzucił do Piotra, który przypatrywał mu się nieco skołowany. – Ten napisik. – Postukał w ekran, gdy Piotr już stanął za plecami obojga. – Myślałem, że to jest zapis w dzienniku, ale wygląda na to, że Moszenicki naniósł to potem, a dopiero wtedy zeskanował. Nie wiem, po co to zrobił. Może chciał mi to powiedzieć dopiero na spotkaniu, ale zobaczcie, co odkryłem. Co to jest box? – Spojrzał na Paulinę, a potem na Piotra.

– Pudełko? – Piotr wzruszył ramionami.

– Ja myślałam, że to jakiś budowlany skrót w dzienniku. – Paulina przekrzywiła głowę, wpatrując się w napis. – Jak pudło rezonansowe albo wanna żelbetowa. To co to jest?

– Box! – powiedział Borys. – Chmura!

– Co? – spytał Piotr.

– Chmura! *Cloud!* Do gromadzenia danych!

Przez chwilę wszyscy troje milczeli.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że h.vasa to hasło? – zapytała w końcu Paulina.

– Tak właśnie! – Borys pokiwał głową, po czym sięgnął po jej laptop i przez chwilę stukał w klawiaturę. Na ekranie ukazała się strona najpopularniejszego portalu społecznościowego w poznanej części wszechświata.

– A tu jest adres. – Wskazał palcem dane użytkownika.

– Bart Womay – przeczytała Paulina.

Borys otworzył stronę platformy internetowej, a na ekranie ukazała się powitalna grafika i hasło *Simplify how you work*.

Wpisał e-mail i hasło. Vasa.

Chwilę później na ekranie ukazała się zawartość katalogu. Jedna malutka ikonka.

– Aac? – Piotr oparł się o krzesło Pauliny. – To plik dźwiękowy?

– Musiał to nagrać komórką. – Borys spojrzał nie niego zaaferowany. – Kiedyś były takie aplikacje do nagrywania rozmów, potem je usunęli. Chyba stwierdzili, że są niezgodne z prawem, i Google nie chciało mieć problemów. Szkoda, bo sam tego używałem. – Borys uśmiechnął się do Pauliny.

Paulina kliknęła na ikonkę i po chwili rozległ się dźwięk. Najpierw jakiś stuk, czyjś przyśpieszony oddech i wreszcie zimny, napięty głos, któremu odpowiadał drugi – wzburzony i najwyraźniej przepełniony strachem.

– *...weź się w garść!*

– *Ale to przestępstwo...*

– *To się nie może wydać! Zrozumiałeś?*

– *A jeżeli ktoś go potem znajdzie? Jeżeli podczas jakichś robót odkryją ten wrak? Wiesz, czym to grozi?*

– *Jemu już nic nie pomoże, głąbie, a stracimy wszyscy. Polecę z tej roboty i ty też!*

– *To jest za wielkie, kurwa! Wszystko się od razu wyda!*

– *Wymyśl coś! Zakryjcie to, nie wiem, cokolwiek, ale nikt się nie może dowiedzieć!*

– Pamiętaj, nie wywiniesz się z tego! Będziesz tak samo odpowiedzialny!

– Nie strasz mnie, szmaciarzu! Chcesz iść siedzieć?!

– To nie moja wina!

– Zrozum, głąbie, taka sprawa będzie się ciągnęła miesiącami! Rozumiesz, co to znaczy? Media zrobią z tego takie kurewstwo, że przepierdolimy! Wykończą nas, a ty pójdziesz siedzieć! Gwarantuję ci, że nie wyjdiesz z pierdła!

W tle rozległy się nagle hałasy i czyjś podniesiony głos. Przez chwilę słychać było szumy, znowu czyjś przyśpieszony oddech i wreszcie nastąpiła cisza.

Taka sama cisza zapadła nad laptopem Pauliny, na którego ekranie mrugał jeszcze panel odtwarzacza multimedialnych.

– Wrak?! – odezwał się w końcu oszołomiony Piotr. – Jaki wrak?

– Mnie bardziej interesuje, z kim Moszenicki rozmawiał – powiedział Borys, patrząc to na Paulinę, to na Piotra. – Nie rozumiecie? To może być morderca! Słyszeliście? Moszenicki mu groził, że się nie wywinie...

Paulina pokręciła głową.

– Powoli. Ale przecież nie mamy pewności, czy to w ogóle Moszenicki rozmawiał. Poznałeś jego głos? – Spojrzała na Borysa.

– Ja z nim nigdy nie rozmawiałem. Założyłem, że skoro to od niego plik... Kurde... Rzeczywiście, możesz mieć rację.

Zmarszczył czoło i podrapał się po brodzie.

– To mogą być przecież dwie inne osoby. – Paulina sięgnęła do touchpada i po chwili znowu rozległy się głosy z nagrania.

– Alien twierdził, że to Nowacki z Poznańskim sprzątnęli Moszenickiego – odezwał się Piotr. – Może to któryś z nich?

Paulina bez przekonania skinęła głową.

– W każdym razie jedno, co jest pewne, to budowa – powiedziała cicho. – Tunel pod Świną. To, że tam znaleźli jakiś wrak, to nawet prawdopodobne.

– A skarb? – odezwał się nagle Piotr.

Na moment ponownie zapadła cisza.

– Alien opowiadał o jakimś skarbie – przypomniał Piotr. – Znaleźli wrak, w nim coś cennego. Napatoczył się Moszenicki...

– Postanowili się podzielić łupem – podjął Borys. – Może Moszenicki miał wątpliwości, ale Nowacki go przekonał, zabrali skarb i zamaskowali ten wrak.

Piotr pokiwał głową.

– Wychodziłoby na to, że ten pierwszy to Nowacki. Moszenicki do niego dzwonił z wątpliwościami. Może wtedy był jeszcze czas, żeby to ujawnić? Ale Nowacki przekonuje go, że wszyscy na tym stracą, straszy go...

– Za coś takiego można pójść siedzieć? – Paulina spojrzała powątpiewająco na Borysa.

Borys przytaknął.

– Za nieujawnienie znaleziska teoretycznie grozi pozbawienie wolności do lat dwóch, ale tutaj jest jeszcze kilka innych aspektów. Niedotrzymanie obowiązków inspektora nadzoru, poza tym bezpieczeństwo w miejscu pracy, cholera wie, co jeszcze. Może narażenie na utratę zdrowia lub życia?

– A jeśli Moszenicki zaczął potem szantażować Nowackiego? – Piotr podjął swoje śledztwo. – Chciał więcej z tego skarbu. Nowacki, zdesperowany, pojechał do niego... – Nagle przerwał

i otworzył szeroko oczy. – Pamiętasz, co mówił Piter? – Spojrzał na Borysa. – Jakim samochodem jeździ Nowacki? Nie czarnym terenowym bmw? – Spojrzał z kolei na Paulinę, która pokiwała głową. – No to w ten sam wieczór był na Spiskiej! I miał motyw!

Borys spojrział na niego z przejęciem.

– Więc mamy mordercę?

Halczyszyn wpadła do Pauliny późnym wieczorem. Zaparkowała dwie ulice dalej i kawałek przeszła piechotą. Paulina wpuściła ją do środka, odruchowo rozglądając się po zacisznej uliczce.

– To niby ma być kamuflaż? – zażartowała na widok nietypowego dla Halczyszyn ubioru.

Policjantka miała na sobie elegancki zimowy płaszcz i kozaki zamiast codziennej zielonej parki z kapturem i martensów.

– Tobie, jak widzę, nadal wydaje się, że to wszystko jest zabawne. – Halczyszyn weszła za Pauliną do gabinetu. – A ta sprawa robi się coraz bardziej śmierząca. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby Modzel mnie śledził. Zwłaszcza że ja...

– Że co ty? – Paulina zatrzymała się i spojrzała na policjantkę z zainteresowaniem.

– Nieważne. – Halczyszyn rozejrzała się z ciekawością po gabinecie.

Paulina otworzyła szufladę w biurku, wyjęła z niej laptop Poznańskiego i położyła go na blacie.

– Poza rzeczami budowlanymi nic tam nie było, jak się okazało. – Skrzywiła się z niechęcią. – Poza jednym. –

Podniosła brwi i spojrzała na policjantkę. – Jeden katalog został usunięty dokładnie w dzień śmierci Poznańskiego.

– Dało się stwierdzić o której? – od razu zapytała Halczyszyn, jakby czytając Paulinie w myślach.

– O dwudziestej pierwszej czternaście.

– Kurwa! – Halczyszyn usiadła na stojącej pod ścianą skórzanej sofie. – Musiał to zrobić Nowacki. Pogotowie wezwał o dwudziestej pierwszej sześć. Co było w tym katalogu?

– W tym rzecz, że nic ważnego. – Paulina wzruszyła ramionami. – Jakieś obliczenia konstrukcyjne szczelności przegród i takie tam.

– Nic nie zwróciło twojej uwagi? – Halczyszyn spojrzała na Paulinę.

– Nie w laptopie. – Paulina uśmiechnęła się sarkastycznie, a następnie usiadła przy biurku i włączyła swój komputer. Przez chwilę stukiała w klawiaturę, a po chwili w głośnikach rozległ się najpierw hałas, a zaraz potem rozmowa dwóch mężczyzn.

Halczyszyn słuchała z wyrazem sporego zaskoczenia na twarzy.

– Co to jest? – zapytała, patrząc na Paulinę ze zgrozą, gdy nagranie dobiegło końca. – Skąd ty to masz?

Paulina wtajemniczyła policjantkę w rezultaty prywatnego śledztwa Borysa.

– Puść to jeszcze raz.

Z głośników rozległy się ponownie głosy dwóch mężczyzn.

– Więc ten cały Alien Cieśla mówił prawdę o jakimś odkryciu. – Halczyszyn pokręciła głową z niedowierzaniem. – Wrak?

– No właśnie – przytaknęła Paulina. – Tunel pod Świną to akurat dobre miejsce na znalezienie wraku starego okrętu, ale

że zdołali to ukryć?

Halczyszyn utkwiała spojrzenie w podłodze.

– Będziemy musieli jeszcze raz z nim porozmawiać – powiedziała w zamyśleniu. – Może rozpozna głos któregoś z mężczyzn. Dlaczego on się tak bał, że ktoś go potem znajdzie? Kogo? Co? Wrak?

– O czym ty mówisz? – Paulina, skupiona na mitycznym artefakcie, który ze świątyni przeistoczył się we wrak, nie rozumiała w pierwszej chwili, o czym mówi policjantka.

– Ten facet na nagraniu. Boi się, że ktoś go znajdzie.

– A, no tak – przytaknęła Paulina. – Też się nad tym zastanawiałam. Z sensu tej rozmowy wynika, że chyba rzeczywiście chodziło o wrak. Zwłaszcza że potem mówi, że to jest wielkie.

Halczyszyn westchnęła.

– To wszystko komplikuje. Będziemy musieli pogadać z robotnikami, z kimś, kto tam miał nadzory...

Spojrzała nagle na Paulinę.

– Chcesz to opublikować?

Paulina pokiwała głową.

– Wstrzymaj się, dopóki nie przesłuchamy Nowackiego i Aliena.

– Nie wiem tylko, czy Borys nie zrobi tego pierwszy. To jego odkrycie.

– Jeśli masz na niego jakiś wpływ, to pogadaj z nim, żeby tego nie robił. Dajcie mi kilka dni. Jeśli Nowacki zobaczy, że istnieje takie nagranie, będzie się chciał przygotować.

– Nowacki rzeczywiście może być mordercą? – Paulina spojrzała uważnie na policjantkę.

Halczyszyn ostrożnie pokiwała głową.

– W dniu śmierci Moszenickiego Nowacki przed ósmą wyjechał z domu. Mamy świadka, który widział, jak jego samochód wyjeżdża z garażu i kieruje się w kierunku Gumieniec. To żaden dowód wprawdzie, tą drogą można dojechać także na Pogodno i dalej do centrum, ale jego żona też potwierdziła, że tego dnia wychodził. Nie wie dokąd. Nie rozmawiali na ten temat. Wrócił przed dwudziestą trzecią.

– Jeżeli zatem to jego głos... – Paulina nie skończyła.

Było w rozmowie tych dwóch mężczyzn coś takiego, co nie dawało jej spokoju. Coś jej się kojarzyło, ale za cholerę nie mogła dojść co. Miała wrażenie, że ostatnio czytała coś lub przeglądała jakieś dokumenty, które były z tym związane. Albo mogły być z tym związane.

– Jeżeli to jego głos, to też żaden dowód niestety. – Halczyszyn pokręciła głową. – Ale skoro mówią o pierdłu i o tym, że któryś mógłby pójść siedzieć, to coś jest na rzeczy i może skłoni go to do mówienia.

Policjantka wzięła torbę z laptopem, którą podała jej Paulina, i wyszła do holu.

– To twój ojciec? – Zatrzymała się na moment przy drzwiach, patrząc na stare zdjęcie oprawione w grubą drewnianą ramę.

Paulina uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Profesor Weber chyba rzadko bywa w domu?

Paulina wzruszyła ramionami.

– Jeszcze w liceum zostawaliśmy tutaj z Marcelem sami na całe tygodnie. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Dla ojca jego badania, książki to zawsze był cały świat. Innego nie potrzebował. Przypominał mi zawsze tych zwariowanych naukowców z dziewiętnastego wieku, którzy zamykali się na

całe tygodnie w gabinecie, a jedzenie dostarczały im pod drzwi żony albo gosposie.

– Nie było wam z tym ciężko? – Halczyszyn ponownie spojrzała na fotografię młodego mężczyzny, stojącego w grupie naukowców ubranych w ceremonialne togi.

– Przyzwyczailiśmy się. – Paulina uśmiechnęła się ponownie. – Właściwie to nie było tak źle. Ilu młodych ludzi ma do wyłącznej dyspozycji wielki dom, w którym może urządzać niekończące się imprezy?

– Ty byłaś taką imprezowiczką? – Halczyszyn obrzuciła rozbawionym spojrzeniem Paulinę.

– Ja jak ja, ale mój brat robił tutaj takie rzeczy, że kilka razy przyjeżdżali twoi koledzy.

Halczyszyn się roześmiała.

– Interwencje u profesora Webera z pewnością bym pamiętała. – Otworzyła drzwi i wyszła na ganek. Na moment zatrzymała się i odwróciła do Pauliny.

– Dopiero dzisiaj poinformowałam prokuraturę, że pożyczyłam laptop – powiedziała przyciszonym głosem. – Ściemniłam, że wcześniej nie miałam jak i takie tam, a że był weekend, to brzmiało nawet prawdopodobnie, ale wiesz, co to oznacza?

– Niczego nie będziemy publikować na ten temat. – Paulina pokręciła zdecydowanie głową. – Poza tym, jak widziałaś, nie było tam nic, co mogłoby się wiązać z Moszenickim.

– Z jakiegoś powodu jednak Nowacki te pliki usunął. – Halczyszyn spojrzała na Paulinę z namysłem.

– Może to chodzi w ogóle o coś innego? Nowacki mógł mieć coś za uszami w sprawach budowlanych. Zastosował tanie materiały, ja wiem? Może bez atestów albo niezgodne

z projektem. I przestraszył się, że w kompie Poznańskiego ktoś to znajdzie.

Halczyszyn pokiwała głową.

– Całkiem możliwe. Kilka dni! – przypomniała, potrząsnąwszy torbą z laptopem, po czym skinęła do Pauliny i zbiegła po schodach.

Rozdział 16

Dwa dni później, dokładnie w środę, w mikołajki, Paulina się wygadała. Wszystko zaczęło się od małej narady u Pawła. Paweł po denuncjującym artykule Mateckiej co chwila urządzał narady. Najczęściej z informatykami i księgową, ale redaktorom też co rusz zawracał głowę, dopytując się o jakiś pomysł na gorący temat.

– Muszę wam ciągle o tym przypominać? – westchnął, patrząc to na Piotra, to na Paulinę. – Zasięgi, owszem, poszły nam w górę, ale tylko w tej sprawie. Według statystyk wszyscy zaglądną do nas tylko dlatego, że czekają na nasz ruch. Reszta tematów, wszystkie nasze stałe cykle, nawet kuchnia, zjechały w dół. Jak nie napiszemy czegoś na temat tego kurewskiego, jebanego śledztwa, które tutaj żeście z Bašką wymyślili, to, kurwa, będzie koniec! Jeśli odpłyną reklamodawcy i stracimy sponsorowane artykuły, to przy stawkach za prąd nie utrzymamy się nawet przez miesiąc.

– Czy tekst Mateckiej rzeczywiście odbił się na sponsorach?
– spytała Paulina. – Straciliśmy jakichś?

– Jeszcze nie, ale na przykład Borola dotychczas nie przedłużył z nami umowy. Rosną w siłę niezależne portale, Szczecin & LeftSide, do niedawna niszowy, teraz zaczyna grać coraz ostrzej. Mateckiej na dodatek pomagają hejterzy, ale po tych ostatnich tekstach ma ogromny ruch. Jej statystyki w necie poszły bardzo mocno w górę.

– To chwilowe według mnie – odezwał się Piotr, patrząc niechętnie na wyniki i analizy na biurku Pawła. – Jak prokuratura wyda w końcu oświadczenie w sprawie Moszenickiego, to temat się urwie.

Paweł się zachnął.

– Nie wiesz, co mówisz. – Postukał się palcem w czoło, patrząc ironicznie na Piotra. – Nasza prokuratura to nie Agata Christie. Nie rozwiążą sprawy morderstwa przed Gwiazdką, w prezencie dla gawiedzi.

– Miasto podobno bardzo naciska – odezwała się Paulina, bez specjalnego przekonania w głosie.

– Może sobie naciskać. – Paweł zdusił przekleństwo. – Z główna bicza nie ukreści.

Podniósł wzrok i spojrzał na Paulinę.

– Co z tym cyklem o głównianych katastrofach?

– No co? – Paulina wzruszyła ramionami. – Nic. Przecież baliście się z Bašką, że kontynuowanie cyklu nam zaszkodzi.

– Zaszkodzi bez dobrego tematu – warknął Paweł. – A co z Hanzą?

Paulina ponownie wzruszyła ramionami.

– Ufortyfikowali się. Obawiam się, że po tej aferze z Docklands Park to żaden deweloper nie będzie chciał już z nami rozmawiać.

– Pogoda? – Paweł strzelił oczami w kierunku Piotra. – Miała bardzo dobry odbiór.

– Paweł – ze zniechęceniem burknął Piotr, patrząc na szefa pobłaźliwie. – Dzisiaj są mikołajki, za dwa tygodnie święta. Kogo obchodzi pogoda? Musiałoby być chyba trzęsienie ziemi, żeby ludzie oderwali się od *Last Christmas*.

Paulina odruchowo spojrzała w okna. Pomyślała, że pogoda naprawdę jest fatalna. To znaczy, w kontekście artykułów na temat katastrof naturalnych. Sypał sobie biały śnieżek, na ulicach leżały zwały śniegu, posypane świeżym białym puchem. Wszędzie leciały świąteczne przeboje. Po prostu katastrofa.

– Może jednak ten tunel? – palnęła, przypominając sobie artykuły na temat technologii posadowienia przeprawy pod Świną.

– Jaki tunel? – Paweł czujnie podniósł wzrok i wbił go w Paulinę.

Paulina w tym momencie zakłęta w duchu. No wyrwało jej się, a teraz przez to, że milczy, a Piotr ma minę, jakby ktoś go trzymał na muszce, to już się Paweł od nich nie odcepi.

– Tunel pod Świną – odpowiedziała w końcu.

– A skąd ci się nagle wziął tunel pod Świną? – Paweł patrzył podejrzliwie to na Paulinę, to na Piotra.

– W Świnoujściu było sporo zamieszania kiedyś. – Paulina wzruszyła ramionami, udając niespecjalnie zainteresowaną tematem. – Nie czytałeś? O tym, że wybrali złą metodę, że tunel kopany jest ryzykowny i że powinien być w technologii zatapialnej.

– Jakiej zatapialnej? – warknął Paweł. – Co ty mi tu z tunelem w Świnoujściu wyjeżdżasz? Mieliśmy o Szczecinie pisać.

– Paulina – syknął Piotr. – Może damy z tą fotką z wr... To znaczy tę fotkę damy? Już ją przecież raz zamieściliśmy, więc to żadna tajemnica.

Paulina storpedowała go wzrokiem.

– Coś kręcicie. – Paweł wbił ponownie wzrok w Paulinę. – Jaka fotka?

Paulina i Piotr przez chwilę na siebie patrzyli. Jedno z irytacją, drugie z wymalowanym na twarzy pytaniem „No co?”.

– Jaką fotką?! – warknął ponownie Paweł.

– Okazało się – Paulina zaczęła ostrożnie – że fotka z tą rzekomą świątynią została wykonana podczas robót w tunelu. I to nie żadna świątynia, tylko jakiś wrak.

– Co takiego? – zdziwił się Paweł. – Wrak? Czyli... Zaraz, zaraz...

Paulina patrzyła z niepokojem, jak Paweł usiłuje sobie wszystko poukładać w głowie.

– Czyli Moszenicki nie miał na myśli żadnych naszych miejskich przekrętów, tylko te ze Świnoujścia? Na budowie odkopali stary wrak i nie zgłosili tego, tak?

– Paweł... – zaczęła Paulina, widząc, że naczelny zaczyna się rozpędzać.

– Jak się okazało? – Paweł nagle spojrzał na nią czujnie. – Powiedziałaś, że się okazało? W jaki sposób to się okazało?

– Może zapytamy po prostu, czy możemy napisać o Alienie? – odezwał się Piotr.

– Piotr! – syknęła Paulina, czując, że wszystko zaczyna się jej rozłazić.

– Jakim Alienie?! Czy tobie z kolei odbiło? – Paweł patrzył na Piotra wytrzeszczonymi oczami. – Chcecie pisać o Obcym przed Gwiazdką?

– Nie o Obcym. – Paulina pokręciła głową ze zniecierpliwieniem. – Policję musimy zapytać o zgodę.

– Żeby napisać o Obcym?! – Paweł wstał i stanął przy biurku. – Musicie pytać policji, czy możemy pisać o Obcym?! A to nie ja

jestem przypadkiem tutaj szefem?!

Paulina pomyślała, że jeśli natychmiast nie uporządkują faktów, to nie wybrną z tej rozmowy.

– Dobra. – Spojrzała na Pawła twardo. – Wiesz o tym, że mam taki nieformalny układ z jedną policjantką. Wyszły na jaw pewne okoliczności związane z morderstwem Moszenickiego, ale poprosiła nas o kilka dni.

– Jakie okoliczności? – Paweł obszedł biurko i stanął na środku swojego gabinetu.

– Alien to robot, który pracował na tej budowie. Widział na własne oczy wrak. Według niego szef tej firmy ze swoim majstrem, czyli Poznańskim, znaleźli jakiś skarb i go stamtąd wyciągnęli. Podobno przekupili Moszenickiego, który był tam inspektorem nadzoru.

Paweł założył ręce na plecy i zrobił kilka kroków.

– Więc to oni zabili Moszenickiego? No oczywiście! – Odwrócił się gwałtownie i zrobił kolejne kilka kroków w drugą stronę. – Dlatego ten Poznański się zabił. Pewnie nie wytrzymał napięcia, jak wszystko trafiło do gazet.

– Powoli. – Paulina podniosła ręce do góry. – Na razie mamy tylko zeznania tego całego Obcego, to znaczy Aliena. Może jeszcze się okaże, że to wszystko bzdury, jak go przycisną.

– A poza tym o tym nagraniu to Borys chyba powinien pierwszy u siebie... – zaczął i nie skończył Piotr.

Paweł zatrzymał się jak wryty.

– Jakim nagraniu?

Paulina wzniosła oczy do nieba. Tego już się nie dało powstrzymać.

– Jest pewne nagranie, na którym dwóch facetów gada coś na temat tego wraku...

– Ale to chyba jednak Borys powinien zdecydować, czy możemy to puścić – bąknął znowu nieśmiało Piotr.

– Ja pierdołę! – Paweł spojrzał na Paulinę z niedowierzaniem. – Mamy takie kosmiczne rzeczy, a ja się zastanawiam, jak mamy przetrwać? Przecież to sensacyjne newsy!

– Musimy poczekać – westchnęła Paulina. – Obiecałam. Jak ją zawiodę, to ją stracę, a to w policji bardzo cenna wtyka.

– No i Borys.

– Co ty z tym Borysem! – huknął Paweł na Piotra. – Dlaczego on ma niby o tym decydować?

– Bo to on wpadł na to, gdzie szukać nagrania.

– A przypadkiem to nie ten cały Ignac...

– Borys.

– Borys! Nie on ubrdał sobie przypadkiem, że to chodzi o przekręty z zamówieniami publicznymi? Przez co w urzędzie są teraz na nas wściekli, a prezydent przeniósł się do Szczecin & LeftSide? Nie przez niego żyjemy teraz w strachu, że Matecka o tobie napisze?

– Teoretycznie tak, ale...

– Teoretycznie gdyby nie on, to w ogóle nie byłoby o czym pisać – wtrąciła Paulina.

– Wpadł... – Paweł nagle zmarszczył brwi i zaczął chodzić po swoim aneksie jak lew w klatce. – Czyli na to można było wpaść? To przecież ktoś nas zaraz ubiegnie! Matecka na przykład! A my mamy czekać, aż ten twój policjant zeżre wszystkie paczki?

– Policjantka – prychnęła Paulina. – I nie je pączków. Jesteś więźniem stereotypów, w tym przypadku na temat policjantów.

– Amerykańskich – dodał Piotr.

– Przestańcie bredzić! – Paweł okrążył biurko i usiadł. – Zrobimy tak! – Spojrzał na Paulinę. – Pisziesz artykuł o tych bredniach z posadowieniem tunelu, że coś tam nie styka, pierdu, pierdu...

– Ale muszę zrobić jakiś research, a to potrwa – jęknęła Paulina.

– Wszystko jest w necie. – Paweł machnął lekceważąco ręką. – Ale dopiszesz, że te skany Moszenickiego łączą się z tunelem i że mamy na to dowody i coś tam, coś tam, że napiszemy wkrótce. Najlepiej na piątek.

– Paweł...

– Żaden Paweł! A jutro jedziecie do Świnoujścia. Zrobicie film w tym twoim stylu *found footage*. Troje pomyleńców, jak w *Blair Witch Project*, Michał z kamerą z wami pojedzie... Wybiera się tunelem, żeby sprawdzić, czy nie ukryto tam starożytnego galeonu. Jak to nie chwyci, to, kurwa, już nic nie chwyci przed Gwiazdką.

– Mamy jechać tylko po to, żeby nakręcić film? – Piotr patrzył na Pawła z niedowierzaniem. – Przecież takich filmów są już tysiące w necie.

– Potem pojedziecie pogadać z Michaśką. Oni tam mają jakieś kłopoty techniczne z tym tunelem, więc się doskonale składa.

– Z kim pogadać? – zapytała słabym głosem Paulina.

– Z Michaliną Barską. Znam ją, zaraz do niej zadzwonię. – To mówiąc, na oczach swoich mocno oszołomionych pracowników sięgnął po telefon i wybrał numer wiceprezydentki Świnoujścia.

W gabinecie prezydenta Szczecina, czworobocznym wprawdzie, ale za to przy owalnym stole siedziały trzy osoby w nastroju, który jedynie przy dużej dozie wyobraźni można było określić jako neutralny. Prezydent przypominał wielką, zakotwiczoną przy owym stole chmurę gradową, jego doradca robił dobrą minę do złej gry, a wiceprezydent Przekot z trudem powstrzymywał irytację.

– GDOŚ będzie po naszej stronie i dostaniemy zgodę na wycinkę – stwierdził bez specjalnego przekonania Lameński.

– Możliwe. – Przekot pokiwał cierpliwie głową. – Zwłaszcza jak uruchomimy gorącą linię telefoniczną, ale wiadomo, co się wtedy stanie. Stowarzyszenie Green wniesie sprawę do sądu, a ta utknie w miejscu na wiele miesięcy.

– Jak mogliście do tego wszystkiego dopuścić? – Prezydent spojrzał z wyrzutem na swojego doradcę i swojego zastępcę.

– Jak mogliśmy? – zapytał Przekot sarkastycznie. – Ja radziłem się wycofać p r z e d podpisaniem umowy na budowę, wtedy nie byłoby tego drugiego problemu. – Wskazał głową na leżące na stole pismo z kancelarii prawnej reprezentującej firmę wykonawczą.

– Wygralibyśmy tę sprawę. – Lameński wzruszył ramionami.

– Ty masz w ogóle jakieś pojęcie, o czym mówisz?! – warknął zirytowany Przekot. – Wygralibyśmy? Za pół roku wybory, a media by nas rozszarpały.

– To akurat racja – wtrącił prezydent.

– Przecież to pismo jest wyłącznie pro forma. – Lameński spojrzał bykiem na wiceprezydenta. – Dobrze wiesz, że oni nigdy nie pójną do żadnego sądu. Straszą nas jedynie.

– Ale biorąc pod uwagę to, co opublikował Ignatiuk, to mają mocne karty! Niestety, skrupiła się na nas ta pewność, że

inwestycje miejskie zawsze jakoś da się przepchnąć kolanem. Wbrew przepisom, wbrew zapisom planów.

– Nikt nie złamał przepisów! – odezwał się oburzonym głosem prezydent.

– Jasne! – warknął Przekot ponownie. – To nie jest konferencja prasowa, nie musisz mi mówić, jak jest. Obaj wiemy, jak to wszystko się załatwia.

– Widzę, że ktoś się tutaj wybiela! – Lameński głośno wciągnął powietrze. – Cały na biało wiceprezydent Maurycy Przekot wjeżdża na białym koniu i głosi gównianą nowinę.

– Zawsze możesz założyć kolejną stronkę, na której będziesz pierdolił, że posadziliśmy kolejny tysiąc drzewek, a trawa jest bardziej zielona, niż była przed wojną – zakpił Przekot. – Tyle że to niczego nie zmienia.

– To co sugerujesz? – Prezydent spojrział na Przekota, stukając nerwowo palcami w blat owalnego stołu.

– Ugodę...

– Czyli ustępujemy ekoterrorystom! – wściekł się Lameński.

– Masz lepszy pomysł? – Przekot spojrział na niego z irytacją.

– Może kolejna awantura z radną Korytko?

– A może od razu zrezygnujemy z wszystkich inwestycji, żeby gołębie miały gdzie srać!

– Przestańcie, do diabła! – Prezydent spojrział z niepokojem na drzwi do sekretariatu. – Przecież to wszystko słyhać na korytarzu!

Jakby dla zilustrowania jego słów rozległo się ciche stukanie i po chwili przez drzwi wsadziła głowę szefowa biura.

– Szefie – syknęła. – Kuria!

– Już kończymy. Powiedz, że oddzwonię. – Prezydent wyprostował się nerwowo. – I co z tą ugodą? – Spojrzał na wiceprezydenta.

– Właśnie! – Lameński skinął energicznie głową. – Ugoda i co? Nie dość, że wycofujemy się z inwestycji, która miała dać nam punkty przed wyborami, to jeszcze musimy zapłacić wykonawcy?

– Nie skończyłem. – Przekot spiorunował go wzrokiem. – Ugoda, ale przedstawiś to tak – zwrócił się w tym momencie do prezydenta – żeby wyglądało na salomonową decyzję. Pogodzenie stron i zakończenie waśni. Najlepiej na jakimś przychylnym nam portalu.

– Hmm – prezydent zaczął znowu stukać palcami o blat stołu – czyli wyjdę na męża opatrznościowego?

– Dokładnie. – Przekot uśmiechnął się z ledwie zauważalnym sarkazmem. – Na tle awanturników, dyletantów i atencjuszy.

Halczyszyn zaparkowała na Świętego Floriana. Jakoś udało jej się wydostać z samochodu przez całkowicie zawałone zwałami śniegu pobocze chodnika i dojść do bramy prowadzącej na budowę. Zatrzymała się na moment, przypatrując się zrębom wznoszonego apartamentowca, gdy usłyszała dochodzący od strony małej wartowni okrzyk.

– Szanowna pani do kogo? – W drzwiach kontenera wyrósł, ubrany w grubą kufajkę i odblaskową kamizelkę, strażnik.

– Chciałabym porozmawiać z panem Alie... Alanem Cieślą. Pracuje tutaj. – Wyjęła z kieszeni legitymację i pokazała mężczyźnie.

– Pawlak! – wrzasnął strażnik do przechodzącego niedaleko robotnika. – Weź zawołaj Aliena! Pani chce z nim pogadać!

Strażnik wytarł nos wierzchem rękawicy i patrząc z ciekawością na policjantkę, podniósł kołnierz kurtki.

– Przeskrobał coś? – zapytał.

– Nie, nie. – Halczyszyn pokręciła głową. – Jest tylko świadkiem.

Chwilę później od strony powstającego budynku nadszedł Alien. Rozejrzał się dookoła, po czym utkwił zaniepokojone spojrzenie w policjantce.

– Teraz wszyscy będą gadać, że policja mnie szuka – oznajmił z wyrzutem. – O co znowu chodzi?

Halczyszyn wskazała oczami bramę i nie czekając, ruszyła w kierunku samochodu.

– Z czym ci się to kojarzy? – zapytała, gdy oboje już siedzieli we wnętrzu jej służbowego forda, i puściła nagranie.

Alien słuchał z początku spokojnie, z zainteresowaniem, ale bez emocji. Halczyszyn obserwowała go dyskretnie. Dopiero w połowie pliku zmarszczył nagle brwi.

– To Moszenicki – powiedział, odwracając się do policjantki.
– Ale pojęcia nie mam, o czym oni gadają. Słyszę tylko, że o wraku.

– Który? Który to Moszenicki?

– Ten, który się broni i mówi, że to nie jego wina.

– Jesteś pewien?

– Jasne – prychnął Alien. – Po ciemku go poznam, bo się do wszystkiego stale przypierdalał. Wszędzie bez przerwy słyhać było jego pierdolenie.

– A ten drugi? – Halczyszyn spojrzała na chłopaka.

– Tego nie kojarzę. W ogóle. – Alien wzruszył ramionami.

– A to nie jest Nowacki? – Halczyszyn wyciągnęła rękę i puściła nagranie ponownie.

Alien wykrzywił usta i pokręcił głową.

– Jesteś pewien?

Alien pochylił się w kierunku głośnika i zmarszczył brwi.

– No głowy nie dam tak na sto procent – odezwał się po chwili. – Ale na dziewięćdziesiąt to nie. Trochę niewyraźne jest, no i jakiś zastrachany jest ten gościu. Nowacki tak nie mówi, on zawsze kozaczy.

– A nie przychodzi ci do głowy, z kim mógł rozmawiać Moszenicki? – Halczyszyn puściła nagranie po raz trzeci.

– Nie kojarzę go na pewno. – Alien pokręcił głową. – On się stale wyklócał z inspektorami z Nord/Barentz albo z tym inspektorem z miasta, Rychlewskim. Stale, kurwa, gadali, że to czy tamto.

– A dokładniej? Na jaki temat się kłócili?

– Zawsze chodziło o terminy. Moszennik bez przerwy naciskał, żeby się śpieszyć, a nadzór nie chciał, żebyśmy robili po łebkach. Na budowach zwykle są opóźnienia. – Wzruszył ramionami.

– Rychlewski? – Halczyszyn zanotowała nazwisko inspektora i skinęła głową w kierunku bramy na plac budowy. – Dobra, dzięki. I lepiej o tym nie gadaj za dużo – rzuciła do wysiadającego z samochodu Aliena.

Odprowadziła chłopaka wzrokiem, po czym uruchomiła silnik.

Pomyślała, że ewentualne przesłuchiwanie całego nadzoru tej wiekopomnej budowy w Świnoujściu będzie trwało do Wielkanocy.

Nowacki wpatrywał się w policjanta przekładającego na swoim biurku jakieś papiery i czuł, jak powoli rośnie mu ciśnienie. Tak jakby intuicja podpowiadała mu, że szykują się kłopoty. Gdy dzień wcześniej dostał telefon z komendy z prośbą, żeby się stawił na przesłuchanie, najpierw pomyślał o Poznańskim. Na złodzieju czapka gore i pierwsze, co mu się na świeżo skojarzyło, to cholerny laptop majstra, w którym grzebał. Może trzeba było go jednak wypierdolić na przykład do zsypu? Albo wyrzucić przez okno i potem zabrać?

No ale takie wyczyny ktoś mógł zauważyć. I byłoby jeszcze gorzej.

– Panie Nowacki... – Renard podniósł w końcu głowę i popatrzył na szefa Dark-Budu. – Poprosiłem tutaj pana, żeby pan czegoś posłuchał. Chciałbym, żeby pan mi powiedział, czy coś pan z tej rozmowy rozumie i czy pan kogoś rozpoznaje po głosie.

Nowacki pokiwał ostrożnie głową. Obserwujący go Renard zauważył już właściwie na początku, że mężczyzna jest zdenerwowany, o niczym to nie musiało świadczyć wprawdzie, wszyscy tutaj byli w taki czy inny sposób zdenerwowani, ale miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

Kliknął w klawiaturę i po chwili ze starożytnego głośniczka pamiętającego początek ery internetu rozległy się głosy dwóch mężczyzn.

Nowacki zaczął słuchać i prawie natychmiast zbladł. Było to tak widoczne, że wpatrujący się w niego Renard niczego tak nie był pewien w tym momencie, jak tego, że Nowacki dobrze wie, o co chodzi w dziwnym nagraniu.

– Może pan coś powiedzieć na ten temat? – spytał policjant, gdy dobiegło końca.

Nowacki kilka razy zacisnął i rozprostował pięści, wyobraził sobie przy tym, że używa właśnie antystresowych piłeczek.

– Niewiele – powiedział w końcu, gdy już był pewien, że głos mu nie zadrży. Wiedział, że Moszenicki z kimś rozmawiał lub robił fotki, bo gdy tamtego pechowego dnia wyszli z Poznańskim z dolnego ewakuacyjnego tunelu, to właśnie chował komórkę do kieszeni.

– Niewiele też chętnie usłyszę – odezwał się Renard.

– Jeden z tych facetów to Moszenicki – odpowiedział Nowacki. – Drugiego nie kojarzę. Po głosie znaczy. Domyślam się, że to może być jakiś inspektor.

– A wrak?

Nowacki zastanawiał się nad odpowiedzią odrobinę za długo. Według Renarda. Mogło to oznaczać, że kłamie albo że coś chce ukryć. W każdym razie nie powiedział całej prawdy i tylko prawdy.

– Nie wiem, o jaki wrak chodzi.

– Odkrycie wraku na budowie to chyba na tyle duża rzecz, że powinno się coś o tym wiedzieć, prawda?

– Wie pan, jaka to była ogromna budowa? – zaperzył się Nowacki. – Tam była cała rzesza podwykonawców. Myśmy tylko malutki fragment robili.

– Rozumiem. – Renard nie mógł sobie darować takiego zagrania. Pokiwał głową ze zrozumieniem, spojrzął w ekran swojego równie starożytnego jak głośniki komputera i dopiero wtedy zapytał: – A skąd pan wie, o jaką budowę chodzi?

Nowacki na moment się zawahał. Znowu odrobinę za długo.

– Z Moszenickim pracowałem tylko na jednej budowie. Przy tunelu w Świnoujściu. Nigdzie więcej.

– Ale skąd pewność, że w tym nagraniu chodzi właśnie o tunel w Świnoujściu? – Renard wbił wzrok w Nowackiego. – Po czym pan to poznał?

Nowacki przełknął ślinę.

– Przez tę świątynię, o której piszą ostatnio – odpowiedział w końcu.

– Świątynię? – Renard zmarszczył czoło. – A dlaczego?

– Te plotki rozpuścił najprawdopodobniej robotnik, który u mnie pracował...

Nowacki w połowie swojej odpowiedzi zdał sobie sprawę, że wpada w kolejne sidła. Przecież skoro nie wie, co to za wrak, to jak może wiedzieć, że Alien go widział?

– Musiał go widzieć i pewnie pomylił wrak ze świątynią – odpowiedział, zdając sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. – Raz czy dwa znaleźliśmy w wykopach drewniane szczątki łodzi czy budynków. Stare, szerniałe dechy można wziąć za wszystko, świątynie, wraki...

– No tak. – Renard pokiwał głową. Postukał palcami w klawiaturę, uzupełniając protokół, i spojrzał ponownie na Nowackiego. – W środę, piętnastego listopada przed godziną ósmą wyjechał pan z domu i wrócił podobno przed północą? Mógłby pan powiedzieć, gdzie pan był?

Nowacki zacisnął ponownie pięści. To oczywiście robota Marzeny. Nie mogła trzymać gęby na kłódkę?

– Byłem u... – Zawahał się. – Byłem z kobietą, ale wolałbym, żeby żona się o tym nie dowiedziała.

– Czy ta pani to potwierdzi?

Nowacki pomyślał, że raczej nie może się tego spodziewać po lasce, którą poznał na Datezone i której zapłacił. Kurwa...

- To dziewczyna z portalu randkowego.
- Ma pan do niej jakiś kontakt?
- Na moim profilu jest zapis rozmowy z nią. Umówiliśmy się po prostu, że wpadnę. Podała mi adres.
- Proszę o niego.

Nowacki westchnął i podyktował policjantowi numer klatki i mieszkania przy Pocztovej.

Renard dokończył pisać protokół, przeczytał całość i kliknął „drukuj”.

Przeszło mu przez myśl, że chociaż facet najwyraźniej kręcił, to nie był raczej jego głos na nagraniu. Głowy by nie dał, ale...

Paulina rzuciła Piotrowi poirytowane spojrzenie, gdy już wrócili do swoich biur.

- I coś narobił?
- Ja? – Piotr się zdziwił. – Ja? To ty pierwsza chlapnęłaś o tunelu.
- Ale po co żeś mówił o nagraniu? Wpakujemy się tylko w jeszcze większe kłopoty. Prezydent Szczecina nas nienawidzi, teraz jeszcze Barską wkurzymy.
- Jakie tam kłopoty. – Piotr lekceważąco wzruszył ramionami. – Jedziemy na fajną wycieczkę. Po raz pierwszy będę w ogóle przejeżdżał tym tunelem.
- Tylko stracimy czas.

Paulina, mimo że myślała o tym już od miesiąca, tradycyjnie nie zdążyła kupić żadnych prezentów i zaczynała się tym, także tradycyjnie, martwić. Internet już powoli zaczął odpadać, słyszała, że u dostawców robią się kolejki, a na przelot po galeriach musiała znaleźć jakieś spokojne, wolne popołudnie. Ojciec jak zwykle wpadnie do domu przed Gwiazdką, zażąda

atmosfery, choinki, żeby dzwonić do Marcela i do ciotek. I przywiezie jej jakiś absurdalnie drogi prezent, kompletnie do niej niepasujący. Na przykład torebkę Chanel za sześć tysięcy euro. Zawsze tak było. Nigdy go nie było w domu, a jak wpadał, to rekompensował to jej i Marcelowi potwornie drogimi prezentami.

– Masz jeszcze dwa tygodnie na kupno jakichś zupełnie nikomu niepotrzebnych artefaktów. – Piotr oczywiście czytał jej w myślach, bo już kilka razy na ten temat rozmawiali. – A artykuł o tunelu może rzeczywiście być niezły. Jeszcze jakby ta twoja Halczyszyn wreszcie się odczepiła od tego nagrania, to na bank byłby strzał w dziesiątkę. Jak puścimy to na naszym portalu, to od razu się zrobi sajgon.

– Zamiast gadać, zrób jakiś research. – Paulina skinęła głową w kierunku laptopa Piotra. – Wyszukaj te rzeczy o tunelu, wszystko to, co pisali, że zła technologia, jedna rura, tylko dwa pasy i tak dalej. Ja zadzwonię do Bartosza, spróbuję się dowiedzieć czegoś o tych problemach, o których Paweł mówił. Nie możemy być kompletnie zieloni na spotkaniu z Barską.

– Jakiego Bartosza?

– Dziennikarza z portalu iswinoujście.pl – odparła Paulina, sięgając po komórkę.

Katarzyna wychodziła właśnie z sali sesyjnej rady miasta, gdy na korytarzu podszedł do niej, uśmiechnięty dyplomatycznie, prezydent. Przez chwilę uśmiechali się do siebie kurtuazyjnie, wymienili kilka żarcików, a gdy przed salą rady zrobiło się pusto, prezydent spoważniał.

– Po co była ta awantura z Lamim? Pokrętnie przekręty! Wiesz, że już w necie wszędzie to powtarzają.

– No i dobrze. – Katarzyna uśmiechnęła się złośliwie. – Miałam nadzieję, że tak się stanie. Sami sobie nawarzyliście piwa.

– Nie uważasz, że nie powinnaś mnie atakować?

– Nie jestem ci nic winna. – Katarzyna pokręciła głową. – To polityka, nie kakao u cioci.

– Poszedłem ci na rękę. Kumpel twojego męża dostał dobrą posadę.

Katarzyna pokiwała głową.

– Tak, i w zamian poparłam kilka twoich pomysłów. Jesteśmy kwita. A Moszenicki był całkiem dobrym fachowcem, musisz to przyznać.

– Był! – warknął prezydent. – Właśnie był! Ale ktoś go sprzątnął w podejrzanych okolicznościach. Nie wiem, co na niego znalazł „Dziennik Szczeciński”, bo umilkli po tym gównie u Mateckiej, ale jak coś wygrzebią przed wyborami...

– A co oni mogą wygrzebać? – Katarzyna zatrzymała się i spojrzała pobłaźliwie na prezydenta. – Moszenickiego zamordowali jacyś obwiesie, słyszałeś. Podawali to w wiadomościach.

– Prokuratura się nie wypowiedziała...

– Minęły dopiero trzy tygodnie. Poza tym ty się naprawdę boisz o wybory? – Katarzyna spojrzała na prezydenta z uśmiechem. – Do tej pory byłeś taki pewny swego.

– Dobrze wiesz, że musimy doprowadzić do końca kilka sporych inwestycji – zaperzył się prezydent. – Miasto tego potrzebuje. Mieszkańcy tego potrzebują. A kto wie, co zrobi...

– Pieprzenie! W tych twoich inwestycjach jest pełno takich dziur jak w Pokrętnej i boisz się, że jak wygra ktoś inny, to wszystko to wygrzebie.

– Na ciebie też się sporo znajdzie. Słyszałaś, że Skowron chce startować? Dobrze wiesz, że on zrobi tutaj cyrk. Jesień średniowiecza!

Katarzyna prychnęła pogardliwie.

– Dobrze wiesz, że odkąd jakiś jebnięty klecha powiedział, że ekologia to grzech ciężki, to w Polsce zieloni nie mają żadnych szans. Średniowiecze to u nas jeszcze trochę potrwa.

Prezydent zatrzymał się i pochylił w stronę radnej.

– Skończmy te głupie gadki! Jeśli ty albo twój mąż macie coś na Moszenickiego, to lepiej, żebym o tym wiedział wcześniej. Jak Weber albo inna mała w zielonym to wyciągnie, to ty też na tym stracisz!

– Nie mam nic na Moszenickiego! – warknęła Katarzyna. – Już ci powiedziałam. Faceta zabili jacyś obwiesie. Ani Artur, ani ja nie odpowiadamy za jego ciemne sprawy. Artur miał u niego przysługę i to wszystko. Jak nie masz do mnie nic więcej, to przepraszam, ale śpieszę się.

Po chwili na kamiennej posadzce pustego korytarza rozległ się głośny stukot obcasów.

Halczyszyn i Renard siedzieli przy stole w malutkiej sali narad i wpatrywali się w prokuratora, który czytał protokół z przesłuchania Nowackiego.

– To będzie proces poszlakowy, ale facetowi można już chyba nawet teraz postawić zarzuty. – Modzelewski odłożył protokół i postukał długopisem w blat stołu. – Wydamy oświadczenie, że mamy podejrzanego. Media już się dopominają.

– Musimy najpierw pogadać z tą dzi... z tą dziewczyną z Datezone – odezwał się Renard. – Jeżeli ona potwierdzi, że Nowacki u niej był, to facet będzie miał alibi.

– Taki świadek to żaden świadek – stwierdził złośliwie Modzelewski.

– Jest jeszcze Cieśla, który nie rozpoznał głosu Nowackiego – wtrąciła Halczyszyn.

– Nie był pewien – sprostował prokurator.

– Może jednak lepiej doprowadzić te rzeczy do końca – warknęła policjantka. – Jak sąd to udupi, to media znowu będą miały na nas używanie.

– Media zawsze będą czekać, a facet kłamał jak nic. – Modzelewski skinął głową w kierunku raportu. – Na bank coś wiedział o tym nagraniu. Zgadł, że to idzie o przeprawę w Świnoujściu. O tym, że chodziło o wrak, też najwyraźniej wiedział. Nie wydaje ci się to jeszcze wystarczająco podejrzane? – Spojrzał przenikliwie na Halczyszyn.

– Mówię tylko, że nie ma dowodów.

– To co? Chcesz jeszcze z nim gadać?

– Nakaz przeszukania, i to jak najszybciej. Mieszkania i magazynów firmy. Jeśli coś rzeczywiście zachachmęcił, to możliwe, że nie zdążył ukryć.

– Mało prawdopodobne. – Modzelewski wzruszył ramionami. – Ale dobra, nakaz dostaniecie jeszcze dzisiaj.

– I chciałabym ponownie rozejrzeć się w domu Moszenickiego.

Prokurator spojrział na policjantkę zaskoczony.

– Po co? – spytał.

– Wyniki sekcji były już po przeszukaniu. A z sekcji wyszło, że ktoś go najprawdopodobniej zabił u niego w domu, wsadził do auta i wywiózł na Golęcín. Chciałabym dokładniej obejrzeć garaż. Możliwe, że tam coś przeoczyliśmy.

Modzelewski przez chwilę wpatrywał się w policjantkę, po czym pokiwał głową.

– Dobra, ale pojedziemy razem. Też chcę to zobaczyć. Jutro mam czas. – To mówiąc, podniósł się i sięgnął po swoją czarną torbę.

Gdy wkładał płaszcz, Halczyszyn i Renard wymienili się spojrzeniami.

Paulina skończyła rozmawiać z dziennikarzem ze Świnoujścia, wymienili się jeszcze kilkoma żartami na temat wspólnych znajomych, jak to zazwyczaj bywa w takich sytuacjach, stwierdzili, że muszą w końcu się zobaczyć, i wreszcie odłożyła telefon na biurko. Wyjrzała zza swojego ekranu, żeby pogadać z Piotrem na temat tego, czego się właśnie dowiedziała, i zobaczyła, że Piotr siedzi z szeroko otwartymi oczami i wpatruje się w przestrzeń.

– Co się stało? – zapytała.

– Właśnie sobie coś przypomniałem – wydukał Piotr.

– Zapomniałeś wyłączyć gaz?

– Co? – Piotr spojrzał na Paulinę nieprzytomnie. – Zwariowałaś chyba – burknął, przytomniejąc. – Ja w ogóle prawie nie używam gazu. Nie chcę dostać udaru, jak przyjdzie rachunek. Czytam właśnie o tunelu w Świnoujściu i dopiero to sobie skojarzyłem.

– Ale co? – Paulina spojrzała na niego z irytacją.

Piotr oderwał w końcu wzrok od nieskończoności i spojrzał na Paulinę przytomniej.

– Lata temu, zaraz po studiach, byłem na wycieczce w Rostocku. Z takim jednym kołesiem i jego dziewczyną...

Rozdział 17

Skoda przejechała ostatni fragment ulicy Wolińskiej, minęła skrzyżowanie z Ludźmi Morza i wjechała na nową drogę, prowadzącą wprost do wjazdu do tunelu. Po prawej stronie ukazały się zabudowania terminala promowego, droga łagodnie skręciła, minęła ogromny parking dla TIR-ów i nagle z obu stron wyrósł mur oporowy.

Przed zjazdem w mrok przeprawy ustawiała się już niewielka kolejka aut.

Maciej zwolnił. Samochód potoczył się karnie i stanął za szarą toyotą C-HR.

– Korek? Tutaj? – Paulina podniosła głowę znad tabletu, na którym wciąż przeglądała informacje na temat budowy tunelu.

– To te kłopoty, o których mówił Bartosz – bąknął Maciej. – Przy obu wjazdach pojawiła się podobno woda, dlatego tam wszyscy zwalniają.

Maciej sięgnął do przymocowanej do tablicy rozdzielczej kamerki i nacisnął jakiś przycisk.

– Uwaga. – Spojrzał na Paulinę. – Włączam nagrywanie, robimy ten twój *found footage*. Nie przeklinajcie za bardzo i nie gadajcie kompletnych bredni, bo będę miał za dużo do wycinania.

– Ja też mam już kręcić? – zapytał siedzący z tyłu Filip, współpracownik Macieja, którego w ostatniej chwili postanowili dokooptować do wymyślonej przez Pawła misji.

– Powiem ci – mruknął Maciej i wrzucił jedynekę.

Octavia potoczyła się w dół zjazdu. Po chwili wjechali pod wiszące nad drogą żebra, które osłaniały jezdnię na ostatnich metrach przed wjazdem do tunelu. Wielkie prostokątne belki rzucały długie cienie na samochody, a pomiędzy nimi widać było bure, stalowe niebo.

Toyota ruszyła i przejechała kolejne kilka metrów. Maciej wcisnął pedał gazu i skoda potoczyła się w ślad za japończykiem.

– Za chwilę po prawej stronie minimy drzwi prowadzące do tunelu ewakuacyjnego – odezwał się Piotr, który z nosem przyklejonym do szyby usiłował dojrzeć coś za jadącą przed nimi toyotą.

Toyota nagle ruszyła i po chwili zniknęła w czeluści tunelu. Skoda toczyła się powoli za nią. Paulina chciała właśnie się odezwać, gdy poczuła, jak samochód wyraźnie podskoczył na jakiejś nierówności.

– Koleiny? – Spojrzała ze zdziwieniem na Macieja. – Zaraz po oddaniu do użytkowania?

– Inwestycja za ile? – odezwał się Piotr. – Miliard?

– Czekaście. – Maciej podniósł do góry dłoń, a następnie skinął Filipowi, że może zacząć kręcić od wnętrza. – Powtórzcie to gadanie o kasie – zwrócił się do Piotra, który podniósł oczy do nieba.

– Dziewięćset milionów. Z czego siedemset siedemdziesiąt pięć dała Unia, a resztę dołożyło miasto – odpowiedziała w końcu Paulina. – Państwo z trudem powstrzymało się jedynie od przeszkadzania.

– Z tym to bym polemizował – bąknął Piotr.

– I oczywiście nie mogliście się powstrzymać – westchnął Maciej. – Jak wytnę na koniec to wasze pierdolenie, to wyjdzie film niemy.

Samochód tymczasem przejechał pod ostatnim żebrem i ruszył w półtorakilometrową drogę pod dnem Świny. Wzdłuż całej trasy paliły się lampy, które cięły boczne ściany regularnymi jasnymi światłami, układającymi się w pionowe pasy. Tunel miał dwa kierunki ruchu i wąskie boczne pasy, zakończone barierami energochłonnymi.

Wyglądający przez okno Piotr stwierdził, że wewnątrz tunel bardziej przypominał nieregularny prostokąt o zaokrąglonych bokach niż koło.

– Jedziemy po żelbetowym stropie – odpowiedziała Paulina.
– Pod nami, środkiem, biegnie korytarz ewakuacyjny, a po bokach są przestrzenie techniczne. A nad nami jest z kolei strop, nad którym przebiegają przewody wentylacyjne, elektryczne, monitorujące powietrze, przeciwpożarowe i teletechniczne.

– Dark-Bud robił dwie klatki ewakuacyjne. – Piotr odprowadził wzrokiem drzwi wiodące na poziom korytarza ewakuacyjnego. – Zwolnij, jak będziemy tam przejeżdżać. – Szturchnął fotel kierowcy.

– I tak poza drzwiami niczego tam nie zobaczymy – stwierdziła Paulina. – Musielibyśmy zostawić samochód na parkingu i przejść tym korytarzem piechotą. Nawet nie wiem, czy to dopuszczalne.

– A po co właściwie jest ten korytarz pod nami? Przecież jak zaleje tunel, to on pierwszy wypełni się wodą.

– Ewakuacja jest na wypadek jakiejś stłuczki, zatoru albo pożaru. Tam jest pewnie oddymianie, dymoszczelne drzwi i takie tam.

- Czyli jak tunel zostanie zalany, to i tak nikt się nie uratuje.
- Przestań krakać. – Filip skierował kamerę na Piotra, który wykrzywił się błazeńsko, złapał za szyję i zaczął markować, że się topi.
- To oczywiście wytniesz – rzucił do Macieja.
- Oczywiście, że zostawię.

Maciej nagle zwolnił na tyle, na ile pozwalał sznur jadących samochodów.

- Zaraz będą te drzwi na klatkę E jeden – odezwał się do Filipa. – Zrób takie płynne ujęcie z wnętrza auta, żeby to jak horror wyszło. A ty powiedz coś o tym wraku. – Spojrzał na Paulinę.

Chwilę później po prawej stronie ukazały się stalowe drzwi, nad którymi paliło się oznakowanie ewakuacyjne. Piotr przyklepił nos do szyby, wpatrując się w ścianę tunelu.

- Za tymi drzwiami znajduje się klatka ewakuacyjna. – Paulina skinęła głową w kierunku okna. – Klatka przypomina czworoboczną narośl doczepioną do okrągłego tunelu. To tutaj właśnie, według krążących od kilku miesięcy plotek, znaleziono wrak starej łodzi czy okrętu, który od kilku wieków był zagrzebany pod dnem Świny. Miałby on znajdować się tuż za ścianą klatki.

Kamera powoli odprowadziła stalowe drzwi.

Za samochodem rozległ się nagle ponaglący klakson, a Piotr głośno westchnął.

- Tutaj w ogóle nie ma zasięgu!
- Musiałeś? – jęknął Maciej.

Halczyszyn patrzyła, jak z zaparkowanego przed blokiem przy ulicy Ostrobramskiej samochodu wysypuje się grono

funkcjonariuszy, cywilnie ubranych i najwyraźniej mocno napakowanych testosteronem, względnie tanią kawą z automatu na komendzie.

Zacisnęła szczęki i ruszyła w ich kierunku.

– Żadnego rozpierdu! – warknęła. – Wyrzucania rzeczy na podłogę, robienia bajzlu i trzody! Czy to jasne?

– Prokurator Modzelewski wydał nam jednoznaczne dyspozycje... – zaczął jeden z policjantów.

– Modzelewski siedzi na dupie za biurkiem! – Halczyszyn zgasiła go wzrokiem. – Ja tu jestem waszą przełożoną i obiecuję, że jak któryś coś zniszczy, to osobiście dopilnuję, żeby zapłacił za to z własnej kieszeni. Zrozumieliście?!

Mężczyźni pokiwali niechętnie głowami i po chwili cała grupa wraz z Halczyszyn weszła do klatki apartamentowca.

O tunelu pod Świną myślano już na początku ubiegłego wieku. Idea połączenia obu brzegów rzeki pojawiała się w technicznych periodykach, w ówczesnej prasie codziennej, a na jej temat rozmawiano na rozmaitych forach, a także na ulicy. Po raz pierwszy jednak koncepcja podziemnej przeprawy pojawiła się dopiero w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, kiedy to Zarząd Budowlany Portu Świnoujście[7] opracował pierwszy projekt techniczny owej konstrukcji.

Według wstępnych założeń miała przebiegać na wysokości dzisiejszego dworca PKP, ostatecznie jednak wybrano nieco inną lokalizację. Tunel miał rozpoczynać się w okolicach wielkiego parkingu na końcu terminala promowego, a następnie, mniej więcej w linii dzisiejszej ulicy Kontradmirala Włodzimierza Steyera, wydostawać się na powierzchnię i łączyć z obecną ulicą Grunwaldzką.

Tunel miał być jednokomorowy, z dwoma pasami ruchu, wykonany metodą elementów zatapialnych. Wybuch wojny jednak położył kres tym planom, a późniejsze wydarzenia, przesuujące się granice, zimna wojna zepchnęły temat do niebytu.

Wydostał się z niego dopiero w roku siedemdziesiątym trzecim, gdy władze PRL ogłosiły państwowy konkurs na opracowanie projektu połączenia lewobrzeżnej części Świnoujścia z prawym brzegiem. Z ośmiu propozycji wybrano ponownie przeprawę w tej samej lokalizacji co przed wojną. Ponownie też przyjęto budowę metodą elementów zatapialnych. Notabene, każda z konkursowych koncepcji opierała się także na tej samej technologii.

Projekty następnie odłożono na półkę i zapomniane przeleżały tam dwadzieścia lat.

Do idei połączenia obu brzegów Świny powrócono dopiero w roku dziewięćdziesiątym drugim. Na zlecenie miasta dwie duńskie firmy sporządziły studium wykonalności, w którym tradycyjnie uznały zasadność budowy tunelu zatapialnego. Dla odmiany jednak lokalizację struktury przesunięto wówczas w okolice dzisiejszej przeprawy promowej w Karsiborzu. Na podstawie tego studium na rok przed końcem milenium miasto ogłosiło przetarg na budowę przeprawy, która nie doszła jednak do skutku z prozaicznego powodu – z braku pieniędzy.

Brodaty, czarnowłosa mężczyzna przerwał opowieść i sięgnął po szklankę z wodą mineralną. Bartosz, dziennikarz świnoujskiego portalu, czekał na nich w jednej z otwartych knajpek w centrum miasta. Na parapetach wielkich witryn stała kolekcja pseudomarynarskich antyków. Skleconych z drewna kół sterowych, wypchanych ryb i miniatur żaglowców. W lecie pewnie jako tako udawały morski klimat, o tej porze roku, wraz

z zalegającymi na ulicach zwałami śniegu, wyglądały nieco przerażająco.

– Co to jest ta metoda zatapialna? – zapytał Piotr. – Ja pojęcia nie mam, o czym ty mówisz.

– W dzień rzeki, w poprzek, kopie się zagłębienie. – Bartosz zaczął gestykulować, usiłując wytłumaczyć Piotrowi techniczne subtelności. – Potem wykonuje się żelbetowe elementy tunelu, a następnie transportuje i zatapia w tym dole. Na koniec łączy się wszystkie, uszczelnia i zasypuje. To tak w bardzo uproszczony sposób.

– Czyli od początku planowano tak zrobić?

Bartosz pokiwał głową.

– Wszystkie wcześniejsze analizy, i te niemieckie, i te polskie, wykazały, że taka metoda jest łatwiejsza, bezpieczniejsza i tańsza. Ponadto jest dostosowana do gruntów o słabej nośności. Chodzi o to, że taki łańcuch pozostaje niejako elastyczny i pomimo działających sił pracuje i mu to nie szkodzi.

– To skąd się wzięła nagle ta metoda drążona? – zapytał Maciej, odrywając na chwilę wzrok od kamery.

Bartosz wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– W Świnoujściu krążą plotki, że głównie chodziło o to, że metodę zatapialną popierał poprzedni prezydent, a aktualna władza koniecznie chciała odwrotnie.

– Czytałam wszystkie komentarze i opinie. Władze podpierają się z kolei ekspertyzami i opiniami naukowymi, że tunel wiercony jest lepszym sposobem.

– Zaraz po wyborze tej technologii wypowiedziało się na ten temat Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Materiałów Budowlanych. Stwierdzili, że wykonywanie tunelu

metodą TBM[8] będzie katastrofą i że tuneli nie wierci się w błocie...

– Tak – przerwała dziennikarzowi Paulina i spojrzała na leżący przed nią tablet. – Znalazłam natomiast kontropinię na ten temat profesorki z inżynierii lądowej Politechniki Warszawskiej, która wprost powiedziała, że takie stanowisko to brak wiedzy. Według niej tunele można drążyć w każdym gruncie – przeczytała i podniosła wzrok na dziennikarza.

– Ale z kolei... – Bartosz na moment zawiesił głos, uśmiechnął się i podniósł palec. – Na ten temat wypowiedział się później, zresztą na łamach naszego portalu, były wiceprezydent. Przyznając rację profesorce z Warszawy, zwrócił jednak uwagę na to, że nie chodzi o samo wiercenie, ale o zachowanie się sztywnej struktury, jaką jest tunel wiercony. Grunty pod dnem Świny są bardzo słabe i nienośne. Piaski, żwiry i ropy pyłaste. Tunelowi zatapiałnemu, który leży sobie na dnie, ciągle przemieszczające się nienośne warstwy i pracujące podłoże nie będą specjalnie przeszkadzać. Natomiast sztywna rura tunelu TBM będzie cały czas pracować. Ta sztywna rura jest połączona z dwóch stron ze stałymi przyczółkami, budowlańcy nazwali je komorami startowymi, i właśnie w miejscu połączenia będą wciąż działać największe siły i naprężenia ścinające.

– Dlaczego? – zapytał Piotr, który zaczynał się znowu gubić w technicznych niuansach.

– No wyobraź sobie, że wmurowujesz w ścianę jakiś zaczep. Jak przymocujesz do niego łańcuch i będziesz nim kręcił, to prędko nic się nie stanie. Ale jak do tego zaczepu przymocujesz sztywny drąg i będziesz nim szarpał, to od razu rozwala się najpierw tynk, potem otwór w ścianie, a na koniec zaczep z niej wypada.

– A ty spadasz na mordę razem z drągiem – powiedział Maciej zza kamery. – Wytnę, wytnę – dodał, widząc spojrzenie Pauliny.

– Czyli to, co się teraz dzieje przy wjazdach, to z tego powodu? – Piotr przypomniał sobie koleiny na początku i końcu tunelu.

Bartosz pokiwał głową.

– To samo dokładnie stało się w budowanym tą metodą tunelu w Gdańsku, pod Martwą Wisłą. Rok po budowie pojawiły się przecieki i uszkodzenia. Dokładnie w miejscach połączenia tunelu z przyczółkami.

– Ale czytałam już stanowisko miasta i firmy pełniącej nadzór. – Paulina spojrzała na ekran tabletu. – Konsorcjum Nord/Barentz – przeczytała. – Według nich grunt po zamrożeniu podczas prac musi się ustabilizować, warstwy muszą się przemieścić i ułożyć, a zatem takie zjawiska są naturalne.

– To prawda – wpadł jej w słowo Bartosz. – Dlatego też są bardzo długie okresy gwarancyjne, ale krytycy tej technologii zwracali uwagę, że te procesy nie ustaną. W tunelu będą cały czas pojawiać się naprężenia ścinające, wysięki wody, konstrukcja będzie cały czas podlegać ciśnieniu i wyporowi. W Świnoujściu są ogromne wahania poziomu wody, wciąż będą się zmieniać naprężenia w miejscach oparcia i cały czas oddziaływać na konstrukcję, która w końcu może się poddać, i dojdzie do katastrofy.

– A to się właśnie stało na zbudowanej na sztywnych betonowych fundamentach, osadzonych w podmokłym, fatalnym gruncie, autostradzie A dwadzieścia niedaleko Rostocku – wtrąciła Paulina, rzucając znaczące spojrzenie Piotrowi. – W dwa tysiące siedemnastym, na początku

października, całe wielkie fragmenty tej autostrady nagle się zawaliły, a na drodze powstał lej o długości czterdziestu metrów i szerokości dziesięciu. Tak się składa, że nasz kolega był bezpośrednim uczestnikiem tych wydarzeń.

Filip skierował kamerę na Piotra, a ten zaczął opowiadać o pamiętnej nocy sprzed lat. Pomijając oczywiście swoje niebinarne relacje, jakie łączyły go z Mateuszem i Martyną.

Renard wpatrywał się w siedzącą na łóżku przestraszoną dziewczynę. Pomyślał, że może jednak trzeba było wysłać tutaj kobietę. Dziewczyna miała może dwadzieścia, może dwadzieścia kilka lat. Studentka. Szatynka, ładna, z wielkimi ciemnymi oczami. Zaciskała nerwowo splecione palce i unikała jego wzroku.

Renard rozejrzał się po niewielkim mieszkaniu. Oficyna starej kamienicy przy ulicy Pocztowej, wysokie okna, zero słońca i malutki, wąski i długi pokój wydzielony z niegdyś większego mieszkania. Może zresztą była to przed wojną służbówka.

Pochylił się, sięgnął na stojący przy łóżku stolik i podsunął bliżej zdjęcie.

– Zastanów się – powtórzył łagodnie. – Naprawdę nie poznajesz tego faceta?

– Już powiedziałaś – dziewczyna wzruszyła ramionami – nie przyglądałam mu się.

– Nie przyglądałaś mu się? – Renard uśmiechnął się ironicznie. – Serio? Mamy zapis jego rozmowy z tobą, na stronie Datezone.

– Niczego mi nie udowodnicie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Tam nie ma zdjęć twarzy.

– Ja niczego nie chcę ci udowadniać – westchnął Renard. – Nie jestem z żadnej, kurwa, policji obyczajowej. Z kółka

różańcowego też nie. Facet jest podejrzany o morderstwo. Jeśli był u ciebie tego wieczoru, to ma alibi.

– Nie pamiętam go! – powtórzyła uparcie dziewczyna, cały czas starannie unikając wzroku Renarda. – Może na tym zdjęciu wygląda inaczej. Zdjęcia często przekłamują rzeczywistość. Wiem coś o tym – dodała. – Myśli pan, że ja mam takie cycki jak na tej fotce w Datezone? Już to wystarczy, żeby podważyć, że to w ogóle moje zdjęcia i mój profil.

Renard przez chwilę przypatrywał się dziewczynie.

– Ktoś już z tobą rozmawiał?

Dziewczyna drgnęła i rzuciła policjantowi krótkie, nerwowe spojrzenie.

– Co? – zapytała odruchowo, a Renard zorientował się, że zrobiła to wyłącznie po to, żeby zyskać na czasie. – Nikt ze mną nie rozmawiał – odpowiedziała w końcu i odwróciła wzrok.

Gdy Maciej parkował na dziedzińcu dawnych koszar, gdzie w starym, surowym budynku z czerwonej cegły mieścił się obecnie Urząd Miasta Świnoujścia, zerwał się silny wiatr. Temperatura, oscylując w okolicach zera, wahała się, czy spaść nieco niżej, czy pozostać na obecnym poziomie. Przy zacinającym wietrze, deszczu ze śniegiem była to najgorsza z możliwych opcji. O ile mróz, nawet do dziesięciu stopni, dawało się z przyjemnością wytrzymać, o tyle wilgoć w okolicach zera była koszmarem.

Na szczęście droga z parkingu do koszar urzędu miasta była krótka i po chwili znaleźli się we wnętrzu gmachu, pod wysokimi, sklepieniami sufitami.

Czekając na audiencję u wiceprezydentki, Paulina przeglądała film z tunelu, który sama nakręciła komórką. Zastanawiała się, w jaki sposób mogliby załatwić od ręki zgodę na wejście

z kamerą do korytarzy ewakuacyjnych. Miała nadzieję, że zobaczy na własne oczy tę ścianę, za którą rzekomo nadal tkwił wrak jakiejś starej łodzi.

Gabinet wiceprezydentki był bardzo duży, powierzchnie w dawnych koszarach były ogromne, stąd i gabaryty obecnych pomieszczeń wielkie.

Michalina Barska przywitała się raczej chłodno i obcesowo zażądała bezwzględnej autoryzacji materiału przed publikacją.

– Właściwie nie powinnam się zgadzać na taką rozmowę – powiedziała niechętnie – ale Paweł mnie uprosił, więc to tylko z uwagi na starą przyjaźń. Mówię to dlatego, że wiem, co dziennikarze potrafią ukręcić z byle bzdury. Już teraz wypisują o nas takie niestworzone rzeczy, że nie chce się tego nawet komentować.

Paulina, która właśnie po to, żeby ukręcić jakiś sensacyjny temat, została tutaj przez Pawła wysłana, wolała słowa wiceprezydentki dyplomatycznie przemilczeć.

Maciej ustawił kamerę i zaczął sprawdzać jakieś swoje parametry. W międzyczasie rozległo się stukanie i do gabinetu zajrzał młody mężczyzna.

– Chodź, chodź. – Barska skinęła na urzędnika. – To Marcin Rychlewski, starszy inspektor z nadzoru budowlanego. Będzie mi służył pomocą, gdyby pani chciała znać szczegóły techniczne.

Paulina przywitała się z mężczyzną, usiadła przy stole naprzeciw wiceprezydentki i po chwili Maciej dał sygnał, że można zaczynać.

– Motywem przewodnim naszego cyklu są niejako legendy miejskie i plotki na temat rzekomych błędów konstrukcyjnych lub uszkodzeń nowych budynków – zaczęła ogólnie Paulina. –

I od tego chciałam zacząć. Uszkodzenia progów przy komorach wjazdowych do tunelu. W jaki sposób można to wytłumaczyć? O ile można.

– Tunel dopiero został oddany do użytkowania – odezwał się inspektor. – Jak pani zapewne wie, wiercenie było poprzedzone zamrażaniem gruntu. To jest proces długotrwały. Najpierw przez kilkadziesiąt dni trwa mrożenie aktywne, a więc za pośrednictwem rur wypełnionych płynem chłodzącym zamraża się grunt i wypełniającą go wodę. Tworzy się dzięki temu stabilna, wodoszczelna bryła, w której można wiercić. Później z kolei trwa mrożenie pasywne, czyli stałe podtrzymywanie obniżonej temperatury gruntu...

– W jaki sposób to się wiąże z uszkodzeniami?

– Po zakończeniu prac grunt musi się ustabilizować. Proces rozmrażania następuje powoli, a grunt przemieszcza się i porusza. Na skutek tego właśnie węzły przy wjazdach niestety także pracują. Niewielkie uszkodzenia i przecieki to naturalne zjawiska...

– Ale przeczytałam, że podwykonawca nawierzchni sprawdzał szczelność wykonanych prac. Czy było podejrzenie o przecieki?

– Pani redaktor – wtrąciła się wiceprezydentka – po prostu dmuchamy na zimne. Poleciliśmy firmie odpowiedzialnej za izolacje i nawierzchnię sprawdzenie stanu wykonanych robót.

– Rozumiem. – Paulina pokiwała głową. – Ale z jakiego powodu ta kontrola była wykonywana także w najniższym punkcie tunelu, to jest pod samą Świną?

– Czy tam także pojawiła się woda? – odezwał się Piotr.

Wiceprezydentka wymieniła się spojrzeniem z inspektorem.

– To była tylko kontrola – odparł w końcu Rychlewski. – Wykazała zresztą, że warstwy są całkowicie szczelne. Nie ma najmniejszych powodów do obaw.

– Jakich obaw? – wtrącił się Piotr.

– Żadnych obaw! – ucięła kategorycznie Barska.

Paulina stwierdziła, że skoro odhaczyli temat uszkodzeń, może w końcu przejść do najbardziej ją interesującego tematu.

– Dysponujemy pewnym nagraniem – zaczęła ostrożnie – rzekomo wykonanym w trakcie robót przy tunelu, na którym jest mowa o odnalezionym tutaj wraku okrętu. – Urwała i spojrzała na wiceprezydentkę i inspektora.

Oboje patrzyli w taki sposób, jakby nagle zorientowali się, że rozmowa zaczyna zbaczać dokładnie tam, gdzie się obawiali.

– O czym pani mówi, na miłość boską? – zapytała w końcu Barska.

– Pani redaktor – Rychlewski uśmiechnął się protekcyjnie – ja czytałem pani artykuły w „Dzienniku Szczecińskim”. Te skany, które państwo zamieścili, w żaden sposób nie wiążą się z tunelem. Tak samo zresztą jak tragiczna śmierć pana Moszenickiego. Wiązanie tych spraw z naszym miastem to, proszę mi wybaczyć, ale bardzo prymitywne szukanie sensacji.

Paulina wyjęła z torebki tablet. Po chwili w gabinecie wiceprezydentki rozległy się głosy dwóch mężczyzn.

Piotr obserwował Barską i Rychlewskiego. Gdy w nagraniu padły słowa na temat wraku, na ich twarzach pojawiło się autentyczne zaskoczenie. Wiceprezydentka dodatkowo wyraźnie zaczęła się irytować.

– Pani redaktor – odezwała się, gdy nagranie dobiegło końca. – I co to ma być? W jaki sposób ma się wiązać z tunelem pod Świną?

– To nagranie było w materiałach, które przekazał Moszenicki...

– Ja czytałem także ten pani artykuł, w którym wyskoczyła pani z tym całym skarbem. – Rychlewski się uśmiechnął. – Rozumiem, że pani szuka dobrego materiału, sensacji, media teraz żerują na najniższych instynktach, ale...

– Więc nie rozpoznają państwo głosów na tym nagraniu? – przerwała inspektorowi Paulina. – Czy któryś z tych ludzi to może być Paweł Nowacki?

– Zdecydowanie to się posunęło za daleko. – Wiceprezydentka poruszyła się nerwowo. – Nie bardzo wiem, do czego pani zmierza.

– Paweł Nowacki to akurat mój kolega – odezwał się Rychlewski. – Gwarantuję pani, że żaden z tych głosów nie należy do niego. Plotki na temat skarbu rozpuścił jeden z jego pracowników, którego Nowacki wyrzucił. I to nie z tej budowy, ale pół roku później. Teraz mści się, opowiadając o nim niestworzone rzeczy.

– Przed pani przybyciem przeczytałam bardzo ciekawy artykuł na temat sposobów, w jaki „Dziennik Szczeciński” zdobywa reklamodawców – powiedziała złośliwie Barska. – Byłam ciekawa, co też tym razem pani wymyśli.

– Ja niczego nie wymyślam. – Urażona Paulina pokręciła głową. – Rozmawiamy wyłącznie o faktach.

– Rozmawiamy o bzdurach kolportowanych przez jakiegoś pomyleńca – warknął poirytowanym głosem Rychlewski. – Usiłuje pani znaleźć sensację tam, gdzie jej nie ma.

– Wracając zatem do nieszczelności... – Paulina wyciągnęła ostatnią kartę. – Dowiedziałam się, że przesiąkanie wody

stwierdzono także na klatce ewakuacyjnej oznaczonej E jeden, właśnie tam, gdzie rzekomo miał się znajdować ten wrak.

– Pani naprawdę wierzy, że na budowie, na której był cały batalion inspektorów nadzoru, którzy w dodatku, także z powodów politycznych, patrzyli sobie nawzajem na ręce, nie zauważono by czegoś takiego jak wrak okrętu?!

Wiceprezydentka, według obserwującego ją Piotra, siłą powstrzymała się przed postukaniem się w czoło.

– Nadzór autorski, nadzór sprawowany przez inżyniera kontraktu, nadzór inwestora zastępczego – perorowała Barska, wysuwając kolejne palce. – Wreszcie nadzór instalatorów, rzeczoznawców przeciwpożarowych. No i do tego cały czas szwendające się po budowie ekipy telewizyjne. A pani pisze o tym, że ktoś znalazł tam skarb i go potajemnie wyniósł? No na miłość boską!

– Nie odpowiedzieli państwo na pytanie o przecieki na klatce E jeden – przypomniał Piotr.

Barska zerknęła na Rychlewskiego, który teatralnie wzniosł oczy do nieba.

– Jak powiedziałem na początku, struktura pracuje i takie drobne nieszczelności są całkowicie naturalne. Faktycznie stwierdzono tam przesączanie się wody, monitorujemy sytuację. Za tydzień rozpoczną się prace gwarancyjne. Wykonawca zamrozi ponownie grunt przy ścianie klatki ewakuacyjnej, a następnie naprawi i uszczelni ścianę.

– Jeśli to wszystko, to bardzo państwu dziękuję. – Barska podniosła się. – Przypominam o tym, że zarówno tekst, jak i film – spojrzała wymownie na Macieja za kamerą – wymagają mojej autoryzacji.

Halczyszyn rzuciła kurtkę na krzesło i opadła na drugie, wyciągając przed siebie nogi. Renard podniósł wzrok i spojrzał na nią z ciekawością.

– Znaleźliście coś? – zapytał.

Halczyszyn pokręciła głową.

– Kompletnie nic – odpowiedziała. – Żadnych starych gadżetów, pojedynczych monet czy czegoś podobnego. Jeśli facet naprawdę coś znalazł w tym wykopie na budowie, to albo to sprzedał w całości, albo ukrył lepiej.

– Generalnie można się było tego spodziewać. – Renard wzruszył ramionami. – Możliwe też, że to jednak wszystko bzdury. Rozmawiałem przez telefon z ludźmi z tej firmy, która nadzorowała budowę, Nord/Barentz – przeczytał, spojrzawszy w notatki. – Wyśmiali mnie. Ten inspektor z nadzoru budowlanego, Marcin Rychlewski, także mówił, że to mało prawdopodobne. Według niego budowa była nadzorowana jak strefa pięćdziesiąt jeden i to, że ktoś tam znalazł skarb, to kompletne brednie.

– A dziewczyna? – Halczyszyn podniosła się i podeszła do szafki, na której stał czajnik. – Powiedziała coś? – spytała, nalewając sobie gorącej herbaty.

– Nie poznała Nowackiego.

– Sądzisz, że kłamał?

– Na jego profilu jest naprawdę rozmowa z jakąś laską. Pewnie można udowodnić, że to ona, ale to będzie trwało.

– Możliwe też, że rozmawiał, ale się nie spotkali. Połowa takich rozmów na tych stronach kończy się w necie. Ludzie się umawiają, po czym nie przyjeżdżają.

Renard pokiwał głową, zastanawiając się, czy Halczyszyn, tak jak i on, nie znała tego przypadkiem z własnego doświadczenia.

– Też możliwe, ale według mnie wyglądała tak, jakby ktoś ją zastraszył – powiedział.

– Zastraszył? – Halczyszyn usiadła na krześle i upiła łyk herbaty. – Jakiś jej opiekun?

– Raczej nie. Nie sądzę, żeby ona w ogóle miała opiekuna. To zwyczajna studentka, która dorabia sobie do czynszu. Ktoś z nią wcześniej rozmawiał i chyba ją przekonał, żeby niczego nie pamiętała.

Paulina w drodze powrotnej ze Świnoujścia oglądała w podglądzie kamery cały nagrany materiał i zastanawiała się, jak to dodatkowo uatrakcyjnić. Martwiła ją też autoryzacja, przy której upierała się wiceprezydentka. Nie z powodów merytorycznych oczywiście, ale terminowych. Barska, zaślanając się brakiem czasu, mogła autoryzować jej materiał nawet i przez miesiąc.

Pomyślała, że będzie musiała porozmawiać z prawnikiem, czy wystarczy wysłać Barskiej całość z informacją, że jeśli nie prześle uwag w ciągu określonego czasu, to materiał zostanie opublikowany. I czy to wystarczy do zabezpieczenia gazety przed ewentualnymi jej pretensjami.

A Paweł chciał to puścić w piątek, westchnęła ciężko. Piątek był jutro. Nawet jeśli to wszystko skleci do poniedziałku, a Maciej zrobi z tego porządną relację, to pójdzie najwcześniej we wtorek.

Dodatkowo cały czas nie miała wieści od Halczyszyn. Czy mogła wreszcie dodać do artykułu nagranie? To by zdecydowanie podniosło oglądalność. I wywołało tę upragnioną przez Pawła gównoburzę.

No i jeszcze wypadało poinformować o tym Borysa albo nawet jednocześnie puścić to w „Dzienniku Szczecińskim” i na

jego portalu. Chociaż na to pewnie Paweł będzie kręcił nosem.

Jej rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu.

Spojrzała na wyświetlacz i pomyślała, że powiedzenie „O wilku mowa” musi się zdecydowanie opierać na jakichś nieodkrytych jeszcze, może kwantowych, prawach fizyki.

– Jadę samochodem – uprzedziła. – Nie sama.

– Okej. – Halczyszyn ściszyła głos. – Dzwonię właściwie tylko po to, żeby ci powiedzieć, że możesz puszczać to nagranie.

– Zajebicie. – Paulina uśmiechnęła się do siebie. – Zdążyłaś w ostatniej chwili. Coś z niego wynikło? – zapytała ostrożnie.

– Niewiele, ale Modzelewski i tak chce postawić zarzuty Nowackiemu. Prawdopodobnie w poniedziałek prokuratura zrobi konferencję na ten temat.

Halczyszyn się rozłączyła, a Paulina od razu zaczęła przemontowywać redagowany w głowie artykuł, tak żeby uwzględniał tajemnicze nagranie.

Urszula z zadowoleniem patrzyła na statystyki ostatnich postów na stronie. Zasięgi poszybowały w górę. Jej ostatni tekst udostępnił cały Szczecin i chyba wszędzie go komentowano. To był autentyczny sukces. Z zadowoleniem pomyślała, że portal SzczecinNaPrawo jest coraz bardziej rozpoznawalny i to wyłącznie jej zasługa. Jej bezkompromisowości, przywiązania do etosu dziennikarza i wartości, którymi powinien się kierować.

Ale minął tydzień, a bez newsów zainteresowanie czytelników będzie spadało. A przecież ta afera z udziałem „Dziennika Szczecińskiego” nadal nie została wyjaśniona. No i ten brukowiec umilkł. Nie napisali żadnego komentarza, nie zareagowali nawet na jej artykuł. A przecież to prawdziwy

skandal, żeby dla reklamy się tak sprzedać. I to komu? Deweloperom.

Przemknęło jej przez myśl, że sama umieszcza ostatnio reklamy na stronie, a i napisała własnoręcznie krótką wzmiankę o nowej inicjatywie budowy hotelu dla pielgrzymów, za którą siostry jej zapłaciły. No ale przecież to zupełnie co innego. I chodziło o lobbowanie w celu pozyskania działki od miasta, czyli było to jak najbardziej szlachetne. Nie to co zarabianie na sensacji i apartamentowcach dla bogaczy.

No i była jeszcze ta rozmowa Lameńskiego z Korytko. Co doradca prezydenta mógł mieć na myśli, pisząc, że jeden z dziennikarzy „Dziennika Szczecińskiego” jest podejrzany?

Czyżby wsadziła kij w prawdziwe mrowisko? W brudną stajnię Augiasza?

Uśmiechnęła się do siebie. Trzeba o tym przypomnieć. Razem z tym, czego się właśnie dowiedziała, to będzie kolejny strzał w dziesiątkę.

W niewielkim baraku, w którym przechowywano narzędzia i środki chemiczne niezbędne przy robotach budowlanych, siedziało trzech młodych mężczyzn. Przez zakratowane okno wlewało się do wnętrza brudne, mlecznobiałe światło, a z ekranu telefonu jednego z robotników jarzyła się niebieskawa poświata.

– To jednak ryzyko – rzucił przyciszonym głosem potężnie zbudowany, łysiejący drab, z szyją pokrytą charakterystycznym tatuażem, siatką, która najwyraźniej plotła się i na niższych partiach ciała mężczyzny. – A jak ten gościu i gościowa nie wyjadą? Poza tym tam są jacyś sąsiedzi pewnie.

– Dom leży na uboczu. – Alan Cieśla przesunął palcem po ekranie, na którym ukazała się szersza perspektywa położonego

przy lesie budynku. – Jest nowy. Nowacki go dopiero co postawił, ale jego żona nie chce się tam przeprowadzić, bo nie lubią się z jego starymi.

– Skąd wiesz, że oni w piątki wyjeżdżają? – zapytał ten szczupły, brodaty, o chłopięcej urodzie.

– Każdy piątek spędzają u siostry Nowackiego w Goleniowie, a teraz akurat jest ósmy grudnia, imieniny córki tej siostry. Na bank wrócą dopiero przed północą. Ciemno jest już o ósmej i nie ma psa. Czego chcesz więcej?

– I mówisz, że znasz ten teren? – dopytywał się wielki drab.

– Ale ty strachliwy jesteś, Michu – stwierdził brodaty chłopak.

– No fakt, ty się bardziej powinnaś bać więzienia, lalunia.

– Przestańcie pierdolić – zniecierpliwiał się Alien. – Jutro! Wchodzimy od strony lasu i obczajamy garaż i barak na działce. I to wszystko. To ostatni moment! Policja już się kręci koło Nowackiego i za chwilę sami to namierzą.

– A to rzeczywiście tam stoi? – Mężczyzna nazwany Michem rzucił jeszcze Alienowi powątpiewające spojrzenie.

– Na bank! – stwierdził Alien zdecydowanie. – Nowacki trzyma tam droższy sprzęt budowlany, który boi się przechowywać w swoim magazynie. Robiłem tam u nich kostkę, płot i bramy i zajrzałem kiedyś do tego baraku, i to tam stoi.

– No dawaj, Michu. – Brodaty chłopak uśmiechnął się zachęcająco. – Żadnego ryzyka. Przecież to nie jest nawet włam. Niczego nie kradniemy.

– Właśnie – przytaknął Alien. – Nowacki sam to przecież ukradł.

– Dobra. – Michu skinął głową. – Ale potem stawiasz wóde.

– Się wie. – Alien wyszczerzył zęby.

Rozdział 18

Bywa, że losy świata są w rękach szaleńców. Chociaż może w tym akurat przypadku określenie odwołujące się zarówno do losów, jak i świata było mocno na wyrost. Pewne jest natomiast, że gdyby nie przedsięwzięte przez nich działania, to wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. I wcale nie jest powiedziane, że lepiej.

Wszystko zaczęło się jeszcze w czwartek. Po południu. Wtedy to bowiem do pewnego mieszczącego się na poddaszu mieszkania na Gumieńcach przyszła pewna Ukrainka w średnim wieku, żeby, jak co tydzień, zaprowadzić tam porządek.

Piter od godziny krzątał się po kuchni, rozstawiając na blacie wyspy rozmaite ingrediencje i wiktuały, które miały mu posłużyć do przygotowania oryginalnej kolacji. Oczywiście pewne było, że Bartosz i tak nie zauważy żadnej różnicy, ale Piter po prostu lubił gotować. Gotować, piec, cokolwiek. Generalnie lubił kuchnię. Wszystkie nowe przepisy, zanim pochwalił się nimi na imprezie czy przyjęciu dla znajomych, niekoniecznie przy świecach, testował najpierw oczywiście na Bartku. Przy czym, najczęściej, jedyne, co z tego wynikało, to pewność, że zjedzenie potrawy nie prowadzi do zgonu. Inne wnioski wykluczała bowiem całkowita, bezrefleksyjna wszystkożerność Bartka.

Piter był właśnie na etapie czytania rewolucyjnego i całkowicie obrazoburczego sposobu na przygotowanie indyka, gdy do aneksu zajrzała Nadieżda.

– Panie Petro – zagaiła nieśmiało. – Ja mam takoj wielikoj probliema. Kłopot znaczit.

– A co się stało? – Piter oderwał wzrok od tabletu i spojrzął na zafrasowaną Ukrainkę.

– Mówiła panu, że ja prybirannie robiła w domie tego pana, którewo ubili.

Piter odłożył tablet na blat. Skoro Nadieżda zdecydowała się mówić na temat Moszenickiego, to należało słuchać i zapamiętać każde słowo. Przemknęło mu przez myśl, żeby wszystko nagrać, ale pewnie jakby o tym wspomniał albo co gorsza bez pytania włączył przy niej nagrywanie na komórce, toby się przestraszyła.

– No to co się stało? – zapytał ostrożnie.

Ukrainka przestąpiła z nogi na nogę.

– Bo ja nie znaju, czy idi tam zawtra, czy niet. On mnie zaplatił za całyje dwa misiacy. To szto ja mam robit?

– Przecież dom jest pusty. – Piter wzruszył ramionami. – I tak nikt cię tam nie wpuści.

Nadieżda, mimo że generalnie posługiwała się językiem ukraińskim, wrzucając jedynie pojedyncze polskie lub rosyjskie wyrazy, po polsku prawie wszystko rozumiała.

– Ale u mienie je kluczi.

Piter na moment zaniemówił. Nie żeby od razu w jego głowie narodził się jakiś plan myszkowania po domu ubitego urzędnika szczecińskiego magistratu, ale uderzył go ogrom możliwości wynikających z samego faktu posiadania kluczy przez ich pomoc domową.

W kontekście oczywiście tego, o czym opowiadał na sobotniej imprezie Piotruś.

Rzekomo istniała jakaś kamera GoPro, na której mógł być nagrany film – mroczny przedmiot pożądania morderców i prokuratury, generalnie przestępców.

– Masz klucze do domu Moszenickiego? – upewnił się.

– Tak, u mienie je kluczi – przytaknęła Ukrainka.

Piter, dla zyskania na czasie, pokiwał głową, udając głębokie zamyślenie. W jaki sposób skłonić ją do tego, żeby zostawiła mu te klucze i jednocześnie nie uznała, że coś kręci.

– Nadiu – zaczął ostrożnie. – Nie powinnaś tam w ogóle chodzić. Policja robiła tam przeszukanie i nie jest powiedziane, że tam nie wrócą. Lepiej trzymać się z daleka.

Ukrainka westchnęła.

– To szto ja budu robiti z kluczami? Komu ja ich widdam?

Piter wstrzymał oddech. Nie mógł uwierzyć, że rozmowa sama z siebie tak się jakoś potoczyła, że wszystko układa się po jego myśli. Byle tylko jej nie spłoszyć.

– Po prostu zostaw klucze u nas – powiedział, wzruszając ramionami. – Nasz kolega jest policjantem. Oddamy mu je po prostu i koniec.

Skąd Nadeżda miała wiedzieć, że nie mają żadnego kolegi policjanta.

– A szto z opłatoju?

– Pieniędzmi się nie martw. Zapłacił, to ci się należą. Polski kodeks pracy tak mówi.

– Czy sprawdi? Destwitielno? – Twarz Ukrainki się rozpozodziła.

– Oczywiście. – Piter skinął zdecydowanie głową. W rzeczywistości nie był nawet pewien, czy w ogóle jest jeszcze w Polsce coś takiego jak kodeks pracy. O prawach pracowników

wiedział tyle, co przeczytał na stronie Razem. Nie sądził, żeby było tam coś o sytuacji, gdy pracodawca zostaje zamordowany. Więc w zasadzie to miał rację. Skoro nie uwzględniono takiej sytuacji, to dlaczego biedna Nadieżda miałaby być stratna?

– Bolszoje spasiba, panie Petro. – Ukrainka uśmiechnęła się i ruszyła w kierunku korytarza. – Siejczas pryniesu kluczi. A patom ja bystra zrybie pariadok.

– Zryb – mechanicznie odpowiedział pogrążony w myślach Piter.

Piątkowe przedpołudnie Piter spędził niezwykle intensywnie. Jakieś trzy godziny zajęło mu pośpieszne porządkowanie bieżących spraw i przygotowanie kilku ofert dla klientów, którzy akurat się napatoczyli. Gdy wreszcie się ich pozbył, wyrwał się z pracy w założeniu na krótką chwilę, by spędzić niezwykle ekscytujące dwie godziny w magazynach rekwizytów i garderobie Teatru Współczesnego, w którym pracowała jego koleżanka.

Korzystając z pomocy zaprzyjaźnionej garderobianej, wybrał w końcu wszystko, co było mu potrzebne. Z wielką torbą wypełnioną rekwizytami wrócił do swojego biura i nie mogąc się doczekać końca pracy, spędził tam jeszcze dwie godziny.

Około siedemnastej wpadł do domu, rzucił torbę na podłogę i skoczył do kuchni, żeby przygotować sobie i Bartkowi coś do jedzenia. Pół godziny później był wreszcie wolny i mógł w końcu zamknąć się w łazience.

Bartosz wrócił do domu jakoś koło godziny siódmej. Zastał niecodzienną ciszę. Od razu wydało mu się to podejrzanе. Zazwyczaj w piątek grała już muzyka, a Piter szykował się do rozpoczęcia weekendu. Jeśli gdzieś wyjeżdżali, to całe mieszkanie zawałone było ciuchami, jak wybierali się na jakąś

impresę, to w zasadzie także, tylko ciuchy były inne. Podobnie gdy niczego nie planowali, w tle zazwyczaj grała muzyka, a Piter radośnie gadał o pierdołach. Tymczasem teraz w domu panowała cisza i wszystko było na swoim miejscu. Było to wysoce podejrzane.

Bartek postawił torbę w holu i ruszył do pokoju. Rozejrzał się, rzucił okiem na stół w kuchni. Stało tam przygotowane jedzenie, ale tylko dla niego. Wrócił do salonu, żeby sprawdzić, czy na ławie nie leży przypadkiem list pożegnalny albo coś w tym stylu, ale ława była pusta. Jeśli nie liczyć talerza z owsianymi ciastkami. Które, notabene, były okropne, ale zjadł ich chyba z kilogram, żeby nie urazić Pitera.

Nagle w korytarzu rozległ się hałas i otworzyły się drzwi do łazienki.

Bartek odwrócił się i zamarł.

Stare audi wjechało w leśną drogę i poskrzypując zużytym nadwoziem, potoczyło się pomiędzy sosnami.

– Nie uprzedziłeś, że to, kurwa, taka dzicz – warknął Michu zza kierownicy. – Jak mi się coś zjebie, to będziesz płacił za warsztat.

– Jak łykniemy ten kufer, to kupisz se nową audicę. – Alien patrzył na ekran komórki.

Dom Nowackiego stał praktycznie na samym końcu Wołczkowa. Jeden z tych domów, które zbudowano na polu, pod lasem, bez drogi dojazdowej, o którą później latami dopominali się mieszkańcy zabudowywanych w ten sposób posesji.

– Ja się nie dziwię, że ci jego starzy stąd wyjeżdżają co chwilę – mruknął brodaty chłopak. – Pewnie się cykają tu mieszkać.

– Marzena się cyka. – Alien spojrział w okno. – Starzy Nowackiego się dołożyli pół na pół i mieli mieszkać razem, ale

ona musi mieć blisko do fryzjera, kosmetyczki i takie tam. A tak naprawdę to ostatnio cały czas się żarli. Nawet jak im ten płot robiłem, to z chałupy stale dochodziło kłapanie jej jadaczki. Weź tam skręć. – Machnął ręką Michowi, wskazując ciemną, odchodzącą w głąb lasu przecinkę.

– I będziemy targać ten kufer przez las?

– A co chcesz, kurwa, pod dom zajechać?

Audi zjechało w boczną drogę z drogi, która wydawałoby się, że już bardziej na boczną wyglądać nie mogła.

– Zatrzymaj się tam. – Alien pokazał palcem prześwitujące między drzewami światła.

– Miało nikogo nie być!

– To światło przy wejściu. Zawsze zostawiają na noc.

Samochód przejechał wolno jeszcze kilkanaście metrów i wreszcie się zatrzymał.

Pomiędzy czarnymi konarami sosen widać było odcinające się na śniegu ogrodzenie z siatki. W głębi wznosił się rozległy, parterowy dom, a nieco dalej, przy samym płocie, stał budynek gospodarczy.

Bartek stał jak wryty i wpatrywał się w osobę, która wyszła z łazienki i stała teraz przed nim w korytarzu.

– I jak?

Bartek wymacał za plecami krzesło i powoli usiadł.

– Czy tobie... – zaczął. – To znaczy nigdy nie ujawniałeś się z takimi potrzebami...

– Ja się pytam, jak wyglądam!

– Czy tobie odbiło? – Bartek w końcu ocknął się z zaskoczenia i spojrzał na Pitera z irytacją.

- Czy tak trudno powiedzieć, jak wyglądam?
 - Jak idiota!
 - Bartek! Nie wkurwiał mnie! Powiedz mi po prostu, jak wyglądam! Nie przypominam ci kogoś?
 - W tych kozakach z futerkiem? I w durnowatej peruce?! Jak drag queen wyglądasz.
 - Zaraz mnie szlag trafi! – Piter obrócił się niezręcznie i o mały włos nie potknął się i nie wpadł na stojące przy ścianie lustro. – Z tobą to nic nie można zrobić! Wiesz, ile mnie kosztowało to przebranie?
 - A co ja mam niby z tobą robić? – Bartek podniósł się z fotela i obszedł dookoła zirytowanego Pitera. – I po co żeś się w to wszystko ubrał?
 - Nie wyglądam jak Nadieżda?!
 - Jak kto? – Bartek otworzył szeroko oczy. – Na... Przebrałeś się za Nadieżdę? Boję się zapytać, po co.
 - Ale nie przypominam ci jej? W ogóle? – Piter zrobił kilka kroków po korytarzu i stanął, podpierając się pod boki.
- Bartek spojrzał na Pitera ze zgrozą.
- Ja odmawiam takich zabaw! Kategorycznie! Takie rzeczy trzeba uzgadniać wcześniej!
 - Zaraz ci tak przywalę tą torebką, że ci się w ogóle odechce jakichkolwiek zabaw! To wyglądam jak Nadieżda? Mów, do cholery! Z daleka przynajmniej. Nikt mnie z bliska nie będzie oglądał.
- Bartek nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił.
- Alien potrząsnęła latarką i na śniegu rozlała się plama jasnego światła.

– Czyli dojazd jest od frontu? – spytał pochylony nie wiadomo dlaczego Michu. – Wchodzimy od tylca, tak? I psa nie ma?

– Nie ma. – Alien pokręcił głową i naciągnął na nią kaptur czarnej bluzy. – Wzięłeś nożyce do stali?

Michu wyciągnął w jego kierunku narzędzie.

– To trzymaj. Kłódkę trzeba będzie przeciąć. Ty, Lalu, staniesz na rogu garażu i będziesz obserwował – zwrócił się do brodatego chłopaka, który pokiwał głową.

– Jesteś pewny, że tam jest jeszcze łańcuch? A jak już wstawili nowe drzwi?

– Nie wstawili, a jak wstawili, to je otworzymy łomem. Łom też zabierz.

Michu sięgnął do bagażnika i wyjął z niego jakiś stalowy pręt.

– Bierzemy kufer i zabieramy go. Nie tnij tylko siatki! – Alien spojrzał na Micha. – Ma nie być śladów. Skradzionego kufra Nowacki nie zgłosi, ale jak jego starzy zobaczą dziurę, to pewnie zawołają policję.

– A kłódka? – Michu wytknął Alienowi luki w jego planie.

– A chuj. – Alien machnął ręką. – I tak zobaczą, że nic nie zginęło, nie? Mówię ci, do kufra to się Nowacki nie przyzna.

Po chwili cała trójka cichcem ruszyła pomiędzy drzewami w kierunku domostwa.

Bartek, opadając po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu minut na fotel, pomyślał, że nie powinien się tak denerwować. Stres wypłukał mu chyba właśnie cały magnez z organizmu. Przez Pitera jeszcze udaru dostanie.

– Ty nie mówisz tego poważnie? – westchnął, pocierając czoło.

– Oczywiście, że mówię poważnie. – Piter przeszedł się szybkim krokiem po korytarzu, stukając głośno obcasami, i stanął w końcu przed fotelem, w którym siedział Bartek.

– Już się jakoś trzymam na tych obcasach.

– W ogóle nie kręcisz biodrami. Nadzieja porusza się kobieco. Poza tym jesteś za wysoki.

– Tak? – Piter zrobił kolejne kilka kroków, kręcąc mocno pośladkami.

– Może jednak poprzednio było lepiej...

– Bartek! Ty w ogóle mi nie pomagasz! – Piter stanął na środku i wziął się znowu pod boki.

– Co ty w ogóle robisz z tymi rękami? Kobiety pod boki to brały się ostatnio w połowie dziewiętnastego wieku!

– Ja nie zamierzam grać w teatrze, tylko otworzyć furtkę i wejść do tej chaty! Tam rosną wysokie tuje, więc i tak nikt się nie będzie dokładnie przyglądał.

– Wiesz, że w więzieniu to ci łatwo nie będzie?

– Poznaliśmy właśnie prawnika, nie? – Piter chwycił torebkę, przemaszerował przez korytarz i wszedł do pokoju, zostawiając w holu z trudem dochodzącego do siebie Bartka.

Alien i chłopak ze względu na urodę nazywany przez kolegów Lalu, schowani za winklem garażu, obserwowali, jak Michu zabiera się do przecięcia łańcucha. Przez moment słychać było ciche pobrząkiwanie, a zaraz potem łoskot łańcucha, który spadł na kamienny podjazd garażu.

Michu otworzył jedno skrzydło wrót i wślizgnął się do środka.

– Rozglądaj się – syknął do chłopaka Alien, a następnie trzymając się blisko ściany, podbiegł truchtem do bramy i wskoczył do środka budynku.

Wewnątrz zobaczył, jak Michu, przyświecając sobie latarką, rozgląda się po wnętrzu zagraconego garażu. Na środku, zaraz za wrotami, było miejsce tylko na jeden samochód. Po bokach i na tyłach wznosiła się góra różnych urządzeń i narzędzi.

– My to możemy, kurwa, tydzień w tym gównie grzebać. – Michu spojrzał ze złością na Aliena. – Taki burdel, że trzeba będzie przerzucać wszystko.

Alien zapalił latarkę i ruszył na tyły garażu. Kilka wielkich pakunków było nakrytych folią budowlaną. Alien złapał za jej koniec i ściągnął ją.

Pod spodem ukazała się zagęszczarka do gruntu, a obok dwa spalinowe ubijaki Husqvarny. Za nimi stała cała kolekcja szpadli i łopat.

Alien wlaźł pomiędzy urządzeniami głębiej i ściągnął kolejną folię, pod którą, oparte o ścianę, stały dwie kruszarki szczękowe.

– A to nie to? – doszedł do niego nagle przejęty głos Micha.

Alien wydostał się spomiędzy wyglądających jak narzędzia tortur urządzeń budowlanych i podszedł do stojącego w kącie Micha, który zaglądał za oparte o ścianę płyty gipsowo-kartonowe.

Za płytami stał wielki, brudny kufer. Drewniane ściany kufra pełne były rys, dziur i ran, których nabawił się przez wieki istnienia. Po bokach przymocowane były metalowe pasy, te zbiegały się na pokrywie klamrami, a z nich zwisała ogromna, ciężka kłódka.

Na moment obaj zaniemówili. Jeśli coś miało wyglądać jak kufer ze skarbami, to, co zobaczyli, nie mogło już tak bardziej wyglądać.

– Ja pierdołę – westchnął Alien. – No serio, to skarb.

– Bier te płyty. – Michu ocknął się najszybciej i złapał za krawędź pierwszej z kilku gipsowo-kartonowych tafli. Chwilę później cała sterta płyt stała oparta o wrota garażu, a kufer zaprezentował się w całej okazałości.

Alien pochylił się i złapał za antabę. Stalowa powierzchnia kłódki była podziurawiona, a tkwiący w niej wielki otwór pozwalał się domyślać jedynie, jak wielki był klucz, który służył do jej otwarcia.

– Potem to obejrzymy – warknął Michu i złapał za wielki stalowy uchwyt na boku kufra. – Bierz i spierdalamy stąd!

Alien chwycił z drugiej strony i dźwignęli kufer. Gdy dotaszczyli go na próg, a okazał się wyjątkowo ciężki, od strony wjazdu na działkę rozległ się hałas.

Najpierw usłyszeli krzyk Lалу. Zanim zdążyli zareagować, dobiegł ich łoskot otwieranej bramy, a potem tętent kilku par butów po kamiennym podejździe do garażu i wreszcie oślepiły ich skierowane na twarze światła latarek.

Samochód zwolnił u wylotu Hrubieszowskiej przy wjeździe na Spiską i zatrzymał się niezdecydowanie na usytuowanym na rogu parkingu.

– Nie uwzględniliśmy tego twojego cholernego samochodu.
– Piter spojrzał z wyrzutem na Bartka. – Już bardziej się w oczy rzucać nie możemy. A mówiłem, żebyś kupił czarny?

– Covid był! – warknął Bartek. – Na czarny to byśmy jeszcze czekali! Były tylko złote.

– Ale po co ty w ogóle mnie tu odwozisz? Przecież do nas stąd jest kawałek.

– I co?! Nadzieja zaraz po okradzeniu domu trupa poszłaby prosto do nas? Na oczach wszystkich sąsiadów?

Piter przez chwilę milczał.

– Poszedłbym naokoło – odpowiedział w końcu.

– Jasne – warknął Bartek. – I wszyscy w dzielnicy by cię widzieli.

– A to, że będę wsiadał do twojego samochodu, to nie wzbudzi podejrzeń?

Bartek wzruszył ramionami.

– Jeździ z nami często Gosia albo Aga. Może po prostu któraś z nich się z nami tutaj umówiła i jedziemy do teatru.

– Już widzę, jakie byłyby szczęśliwe, gdybyś powiedział, że ktoś może je pomylić ze mną w tych ciuchach.

Alfa po długim namyśle w końcu skręciła na parking i wcisnęła się pod koronę rosnącego na rogu klonu.

Piter rozejrzał się dookoła. W leżącym po drugiej stronie ulicy Spiskiej budynku, w którym mieścił się jakiś zakład, wszystkie światła były wygaszone. Stojący przy parkingu blok na szczęście był przesłonięty łysą wprawdzie o tej porze roku, ale za to rosochatą koroną drzewa.

Piter naciągnął perukę i spojrział w lusterko nad przednią szybą.

– Na pewno wiesz, gdzie jest ta kamerka? – spytał Bartek.

– Piotr mówił, że w biurku w gabinecie. Z holu gabinet jest po lewej. Stoi tam duże biurko, a na ścianie podobno wisi jakiś okropny obraz.

– I to wszystko wiesz od Nadii? – Bartek pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ludzi trzeba słuchać. – Piter wziął głęboki oddech, złapał za torebkę i wysiadł z samochodu.

Przy garażu wyrosły nagle sylwetki trzech ubranych na czarno mężczyzn. Alien, oślepiiony skierowanym na jego twarz światłem latarki, znieruchomiał. Rozległ się krzyk i zobaczył, że jeden z policjantów wyjmuje pistolet. Michu nagle ruszył gwałtownie do drzwi i wybiegł na zewnątrz.

Alien usłyszał tylko, jak ktoś krzyczy za nim, żeby stanął, po czym rozległ się harmider i okrzyki kilku innych osób.

Jeden z policjantów szarpnął go za rękę, wykręcił mu je na plecy i założył kajdanki.

Popchnął go na zewnątrz i po chwili Alien klęczał już przy leżącym i skutym Michu. Przebiegło mu przez myśl, że Lulu, najbardziej zwinny z nich trzech, zdołał chyba wcześniej przeskoczyć przez płot i zwiął do lasu. Drań.

Trzymająca się z boku Halczyszyn podeszła teraz do plamy światła, rzuconego przez latarenkę nad garażem, i spojrzała ironicznie na Aliena.

– A tak coś czułam, jak zaczęłaś kręcić o nowym domu Nowackiego.

– Niczego nie ukradliśmy – burknął Alien. – Mówiłem, że Nowacki zwinął skarb z łodzi. Chcieliśmy go tylko zabezpieczyć, żeby z nim nie uciekł.

– Jasne – powiedziała Halczyszyn. – Pogadamy o tym za chwilę.

Odwróciła się i podeszła do wciąż tkwiącego na podjeździe kufra.

Obok niej stanął Renard.

– Uwierzyłybyś? – mruknął. – Rzeczywiście znaleźli skarb.

Piter, który bez mała godzinę chodził w tę i w tę po poddaszu, stwierdził, idąc wąskim chodnikiem przy Spiskiej, że

powoli nabiera wprawy. Nie żeby zamierzał to robić częściej, ale kto wie, kiedy przydadzą się ponownie takie umiejętności.

Ulica była pusta, w oknach jednorodzinnych domów, schowanych za gęstymi żywopłotami (Piter podziękował w tym momencie opatrności za to, że Polacy nie wyobrażali sobie już ogrodu bez tui), paliły się w oknach światła, a wszędzie migotały jakieś lampki, porozwieszane świecące łańcuchy i błyskające oczami renifery.

Piter rozejrzał się dyskretnie i z opuszczoną głową wszedł na ostatni odcinek ulicy. Kilkadziesiąt metrów dalej widać już było kilkumetrowej wysokości szczelny zielony bastion z żywotników i tkwiącą w nim furtkę. Dotarł tam w końcu, wsadził klucz w zamek i znalazł się po chwili w obejściu domu. Po lewej stronie, za żywopłotem paliły się w oknach sąsiedniego domu światła, ale główne wejście do domu Moszenickiego było na szczęście schowane za ścianką i zadaszeniem.

Piter wsadził klucz w zamek i przekręcił. Cały czas obawiał się, że Nadia po prostu nie wiedziała o alarmie. Albo Moszenicki za każdym razem, jak miała przyjść, go wyłączał. Mógł też wyłączać go zdalnie jakąś aplikacją w komórce. Raz kozie śmierć, pomyślał i pchnął drzwi. Znalazł się w małym przedsionku. Minęło kilka sekund, a nic nie zawyło.

Piter wszedł ostrożnie do holu i przystanął. Alarmu najwyraźniej nie było.

Odetchnął z ulgą i rozejrzał się. Poprawił mikrofon w uchu.

– Jestem w środku – szepnął.

– O Boże! – jęknął Bartek. – Zabieraj tę kamerkę i uciekaj stamtąd!

Piter wszedł do pomieszczenia po lewej i zlustrował je wzrokiem. Pod oknem stało biurko, tak jak mówiła Nadieżda. Po

przeciwległej stronie znajdowała się sofa, a nad nią wisiał ten okropny obraz.

Piter podszedł bliżej i poświecił latarką.

– Wiesz, co to za obraz? Ten okropny? – szepnął do mikrofonu. – To Anna Wojsznis. On chyba jest sporo wart.

– Bierz tę kamerkę i wypierdalaj stamtąd! – W głosie Bartka wyraźnie słychać było panikę. – Nie planowaliśmy kraść niczego więcej!

Piter podszedł do biurka. Kamerka, o ile Piotr dobrze zapamiętał to, co mówiła policjantka, miała być w dolnej szufladzie. Ukucnął i szarpnął za najniższy uchwyt.

W szufladzie kłębiła się masa pasków, plastikowych uchwytów, szelek na piersi i na czoło, a w niewielkim pudełku leżał mroczny przedmiot pożądania – kamerka GoPro.

Piotr sięgnął po nią, gdy pod zapętlonymi kolorowymi paskami dostrzegł coś jeszcze.

– Są dwie – szepnął ze zgrozą. – I co teraz?

Ich diaboliczny plan zakładał podmianę kamerki. W tym celu zabrał ze sobą swoją osobistą kamerkę, z której przez godzinę domostosem usuwał odciski palców. Ze sformatowaną i pustą kartą pamięci.

– I tak to się kończy właśnie – jęknął płaczliwie Bartek.

Piter zamarł z ręką w szufladzie. Pięćdziesiąt procent szans, że zabierze właściwą. Po raz drugi już tutaj przecież nie przyjdzie.

– Zabierz obie! – szepnął histerycznie Bartek. – Nie zorientują się. No kurwa! Zjeżdżaj stamtąd!

Piter chwycił obie kamerki, włożył do środka swoją i zamknął biurko. Na chwilę zamarł, gdy ulicą przejechał jakiś samochód,

po czym rzucił się do drzwi.

Halczyszyn pochyliła się nad kufrem i dotknęła kłódki.

– On chyba jest otwarty. – Podniosła wzrok na Renarda. – Była przepiłowana, widzisz? – Wskazała palcem widoczne ślady cięcia.

– Tak czy siak, musimy otworzyć komisyjnie i obejrzeć zawartość – mruknął Renard, wpatrując się w kufer. – Dzwoniłem już do tych Nowakowskich, ale z Goleniowa to oni będą za godzinę z hakiem.

– Nie będziemy tutaj czekać godzinę – westchnęła Halczyszyn. – Zostawimy tu chłopaków.

Halczyszyn zdjęła kłódkę z rygla, odłożyła ją na ziemię, a następnie szarpnęła za pokrywę.

– Tak nie dasz rady. – Renard rozejrzał się. Na posadzce garażu leżał łom, który zostawił Michu. Renard podniósł go i podszedł do kufra. Wsadził łom pomiędzy wieko a skrzynię i podważył je. Pokrywa ze skrzypieniem odskoczyła, a Renard złapał za jeden z pasów i szarpnął.

Halczyszyn spodziewała się wprawdzie, że widok zawartości kufra może ją zaskoczyć, ale to, co zobaczyła, wprowadziło ją w autentyczne osłupienie.

Stała przez moment, kontemplując ową zawartość i zastanawiając się, o co może tutaj chodzić. W końcu podniosła wzrok i spojrzała na Renarda.

Był tak samo zaskoczony jak ona.

– No i co to ma być? – zapytał.

Rozdział 19

Paulina praktycznie całą sobotę i na dokładkę pół niedzieli spędziła na pisaniu artykułu na temat tunelu w Świnoujściu. Przy czym w sobotę siedziała jeszcze z Filipem i Maciejem w redakcji i montowali film, który miał równolegle pójść na portalu.

Okazało się, że łatwe to nie było.

Paulina doskonale zdawała sobie sprawę, że wszystkie te techniczne aspekty, o których opowiadał najpierw Bartosz z iswinoujście.pl, a później inspektor z nadzoru budowlanego, ten cały Rychlewski, nie trafią nawet do połowy czytelników ani słuchaczy. Musiałoby rzeczywiście istnieć jakieś realne zagrożenie, tymczasem te przecieki na asfalcie przy wjazdach, o których notabene wszyscy już wiedzieli od tygodni, były mało porywające. Nie mogła jednak pisać o żadnej katastrofie, bo Barska nie zgodziłaby się tego autoryzować i musieliby wyciąć cały wywiad. Więc siłą rzeczy pozostawało hardcorowe nagranie, które na szczęście było tak *creepy*, że przynajmniej z pewnością wywoła burzę. Zwłaszcza że głos jednego z mężczyzn należał do Moszenickiego, zamordowanego w tajemniczych okolicznościach urzędnika.

Musiała jeszcze nawiązać do wątku śledztwa, rzekomo prowadzonego przez gazetę, a także do denuncjacji Mateckiej. Na forach, nie tylko u nich, ale i na miejskich, zwłaszcza tych moderowanych przez ratusz, co chwila padały pytania o wyniki ich śledztwa. Ubrane najczęściej w złośliwą formę lub teatralnie

wzburzone. Paweł, cokolwiek by mówić, miał rację, że nie mogli dłużej chować głowy w piasek.

Zatem praktycznie cały weekend Paulina spędziła w redakcji. Starła się nie odbierać telefonów i nie czytać wiadomości, żeby jej nie dekoncentrowały, ale wiadomość od Halczyszyn oczywiście odebrała.

Zwłaszcza że było to zdjęcie.

Piotr wpatrywał się w ekran smartfona, który Paulina wsadziła mu przed nos, jak tylko pojawiła się w poniedziałek rano w pracy, i nie bardzo wiedział, jak to skomentować.

– Kamienie? – zapytał w końcu. – I to wszystko?

Paulina parsknęła śmiechem i pokiwała głową.

– Wielki zabytkowy kufer wypełniony kamieniami – powiedziała z mimowolną ironią. – Generalnie to przecież należało się czegoś takiego spodziewać. Kto przechowywałby znalezione w tych okolicznościach monety, kosztowności, czy co to tam było, w garażu? To tylko taki głąb jak Alien mógł sądzić, że Nowacki coś tam jeszcze trzyma.

– Myślisz, że wszystko już sprzedał?

– Przez półtora roku pewnie sobie poradził. Poza tym jeśli było ich trzech, to musieli się podzielić łupem. To aż tak dużo na głowę w tym momencie nie przypadało.

– Dla mnie dużo to byłaby nawet garstka jakichś brylantów, ale ty masz, widzę, jakieś strasznie wyśrubowane standardy – zakpił Piotr.

– Niedużo w sensie przerobienia w ciągu półtora roku. Nowy dom, mieszkanie na Ostrobramskiej, samo to bmw kosztowało pewnie z pół bańki.

– Ale prawdę mówiąc, Poznański cały czas mieszkał w gównianej kawalerce w leningradach. – Piotr podrapał się z namysłem po brodzie. – Ukrył swoją część?

Paulina wzruszyła ramionami.

– W dodatku popełnił samobójstwo. – Pokiwała głową. – To faktycznie się nie zgadza. Chyba że się pożarli. Nowacki naprawdę zabił Moszenickiego, a Poznański nie wytrzymał psychicznie.

– Może ich wykiwał? Na przykład zwodził, że nie mogą od razu sprzedać takich cennych rzeczy, że to będzie podejrzanе. Tymczasem sam gdzieś je ukrył, a oni zaczęli się wkurwiać.

– I Moszenicki postanowił go szantażować – wpadła Piotrowi w słowo Paulina. – W końcu zażądał kasy i zagroził ujawnieniem filmu.

– I żeby go postraszyć, przesał Borysowi tylko te skany, z których dla postronnych niewiele wynikało, ale za to były doskonale czytelne dla Nowackiego.

– A nagranie z komórki? Tam jest jego głos. Moszenickiego znaczy – dodała Paulina, widząc pytające spojrzenie Piotra.

– Moszenicki był rzekomo psychopatą, słyszałaś? Wszyscy, z którymi gadaliśmy, tak o nim mówili. Może celowo tak naigrywał się z Nowackiego. Napisał to hasło do chmury, ale mógł je potem od razu przecież zmienić.

– A tymczasem zginął. – Paulina pokiwała głową. – I nie zdążył.

– No więc właśnie. – Piotr spojrział na leżące przed Pauliną wydruki i notatki. – Jak ten artykuł?

– Chyba w porządku. Zdążyłam w każdym razie napisać. Maciej z Filipem się postarali. Ten film wyszedł naprawdę fajny.

Tak to zmontowali, że wyszło zajebicie, a do tego to nagranie wmontowane... Co tam się dzieje?

Paulina spojrzała w kierunku aneksu naczelnego. Za szklaną ścianą widać było, jak Paweł i Baśka nagle zaczęli głośno o czymś rozmawiać. W dodatku w całej redakcji rozległy się hałasy i głośne komentarze.

Paulina złowiła spojrzenie Pawła i już wiedziała, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Halczyszyn siedziała na krześle przy lustrze weneckim i obserwowała, jak prokurator i asystujący mu Renard maglują Nowackiego. Niewielki pokój przesłuchań wyglądał prawie dokładnie tak jak na filmach. Jasne ściany, stół na środku, cztery krzesła i kamera w narożniku przy suficie. Na stole stał rejestrator głosu, taką szumną nazwę miało nie najnowsze urządzenie, które zastąpiło używane jeszcze całkiem niedawno magnetofony.

Chyba że to dla niej tylko było całkiem niedawno. Czas niestety nie stoi w miejscu.

Halczyszyn spojrzała na Nowackiego.

Dzisiaj był spokojniejszy niż na rozmowie z Renardem, którą obejrzała na nagraniu z kamery. Pewnie była to zasługa prawnika, który go odpowiednio przygotował do tej konfrontacji. Prawnik, w dżinsach, ciemnej koszuli i marynarce Hugo Bossa, siedział spokojnie, ale widać było, że zachowuje czujność, gotowy błyskawicznie zareagować na każde nieprawidłowo według niego zadane pytanie.

Przesłuchanie uparł się prowadzić Modzelewski. Halczyszyn została poproszona jedynie o przyglądanie się z sąsiedniego pokoju. Nie bardzo wiedziała dlaczego. Owszem, nie lubili się z Modzelewskim, ale jego mało kto lubił. Czyżby domyślił się, że

podejrzewali go o jakieś dziwne rzeczy? Może jednak widział Renarda? Wie, że go śledzili?

Prokurator tymczasem podniósł wzrok znad stosu papierów i spojrzał na Nowackiego.

– Powiedział pan ostatnio, że nie wie, o jaki wrak chodzi? – spytał z lekką ironią w głosie. – Czy nadal nie przypominał pan sobie nic na ten temat?

– Tak powiedziałem – przyznał Nowacki. – Sądzę, że to robotnik, który u mnie pracował, Alan Cieśla, rozpuścił plotki o świętyni. Pracownicy na tej budowie nie trzymali się tylko swoich miejsc. Łazili i oglądali robotę innych podwykonawców. Poza tym samo przejście od klatek schodowych do naszych baraków to było półtora kilometra w linii prostej. Cieśla mógł zobaczyć to gdziekolwiek.

– Ale w maju cały korpus tunelu był już gotowy. Tylko wy prowadziliście roboty ziemne przy wykonywaniu klatek. Najpierw mroziliście grunt, później w trzonie tunelu wycinaliście dziurę i w końcu wygrzebywaliście grunt obok tunelu.

– Nie... – Nowacki pokręcił głową z łagodnym uśmiechem i chciał odpowiedzieć, ale jego prawnik go ubiegł.

– W tym samym czasie prowadzone były jeszcze roboty gruntowe na całym terenie inwestycji. Pod budowę budynków socjalnych, biur obsługi, murów oporowych. Gdybyście zajrzeli do akt nadzoru budowlanego, nie trzeba byłoby na ten temat rozmawiać.

Modzelewski pokiwał głową z udawaną aprobatą.

– Rozmawiał pan z Cieślą na ten temat?

– Nie rozmawiałem z nim od stycznia tego roku. Pożegnałem się z nim, bo regularnie nie przychodził do roboty.

– Dlaczego według pana Moszenicki wysłał do Borysa Ignatiuka te skany?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Nowacki pokręcił głową.

– Przecież to jest skan z pańskiego dziennika budowy.

– Panie prokuratorze – odezwał się prawnik. – Nikt tego jeszcze nie udowodnił. To może być skan z jakiegokolwiek dziennika budowy.

– Widnieje na nim podpis Miłosza Poznańskiego, pańskiego kierownika budowy. – Modzelewski skinął głową w kierunku Nowackiego.

– Który mógł pracować na kilku innych budowach. – Nowacki wzruszył ramionami.

– Trzynastego maja?

– Trzynastego maja w tym roku pracował przy hali, którą stawialiśmy na Mierzynie. Nie było tam wykopów.

– A w zeszłym? – zapytał Modzelewski. – Trzynastego maja wykonywaliście akurat roboty przy tunelu. A Cieśla twierdzi, że wrak znaleźliście właśnie na budowie tunelu.

Prokurator wyjął ze swoich notatek zdjęcie i położył je przed Nowackim.

– W pańskim domu policja znalazła stary kufer. Skąd pan go ma?

– Nie pamiętam. Gdy zaczęliśmy budować dom, to często kupowałem różne gadżety. Na OLX-ie nikt nie wystawia rachunków.

Halczyszyn śledziła przesłuchanie i myślała jednocześnie, jak marne są podstawy do oskarżenia tego człowieka. Praktycznie same poszlaki. Ktoś widział go, jak jechał koło ósmej Spiską, dziewczyna nie potwierdziła jego alibi, no i kufer, który nikomu

niczego nie dowodził. Możliwe, że sędzia w ogóle odrzuci to oskarżenie.

Paulina weszła do aneksu Pawła i chciała zapytać, co się stało, gdy jej wzrok przyciągnął otwarty laptop. Chyba intuicja jej to podpowiedziała, bo praktycznie od razu domyśliła się, co się dzieje.

– Matecka? – zapytała.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do biurka Pawła, obróciła do siebie jego laptop i tak, jak się spodziewała, zobaczyła toporne logo portalu SzczecinNaPrawo. Z wielkim białym orłem, który jednym skrzydłem osłaniał nazwę profilu.

Paulina, wymacawszy ręką fotel i nie odrywając wzroku od ekranu, usiadła i zaczęła czytać.

Wracamy do sprawy zamordowanego urzędnika szczecińskiego magistratu. W nasze ręce trafiło bowiem nagranie, zrobione prawdopodobnie aplikacją szpiegującą, którą urzędnik, jak się okazuje, miał zainstalowaną na swoim telefonie.

Nagranie udostępniamy pod załączonym linkiem.

Z nagraniem tym wiąże się nadal niewyjaśniona sprawa rzekomego śledztwa dziennikarskiego prowadzonego przez „Dziennik Szczeciński”. Z naszych ustaleń wynika, że dziennik był w posiadaniu tego nagrania co najmniej od kilku dni. Powstaje pytanie, dlaczego nie przekazał go policji? I drugie, czy to przypadkiem nie dziennikarze tej gazety zainstalowali aplikację szpiegującą?

W dalszym ciągu niewyjaśniony został bowiem charakter serii płatnych artykułów o katastrofach budowlanych, które zainicjował dziennik, a które w efekcie doprowadziły do śmierci inżyniera Miłosza Poznańskiego.

I najważniejsze pytanie w kontekście tych ustaleń: Jaki związek ze śmiercią szefa wydziału zamówień publicznych miał jeden z dziennikarzy tej gazety, co w trakcie rozmowy na portalu Szczecin & LeftSide ujawnił doradca prezydenta pan Mikołaj Lameński?

Czas najwyższy zażądać ujawnienia wszystkich materiałów, którymi dysponuje „Dziennik Szczeciński”, i zapytać o ich udział w tej bulwersującej sprawie.

Będziemy się nadal temu przyglądać.

Paulina skończyła czytać i usłyszała, jak za jej plecami ktoś głośno zaklął.

– Ja pierdołę. – Piotr opadł na fotel obok Pauliny i spojrzał na nią wzrokiem, w którym szok mieszał się ze złością.

– I co teraz? – Paweł zacisnął pięści. – Jak wygląda twój artykuł i film na portal? Miały iść jutro rano.

– Są gotowe. – Paulina założyła ręce na piersi i opadła bezsilnie na fotel. – Ale to nagranie miało tam być głównym atutem. Jak teraz je puścimy, to będzie kompletna wtopa. Wywiad z Barską, trochę informacji na temat tunelu i creepy film Macieja. Zhejtują nas na maksa.

– A w dodatku te zarzuty Lameńskiego. – Baśka ukryła twarz w dłoniach. – To katastrofa.

– Jak ona wpadła na to, skąd ściągnąć nagranie? – Piotr pokręcił głową ze zniechęceniem i nagle zamarł. – Zaraz! Ona na nic nie wpadła!

– Jak nie wpadła? – warknął Paweł z irytacją, wskazując głową ekran laptopa. – A ten link?

– Tak was to zszokowało, że nie zauważyliście, co ona tam nawypisywała? Aplikacja szpiegująca?! Jaka aplikacja? I że to my ją założyliśmy?

– O rany! – Paulina gwałtownie się wyprostowała. – Rzeczywiście! Ona na nic nie wpadła.

– O czym wy, kurwa, mówicie? – Paweł przeliterował każde słowo.

– To nie żadna aplikacja szpiegująca, tylko stara apka do nagrywania rozmów – wytłumaczył Piotr. – Moszenicki sam ją zainstalował. Matecka po prostu nie wie, o czym pisze. Ale to oznacza...

– Że ktoś jej to podesłał – skończyła Paulina.

– Kto? Mówiliście o tym komuś? – Paweł patrzył na Paulinę i Piotra. – Może ten cały Ignac komuś wygadał?

– Borys nikomu by nie wygadał – zaperzył się Piotr. – Mogła na to wpaść jakaś kompletnie randomowa osoba albo... – Spojrzał na Paulinę.

– Halczyszyn na pewno nie. – Paulina pokręciła zdecydowanie głową, a zaraz potem wbiła wzrok w przestrzeń. – Ale ona mówiła, że prokurator koniecznie chce uwalić tę sprawę.

– I dlatego wysłał nagranie Mateckiej? To przecież wywołuje jeszcze większy zamęt. – Paweł ze złości zaczął stukać pięścią w blat biurka. Dobra! – Walnął mocniej i spojrzał na Paulinę. – Trzeba coś zrobić! Siedzeniem tutaj i uzalaniem się niczego nie zdziałamy. Dzisiaj jest wywiad z prezydentem w Szczecin & LeftSide. Ma ogłosić coś ważnego.

– I co z tego? – Paulina patrzyła na niego z niepokojem, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

– Znacie ludzi z tego portalu. Wkręć się tam jako gość.

– Po co? Prezydent od razu wypunktuje nam to śledztwo i Pokrętną. Jeżeli w ogóle będzie chciał cokolwiek komentować.

– To go przyciśniesz za Lameńskiego. Skąd te oskarżenia i że żądasz wyjaśnień. Po prostu zrób tam zamieszanie, na jakikolwiek temat! Żeby odwrócić uwagę od tego gówna Mateckiej! I pośpiesz się, bo to za godzinę!

– Paweł...

– No co Paweł?! Sam bym poszedł i zrobił awanturę, ale mnie tam nikt nie wpuści. To nie ma żadnego znaczenia, że Matecka pisze bzdury. Jej czytelnicy kupią wszystko. Poza tym samo nagranie zrobiło już potworne zamieszanie. – Paweł ruchem brody wskazał swój laptop. – Połowa internetu już się dopytuje, dlaczego nie opublikowaliśmy filmu i jaki mieliśmy w tym interes.

– Mało powiedziane – jęknęła Baśka, wodząc nerwowo wzrokiem po ekranie laptopa. – To my założyliśmy podsłuch. Moszenicki zginął przez naszą niekompetentną akcję szpiegowską. Tak samo jak Poznański. Dlatego teraz spanikowaliśmy i siedzimy cicho. Ludzie już snują takie teorie spiskowe.

Z sali redakcyjnej dobiegał hałas przekrzykujących się dziennikarzy, którzy na żywo komentowali notkę Mateckiej, bez przerwy dzwoniły telefony. Piotr uświadomił sobie, że jego telefon też już dzwonił kilka razy, i sięgnął do kieszeni dzinsów.

Paulina trzęsącymi się rękami także złapała telefon i zerwała się z fotela. Zaczęła jej się udzielać panika, a musiała się przecież uspokoić i namówić jakoś Huberta, naczelnego Szczecin & LeftSide, żeby pozwolił jej wystąpić.

Tylko o czym ona tam będzie, do diabła, gadać?

– Kufer pochodzi z siedemnastego wieku. – Prokurator postukał palcem w zdjęcie. – Nasi specjaliści już to wstępnie

oszacowali. Jest sporo wart. A pan twierdzi, że kupił go na OLX-ie i trzymał w garażu?

– Nie pamiętam, czy kupiłem go na OLX-ie. – Nowacki pokręcił głową lekceważąco. – Nie znałem jego wartości. Sporo cennych przedmiotów można kupić na targach ze starzyzną. Są nawet takie programy telewizyjne.

– A dlaczego Cieśla chciał ukraść akurat ten kufer? Tam stała cała kolekcja bardzo drogich maszyn budowlanych.

– A skąd ja mam wiedzieć, jakie były motywy działania tego durnia?

– Jeden ze skanów, które pan widział, to rzekomo kadr z jakiegoś filmu. – Prokurator spojrział na Nowackiego. – Kojarzy pan, żeby ktoś nagrywał coś na budowie tunelu?

Obserwująca przesłuchanie Halczyszyn dałaby sobie rękę uciąć, że przez twarz Nowackiego przemknął w tym momencie jakiś cień. Przestraszył się?

– Wszyscy to robili – odpowiedział po dłuższej chwili. – Każdy inspektor, każdy urzędnik i politruk, który przychodził na budowę, i każdy oprowadzany gość. Niektórzy robotnicy także.

– Panie prokuratorze – odezwał się prawnik i ciężko westchnął. – Jaki jest cel zadawania mojemu klientowi pytań na temat skarbu ze świątyni? – Mówiąc o skarbie, prawnik wyduł pogardliwie usta i się uśmiechnął.

W kieszeni prokuratora zaterkotała cicho komórka. Modzelewski sięgnął po nią, spojrział na wyświetlacz, po czym wstał, odszedł na bok i odebrał.

– Wróćmy do nagrania z udziałem dwóch mężczyzn – odezwał się Renard i wcisnął przycisk na pulpicie. W głośniku ponownie rozległy się dwa zdenerwowane męskie głosy. – W czasie poprzedniej rozmowy powiedział pan, że jeden z tych

mężczyzn to Moszenicki, a drugi jakiś inspektor. Miał pan czas na przypomnienie sobie tego. Który z inspektorów to mógł być? I o jakie przestępstwo im chodzi?

– Nie mam pojęcia. – Nowacki pokręcił głową. – Na budowie były naciski ze strony nadzoru. Cała ta budowa była polityczna. Nie było tygodnia, żeby nie przylazł tam jakiś...

– Panie aspirancie – przerwał Nowackiemu prawnik. – Pan Nowacki nie brał udziału w tej rozmowie. Skąd ma wiedzieć, o co im chodziło?

– Panie Nowacki. – Do stołu wrócił prokurator i spojrzał na szefa Dark-Budu z góry. – A nie było tak, że znaleźliście na budowie wrak okrętu, a w nim kufer z kosztownościami? Moszenicki bał się, że to się wyda, ale w końcu zgodził się to ukryć. Zamaskowaliście wrak, a w poniedziałek ruszyły prace z postawieniem ściany klatki schodowej i wrak znalazł się za nią. Zawartością kufra mieliście się podzielić we trzech, ale coś poszło nie tak. Moszenicki to był kawał drania. Zaczął się dopominać większego udziału. Straszyl pana, że to na pana spadną konsekwencje, gdy sprawa ukrycia wraku wyjdzie na jaw. W końcu nawiązał kontakt z jednym z miejskich aktywistów i pewnie o tym panu powiedział. Widziano pana na Spiskiej koło godziny ósmej! – Prokurator podniósł głos, powstrzymując ręką usiłującego mu przerwać prawnika. –

Dziewczyna, z którą się pan rzekomo umówił, tego nie potwierdziła. Nie ma pan żadnego alibi na czas zamordowania Moszenickiego, a w pana garażu znaleziono kufer!

– Panie prokuratorze. To same insynuacje! – Prawnik zdołał się wbić w przemowę prokuratora. – Żadnych dowodów!

– Pojechał pan do Moszenickiego! – kontynuował Modzelewski mimo protestów prawnika. – Wszyscy, którzy znali Moszenickiego, twierdzili, że to kanalia. Pewnie

pokłóciliście się i pan doprowadzony do wściekłości, zabił go w afekcie! A przerażony tym, co się stało, trzeci współnik, Miłosz Poznański, popełnił samobójstwo!

– Gówno prawda! – warknął Nowacki, patrząc z wściekłością na prokuratora. – Moszenicki na nagraniu rozmawiał nie ze mną. Ja się mogę jedynie domyślać z kim, ale nie będę rzucał żadnych oskarżeń. Nikogo nie zabiłem!

Prokurator wpatrywał się przez chwilę w Nowackiego, w końcu ten drugi spuścił wzrok.

– To wszystko same domysły, fantazje i koncepcje – odezwał się prawnik. – Głównym motywem tego zabójstwa miałyby być jakiś skarb, jak to brzmi swoją drogą? Pan Nowacki może udowodnić pochodzenie każdej nabytej rzeczy. Są na to papiery, dokumenty skarbowe, umowy kredytowe. Nie ma żadnego skarbu i nie ma żadnego motywu. Prokuratura tylko się ośmiesza.

Halczyszyn, która obserwowała całą czwórkę, w zasadzie zgadzała się z prawnikiem. Nie ma dowodów. Tylko motywy, ale proces poszłakowy przy braku alibi, kłamstw w kilku sprawach mógłby się skończyć oskarżeniem, od którego Nowacki by się odwołał. Trwałoby to pewnie wszystko latami.

W nieodebranych były dwa połączenia od mamy, pewnie z pytaniem o to, kiedy przyjedzie na święta, dwa z nieznanymi numerami i pięć połączeń od Pitera.

Piotr stwierdził, że oceniając po samej liczbie prób, najpilniejszy był Piter. Aczkolwiek na tyle, na ile go znał, to wcale nie musiała być trafna diagnoza. Wybrał numer kolegi i czekając na połączenie, spojrzał w kierunku aneksu Pawła.

Baśka i Paweł, energicznie gestykułując, zawzięcie coś tłumaczyli Paulinie, a ta, uciszając ich ręką, rozmawiała z kimś

przez telefon. Po chwili wypadła z aneksu, chwyciła kurtkę i wybiegła z redakcji.

– Nareszcie! – odetchnął Piter. – Dzwoniłem do ciebie z milion razy...

– Pięć konkretnie.

– Pięć milionów razy. Słuchaj, jest coś złego tutaj... – Piter teatralnie zawiesił głos.

– Piter, ja nie mam teraz czasu – zaczął Piotr, nerwowo zezując w kierunku aneksu naczelnego.

– To jest bardzo ważne. – Piter ściszył głos do szeptu. – Wykradliśmy te kamerki... to znaczy technicznie to ja je wykradłem...

– Co takiego? – Piotr nie zrozumiał w pierwszej chwili, chociaż zapaliła mu się od razu intuicyjnie czerwona lampka.

– Kamerki! Z domu Moszenickiego – szeptał Piter do słuchawki. – I przez całą sobotę siedzieliśmy cicho, bo się baliśmy, że ktoś wezwał policję i że zaraz po nas przyjdą...

– Piter...

– Nie przerywaj mi, bo mnie zaraz ktoś tutaj usłyszy. Przejrzeliśmy te kamerki i wydawało nam się, że tam nic nie ma. Same filmy z budowy tego tunelu w Świnoujściu. Niektóre fajne, jeden, jak montowali to wielkie koło wiertnicze, zajebisty. Zrobiony z dołu, jak jakiś film science fiction.

– Piter, naprawdę wykradliście kamerkę?!

– Nie gadaj, tylko słuchaj! I w pierwszej chwili nic nas tam nie zainteresowało. Myśleliśmy, że może fachowiec albo budowlaniec dopatrzy się ewentualnie jakichś, nie wiem, błędów konstrukcyjnych czy fuszerek, ale ja to wczoraj wieczorem obejrzałem ponownie...

W słuchawce zapadła głęboka cisza.

– No i? – nie wytrzymał Piotr. – Mów, kurwa!

– Tam ktoś zginął! – wypalił Piter, a Piotr zaniemówił z wrażenia.

Halczyszyn dogoniła Renarda i odciągnęła go na bok. Policjant miał dziwną minę i unikał jej wzroku.

– Dlaczego Modzel nie pozwolił mi przesłuchiwać Nowackiego? – zapytała wprost. – Wiesz coś na ten temat?

– Formalnie to ja prowadzę śledztwo. – Renard ponownie uciekł wzrokiem. – Miał do tego prawo.

– Przemas! – warknęła Halczyszyn, widząc minę kolegi.

Renard złapał Halczyszyn za rękaw i wciągnął do niewielkiego aneksu, w którym stała prehistoryczna kserokopiarka.

– Modzel chce cię odsunąć od tego śledztwa – syknął. – Podobno chce ci postawić zarzuty z dwieście czterdzieści jeden[9].

Halczyszyn zamarła. Kompletnie się czegoś takiego nie spodziewała. Ale gdyby chodziło o śledzenie Modzela, to przecież Renard też byłby...

– Z jakiego powodu? – Wbiła wzrok w kolegę. – To ty go śledziłeś. To o to chodzi? Że ja o to nieformalnie prosiłam?

– Nie o to. – Renard ściszył głos. – O tym Modzel nie wie. Na razie. Chodzi o tę dziennikarkę. Powiedziałaś jej o wynikach sekcji.

Halczyszyn otworzyła szeroko oczy. O układach z dziennikarzami wszyscy wiedzieli i wszyscy je mieli. Musiało za tym stać coś... Ale skąd by o tym wiedział?

– Założyli jej podsłuch?!

– Nie wiem. – Renard spojrzał nerwowo w kierunku korytarza. – Nic ci nie zrobią przecież.

– Ale skąd o tym wiedział? – Halczyszyn robiła szybki przegląd swojej pamięci. Gdyby Paulina miała podsłuch, to Modzel wiedziałaby więcej niż tylko o tej sekcji... Kurwa! Ci dwaj kolesie! No jasne! Obaj po dobroci przecież oddali swoje telefony, pokazując, o czym pisali z Moszenickim. Paulina im powiedziała o wynikach sekcji, a oni musieli o tym gadać przez telefon...

Tylko że to...

Po co by to robił? Pretekst?

Piotr dopadł swojego biurka, wyszarpnął z kieszeni kurtki kluczyki, ruszył biegiem w kierunku drzwi i zatrzymał się gwałtownie. Wrócił, złapał kurtkę i czapkę i ponownie biegiem wypadł na korytarz, a zaraz potem na schody. Przeskakując po trzy stopnie, zbiegł na parter i wypadł przed budynek.

Przez chmury na moment wyjrzało słońce i leżące dookoła góry śniegu oślepiły go jaskrawobiałym blaskiem. Wkładając w biegu kurtkę, dotarł przez zasy do samochodu i wskoczył do środka.

Oczywiście dla niego wszystko musiało być zawsze pod górę, myślał ze złością, wyjeżdżając na drogę. Piter nie miał starego kabla USB i nie mógł przegrać filmu ze starej kamerki. Myślał, że ktoś będzie miał w pracy – ale jak się wyraził – prędzej by tutaj znalazł kałamarnicę niż jakikolwiek kabel USB. Także dlatego, że oglądali te nagrania na kamerce, a nie na ekranie, umknęły im początkowo jakieś rzekomo straszne sceny.

Piotr, jadąc przez most Długi, myślał, przez ile należy podzielić to, co powiedział mu Piter. Może to nie był żaden trup,

tylko jakaś kurtka na przykład? Może po prostu nie dopatrzeli się tego na tym małym ekraniczku? Z drugiej strony Piter był autentycznie przejęty. Piter, owszem, bywał wkurzający, teatralny, miewał różne ataki dramatów i scenicznych fochów, ale z drugiej strony nie można było mu odmówić, że umie zachować zimną krew. Jak on w ogóle dostał się do domu tego Moszenickiego? Na pytanie o to powiedział tylko, że to nie rozmowa na telefon.

Piotr, dziękując opatrności za chwilowy brak korków, łamiąc sporo przepisów, głównie związanych z dopuszczalną prędkością, przejechał Mieszka I i wpadł na rondo Uniwersyteckie. Skręcił w Południową i po chwili zobaczył Pitera chodzącego w tę i we w tę po chodniku.

Piter szarpnął za klamkę i wskoczył do środka, wpuszczając do wnętrza samochodu mroźne powietrze.

– Masz tutaj. – Wyjął z kieszeni dwa małe urządzenia i podał Piotrowi.

– Dwie? – Piotr patrzył zdezorientowany.

– Te dziwne rzeczy są na tej starej. – Piter wskazał palcem szarą kamerkę. – Zabrałem obie. Skąd miałem wiedzieć, która jest właściwa? Tylko uważaj, bo ta stara ma takie niedomykające się gniazdo USB. Nie ułam tego.

Paulina wpadła do studia Szczecin & LeftSide praktycznie w ostatniej chwili. Na szczęście miała niedaleko, niecałe pięć minut drogi. Dłużej trwało nawet parkowanie w okolicach parku Andersa, gdzie w gustownej kamienicy mieściła się siedziba portalu.

Patrycja, zaprzyjaźniona dziennikarka, z którą kiedyś pracowała, wciągnęła ją szybko do pomieszczenia charakterystorni i posadziła na fotelu.

– Powiem ci w tajemnicy, że Hubert się nawet ucieszył – powiedziała, patrząc na Paulinę w lustrze i przypinając jej mikrofon. – Kancelaria prezydenta sama poprosiła o tę rozmowę, a Hubert się trochę bał, że w obliczu tych awantur przy Pokrętnej wyjdziemy na tubę urzędu. Jest tutaj znowu Lameński, radna Korytko, radny Skowron, jakiś urbanista z SARP-u[10] i jest Ignac z Nowego Miasta.

– Borys? – Paulina spojrzała ze zdziwieniem. – Zgodził się? On podobno unika takich rozmów.

– Tym razem się zgodził. – Patrycja się uśmiechnęła. – Podobno prezydent chce coś ogłosić. Po cichu powiem ci, że jak wyjdzie jakaś mała gównoburza, to tym lepiej. – Patrycja uśmiechnęła się do Pauliny zawadiacko. – W końcu jesteśmy lewackim portalem, nie?

Paulina wślizgnęła się do studia, przywitała ze wszystkimi, łowiąc zaskoczone i niezbyt zadowolone spojrzenie prezydenta, a następnie usiadła na wskazanym przez Patrycję miejscu. Czekając na rozpoczęcie panelu, przejrzała szybko notatki. Niekończące się roboty w mieście, rosnące opłaty, inwestycje miejskie, generalnie odgrzewane kotlety. Miała tylko nadzieję, że rozmowa nie skupi się na ich problemach i demaskatorskich artykułach Mateckiej. Nie chciała, żeby wyszło na to, że przyszła tutaj, żeby się bronić.

– Witam wszystkich w kolejnej odsłonie naszego cyklu „Rozmowy bez krawata”. – Prowadzący redaktor uśmiechnął się w stronę prezydenta. – A pan, panie prezydencie, pod krawatem. Kompletnie pan postponuje nasze tutejsze wyrafinowane, lewackie obyczaje. No jak tak można?

Prezydent manifestacyjnie poluzował krawat, po czym zdjął go i położył na stole przed sobą. W studiu rozległy się śmiechy,

a na telebimie za plecami prowadzącego na forum pokazały się uśmiechnięte buźki i zielone, skierowane w górę kciuki.

– I w takiej luźnej, niezobowiązującej atmosferze przebiegnie, mam nadzieję, cała nasza dzisiejsza rozmowa. – Redaktor spojrział w kamerę i sięgnął po notatki.

Paulina dyskretnie przyjrzała się uczestnikom panelu. Z piątki obecnych tutaj osób nie знаła tylko Lameńskiego. Nigdy nie mieli okazji się poznać. To, co o nim wiedziała, wyczytała na portalach.

Akurat zaczął mówić na temat miejskich inwestycji, ale już po kilku zdaniach Paulina zorientowała się, że to był jedynie wstęp do tego, co ma powiedzieć prezydent.

– Korzystając z okazji. – Prezydent spojrział w kierunku kamery. – Chciałbym poinformować państwa o naszej decyzji w sprawie Pokrętnej. Po przeanalizowaniu wszystkich...

Paulina spojrziała w notatki. Spodziewała się oczywiście tego tematu, ale nie sądziła, że przybierze to formę jakiegoś orędzia.

– Podpisałem właśnie ugodę z firmą wykonawczą i zdecydowałem o rezygnacji z budowy żłobka na Pogodnie. Inwestycja ta wzbudziła tak wiele złych emocji i protestów, że miasto nie mogło pozostać głuche na te argumenty. Miasto nie może być głuche na głos żadnej ze stron. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że żłobek w tej części miasta jest potrzebny, i będziemy pracować nad rozwiązaniem tego palącego problemu...

W studiu rozległy się szmery, dało się słyszeć przyciszone komentarze.

Zaraz po prezydencie głos zabrał Borys, który z ledwie wyczuwalną ironią podziękował za najlepszą możliwą decyzję. Paulina na moment się wyłączyła, skonfundowana przeglądała

w pamięci swoje notatki. Na to się nie przygotowała. Sądziła, że spotkanie będzie kolejną odsłoną walki o żłobek, a tymczasem prezydent wybił jej oręż z ręki.

– Nie zapominajmy jednak o tym, że miasto się ugięło pod protestami określonych środowisk – perorowała w tle radna Korytko. – Miasto najpierw wywołuje problemy i awantury, żeby potem je przed kamerami rozwiązywać...

Paulina patrzyła na radną i nagle coś sobie przypomniała. Czy to przypadkiem nie jej mąż jest...

– Jak zwykle pani demonizuje! I wyłącznie po to, żeby podkreślić swoją niezłomność, a jak z tym jest, to wszyscy doskonale wiemy – bronił prezydenta Lameński.

Paulina wpatrywała się w radną Korytko. Czy to możliwe?

– Proszę państwa! – Prowadzący starał się nie dopuścić do kłótni w studiu. – Najważniejsze, że ta budząca liczne kontrowersje inwestycja znalazła szczęśliwy finał. Pozostaje mieć nadzieję, że kwestia żłobka na Pogodnie też znajdzie szczęśliwe zakończenie.

– Szczęśliwe zakończenie? – wtrącił nagle milczący do tej pory urbanista. – Ja wcale nie nazwałbym tego zakończenia szczęśliwym. Dla mnie jednak jest niezrozumiałe i oburzające, jak łatwo władze Szczecina zrejterowały przed pseudoekologami. Prawdziwi ekolodzy zajmują się przyrodą, a nie polityką! To, co się stało, jest absurdem! Prawdziwą porażką polityczną i dramatem cywilizacyjnym.

W studiu momentalnie ponownie wybuchł gwar, a zaproszeni goście zaczęli mówić jeden przez drugiego, usiłując się nawzajem przekrzyczeć. Prowadzący zaczął wszystkich uciszać i na krótką chwilę mu się to udało.

– Szczęśliwe zakończenie? – Paulina postanowiła tę chwilę wykorzystać. – Ja także nie nazwałabym tego zakończenia szczęśliwym.

W studiu zapadła cisza. Nikt się raczej nie spodziewał krytyki z tej akurat strony.

– Zapomnijmy na chwilę o drzewach. – Paulina powiodła wzrokiem po radnych, a potem popatrzyła na prezydenta. – Drzewa są oczywiście podmiotem tej sprawy i to o nie toczyła się batalia, ale dla mnie bulwersujące jest tutaj co innego. Nikomu nie chodzi przecież o blokowanie inwestycji dla samego blokowania. Drzewa niestety też niekiedy trzeba wyciąć, ale cel nie uświęca środków! Pan prezydent ni mniej, ni więcej, tylko zakomunikował oto, że miasto łaskawie rezygnuje z łamania prawa. Plan zagospodarowania precyzyjnie definiował, których drzew nie wolno usuwać, a mimo to miasto uznało, że jakoś to będzie, i zdecydowało się forsować inwestycję, która była po prostu niezgodna z prawem. Uruchamiając w dodatku medialną nagonkę na obrońców tego terenu, stosując manipulacje i mechanizmy fałszywej alternatywy, o czym wspomniał już tutaj pan Borys.

– To, co pani mówi, to jest właśnie manipulacja – wpadł w słowo Paulinie Lameński. – Miasto na żadnym etapie nie złamało prawa...

– A to, co pan mówi, to jest zaklinanie rzeczywistości! Pokrętna to niejedyny przykład funkcjonowania miejskich spółek. – Paulina wyszarpnęła kartkę z pliku swoich notatek. – Oto miejskie towarzystwo budowlane stawia bloki, wycinając w pień wszystkie drzewa, a pozwolenie na to dostaje od ręki. Stuletnie jesiony, kilkudziesięcioletnie świerki, graby, a w trakcie tej inwestycji dzieją się prawdziwe cuda. – Paulina zerknęła na prezydenta patrzącego na nią bykiem. – Oto

podczas wizji lokalnej kilkudziesięcioletni, cenny przyrodniczo świerk Brewera w tajemniczych okolicznościach zamienia się w protokole w świerk zwyczajny! Żeby łatwiej było uzasadnić jego wycinkę. W jeszcze bardziej tajemniczych okolicznościach wody deszczowe odprowadzane na sąsiednie działki domów jednorodzinnych nie budzą żadnych wątpliwości uzależnionej od prezydenta administracji budowlanej! A do tego dochodzi powszechna praktyka nieuznawania mieszkańców za stronę w sprawie! Po to, żeby nie mieli dostępu do akt i nie dowiedzieli się o takich praktykach! Gdyby nie Borys i inni społecznicy, to nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co miasto planowało na Pokrętnej! – Paulina podniosła głos, przekrzykując gości w studiu. – Przepisy? Co tam przepisy! Prawo? Jakoś to załatwimy! To nie chodzi o drzewa, jeszcze raz powtarzam! Tylko o to, że każda władza się zużywa! Obrasta w nominatów, szwagrów i interesiki i zamiast reprezentować interesy społeczeństwa, reprezentuje wyłącznie własne!

Po ostatnich słowach w studiu rozpętała się regularna awantura. Prowadzący bezradnie usiłował uciszyć przekrzykujących się uczestników panelu, a na telebimie za jego plecami pilnujący dyskusji moderator nie nadążał z usuwaniem obelg i gróźb karalnych.

Paulina, mając nadzieję, że zadowolona Pawła, wpatrywała się w radną Korytko.

Artur Korytko! Wicedyrektor miejscowego oddziału generalnej dyrekcji dróg!

Piotr, nie mogąc doczekać się, aż znowu będzie w redakcji, przemknął całą Południową setką. Nie pamiętał, jaka tu jest dopuszczalna prędkość, chyba siedemdziesiąt, ale tu nigdy nie było policji. Wpadł na rondo Uniwersyteckie i skręcił w Mieszka

I. Minął ekrany akustyczne przed KFC, potem salon Mercedesa i zatrzymał się na światłach przed zjazdem do Ikei.

W redakcji były dziesiątki kabli USB. Na pewno połowa to jeszcze te stare, myślał, ruszając ze świateł. Kolejny, długi, prosty odcinek. Na światłach przy Milczańskiej było na szczęście zielone, więc minął je z rozpędu i właśnie dojeżdżał do Atrium MOLO, gdy usłyszał za plecami krótkie szczeknięcie. Przestraszony spojrzął w lusterko. Samochód za nim błyskał kogutem na dachu.

Piotr, zdenerwowany i podłamany szykującym się mandatem, zwolnił i wjechał na długi zjazd przed galerią. Zatrzymał się na samym jego początku. Obok przejechała szara octavia i zaparkowała tuż przed nim.

Piotr otworzył okno i położył ręce na kierownicy. Jak to możliwe, że nie zobaczył samochodu policyjnego? O ile mógł przekroczyć prędkość? Dwadzieścia kilometrów? Ile tu w ogóle można jechać? I dostanie punkty. No, kurwa. Miał już siedem na koncie.

Tymczasem z szarej skody wysiadł ubrany po cywilnemu mężczyzna i ruszył w jego kierunku. W tym momencie dopiero Piotr zauważył, że samochód nie ma oznakowań, a facet nie ma munduru. Poczuł, jak od razu skoczyło mu ciśnienie.

– Dzień dobry. – Mężczyzna pochylił się nad oknem golfa i uważnie zlustrował wnętrze samochodu. Piotr, nie odrywając rąk od kierownicy, skinął mu głową.

– Proszę wysiąść – powiedział policjant. – Pójdzie pan ze mną.

Piotr, który naczytał się dziesiątków poradników, jak się zachowywać w sytuacji zatrzymania przez patrol, od razu się zdenerwował. Miał przecież siedzieć nieruchomo. Jak to: iść za nim?

Wysiadł jednak i ruszył w kierunku szarej skody. Mężczyzna otworzył tylne drzwi i gestem głowy kazał Piotrowi wsiadać. Tymczasem z samochodu wysiadło dwóch innych mężczyzn i poszło do golfa Piotra. Kątem oka Piotr zobaczył, jak jeden z nich otwiera bagażnik, a drugi wsiada do wnętrza i przeszukuje skrytki.

– O co chodzi? – odważył się w końcu odezwać, gdy śmiertelnie poważny typ wsiadł za nim do środka.

– Przed chwilą odebrał pan pewien przedmiot. Jeśli odda nam go pan bez żadnych protestów, to uniknie pan bardzo wielu kłopotów – wycedził mężczyzna. – To jak?

Piotr poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Śledzili go? Ale dlaczego? Paulina była w stałym kontakcie z tą Halczyszyn. Przesłuchiwali ich przecież. I skąd...

– To jak? – powtórzył facet i spojrzał w okno, jakby dając jeszcze Piotrowi chwilę do namysłu.

Skąd wiedzieli o kamerce? Jak to możliwe? Podglądali ich przez jakąś lornetkę... Kurwa! Podstuch!

Nie miał żadnych szans. Co mógł zrobić? Jak się nie zgodzi, to i tak zaraz go przeszukają i znajdą obie kamerki. A właściwie przecież to policja. Chyba. Mieli przecież koguta na dachu. Dopiero co media i sam doradca prezydenta uznali go za podejrzanego, więc może mają podstawy? Może to normalne, że go śledzą? No i skądinąd to, co jest na tych kamerkach, powinno ich także zainteresować.

Sięgnął do kieszeni i wymacał dwa niewielkie urządzenia.

Halczyszyn wpadła do swojego pokoju, otworzyła dolną szufladę biurka, wyciągnęła starą komórkę Samsung i przełożyła do niej kartę, którą wyjęła ze swojego obecnego telefonu.

Cały czas robiła w myślach przegląd tematów, które poruszały z Pauliną. Sekcja to jedno, ale przecież wcześniej rozmawiały o podejrzeniach względem Borysa, o tym, że Modzel chce mu się dobrać do skóry. Laptop! Laptop Poznańskiego! Poprosiła Paulinę o to, żeby sprawdziła ten laptop! Modzel nie mógł tego słyszeć, skoro jedyne, czego się uczeplił, to informacja o tym, że sekcja wykazała, że śmierć nastąpiła o dwudziestej. Zatem Paulina nie może mieć podsłuchu, ale cały czas rozmawia z Bahryńskim i pewnie Ignatiukiem. I w każdej chwili może coś chlapnąć!

Halczyszyn wypadła z pokoju i ruszyła korytarzem. Gdy znalazła się na schodach, wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer Pauliny.

Jeden dzwonek, dwa, trzy i włączyła się poczta. Halczyszyn zaklęła i wsiadła do samochodu. Jak w sytuacji, gdy prokurator chce ją oskarżyć o ujawnianie szczegółów śledztwa, zostanie przyjęte to, że pojedzie teraz do redakcji?

No kurwa! Ale przecież formalnie nikt jej jeszcze od tego śledztwa nie odsunął. Nic na ten temat nie wie, Renard nie piśnie, że jej to zdradził.

Halczyszyn przekręciła kluczyk.

Samochód wy dostał się ze śnieżnych muld, wypadł na Mickiewicza i skręcił w kierunku centrum miasta.

Piotr wpadł do redakcji tak zdenerwowany, że zaraz po tym, jak zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło, musiał na moment usiąść i ochłonać. Przy czym zapomniał zdjąć czapkę i siedział przez dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami, licząc powoli do stu, a nad głową sterczał mu wielki granatowy pompon.

Przechodząca właśnie do kuchni Baśka, na której oczach to się właśnie działo, nie wytrzymała.

– Czy czapka z pomponem pozwala ci się jakoś bardziej skoncentrować? – zapytała. – Nie znam się na tych waszych wschodnich transcendencjach.

Piotr doszedł do pięćdziesięciu i stwierdził, że to na razie wystarczy. Otworzył oczy, zerwał czapkę i gwałtownie wstał. Złapał kurtkę i zaczął grzebać w jej kieszeniach.

Dwadzieścia minut wcześniej, pod intensywnym spojrzeniem draba w cywilnych ciuchach, Piotr zamarł na moment z ręką w kieszeni kurtki.

Tylko uważaj, bo ta stara ma takie niedomykające się gniazdo USB...

Piotr poczuł właśnie pod ręką ową ruchomą część. Dynks, który służył do zaślepiania wejścia USB. Wymacał drugą kamerkę i zacisnął na niej dłoń. Spojrzał facetowi w oczy i wyciągnął nowszą z dwóch kamerek.

– No widzisz, jakie to proste. – Drab podający się za policjanta uśmiechnął się pobłaźliwie, chwycił kamerkę i schował ją do kieszeni kurtki.

Teraz Piotr wymacał ponownie małe, upiorne urządzenie, chwycił je i położył na blacie biurka.

Baśka zaraz po tym, jak Piotr wypadł z redakcji, wyszła z aneksu Pawła, trzęsąc się ze złości. Gdyby w jakiś niewytłumaczalny sposób Matecka pojawiła się nagle przed nią, to prawdopodobnie udusiłaby ją własnymi rękami. Nie dziwiła się zatem, że Piotr musiał wyjść. Myślała, że poszedł po prostu odreagować na mrozie. Ale nie było go godzinę, a teraz jeszcze jakieś zen.

Ale co on właściwie tutaj przytargał?

Baśka pochyliła się i bez specjalnego zainteresowania oglądała szarą rzecz, która leżała na biurku i pobłyskiwała

metalicznie.

– Skąd to masz? – zapytała, patrząc na Piotra z przerażeniem. – To ta legendarna kamerka?

– Nie wiem. – Piotr pokręcił głową. – To znaczy nie wiem, jak on to zdobył. Mój kolega znaczy... – zaplątał się. – Chyba się włamali do domu Moszenickiego – dokończył.

– Oglądałeś już? – Baśka nie mogła oderwać oczu od kamerki.

Piotr pokręcił głową.

– Na tej budowie podobno ktoś zginął – powtórzył to, co godzinę wcześniej usłyszał od Pitera.

Baśka ocknęła się z osłupienia, chwyciła kamerkę i rzuciła się do swojego biurka. Wyjęła z szuflady kabel USB, a następnie podpięła urządzenie do swojego laptopa. Przez chwilę stukiała w klawisze, a w końcu podniosła głowę i spojrzała w kierunku wiszącego na ścianie wielkiego monitora.

Zerwała się i podbiegła, żeby go włączyć. Po chwili na ekranie ukazało się najpierw morze pikseli, a zaraz potem obraz się rozjaśnił i zobaczyli mroczny, oświetlony tylko pojedynczymi lampami tunel.

Baśka podeszła do aneksu naczelnego i nie wchodząc do środka, załomotała pięścią w szybę. Paweł oderwał wzrok od laptopa i spojrzał na nią z rozdrażnieniem. Widząc, że wszyscy w redakcji wpatrują się w coś z osłupieniem, wstał, wyszedł ze swojej zagrody i wbił wzrok w ekran.

– Co to jest? – zapytał Baśkę. – Ten film Pauliny? Już go widziałem!

– To jest podobno na samym końcu – odezwał się Piotr i sięgnął do klawiatury.

– Co to jest, do diabła? – Paweł patrzył na Piotra ze zniecierpliwieniem.

– Zaraz zobaczymy – odparł Piotr, ze wzrokiem wbitym w ekran.

Obrazy przemykały w przyśpieszonym tempie, jakby otworzył się jakiś portal czasoprzestrzenny. Migwały wielkie maszyny, gigantyczny dźwig przenosił części jakiejś maszyny, potem znowu ciemny tunel, znowu maszyna, przez chwilę niebo i las, na którego tle ukazały się jadące ciężarówki, i nagle ekran ściemniał, a po chwili, jakby ktoś odsunął kurtynę i ukazało się wewnątrz, rozjaśnione tylko latarkami...

Piotr zatrzymał przewijanie i pogłodził. Usłyszeli czyjś oddech, trzeszczenie piachu pod butami, a w tle jakieś pracujące urządzenia. Na ciemnym ekranie przesuwają się dwa snopy latarek. W świetle jednej z nich co jakiś czas pojawia się sylwetka idącego przodem mężczyzny. W pole widzenia kamery czasami wchodziła ręka z latarką.

Moszenicki, ciężko oddychając, zatrzymał się. Od strony zachodniego wjazdu do miejsca, w którym się znajdowali, był prawie kilometr. Pokonali go dość szybkim krokiem, był więc zmachany. Nie mógł się pochwalić dobrą kondycją.

Zrobił kilka kroków w głąb wykopu. Światło latarki przemknęło po żółtym korpusie stojącej tutaj małej koparki. Blisko niej stały, ustawione jeden obok drugiego, reflektory.

Moszenicki rozejrzał się i zobaczył leżący na pudłach panel. Podszedł do niego i po kolei włączył wszystkie reflektory. Pomieszczenie nagle zalał strumień światła, bowiem reflektory były skierowane w jedną stronę, dokładnie w tę, gdzie miała stanąć ściana zamykająca schody ewakuacyjne. Teraz wznosiła się w tym miejscu wielka drewniana konstrukcja z kilkoma

otworami, zamkniętymi dziwacznymi klapami z metalowymi okuciami.

– Ja pierdolę! – Z ciemności wyłonił się towarzyszący Moszenickiemu robotnik. – Co to jest?

Chłopak stanął pod drewnianą ścianą i zadarł głowę.

– Kurwa! To przecież galeon!

Odwrócił się i spojrzał na Moszenickiego. W jego wzroku widać było szok i niedowierzanie.

– To galeon! – powtórzył z otwartymi ustami. – Jak w jakimś filmie! Odkopali coś takiego i nikt jeszcze o tym nie wie?

Podszedł bliżej burty i wyciągnął rękę. Przejechał dłonią po chropowatej powierzchni.

– Ile to może mieć lat? To przecież konserwator powinien obejrzeć, nie?

Moszenicki, który stanął jak wryty, w końcu ocknął się i podszedł bliżej.

Na środku pomieszczenia, pod burtą galeonu, widać było podnośnik.

Jak się nazywał ten wykonawca? Dark-Bud? Nowacki chyba. Paweł Nowacki. Moszenicki zadarł głowę i przejechał wzrokiem po drewnianej burcie. Cała była odsłonięta. Musieli zatem spędzić tutaj dobrych parę godzin przy jej odkopywaniu. I nie powiadomili nadzoru? Nie wezwali generalnego wykonawcy? I ten Gawron ma rację. Konserwatora przede wszystkim.

Wciąż oszołomiony, przyglądał się burtom starego okrętu. Ile on musiał tkwić zakopany w dnie przy brzegu? Galeon to chyba siedemnasty wiek. Potem pływały już raczej nowocześniejsze statki. Podniósł głowę i wtedy zobaczył, że jedna z tych dziwnych okiennic chyba odpadła, a otwór za nią ziele czernią. Czyżby zachował się cały okręt? Wraz z wnętrzem? Pokładami?

Podszedł jeszcze bliżej i postukał pięścią w powierzchnię. Drewno trzymało się całkiem nieźle. To wręcz cud, że ten okręt się zachował. Przejrzał w pamięci badania gruntu. Robiono je w wielu miejscach, wprawdzie wykonawcy narzekali, że było ich za mało, ale wykonawcy zawsze narzekają. Głównie były tutaj piasek, iły pylaste, nienośne grunty, o które była cała ta awantura, że niby tunel będzie stale pracował. Schody wypadały jakieś kilkadziesiąt metrów od koryta Świny. Dość daleko, ale koryto Świny przecież się zmieniało. Niemcy prowadzili tu ogromne prace podczas budowy pierwszego portu w Świnoujściu...

Jak to możliwe, że woda się nie przesączała? Puste przestrzenie w tym wraku? Może pomiędzy korytem a wrakiem były jakieś spore pokłady gliny, które zabezpieczyły statek? To możliwe, w badaniach wychodziło, że w gruncie jest dużo gliny...

Z rozmyślań wyrwał go nagle terkot maszyny. Spojrzał w kierunku, z którego doszedł dźwięk, i zobaczył, że to Gawron uruchomił podnośnik.

Chłopak stał w koszu i skinął do niego ręką.

– Zajrzyjmy w tę dziurę. – Uśmiechnął się zaaferowany i wskazał palcem otwór strzelniczy w burcie. Moszenicki przypomniał sobie, że to się chyba nazywało ambrazura.

Pomyślał, że właściwie czemu nie.

Gdy kosz powoli podjeżdżał w kierunku otworu, Moszenicki po raz pierwszy pomyślał o kłopotach. Pierwsze zaaferowanie niezwykłym odkryciem minęło, a przed oczami wyrosły mu góry problemów, które ono spowoduje. I opóźnienia...

Kosz zatrzymał się przy otworze. Gawron wycelował latarkę do wnętrza statku.

Snop światła wpadł do środka i wyłonił z mroku zszarzałą, zasypaną gruzem drewnianą podłogę wewnętrznego pokładu. Od okienka wiodły w głąb charakterystyczne wgłębienia, które wyglądały jak tory.

– To są takie szyny do przesuwania dział! – Podniecony chłopak wsadził głowę do otworu. – Widziałem na filmach! Kurwa! Tu można nawet chyba wejść. Podłoga jest cała.

Moszenicki szarpnął za dechy, w których tkwił otwór. Burta na wysokości dział musiała być na tyle potężna, żeby wytrzymać ogromne naprężenia. Działa, które jeździły po tych szynach, ważyły chyba... Ile właściwie? Dwieście kilogramów? Więcej? Nic dziwnego, że to przetrwało w tak dobrym stanie.

Moszenicki zajrzał głębiej do wnętrza, oświetlając pokład latarką.

– Ja pierdołę! – zaklął nagle robotnik. – Niech pan tam patrzy!

Moszenicki spojrział w ślad za snopem wycelowanej przez Gawrona latarki.

W głębi pokładu stały wielkie, nakryte pokrywami kosze, a obok nich kilka drewnianych kufrów. Część była otwarta i przewrócona, ale dwa wydawały się zupełnie nienaruszone. Stały zamknięte na wielkie, stalowe, zardzewiałe sztaby...

Piotra, wpatrzonego w ekran, wyrwało nagle z zamyślenia głośnie westchnienie. Spojrział w bok i zobaczył, że obok stoi Paulina, która musiała chyba w międzyczasie wrócić do redakcji.

– Ja poznaję tego chłopaka – powiedziała cicho. – Dwa tygodnie temu przeglądałam rejestry osób zaginionych. Data mi się skojarzyła. Pamiętałam, że była taka sprawa, że dokładnie

trzynastego maja zaginął jakiś robotnik, który pracował przy tunelu.

Gawron przełożył nogę przez burtę i siedząc na niej okrakiem, wymacał stopą deski wewnętrznego pokładu.

– To się trzyma – powiedział i wlaź do środka.

– Uważaj! – warknął Moszenicki. – Jak ci się coś stanie, to sanitariusze tutaj nie wleżą.

– A co ma się stać? Łażę po rusztowaniach, po dziesięć pięter czasem. Muszę zobaczyć te kufry! A jak to coś cennego?

Chłopak, nie czekając na kolejną reprimendę, zrobił kilka kroków w głąb pokładu. Trzymając się ściany, ruszył w kierunku stojących nieco dalej kufców.

Moszenicki usłyszał nagle jakiś hałas na zewnątrz. Jakby czyjś głos. Wyciągnął głowę z otworu i rozejrzał się po wnętrzu wykopu. W tym samym momencie rozległ się trzask, potem stuk i wreszcie głośny wrzask. A na koniec głuchy łomot, jakby coś ciężkiego spadło na ziemię.

Zapadła cisza, a Moszenicki zamarł, sparaliżowany strachem. W pierwszej chwili pomyślał o czymś, co do tej pory mu w szoku umknęło. Że konstrukcja tego statku może się zawalić, a jeśli to się stanie, to grunt się przemieści, powstaną szpary i zacznie się przesączać woda. Poczuł, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. Dopiero po chwili dotarło do niego, że coś się musiało stać z tym durniem.

Roztrzęsiony wsadził głowę do otworu. Kilka metrów od niego, w miejscu drewnianego pokładu ziała teraz wielka, postrzępiona wyrwa. Moszenicki trzęsąc się ze strachu, przełożył nogę przez burtę i trzymając się kurczowo desek ściany, wycelował latarkę w kierunku dziury. Z wnętrza dotarło jakieś rżenie. Zrobił jeszcze krok i w polu światła zobaczył

leżącego poniżej chłopaka. Wysokość nie była duża, kilka metrów, ale poniżej sterczał las żelastwa. Chłopak, spadając, musiał się na coś nadziać. Przerażony Moszenicki dostrzegł krew, dużo krwi...

I kawał ostrego czegoś, co wystawało z brzucha robotnika.

Moszenicki, dygocząc i ledwie trzymając się na nogach z przerażenia, wycofał się do otworu i przelazł na zewnątrz. Chciał uruchomić podnośnik, ale pomyślał o pogotowiu. W tunelu miejscami bywał zasięg. Nikt nie wiedział dlaczego. Trzęsącymi się rękami wyciągnął telefon i zamarł na moment.

Co im powie? Inspektor nadzoru pozwolił wleźć robotnikowi do wnętrza wraku jakiegoś okrętu! Którego nikt nie zgłosił służbom! Termin! Termin zakończenia robót był najważniejszy! To była pierdolona sprawa polityczna. Sprawa życia lub śmierci. Jego życia lub śmierci!

Sam wrak i pierdolenie się z nim trwałoby miesiąc, dwa, a do tego wypadek śmiertelny? To jakieś pół roku pewnie! Przepierdolą wybory! Ta inwestycja miała wypaść akurat przed nimi!

Od tego tutaj był! Trzęsącymi się rękami wybrał numer i przyłożył telefon do ucha. Gwałtownie go oderwał, po czym przełączył na głośnik. Kamera! Nagra się!

Cały czas włączona kamera ukazywała wnętrze wykopu. Światła reflektorów oświetlały podnośnik i burtę galeonu. Po prawej, przy ścianie, tonęły w półcieniu zaszalowane dopiero schody, które miały prowadzić na korytarz ewakuacyjny.

Do mikrofonu kamery dobiegał świszczący oddech Moszenickiego i cichy dźwięk sygnału.

– O tej porze? Coś się stało? – rozległ się nagle czyjś głos.

– Stało się! – Moszenicki zaczął nagle mówić. – Ktoś zginął! Może jeszcze żyje. Ja pierdołę! Co ja mam robić?

– Kto zginął? O czym ty gadasz?

– Robotnik! Wykopali tutaj wrak okrętu. Nie zgłosili tego i zginął taki frajer, który tam wlaź!

– Gdzie ty jesteś?

– Jak gdzie jestem? Kurwa. Artur! Ty słyszysz, co ja mówię? Jestem w tunelu!

– W tunelu? W Świnoujściu?!

– Wzywam pogotowie! – rzucił Moszenicki.

– Czeka! Czeka, do diabła! – Przez chwilę trwała cisza. – Nie możesz! To będzie skandal! Wykończą nas!

– Ale on może jeszcze żyje! – Moszenicki podniósł głos i nagle obraz zatoczył się na boki.

W pole widzenia zapiętej na piersi Moszenickiego kamerki weszły nagle jego obie ręce i telefon. Mężczyzna nerwowo zaczął przy nim grzebać, a z głośnika dobiegał czyjś zdenerwowany głos.

Moszenicki podniósł telefon.

– Weź się w garść! – słyhać było głos jego rozmówcy.

– Ale to przestępstwo...

– To się nie może wydać! Zrozumiałeś?

– A jeżeli ktoś go potem znajdzie? Jeżeli podczas jakichś robót odkryją ten wrak? Wiesz, czym to grozi?

– Jemu już nic nie pomoże, głąbie, a stracimy wszyscy. Polecę z tej roboty i ty też!

– To jest za wielkie, kurwa! Wszystko się od razu wyda!

– Wymyśl coś! Zakryjcie to, nie wiem, cokolwiek, ale nikt się nie może dowiedzieć!

– Pamiętaj, nie wywiniesz się z tego! Będziesz tak samo odpowiedzialny!

– Nie strasz mnie, szmaciarzu! Chcesz iść siedzieć?!

– To nie moja wina!

– Zrozum, głąbie, taka sprawa będzie się ciągnęła miesiącami! Rozumiesz, co to znaczy? Media zrobią z tego takie kurewstwo, że przepierdolimy! Wykończą nas, a ty pójdziesz siedzieć! Gwarantuję ci, że nie wyjdiesz z pierdła!

Od strony schodów dobiegł nagle głośny stukot. Moszenicki odwrócił się gwałtownie, a w polu kamerki pokazał się mężczyzna. Wbiegł do wykopu i rozglądał się dookoła. Zaraz za nim pojawił się drugi.

– Co pan tam robi?! – wrzasnął mężczyzna, w którym Moszenicki rozpoznał Nowackiego.

Obraz kamerki skoczył gwałtownie w lewo. W polu widzenia pojawiły się ręce Moszenickiego. Nagle podnośnik zaterkotał i ruszył na dół.

– Po coś tam włąził, kurwa! – Kamera znowu pokazała podbiegającego Nowackiego. – Co ty tutaj robisz?

Moszenicki wyskoczył z kosza, odwrócił się na moment i nagle przed obiektywem pojawiła się ręka, która zacisnęła się na kamerce.

Po chwili obraz ściemniał i nagranie się urwało.

Ekran zrobił się czarny, przez moment jeszcze słychać było szum, a po chwili zapadła cisza. Taka sama cisza jak makiem zasiał panowała w redakcji. Przez dłuższą chwilę nie było słychać nawet oddechów.

– Ja pierdolę – odezwał się w końcu Paweł. Sięgnął po stojące przy najbliższym biurku krzesło i opadł na nie.

– Musieli się zgadać – powiedziała cicho Baśka. – Wszyscy trzej mieli powód, żeby sprawa nie wyszła na jaw.

– Wszyscy czterej – dodała cicho Paulina. – Artur. Artur Korytko, wicedyrektor zarządu dróg, firmy, która pełniła nadzór nad budową. Jako inwestor zastępczy.

– Moszenicki i Korytko nie chcieli ujawnienia sprawy z powodu terminu zakończenia robót. Uznali, że temu facetowi nic już i tak nie pomoże – ciągnęła Baśka. – Pewnie zresztą na wyrost. On mógł jeszcze żyć, jak go tam zostawili.

– A Poznański i Nowacki z powodu skarbu – dodał cicho Piotr.

Halczyszyn przedarła się przez zastawioną samochodami ulicę Zbożową i zaparkowała przy jezdni kilkadziesiąt metrów od budynku Lastadia Office, w którym mieściła się redakcja. Wybrała numer i poczekała kilka sygnałów.

Pomyślała, że Paulina musi mieć poważny powód, żeby od godziny nie odbierać jej telefonów. Westchnęła i spojrzała w kierunku biurowca. Sięgnęła do klamki i w tym momencie zadzwonił jej telefon. Odebrała odruchowo, spodziewając się, że to Paulina w końcu oddzwania.

– Nareszcie – westchnęła do słuchawki.

– Co nareszcie, pani komisarz? – rozległ się jakiś męski głos.
– Nie rozumiem.

Zaskoczona Halczyszyn na moment umilkła.

– Przepraszam, nie spojrzałam na wyświetlacz.

– To bardzo nieostrożnie. – Ton Modzelewskiego był chłodny, a głos bez żadnych wątpliwości ociekał jadem. – Nie

zastałem pani na komendzie po przesłuchaniu Nowackiego, a chciałem z panią porozmawiać.

– Będę za godzinę.

– Pani komisarz... – Modzelewski nieco ściszył głos. – Proszę jak najszybciej o kontakt. To nie jest sprawa, która może czekać. Ważna jest każda minuta. Czekam na panią na komendzie.

Halczyszyn przez chwilę wpatrywała się w ekran telefonu, po czym wysiadła z samochodu i szybkim krokiem ruszyła w kierunku Lastadii.

W redakcji tymczasem wszyscy wciąż byli w szoku.

– Musieli się porozumieć i przez weekend wspólnie zakryć galeon. – Piotr cały czas wpatrywał się w ciemny ekran. – W poniedziałek szybko przystąpili do robót i postawili ścianę.

– A w poniedziałek rano Alien zobaczył tylko ślady po przeciąganym kufrze – dodała Paulina.

– Poznański, gdy wszystko zaczęło wychodzić na jaw, załamał się i popełnił samobójstwo.

– A zaczęło wychodzić na jaw przez Moszenickiego.

– Możliwe, że o skarbie Nowacki z Poznańskim nawet nie powiedzieli Moszenickiemu – stwierdziła Paulina. – Podczas dochodzenia w sprawie zaginionego Wojciecha Gawrona stwierdzono, że jako ostatni z budowy wyszedł Moszenicki. Kamera przemysłowa złapała go przy wyjściu. Nowacki z Poznańskim wyszli przez nieukończony jeszcze korytarz i zabrali kufer. On mógł go w ogóle nie widzieć.

– To po co miałyby ich szantażować? – spytała Baśka.

– On nie ich szantażował. – Paulina pokręciła głową. – Szantażował Artura Korytkę.

– To dlatego Modzelewski się wygadał. – Piotr pokiwał głową. – Musieli się znać, a on robił wszystko, żeby udział Korytki nie wyszedł na jaw.

– A kto zabił Moszenickiego? – zapytał Paweł.

– Korytko. – Paulina wzruszyła ramionami. – To oczywiste. Musiał w ten dzień pojechać do niego, żeby próbować się dogadać. Pokłócili się i rąbnął go w łeb. A potem wykorzystał fakt, że Moszenicki umówił się wcześniej z Borysem. Zawłókł go do samochodu i wywiózł na plac Koczego. To dlatego zginęły komputery i telefon. Korytko chciał zabezpieczyć to nagranie. W dodatku jego żona musiała o wszystkim wiedzieć. To przecież ona załatwiła robotę Moszenickiemu. Jej mężowi, gdyby wszystko wyszło na jaw, groziło więzienie.

– Bardziej chyba bała się wywalenia z dochodowych spółek – warknął Piotr.

– Wiecie, kto prowadził sprawę zaginięcia tego chłopaka? – zapytała nagle Baśka, która wpatrywała się w ekran laptopa. – No zgadnijcie? – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się ironicznie do Pauliny.

– Modzelewski? – ni to zapytał, ni potwierdził Paweł.

Od strony wejścia na salę doszedł ich hałas otwieranych drzwi i do wnętrza weszła Halczyszyn.

Obrzuciła całą redakcję nieco zdziwionym spojrzeniem, a następnie skinęła do Pauliny.

– Musimy natychmiast porozmawiać.

– Najpierw lepiej to obejrzyj. – Paulina przesunęła palcem po ekranie laptopa i nagranie z tunelu pod Świną rozpoczęło się ponownie.

Kilka minut później przerażony Piotr skoczył do swojego biurka i zaczął nerwowo wyciągać kartę z telefonu. Zaraz potem usiadł i wysłał za pomocą Facebooka informację o podsłuchu Borysowi, zakazując mu dzwonić gdziekolwiek, dopóki nie zmieni telefonu.

– Nie mogę tego zabrać. – Halczyszyn skinęła głową w kierunku leżącej na biurku kamerki. – Ci dwaj koleśie Piotra będą mieć z tego powodu problemy, Piotr także. Poza tym... – Halczyszyn się zawahała.

Siedziały z Pauliną zamknięte w małej salce konferencyjnej, a Paulina widziała stąd, jak Paweł chodzi nerwowo po redakcji i głośno o czymś peroruje.

– Poza tym ja sądzę, że Modzelewski będzie próbował nadal wszystko tuszować. – Halczyszyn ściszyła głos. – To nagranie obciąża Artura Korytkę, ale pośrednio także i jego. Mamy dowody na to, że się z nim kontaktował. Ukręcą temu łeb, zwłaszcza że oskarżenie Korytki o morderstwo nie będzie łatwe i też będzie się opierało wyłącznie na poszlakach.

– To co robić? – Paulina spojrzała bezradnie na policjantkę.

– Po prostu to opublikujcie. Ja tego nie widziałam i nic nie wiem. Boję się też, że jeśli Modzelewski dojdzie, że Piotr dał mu złą kamerkę, a to może się stać nawet za chwilę, to zarządzi przeszukanie gazety. Zarekwirują twarde dyski, laptopy, wszystko.

– Żartujesz, prawda? – Paulina otworzyła szeroko oczy.

– Nie żartuję. – Halczyszyn wstała i ruszyła ku drzwiom. – Nie mamy za wiele czasu! Zmontujcie jakiś materiał i puśćcie jak najszybciej, najlepiej zaraz! Wtedy będzie po ptakach, będą musieli się tym zająć.

Zdębiały Paweł zaraz po wyjściu Halczyszyn wpatrywał się w Paulinę, jakby poinformowała go właśnie, że o dwudziestej trzydzięci będzie koniec świata.

– To nie jest moment na takie debilne żarty – odezwała się stojąca w drzwiach i przysłuchująca się wszystkiemu Baśka.

– Ja nie żartuję! – Paulina podniosła głos. – Nie mamy czasu!

– Nie zdążymy przemontować tego twojego filmu ze Świnoujścia. – Maciej pokręcił głową. – Najwcześniej na jutro rano, i to też z robotą w nocy.

– Do tego czasu nas zamkną!

– Jak zarekwirują nam sprzęt i twarde dyski, to będzie koniec działalności. Zdobyłem jakimś cudem trzy artykuły sponsorowane, które mają iść w tym tygodniu! Jak nie pójdą, to jeszcze nas pozwą.

– Paweł! Mnie nie musisz tego tłumaczyć – jęknęła Paulina i nagle coś jej wpadło do głowy. – Zabieramy wszystko gdzie indziej!

– Wiedzą, gdzie mieszkasz, do mnie też trafią – przerwał jej Piotr.

– Mój przyjaciel, Anglik, ma w Szczecinie mieszkanie. Jest tak ogromne, że spokojnie wszystko tam zmontujemy. Będziemy siedzieć całą noc, ale to musi iść jutro rano! Puszczamy nagranie na portalu! Papier możemy sobie odpuścić.

Na moment zapadła cisza, a po chwili wszyscy rzucili się do swoich biur. Rwetes, który wybuchł, można by porównać do pośpiesznej ewakuacji z powodu pożaru lub bez mała trzęsienia ziemi.

Gdy kilka godzin później pod Lastadię podjechały dwa nieoznakowane samochody policyjne, w redakcji siedziała tylko

repcjonistka, kilka osób markujących pracę i Paweł, który na widok policjantów, udając oburzenie, rzucił się od razu do telefonu, żeby wzywać adwokata.

Epilog

Nazajutrz...

Szczecińska prokuratura okręgowa mieści się przy ulicy Stoisława. Modernistyczny, ceglany gmach dawnego sądu, z wejściem wspartym na doryckich kolumnach, znajduje się prawie w samym środku miasta. Dawne krańce fortu „Prusy”, królestwo czerwonej cegły. Nad wejściem do gmachu do dzisiaj zachowała się płaskorzeźba przedstawiająca świętego Jerzego zabijającego smoka autorstwa Kurta Schwerdtfegera, najślynniejszego adepta przedwojennej Szkoły Rzemiosł Artystycznych.

Zaplanowana na godzinę jedenastą konferencja prokuratury ściągnęła cały tłum dziennikarzy, którzy stali w wielkim, wyłożonym jasnym kamieniem holu, oczekując, aż pojawi się rzecznik prasowy.

Zaraz po jedenastej do holu wpadła zdyszana Urszula Matecka, a za nią dźwigający kamerę, przestraszony chłopak. Kilka osób odprowadziło ją poirytowanym wzrokiem, gdy zaczęła się przepychać pod same schody, na których zazwyczaj stawał rzecznik.

– Przepraszam. My tutaj nagrywamy – syknęła do dziennikarza „Wyborczej”, przeciskając się pomiędzy nim a jakąś dziewczyną z „Kurieria Szczecińskiego”.

Pomocnik Mateckiej, który miał taką minę, jakby marzył tylko o tym, żeby zapaść się pod ziemię, ustawił kamerę

i zastygł bez ruchu.

Chwilę później na szczycie schodów pojawił się młody mężczyzna w szarym garniturze, a tłum dziennikarzy od razu zaczął się zacieśniać u ich podnóża.

– Dzień dobry państwu. – Rzecznik zatrzymał się na czwartym stopniu i oparł o balustradę. – Jak państwo wiedzą, prokuratura prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa Bartłomieja Moszenickiego, urzędnika wydziału zamówień publicznych szczecińskiego magistratu. Śledztwo z oczywistych powodów objęte jest tajemnicą, ale z racji tego, że w mediach społecznościowych pojawiło się ostatnio bardzo dużo rozmaitych przekłamań i domniemań, które wywołują dezinformację i niepotrzebne wzburzenie, zdecydowaliśmy się wydać ten komunikat. – Rzecznik spojrział w swoje notatki. – Bartłomiej Moszenicki zginął od uderzenia tępym narzędziem w głowę...

Urszula odwróciła się do swojego kamerzysty i scenicznym szeptem zwróciła się do kamery.

– Portal SzczecinNaPrawo jako pierwszy poinformował o istnieniu kluczowego nagrania, a także o nadal niewyjaśnionym udziale „Dziennika Szczecińskiego” w tych wydarzeniach. Brak przedstawicieli tego medium na dzisiejszej konferencji wynika zapewne z faktu, że według naszych informacji wczoraj zostało przeprowadzone u nich przeszukanie i zarekwirowano ich komputery...

Kilka osób głośno syknęło, jeden z redaktorów zaklął pod nosem.

– Sfilmuj salę – wychrypiała Matecka do kamerzysty. – Rób, co mówię! Zrób taką panoramę. Chcę pokazać, że nie ma tutaj Weber i Bahryńskiego.

– Może się uciszysz! – warknął stojący obok dziennikarz.

– Nam ust nie zamkniesz! – rzuciła scenicznym szeptem Matecka.

– Bardzo proszę o spokój! – Rzecznik przerwał i powiódł poirytowanym wzrokiem po holu. – Wydawało mi się, że są państwo zainteresowani aktualnym stanem śledztwa – dodał z ironią. – Jak powiedziałem, prokuratura ma już podejrzanego. Obecnie prowadzimy postępowanie przygotowawcze w celu postawienia zarzutów. Badamy także, szczególnie bulwersujący wszystkich, udział w tej sprawie pewnych mediów...

Matecka złapała swojego kamerzystę za łokieć i odciągnęła na bok. Przepchnęła się pomiędzy dziennikarzami i stanęła na tle rzecznika.

– Proszę państwa! Mamy oto sensacyjne potwierdzenie udziału „Dziennika Szczecińskiego” w wydarzeniach, które doprowadziły do śmierci... Co ty robisz?!

Kamerzysta, zamiast patrzeć w kamerę, wbił nagle wzrok w tablet, z którego słychać było jakieś nagranie. W całej sali rozległy się coraz głośniejsze szmery i komentarze. Kilka osób pochyliło się nad komórkami, a inni zbili się w małe grupki, oglądając coś na tabletach.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła Matecka. Podeszła do kamerzysty i wyrwała mu tablet. – Chcesz stracić pracę?! – huknęła na chłopaka i spojrzała na ekran.

Przez moment patrzyła, nie rozumiejąc, co ogląda, a po chwili zbladła.

Zdezorientowany rzecznik, którego nikt już nie słuchał, zaczął uciszać salę, ale dziennikarze rzucili się do wyjścia, krzycząc do telefonów lub nagrywając własne komentarze do tego, co się działo.

Chwilę później hol prokuratury opustoszał.

Została w nim tylko skołowana, nerwowo usiłująca się do kogoś dodzwonić Matecka i jej kamerzysta, który dochodził właśnie do wniosku, że jego poprzednia praca w Media Markt w dziale z elektroniką była chyba o wiele lepszą opcją.

Kilka dni później...

Za szerokimi, przeszklonymi drzwiami tarasowymi widać było pokryte grubą warstwą śniegu fotele i donice z pogrążonymi w zimowym śnie żywotnikami. Śnieg od kilku dni padał prawie bez przerwy. Ulice były pokryte grubą warstwą białego puchu, drzewa zmieniły się w świąteczne dekoracje, a przedmieścia i łąki nad Dąbiem wyglądały jak żywcem przeniesione z kresowych obrazów któregoś z Kossaków.

Na razie nikogo to nie martwiło. Wszyscy cieszyli się tym, że po latach na święta zamiast tradycyjnego już deszczu i temperatur oscylujących w okolicach przedwiosennych na Pomorzu spadł śnieg! Na zamartwianie się był cały styczeń, a na razie zbliżała się Gwiazdka.

Paulina, której na tydzień przed świętami jakimś cudem udało się kupić wszystkie prezenty dla bliskich, cieszyła się dzięki temu całkowitym spokojem. Na myśl o tym, że nie musi udawać się do żadnej galerii handlowej, by świńskim truchtem, jak zombie latać od sklepu do sklepu, rozlewała się w niej prawdziwa błogość, prawie jak po alkoholu.

Za dwa dni przyjeżdżał ojciec. Znowu w domu na Pogodnie zapanuje przedświąteczny rozgardiasz, poszukiwanie ukrytych gdzieś w piwnicy historycznych bombek i łańcuchów, pamiętających jej czasy przedszkolne, tradycyjne, uświęcone wieloletnim obyczajem rozplątywanie lampek choinkowych, w trakcie którego wszyscy się ze sobą pokłócą, i wreszcie

ubieranie choinki, na co nikt nie będzie miał czasu. Już słyszała Marcela: Jezu, dlaczego ja? Niech Paulina ubiera! Potem przyjedzie ciotka i przywiezie tyle jedzenia, że 12 Szczecińska Dywizja Zmechanizowana pewnie odmówiłaby jego przyjęcia w obawie przed tym, że żołnierze nie zdążą wszystkiego zjeść, zanim się zepsuje.

Jak to możliwe, że mimo tych wszystkich straszliwie męczących rytuałów Gwiazdka niezmiennie budziła w niej same przyjemne uczucia? Tak jakby na jakimś molekularnym poziomie zapamiętała z dzieciństwa to gorączkowe oczekiwanie na otwarcie kolorowych pudeł i toreb, żeby dobrać się wreszcie do prezentów.

Paulina, pogrążona w tych pogodnych rozmyślaniach, siedziała zwinięta w kłębek w wielkim fotelu i jednym okiem oglądając jakiś poranny program, drugim jednocześnie obserwowała Igora, który krzątał się po mieszkaniu, rozpakowując torby i rozwieszając wszędzie ciuchy. Dwie godziny wcześniej przywiozła go z lotniska, słuchając przez całą drogę relacji z przygotowań do planowanego wakacyjnego wyjazdu na Morze Irlandzkie. Firma eksploracyjna będąca współwłasnością ich angielskich przyjaciół, której Igor poświęcał coraz więcej czasu, jeszcze bardziej za to zaniedbując swoją szczecińską pracownię architektoniczną, prowadziła ostatnio prace głębinowe na zlecenie angielskiego koncernu energetyki wiatrowej. Przy okazji jednak, całkiem prywatnie, zajmowała się poszukiwaniami zaginionego na początku XIX wieku parowca Albion. Igor, całkowicie prawie pochłonięty tym projektem, mówił o tym praktycznie całą drogę z lotniska.

Dla Pauliny Morze Irlandzkie i zaginiony parowiec po ostatnich wydarzeniach w Szczecinie były tak odległe jak Ocean Burz na Księżycu. Czekwała jednak cierpliwie, żeby Igor się

wygadał, żeby podzielić się z nim tym, czym sama żyła przez ostatnie tygodnie.

– Ale jestem zmęczony – powiedział wreszcie Igor, kończąc w ten sposób temat wakacyjnego wyjazdu.

Rzucił pustą torbę w kąt pokoju, przeciągnął się, po czym skoczył z rozpędu na sofę.

– Praktycznie od dwudziestu czterech godzin jestem w drodze. Najpierw z Liverpoolu do Londynu, a potem z Londynu do Szczecina. A w Londynie jeszcze musiałem zrobić zakupy. – Uniósł głowę i uśmiechnął się. – Gwiazdka – dodał wyjaśniająco.

– Ja też mam to już za sobą. – Paulina wypiała łyk gorącej herbaty. – Na szczęście.

– Czytałem twój artykuł. – Igor sięgnął po herbatę. – Galeon – powiedział i uśmiechnął się z niedowierzaniem. Balansował, półleşąc, z kubkiem w ręku i usiłował dosięgnąć ustami jego brzegu.

– Zaraz cała herbata wylądje na dywanie – stwierdziła sarkastycznie Paulina.

– I co z nim będzie? – Igor poddał się i usiadł. – Wiadomo już coś?

– Z dywanem? – Paulina z trudem wracała do rzeczywistości z okołoswiątecznych rozmyślań.

– Z galeonem! – Igor posłał Paulinie nieco ironiczny uśmiech. – To tak właśnie mnie słuchałaś.

– Słuchałam! – Paulina, śmiejąc się, wzruszyła ramionami. – Od wczoraj zamrażają grunt za tą ścianą, żeby ją uszczelnić. Miasto bardziej się martwi zwłokami tego nieszczęsnego chłopaka niż galeonem. Podobno rodzina naciska, żeby je wydobyć, ale to byłyby straszne koszty.

- Uszczelnić? Czyli nadal tam są przecieki?
- Przy wjazdach pojawiły się przesiąki wody, a na dole rzekomo sączy się z tej ściany. Nowacki upiera się wprawdzie, że wszystko jest zgodne z projektem, ale i tak to muszą poprawiać.
- Przy wjazdach? Tak jak przepowiadano? Jak w Gdańsku?
- A ty, widzę, że generalnie się jednak orientujesz? – stwierdziła Paulina z przekąsem.
- Było nie było, nadal jestem architektem. – Igor na moment się zamyślił, a potem wypił powoli kolejny łyk herbaty i spojrzał na Paulinę z zaciekawieniem.
- To opowiedz o tym wszystkim.

Piotr stał przed lustrem w kolejnej koszuli ze swojego nie tak znowu wielkiego arsenału wieczorowych stylówek i przyglądał się sobie z powątpiewaniem.

Piter i Bartosz mieli w Świnoujściu dom po jakichś rodzinnych działkach i stwierdzili, że nie ma lepszego sposobu, żeby uczcić ostatnie wydarzenia, niż urządzenie tam wielkiej imprezy. Zwłaszcza że miasto organizowało jarmark świąteczny i koncert pod hasłem „Połączeni z lądem”. Miały wystąpić nawet jakieś głośne nazwiska.

Piter tak się zapalił do tego pomysłu, że wspomniał nawet o morsowaniu o północy, ale jako że wcześniej wypił trzy piwa, nikt tego nie wziął na poważnie. A przynajmniej Piotr miał taką nadzieję. Chociaż biorąc pod uwagę to, co się niekiedy działo w tym towarzystwie po alkoholu, tak całkowicie nie można było tego wykluczyć.

Piotr obrócił się, lustrując, jak biała koszula układa się na plecach, po czym wzruszył ramionami i westchnął. I tak niczego lepszego w swojej szafie nie znajdzie.

Spojrzał na zegar. Dochodziła powoli dziesiąta rano. Koncert zaczynał się o dwudziestej, ale umówili się na dziewiętnastą, żeby połączyć jeszcze po zimowojarmarkowym Świnoujściu. Piter i Bartek pojechali na miejsce dzień wcześniej, żeby przygotować dom na najazd dziczy, jak się wyraził Piter, dziewczyny jechały już o piętnastej, bo chciały pomóc w kuchni, zatem Piotr w podróż wybierał się sam.

Zdjął koszulę i rzucił ją na łóżko. Spojrzał w kierunku szuflady, w której miał kilka par kąpielówek. Może jednak na wszelki wypadek warto się zabezpieczyć?

Nie zdążył podjąć decyzji, bo zadzwonił telefon.

– Cześć. Mogę się z tobą zabrać? – rozległo się w słuchawce zadane bez żadnych wstępów pytanie.

Piotr, zaskoczony, w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co Borysowi chodzi.

– Zdecydowałem się jednak jechać. – Borys pociągnął nosem i uśmiechnął się. – Piter do mnie dzwonił i mnie namówił. Chyba że z kimś jedziesz...

– Jadę sam. Mogę cię zabrać.

Przez chwilę pogadali jeszcze o niczym, po czym Piotr powiedział, że pojedzie po Borysa po siedemnastej, odłożył telefon i spojrzał w lustro.

No proszę, pomyślał. Borys początkowo nie chciał jechać. Ciekawe, czemu zmienił zdanie.

Może Adrian też zmienił zdanie, pomyślał z przekąsem.

Złapał torbę i zaczął do niej wrzucać porozkładane na łóżku rzeczy.

Drzwi budynku centrum obsługi otworzyły się i do wnętrza wpadł wiatr, a wraz z nim wirujące płatki śniegu. Strażnik

zsunął z głowy kaptur i otrzepał ze śniegu swoją parkę.

Wszedł do pomieszczenia obsługi, powiesił kurtkę na wieszaku i rozcierając ręce, ruszył najpierw do aneksu kuchennego, żeby zrobić sobie gorącej herbaty.

– Niepokoją mnie te szczeliny na wjazdach – zawołał do swojego kolegi, który jednym okiem śledząc podgląd z kamer, czytał coś na komputerze.

– Niby dlaczego? – spytał kolega bez większego zainteresowania. Zdążył się już przyzwyczać do upierdliwości Romana. Jak to mówią? Że nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu?

– Wydaje mi się, że się pogłębiły. – Roman nalał sobie wrzątku i podszedł do pulpitu. – Popatrz. – Wskazał ręką jedną z kamer.

– Bo akurat tam coś widać – stwierdził filozoficznie kolega.
– Samochód za samochodem i jeszcze teraz śnieg.

– Słyszałeś, że miasto chce zamknąć na dziś i jutro przeprawę?

– Bieliki? No w sumie nic dziwnego. Znowu ma być sztorm. I to podobno niezły. A jeszcze ten lód przy brzegach.

– Wtedy cały ruch na te jebane obchody tędy puszcza – warknął Roman, wpatrując się cały czas w kamerę przy wjeździe na wyspie Uznam.

– Ja nie wiem, jak w ogóle oni sobie wyobrażają ten koncert? Raz, że jest minus dziesięć, a do tego jeszcze ten wiatr.

– Mróz to nie problem, w końcu na sylwka też grają. – Roman upił łyk gorącej herbaty. – Podobno mają plan B.

– Ale ta hołota, która tu jedzie, nie wiem, czy ma plan B.

– Oczywiście, że ma. Chłanie na umór. Jak będziesz szedł na obchód, to popatrz na te szczeliny. Nie podobają mi się.

– Dobra, dobra. – Łysy strażnik pokiwał głową i wrócił do śledzenia Facebooka.

Katarzyna zamknęła drzwi gabinetu i rozejrzała się po nim. Wszystko było takie samo i takie inne jednocześnie. Kolekcja książek historycznych, stare egzemplarze encyklopedii, kilka atlasów, kolorowe kartki pocztowe powtykane pomiędzy stojącymi na szafie bibelotami. Wszystko to niby tylko przedmioty, a każdy miał duszę. Każda z tych kartek to była jakaś krótka zapisana na niej historia, życzenia z wakacji lub pozdrowienia. I każda z nich otwierała w pamięci cały album wspomnień.

Miała wrażenie, że ktoś ją tego wszystkiego pozbawił. Nic już nie miało być takie samo.

Policja i prokuratura, która od tygodni w kółko przesłuchiwała Artura, jej syn, który napisał krótką wiadomość, że mu wstyd, bo się urodził pod tym dachem. Matka Artura oskarżająca ją o zniszczenie życia synowi.

Melancholia i rozpacz. Żal i wściekłość. A wściekłość zaczynała przebijać się na plan pierwszy. Nic już nie miało być takie samo.

I ktoś powinien za to zapłacić.

Podeszła do biurka i zaczęła po kolei otwierać wszystkie szuflady. Dwie były zamknięte na klucz, ale była na to przygotowana. Przyniosła ze sobą z garażu łom.

Bez żalu, bez emocji wyłamała zamki w obu szufladach i w jednej znalazła to, czego szukała.

Artur, ulegając modzie, załatwił sobie to pozwolenie rok temu. Naśmiewała się z niego, a trochę też ją to niepokoiło.

Pistolet w domu kojarzył jej się z wszystkimi tymi filmami, w których w końcu ktoś w ten sposób ginął.

Sięgnęła i wyjęła niewielki czarny przedmiot.

Przez chwilę ważyła go w dłoni, myśląc, że to wręcz zabawne, że miała rację. A potem zamknęła szufladę, wrzuciła pistolet do torebki i wyszła z gabinetu.

Igor siedział z podciągniętymi na sofę nogami i sącząc herbatę, słuchał, jak Paulina opowiada o kulisach poszukiwania tajemniczej świątyni, która okazała się wrakiem, oraz o zakulisowych działaniach policji, które skończyły się prokuratorskim przeszukaniem redakcji „Dziennika Szczecińskiego”.

– No i jak to się skończyło? – zapytał, gdy Paulina opowiedziała o desperacko pośpiesznym montowaniu filmu w szczecińskim mieszkaniu Johanna.

– Minął dopiero niecały tydzień. – Paulina wzruszyła ramionami. – Prokurator Modzelewski prawdopodobnie będzie miał zarzuty w sprawie poważnych uchybień w trakcie postępowania przygotowawczego, ale obawiam się, że nic mu się nie udowodni.

– A Nowacki?

– Przyznał się do zatajenia odkrycia wraku galeonu, ale twierdzi, że nic nie wiedział o wypadku. Nie zajrzał do wnętrza. Wszystko działo się w pośpiechu, a Moszenicki rzekomo naciskał, żeby jak najszybciej wszystko ukryć.

– A ten cały skarb?

– Nowacki cały czas upiera się, że nie było żadnego skarbu, a kufer kupił na wyprzedazy. Tylko Alien podobno widział ślady przeciągania kufra, ale to niczego nie dowodzi.

– Przecież możliwe, że ten chłopak jeszcze żył. – Igor spojrział ze zgrozą na Paulinę. – Prawdopodobnie zamurowali go tam żywcem. I nikt nie poniesie żadnej odpowiedzialności?

– Nowackiemu to będzie trudno udowodnić – westchnęła. – To pewnie prawnik mu poradził, żeby nie przyznawał się do żadnego skarbu. Jeśli nie było skarbu, to nie było motywu. Prokuratura przecież usiłowała udowodnić, że to Nowacki był głównym motorem i kierowała nim chciwość. Dlatego właśnie miał ukryć wypadek, bo tak wszystko wyszłoby na jaw, i dlatego miał rzekomo zamordować Moszenickiego, gdy ten zaczął go szantażować. Jeśli nie było żadnego skarbu, to nie miał powodu tego robić. A jeżeli nie zdołają mu dowieść, że wiedział o wypadku, to będzie odpowiadał tylko za zatajenie znalezienia wraku.

– A może rzeczywiście nie wiedział o wypadku? Może Moszenicki nie powiedział im o tym, bo bał się, że dla któregoś z nich to już będzie za wiele? Co innego ukryć jakiś tam wrak przez służbami konserwatorskimi, a co innego zatuszować śmiertelny wypadek.

Paulina ściągnęła powątpiewająco usta.

– A mnie się wydaje, że wiedział – powiedziała w końcu z namysłem. – Przecież depresja Miłosza Poznańskiego pośrednio tego dowodzi. Musiał wiedzieć o tym konającym za ścianą chłopaku i sumienie nie dało mu żyć. Dlatego w końcu popełnił samobójstwo.

– Hmm. – Igor pokiwał głową. – A kto zabił Moszenickiego?

– Korytko. – Paulina wzruszyła ramionami. – Nie miał żadnego alibi, a miał motyw. Poza tym na nagraniu jest jego głos. I raczej się nie wymiga także od oskarżenia o nieudzielenie pomocy temu chłopakowi.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w padający za oknem śnieg.

Igor odstawił w końcu pusty kubek na ławę i spojrzał w okno.

– Niezła pogoda – mruknął. – Aż trudno uwierzyć, że to Szczecin.

– W dodatku na Gwiazdkę – dodała Paulina.

– Do Gwiazdki jest jeszcze tydzień. – Igor dźwignął się z sofy i ruszył do kuchni.

Aneks kuchenny od pokoju dziennego oddzielała wielka wyspa, przy której teraz stanął. Sięgnął po czajnik i nalał sobie jeszcze herbaty.

– Pewnie przed samą Gwiazdką zrobi się z dziesięć stopni i na zwały brudnego śniegu, który będzie zalegał ulice jeszcze do marca, zaczniesz padać deszcz.

Paulina, która oczami wyobraźni zobaczyła, jak w pierwszy dzień świąt góry brudnego śniegu roztapiają się w kleiste kałuże pełne psich kup, wzdrygnęła się.

– Nawet tak nie kracz.

Telefony obojga pisnęły nagle prawie jednocześnie, powiadamiając o przychodzącej wiadomości.

– Alert RCB – przeczytała Paulina, która telefon miała pod ręką. – Ostrzegają przed zamieciaми śnieżnymi i silnym wiatrem.

– Super – westchnął Igor. – A mieliśmy jutro jechać do Dalewa.

– Może aż tak źle nie będzie. Oni zazwyczaj przesadzają.

– Też prawda. – Igor wrócił na sofę, postawił kubek na ławie i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, nad czymś się zastanawiając.

– A co z tą policjantką? Postawią jej jakieś zarzuty? – zapytał.

– W tej sytuacji, jak prokuratorowi grozi postępowanie dyscyplinarne, to raczej nic jej nie zrobią. Modzelewski poza tym nie miał praktycznie żadnych dowodów. Jego ludzie zainstalowali podsłuchy u Piotra i Borysa i tylko dzięki temu dowiedział się, że Halczyszyn powiedziała mi o wynikach sekcji.

– A oni nie będą się musieli przyznać, że dowiedzieli się tego od ciebie?

– Halczyszyn chce, żebym powiedziała prawdę. Twierdzi, że najwyżej dostanie upomnienie. To nie była żadna ważna informacja.

– À propos ważnych informacji. A Matecka? Skąd ona dostawała cynk?

– O Miłoszu Poznańskim, że to jego podpis, dowiedziała się od Aliena. Od niego także musiała wiedzieć, że byliśmy na budowie Docklands Park i że widzieliśmy tę spaloną łódź, ale nagranie musiała jej podesłać prokuratura.

– Prokuratura, która z jednej strony oskarża Halczyszyn o przekazywanie prasie szczegółów śledztwa, z drugiej bezczelnie sama to robi – stwierdził Igor z niedowierzaniem.

Paulina wzruszyła ramionami.

– A bo to pierwszy raz? Nie czytasz gazet? Halczyszyn jest przekonana, że to Modzelewski zrobił. Tylko on miał dostęp do nagrania, a wiadomo, że nie zrobiła tego ani ona, ani Renard.

– Skoro Korytko wiedział o istnieniu nagrania, a może wiedział i o tym, że jest film, to właściwie czemu wcześniej nie próbował go zdobyć?

Paulina pokręciła głową.

– Nie wiedział. Dowiedział się dopiero wtedy, gdy Moszenicki zaczął go szantażować i przekazał skany Borysowi. To dlatego Modzelewski za wszelką cenę chciał dotrzeć do tych

materiałów. Straszył Borysa i Piotra, sam przeszukał dom Moszenickiego i wreszcie wydał nakaz zabezpieczenia naszych komputerów.

Przez chwilę oboje milczeli, wpatrując się w sypiący za oknem śnieg.

– Cały czas mam przed oczami tego chłopaka, którego tam zostawili – westchnął po chwili Igor. – On naprawdę mógł jeszcze żyć. Trudno uwierzyć, że Korytko z Moszenickim aż tak bali się konsekwencji. Przecież to był wypadek. Nawet jakby to ujawnili, to i tak o wszystko zostałyby oskarżony Nowacki.

– Igor... – Paulina uśmiechnęła się drwiąco. – Oni się bali najmniejszego nawet przestoju. Ta budowa miała być flagową inwestycją przed wyborami. Korytko miał pewnie rozkazy z samej góry, żeby za wszelką cenę nie dopuścić do obsuwy. A tu mało tego, że byłaby obsuwa, to jeszcze potworny skandal. Cóż znaczy jedno marne życie jakiegoś tam robotnika w kontekście kolejnych czterech lat bezkarności?

– No dobra, a ten telefon z urzędu miasta? – zapytał znowu po chwili Igor. – Do Borysa. Sądysz, że oni coś wiedzieli?

Paulina pokręciła głową.

– Może ktoś w urzędzie też się bał, że wyciekną inne brudy. – Wzruszyła ramionami. – Przecież na początku myśleliśmy, że to chodzi o Szczecin, w dodatku Matecka rozpętała tę awanturę w mediach, oskarżając nas o współudział, a w tle była sprawa z Pokrętną. No i za pół roku są z kolei wybory samorządowe.

Igor pokiwał głową w zamyśleniu. Przez moment siedział, popijając herbatę. Obserwująca go Paulina miała wrażenie, że usiłuje poukładać sobie wszystko w głowie.

– Mam wrażenie, że w tej sprawie jest sporo niejasności – powiedział w końcu. – Na przykład te kamienie w kufrze...

- Co z nimi? – Paulina spojrzała na niego zaskoczona.
- No nie wydaje ci się to trochę dziwne? – Igor podrapał się po brodzie. – Skąd by się tam wzięły?
- Nowacki wszystko sprzedał albo gdzieś ten skarb ukrył... – zaczęła bez przekonania.
- I napełnił potem kufer kamieniami? – przerwał jej Igor. – Po cholere?

Paulina chciała od razu odpowiedzieć, ale powstrzymała się. Rzeczywiście. Nowacki cały czas twierdził, że nie było żadnego skarbu. W dodatku nadal to podtrzymywał.

– A zakładając, że zeznał prawdę – kontynuował Igor, jakby czytając jej w myślach – nie było skarbu, a kufer rzeczywiście kupił sobie na OLX-ie. Po co napełnił go kamieniami?

– No to akurat da się jakoś wytłumaczyć. Może były potrzebne do prac ogrodniczych? Kupił na przykład kamienie i przywiózł je w kufrze? Kończył przecież budować dom.

– I pojechał po kamienie z kufrem z siedemnastego wieku? Budowlaniec, który miał pewnie swobodny dostęp do przyczepy czy kontenera? – Igor spojrzał na Paulinę powątpiewająco. – Poza tym kamienie się zamawia i przywożą ci je wywrotką.

Paulina zamyśliła się. Igor miał rację. Wielki kufer stojący w garażu i wypełniony kamieniami...

– Pomijając kamienie – odezwała się po chwili – jest w ogóle możliwe, żeby coś tam znaleźli?

Igor wzruszył ramionami.

– Trzeba zacząć od tego, kiedy w ogóle pływały galeony. Czasy największej świetności to był szesnasty, siedemnasty wiek. W osiemnastym używano ich już rzadko. Były za ciężkie, mało zwrotne i ustępowały nowoczesnym okrętom pod każdym względem. Więc mógł to być okręt z czasów wojny

trzydziestoletniej, ale problem w tym, że w tamtych czasach Świna nie była żeglowna. Była za płytka. Jedyna droga na Bałtyk prowadziła Pianą przez Wolgast.

Paulinie przeszło przez myśl, że Igor chyba już przepadł dla architektury. Praca w firmie eksploracyjnej musiała go rzeczywiście wciągnąć.

– Nie mógł zabłądzić? – zapytała.

Igor parsknął śmiechem i sięgnął po tablet. Po czym chwycił pilota i na ekranie telewizora ukazała się mapa Zalewu Szczecińskiego.

– Popatrz. – Wskazał kursorem przesmyk pomiędzy zalewem a jeziorem Wicko Wielkie. – To była wówczas jedyna droga wodna prowadząca do Świnoujścia, które było wtedy notabene małą wiochą rybacką i żaden szwedzki galeon nie miał tam po co płynąć.

– A Kanał Piastowski? Kiedy on powstał?

– Dopiero w połowie dziewiętnastego wieku.

– Czyli to nie mógł być raczej galeon z czasów wojny trzydziestoletniej – podsumowała Paulina. – To może z czasów wojny północnej? Połowa siedemnastego wieku, szczyt popularności galeonów.

– Szwedzi od końca wojny trzydziestoletniej władali Pomorzem od Stralsundu do Szczecina i zalew był wówczas ich wodami wewnętrznymi. Na Zalewie Szczecińskim nie toczyły się żadne bitwy.

– To może po wojnie. – Paulina nagle podniosła palec. – Oczywiście! W którym roku Szwedzi sprzedali Szczecin?

– W tysiąc siedemset dwudziestym – odparł Igor. – To akurat pamiętam. Układ sztokholmski. Sprzedali zresztą nie tylko Szczecin, ale także Uznam i Wolin.

– No właśnie! – zawołała Paulina. – Opchnęli miasto, a jak je opuszczali, to pewnie zabierali wszystko, co się dało. Kojarzysz te odkrycia archeologiczne na Wiśle, gdzie znaleziono całe marmurowe rzeźby, marmurowe fragmenty jakichś budynków? Pisali o tym wszędzie kilka lat temu. I pewnie dokładnie tak samo było w Szczecinie. Gdyby przeszukać zalew, kto wie, co można by jeszcze tutaj znaleźć.

– Ale Świna nadal była wtedy niezęglowna – przypomniał Igor. – Szwedzi sprzedali Szczecin, ale ciągle pozostali na Pomorzu. Wszystko ze Szczecina wywieźli pewnie do Wołogoszczy. To Wolgast był potem stolicą ich pomorskiej kolonii. Po co mieliby pchać się pełnym szczecińskich skarbów, a więc strasznie obciążonym galeonem na bagnistą Świnę? W przeciwnym kierunku w dodatku?

– No dobra. – Paulina sięgnęła po tablet. – A później?

– Później była wojna siedmioletnia...

Igor nagle przerwał i podniósł wysoko brwi.

– Bitwa pod Nowym Warpem!

Piotr wyglądał właśnie przez okno, za którym wzmagał się wiatr, gdy zadzwonił jego telefon.

– Lepiej wyjedźcie wcześniej – rzucił beztroskim głosem Piter. – Zamykają właśnie przeprawę promami i pewnie będą korki.

– No właśnie widzę, że pogoda robi się coraz gorsza... – Piotr urwał i zmarszczył brwi. – Jedźcie? A skąd ty wiesz, że Borys jedzie ze mną?

– Trzymam rękę na pulsie.

– Jasne – prychnął Piotr, domyślając się, że za jego plecami musiała się właśnie zawiązać jakaś towarzyska gorąca linia

telefoniczno-plotkarska. – Ja w ogóle zastanawiam się nad tą podróżą. Dopiero co dostałem alert RCB. Piszą, że będzie sztorm.

– A ty się drogą morską do nas wybierasz? – zakpił Piter. – Przez Bornholm może?

– Oj Piter...

– Żaden Piter. Nie ma co jęczeć. Co cię obchodzi sztorm? S-trójką jedziesz. Nie potrzebujecie szalup ratunkowych. Twój stary golf to nie Titanic.

Piotr westchnął. Zapowiadała się ciekawa podróż. Miał tylko nadzieję, że przynajmniej z tego Piterowego morsowania, w świetle pogodowych perturbacji, nic nie wyjdzie.

Paulina wpatrywała się w Igora, który gorączkowo przesuwał palcem po ekranie tabletu. Bitwa pod Nowym Warpnem? W dodatku morska?

– Jaka bitwa? – zapytała w końcu.

– Jedna z najbardziej groteskowych bitew morskich, jakie się odbyły w historii. Tak o niej niekiedy piszą. Bardzo mało znana w dodatku.

– I kiedy ona niby była?

– Dokładnie dziesiątego września tysiąc siedemset pięćdziesiątego dziewiątego roku, a trwała od dziewiątej rano do szesnastej po południu – przeczytał Igor i uśmiechnął się do Pauliny. – Wojna siedmioletnia była w północnej Europie, najogólniej rzecz ujmując, skierowana przeciwko potężniącemu Prusom – kontynuował Igor. – Szwedzi uznali to wówczas za pretekst do tego, żeby odzyskać całe Pomorze, a zwłaszcza Szczecin. Ich pierwszym krokiem było zatem zablokowanie dostępu do Bałtyku. Szczecin, który żył z handlu morskiego, przeczuwając w dodatku, co się może wydarzyć,

postanowił działać. Jako że nie było jednak czasu na budowę nowej floty, a posiłki nie mogły tutaj dotrzeć, postanowiono wykorzystać to, co było pod ręką.

– To znaczy co? Gdzie ty to w ogóle znalazłeś?

– W niemieckiej Wikipedii. Słuchaj dalej. – Igor pochylił się nad tabletem. – W ciągu kilku miesięcy szczecinianie przerobili stare statki handlowe i barki na okręty wojenne, wyposażając je w działa z miejskiej zbrojowni i ze szczecińskiego batalionu artylerii. Na pokłady trafiła zaś głównie piechota z tegoż batalionu. Koniec końców, zmajstrowali osiem dużych okrętów i cztery mniejsze i taka armia z recyklingu wypłynęła na Zalew Szczeciński.

– I co dalej? – dopytywała się Paulina, gdy Igor na chwilę przerwał, żeby napić się herbaty.

– No nietrudno przewidzieć – odparł Igor. – Szwedzi zatopili praktycznie całą pruską flotę, a większość marynarzy wzięli do niewoli.

– Tylko że niestety jedno tutaj nie pasuje – odezwała się Paulina, która w międzyczasie sama zaczęła grzebać na obcojęzycznych stronach.

– Nie ma galeonu? – domyślił się Igor.

– Właśnie... – Paulina pokiwała głową. – Jest tutaj nawet dokładny spis jednostek. Po szwedzkiej stronie były w dodatku głównie galery. – Spojrzała ze zdziwieniem na Igora. – Nawet nie wiedziałam, że używano ich jeszcze w osiemnastym wieku.

– Tylko na wodach śródlądowych – odparł mechanicznie Igor, wpatrując się w zdjęcie na swoim tablecie. – Ten galeon z tunelu, jak widzę, miał natomiast zachowane ambrazury i całą tę dekoracyjną snycerkę. To nie mógł być żaden przerobiony statek handlowy. Poza tym tam nie mogło być żadnego skarbu.

Pewnie nawet prowiantu nie mieli, skoro cała wojna trwała kilka godzin.

– Zatem dalej nie wiemy, skąd się wziął stary galeon w tunelu pod Świną – podsumowała Paulina.

Na krótki moment znowu zapadła cisza. Z głośników dolatywała tylko jakaś spokojna muzyka. Paulina spojrzała w okno. Wiatr co chwila uderzał o szyby białym puchem, a znad Odry dochodził jego ryk. Na otwartych przestrzeniach bulwarów miał się gdzie rozpędzić, by uderzyć z impetem w ściany i okna stojących nieopodal kamienic.

– No i jest jeszcze ten laptop – odezwał się nagle Igor. – Mówiłaś, że tam nie było nic podejrzanego. Tylko jakieś obliczenia szczelności. To wprawdzie możliwe, że Nowacki je usunął, bo bał się, że ktoś się zorientuje, że robili oszczędności na materiałach albo coś w tym stylu, ale jakoś mi to nie pasuje. Masz w ogóle te pliki?

Zaskoczona Paulina przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, czy zapisała usunięte przez Nowackiego pliki na swoim laptopie. Czy Marcel, w razie czego, jeszcze je ma?

Roman wpatrywał się właśnie w monitory, na których widać było korek tworzący się przed wjazdami do tunelu. W południe miasto zamknęło przeprawę promową i tak jak można było się spodziewać, momentalnie zrobił się bałagan. Mimo komunikatów sporo ludzi jechało na promy, a gdy na miejscu okazywało się, że są nieczynne, przepychali się Barlickiego i Fińską w kierunku nowego ronda przed wjazdem do tunelu. Do tego dochodzili wściekli piesi, dla których podstawiono autobusy i którzy winę za utrudnienia zrzucali teraz na obsługę tunelu.

I jeszcze te uszkodzenia nawierzchni z obu stron, które pogłębiły się na tyle, że kierowcy zwalniali sami z siebie, zwłaszcza że od kilku dni, zaraz po tym filmie, który puścił szczeciński portal, ludzie zaczęli gadać niestworzone rzeczy.

Dzień wcześniej główny wykonawca przysłał ludzi, którzy założyli instalację mrożeniową na klatce ewakuacyjnej E1. Trzeba było ją w związku z tym zamknąć i teraz jedyna droga ewakuacyjna z całego półtorakilometrowego odcinka tunelu prowadziła przez klatkę E2.

A do tego wiało coraz mocniej. Według komunikatów i służb meteorologicznych sztorm miał być dopiero w nocy, a wiatr miał się zmienić na północno-wschodni, ale już teraz na zewnątrz mocno dawał się we znaki.

Kilka minut temu Adam ubrał się i poszedł zrobić obchód. Rzecz w tym, że tych cholernych uszkodzeń nie było za dobrze widać na monitorach, a miasto nagle się ocknęło i kazało ich pilnować i dać natychmiast znać, jakby coś było nie tak. To znaczy, jak się wyrazili, gdyby działo się coś niepokojącego. Jakby, kurwa, to, że rysy w asfalcie zamieniły się w prawie dwucentymetrowe progi, było mało niepokojące.

Paulina, która przypomniała sobie w końcu, że usunięte przez Nowackiego pliki Marcel dał jej na, jak się wyraził, „wściekle czerwonym” pendrivie, żeby nie mogła go zgubić albo pomylić z innym, przekazała je Igorowi dopiero w porze obiadu. Około drugiej spotkali się na Starym Mieście i wylądowali w jednej z przytulnych restauracji, gdzie sporo ludzi schroniło się przed wiatrem lub uciekło na chwilę z piekła przedświątecznych przygotowań.

– Nowacki zrobił to w pośpiechu, przed przyjazdem pogotowia – powiedziała Paulina Igorowi, wodząc jednocześnie

wzrokiem po kolejnych punktach w karcie. – Tak stwierdziłyśmy z Halczyszyn po analizie czasu wezwania karetki i usunięcia plików.

– Musiało mu na tym bardzo zależeć – mruknął Igor, spoglądając na pendrive. Zabrał ze sobą tablet, ale najpierw chciał w spokoju zjeść z Pauliną obiad.

Nie widzieli się przecież prawie miesiąc.

– Dziwna sprawa. – Paulina podniosła wzrok. – Alien upierał się, że gdy w poniedziałek przyszedł na budowę, to zbrojenia ściany szczytowej schodów i osłony były już wykonane i że podobno nie najlepiej. Tymczasem Nowacki teraz uparcie twierdzi, że to nieprawda i że wszystko zostało wykonane zgodnie z projektem.

Igor wzruszył ramionami.

– No wiadomo. Nikt mu niczego teraz przecież nie udowodni. Moszenicki nie żyje, a Alien to mało wiarygodny świadek. Nowacki nie chce dodatkowo mieć kłopotów z miastem i głównym wykonawcą za jakieś fuszerki.

Przy stoliku pojawił się w końcu kelner, więc na moment skupili się na wyborze dań, a zaraz potem ich uwagę od przekrętów Nowackiego oderwała wspólna znajoma, która niespodziewanie pojawiła się w restauracji. Wszyscy troje skonstatowali, że świat jest mały, i przez chwilę rozmawiali. Dwadzieścia minut później zaś na stół wjechały zamówione potrawy i temat znowu się odwlekleł jako zupełnie nieistotny w kontekście pustych żołądków.

Tak więc tajemnicze pliki, które Paulina dostała od brata na „wściekle czerwonym” pendrivie, Igor mógł otworzyć dopiero kolejną godzinę później u siebie w domu.

Paulina, przyjemnie zrelaksowana, robiła sobie właśnie kawę, zerkając raz po raz na swój laptop, gdzie czekał na nią artykuł do pewnego magazynu ilustrowanego. Obiecała, że skończy go do końca tygodnia i w poniedziałek rano wyśle. Była sobota, a do napisania została sama końcówka, więc nie było najgorzej. Mogła oddać się przyjemnemu nicnierobieniu. Nawet jeśli jutro zdecydowałiby się jechać w odwiedziny do rodziców Igora – w co coraz bardziej wątpiła, patrząc w okno – to i tak czasu było sporo.

Tymczasem, gdy już ułożyła się w swoim ulubionym fotelu przy oknie i sięgnęła po książkę, zadzwonił telefon.

– Będę u ciebie za piętnaście minut – rzucił Igor, nie wdając się w dłuższe tłumaczenia.

Paulina zatem, klnąc w duchu, rzuciła się do garderoby, aby precyzyjnie dobrać ciuchy tak, żeby wyglądać oszałamiająco, ale jednocześnie tak, żeby nie było żadnych wątpliwości, że dopiero co oderwała się od robienia porządków.

Igor przyjechał na Pogodno niestety dokładnie po piętnastu minutach. Zarejestrował w drzwiach, że Paulina, jak się nie wystroi, bo po prostu zwyczajnie robi coś w domu, wygląda jakoś podejrzanie doskonale. Wpadł do pokoju i postawił swój laptop na stole.

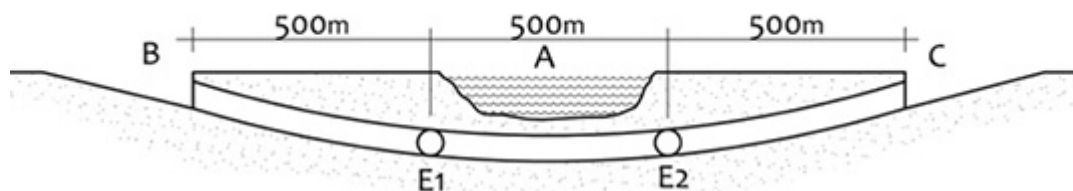
– Mówiłaś, że Alien stwierdził, że oni coś tam zjebali – powiedział bez wstępów.

– Halczyszyn mówiła, jeśli chodzi o ścisłość – poprawiła Paulina. – Nie było mnie przy tym.

– Nieważne. – Igor usiadł, postukał w klawiaturę i przesunął laptop do Pauliny.

Na ekranie ukazał się szereg obliczeń i schematy konstrukcyjne.

Igor sięgnął do torby po plik kartek i położył przed Pauliną rysunek.



– Popatrz – wskazał palcem – to jest przekrój przez Świnę. A to koryto rzeki, B to wjazd od strony Świnoujścia, C – od strony Wolina, a E jeden i E dwa to te dwie klatki ewakuacyjne, które robił Dark-Bud. Cała rura tunelu ma półtora kilometra. Połączenia rury z wjazdami to są właśnie te miejsca krytyczne, o których było tyle gadania. W tych miejscach pojawiają się naprężenia ścinające i ciągłe przecieki. W Gdańsku, na Martwej Wiśle, działa się dokładnie to samo. A galeon jest zakopany w dnie, tuż obok klatki E jeden.

– Po co mi to wszystko tłumaczysz? – Paulina usiadła przy stole obok Igora. – Ja mniej więcej to rozumiem. Poza tym przeglądałam w internecie dostępną dokumentację. Na stronach Urzędu Miasta Świnoujścia było tego dość sporo.

– Muszę to niestety poprzedzić takim wstępem, żebyś zrozumiała. – Igor pokazał palcem miejsce pomiędzy klatką E jeden a korytem rzeki. – Na waszym filmie było widać, że we wnętrzu tego galeonu zachowały się puste przestrzenie, rozumiesz? Oni mogli tam wejść do środka...

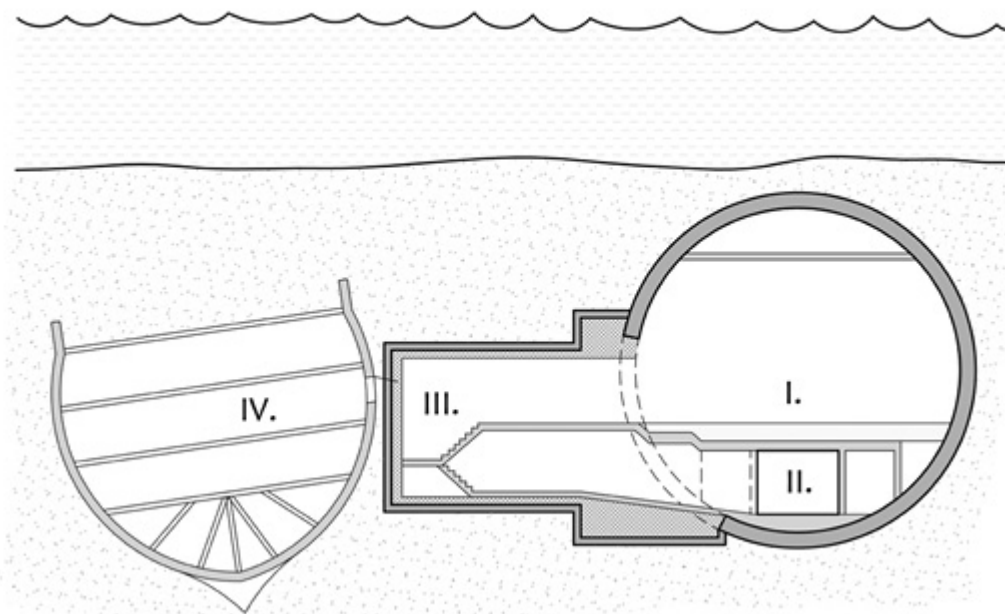
– Ale przecież wcześniej zamrażali grunt?

– Metoda mrożenia polega na wpuszczeniu w grunt rurek z solanką o temperaturze minus trzydzieści stopni, które odprowadzają wodę z gruntu do powietrza i powodują, że

wykop zamienia się w zbitą, zamrożoną masę, w której można bezpiecznie kopać bez obawy, że nastąpią przesiąki wody. Jeżeli w galeonie były dostępne pokłady, to znaczy, że wcześniej była tam pustka. Możliwe, że tutaj – Igor ponownie pokazał palcem miejsce pomiędzy korytem a klatką E jeden – były masy gliny, które zabezpieczyły galeon przed przedostaniem się wody.

– I co z tego wynika? – Paulina nerwowo poruszyła się, nie wiedząc, do czego Igor zmierza.

Igor sięgnął po kolejną kartkę z innym rysunkiem.



– A to jest przekrój przez sam tunel. Jedyńka to wnętrze tunelu, gdzie są jezdnie, trójka to schody ewakuacyjne, a dwójka to korytarz ewakuacyjny, którym Nowacki rzekomo wywłókł z galeonu ten kufer. Czwórka z kolei to galeon. A tutaj jest ta ambrazura, przez którą dostali się na pokład. – Wskazał palcem małą kreseczkę przy ścianie schodów.

Paulina patrzyła na rysunek. Po raz pierwszy zobaczyła, jak to musiało wyglądać. Stary okręt, zaginiony od wieków, do

którego przez przypadek dokopali się pod dnem rzeki...

– A pomiędzy trójką i czwórką to jest właśnie ta ściana, którą według Aliena Nowacki z Poznańskim źle zazbroili. – Igor sięgnął po laptop i obrócił go ekranem do Pauliny. – Popatrz. Ten Miłosz był tam jedynym inżynierem. Ani Nowacki, ani Moszenicki nie mieli wykształcenia budowlanego. Nowacki jest po prostu szefem firmy i generalnie ogarnia budowlankę, ale nie ma uprawnień. Poza tym działali w pośpiechu, w stresie i musieli zrobić błędy. Z tych obliczeń wynika, że ten koleś potem to sobie uświadomił. Robił ciągle obliczenia i ciągle mu wychodziły stany krytyczne...

– Jakie stany krytyczne? – Paulina spojrzała na Igora. Powoli zaczynało do niej docierać, do czego Igor zmierza.

– Źle wykonali zbrojenie. Tutaj są obliczenia porównawcze. Gdyby wszystko było zrobione zgodnie z projektem, to jakoś to wychodzi, nawet pomimo zupełnie innych warunków brzegowych...

– Czego?

– Zamiast litego gruntu, który po zamrożeniu i rozmrożeniu zachowałby się przewidywalnie i zgodnie z założeniami projektowymi, mieli ogromne rumowisko drewna, z wielkimi pustymi przestrzeniami wewnętrznymi pokładów, które Bóg wie czemu od setek lat się nie zapadły.

– Czyli ta ściana może nie wytrzymać? – Paulina wypowiedziała w końcu głośno to, o czym od pół godziny rozmawiali.

Igor pokiwał głową.

Piotr, zabierając Borysa spod jego bloku, przypomniał sobie, że to stąd właśnie wzięła się nazwa jego politykierskiego profilu – Nowe Miasto. Dzielnica była położona na południe od Starego

Miasta, a w dziewiętnastym wieku, podczas wielkiej rozbudowy Szczecina, planowano uczynić ją nowym centrum.

Pewien bogaty szczeciński przedsiębiorca, właściciel wielkich połaci ziemi na zachód od miasta, postawił jednak wówczas na swoim i miasto rozlało się w kierunku parku Kasprowicza. Nowe Miasto zaś zmieniło się w zapomniany, mroczny i niedoinwestowany mordor. Nazwa strony Borysa miała nawiązywać do obecnej sytuacji, w której decyzje władzom miasta dyktowali deweloperzy, jednocześnie zaś wskazywać potrzebę zmian. A dodatkowo jeszcze zdradzała, gdzie Borys mieszkał.

Pierwsze pół godziny drogi, w czasie której Piotr usiłował wydostać się z centrum, utykając co chwila na światłach i w korkach na permanentnie rozbabrzanych ulicach, upłynęło w milczeniu. Słyszał tylko brzęczące muzyką i prognozami meteorologicznymi radio.

– No i co się nie odzywasz? – zapytał w końcu Borys, zezując na skupionego na prowadzeniu Piotra.

– Nie jedziemy po Adriana? – Piotr od razu prawie, jak tylko to powiedział, zaczął sobie pluć w brodę, że się nie powstrzymał.

– Co ty z tym Adrianem? – Borys zaczął chichotać pod nosem. – Z tego, co wiem, pojechał już do rodziny. Jego starzy mieszkają w Austrii.

– Spoko...

– Słuchaj... – Borys na chwilę przerwał i spojrzał z rozbawieniem na Piotra. – Na tej imprezce u Bartka i Pitera...

– O rany – jęknął Piotr. – Musimy o tym gadać?

– No bo mam wrażenie, że ty się strasznie tym stresujesz. Przecież nic się nie stało. Każdy kiedyś po pijaku usiłował kogoś

pocałować.

– Borys... – jęknął Piotr. Czuł się wystarczająco żałośnie bez rozmowy na ten temat, a ten uparł się, żeby go jeszcze dodatkowo zdołować.

– No co Borys? – Borys zaczął krztusić się ze śmiechu. – Nie jest tak? A na piwo, jasne, że możemy skoczyć. Tylko wiesz, ja...

– Lepiej nic więcej nie mów!

– Przecież nie wiesz, co chciałem powiedzieć!

– I nie chcę wiedzieć!

Samochód skręcił na most Długi, minął Odrę i skierował się w inne, zapomniane i niedoinwestowane regiony miasta – Prawobrzeże.

Paulina po pięciu sygnałach, patrząc na Igora, pokręciła głową.

– Nikt tam nie odbiera – powiedziała.

– Jest prawie osiemnasta, w dodatku sobota. Kto ma tam odebrać telefon? – Igor westchnął niecierpliwie. – Poza tym nic nie zrobią. Co mają zrobić?

– Zamknąć tunel? – Paulina spojrzała na Igora z irytacją. – Przynajmniej na czas jakichś badań, kontroli technicznej...

– Przecież oni pewnie wiedzą tyle samo co my. – Igor wzruszył ramionami. – Pewnie wiedzą, co robią. Ta duńska firma nadal ma przecież jakąś umowę na nadzory powykonawcze czy coś tam, widziałem na ich stronie.

– Igor... – Paulina przez chwilę wpatrywała się ze zgrozą w cały czas otwarte na ekranie laptopa obliczenia. – Oni nie wiedzą tego, co my...

– Jak to? – Igor zmarszczył brwi. – No jak to możliwe? To za duża inwestycja, żeby takich rzeczy nie ogarniali. Poza tym

informacja o galeonie jest już publiczna. To nie są jakieś tam plotki o świętyni, tylko fakty.

– Nie wiedzą o tych obliczeniach! – Paulina pokazała brodą laptop. – Wszyscy je zlekceważyli jako nieistotne dla śledztwa. Ja ich także nie upubliczniłam. Nowacki twierdzi, że wszystko wykonał zgodnie z projektem. Jeśli nawet ci z Nord/Barentz robili kontrolne ekspertyzy i swoje obliczenia, to z założeniem, że wszystko było zgodne z projektem.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w ekran laptopa.

W ciszy, jaka zapadła po ostatnich słowach Pauliny, jej dzwoniący telefon wywołał efekt jak niespodziewany wybuch gazu.

– Kto, do diabła! – Paulina, która aż podskoczyła po sygnale, spojrzała na wyświetlacz z irytacją. Ściągnęła ze zdziwieniem brwi i otworzyła wiadomość. Przez chwilę wpatrywała się w telefon, w końcu podniosła wzrok.

– Kto to? – spytał Igor, widząc jej zaskoczone spojrzenie.

– Katarzyna Korytko. Chce się dzisiaj spotkać.

Piotr minął Dąbie, skręcił na leśną drogę do Wielgowa i w jej połowie zjechał szerokim ślimakiem na S3.

Oczywiście, że nie chciał wiedzieć, co Borys miał do powiedzenia. „Tylko wiesz, ja...” Po takim wstępie nie mogło to być nic dobrego. Nie jestem zainteresowany, nie jestem gotowy na związek, nie jestem gejem...

Piotr musiał przyznać sam przed sobą, że znalazł się w takiej sytuacji po raz pierwszy w życiu. Dlatego też tak go to wkurzało. Zazwyczaj musiał się opędać przed chętnymi. Inna sprawa, że zazwyczaj byli to chętni wyłącznie na seks, ale cóż. Jak się tak wygląda jak on, to co zrobić? Gdyby jeszcze był jakimś blond grubaskiem w satynowej koszulce... Chociaż to także nie

dawałoby oczywiście nikomu prawa do tego, żeby się natrzęsać. A poza tym jest jednak tym ciemnowłosym, ciemnokim ciachem. Z doskonałym ciałem. Ani grama tłuszczu, tylko długie, lekkoatletyczne mięśnie.

No i co tego Borysa tak śmieszyło? Co jest śmiesznego w tym, że wykazał się odrobiną odwagi... No dobra, niech będzie, po alkoholu to żadna odwaga! Ale mimo wszystko. Co w tym śmiesznego, do diabła, że zaprosił go na piwo i chciał pocałować.

Droga wyjazdowa z miasta przebiegła w prawie całkowitym milczeniu. Gdzieś w połowie odległości do Goleniowa Borys zaczął zagadywać Piotra na temat zumbi, potem wymienili parę uwag o pogodzie i w tej chłodnej atmosferze minęli zjazd na Goleniów.

Przez opary zaprawionej goryczą złości dotarło do Piotra, że w radiu omawiali właśnie toczące się dochodzenie w sprawie śmierci Moszenickiego.

– ...Udział Artura Korytki w bulwersującej sprawie nie budzi już chyba żadnych wątpliwości – perorował redaktor lokalnego radia. – Chociaż jego prawnicy przekonują, że samo imię, które pada w tym przerażającym filmie, niczego nie dowodzi...

Od wtorku, gdy ich film ukazał się na portalu „Dziennika Szczecińskiego”, pisali o tym już chyba wszyscy. Przez internet przetoczyła się prawdziwa burza, wszędzie publikowano zdjęcia Modzelewskiego i Korytki i relację z tunelu, do którego oczywiście od razu trafiły wszystkie ekipy telewizyjne z całego kraju. Dziennikarze próbowali też porozmawiać z radną Korytko, ale konsekwentnie unikała mediów. Kilka razy jedynie przyłapano ją, jak wychodzi z urzędu w ciemnych okularach...

– ...Prokuratura wszczęła także, umorzone przez prokuratora Modzelewskiego, dochodzenie w sprawie zaginięcia Wojciecha

Gawrona...

Piotr zagapił się i gdyby nie okrzyk Borysa, jak nic wjechałby w tył stojącej w długim korku przed Przybiernowem ciężarówka.

Salon starego domu na Pogodnie tonął już w przytłumionych, przedwieczornych barwach i ciepłych światłach lamp. Za oknami widać było białe od śniegu drzewa, pomiędzy którymi szarpał się ciągle wiatr, a pod jednym z tych okien stała jodła, nieubrana jeszcze wprawdzie, ale już narzucająca ton całemu wnętrzu.

Z tym sielskim przedświątecznym obrazkiem mocno kolidowała utrzymująca się tutaj od kilku minut nerwowa atmosfera.

Paulina kursowała po pokoju w tę i w ową, podchodząc co chwila do okna i wyglądając na zewnątrz. Siedzący w fotelu z kubkiem gorącej herbaty Igor obserwował ją spod oka.

– I nic więcej nie powiedziała? – zapytał w końcu. – O czym chce rozmawiać ani nic?

– Tylko to, że na pewno zainteresuje mnie jej punkt widzenia w całej tej historii. Zaproponowała mi wywiad na wyłączność.

– A czemu akurat dzisiaj?

– Powiedziała, że długo się biła z myślami i jeśli każe jej czekać, to się rozmyśli.

Igor westchnął i spojrzał na zegarek.

– Dochodzi piąta – powiedział. – Do dziewiętnastej zdążysz przygotować pytania? Jakiś plan?

– E tam plan. – Paulina machnęła ręką. – Po prostu włączę dyktafon i pozwolę jej gadać. Pewnie w trakcie rozmowy coś mi się nasunie. Ale tak w ogóle to aż się nie chce wierzyć. To będzie prawdziwa bomba! – Spojrzała na Igora z podnieceniem.

– Zależy, co ona ma do powiedzenia – mruknął Igor bez przekonania. – To polityczka. Obawiam się, że będzie usiłowała zrobić z tego wywiadu wybielający ją i jej rodzinę manifest.

– Napiszę do Piotra! – Paulina podniosła telefon i zaczęła klikać w klawisze. – Paweł będzie zachwycony. Wywiad z nią na wyłączność!

– A co z tym robimy? – Igor skinął głową w kierunku laptopa.

– Sama nie wiem. – Paulina wsadziła telefon do kieszeni i zrobiła kolejną rundę po pokoju. – Powinniśmy chyba kogoś powiadomić? – Machnęła ręką w kierunku leżącego na stole laptopa. – Może w nadzorze ktoś jeszcze jest?

– W sobotę? – parsknął. – O siedemnastej?

Paulina nagle stanęła.

– Centrum obsługi! – powiedziała i zaczęła przesuwając palcem po ekranie telefonu. – Centrum obsługi tunelu! Tam musi być dyżurny! Powiemy im po prostu, żeby zwrócili uwagę! Zwłaszcza że przecież od wczoraj robią tam ponownie to zamrażanie.

– Od wczoraj?

– Albo od czwartku. – Paulina znalazła numer i przyłożyła telefon do ucha. – Nie pamiętam. Tak mówił ten inspektor Rychlewski. Mają uszczelnić...

Igor odstawił gwałtownie kubek na stół.

– Halo! Centrum obsługi? Dzwonię ze Szczecina...

Piętnaście minut później Paulina, po kolejnych próbach dodzwonienia się do jakichkolwiek służb, które byłyby odpowiedzialne za stan techniczny tunelu pod Świną albo przynajmniej zainteresowane tematem, trzasnęła telefonem o stół.

– To straszne! – jęknęła. – Tydzień minął od mojego filmu na temat galeonu i nikt w Świnoujściu nie potraktował tego poważnie! Uznali to chyba za efekty specjalne!

– Nikt tego nie przekłada na język techniczny. – Igor w międzyczasie zaczął ponownie przeglądać obliczenia Miłosza Poznańskiego. – Zresztą, prawdę mówiąc, to nie jest nic stuprocentowo pewnego.

– Jak to? Przecież ten program od statyki czarno na białym wykazuje przekroczenie stanów krytycznych! To całe parcie gruntu, naprężenia skręcające, siły statycznie niewyznaczalne, ta cała czarna magia!

– Tak, ale to nie musi oznaczać, że coś się od razu zawali. Normy mogą być przekroczone wielokrotnie, mogą działać naprężenia i tak dalej, a katastrofa następuje dopiero po miesiącu na przykład. Pewne jest jedynie to, że Nord/Barentz nie ma pojęcia o wadliwie wykonanym zbrojeniu. Jeżeli nie wzięli tego pod uwagę przy ponownym zamrażaniu...

– To co się może stać? – Paulina zatrzymała się i spojrzała na Igora. Właśnie przypomniała sobie, że przecież Piotr się dzisiaj wybierał do Świnoujścia. Na jakąś imprezę.

– Może się nic nie stać. – Igor pokręcił głową. – A mogą się pojawić jeszcze większe przecieki na przykład, które spowodują, że woda zacznie się wlewać do wnętrza tunelu.

– A pompy?! Przecież tam są pompy?!

– Które mają określoną wydajność. Pierwsze, co zostanie zalane, to niestety korytarz ewakuacyjny, który jest położony w najniższym punkcie tunelu.

– Jak można było coś takiego zaprojektować?! – Paulina patrzyła na Igora ze zgrozą.

– Nie histeryzuj. Prawdopodobieństwo zalania tunelu jest tak samo duże jak katastrofy samolotu. Statystycznie bardzo niewielkie. Korytarz miał służyć głównie jako ewakuacja na wypadek pożaru, wybuchu czy przedostania się do tunelu gazów. A żeby ta ściana nie wytrzymała i zalało tunel, to musiałoby mieć miejsce bardzo wiele zbiegów okoliczności...

– Paweł! – Paulina, która chodziła cały czas nerwowo po pokoju, nagle gwałtownie stanęła. – On ma telefon do Barskiej!

– Akurat, bo Barska się tym zainteresuje.

– Akurat ona tak. – Paulina uśmiechnęła się cynicznie, klikając w ekran swojej komórki. – Wybory samorządowe za pasem.

Roman rozmawiał właśnie z dyżurnym straży miejskiej, gdy na pulpicie zapaliła się lampka informująca o problemach z instalacją elektryczną. Najpewniej jakieś zwarcie, pomyślał, sprawdzając na komputerze, w którym miejscu nastąpiło. Klatka ewakuacyjna E1.

– Monitorujemy sytuację – upierał się strażnik, którego Roman chciał nakłonić do obejrzenia stanu wjazdu do tunelu od strony miasta. – Znamy problem. Miasto nam to wszystko przekazało. Na razie ruch jest płynny, nie ma przecież żadnych zatorów.

– To nie chodzi o ruch! – warknął Roman. – Na wylocie w stronę miasta zrobił się mały próg. Jak się powiększy, to niektóre samochody mogą nie wjechać. Może ktoś powinien o tym już teraz pomyśleć?

– Z tego, co przekazał nam urząd miasta, to konstrukcja ma tam prawo pracować. Podobno nic się nie dzieje.

– A jak się zadzieje? Dopiero wtedy będziecie się martwić?

– Dobrze! – westchnął strażnik. – Postaramy się kogoś tam wysłać do was.

Roman rozłączył się i prawie jednocześnie zadzwonił telefon.

– Czy to centrum obsługi? Dzwonię ze Szczecina...

Roman słuchał przez dłuższą chwilę jakichś rewelacji kobiety, która podawała się za dziennikarkę, i w końcu stracił cierpliwość.

– Wie pani, że za takie rzeczy grozi odpowiedzialność karna? – spytał, wbijając się w tok nerwowego monologu kobiety. – Takie żarty mogą panią drogo kosztować. Jakie obliczenia mi pani wyśle? Co pani opowiada?

Roman umilkł i przez chwilę słuchał. Pomyślał, że jeśli da się wariatce wygadać, to może prędzej skończy i nie będzie dzwonić po raz drugi i trzeci.

– Dobrze – powiedział w końcu z westchnieniem. – Proszę przesłać ten dokument na adres centrum. Jest na stronie. Przekażę, komu trzeba.

Miał już dziesiątki takich telefonów. Rozmaici pomyleńcy przewidywali, że jak zamarzną wjazdy, to stłuczki zablokują tunel, ale głównie dzwonili ludzie, którzy dopytywali się o możliwość obejrzenia galeonu.

No wiadomo. Sam chciałby go obejrzeć.

Igor zatrzymał się na wąskiej, zasypanej teraz śniegiem ulicy Pogodna. Dom stał prawie na granicy z morzem ogródków działkowych, które zajmowały obrzeża Pogodna i Gumieniec i były niezmiennie łakomym kąskiem dla deweloperów i miasta.

Zasłonięty murem, w którym tkwiły drewniane balustrady, i wielką koroną lipy, skutecznie strzegł prywatności

mieszkańców. Ogrodzenie w dodatku oplatał, pokryty teraz białym lukrem, wiecznozielony bluszcz.

– Jesteś pewna, że chcesz przeprowadzić ten wywiad? – Igor spojrzał powątpiewająco na zbierającą swoje rzeczy z tylnego siedzenia Paulinę.

– A dlaczego miałabym nie być pewna?

– Boję się, że ona cię wciągnie w jakieś polityczne układy. Napiszesz coś, co każda ze stron zinterpretuje sobie po swojemu, a dla czytelników obu stron barykady zostaniesz zdrajczynią.

– Bardzo dramatyczna wizja – zakpiła Paulina, zapinając swoją torbę. – Obawiam się, że po problemach z Matecką i tym, co o mnie pisała, już raczej nic mi nie zaszkodzi.

Sięgnęła do klamki.

– Serio, chcesz poczekać? – Spojrzała na Igora. – A jak to potrwa ze dwie godziny?

Igor pokiwał głową.

– Podjadę do Castoramy. Muszę kupić łopatę do śniegu. Widziałaś, jak wygląda mój taras?

– Dobra. – Paulina otworzyła drzwi. – Jakbym nie wyszła stąd przez godzinę, to jednak wezwij policję – zażartowała. – Zawsze chciałam to powiedzieć.

Trzasnęła drzwiami i podeszła do furty.

Piotr wcisnął pedał hamulca i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na Borysa.

– Zasnąłeś? – Borys patrzył na niego z rozbawieniem zaprawionym śladową ilością niepokoju.

Piotr miał dziwny wzrok.

– O mało nie wjechałeś w kuper tego TIR-a. – Borys wskazał brodą ciężarówkę przed nimi, która właśnie warknęła i zaczęła się powoli oddalać. Po chwili z tyłu rozległ się klakson. – Ty jesteś przytomny w ogóle? – Borys obejrzał się, po czym spojrzał z niepokojem na Piotra. – Jedziemy.

Piotr wrzucił bieg i golf potoczył się wolno za ciężarówką.

– Zadzwoń do Piotra i spytaj o coś. – Piotr spojrzał na Borysa.
– Do Pitera! Zadzwoń!

– Słyszałem. – Borys sięgnął po telefon i wybrał numer. – To o co mam spytać? O, cześć... Słuchaj, mam cię o coś spytać... O co mam go zapytać? – syknął do Piotra, zasłaniając słuchawkę.

– On na imprezie mówił, że widział Korytkową. Spytaj, która to mogła być godzina.

– Zwariowałeś? – Borys zmarszczył brwi.

– Zapytaj!

Borys, nie odrywając zdziwionego spojrzenia od Piotra, zadał pytanie.

– Bo ja wiem? – Piotr usłyszał niezdecydowany głos Pitera. – Po dziewiątej?

– Dziesiąta! – rozległ się w tle głos Bartka. – Ja pamiętam! Szwendał się wtedy prawie dwie godziny! Gdzie wy w ogóle jesteście?

– W połowie drogi, korki. – Borys patrzył na Piotra, który gorączkowo nad czymś się zastanawiał.

– Ty sporo biegasz? Z placu Koczego do Pitera i Bartka to ile jest? – Piotr zdawał się mówić sam do siebie.

– Muszę kończyć. – Borys patrzył na Piotra z rosnącym niepokojem. – Piotr jest chyba po jakichś prochach, muszę go pilnować. O co ci chodzi? – spytał, chowając telefon do kieszeni.

- Ile kilometrów jest z placu Koczego? Weź sprawdź!
- Ale po co? Co ty wymyślasz?
- Sprawdź!
- Ale weź powiedz, o co ci chodzi. – Borys ponownie wyjął telefon i przez chwilę przesuwał palcem po ekranie. – Jedenaście.

Zdawało się, że Piotr przez chwilę liczył w myślach, a potem pokręcił głową.

- Niemożliwe... – szepnął pod nosem.

Katarzyna obserwowała dyskretnie siedzącą naprzeciwko niej dziennikarkę. Nie miała okazji poznać jej osobiście, poza tym jednym udziałem w programie na żywo na Szczecin & LeftSide.

Dziewczyna była pewna siebie. Krążyły o niej plotki, że jest nieźle ustawiona. Katarzyna zastanawiała się, czemu to zawdzięczała. Profesor Weber, owszem, zarabiał całkiem nieźle na tych wszystkich wykładach i konferencjach po uczelniach całej Europy, ale odnosiła wrażenie, że za tymi plotkami kryło się chyba coś więcej.

Zastanawiała się, czy jej zazdrości.

Dziennikarka była od niej o dwie dekady młodsza, to oczywiste. Ciekawe, czy także musiała się szarpać, dowodzić tego, że się do czegoś nadaje, udowodniać różnym mydłkom, że nie jest gorsza od nich. Chociaż Katarzynę bardziej wkurzało to, że sama musiała często ukrywać, że jest od nich lepsza.

A wszystko układało się tak dobrze. Szło w ściśle przez nią wytyczonym kierunku, jakim był senat. I chyba za dobrze.

Jak to jest, kiedy zdaje się, że podejmujesz najlepsze decyzje, że ważysz każde słowo, uważasz na to, co piszesz, a mimo to przez głupotę i indolencję innych można wszystko stracić.

– Nagrywa pani? – spytała, wskazując oczami dyktafon, który dziewczyna postawiła na stole.

Dziennikarka skinęła głową i przesunęła urządzenie w jej kierunku.

– To doskonale. – Katarzyna uśmiechnęła się zimno. – Zaczniemy zatem od tego, że to ja zabiłam Bartłomieja Moszenickiego.

Borys wpatrywał się w Piotra z przerażeniem.

– Teraz to wymyśliłeś? – spytał z lekką ironią, za którą kryło się niedowierzanie.

– Piter mówił, że Korytkowa była czerwona i zziajana i że ma kiepską kondycję – ciągnął Piotr. – Ona ma świetną kondycję. Dwa lata temu brała udział w jednej czwartej Ironmena, chwaliła się tym wszędzie. Jedenaście kilometrów to dla kogoś z dobrą kondycją godzina. I to bez specjalnej szarpaniny.

– A po co miała biec? Nie mogła wziąć e-hulajnogi na przykład?

– Hulajnoga zostawia ślad na karcie. Można ją poza tym zlokalizować. Wyszłoby na jaw, że o tej i o tej godzinie skorzystała z niej w określonym miejscu.

Borys wpatrywał się w Piotra.

Piotr wrzucił bieg i golf potoczył się za ciężarówką. Jakieś sto metrów dalej było widać stojące w poprzek jezdni samochody. Dalej droga była znowu wolna.

– Pamiętasz, co mówiłem? Że jak dojeżdżaliśmy do placu Koczego, to widziałem trzech typów, którzy wchodzili do bramy na Wiszesława? – Piotr cały czas pogrążony w myślach, automatycznie zmieniał biegi. – Tam wtedy szła też kobieta. W takim długim jasnym prochowcu. Za długim. I w ciemnych

okularach! W ogóle o tym nie myślałem potem, za dużo się wtedy stało. Po co jej były te okulary? I jeszcze coś teraz sobie przypomniałem. Ona miała na nogach buty do biegania. Nike Invincible. Strasznie drogie, tażen albo i więcej.

Piotr, korzystając z tego, że samochody znowu zbiły się w korek, spojrzął na Borysa.

– Czy ty chcesz powiedzieć... – zaczął Borys.

Piotr pokiwał głową.

– Zostawiła samochód Moszenickiego. Przebrała się w prochowiec i wezwała pogotowie, żeby nas wrobić. Dlatego jak tylko odjechaliśmy, to od razu usłyszeliśmy sygnał. Musiała to wszystko zaimprovizować...

– A komputery Moszenickiego? Gdzie je ukryła?

– Mogła je zostawić po drodze przy jakimś śmietniku, a wracając, zabrała. Wystarczyło, że wysiadła i wrzuciła pakę za płot. Ryzykowała, że ktoś ją zobaczy, ale nie miała innego wyjścia.

– Ale Piotr... – Borys zmierzwił włosy palcami. – Zaplanowała morderstwo i wszystko tak przypadkiem się odbyło?

– Niczego nie planowała. – Piotr pokręcił głową. – Moszenicki szantażował jej męża. Pewnie o tym wiedziała. Wybrała się do niego, zaczęli gadać, pokłócili się i go trzasnęła. W afekcie, jak wy to mówicie. Wymyśliła to wszystko na poczekaniu. Wpakowała go do samochodu, zabrała komputery, prochowiec i wyjechała z garażu. A potem wróciła po prostu do domu po bieganiu.

Na chwilę zapadła cisza. Poza nieśmiertelnymi dzwoneczkami w jakimś christmasowym kawałku, które brzęczały przedświątecznie z radia.

Paulina wpatrywała się w radną ze zgrozą. Zgroza jednak po prawdzie była mocno wymieszana z innymi uczuciami. Paulina nie mogła sobie darować tego, że nawet w takiej sytuacji pomyślała, że ma oto w ręku kolejną odstonę kryminału związanego z Moszenickim. Prawdziwa bomba – wywiad z morderczynią!

Czy ten zawód tak mocno już odcisnął się na jej psychice, że nawet siedząc naprzeciwko kobiety, która przyznała się właśnie do zabójstwa, myśli tylko o tym, jak to doskonale będzie wyglądało w gazecie?

– Nie planowałam tego. – Katarzyna pokręciła głową. – Nie poszłam do niego, żeby go zabić. Myślałam, że da się przekonać.

– Ale przecież publikacja tych materiałów uderzyłaby także w niego – odezwała się Paulina, gdy radna przez dłuższy czas milczała. – Nie mógłby się z tego wyplątać.

– Nie znała pani Moszenickiego. – Korytko pokręciła głową. – To był psychopata. Miałam w pewnym momencie wrażenie, że nie chodzi mu o pieniądze, ale o doprowadzenie nas do ruiny. Nie zdaje sobie pani sprawy, czym jest utrata tego wszystkiego, na co pracowało się prawie całe życie. Ile musiałam znieść, jak się płaszczyć, żeby dostać się do zarządu jakiejś spółki lub znaczyć trochę więcej w partii niż inni. A jeden błąd Artura to wszystko mógł zaprzepaścić. A przecież to nie była jego wina. To Moszenicki wlaźł do tego galeonu, to on pozwolił umrzeć temu robotnikowi. I teraz miałby za to odpowiadać Artur?

– Dlaczego nie szantażował Nowackiego?

– Bo Nowacki nic nie wiedział o chłopaku. To akurat prawda. Nie wiedział też o filmie. Sama pani widziała. Gdy pojawił się Nowacki, Moszenicki ściągnął kamerę i schował do kieszeni. Nowacki mógłby odpowiadać jedynie za machloje budowlane, a to było dla Moszenickiego za mało. I w niego też by uderzyło.

Co innego Artur. Zapłacił raz, drugi, ja załatwiłam tej kanalii pracę w szczecińskim urzędzie, ale Moszenickiemu ciągle było mało.

– Nie bała się pani, że próba zrzucenia winy na Ignatiuka wywoła raczej więcej problemów, niż pomoże w czymkolwiek?

– Ja niczego nie planowałam. – Radna wzruszyła ramionami. – Doprowadził mnie do furii i po prostu uderzyłam go w łeb. Byłam przerażona, dotarło do mnie, co się stało. Ignatiuk z tym drugim mieli być tam za kilkanaście minut, więc wysłałam ich na drugi koniec Szczecina. Plac Koczego dobrze znam, dawno temu tam mieszkałam. Wiedziałam, którądy pójść, żeby nikt mnie tam nie zobaczył. To była po prostu improwizacja. – Radna uśmiechnęła się pod nosem. – Ale wie pani, co się mówi o przestępcach? Że najgorzej wypadają intelektualiści, którzy usiłują wymyślić najbardziej demoniczny plan. Takie z reguły nie wypalają. Po prostu postanowiłam się tego trzymać.

Radna sięgnęła do szuflady i wyjęła laptop. Rozłożyła go na biurku i przyłożyła niespodziewanie palec do ust, wskazując głową na dyktafon. Następnie sięgnęła po kartkę i szybko coś na niej napisała.

Zaintrygowana Paulina wzięła kartkę i przeczytała.

Laptop Moszenickiego. Jest tutaj sporo interesujących rzeczy. Tylko radzę to jak najszybciej opublikować. Kilku osobom to się bardzo nie spodoba.

Paulina wpatrywała się w laptop, myśląc jednocześnie, że nigdy nie chciała się babrać w takich politycznych tematach, a tu masz. Same włożą jej w ręce.

Tylko dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego napisała to na kartce?

Korytko sięgnęła do torebki i wyjęła pistolet.

Roman kazał swojemu koledze nie spuszczać oka z ekranów monitoringu, a sam ubrał się, nasunął na głowę czapkę i wyszedł na zewnątrz. Wiatr od razu szarpnął za jego kaptur, usiłując zerwać mu go z głowy. Na drodze dojazdowej do wjazdu do tunelu od strony miasta przesuwiał się sznur samochodów i dochodził stamtąd równomierny warkot silników. Korony sosen w tle ugiwały się przed wiatrem.

Roman, pochylony, trzymając cały czas ręką kaptur, dobrnął do zjazdu, minął betonowe ściany oporowe i zaczął schodzić w dół. Obok powoli przejechała wielka ciężarówka i z piskiem niesprawnego paska klinowego zatrzymała się przed innymi samochodami, zwalniającymi przed samym wjazdem do tunelu.

Roman dobrnął do miejsca połączenia tunelu z przyczółkiem, stanął i, o ile to w ogóle było możliwe w tej sytuacji, poczuł, że zrobiło mu się na moment gorąco.

Rysa, która jeszcze tydzień temu była zaledwie śladem na asfalcie, potem lekko się wybrzuszyła, tworząc niewielki próg od strony wjazdu z tunelu, teraz miała wysokość krawężnika. Dobre osiem centymetrów!

Roman stanął jak wryty i gapiąc się, jak samochody wbijają się kołami na poharataną krawędź asfaltu, przez chwilę nie wiedział, co robić. Potem odwrócił się, podbiegł do drzwi tunelu ewakuacyjnego, szarpnął za nie i po chwili znalazł się na schodach. Zbiegł w dół, wpadł do wąskiego korytarza i ruszył biegiem w głąb tunelu. Czujniki zapalały i gasiły światła w miarę przemierzania kolejnych metrów korytarza. A miał do pokonania pół kilometra. Biegając, przypominał sobie wszystko, co mówiła przez telefon dziennikarka ze Szczecina. Musiał zobaczyć, jak wygląda ta cholerna ściana, przy której od dwóch dni pracowała instalacja mrozeniowa.

Przebiegł nie więcej niż dwadzieścia metrów, gdy usłyszał za plecami łomot. A zaraz potem przez korytarz przebiegło słabe, ale odczuwalne drzenie.

Roman zatrzymał się, spojrzął nerwowo w obu kierunkach, po czym zawrócił i klnąc szpetnie, pobiegł z powrotem w kierunku wjazdu.

Golf zwolnił zaraz za nowym rondem na Duńskiej i stanął w wolno przesuwającej się kolejce przed wjazdem do tunelu.

Piotr po raz kolejny wybrał numer Pauliny i czekał na połączenie.

– Czemu ona nie odbiera? – zdenerwował się. – Ciągle ma zajęte! Do kogo ona wydzwania?!

– Nie napisała nic więcej? – zapytał Borys.

Na wyświetlaczu telefonu Piotra przymocowanym do przedniej szyby cały czas mrugała czerwona słuchawka.

– To, co widziałeś – mruknął Piotr. – Że spotyka się o dziewiętnastej z Korytko. Wywiad na wyłączność. I żeby nie jechał tunelem.

– Sądysz, że Korytko chce się przyznać? Że będzie bronić męża? Żebyś nie jechał tunelem? – Borys spojrzął na Piotra ze zdziwieniem.

– Cokolwiek zamierza, lepiej, żeby Paulina wiedziała wcześniej o tym, że prawdopodobnie to ona zabiła Moszenickiego. Tak pewnie napisała, à propos naszego filmu.

– Prawdopodobnie zabiła – powtórzył Borys, akcentując pierwsze słowo. – Jak na razie to tylko twoja teoria.

Telefon zaraz po nieudanym połączeniu nagle zabrzączał.

– Piter – jęknął Piotr, przesuwając palcem po ekranie i włączając tryb głośnomówiący.

– Gdzie wy jesteście? Jedziecie już ponad dwie godziny. – W tle słychać było głośną muzykę i głosy co najmniej kilku osób. – Koncert chyba odwołają, bo jest wichura. Tak że będziemy pić u nas, a o północy idziemy nad morze.

Piotr odruchowo spojrział w ciemne już niebo, na którego tle gięły się rozczapierzone korony drzew, rzadkich po tej stronie Świny. Kilka minut wcześniej otworzył okno, tylko po to, żeby stwierdzić, że lodowaty wiatr niesie także słone krople wody od morza.

Wiatr północno-wschodni...

Mówili w radiu, że ma zacząć wiać od morza w nocy. Zaczęło, jak widać, wcześniej.

Samochód wjechał pomiędzy betonowe ramiona murów oporowych i zaczął zjeżdżać w dół. Nad rampą zjazdową pojawiły się poprzeczne belki, które równym rastrem cięły ciemne niebo na plastry.

– Musimy kończyć, bo Piotr chce się dodzwonić jeszcze do Pauliny. – Borys sięgnął do telefonu.

– To się pośpieszcie, w tunelu nie ma sygnału.

Borys wybrał ponownie numer Pauliny, a na ekranie pojawiła się czerwona słuchawka.

Zziajany Roman wypadł na chodnik przy zjeździe do tunelu i pierwsze, co zarejestrowały jego zmysły, to potworny warkot silnika ciężarówki. Zaraz potem klaksony samochodów, a dopiero na końcu zobaczył, że TIR stoi pod dziwnym kątem. Przechylony do przodu, z mocno uniesionym do góry kuprem. Tylna koła ciężarówki wisiały w powietrzu, obracając się bezwładnie.

Przerażony Roman przebiegł wąskim chodnikiem wzdłuż zjazdu i stanął jak wryty.

Uszkodzenie nawierzchni zamieniło się w blisko półmetrowy stopień. Ciężarówka, rycząc silnikiem, usiłowała zjechać z wyrwy, a zaraz za nią przerażona kobieta w skodzie co chwila wciskała klakson. Cholera wie po co!

Roman wyrwał z kieszeni telefon i wybrał numer straży miejskiej.

Jednocześnie zobaczył ze zgrozą, jak ciężarówka powoli, bezwładnie przesuwając się w bok i w końcu uderza w samochód osobowy. Samochód zsunął się z wyrwy i zarył przednim zderzakiem w asfalt. Ktoś zaczął krzyczeć. Z samochodu osobowego w panice wyskoczył młody mężczyzna i pomagał wysiąść z niego dwóm starszym kobietom.

– Przyjeżdżać natychmiast! Wypadek! – wrzasnął Roman do słuchawki. – Kurwa! Wjazd do tunelu się obsunął! Powiadom straż i pogotowie! Nie, kurwa! Ja nie mogę!

Roman skoczył z powrotem do drzwi i ponownie wbiegł do korytarza ewakuacyjnego.

Piotr zwolnił. Samochód dotoczył się do jadącej przed nim terenowej hondy i stanął, a on otworzył okno. Z zewnątrz dochodził warkot silników i przytłumiony huk wentylacji mechanicznej.

– Korek w tunelu – westchnął. – Wjazd z drugiej strony musiał się zablokować.

– Może był jakiś wypadek? – Borys rozejrzał się po oświetlonym ledowymi lampami tunelu. Pomyślał, że przez te regularne światła, które kroily go na plastry, przypominał od środka rurę odkurzacza. Gdzieś z przodu dochodził jakiś hałas. Słyszał było klaksony i nieokreślone bliżej dźwięki. Po sąsiednim pasie, w kierunku Wolina, samochody przejeżdżały wolno, ale płynnie. – Jesteśmy chyba bliżej niż dalej –

stwierdził. – To znaczy w jakichś dwóch trzecich całej długości – dodał wyjaśniająco, widząc pytające spojrzenie Piotra.

– Sto metrów dalej są drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne. – Piotr wskazał głową prawą stronę tunelu.

– Za którymi jest galeon – powiedział Borys, wpatrując się w betonowe ściany konstrukcji. – I zwłoki tego chłopaka – dodał grobowym głosem.

Piotr wybrał ponownie numer Pauliny. Po chwili z głośnika dobiegł głos przemiłej pani informującej, że połączenie nie może zostać zrealizowane.

– Nie stresuj się tak – powiedział cicho Borys. – Nic Paulinie nie będzie.

– Wysłałem wiadomość, ale nie wiem, czy doszła. Tutaj podobno czasami można złapać zasięg.

– Za chwilę stąd wyjedziemy, to dojdzie.

– Na razie stoimy. – Piotr otworzył ponownie szybę i wychylił się, usiłując dostrzec coś za czarną hondą.

– Dziwne – powiedział nagle Borys.

– Co takiego?

– Na sąsiednim pasie w drugą stronę – Borys wskazał lewą stronę tunelu – od jakiegoś czasu nic nie jedzie.

– No to już wiemy, że jest zator – ciężko westchnął Piotr. – Pewnie jakiś wypadek. Widziałeś, co się dzieje na zewnątrz? – spytał retorycznie.

Drzwi hondy nagle się otworzyły i wysiadł z niej młody mężczyzna w ciemnym płaszczu.

– Tutaj nie można wysiadać – warknął pod nosem Borys. – Co za niecierpliwy kiep.

Gdzieś z przodu doszedł ich nagle pisk hamulców, a potem warkot silnika. Wnętrze tunelu zwielokrotniało każdy hałas. Kierowca hondy przysunął się do samochodu, a po chwili na końcu widocznej części tunelu pojawił się jakiś samochód i zaczął rosnać w oczach. Mężczyzna machnął do niego ręką, a samochód zwolnił i zatrzymał się koło niego.

Piotr ponownie otworzył okno, usiłując usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Nie ma wyjazdu! – dotarł do niego głos kierowcy białego audi. – Wszystko stoi. Jakiś TIR się wyjechał na samym wjeździe. Nic nie może ani wjechać, ani wyjechać.

Białe audi warknęło i ruszyło w kierunku wyjazdu od strony Wolina.

– Super – jęknął Piotr. – To żeśmy się wpakowali.

– Słuchaj, Piotr – odezwał się Borys po chwili milczenia. – Przerwałeś mi, jak zacząłem mówić...

– I po co do tego wracamy?

– A co ty jesteś taki narwany? Chciałem ci tylko powiedzieć, że z przyjemnością pójde z tobą na piwo czy gdziekolwiek indziej. Możemy skoczyć w tygodniu na pizzę na przykład. Ale...

– Ale? – Piotr spojrzał na Borysa, który nagle przerwał i zaczął się wpatrywać w widoczny kraniec tunelu.

– Co tam się dzieje?

– Ale? – Piotr patrzył na Borysa z irytacją. – Zaczynasz i nie kończysz! Przestań mnie wkurwiać! Co ale?

Borys westchnął i spojrzał na Piotra, zakłopotany.

– Ale, jak by to powiedzieć, nie nadaję się na niczyjego chłopaka!

– Na niczyjego czy na mojego? – Piotr wbił twarde spojrzenie w Borysa. – Jak zacząłeś o tym gadać, to dokończ!

Tunel nagle wypełnił ryk silnika i zniemacka sąsiednim pasem przejechał samochód, a zaraz za nim następny. Oba pędziły z prędkością znacznie przekraczającą dopuszczalną.

– Co się dzieje? – Borys uniósł się na siedzeniu.

Po chwili w perspektywie tunelu pojawił się kolejny pojazd. Tym razem jednak z hondy wyskoczył młody mężczyzna w ciemnym płaszczu i machając rękami, zatarasował drogę. Bmw zatrąbiło gwałtownie i z piskiem hamulców zatrzymało się na wysokości golfa Piotra.

– Odjechało ci? – Typ z wnętrza samochodu patrzył wrogo na kierowcę hondy. – Bym cię przejechał.

– Co tam się dzieje? – Mężczyzna machnął dłonią w kierunku wylotu tunelu. – To jest przejazd czy nie ma? Skąd pan jedzie?

– Nie ma, kurwa! – warknął mężczyzna w bmw. – Zawróciłem! Tam się coś zawaliło. Próg się zrobił, kurwa, na pół metra. Nic stamtąd już nie wyjedzie! Lepiej się stąd zabieraj, bo z drugiej strony podobno też się zaraz wyjebie.

– Jak to: zawaliło? – Ze starego mercedesa stojącego za golfem Piotra wysiadł otyły mężczyzna i z szeroko otwartymi oczami podszedł do bmw. – Co się zawaliło?

– Odsuń się pan! – krzyknął kierowca bmw i nie czekając na reakcję mężczyzny, wcisnął pedał gazu. Bmw ruszyło gwałtownie i z wyciem silnika pojechało w kierunku wyjazdu na Wolin.

– Zawaliło się coś?! – Z kilku samochodów wysiedli kierowcy i pasażerowie. Nagle wokół zrobił się hałas, a ludzie zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać.

– Ja pierdolę! – Borys wpatrywał się z przestraczem w zbiegowisko. – Zaraz ktoś w nich wjedzie! Tutaj jest ciągła linia przecież. To tak jakby wyleźli z samochodów na autostradzie.

Mężczyzna z hondy wskoczył do auta i zapalił silnik. Auto po chwili warknęło, cofnęło się gwałtownie i skręciło na lewy pas.

Ze zwielokrotnionym przez betonowe ściany skowyttem klaksonu minął go nagle jakiś SUV.

Honda gwałtownie zahamowała, a następnie znowu skręciła na lewy pas. Zatrzymała się w poprzek jezdni i próbowała zawracać. Z głębi tunelu wyskoczył nagle jakiś samochód osobowy i przeraźliwie trąbiąc, zaczął gwałtownie hamować.

Zaraz za nim pojawił się następny. Osobówka, piszcząc hamulcami, wpadła na odbijacze po lewej stronie, odskoczyła z powrotem w prawo i z impetem wbiła się w bok czarnej hondy.

Igor podjechał pod dom na Pogodnie i zatrzymał się przy domu radnej, blokując jej wyjazd z posesji. Pomyślał, że przez te kilkanaście minut nie będzie go raczej używała. Zwłaszcza że od godziny rozmawia z Pauliną.

Castorama była o tej porze wypełniona ludźmi. Ciekawe, że Polacy zawsze mają i czas, i pieniądze na remonty domowe.

W budynku, na parterze, w jednym z okien paliło się światło.

Igor sięgnął po telefon i zaczął od niechcienia surfować po rozmaitych stronach. W międzyczasie przyszła wiadomość od matki, że może jednak w związku z pogodą niech się zastanowią nad jutrzejszą podróżą. Przeszło mu przez myśl, że to prawie cud. Matka z reguły nie mogła się doczekać jego wizyty.

I wtedy padł strzał.

Roman ostatnie metry korytarza ewakuacyjnego przed klatką E1 pokonał biegiem. Miał nadzieję, że straż była już w drodze, a Adam zauważył to, co się działo, na monitoringu i dzwonił właśnie do służb.

Roman dopadł narożnika tunelu i skręcił na schody. Fotokomórka wychwyciła ruch, dopiero jak wbiegł na pierwszy stopień, i po chwili klatkę zalało ledowe zimne światło.

To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Co ta dziennikarka mówiła? Że zrobili złe obliczenia wytrzymałości tej ściany? I że wprowadzenie przewodów mrozeniowych może się źle skończyć? Mimo że widział galeon na filmie, to i tak nie mógł w to uwierzyć. Jak to się stało, że coś takiego nie wyszło na jaw?

Wbiegł na kilka stopni oddzielających dolny korytarz ewakuacyjny od półpiętra i zatrzymał się przed samą ścianą.

Na całej powierzchni wbite były w nią rurki wypełnione lodowatą solanką. Na podłodze stały kompresory i wiły się kable zasilające. Zaczęli zakładać tę instalację w czwartek, a skończyli w piątek wieczorem. Jeszcze dzisiaj rano wszystko było w porządku. Teraz ze zgrozą patrzył, jak z każdego praktycznie otworu tryska woda. Przeciskała się pomiędzy rurkami mrozeniowymi. Przy niektórych rurkach mniej, przy niektórych bardziej intensywnie. Gdzieniedzie strumyki wody wyglądały jak w połowie przymarzniete, spływały po ścianie klatki. Dlaczego woda nie zamarzała?

Ciśnienie?

Roman usiłował sobie przypomnieć, co mówiła dziennikarka. Że za tą ścianą są wielkie puste przestrzenie wewnętrznych pokładów galeonu. Jeśli z koryta rzeki przesiąkła tam woda, to instalacja mrozeniowa nie zdoła jej zamrozić. Jej wydajność pozwalała na zamrożenie wody znajdującej się w gruncie, ale nie ton wody luzem, w dodatku wciąż napływającej ze Świny.

Ciśnienie powodowało, że woda wpychała się do tych dziur z przerażającą siłą.

Jeśli zbrojenie tej ściany zostało źle wykonane, a teraz jeszcze ją podziurawili...

Roman zbladł. Przez chwilę miał pustkę w głowie. Potem przypomniał sobie, że kilka metrów wyżej stoją setki samochodów, uwięzionych w tunelu przez uszkodzony wjazd. Na razie tylko od strony miasta. Przymknął oczy i oparł się o ścianę, a następnie ruszył pędem po schodach do góry.

Igor przez moment siedział jak sparaliżowany. Jego system bezpieczeństwa w głowie podpowiadał mu desperacko, że to może tłumik albo ktoś gra w jakąś grę...

Dopóki zaraz potem nie usłyszał krzyku. Głos Pauliny rozpoznał od razu.

Wyskoczył z samochodu i podbiegł do furtki. Oczywiście była zamknięta. Nie sądził, że ktoś mu teraz ją otworzy. Na szczęście w obejściu nie było żadnego psa.

Wskoczył na murek ogrodzenia i przedostał się na drugą stronę. Rzucił się do drzwi i w obawie, że będzie musiał je wyważyć, szarpnął za klamkę i naparł na nie ramieniem. Drzwi, jak się okazało, nie były zamknięte i prawie runął na podłogę w małym korytarzu.

Wpadł do holu i zobaczył, że w jednym z pomieszczeń świeci się światło. Wbiegł tam i stanął na progu przerażony.

Paulina, blada jak ściana, stała, zakrywając dłońmi usta, a obok biurka leżało przewrócone krzesło.

Cała ściana i parapet okna były zbryzgane krwią.

Katarzyna Korytko miała głowę opartą o blat biurka.

Czerwona kałuża wciąż się powiększała, spływała po blacie, a krew kapłała na dywan.

Ani Igor, ani Paulina nie pamiętali później, jak długo stali kompletnie sparaliżowani.

W pewnym momencie usłyszeli ryk syreny policyjnej.

Piotr patrzył z przerażeniem, jak granatowa toyota wbija się w bok czarnej hondy. Rozległ się potworny łoskot, spotęgowany przez betonowe ściany, a oba samochody, trąc poranionymi blachami po asfalcie, przesunęły się gwałtownie i wbiły w osłony energochłonne po lewej stronie tunelu.

Piotr słyszał, jak z tyłu na wysokich obrotach wyją silniki kilku samochodów, których kierowcy zaczęli zawracać. Słychać było krzyki i przekleństwa.

– Mam nadzieję, że ta honda nie była elektryczna – zażartował słabym głosem Borys. – Jeszcze tylko brakuje tutaj pożaru.

Piotr ocknął się, chwycił rączkę zmiany biegów i cofnął auto, skręcając jednocześnie w lewo. Z tyłu rozległ się klakson.

– Co ty robisz? – Borys spojrzał na niego ze strachem.

– Nie słyszałeś? Nie wjedziemy do miasta.

Golf wymanewrował i stanął w poprzek tunelu. Piotr, gwałtownie kręcąc kierownicą, usiłował zawrócić. Z tyłu to samo zaczął robić kierowca wielkiego, starego mercedesa i zablokował kompletnie przejazd.

– Ja pierdołę! – Borys uniósł się na siedzeniu. – Ludzie oszaleli chyba.

Z hondy wysiadł młody mężczyzna, biegiem okrążył samochód i rzucił się z pretensjami do oszołomionego kierowcy

granatowej toyoty. Gdzieś z oddali, od strony wjazdu do Wolina, dobiegał ryk silników.

Mercedesowi udało się w końcu zakręcić i ustawił się na lewym pasie w kolejce za kilkoma innymi samochodami z tyłu, które także zawracały na Wolin.

Piotr ruszył i golf potoczył się za mercedesem. Część samochodów na prawym pasie nadal karnie stała, a ich pasażerowie czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

– Co my właściwie robimy? – Borys spojrział na Piotra.

– Usiłuję wyjechać z tego pieprzonego tunelu – odparł Piotr, trzymając kurczowo kierownicę. – Jeśli i od strony Wolina jakiś jełop zablokuje pas, wpieprzając się do tych dziur w asfalcie, to spędzimy tutaj kilka godzin, zanim to ogarną. Chcesz spędzić ze mną kilka godzin? Taka strata czasu?

– I po co te złośliwości? Przecież ja nie powiedziałem, że cię nie lubię czy coś tam.

– Coś tam – warknął Piotr. – Problem w tym, że ja cię właśnie coś tam...

– Co? – Borys wpatrywał się w Piotra z zaskoczeniem.

Jadący przed nimi mercedes nagle zwolnił, potoczył się jeszcze kilka metrów i stanął. Dalej było widać korek ciągnący się do końca widocznej części tunelu. Wnętrze betonowego lochu wypełniały klaksony, ryk silników i okrzyki niecierpliwych kierowców.

Piotr pomyślał, że ilekroć pomiędzy nimi dwoma dochodzi do rozmowy na ten cholerny temat „czegoś tam”, to momentalnie włącza się opatrność i im przerywa.

To nie mógł być przypadek.

– Byliśmy blisko tych schodów z galeonem – powiedział Borys, wpatrując się w oznakowania na ścianach tunelu. –

Teraz przejechaliśmy z powrotem może ze sto metrów, więc...
– odwrócił się i uśmiechając się niepewnie, spojrział na Piotra, podnosząc do góry brwi – jesteśmy w samym środku tunelu. Dokładnie pod rzeką.

Roman szarpnął drzwi i wpadł do wnętrza tunelu. Od razu zaatakował go hałas, warkot silników i krzyki ludzi. Kilkanaście metrów dalej zobaczył zbiegowisko i stojące w poprzek jezdni samochody. Wyrwał z kieszeni krótkofalówkę i przeciskając się pomiędzy nimi, ruszył w kierunku stłuczki.

– Widzisz na podglądzie, co tu się dzieje? – spytał, gdy w głośniku rozległ się głos kolegi. – Jestem na wysokości klatki E jeden.

– Widzę. – Z głośnika słychać było trzaski, a w tle jakiś hałas.
– Jest tutaj straż miejska, ale oni nie bardzo wiedzą, co robić.

– Kurwa! – Roman ominął otwarte drzwi osobowego volvo. – A ja mam wiedzieć? Niech każą zawracać wszystkim, co stoją na wjeździe do tunelu! Mają stamtąd wypierdalać! Tam musi podjechać straż i usunąć tego TIR-a, a potem nie wiem, położyć jakieś blachy, żeby samochody mogły wyjechać z tunelu! Powiedz im, że to ma być jak najszybciej!

– Straż ponoć już jedzie – zaskrzeczał głośnik.
– Niech się pośpieszą! Woda może zalać tunel!
– Zalać? Co ty pierdolisz? Jak za...
– Zobacz na podglądzie schody! Niech budowlańcy tutaj przyjadą! Muszą coś wymyślić!

Roman wsadził krótkofalówkę do kieszeni.

Przy czarnej hondzie stał mężczyzna i potrząsał komórką.

– Widziałem, że pan rozmawiał przez krótkofalówkę! – krzyknął na widok Romana. – Niech pan wezwie policję! Głęb

wjechał mi w bok!

Z toyoty wyskoczył facet w czapce z daszkiem i rzucił się do Romana.

– Ten palant zawracał na ciągłej! W środku tunelu!

Za dwoma rozbitymi samochodami ustawiła się już kolejka innych, z których dobiegały nerwowe pokrzykiwania i ciągłe już prawie klaksony.

– Nikt tu nie przyjedzie! – krzyknął Roman do właściciela hondy. – Niech pan wsiada i jedzie! Pan też! – Skinął do kierowcy drugiego auta.

– Jak mam jechać!? – Facet w czapce z daszkiem machnął ręką w kierunku przodu swojej toyoty. – Rozbite światła, maska! Jak ja mam jechać?!

– Musicie się stąd ewakuować jak najszybciej! Na zewnątrz będziecie się dalej kłócić.

Nie czekając, ruszył biegiem w głąb tunelu.

Borys wysiadł i stanął obok samochodu. Przed nimi ze stojących aut powychodziło już mnóstwo ludzi, usiłując dojrzeć, co się dzieje w głębi tunelu, i dopytując się nawzajem, co się stało.

Ze stojącego na prawym pasie małego nissana wyjrzała kobieta i pomachała ręką do Piotra.

– Nie wie pan, dlaczego stoimy? – spytała, gdy otworzył okno.

– Na wjeździe do miasta jest zator – odparł.

– To nie straż? – Borys pochylił się do wnętrza i wskazał Piotrowi zbiegowisko kilkanaście metrów dalej.

Wzdłuż szeregu samochodów przedzierało się kilku mężczyzn w granatowych mundurach.

Wokół nich co chwila przystawali ludzie, a z samochodów słychać było krzyki.

– Proszę wsiadać do samochodów! – dobiegł do Piotra głos jednego ze strażników. – Proszę nie wychodzić na jezdnię!

Jakaś kobieta zaczęła się głośno domagać wyjaśnienia, co się stało.

– Proszę nie wychodzić z aut!

Pierwszy ze strażników znalazł się po chwili obok samochodu Piotra.

– Idziecie z wyjazdu na Wolin? – zapytał go Borys.

– Proszę zachować spokój! Robimy wszystko, co trzeba!

– A wiecie w ogóle, co trzeba robić? – Kobieta z nissana wysiadła na zewnątrz. – Co się tam dzieje?!

– Proszę wracać do samochodu! – krzyknął na nią strażnik.

– Proszę nie podnosić na mnie głosu! Dlaczego tutaj stoimy?!

– Czy wyjazd od strony Wolina jest możliwy? – krzyknął za strażnikiem Piotr z okna. – Czy tam też się zawaliło?!

– Zawaliło? – Kobieta spojrzała ze strachem na Piotra, a następnie na strażnika. – Zawalił się wyjazd?

– Proszę o spokój!

– Tylko tyle pan potrafi powiedzieć! Ja mam dwoje małych dzieci w samochodzie! A pan mi tutaj o spokoju gada!

– Czy wyjazd z tunelu na Wolinie jest możliwy? – powtórzył głośno Borys.

Wokół strażników urósł niewielki tłum ludzi. Inni wysiedli z samochodów, usiłując usłyszeć, o czym mówią.

– Proszę państwa! – Strażnik podniósł ręce do góry. – Proszę się uspokoić! Chwilowo nie ma możliwości wyjazdu. Jest tam

mały problem z nawierzchnią. Właśnie go usuwamy. Proszę wsiąść do samochodów i czekać.

Borys wrócił do auta i spojrzał na Piotra.

– Nie ma wyjazdu z dwóch stron – powiedział z niedowierzaniem. – Utknęliśmy tutaj.

Piotr wpatrzony w przednią szybę przypomniał sobie artykuł, który sam dwa tygodnie temu własnoręcznie napisał. Na temat katastrof. I tego potopu sprzed stu lat w Szczecinie...

Przez to gadanie z Borysem o... o „czymś tam” przestał myśleć. I słuchać.

A przecież przez całą drogę podawali w radiu, że będzie sztorm. I że wiatr się zmieni na ten najgorszy możliwy kierunek – północno-wschodni.

Wpatrzony cały czas w przednią szybę, za którą coraz bardziej zdenerwowani ludzie miotali się wokół samochodów, usiłował sobie przypomnieć to, co czytał na stronach meteorologicznych. Dlaczego ten kierunek był najgorszy?

Świna nie jest rzeką! To kanał. Nie ma tutaj prądu. A wiatr wiejący z północnego wschodu wpycha masy wody w głąb lądu. Normalnie rozlewają się one po bagnach, moczarach, łągach nad zalewem, ale dwa, trzy tygodnie mrozu spowodowały, że lód skamieniał przy brzegach, a woda, która nie miała się gdzie rozlewać, pod wpływem ciśnienia wpychała się dalej w głąb zalewu, a później Odry...

A teraz?

Galeon ocalał, bo był prawdopodobnie zabezpieczony pokładami gliny od strony koryta Świny. Teraz woda była wpychana przez wichurę do koryta rzeki, wytwarzało się ciśnienie, woda przeciskała się mikroszczelinami, pokłady gliny się poruszały...

Co on napisał? Że każda katastrofa to suma wielu niefortunnych zdarzeń!

Jeśli konstrukcja galeonu w końcu nie wytrzyma, to cała ogromna, zgrzybiała kupa drewna runie wraz z wodą na tę głównianą ścianę!

Piotr wypadł z samochodu i przeciskając się pomiędzy ludźmi, pobiegł za strażnikami.

– Co ty robisz? – krzyknął Borys, nie bardzo wiedząc, co się dzieje.

Gdy Piotr nie zareagował, wyskoczył z samochodu i pobiegł w ślad za nim.

Roman przystanął i wpatrywał się w stojące samochody i kłębiących się przy nich ludzi. Przed chwilą dowiedział się, że wyjazd na Wolin także osiadł.

Powoli zaczynał wpadać w panikę. Nie miał pojęcia, jak długo utrzyma się ściana schodów ewakuacyjnych E1. Ile zostało czasu? A jeśli zacznie krzyczeć, że ludzie mają zostawiać samochody i uciekać, i wybuchnie panika? A jeśli zrobi to pochopnie? W czasie ucieczki ktoś się wywróci, zdarzy się jakiś wypadek, a ściana się utrzyma? To będzie wtedy jego wina.

Rozejrzał się bezradnie. Pomyślał, że jest tutaj także pewnie sporo osób, dla których pośpieszne pokonanie kilometra nie będzie prostym zadaniem. W wielu z tych samochodów z pewnością są osoby w podeszłym wieku. A niepełnosprawni?

To nie on powinien podejmować takie decyzje! A tu ani budowlańców, ani nikogo z miasta.

Od strony wyjazdu na Wolin usłyszał nagle jakieś krzyki i po chwili w zasięgu wzroku pojawiła się grupa strażników miejskich.

Roman ruszył w ich kierunku.

Piotr dogonił ostatniego ze strażników i szarpnął go za ramię.

– Powinniście stąd wyprowadzić ludzi! – krzyknął. – Niech zostawią samochody i uciekają!

– Zwariował pan? – Strażnik spojrział na niego wrogo. – Proszę wracać do samochodu!

– Nie rozumie pan! – ryknął Piotr, wskazując ręką widoczne w oddali drzwi prowadzące na klatkę ewakuacyjną. – Ściana na tamtych schodach może nie wytrzymać, a wtedy tunel zostanie zalany!

– Co pan opowiada?! – rozdarła się jakaś kobieta, gwałtownie oswabdzając się z pasa bezpieczeństwa i szarpiąc drzwi. – Co to za brednie? Jak to zaleje tunel?!

Grupa osób przy sąsiednich samochodach momentalnie się odwróciła i wbiła wzrok w Piotra.

– Jest pan kompletnie nieodpowiedzialny! – warknął do Piotra strażnik. – Za takie zachowanie grozi panu kara! Po co pan straszy ludzi swoimi urojeniami!

– Zaleje tunel? – krzyknął jakiś mężczyzna. – Co pan powiedział? Dlaczego ma zalać tunel?!

– Woli pan mnie straszyć tutaj odpowiedzialnością karną czy dopuścić do śmierci wielu ludzi? – ciszej syknął Piotr do strażnika. – Ściana na klatce ewakuacyjnej jest osłabiona, w dodatku trwa tam mrożenie gruntu...

Strażnik złapał Piotra za ramię i odciągnął na bok. Jego dwaj koledzy odgradzili ich od zbierającego się tłumu ludzi.

– Co pan pierdoli, do diabła? – warknął strażnik. – Wie pan, co się będzie działo, jak tu wybuchnie panika? Wiemy, co robimy. Przy obu wjazdach pracują ekipy, które usuwają

zniszczenia. Wjazdy będą wkrótce udrożnione, do tego czasu powinien pan siedzieć w samochodzie i nie wywoływać awantur!

– Co pan robi? – Pomiedzy dwoma strażnikami przepchnął się Borys. – Jestem prawnikiem! – rzucił, gdy jeden ze strażników chciał go zatrzymać.

Mężczyzna na moment zamarł niezdecydowanie.

– I co z tego? – Trzymający Piotra strażnik spojrział na Borysa ze złością. – Jesteśmy tu po to, żeby chronić ludzi i zapobiec panice. Za chwilę będzie tutaj także policja. A ten pan sieje niepotrzebną panikę.

– Nie sieję żadnej paniki! – Piotr wyszarpnął się z ręki strażnika. – Trzeba stąd zabrać ludzi!

Borys przepchnął się obok mężczyzny i zasłonił Piotra.

– Ma pan rację – powiedział ugodowo do strażnika. – Wracamy do samochodu.

– Co ty wyprawiasz? – Piotr chciał odsunąć Borysa, ale ten złapał go za ramię i odciągnął od strażników.

– Co ja wyprawiam? – oburzył się Borys. – Co ty wyprawiasz?! Wyprowadzić ludzi?!

– Muszę zobaczyć tę ścianę. – Piotr, nie czekając, ruszył wąskim prześwitem pomiędzy rzędem samochodów a odbojem. Borys rad nierad pobiegł za nim.

Strażnik Adam siedział w centrum obsługi i wpatrywał się w monitory. Od strony miasta przejechał właśnie jeep cherokee, a zaraz za nim kolejny wóz pomocy drogowej z podnośnikiem. Od kilkunastu minut strażacy usiłowali wyciągnąć blokującego przejazd TIR-a, ale samochód, wypełniony w dodatku ładunkiem, nie dawał się ruszyć.

Żeby położyć na zniszczonym asfalcie szyny, które umożliwiłyby wjazd samochodom, trzeba było podnieść drogowego mastodonta, a wyglądało na to, że bez dźwigu się nie obejdzie.

Leżąca na stole krótkofalówka nagle zaskrzeczała.

– Przyjechał wreszcie ktoś z miasta? A Nord/Barentz? – rozległ się głos Romana. – Muszą podjąć decyzję, czy ewakuować ludzi!

– Ewakuować? – zapytał z niedowierzaniem Adam. – Nie przesadzasz?

– Popatrz na ten podgląd kamery na klatce E jeden! Niech ktoś tu przyjdzie i to obejrzy. Ja nie wiem, co robić.

Strażnik pochylił się nad klawiaturą i po chwili na ekranie jednego z monitorów ukazało się wnętrze schodów ewakuacyjnych. Adam przez chwilę wpatrywał się w ścianę, w której zamontowano instalację mrozeniową, a zaraz potem zerwał się i skoczył do wyjścia.

Chwycił kurtkę i wybiegł z budynku obsługi.

Kilkadziesiąt metrów dalej przy zjeździe do tunelu stały dwa wozy strażackie, żółty wóz pomocy technicznej i kilka samochodów osobowych.

Michalina Barska, opatulając się kapturem, dreptała w miejscu obok jednego z samochodów.

– Na kogo ja wychodzę przez panów? – warknęła do pierwszego z dwóch przedstawicieli firmy Nord/Barentz. – Wszędzie powtarzałam, że konstrukcja musi się ułożyć, że to naturalne, że pracuje, a tu tymczasem co? Zapadlisko na pół metra głębokości! I co ja teraz powiem ludziom? A w dodatku dzisiaj jest zaplanowany koncert. Zapłaciliśmy gwiazdom, a teraz się okazuje, że zamiast uroczystości mamy katastrofę!

– Dopiero niedawno dostaliśmy obliczenie inżyniera z Dark-Budu – odezwał się jeden z mężczyzn, patrząc ostrożnie na kolegę.

– A co to ma do rzeczy? – syknęła Barska. – Gdzie klatka, a gdzie wjazdy?

– Nie chodzi o to. – Inżynier pokręcił głową. – Obawiam się, że najlepiej będzie, jak ewakuujemy tunel. I to natychmiast.

– Co takiego? – Barska teraz dopiero spojrzała uważniej na twarze obu mężczyzn i dostrzegła w nich napięcie.

– Halo! Halo! – Od strony budynku centrum obsługi dobiegł ich krzyk i po chwili, dysząc ciężko, podbiegł strażnik. – Musicie obejrzeć tę ścianę! Przecieka.

– Przecieka? – Barska zbladła.

– Jak diabli!

Od strony miasta rozległy się nagle syreny policyjne i na drodze do tunelu pojawiły się trzy niebiesko-białe samochody.

Piotr szarpnął stalowe drzwi i wpadł na schody ewakuacyjne. Zbiegł po kilku stopniach i stanął jak skamieniały.

Usłyszał, jak za nim trzasnęły drzwi, i po chwili obok pojawił się Borys.

– Boże! – westchnął.

Z otworów, w których tkwiły rurki instalacji mroźniowej, tryskała woda. Cała posadzka półpiętra była mokra, a woda spływała po schodach na najniższy poziom, gdzie był korytarz ewakuacyjny. Przy dwóch lub trzech otworach na ścianie pojawiły się rysy, przez które także zaczynała się sączyć woda.

– Jeśli ta ściana puści, to zaleje tunel w kilka minut – powiedział cicho Piotr, wchodząc tyłem na schody. – Trzeba wyprowadzić ludzi!

– Wybuchnie panika – jęknął Borys, wpatrując się z przerażeniem w kompletnie mokrą posadzkę.

– Trudno! – Piotr odwrócił się i skoczył ku drzwiom. – Nie ma czasu! Trzeba wszystkich uprzedzić!

Obaj wbiegli po schodach i wpadli do tunelu.

Piotra zaskoczyła cisza, a dopiero po chwili uświadomił sobie, że większość ludzi zgasiła silniki. Słychać było głośno pracujące pompy wentylacji mechanicznej.

– Trudno. Najwyżej mnie zamkną – sapnął Piotr i nie czekając na reakcję Borysa, ruszył biegiem w kierunku swojego samochodu. Gdy był na miejscu, wspiął się na maskę i balansując po śliskiej, mokrej od śniegu blasze, stanął na dachu.

– Musicie natychmiast wyjść z tunelu! – krzyknął. – Zostawcie samochody i uciekajcie stąd! W jednej ze ścian jest stale powiększające się uszkodzenie, które może za chwilę doprowadzić do zalania tunelu!

Wśród ludzi stojących obok samochodów na moment zapanowała konsternacja.

– To jakiś żart?! – krzyknął jeden z mężczyzn. – Przed chwilą strażnicy pana uspokajali. Jeszcze panu mało tych żartów?!

– Ja nie żartuję! – krzyczał Piotr. – Woda w każdej chwili może się wedrzeć do tunelu!

– Co pan robi, do kurwy nędzy?! – wrzasnął jeden ze strażników, podbiegając do samochodu Piotra. – Proszę zejść!

W głębi tunelu, od strony wyjazdu do miasta, pojawiła się nagle grupa policjantów, a wśród nich Roman.

– Proszę natychmiast zejść! – krzyknął ponownie jeden ze strażników.

– Jeszcze raz powtarzam! – wydarł się Piotr. – Tunel w każdej chwili może zostać zalany!

Strażnik dosięgnął nogi Piotra i szarpnął za jego nogawkę. Piotr stracił równowagę i upadł na dach samochodu.

– Co pan robi? – Borys odepchnął strażnika.

Przy samochodzie pojawili się policjanci.

– To jakiś szaleniec! – krzyknął do nich strażnik, który przed chwilą usiłował ściągnąć Piotra z samochodu.

Dwaj policjanci ruszyli w ich kierunku, gdy Roman zatarasował im nagle drogę.

– On ma rację – powiedział. – Ściana na schodach przecieka.

– Co pan opowiada?! – przeraził się młody mężczyzna, wyskakując z najbliższego auta. – Serio? Zaleje tunel?!

Pomiędzy samochodami momentalnie wybuchł gwar. Ludzie, przekrzykując się nawzajem, zaczęli dopytywać się, co się dzieje. W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące na korytarz ewakuacyjny i wybiegli stamtąd strażacy.

– Trzeba ewakuować ludzi! – krzyknął jeden z nich. – Natychmiast!

Oślupiali policjanci zamarli, wpatrując się w strażaków, którzy rozbiegli się po tunelu, waląc w dachy samochodów.

– Tutaj są dzieci i starsze osoby. Oni nie dotrą piechotą do wyjścia! – krzyknął Borys.

I w tym momencie stało się to, czego można było się obawiać. W tunelu wybuchła panika.

Ludzie rzucili się do bagażników i na tylne siedzenia samochodów i zaczęli wyszarpywać torby i jakieś rzeczy, które wydawały im się niezbędne. Gdzieś zaczęło płakać dziecko.

Kilka osób próbowało się przepychać do wejścia na schody ewakuacyjne.

– Spokojnie! – wrzeszczeli policjanci. – Powoli! Wszyscy zdążą!

– Nie tunelem! – krzyknął Piotr, machając rękami. – Tunel na dole pierwszy zostanie zalany!

– Kazali nam ewakuować ludzi drogami ewakuacyjnymi – krzyknął jeden ze strażaków. – Takie są przepisy! Tutaj wybuchnie panika. Poza tym przyszedliśmy tamtędy i droga jest wolna.

Piotr złapał się za głowę, widząc, jak przy drzwiach prowadzących na niższy poziom zrobił się tłum, a ludzie przepychali się, szarpiąc się nawzajem i ciągnąc torby i manele, wciskali się na schody ewakuacyjne.

– Ja pierdołę! – Borys obrócił się bezradnie dookoła.

– Co ja mam robić? – Kobieta, która chwilę wcześniej pytała Piotra, co się dzieje, cała się trzęsła, trzymając za rękę małego chłopczyka. – Córka jest w samochodzie.

– Pomóżcie tej pani! – wrzasnął Piotr do strażników, którzy ocknęli się ze stuporu i podbiegli do nissana młodej kobiety.

– Musimy... – zaczął Borys i wtedy rozległ się histeryczny krzyk.

Barska patrzyła z przerażeniem na ekrany monitoringu w centrum obsługi, nie mogąc uwierzyć, że wszystko to dzieje się naprawdę.

– Potrzebujemy namiotów i ogrzewania! – ocknęła się i krzyknęła do strażnika – albo czegokolwiek, żeby ogrzać ludzi, którzy się stamtąd wydostaną!

Adam złapał za telefon i zaczął się łączyć po kolei ze wszystkimi służbami.

Barska wyjęła telefon i wybrała numer Floty Obrony Wybrzeża.

Tłum ludzi zbity przy wejściu ewakuacyjnym, powstrzymywany siłą przez kilku policjantów, zafalował, a po chwili przez drzwi wypadła na zewnątrz kobieta. Miała spodnie mokre do kolan i głośno płakała.

– Tam już jest po kolana wody! – krzyknęła.

– Jak woda wleje się do tunelu, to w tym zimnie nikt nie przeżyje – jęknął Borys, łapiąc się za głowę. Czuł, że sam zaczyna wpadać w panikę.

– Nie mamy już czasu! – zawołał Piotr. – Musimy biec do wyjazdu!

– Na miasto! – zdecydował Borys. – Tam jest bliżej.

Obaj ruszyli biegiem, omijając pootwierane drzwi samochodów. Pomiędzy autami, niczym cofająca się pośród kamieni na brzegu fala, popłynął razem z nimi tłum przerażonych ludzi.

Godzinę później...

Bartosz zjechał z Karsiborskiej na drogę dojazdową do tunelu i zwolnił. Kilkadziesiąt metrów dalej dojazd był zagrodzony, a obok stalowych barier stało kilku policjantów. Przed ogrodzeniem widać było tłum ludzi, którzy usiłowali dojrzeć coś w głębi i zapamiętali robili zdjęcia. Dalej w tle widać było oblany światłem wielu reflektorów zjazd i tłoczące się przy nim samochody straży pożarnej i policji. Obok murów oporowych zjazdu stał dźwig.

Nad Świną przeleciał helikopter i zaczął kołować w powietrzu nad placem przy centrum obsługi tunelu.

Dojeżdżając tutaj, Bartosz miał wrażenie, że cały czas słyszy syreny karetek lub policji. Na wszystkich stacjach radiowych nie mówiono o niczym innym.

– Ja dziękuję – wyszeptał przerażony Piter, wpatrując się w parking przed budynkiem centrum obsługi, zastawiony samochodami policyjnymi.

Bartosz zjechał na bok i zatrzymał się na poboczu za innymi pojazdami. Wzdłuż drogi dojazdowej stało co najmniej kilka samochodów ekip telewizyjnych i radiowych.

– Cały czas nie odbiera. – Piter westchnął, odrywając telefon od ucha.

Bartosz otworzył drzwi i do wnętrza samochodu momentalnie wpadł ryk wiatru.

Wysiedli i zasłaniając się kapturami, ruszyli w kierunku ogrodzenia.

Bartosz podszedł do stalowej zapory i wychylił się w kierunku jednego z policjantów.

– Nasz...

– Nasz kuzyn jechał tunelem – wpadł mu w słowo Piter. – Piotr Bahryński.

– Ja nic nie wiem. – Pokręcił głową policjant. – Proszę iść tam. – Wskazał rozstawiony na trawniku przed centrum obsługi zielony wojskowy namiot. Kręcił się przy nim tłum ludzi i koczowało kilka ekip z kamerami.

Namiot trząsł się cały na wietrze, a wejściową plandekę co chwilę porywał kolejny podmuch i walił nią o stelaż. Przy wejściu stał żołnierz i zagradzał drogę ciekawskim.

– Szukamy brata – zagadnął żołnierza Piter, mając nadzieję, że nie będą go legitymować. – Jechał z kolegą tunelem.

Żołnierz wskazał kobietę z tabletem, która siedziała przy stoliku w przedsionku i udzielała informacji całemu tłumowi zdenerwowanych ludzi.

– Piotr Bahryński – przeliterował nazwisko Piter. – Tak, przez samo h. Jechał z kolegą. Borys Ignatiuk. Tak, na pewno!

Kobieta przeglądała spis osób, kręcąc głową, gdy nagle za jej plecami rozległ się okrzyk.

– Piter!

Piter odwrócił się i zobaczył, jak od stojącego na uboczu samochodu straży biegnie Piotr ubrany w furkoczący na wietrze srebrno-złoty koc termiczny.

– Jestem cały mokry. Pomoczyć się – śmiał się Piotr, gdy obaj zaczęli skakać wokół niego i tarmosić go za włosy. – Nic mi nie jest!

– A Borys? – spytał Bartosz, rozglądając się dookoła.

– Jest tam. – Piotr skinął w kierunku namiotu. – Przewrócił się. Pomagał komuś, poślizgnął się i wpadł do wody. Chyba połamał sobie żebra.

– Ta twoja Paulina dzwoniła do mnie już tysiąc razy. Nie wiem, jak zdobyła mój numer – powiedział Piter, gdy odeszli w końcu na bok. – Była krańcowo zdenerwowana. Obiecałem, że dam znać, jak cię znajdę.

– Telefon został w samochodzie. – Piotr obwinął się płaszczem. – A Borys swój zgubił.

– Naprawdę cały tunel zalało?

Piotr, poważniejąc, pokiwał głową.

– Nikt nie wie dokładnie, kto jechał, kto zdążył zawrócić – powiedział, szcękając zębami. – Spisują dane wszystkich, ale ustalanie, ile osób zginęło, potrwa tygodniami.

– „Wyspiarz niebieski” napisał dzisiaj o tym twoim galeonie – powiedział nagle Bartosz.

– Wyspiarz? – Piotr patrzył na Bartka skołowany. – Niebieski?

– Tutejszy tygodnik.

– Wszyscy już, zdaje się, o tym pisali – westchnął Piter, wpatrując się w błyskające światła karetek pogotowia.

– Ale oni chyba wygrzebali prawdziwą historię. – Bartosz sięgnął po telefon.

– Potem o tym pogadamy – chciał mu przerwać Piter, ale Piotr go powstrzymał.

– Prawdziwą? To znaczy jaką?

– Znaleźli pamiątki jakiegoś pastora z Lubina. Dwunastego października tysiąc siedemset trzydziestego roku... – Bartosz pochylił się nad ekranem telefonu, sprawdzając datę – w nocy z klifu w Lubinie widział, jak wpływa tutaj jakaś armada żaglowców i barek.

– Bartosz, nie teraz – jęknął Piter. – Przecież on jest zmarznięty.

– Niech powie! – Piotr patrzył na Bartka. – I co dalej?

– Okazało się, że w latach dwudziestych osiemnastego wieku Prusy zaczęły budować port w Świnoujściu, a żeby się uniezależnić od Szwedów i jedynej drogi na Bałtyk przez Wołogoszcz, zaczęli pogłębiać Świnę. Szwedzi, którzy za ujście pobierali wysokie opłaty i cła...

– Bartosz! – Piter podniósł głos.

– Niech on skończy, do diabła!

– Szwedzi bruździli Prusakom i nocami, niweczając ich pracę, zatapiali w dopiero co pogłębionej Świnie stare okręty i barki wypełnione kamieniami! – Bartosz patrzył z uśmiechem na kompletnie osłupiałego Piotra. – Nigdy nie było żadnego skarbu! Ukradli kufer pełen kamieni.

– Koniec tego gadania! Idziemy zobaczyć, co z Borysem, i zapytać, czy możemy ich stąd zabrać! – Piter złapał Bartka za rękaw i pociągnął za sobą do namiotu.

Piotr, oszołomiony przyziemnym rozwiązaniem najgłośniejszej miejskiej legendy ostatnich tygodni, oparł się o stelaż namiotu i odetchnął. Przez rozsunięte na moment przez policjantów zapory wyjechała karetka pogotowia i na sygnale, mrugając światłami, odjechała w kierunku miasta.

Powietrze było lodowate i przesiąknięte kroplami słonej wody.

Uśmiechnął się gorzko do siebie. Kamienie zamiast skarbu. I dwie osoby straciły przez to życie. Wiele osób – pomyślał, spoglądając w kierunku wjazdu do tunelu.

Czasem jedna zła decyzja kładzie się cieniem na resztę twojego życia, a często dotyczy także innych, tak jakby to życie było systemem naczyń połączonych.

Wszystkie wybory, decyzje, każde złe słowo w internecie, hejt, kłamstwa mają wpływ na innych. Jak jeden klocek domina.

Piotr pomyślał, jak dobrze byłoby uwierzyć, że to wszystko ma jakiś sens. Że układa się w łańcuch zdarzeń i że wszystko jest tak samo ważne. Może po prostu potrzebuje na to więcej czasu.

KONIEC

Posłowie

Na potrzeby tej opowieści wymyśliłem sobie nazwę nowego gatunku literackiego – paszkwil miejski.

Pisanie, w szerokim znaczeniu tego słowa, zaczyna się u mnie od stworzenia katalogu, do którego ściągam gigabajty danych z internetu, zdjęcia, skany albo fotografie jakichś analogowych artykułów i tym podobne artefakty. Przydają mi się albo nie, ale katalog jakoś musi się nazywać, a tytuł powieści najczęściej zaczyna mi świtać dopiero pod koniec pracy. Tym razem zatem stanęło na paszkwilu miejskim.

Nie bez powodu.

Trochę się bałem tej tematyki. Wiedziałem przecież, że, chcąc nie chcąc, pisząc o przekrętach i miejskich legendach, będę się musiał otrzeć o jakieś afery, awantury i wyświnić klawiaturę brudną polityką. Nie da rady przecież opisać jakiejś wielkiej, ważnej inwestycji bez natknięcia się na takie rzeczy.

Rzeczywistość wielkich budów znam doskonale z autopsji, pisanie zatem na ten temat przyszło mi dość łatwo. Nie musiałem robić jakiegoś specjalnego researchu czy badania miejscowego rynku, żeby zorientować się w specyfice tematu czy sytuacji. Sam przecież wielokrotnie tkwiłem w takich realiach i codziennie sprawdzałem w lustrze, ile siwych włosów przybyło mi na głowie. Niewinnemu czytelnikowi, który sięgnął po moją książkę po raz pierwszy i dotarł bohatercko aż tutaj, zdradzę, że jestem wszak architektem z wykształcenia.

Temu zaś czytelnikowi, który przebrnął przez pierwsze dwa rozdziały i stwierdził, że to w ogóle nieprawdopodobne i że

takie rzeczy się nie dzieją, śpieszę wyznać, że niestety się dzieją. I to pewnie częściej, niżbyśmy chcieli.

Jakiś czas temu na zaprzyjaźnionej budowie, w samym centrum Szczecina, koparka wykopała całe sterty ludzkich kości, część była jeszcze nawet ubrana w resztki mundurów.

Przez dobrych kilka dni nikogo to nie zainteresowało, mimo że wykonawca miał dobre intencje i chodził od drzwi do drzwi. Wszędzie jednak odsyłano go gdzie indziej.

W tak zwanym międzyczasie wywrotkę ziemi z tych wykopów przewieziono do ogródka wujka wykonawcy. Starszy pan, plantując swoje grządki, oniemiał, kiedy natknął się na mnóstwo ludzkich kości. Przerażony, nie wiedząc, co z nimi zrobić, pod osłoną nocy na taczce wywiózł je do pobliskiego lasu. Pech chciał, że zza firanki obserwowwała go sąsiadka. Gdy kilka dni później w owym lasku znaleziono te piszczele i trupie czaszki, połączyła nitki i nieszczęsny starszy pan wylądował na komendzie, gdzie musiał się tłumaczyć, z jakiego, na miłość boską, powodu wywoził nocą do lasu ludzkie szczątki.

Niestety, nie wymyśliłem tego. To autentyczna historia. Szczątki z zapomnianego cmentarza znalazły w końcu swoje miejsce na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie, ale ile takich historii nie ma oficjalnego zakończenia? Ile znalezisk ląduje na czarnym rynku albo, co moim zdaniem gorsze, na śmietnikach?

Cały czas, szukając tematów i wertując jakieś szpargały, mam wrażenie, że nie jestem w stanie wymyślić nic ciekawszego niż to, co się wydarzyło w rzeczywistości.

A jeśli jesteśmy przy rzeczywistości, to na pewno trzeba wspomnieć, że ta historia by nie powstała, gdyby nie rozmowy i kłótnie z pewnym szczecińskim aktywistą. Temperatura tych rozmów czasem wzrastała tak bardzo, że nie odzywaliśmy się potem do siebie przez miesiąc. Niemniej to, czego się

dowiadywałem na temat miejskich awantur, przepychanek, lekceważenia prawa przez urzędników i miejskie spółki, rosło wykładniczo i w końcu stwierdziłem, że trzeba z tego zrobić książkę.

Dziękuję zatem za te karczemne awantury Igorowi Podeszwikowi, adminowi strony Nowy Szczecin.

Specjalne podziękowania należą się Bartoszowi Turlejskiemu, dziennikarzowi ze Świnoujścia, za to, że w ogóle zachęcił mnie do sięgnięcia po ten temat, przysyłając mi linki do różnych forów, na których toczyły się nieprawdopodobne kłótnie i rozmowy na temat miejskich legend.

Za wsparcie techniczne, bez którego, nawet jako architekt, pewnie nie skleciłbym wiarygodnie finału tej opowieści, dziękuję koledze z Pracowni Projektowej Konserwacji Zabytków konstruktorowi Leszkowi Demskiemu. Szkicował mi nawet przekroje techniczne, punktował słabe strony i podpowiadał, jak skutecznie doprowadzić do tego, co stało się na końcu tej książki. W sensie prawnym jest więc absolutnie współwinny.

Muszę też podziękować pewnemu radnemu, z którym spotkałem się w tajemnicy w ustronnym szczecińskim zaułku i który zdradził mi kulisy rozmaitych miejskich wydarzeń i mechanizmów za nimi stojących. Oczywiście nie mogę zdradzić jego personaliów i z całkowitą premedytacją doprowadzam właśnie do sytuacji, że wszyscy po przeczytaniu tej książki będą się nad tym zastanawiać.

Tradycyjnie pomoc w zawiłych kwestiach prawnych zapewniła mi koleżanka mecenaska Monika, a pierwszą profesjonalną korektę i recenzję, także tradycyjnie, zrobiła Olka z Berlina, której jestem wdzięczny za parę bardzo cennych poprawek i usunięcie kilku naprawdę kretyńskich błędów.

No i także tradycyjnie za doskonałą redakcję dziękuję pani Małgorzacie Burakiewicz.

Na koniec także chciałbym podziękować wszystkim moim wiernym Czytelnikom, którzy bez przerwy zaglądają na moją autorską stronę i dopytują się kiedy wreszcie coś znowu napiszę. To jest naprawdę megawsparcie, które nadaje sens tej całej mojej pisaninie.

- [1] Moszennik [мошенник] (ros.) – zbir, gnida, łajdak, łobuz.
- [2] Greta Thunberg – szwedzka aktywistka klimatyczna. Znana z cytowanego na całym świecie wystąpienia na temat zmian klimatu na forum ONZ w 2019 roku. Inicjatorka wielu protestów ekologicznych i założycielka międzynarodowego ruchu uczniów i studentów, nazwanego Młodzieżowym Strajkiem Klimatycznym.
- [3] Nie czekając na pamiątniki Pauliny, ową historię można przeczytać w książce *Zbawiciel*.
- [4] RDOŚ – Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska.
- [5] Wielka Smuta – okres kryzysu, w jakim pogrążyło się Cesarstwo Rosyjskie po śmierci ostatniego cara z dynastii Rurykowiczów, a przed nastaniem Romanowów.
- [6] Kościół Świętej Gertrudy na Łasztowni – od 1954 roku ewangelicko-augsburski kościół Świętej Trójcy.
- [7] Hafenbaumt Swinemunde.
- [8] TBM – Tunnel Boring Machine – metoda maszyny drążącej tunel.
- [9] Artykuł 241 § 1 kk. Kto bez zezwolenia rozpowszechnia publicznie wiadomości z postępowania przygotowawczego, zanim zostały ujawnione w postępowaniu sądowym, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.
- [10] SARP – Stowarzyszenie Architektów Polskich.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz